

**Henryk Sienkiewicz**

# **KRZYŻACY**

**TOM PIERWSZY**

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • [Polska.pl](http://Polska.pl) • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów  
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”  
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

## SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I.....	3
ROZDZIAŁ II.....	12
ROZDZIAŁ III.....	27
ROZDZIAŁ IV.....	36
ROZDZIAŁ V.....	54
ROZDZIAŁ VI.....	82
ROZDZIAŁ VII.....	102
ROZDZIAŁ VIII.....	110
ROZDZIAŁ IX.....	116
ROZDZIAŁ X.....	121
ROZDZIAŁ XI.....	132
ROZDZIAŁ XII.....	143
ROZDZIAŁ XIII.....	150
ROZDZIAŁ XIV.....	155
ROZDZIAŁ XV.....	161
ROZDZIAŁ XVI.....	168
ROZDZIAŁ XVII.....	175
ROZDZIAŁ XVIII.....	182
ROZDZIAŁ XIX.....	187
ROZDZIAŁ XX.....	212
ROZDZIAŁ XXI.....	225
ROZDZIAŁ XXII.....	233
ROZDZIAŁ XXIII.....	242
ROZDZIAŁ XXIV.....	251
ROZDZIAŁ XXV.....	256
ROZDZIAŁ XXVI.....	272
ROZDZIAŁ XXVII.....	283
ROZDZIAŁ XXVIII.....	291
ROZDZIAŁ XXIX.....	297
ROZDZIAŁ XXX.....	300
ROZDZIAŁ XXXI.....	314
ROZDZIAŁ XXXII.....	317

## ROZDZIAŁ I

W Tyńcu, w gospodzie „Pod Lutym Turem”, należącej do opactwa, siedziało kilku ludzi, słuchając opowiadania wojaka bywalca, który z dalekich stron przybywszy, prawił im o przygodach, jakich na wojnie i w czasie podróży doznał. Człek był brodaty, w sile wieku, pleczysty, prawie ogromny, ale wychudły; włosy nosił ujęte w pątlík, czyli w siatkę naszywaną paciorkami; na sobie miał skórzany kubrak z pęgami wyciśniętymi przez pancerz, na nim pas, cały z miedzianych klamr; za pasem nóż w rogowej pochwie, przy boku zaś krótki kord podróźny.

Tuż przy nim za stołem siedział młodzieńczyk o długich włosach i wesołym spojrzeniu, widocznie jego towarzysz lub może giermek, bo przybrany także po podróźnemu, w taki sam powyciskany od zbroicy skórzany kubrak. Resztę towarzystwa stanowiło dwóch ziemian z okolic Krakowa i trzech mieszczan w czerwonych składanych czapkach, których cienkie końce zwieszały się im z boku aż na łokcie.

Gospodarz Niemiec, w płowym kapturze z kołnierzem wycinanym w zęby, lał im z konwi sytne piwo do glinianych stągiewek i nasłuchiwał ciekawie przygód wojennych.

Jeszcze ciekawiej jednak słuchali mieszczanie. W owych czasach nienawiść, jaka dzieliła za czasów Łokietkowych miasto od rycerskiego ziemiaństwa, znacznie już była przygasła, mieszczaństwo zaś nosiło głowy górniej niż w wiekach późniejszych.

Jeszcze ceniono ich gotowość *ad concessionem pecuniarum*; dlatego też nieraz zdarzało się widzieć w gospodach kupców pijących za pan brat ze szlachtą. Widziano ich nawet chętnie, bo jako ludzie, u których o gotowy grosz łatwiej, płacili zwykle za herbowych.

Tak więc siedzieli teraz i rozmawiali, mrugając od czasu do czasu na gospodarza, aby napełniał stągiewki.

– Toście, szlachetny rycerzu, zwiedzili kawał świata? – rzekł jeden z kupców.

– Niewielu z tych, którzy teraz ze wszystkich stron ściągają do Krakowa, widziało tyle – odpowiedział przybyły rycerz.

– A niemało Ich ściągnie – mówił dalej mieszczanin. – Wielkie go-dy i wielka szczęśliwość dla Królestwa! Prawią też, i to pewna, że król

kazał całą łożnicę królowej złotogłowem szytym perłami wysłać i takież baldachim nad nią uczynić. Zabawy będą i gonitwy w szrankach, jakich świat dotąd nie widział.

– Kumotrze Gamroth nie przerywajcie rycerzowi – rzekł drugi kupiec.

– Nie przerywam ja, kmotrze Eyeretreter, tylko tak myślę, że i on rad będzie wiedział, co prawią, bo pewnie sam do Krakowa jedzie. Nie wrócim i tak dziś do miasta, gdyż bramy przedtem zamkną, a w nocy gad, który się w wiórach rodzi, spać nie daje, więc mamy czas na wszystko.

– A wy na jedno słowo odpowiadacie dwadzieścia. Starzejecie się, kmotrze Gamroth!

– Ale sztukę wilgotnego sukna pod jedną pachą jeszcze dźwignę.

– O wa! takiego, co się przez nie świeci jak przez sito. Lecz dalszą sprzeczkę przerwał podróżny wojak, który rzekł:

– Pewnie, że w Krakowie ostanę, bom słyszał o gonitwach i rad w szrankach siły mojej popróbuję – a i ten mój bratanek także, który choć młody jest i gołowas, niejeden już pancierz widział na ziemi.

Goście spojrzeli na młodzieńca, który uśmiechnął się wesoło i założywszy rękoma długie włosy za uszy, podniósł następnie do ust naczynie z piwem.

Stary zaś rycerz dodał:

– Wreszcie, choćbyśmy chcieli wracać, to nie mamy dokąd.

– Jakże to? – zapytał jeden ze szlachty. – Skąd jesteście i jako was zowią?

– Ja zowią się Maćko z Bogdańca, a ten tu wyrostek, syn mego rodzonego, woła się Zbyszko. Herbu jesteśmy Tępa Podkowa, a zawołania Grady!

– Gdzieże jest wasz Bogdaniec?

– Ba! lepiej pytajcie, panie bracie, gdzie był, bo go już nie ma. Hej, jeszcze za czasów wojny Grzymalitzyków z Nałęczami spalili nam do cna nasz Bogdaniec, tak że jeno dom stary ostał, a co było, pobrali, służebni zasie uciekli. Została goła ziemia, bo i kmiecie, co byli w sąsiedztwie, poszli dalej w puszcę. Odbudowaliśmy z bratem, ojcem tego oto wyrostka, ale następnego roku woda nam pobrała. Potem brat umarł, a jak umarł,ostałem sam z sierotą. Myślałem tedy: nie usiedzę! A prawili pod on czas o wojnie i o tym, że Jaśko z Oleśnicy, którego król Władysław po Mikołaju z Moskorzowa do Wilna wysłał, szuka skrzątnie w Polsce rycerzy. Znając ja więc godnego opata i krewniaka

naszego, Janka z Tulczy, zastawiłem mu ziemię, a za pieniądze kupiłem zbroiczkę, konie – opatrzyłem się jako zwykle na wojenną wyprawę; chłopca, co mu było dwanaście lat, wsadziłem na podjezdka i haj! do Jaśka z Oleśnicy.

– Z wyrostkiem?

– Nie był ci on wówczas nawet wyrostkiem, ale krzepkie to było od małego. Bywało, w dwunastym roku oprze kuszę o ziemię, przyciśnie brzuchem i tak korbą zakręci, że i żaden z Angielczyków, którycheśmy pod Wilnem widzieli, lepiej nie naciągnie.

– Takiż był mocny?

– Hełm za mną nosił, a jak mu przeszło trzynaście zim, to i pawęż.

– Już to wojny wam tam nie brakło.

– Za przyczyną Witoldową. Siedziało książe u Krzyżaków i co roku wyprawy na Litwę pod Wilno czynili. Szedł z nimi różny naród: Niemcy, Francuzi, Angielczycy do łuków najprzedniejsi, Czechy, Szwajcary i Burgundy. Lasy przesiekli, zamki po drodze stawiali i w końcu okrutnie Litwę ogniem i mieczem pognębili, tak, że cały naród, który tę ziemię zamieszkuje, chciał już ją porzucić i szukać innej, choćby na kraju świata, choćby między dziećmi Beliala, byle od Niemców daleko.

– Słysząc było i tu, że wszyscy Litwini chcieli pójść z dziećmi i żonami precz, aleśmy temu nie wierzyli.

– A ja na to patrzył. Hej! Gdyby nie Mikołaj z Moskorzowa, nie Jaśko z Oleśnicy, a nie chwalący się, gdyby i nie my, nie byłoby już Wilna.

– Wiemy. Zamkuście nie dali.

– A nie daliśmy. Pilno tedy zważcie, co wam powiem, bom człek służył i wojny świadom. Starzy jeszcze mawiali: „zajadła Litwa” – i prawda! Dobrze się oni potykają, ale z rycerstwem nie im się w polu mierzyć. Gdy konie Niemcom w bagnach polgną albo gdy gęsty las – to co innego.

– Niemcy dobrzy rycerze! – zawołali mieszczanie.

– Murem oni chłop przy chłopie w żelaznych zbrojach stają tak okryci, że ledwie psubratu oczy przez kratę widać. I ławą idą. Uderzy, bywało, Litwa i rozsypie się jako piasek, a nie rozsypie się, to ją mostem położą i roztratuja. Nie sami też między nimi Niemcy, bo co jest narodów na świecie, to u Krzyżaków służy. A chobre są! Nieraz pochyli się rycerz, kopię przed się wyciągnie i sam jeden, jeszcze przed bitwą, w całe wojsko bije jako jastrząb w stado.

– Christ! – zawołał Gamroth – którzy też z nich najlepsi?

– Jak do czego. Do kuszy najlepszy Angielczyk, którego pancierz na wylot strzałą przedzieje, a gołębia na sto kroków utrafi. Czechowie okrutnie toporami siekają. Do dwuręcznego brzeszczota nie masz nad Niemca. Szwajcar rad żelaznym cepem hełmy tłucze, ale najwięksi rycerze są ci, którzy z francuskiej ziemi pochodzą.

Taki będzie ci się bił z konia i piechotą, a przy tym będzie ci okrutnie waleczne słowa gadał, których wszelako nie wyrozumiesz, bo to jest mowa taka, jakobyś cynowe misy potrzasał, chociaż naród jest pobożny. Przymawiali nam przez Niemców, że pogan i Saracenów przeciw Krzyżowi bronimy, i obowiązywali się dowieść tego rycerskim pojedynkiem. Ma się też takowy sąd boży odbyć między czterema ich i czterema naszymi rycerzami, a zrok naznaczon jest na dworze u Wacława, króla rzymskiego i czeskiego.

Tu większa jeszcze ciekawość ogarnęła ziemian i kupców, tak że aż powyciągali szyje ponad kuflami w stronę Maćka z Bogdańca, i nuż pytać:

– A z naszych którzy są? Mówcie żywo!

Maćko zaś podniósł naczynie do ust, napił się i odrzekł:

– Ej, nie bójcie się o nich. Jest Jan z Włoszczowy, kasztelan dobrzyński, jest Mikołaj z Waszmuntowa, jest Jaśko ze Zdakowa i Jarosz z Czechowa: wszystko rycerze na schwał i chłopcy morowe. Pójdą-li na kopie, na miecze albo na topory – nie nowina im. Będą miały oczy ludzkie na co patrzeć i uszy czego słuchać – bo, jako rzekłem, Francuzowi gardziel nogą przyciśniesz, a on ci jeszcze rycerskie słowo prawi. Tak mi też dopomóż Bóg i Święty Krzyż, jako tamci przegadają, a nasi pobiją.

– Będzie sława, byle Bóg pobłogosławił – rzekł jeden ze szlachty.

– I święty Stanisław! – dodał drugi.

Po czym, zwróciwszy się do Maćka, jał rozpytywać dalej:

– Nuże, powiadajcie! Sławiliście Niemców i innych rycerzy, że chobrze są i że łatwo Litwę łamali. A z wami nie ciężej że im było? Zali równie ochotnie na was szli? Jakże Bóg darzył? Sławcie naszych!

Lecz Maćko z Bogdańca nie był widocznie samochwał, bo odrzekł skromnie:

– Którzy świeżo z dalekich krajów przyszli, ochotnie na nas uderzali, ale popróbawwszy raz i drugi, już nie z takim sercem.

– Bo jest nasz naród zatwardziały, którą to zatwardziałość często nam wymawiali: „Gardzicie śmiercią, prawią, ale Saracenów wspomam-

gacie, przez co potępieni będziecie!” A w nas zawziętość jeszcze rosła, gdyż nieprawda jest! Oboje królestwo Litwę ochrztili i każdego tam Chrystusa Pana wyznawa, chociaż nie każdego umie. Wiadomo też, że i nasz Pan Miłościwy, gdy diabła w katedrze w Płocku na ziem zrzuciono, kazał mu ogarek postawić – i dopiero księża musieli mu gadać, że tego się czynić nie godzi. A cóż pospolity człowiek! Niejeden też sobie mówi: „Kazał się kniaź ochrzcić, tom się ochrzcił, kazał Chrystu czołem bić, to biję, ale po co mam starym pogańskim diabłom okruszyny twaroga żałować albo im pieczonej rzepy nie rzucić, albo piany z piwa nie ułać. Nie uczynię tego, to mi konie padną albo krowy sparszeją, albo mleko od nich krwią zajdzie – albo w żniwach będzie przeszkoda”. I wielu też tak czyni, przez co się w podejrzenie podają. Ale oni to robią z niewiadomości i z bojaźni diabłów. Było onym diabłom drzewiej dobrze. Mieli swoje gaje, wielkie numy i konie dojazdy i dziesięcinę brali. A ninie gaje wycięte, jeść nie ma co – dzwony po miastach biją, więc się to paskudztwo w najgęstsze bory pozaszywało i tam z tęskności wyje. Pójdzie Litwin do lasu, to go w chojniakach jeden i drugi za kozuch pociągnie – i mówi:

„Daj!” Niektórzy też dają, ale są i śmiałe chłopcy, co nie chcą nic dać albo ich jeszcze łapią. Nasypał jeden prażonego grochu do wołowej mechery, to mu trzynastu diabłów zaraz wlało. A on zatknął ich jarzębowym kołkiem i księżom franciszkanom na sprzedaż do Wilna przyniósł, którzy dali mu z chęcią dwadzieścia skojców, aby nieprzyjaciół imienia Chrystusowego zgładzić. Sam tę mecherę widziałem, od której sprośny smród z daleka w nozdrzach człowiekowi wiercił – bo tak to one bezecne duchy strach swój przed święconą wodą okazywały...

– A kto rachował, że ich było trzynastu? – spytał roztropnie kupiec Gamroth.

– Litwin rachował, który widział, jak leżli. Widać było, że są, bo to z samego smrodu można było wymiarkować, a kołka wolał nikt nie odykać.

– Dziwy też to. dziwy! – zawołał jeden ze szlachty.

– Napatrzyłem ja się wielkich dziwów niemało, gdyż – nie można rzec: naród to jest dobry, ale wszystko u nich osobliwe. Kudłaci są i ledwie który kniaź włosy trefi; pieczoną rzepą żyją, nad wszelkie jadło ją przekładając, bo mówią, że męstwo od niej rośnie. W numach swych razem z dobytkiem i węzami żyją; w picciu i jedle nie znają pomiarkowania. Za nic zamężne niewiasty mają, ale panny bardzo szanują i moc

wielką im przyznają: że byle dziewczka natarła człeku suszonym jaferem żywot, to kolki od tego przechodzą.

– Nie żal i kolek dostać, jeśli niewiasty cudne! – zawołał kum Eyer-treter.

– O to zapytajcie Zbyszka – odrzekł Maćko z Bogdańca. Zbyszko zaś roześmiał się, aż ława pod nim poczęła drgać.

– Bywają cudne! – rzekł – alboż Ryngała nie była cudna?

– Cóż to za Ryngała? pochutnica jakowaś czy co? Żywo!

– Jakże to? Nie słyszeliście o Ryngalle? – pytał Maćko

– Nie słyszeliśmy ni słowa.

– To przecie siostra księcia Witoldowa, a żona Henryka, księcia mazowieckiego.

– Nie powiadajcie! Jakiego księcia Henryka? Było jedno księżę mazowieckie tego imienia elektem płockim, ale zmarło.

– Ten ci sam był. Miały mu przyjść z Rzymu dyspensy; ale śmierć dała mu pierwej dyspensę, gdyż widocznie niezbyt postępkiem swoim Boga ucieszył. Byłem wtedy posłany z pismem od Jaśka z Oleśnicy do księcia Witolda, kiedy od króla przyjechał do Ryterswerder księżę Henryk, elekt płocki. Już się była Witoldowi wojna wtedy uprzykrzyła, dlatego właśnie że Wilna nie mógł dobyć, a królowi naszemu uprzykrzyli się rodzeni bracia i ich rozpusta. Widząc tedy król większą u Witolda niż u swych rodzonych obrotność i większy rozum, posłał do mego biskupa z namową, by Krzyżaków porzucił i do posłuszeństwa się nakłonił, za co mu rządy Litwy miały być oddane. A Witold, chciwy zawsze odmiany, mile poselstwa wysłuchał. Były też i uczty, i gonitwy. Rad elekt konia dosiadał, choć inni biskupi tego nie chwałą, i w szrankach siłę swą rycerską okazywał. A mocami są z rodu wszyscy księżęta mazowieccy – jako jest wiadomo, że nawet i dziewczeczki z tej krwi łącznie podkowy łamią. Raz przeto zbił księżę z siodła trzech rycerzy, drugi raz pięciu – a z naszych mnie zwalił, i pod Zbyszkiem koń przy natarciu na zadzie siadł. Nagrody zaś brat wszystkie z rąk cudnej Ryngały, przed którą w pełnej zbroi klękał. I rozmiłowali się tak w sobie, że na ucztach ciągnęli go od niej za rękawy *clerici*, którzy z nim przyjechali, a ją brat Witold hamował. Dopieroż księżę mówił: „Sam sobie dyspensę dam, a papież mi ją, jeśli nie rzymski, to awinioński potwierdzi, a ślub zaraz ma być, bo zgorzeję!” Wielka była obraza boska, ale nie chciał się Witold przeciwiać, by posła królewskiego nie zlisić – i ślub był. Potem dojechali do Suraza, a potem do Słucka, z wielkim za-



lem tego oto Zbyszka, który sobie, niemieckim obyczajem, księżną Ryngałłę za panią serca obrał i dozgonną wierność jej ślubował...

– Ba! – przerwał nagle Zbyszko – prawda jest! Ale potem ludzie mówili, że księżna Ryngałła, pomiarkowawszy, że nie przystoi jej być za elektem (bo ów, choć się ożenił, godności swej duchownej się wyrzec nie chciał) i że nie może być nad takim stadłem błogosławieństwa boskiego, otruła męża. Co ja usłyszawszy, prosiłem jednego świątobliwego pustelnika pod Lublinem, by mnie od tego ślubowania rozwiązał.

– Był ci on pustelnikiem – odparł, śmiejąc się, Maćko – ale czy był świątobliwy, nie wiem, bośmy go w piątek w boru zajechali, a on kości niedźwiedzie toporem łupał i śpik wysysał, aż mu gardziel grała.

– Ale mówił, że śpik to nie mięso, a oprócz tego, że uprosił sobie na to pozwolenstwo, gdyż po śpiku widzenia cudowne we śnie miewa i nazajutrz prorokować może do południa.

– No! no! – odrzekł Maćko. – A cudna Ryngałła wdowa jest i może cię na służbę wezwać.

– Po próżnicy by wzywała, boja sobie inną panią obiorę, której do śmierci będę służył, a potem i żonę znajdę.

– Pierwej znajdź rycerski pas.

– O wa! albo to nie będzie gonitew po połogu królowej? A przedtem albo potem król będzie niejednego pasował. Stanę ja każdemu. Książę nie byłby mnie także obalił, żeby mi koń na zadzie nie siadł.

– Będą tu lepsi od ciebie.

Na to ziemianie spod Krakowa poczęli wołać:

– Na miły Bóg! toż tu przed królową wystąpią nie tacy jak ty, ale rycerze w świecie najslawniejsi. Będzie gonił Zawisza z Garbowa i Farurej, i Dobko z Oleśnicy, i taki Powąła z Taczewa, i taki Paszko Złodziej z Biskupic, i taki Jaśko Naszan, i Abdank z Góry, i Andrzej z Brochocic, i Krystyn z Ostrowa, i Jakub z Kobylan!... Gdzie ci się z nimi mierzyć, z którymi ni tu, ni na dworze czeskim, ni na węgierskim nikt mierzyć się nie może. Cóż to prawisz; lepszyś od nich? Ile ci roków?

– Ośmnasty – odpowiedział Zbyszko.

– Tedy cię każdy między knykciami zgniecie.

– Obaczym. Lecz Maćko rzekł:

– Słyszałem, że król hojnie nagradza rycerzy, którzy z wojny litewskiej wracają. Mówcie, którzy stąd jesteście: prawda-li to?

– Dalibóg, prawda! – odrzekł jeden ze szlachty. – Wiadoma po świecie hojność królewska, jeno się teraz docisnąć do niego nie będzie

łatwo, gdyż w Krakowie aż się roi od gości, którzy się na połóg królowej i na chrzciny zjeżdżają, chcąc przez to panu naszemu cześć albo hołd oddać. Ma być król węgierski, będzie, jako powiadają, i cesarz rzymski, i różnych książąt a komesów, i rycerzy jako maku, że to każdy się spodziewa, iż z próżnymi rękoma nie odejdzie. Prawili nawet, iż sam papież Bonifacy zjedzie, którego także łaski i pomocy naszego pana przeciw swemu nieprzyjacielowi z Awinionu potrzebuje. Owóż w takim natłoku niełatwo będzie o dostęp, ale byle dostęp znaleźć, a pana pod nogi podjąć – to już zasłużonego hojnie opatrzy.

– To go i podejmę, bom się wysłużył, a jeżeli wojna będzie, to jeszcze pójdę. Wzięło się tam coś łupem, a coś od księcia Witolda w nagrodę, i biedy nie ma, tylko że już mi wieczorne lata nadchodzą, a na starość, gdy siła z kości wyjdzie, rad by człek miał kąć spokojny.

– Mile król widział tych, którzy z Litwy pod Jaśkiem z Oleśnicy wrócili – i wszyscy oni tłusto teraz jadają.

– Widzicie! A jam wtedy jeszcze nie wrócił – i dalej wojowałem. Bo trzeba wam wiedzieć, że się ta zgoda między królem a kniazem Witoldem na Niemcach skrupiła. Książ chytrze zakładników pościągał, a potem, hajże na Niemców! Zamki poburzył, popalił, rycerzy pobił, siła ludu wyścinał. Chcieli się Niemcy mścić razem ze Świdrygiełłą, który do nich uciekł. Była znów wielka wyprawa. Sam mistrz Kondrat na nią poszedł z mnogim ludem. Wilno obiegli, próbowali z wież okrutnych zamki burzyć, próbowali zdradą ich dostać – nic nie wskórali! A za powrotem tylu ich legło, że i połowa nie wyszła. Wychodziliśmy jeszcze w pole przeciw Ulrykowi z Jungingen, bratu mistrzowemu, który jest wójtem sambijskim. Ale się wójt kniazia przeląkł i z płaczem uciekł, od której to ucieczki jest spokój – i miasto na nowo się buduje. Jeden też święty zakonnik, który po rozpalonym żelazie boso mógł chodzić, prorokował, że od tej pory, póki świat światem, Wilno zbrojnego Niemca pod murami nie obaczy. Ale jeśli tak będzie, to czyż to ręce uczyniły?

To rzekłszy, Maćko z Bogdańca wyciągnął przed się dłonie – szerokie i nadmiar potężne – inni zaś poczęli kiwać głowami i przyświadczać:

– Tak! tak! praw w tym, co powiada! Tak!

Lecz dalszą rozmowę przerwał gwar dochodzący przez okna, z których błony były powyjmowane, albowiem noc zapadła ciepła i pogodna. Z dala słycać było brzękania, ludzkie głosy, parskania koni i śpiewy. Zdziwili się obecni, albowiem godzina była późna i księżyc wyso-

ko już wybił się na niebo. Gospodarz, Niemiec, wybiegł na podwórzec gospody, lecz nim goście zdołali wychylić do dna ostatnie kufle, wrócił jeszcze pośpiesznie), wołając:

– Dwór jakowyś wali!

W chwilę zaś później we drzwiach zjawił się pacholek w błękitnym kubraku i składanej czerwonej czapce na głowie. Staął, spojrzął po obecnych i ujrawszy gospodarza, rzekł:

– Wytrzeć tam stoły i światła nanieć: księżna Anna Danuta na odpoczynek się tu zatrzyma.

To rzekłszy, zawrócił. W gospodzie uczynił się ruch: gospodarz począł wołać na czeladź, a goście spoglądali ze zdumieniem jeden na drugiego.

– Księżna Anna Danuta – mówił jeden z mieszczan – toć to Kiejstutówna, żona Janusza Mazowieckiego. Ona już od dwóch niedziel w Krakowie, jeno że wyjeżdżała do Zatora, do księcia Wacława w odwiedziny, a ninie pewno wraca.

– Kmotrze Gamroth – rzekł drugi mieszczanin – pójdźmy na siano do stodółki; za wysoka to dla nas kompania.

– Że nocą jadą, to mi nie dziwno – ozwał się Maćko – bo w dzień upał, ale czemu, mając pod bokiem klasztor, do gospody zajeżdżają?

Tu zwrócił się do Zbyszka:

– Rodzona siostra cudnej Ryngały, rozumiesz? A Zbyszko odrzekł:

– I mazowieckich panien siła musi z nią być, hej!

## ROZDZIAŁ II

A wtem przez drzwi weszła księżna – pani średnich lat, ze śmiejącą się twarzą, przybrana w czerwony płaszcz i szatę zieloną, obcisłą, z pozłożonym pasem na biodrach, idącym wzdłuż pachwin i zapiętym nisko wielką klamrą. Za panią szły panny dworskie, niektóre starsze, niektóre jeszcze niedorośle, w różowych i liliowych wianuszkach na głowach, po większej części z lutniami w ręku. Były i takie, które niosły całe pęki kwiatów świeżych, widocznie uzbieranych po drodze. Zaroiła się izba, bo za pannami ukazało się kilku dworzan i małych pacholików. Weszli wszyscy rażno, z wesołością w twarzach, rozmawiając głośno lub podśpiewując, jakoby upojeni pogodną nocą i jasnym blaskiem księżyca. Między dworzanami było dwóch rybaków, jeden z lutnią, drugi z gęślikami u pasa. Jedna z dziewcząt, młódka jeszcze, może dwunastolatka, niosła też za księżną małą luteńkę, nabijaną miedzianymi ćwiekami.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – ozwała się księżna, stając w pośrodku świetlicy.

– Na wieki wieków, amen! – odpowiedzieli obecni, bijąc zarazem niskie pokłony.

– A gdzie gospodarz?

Niemiec, usłyszawszy wezwanie, wysunął się naprzód i przykleknął obyczajem niemieckim.

– Zatrzymamy się tu dla wypoczynku i posiłku – rzekła pani. – Żywo się jeno zakrzątnij, bośmy głodni.

Mieszczanie już byli odeszli, teraz zaś dwaj miejscowi szlachcice. a wraz z nimi Maćko z Bogdańca i młody Zbyszko, skłonili się powtórnie i zamierzali opuścić świetlicę, nie chcąc dworowi przeszkadzać.

Lecz księżna zatrzymała ich.

– Szlachtą jesteście: nie przeszkadzicie! Zróbcie znajomość z dworzany. Skądże Bóg prowadzi?

Oni wówczas zaczęli wymieniać swoje imiona, herby, zawołania i wsie, z których się pisali. Dopieroż pani, usłyszawszy od Maćka, skąd wraca, klasnęła w dłonie i rzekła:

– Otóż się przygodziło! Prawcie nam o Wilnie, o moim bracie i o siostrze. Zali zjedzie tu się książę Witold na połóg królowej i na krzcinny?

– Chciałby, ale nie wie, czy będzie mógł; dlatego kolebę srebrną przez księży i bojarzynów naprzód w darze królowej przysłał. Przy której kolebce i myśmy z bratańcem przyjechali, strzegąc jej w drodze.

– To kolebka tu jest? Chciałabym obaczyć. Cała srebrna?

– Cała srebrna, ale jej tu nie ma. Powieźli ją do Krakowa,

– A cóż wy w Tyńcu robicie?

– My tu nawrócili do klasztornego prokuratora, naszego krewnego, by pod opiekę zacnych zakonników oddać, co nam wojna przysporzyła i co książę podarował.

– To Bóg poszczęścił. Godneż łupy? Ale powiadajcie, czemu to brat niepewien, czy przyjedzie?

– Bo wyprawę na Tatarów gotuje.

– Wiem ci ja to: jeno mnie trapi, że królowa nie prorokowała szczęśliwego końca tej wyprawie, a co ona prorokuje, to się zawsze ziści.

Maćko uśmiechnął się.

– Ej. świętobliwa nasza pani, nijak przeczyć, ale z księciem Witoldem siła naszego rycerstwa pójdzie, chłopów dobrych, przeciw którym nikomu niesporo.

– A wy to nie pójdziecie?

– Bom z kolebką przy innych wysłań i przez pięć roków nie zdejmowałem z siebie blach – odrzekł Maćko, pokazując na bruzdy powyciskane na łosiowym kubraku od pancerza – ale niech jeno wypocznę – pójdę – a choćbym sam nie szedł, to tego oto bratanka, Zbyszka, panu Spytkowi z Melsztyna oddam, pod którego wodzą wszyscy nasi rycerze pójdą.

Księżna Danuta spojrzała na dorodną postać Zbyszka, lecz dalszą rozmowę przerwało przybycie zakonnika z klasztoru, który powitawszy księżnę, począł jej pokornie wymawiać, że nie przysłała gońca z oznajmieniem o swoim przybyciu i że nie zatrzymała się w klasztorze, ale w zwyczajnej gospodzie, niegodnej jej majestatu. Nie brak przecie w klasztorze domów i gmachów, w których nawet pospolity człowiek znajdzie gościnę, a cóż dopiero majestat, zwłaszcza zaś małżonki księcia, od którego przodków i pokrewnych tyłu dobrodziejstw opactwo doświadczyło.

Lecz księżna odpowiedziała wesoło:

– My jeno tu nogi wstąpili rozprostować, a na ranek trzeba nam do Krakowa. Wypaliśmy się w dzień i jedziemy nocą dla chłodu, a że to już kury piały, nie chciałam pobożnych zakonników budzić, zwłaszcza z taką kompanią, która więcej o śpiewaniu i płasach niżeli o odpocznieniu myśli.

Gdy jednak zakonnik nalegał ciągle, dodała:

– Nie. Tu już ostaniem. Dobrze czas na słuchaniu świeckich pieśni zejdzie, ale na jutrznię do kościoła przyjdziemy, aby dzień z Bogiem zacząć.

– Będzie msza za pomyślność miłościwego księcia i miłościwej księżnej – rzekł zakonnik.

– Książę mój małżonek dopiero za cztery albo pięć dni zjedzie.

– Pan Bóg potrafi i z daleka szczęście zdarzyć, a tymczasem niech nam, ubogim, wolno będzie choć wina z klasztoru przynieść.

– Radzi odwdzięczym – rzekła księżna.

Gdy zaś zakonnik wyszedł, poczęła wołać:

– Hej, Danusia! Danusia! wyleż no na ławkę i uwesel nam serce tą samą pieśnią, którą w Zatorze śpiewałaś.

Usłyszawszy to, dworzanie prędko postawili na środku izby ławkę. Rybąłci siedli po jej brzegach, między nimi zaś stanęła owa młódka, która niosła za księżną nabijaną miedzianymi ćwieczkami lutnię. Na głowie miała wianeczek, włosy puszczone po ramionach, suknię niebieską i czerwone trzewiczki z długimi końcami. Stojąc na ławce, wydawała się małym dzieckiem, ale zarazem precudnym jakby jakowaś figurka z kościoła albo z jasełeczek. Widocznie też nie pierwszy raz przychodziło jej tak stać i śpiewać księżnie, bo nie znać było po niej najmniejszego pomieszania.

– Dalej, Danusia! dalej! – wołały panny dworskie. Ona zaś wzięła przed się lutnię, podniosła do góry głowę jak ptak, który chce śpiewać, i przymknąwszy oczęta, poczęła srebrnym głosikiem:

*Gdybym ci ja miała  
Skrzydłeczka jak gąska,  
Poleciałaby ja  
Za Jaśkiem do Śląska!*

Rybąłci zawtórowali jej zaraz, jeden na gęślikach, drugi na dużej lutni; księżna, która miłowała nad wszystko świeckie pieśni, poczęła kiwać głową na obie strony, a dziewczeczka śpiewała dalej głosem cieniuchnym, dziecinnym i świeżym jak śpiewanie ptaków w lesie na wiosnę:

*Usiadłaby ci ja  
Na śląskowskim płocie:  
„Przypatrz się, Jasiulku,  
Ubogiej sierocie „.*

I znów wtórowali rybałci. Młody Zbyszko z Bogdańca, który przywykłszy od dzieciństwa do wojny i srogich jej widoków, nigdy nic podobnego w życiu nie widział, trącił w ramię stojącego obok Mazura i zapytał:

– Co to za jedna?

– To jest dziewczeczka z dworu księżnej. Nie brak ci u nas rybałtów, którzy dwór rozweselają, ale z niej najmilszy rybałcik i księżna niczyich pieśni tak chciwie nie słucha.

– Nie dziwno mi to. Myślałem, że zgoła anioł, i odpatrzeć się nie mogę. Jakże ją wołają?

– A to nie słyszeliście? – Danusia. A jej ojciec jest Jurand ze Spychowa, komes możny i mężny, który do przedchorągiewnych należy.

– Hej! nie widziały takiej ludzkie oczy.

– Miłują ją też wszyscy i za śpiewanie, i za urodę.

– A któren jej rycerz?

– Dyć to jeszcze dziecko.

Dalszą rozmowę znów przerwał śpiew Danusi. Zbyszko patrzył z boku na jej jasne włosy, na podniesioną głowę, na zmrużone oczki i na całą postać oświeconą zarazem blaskiem świec woskowych i blaskiem wpadających przez otwarte okna promieni miesiąca – i zdumiewał się coraz bardziej. Zdawało mu się, że już ją niegdyś widział, ale nie pamiętał, czy we śnie, czy gdzieś w Krakowie na szybie kościelnej.

I znów, trąciwszy dworzanina, pytał przyciszonym głosem:

– To ona z waszego dworu?

– Matka jej przyjechała z Litwy z księżną Anną Danutą, która wydalają za grabię Juranda ze Spychowa. Gładka była i możnego rodu, nad wszystkie inne panny księżnie miła i sama księżnę miłująca. Dlatego też córce dała to samo imię – Anna Danuta. Ale pięć lat temu, gdy przy Złotorzy Niemcy napadli na nasz dwór, ze strachu zmarła. Wtedy księżna wzięła dziewczeczkę – i od tej pory ją hoduje. Ojciec też często na dwór przyjeżdża i rad widzi, że mu się dziecko zdrowo, w miłości książęcej chowa. Jeno ilekroć na nią spojrzy, tylekroć łzami się zalewa, nieboszczkę swoją wspominając, a potem wraca na Niemcach pomsty szukać za swoją krzywdę okrutną. Miłował ci on tak tę swoją żonę,

jako nikt do tej pory swojej na całym Mazowszu nie miłował – i siła już Niemców za nią pomorzył.

A Zbyszkwowi zaświeciły oczy w jednej chwili i żyły nabrały mu na czole.

– To jej matkę Niemcy zabili? – spytał.

– Zabili i nie zabili. Sama umarła ze strachu. Pięć років temu pokój był, nikt o wojnie nie myślał i każdy bezpiecznie chadzał. Pojechał książę wieżę jedną w Złotorii budować, bez wojska, jeno z dworem, jako zwyczajnie czasu pokoju. Tymczasem wpadli zdrajcy Niemcy, bez wypowiedzenia wojny, bez żadnej przyczyny... Samego księcia, nie pomnąc ni na bojaźń boską, ni na to, że od jego przodków wszystkie dobrodziejstwa na nich spadły, przywiązali do konia i porwali, ludzi pobili. Długo książę w niewoli u nich siedział i dopiero gdy król Władysław wojną im zagroził, ze strachu go puścili; ale przy owym napadzie umarła matka Danusi, boją serce udusiło, które jej pod gardło podeszło.

– A wy, panie, byliście przy tym? Jakoże was zowią, bom zapomniał?

– Ja się zowię Mikołaj z Długolasu, a przezywają mnie Obuch. Przy napadzie byłem. Widziałem, jako matkę Danusią jeden Niemiec z pawimi piórami na hełmie chciał do siodła troczyć – jako w oczach mu na sznurze zbieła. Samego też mnie halebardą zacięli, od czego znak noszę.

To rzekłszy, ukazał głęboką bliznę w czaszce, ciągnącą się spod włosów na głowie aż do brwi.

Nastąpiła chwila milczenia. Zbyszko począł znów patrzeć na Danusię. Po czym spytał:

– I rzekliście, panie, że ona nie ma rycerza?

Lecz nie doczekał odpowiedzi, gdyż w tej chwili śpiew ustał. Jeden z rybałtów, człowiek tłusty i ciężki, podniósł się nagle, przez co ława przechyliła się w jedną stronę. Danusia zachwiała się i rozłożyła ręczki, lecz nim zdołała upaść lub zeskoczyć, rzucił się Zbyszko jak żbik i porwał ją na ręce.

Księżna, która w pierwszej chwili krzyknęła ze strachu, roześmiała się zaraz wesoło i zaczęła wołać:

– Oto rycerz Danusin! Bywajże, rycerzyku, i oddaj nam naszą miłą śpiewaczkę!

– Chwacko ci ją ułapił! – ozwały się głosy wśród dworzan. Zbyszko zaś szedł ku księżnej, trzymając przy piersiach Danusię, która ob-



jąwszy go jedną ręką za szyję, drugą podnosiła w górę luteńkę z obawy, by się nie zgniotła. Twarz miała śmiejącą się i uradowaną, choć trochę przestraszoną. Tymczasem młodzieńczyk, doszedłszy do księżnej, postawił przed nią Danusię, sam zaś klęknął i podniósłszy głowę, rzekł z dziwną w jego wieku śmiałością:

– Niechże będzie wedle waszych słów, miłościwa pani! Pora tej wdzięcznej panience mieć swego rycerza, a pora i mnie mieć swoją panią, której urodę i cnoty będę wyznawał, za czym z waszym pozwoleniem tej oto właśnie chcę ślubować i do śmierci wiernym jej w każdej przygodzie ostać.

Na twarzy księżnej przemknęło zdziwienie, ale nie z powodu stów Zbyszkowych, tylko dlatego, że wszystko stało się tak nagle. Obyczaj rycerskiego ślubowania nie był wprawdzie polski, jednakże Mazowsze, leżąc na rubieży niemieckiej i widując często rycerzy z dalekich nawet krajów, znało go lepiej nawet niż inne dzielnice i naśladowało dość często. Księżna słyszała też o nim dawniej, jeszcze na dworze swego wielkiego ojca, gdzie wszystkie obyczaje zachodnie były uważane za prawo i wzór dla szlachetniejszych wojowników – z tych przeto powodów nie znalazła w chęci Zbyszka nic takiego, co by obrazić mogło ją lub Danusię. Owszem, uradowała się, że miła sercu dwórka poczyna zwracać ku sobie rycerskie serca i oczy.

Więc z rozbawioną twarzą zwróciła się do dziewczyny:

– Danuśka, Danuśka! chceszli mieć swego rycerza? A przeto włośa Danusia podskoczyła naprzód trzy razy do góry w swoich czerwonych trzewiczkach, a następnie, chwyciwszy księżną za szyję, poczęła wołać z taką radością, jakby jej obiecywano jakąś zabawę, w którą się tylko starszym bawić wolno:

– Chcę! chcę! chcę!...

Księżnie ze śmiechu aż łzy napłynęły do oczu, a z nią śmiał się cały dwór; wreszcie jednak pani, uwolniwszy się z rąk Danusiny, rzekła do Zbyszka:

– Aj! ślubuj! ślubuj! cóż zasię jej poprzysiężesz? Lecz Zbyszko, który wśród śmiechu zachował niezachwianą powagę, ozwał się równie poważnie, nie wstając z klęczek:

– Ślubuję jej, iżę stanąwszy w Krakowie, powieszę pawęż na gospodzie, a na niej kartę, którą mi uczony w piśmie kleryk foremnie napisze: jako panna Danuta Jurandówna najurodziwsza jest i najcnotliwsza między pannami, które we wszystkich królestwach bydlą. A kto by

temu się przeciwił, z tym będę się potykał póty, póki sam nie zginę albo on nie zginie – chybaby w niewolę radziej poszedł.

– Dobrze! Widać rycerski obyczaj znasz. A co więcej?

– A potem – uznawszy od pana Mikołaja z Długolasu, jako mać panny Jurandówny za przyczyną Niemca z pawim grzebieniem na hełmie ostatni dech puściła, ślubuję kilka takich pawich czubów ze łbów niemieckich zedrzeć i pod nogi mojej pani położyć.

Na to spoważniała księżna i spytała:

– Nie dla śmiechu ślubujesz? A Zbyszko odrzekł:

– Tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż; któren ślub w kościele przed księdzem powtórzę.

– Chwalebna jest z lutym nieprzyjacielem naszego plemienia walczyć, ale mi cię żal, boś młody i łatwo zginąć możesz.

Wtem przysunął się Maćko z Bogdańca, który dotychczas, jako człowiek dawniejszych czasów, ramionami tylko wzruszał – teraz jednak uznał za stosowne przemówić:

– Co do tego – nie frasujcie się, miłościwa pani. Śmierć w bitwie każdemu się może przygodzić, a szlachcicowi, stary-li czy młody, to nawet chwalebna jest. Ale nie cudna temu chłopcu wojna, bo chociaż mu roków nie dostaje, nieraz już trafiało mu się potykać z konia i piechtą, kopią i toporem, długim albo krótkim mieczem, z pawężą albo bez. Nowotny to jest obyczaj, że rycerz dziewczę, którą rad widzi, ślubuje, ale że Zbyszko swojej pawie czuby obiecał, tego mu nie przygarne. Wiskał już Niemców, niech jeszcze powiska, a że od tego wiskania parę łbów pęknie – to mu jeno sława z tego urośnie.

– To, widzę, nie z byle otrokiem sprawa – rzekła księżna. A potem do Danusi:

– Siadajże na moim miejscu jako pierwsza dzisiaj osoba; jeno się nie śmieję, bo nie idzie.

Danusia siadła na miejscu pani; chciała przy tym udać powagę, ale modre jej oczka śmiały się do klęczącego Zbyszka i nie mogła się powstrzymać od przebierania z radości nóżkami

– Daj mu rękawiczki – rzekła księżna. Danusia wyciągnęła rękawiczki i podała Zbyszkowi, który przyjął je ze czcią wielką i przycisnąwszy do ust, rzekł:

– Przypnę je do hełmu, a kto po nie sięgnie – gorze mu! Po czym ucałował ręce Danusi, a po rękach nogi, i wstał. Ale wówczas opuściła go dotychczasowa powaga, a napełniła mu serce wielka radość, że odąd za dojrzałego męża wobec całego tego dworu będzie uchodził, więc

potrząsając Danusine rękawiczki, począł wołać na wpół wesoło, na wpół zapalczywie:

– Bywajcie, psubraty z pawimi czubami! bywajcie! Lecz w tej chwili wszedł do gospody ten sam zakonnik, który już był poprzednio, a wraz z nim dwóch innych, starszych. Słudzy klasztorni nieśli za nimi kosze z wikliny, a w nich łagiewki z winem i różne zebrane naprędce przysmaki. Dwaj owi poczęli witać księżną i znów wymawiać jej, że nie zajechała do opactwa, a ona tłumaczyła im powtórnie, że wypawszy się w dzień, wraz z całym dworem podróżuje nocą dla chłodu, więc wypoczynku jej nie trzeba – i że nie chcąc budzić ni znakomitego opata, ni zacnych zakonników, wołała zatrzymać się dla wyprostowania nóg w gospodzie.

Po wielu grzecznych słowach stanęło wreszcie na tym, że po jutrzni i mszy porannej księżna z dworem przyjmie śniadanie i wypoczynek w klasztorze. Uprzejmi zakonnicy zaprosili też wraz z Mazurami ziemian krakowskich i Maćka z Bogdańca, który i tak miał zamiar udać się do opactwa, aby dostatek zdobyty na wojnie albo darem od hojnego Witolda otrzymany, a przeznaczon na wykupno z zastawu Bogdańca, w klasztorze złożyć. Ale młody Zbyszko nie słyszał zaprosin, skoczył bowiem do wozów swoich i stryjowskich, stojących pod strażą służby, by się odziać i w przystojniejszej odzieży księżnie i Danusi się przedstawić. Wziąwszy więc z wozu łuby, kazał je nieść do izby czeladnej i tam począł się przebierać. Utrefiwszy naprzód pośpiesznie włosy, wsunął je w pątlík jedwabny, bursztynowymi paciorkami wiązany, z przodu zaś mający perełki prawdziwe. Następnie wdział jakę z białego jedwabiu, naszytą w złote gryfy, u dołu zaś szlakiem ozdobną; z wierzchu opasał się pasem pozłocistym, podwójnym, przy którym wisiał mały kord w srebro i kość słoniową oprawny. Wszystko to było nowe, błyszczące i wcale krwią nie poplamione, chociaż łupem na młodym rycerzu fryzyjskim, służącym u Krzyżaków, wzięte. Naciągnął następnie Zbyszko prześliczne spodnie, w których jedna nogawica była w podłużne pasy zielone i czerwone, druga w fioletowe i żółte, obie zaś kończyły się u góry pstrą szachownicą. Za czym, wdziawszy jeszcze purpurowe z długimi nosami trzewiki – piękny i wyświeżony udał się do izby ogólnej.

Jakoż, gdy stanął we drzwiach, widok jego mocne na wszystkich sprawił wrażenie. Księżna, widząc teraz, jak urodziwy rycerz ślubował miłej Danusi, uradowała się jeszcze bardziej. Danusia zaś skoczyła w pierwszej chwili ku niemu jak sama. Lecz czy to piękność młodzieńca,

czy głosy podziwu dworzan wstrzymały ją, nim dobiegła, tak że zatrzymawszy się na krok przed nim, spuściła nagle oczka i splótłszy dłonie, poczęła wykręcać paluszki, zapłoniona i zmieszana.

Lecz za nią przybliżyli się inni: sama pani, dworzanie i dwórki, i rybałci. i zakonnicy, wszyscy bowiem chcieli mu się lepiej przypatrzeć. Panny mazowieckie patrzyły na niego jak w tęczę, żalując teraz każda, że nie ją wybrał – starsze podziwiałały kosztowność ubioru, tak że naokół utworzyło się koło ciekawych; Zbyszko zaś stał w środku z chępliwym uśmiechem na swej młodzieńczej twarzy i okręcał się nieco na miejscu, aby lepiej mogli mu się przyjrzeć.

– Któż to jest? – zapytał jeden z zakonników.

– To jest rycerzyk, bratanek tego oto ślachcica – odrzekła księżna, ukazując na Maćka –jen dopiero co Danusi ślubował.

A zakonnicy nie okazali też zdziwienia, albowiem takie ślubowanie nie obowiązywało do niczego. Ślubowano częstokroć niewiastom zamężnym, a w rodach znamienitych, wśród których zachodni obyczaj był znany, każda prawie miała swego rycerza. Jeśli zaś rycerz ślubował pannie, to nie stawał się przez to jej narzeczonym: owszem, najczęściej ona brała innego męża, a on, o ile posiadał cnotę stałości, nie przestawał jej być wprawdzie wiernym, ale żenił się z inną.

Trochę więcej dziwił zakonników młody wiek Danusi, wszelako i to nie bardzo, gdyż w owym czasie szesnastoletni wyrostkowie bywali kasztelanami. Sama wielka królowa Jadwiga w chwili przybycia z Węgier liczyła lat piętnaście, a trzynastoletnie dziewczęta szły za mąż. Zresztą, patrzano w tej chwili więcej na Zbyszka niż na Danusię i słuchano słów Maćka, który, dumny z bratanka, opowiadał, w jaki sposób młodzik przyszedł do szat tak zacnych.

– Rok i dziewięć niedziel temu – mówił – byliśmy proszeni w gościnę przez rycerzy saksońskich. A był też u nich także w gościnie pewien rycerz z dalekiego narodu Fryzów, którzy hen aż nad morzem mieszkają, a miał z sobą syna trzy roki od Zbyszka starszego. Raz na ucztę ów syn począł Zbyszkowi nieprzystojnie przymawiać, iż ni wąsów, ni brody nie ma. Zbyszko, jako jest wartki, nie słuchał tego mile, ale zaraz, chwyciwszy go za gębę, wszystkie włosy mu z niej wydarł – o co później potykaliśmy się na śmierć lub na niewolę.

– Jak to – potykaliście się? – spytał pan z Długolasu.

– Bo się ojciec za synem ujął, a ja za Zbyszkim: więc potykaliśmy się samoczwart wobec gości na udeptanej ziemi. Taka zaś stanęła umowa, że kto zwycięży, ten i wozy, i konie, i sługi zwyciężonego za-

bierze. I Bóg zdarzył. Porznęliśmy owych Fryzów, choć z niemałym trudem, bo im ni męstwa, ni mocy nie brakło, a łup wzięliśmy znamienity: było wozów cztery, w każdym po parze podjezdaków – i cztery ogiery ogromne, i sług dziewięciu – i zbroic dwie wyborynych, jakich mało byś u nas znalazł. Hełmyśmy po prawdzie w boju połupali, ale Pan Jezus w czym innym nas pocieszył, bo szat kosztownych była cała skrzynia przednio kowana – i te, w które się Zbyszko teraz przybrał, także w niej były.

Na to dwaj ziemianie z Krakowskiego i wszyscy Mazurowie poczęli spoglądać z większym szacunkiem na stryja i na synowca, zaś pan z Długolasu, zwany Obuchem, rzekł:

– Toście, widzę, chłopcy nieociągliwe i srogie.

– Wierzym teraz, że ów młodzik czuby pawie dostanie!

A Maćko śmiał się, przy czym w surowej jego twarzy było istotnie coś drapieżnego.

Lecz tymczasem służba klasztorna powydobywała z wiklinowych koszów wino i przysmaki, a z czeladnej dziewczki służebne poczęły wnosić misy pełne dymiącej jajecznicy, a okolone kielbasami, od których rozszedł się po całej izbie mocny a smakowity zapach wieprzowego tłuszczu. Na ten widok wezbrała we wszystkich ochota do jedzenia – i ruszono ku stolom.

Nikt jednak nie zajmował miejsca przed księżną, ona zaś, siadłszy w pośrodku, kazała Zbyszkowi i Danusi usiąść naprzeciw przy sobie, a potem rzekła do Zbyszka:

– Słuszna, abyście jedli z jednej misy z Danusią, ale nie przystępuj jej nóg pod ławą ani też trącaj ją kolany, jak czynią inni rycerze, bo zbyt młoda.

Na to on odrzekł:

– Nie uczynię ja tego, miłościwa pani. chyba za dwa albo za trzy roki, gdy mi Pan Jezus pozwoli ślub spełnić i gdy ta Jagódka dojrzeje: a co do nóg przystępowania, choćbym i chciał – nie mogę, boć one w powietrzu wiszą.

– Prawda – odpowiedziała księżna – ale miło wiedzieć, że przystojne masz obyczaje.

Po czym zapadło milczenie, gdyż wszyscy jeść poczęli. Zbyszko odkrawał co najtłustsze kawałki kielbasy i podawał je Danusi albo jej wprost do ust je wkładał, ona zaś rada, że jej tak strojny rycerz służy, jadła z wypchanymi policzkami, mrugając oczkami i uśmiechając się to do niego, to do księżnej.

Po wyprzątnięciu mis sładzy klasztorni poczęli nalewać wino słodkie i pachnące – mężom obficie, paniom po trochu, lecz rycerskość Zbyszkowa okazała się szczególnie wówczas, gdy wniesiono pełne garncówki przysłanych z klasztoru orzechów. Były tam laskowe i rzadkie podówczas, bo z daleka sprowadzane, włoskie, na które też rzucili się biesiadnicy z wielką ochotą, tak że po chwili w całej izbie słychać było tylko trzask skorup kruszonych w szczękach. Lecz na próżno by kto mniemał, że Zbyszko myślał tylko o sobie, albowiem wołał on pokazywać i księżnie, i Danusi swoją rycerską siłę i wstrzemięźliwość niż łapczywością na rzadkie przysmaki poniżyć się w ich oczach. Jakoż, nabierając co chwila pełną garść orzechów, czy to laskowych, czy włoskich, nie wkładał ich między zęby, jak czynili inni, ale zaciskał swe żelazne palce, kruszył je, a potem podawał Danusi wybrane spośród skorup ziarna. Wymyślił nawet dla niej i zabawę, albowiem po wybraniu ziarn zbliżał do ust pięść i wydmuchiwał nagle swym potężnym tchem skorupy aż pod pułap. Danusia śmiała się tak, że aż księżna z obawy, że się dziewczyna udławi, musiała mu nakazać, by tej zabawy zaniechał, widząc jednak uradowanie dziewczyny, spytała co, Danuśka? dobrze mieć swego rycerza?

– Oj! dobrze! – odpowiedziała dziewczyna.

A potem, wyciągnąwszy swój różowy paluszek, dotknęła nim białej jedwabnej jakiej Zbyszkowej i cofając go natychmiast, zapytała:

– A jutro też będzie mój?

– I jutro, i w niedzielę, i aż do śmierci – odparł Zbyszko. Wieczera przeciągnęła się, gdyż po orzechach podano słodkie placki pełne rodzynków. Niektórym z dworzan chciało się tańcować; inni chcieli słuchać śpiewania rybałtów lub Danusi; ale Danusi pod koniec poczęły się oczka kleić, a główka chwiać w obie strony; raz i drugi spojrzęła jeszcze na księżną, potem na Zbyszka, raz jeszcze przetarła piąstkami powieki – i zaraz potem, oparłszy się z wielką ufnością o ramię rycerzyka – usnęła.

– Śpi? – zapytała księżna. – Ot, masz swoją „damę”.

– Milsza mi ona we śnie niżeli inna w tańcu – odrzekł Zbyszko, siedząc prosto i nieruchomie, by dziewczyny nie zbudzić.

Ale jej nie zbudziło nawet granie i śpiewy rybałtów. Inni też przytupywali muzyce, inni brząkali do wtóru misami, lecz im gwar był większy, tym ona spała lepiej, z otwartymi jak rybka ustami.

Zbudziła się dopiero, gdy na odgłos piania kurów i dzwonów kościelnych wszyscy ruszyli się z ław, wołając:

– Na jutrznię! na jutrznię!

– Pójdziem piechotą, na chwałę Bogu – rzekła księżna. I wzięwszy za rękę rozbudzoną Danusię, wyszła pierwsza z gospody, a za nią wyspał się cały dwór.

Noc już zbieła. Na wschodzie nieba widać było leciuchną jasność, zieloną u góry, różową od spodu, a pod nią jakby wąską, złotą wstążeczkę, która rozszerzała się w oczach. Od zachodniej strony księżyc zdawał się cofać przed tą jasnością. Czynił się brzask coraz różowszy, jaśniejszy. Świat budził się mokry od obfitej rosy, radosny i wypoczęty.

– Bóg dał pogodę, ale upał będzie okrutny – mówili dworzanie książęcy.

– Nie szkodzi – uspokajał ich pan z Długolasu – wyśpimy się w opactwie, a do Krakowa przyjedziem pod wieczór.

– Pewnikiem znów na ucztę.

– Co dzień tam teraz ucztę, a po połogu i po gonitwach nastąpią jeszcze większe.

– Obaczym, jako się pokaże rycerz Danusin.

– Ej, dębowe to jakieś chłopcy!... Słyszeliście, co prawili o onej bitwie samoczwart?

– Może do naszego dworu przystaną, bo się jakoś między sobą naradzają.

A oni rzeczywiście się naradzali, gdyż starszy. Maćko, nie był zbyt rad z tego, co zaszło, idąc więc na końcu orszaku i przystając umyślnie, by swobodniej pogadać, mówił:

– Po prawdzie, nic ci po tym. Ja się tam jakoś do króla docisnę, choćby z tym oto dworem – i może coś dostaniem. Okrutnie by mnie się chciało jakowegoś zameczku alibo gródka... No, obaczym. Bogdaniec swoją drogą z zastawu wykupim, bo co ojce dzierzyli, to i nam dzierżyć. Ale skąd chłopów? Co opat osadził, to i na powrót weźmie – a ziemia bez chłopów tyle, co nic. Tedy miarkuj, co ci rzekę: ty sobie ślubuj, nie ślubuj, komu chcesz, a z panem z Melsztyna idź do księcia Witolda na Tatary. Jeśli wyprawę przed położeniem królowej otrąbią, tedy na zlegnięcie ani na gonitwy rycerskie nie czekaj, jeno idź, bo tam może być korzyść. Książę Witold wiesz, jako jest hojny – a ciebie już zna. Sprawisz się, to obficie nagrodi. A nade wszystko, zdarzy-li Bóg – niewolnika możesz nabrać bez miary. Tatarów jak mrowia na świecie. W razie zwycięstwa przypadnie i kopa na jednego.

Tu Maćko, który był chciwy na ziemię i robociznę, począł marzyć:

– Boga mi! Przygnać tak z pięćdziesiąt chłopów i osadzić na Bogdańcu! Przetrzebiłoby się puszczy szmat. Uroslibyśmy oba. A ty wiesz, że nigdzie tylu nie nabierzesz, ilu tam można nabrać!

Lecz Zbyszko począł głową kręcić.

– O wa! koniuchów natroczę, końskim padłem żyjących, roli niezwykajnych! Co po nich w Bogdańcu?... A przy tym ja trzy niemieckie grzebienie ślubowałem. Gdzieże je znajdę między Tatary?

– Ślubowałeś, boś głupi, ale takie to tam i śluby.

– A moja rycerska cześć? jakże?

– A jak było z Ryngałą?

– Ryngała księcia otruła – i pustelnik mnie rozwiązał.

– To cię w Tyńcu opat rozwiąże. Lepszy opat od pustelnika, jen to więcej zbójem niżli zakonnikiem patrzył.

– A nie chcę.

Maćko zatrzymał się i zapytał z widocznym gniewem:

– No, to jakoże będzie?

– Jedźcie sobie sami do Witolda, boja nie pojedę.

– Ty knechcie! A kto się królowi pokłoni?... i nie żal ci to moich kości?

– Na wasze kości drzewo się zwali, jeszcze ich nie połamie. a choćby mi też było was żal – nie chcę do Witolda.

– Coże będziesz robił? Sokolnikiem czyli też rybałem przy dworze mazowieckim zostaniesz?

– Albo to sokolnik co złego? Skoro wolicie mruć niż mnie słuchać, to mrućcie.

– Gdzie pojedziesz? Za nic ci Bogdaniec? Pazurami będziesz w nim orał? bez chłopów?

– Nieprawda! Chwackoście wymądrowali z Tatarami. Zabaczyliście, co prawili Rusini, że Tatarów tyle najdziesz, ile ich pobitych na polu leży, a niewolnika nikt nie ułapi, bo Tatara we stepie nie zgoni. Na czymże go będę gonił? Na onych ciężkich ogierach, któreśmy na Niemcach wzięli? Widzicie no! A co za łup wezmę? Parszywe kozuchy i nic więcej. O, to dopiero bogaczem do Bogdańca zjadę! to dopiero mnie komesem nazowię!

Maćko umilkł, albowiem w słowach Zbyszkowych wiele było słuszności, i dopiero po chwili rzekł:

– Aleby cię książę Witold nagroził.

– Ba, wiecie: jednemu da on za dużo, drugiemu nic.

– To gadaj, gdzie pojedziesz.



– Do Juranda ze Spychowa.

Maćko przekręcił ze złości pas na skórzanym kaftanie i rzekł:

– Bodajże olsnął!

– Posłuchajcie – odpowiedział spokojnie Zbyszko. – Gadałem z Mikołajem z Długolasu i ten prawi, że Jurand pomsty na Niemcach za żonę szuka. Pójdę, pomogę mu. Po pierwsze, samiście rzekli, że niecudnie mi już z Niemcami się potykać, bo i ich, i sposoby na nich znamy. Po drugie, prędzej ja tam nad granicą one pawie czuby dostanę, a po trzecie, to wiecie, że pawi grzebień nie lada knecht na łbie nosi, wiec jeśli Pan Jezus przysporzy grzebieni, to przysporzy i łupu. W końcu: niewolnik tamtejszy to nie Tatar. Takiego w boru osadzić – nie żal się Boże.

– Cóżes ty, chłopie, rozum stracił? przecie nie ma teraz wojny i Bóg wie, kiedy będzie!

– O moiście wy! Zawarły niedźwiedzie pokój z bartnikami i barci nie psowają ni miodu nie jedzą! Ha! ha! A czy to nowina wam, że choć wielkie wojska nie wojują i choć król z mistrzem pod pergaminem pieczęcie położą, na granicy zawsze mat okrutny? Zajmą-li sobie bydło, trzody, to się za jeden krowi łeb po kilka wsiów pali i zamki oblegają. A porywanie chłopów i dziewczek? a kupców na gościńcach? Wspomnijcie czasy dawniejsze, o których samiście mi rozpowiadali. Żle to było onemu Nałęczowi, który czterdziestu rycerzy do Krzyżaków jadących chwycił, w podziemi osadził i poty nie puścił, póki mu pełnego wożą grzywien mistrz nie przysłał? Jurand ze Spychowa też nic innego nie czyni i nad granicą zawsze gotowa robota.

Przez chwilę szli w milczeniu, tymczasem rozwidniło się zupełnie i jasne promienie słońca rozświeciły skały, na których pobudowane było opactwo.

– Bóg wszędzie może poszczęścić – rzekł wreszcie udobruchanym głosem Maćko – proś, żeby ci błogosławił.

– Pewno, że wszystko Jego łaska!

– I myśl o Bogdańcu, bo w tym mnie nie przekonasz, że ty dla Bogdańca, nie dla tego kaczego kłapaka do Juranda ze Spychowa chcesz jechać.

– Nie powiadajcie tak, bo się rozgniewam. Rad ją widzę i tego się nie zapieram; inne też to niż dla Ryngały ślubowanie. Spotkaliście urodziwszą?

– Co mi ta jej uroda! Wolej weź ją, jak dorośnie, jeśli możnego komesa córka.

A Zbyszkowi rozjaśniła się twarz młodym, dobrym uśmiechem.

– Może i to być. Ni innej pani, ni innej żony! Jak wam kości sparcieją, będziecie wy jeszcze wnuki po mnie i po niej piastowali.

Na to uśmiechnął się z kolei Maćko i odrzekł całkiem już udobruchany:

– Grady! Grady! a niechże ich będzie jako gradu. Na starość radość, a po śmierci zbawienie. To nam, Jezu, daj!

### ROZDZIAŁ III

Księżna Danuta, Maćko i Zbyszko bywali już poprzednio w Tyńcu, ale w orszaku byli dworzanie, którzy widzieli go po raz pierwszy – i ci podnosząc oczy, patrzyli ze zdumieniem na wspaniałe opactwo, na zębate mury biegnące wzdłuż skał nad urwiskami, na gmachy stojące to na zboczach góry, to wewnątrz blanków, spiętrzone, wyniosłe i jaśniejące złotem od wschodzącego słońca. Z tych okazałych murów i gmachów, z domów, z budowli przeznaczonych na rozliczne użytki, z ogrodów leżących u stóp góry i ze starannie uprawnych pól, które wzrok z wysoka ogarniał, można było na pierwszy rzut oka poznać bogactwo odwieczne, nieprzebrane, do którego nie przywykli i którym zdumiewać się musieli ludzie z ubogiego Mazowsza. Istniały wprawdzie starożytne a może opactwa benedyktyńskie i w innych częściach kraju, jak na przykład w Lubuszu nad Odrą, w Płocku, w Wielkopolsce w Mogilnie i w innych miejscach, żadne wszelako nie mogło porównać się z tynieckim, którego posiadłości przewyższały niejedno księstwo udzielne, a dochody mogły budzić zazdrość nawet ówczesnych królów.

Między dworzany rósł więc podziw, a niektórzy oczom prawie nie chcieli wierzyć. Tymczasem księżna, chcąc sobie drogę skrócić i zaciekawic panny przyboczne, poczęła prosić jednego z zakonników, by opowiedział starodawną a straszną powieść o Walgierzu Wdałym, którą opowiadano jej już, chociaż niezbyt dokładnie, w Krakowie.

Usłyszawszy to, panny zbiły się ciasnym stadkiem koło pani i szły z wolna pod górę, we wczesnych promieniach słońca do idących kwiatów podobne.

– Niech o Walgierzu prawi brat Hidulf, któremu on się pewnej nocy ukazał – rzekł jeden z zakonników, spoglądając na drugiego, człowieka sędziwych już lat, który w pochylonej nieco postawie szedł obok Mikołaja z Długolasu.

– Zali widzieliście go własnymi oczyma, pobożny ojcze? – spytała księżna.

– Widziałem – odpowiedział posepnie zakonnik – albowiem zdarzają się takowe terminy, w których z woli Bożej wolno mu jest opuszczać piekielne podziemia i ukazywać się światu.

– Kiedyż to bywa?

Zakonnik spojrział na dwóch innych i zamilkł, albowiem istniało podanie, że duch Walgierza pojawia się wówczas, gdy w zakonie psują się obyczaje i gdy zakonnicy więcej, niż wypada, o światowych dostatkach i uciechach myślą.

Tego właśnie żaden nie chciał głośno wyznać, że jednak mówiono także, iż widmo przepowiada również wojnę lub inne nieszczęścia, przeto brat Hidulf po chwili milczenia rzekł:

– Ukazanie się jego nie wróży nic dobrego.

– Nie chciałabym też go widzieć – rzekła, zegnając się, księżna – ale czemu to on jest w piekle, skoro, jako słyszałam, tylko za ciężką własną krzywdę się pomścił?

– Choćby też i całe życie był cnotliwy – odparł surowo zakonnik – byłby i tak potępion, albowiem żył za pogańskich czasów i chrztem świętym nie został z pierwotnego grzechu obmyty.

Po tych słowach brwi księżnej ściągnęły się boleśnie, przyszło jej bowiem na myśl, że jej wielki ojciec, którego miłowała całą duszą, zmarł także w błędach pogańskich – i miał gorzeć przez całą wieczność.

– Słuchamy – rzekła po chwili milczenia.

A brat Hidulf począł opowiadać:

– Był za czasów pogańskich grabia możny, którego dla wielkiej urody zwano Walgierzem Wdałym. Cały ten kraj, jako okiem sięgnąć, należał do niego, a na wyprawy prócz pieszego ludu wodził po stu kopijników. wszyscy bowiem włodcy, na zachód aż po Opole, a na wschód po Sandomierz, wasalami jego byli. Trzód jego nie mógł nikt zliczyć, a w Tyńcu miał wieżę całą nasypaną pieniędzmi, jako teraz mają w Malborgu Krzyżacy.

– Wiem, mają! – przerwała księżna Danuta.

– I był jako wielkolud – ciągnął dalej zakonnik – i dęby z korzeniami wyrywał, a w piękności, w graniu na lutni i w śpiewaniu nikt w całym świecie sprostać mu nie mógł. A raz, gdy był na dworze króla francuskiego, rozmiłowała się w nim królowna Helgunda, którą ojciec na chwałę Bogu do zakonu chciał oddać, i uciekła z nim do Tyńca, gdzie w sprośności oboje żyli, gdy żaden ksiądz ślubu chrześcijańskiego dać im nie chciał. Był zaś w Wiślicy Wisław Piękny z rodu króla Popiela. Jen podczas niebyomości Walgierza Wdałego grabstwo tynieckie pustoszył. Tego pokonał Walgierz i do Tyńca do niewoli przywiódł, nie bacząc, że która niewiasta ujrzała Wisława, gotowa była zaraz ojca,

matki i męża odstąpić, byle swe żądze nasycić. Tak stało się i z Helgunda. Zaraz ona takowe więzy na Walgierza wymyśliła, że on wielkolud, choć dęby wyrywał, przerwać ich nie mógł – i Wisławowi go oddała, który do Wiślicy go powiózł. Lecz Rynga, siostra Wisława, usłyszawszy w podziemiu śpiewanie Walgierzowe, wnet rozmiłowana, uwolniła go z podziemia – a ów Wisława i Helgundę mieczem posiekłszy, ciała ich krukowi zostawił, a sam z Ryngą do Tyńca powrócił.

– Zali niesłusznie uczynił? – spytała księżna. A brat Hidulf rzekł:

– Gdyby był chrzest przyjął i Tyniec benedyktynom oddał, może by mu Bóg grzechy odpuścił, ale ze tego nie uczynił, przeto go ziemia pożarła.

– A to benedyktyni byli już w tym Królestwie?

– Benedyktynów w tym Królestwie nie było, albowiem sami tu wówczas żyli poganie.

– To jakże mógł chrzest przyjąć albo Tyniec oddać?

– Nie mógł – i właśnie dlatego skazan jest do piekła na męki wiekuiste – odrzekł z powagą zakonnik.

– Pewnie! słusznie mówi! – ozwało się kilka głosów. Lecz tymczasem zbliżyli się do głównej bramy klasztornej, w której czekał na księżnę opat na czele licznego orszaku zakonników i szlachty. Ludzi świeckich: „ekonomów”, „adwokatów”, „prokuratorów” i rozmaitych urzędników zakonnych, zawsze bywało w klasztorze sporo. Wielu też ziemian, możliwych nawet rycerzy, trzymało nieprzeliczone ziemie klasztorne dość wyjątkowym w Polsce prawem lennym – i ci, jako „wasale”, radzi przebywali na dworze „suzerena”, gdzie przy wielkim ołtarzu łatwo było o darowizny, ulgi i wszelkiego rodzaju dobrodziejstwa, zależne nieraz od drobnej usługi, od zręcznego słowa lub od chwili dobrego humoru potężnego opata. Przygotowujące się uroczystości w stolicy ściągnęły też wielu takich wasalów z odległych stron, ci zaś, którym trudno było z powodu natłoku znaleźć gospodę w Krakowie, mieścili się w Tyńcu. Z tych powodów *abbas centum villarum* mógł powitać księżnę w liczniejszym jeszcze niż zwyczajnie orszaku.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, z twarzą suchą, rozumną, z głową wygoloną na wierzchu, niżej zaś, nad uszami, otoczoną wieńcem siwiejących włosów. Na czole miał bliznę po ranie, widocznie za młodych rycerskich czasów otrzymanej, oczy przenikliwe, wyniosłe spod czarnych brwi patrzące. Ubrany był w habit jak inni mnisi, ale na wierzchu miał czarny płaszcz podbity purpurą, na szyi zaś złoty łańcuch, na którego końcu zwieszał się również złoty, drogimi kamieniami

sadzony krzyż – godło opackiej godności. Cała jego postawa zdradzała człowieka dumnego, przywykłego do rozkazywania i ufego w siebie.

Witał jednak księżnę uprzejmie, a nawet uniżenie, pamiętał bowiem, że mąż jej pochodził z tego samego rodu książąt mazowieckich, z którego pochodzili królowie Władysław i Kazimierz, a po kądzieli i obecnie panująca królowa, władczyni jednego z największych państw w świecie. Przesąpił więc próg bramy, skłonił nisko głowę, a następnie, przeżegnawszy Annę Danutę i cały dwór małą złotą puszką, którą trzymał w palcach prawej ręki, rzekł:

– Witaj, miłościwa pani, w ubogich progach zakonnych. Niechaj święty Benedykt z Nursji, święty Maurus, święty Bonifacy i święty Benedykt z Aniane, a także i Jan z Tolomei – patronowie nasi w światłości wiekuistej żyjący, obdarzą cię zdrowiem, szczęściem i niechaj błogosławią cię po siedem razy dziennie, przez wszystkie czas żywota twego!

– Chybaby głusi byli, gdyby nie mieli wysłuchać słów tak wielkiego opata – rzekła uprzejmie księżna – tym bardziej że my tu na mszę przybyli, podczas której ich opiece się oddamy.

To rzekłszy, wyciągnęła ku niemu rękę, którą on, przyklękawszy dwornie na jedno kolano, ucałował po rycersku, a następnie przeszli razem bramę. Ze mszą czekano już widocznie, gdyż w tej chwili ozwały się dzwony i dzwonki, trębacze zadęli przy drzwiach kościelnych na cześć księżny w donośne trąby, inni uderzyli w ogromne kotły, wykute z miedzi czerwonej i obciążone skórą, dającą huczny rozgłos. Na księżnę, która nie urodziła się w kraju chrześcijańskim, każdy kościół silne dotychczas czynił wrażenie, ów zaś. tyniecki, sprawiał tym większe, że pod względem wspaniałości mało innych mogło się z nim porównać. Mrok nappełniał głębię świątyni, tylko przy wielkim ołtarzu drgały pasemka światła rozmaitych, pomieszane z blaskiem świec rozjaśniających złocenia i rzeźby. Zakonnik przybrany w ornat wyszedł ze mszą, skłonił się księżnie – i rozpoczął ofiarę. Wnet wzniosły się dymy wonne a obfite, które przesłoniwszy księdza i ołtarz, szły w spokojnych kłębach ku górze, powiększając tajemniczą uroczystość kościoła. Anna Danuta pochyliła w tył głowę i rozłożywszy ręce na wysokości twarzy, poczęła się modlić żarliwie. Lecz gdy ozwały się rzadkie jeszcze wówczas po kościołach organy i poczęły to potrząsać całą nawą grzmotem wspaniałym, to wypełniać ją anielskimi głosami, to zasypywać jakoby pieśnią słowiczą, wówczas oczy księżny wzniosły się do góry, na twarzy jej obok pobożności i lęku odmalowała się rozkosz bez granic – i

patrzącemu na nią zdawać się mogło, że to jakowaś Błogosławiona, która w cudownym widzeniu ogląda niebo otwarte.

Tak to modliła się urodzona w pogaństwie córka Kiejstuta, która choć w życiu codziennym równie jak i wszyscy ludzie tych czasów po przyjacielsku i poufale wspominała imię Boże, jednakże w domu Pana z dziecinną bojaźnią i pokorą wznosiła oczy ku tajemniczej i niezmiernie potężnej.

A tak samo pobożnie, choć z mniejszym lękiem, modlił się cały dwór. Zbyszko klęczał przed stallami wśród Mazurów, bo tylko dwórki weszły z księżną za stalle, i polecał się opiece boskiej. Chwilami spoglądał na Danusię, która siedziała z przymkniętymi oczyma koło księżny – i myślał, że warto było wprawdzie zostać rycerzem takiej dziewczki, ale że też nie lada rzecz jej obiecał. Więc teraz, gdy piwo i wino, które w gospodzie wypił, wywietrzało mu z głowy, zatroskał się niemało, jakim sposobem ją wypełni. Wojny nie było. Wśród nadgranicznego mętu łatwo było wprawdzie natknąć się na jakiego zbrojnego Niemca i albo jemu kości pokoładać, albo samemu głową nałożyć. Tak to on i mówił Maćkowi. „Jeno – myślał – nie byle Niemiec nosi pawi lub strusi czub na hełmie”. Z gości krzyżackich chyba jacy grafowie, a z samych Krzyżaków chyba komtur – i to nie każdy. Jeśli wojny nie będzie, to lata mogą upłynąć, nim on swoje trzy grzebienie dostanie, bo i to jeszcze przyszło mu do głowy, że nie będąc dotąd pasowany, może tylko niepasowanych na pojedynek w bój wyzywać. Spodziewał się wprawdzie, że pas rycerski otrzyma z rąk królewskich w czasie gonitw, które zapowiadano na chrzciny, bo na to dawno zarobił, ale potem co? Pojedzie do Juranda ze Spychowa, będzie mu pomagał, natłucze knechtów, ile się da – i na tym koniec. Knechci krzyżacy to nie rycerze z pawimi piórami na głowach.

Więc w tym utrapieniu i niepewności, widząc, że bez szczególnej łaski Bożej niewiele wskórać potrafi, począł się modlić:

Daj, Jezu, wojnę z Krzyżaki i z Niemcami, którzy są nieprzyjaciółmi Królestwa tego i wszystkich narodów w naszej mowie Imię Twoje Święte wyznawających. I nam błogosław, a ich zetrzyj, którzy radziej staroście piekielnemu niżeli Tobie służąc, przeciwko nam zawziętość w sercu noszą, najbardziej o to gniewni, że król nasz z królową Litwę ochrzciwszy, wzbraniają im mieczem chrześcijańskich sług Twoich ścinać. Za którego gniew ich ukarż.

A ja, grzeszny Zbyszko, kajam się przed Tobą i od pięci ran Twoich wspomnienia błagam, abyś mi trzech znacznych Niemców z pawi-

mi czuby na hełmach jako najprędzej zesłał i w miłosierdziu swoim pobić mi ich do śmierci pozwolił. Ale to z takowej przyczyny, iżem ja one czuby pannie Danucie, Juranda córce a Twojej służce, obiecał i na moją rycerską cześć poprzysiągł.

Co zaś więcej przy pobitych się znajdzie, z tego ja dziesięcinę wiernie kościołowi Twemu świętemu oddam, abyś i Ty, słodki Jezu, pożytek i chwałę ze mnie odniósł i abyś poznał, żem Ci szczerym sercem, nie po próżnicy obiecowałem. A jako to jest prawda, tak mi dopomóż, amen!”

Lecz w miarę jak się modlił, topniało w nim coraz bardziej z pobożności serce – i nową obietnicę przyrzucił: że po wykupieniu z zastawu Bogdańca odda także na kościół wszystkie wosk, który pszczoły przez cały rok w barciach robią. Spodziewał się, że stryj Maćko temu się nie sprzeciwi, a Pan Jezus szczególnie będzie rad z wosku na świece – i chcąc go prędzej dostać, prędzej mu też pomoże. Ta myśl wydała mu się tak słuszną, iż radość napelniła mu całkiem duszę: był teraz prawie pewien, że zostanie wysłuchany i że wojna niebawem nastąpi, a choćby nie nastąpiła, to i tak on swego dokaże. Poczuł w rękach, w nogach moc tak wielką, że w tej chwili byłby sam jeden na całą chorągiew uderzył. Pomyślał nawet, że przyczyniwszy obietnic Bogu, można by i Danusi ze dwóch Niemców przyrzucić! Zapalczywość młodzieńcza popychała go do tego, lecz tym razem roztropność wzięła górę, albowiem bał się, by zbyt żądaniem cierpliwości boskiej się nie uprzykrzyć.

Jednakże ufność jego wzrosła jeszcze, gdy po mszy i po długim wypoczynku, na który udał się cały dwór, wysłuchał rozmowy, którą opat prowadził przy śniadaniu z Anną Danutą.

Ówczesne żony książąt i królów, zarówno przez pobożność, jak i wskutek wspaniałych darów, których nie szczędzili im mistrzowie Zakonu, wielką okazywały przyjaźń Krzyżakom. Nawet świętobliwa Jadwiga powstrzymywała, póki jej życia stało, wzniesioną nad nimi rękę swego władnego małżonka. Jedną tylko Anną Danutą, doznawszy od nich okrutnych krzywd rodzinnych, nienawidziła ich z całej duszy. To też, gdy opat zapytał ją o Mazowsze i jego sprawy, poczęła gorzko skarżyć się na Zakon: „Jakoż się ma dziać w księstwie mającym takich sąsiadów? Niby jest pokój; mijają się poselstwa i listy, a mimo tego nie można być pewnym dnia i godziny. Kto wieczorem na pograniczu układa się spać, nigdy nie wie, czyli nie rozbudzi się w pętach albo z ostrzem miecza na gardzieli, albo z płonącym pułapem nad głową. Nie



ubezpieczą od zdrady przysięgi, pieczęcie i pergaminy. Nie inaczej przecie zdarzyło się pod Złotoryją, gdy w czasach najgłębszego pokoju porwano księcia w niewolę. Prawili Krzyżacy, że zamek ów groźnym dla nich stać się może. Aleć zamki naprawia się dla obrony, nie dla napadu – i któryż książę nie ma prawa we własnej ziemi ich stawiać albo przebudowywać? Nieprzejedna Zakonu ni słaby, ni mocny, bo słabym gardzą, mocnego zaś do upadku przywieść usiłują. Kto im dobrze uczyni, temu się złem wyplacą. Jestże na świecie zakon, który by w innych królestwach takie dobrodziejstwa otrzymał, jakie oni od polskich książąt otrzymali – a jakże się wyplacili? Oto nienawiścią, oto grabieżą ziem, oto wojną i zdradą. I próżno wyrzekać, próżno samej Stolicy Apostolskiej się na nich skarżyć, gdyż oni w zatwardziałości i pysze żyjąc, nawet papieża rzymskiego nie słuchają. Przysłali niby teraz poselstwo na połów królowej i na spodziewane chrzciny, ale tylko dlatego, że chcą od siebie gniew potężnego króla za to, co uczynili na Litwie, odwrócić. W sercach zawsze jednak myślą o zagładzie Królestwa i całego plemienia polskiego”

Opat słuchał uważnie i potakiwał głową, a potem rzekł:

– Wiem, iż przyjechał do Krakowa na czele poselstwa komtur Lichtenstein, brat w Zakonie, dla znakomitego rodu, męstwa i rozumu wielce szanowany. Może go tu niebawem, miłościwa pani, ujrzycie, albowiem przysłał mi wczoraj wiadomość, że chcąc się przy naszych relikwiach pomodlić, zjedzie do Tyńca w odwiedziny.

Usłyszawszy to, księżna poczęła nowe żale rozvodzić:

– Prawią ludzie – i bogdaj słusznie, że wkrótce musi wielka wojna nastąpić, w której po jednej stronie będzie Królestwo Polskie i wszystkie narody mówiące podobną do polskiej mową, a z drugiej wszyscy Niemcowie i zakon. Jest podobno o tej wojnie proroctwo jakowej ś świętej...

– Brygidy – przerwał uczony opat – osiem років temu została ona w poczet świętych zaliczona. Pobożny Piotr z Alwastra i Maciej z Linkoping spisali jej objawienia, w których wielka wojna istotnie jest przepowiedziana.

Zbyszko aż zadrzał z radości na te słowa i nie mogąc wytrzymać, zapytał:

– A prędko ma być?

Lecz opat, zajęty księżną, nie dosłyszał, a może udał, że nie dosłyszał pytania.

Księżna zaś mówiła dalej:

– Cieszą się i u nas młodzi rycerze na oną wojnę, ale starsi i poważniejsi tak mówią: „Nie Niemców – mówią – się boim, choć wielka jest ich potęga i pycha, nie ich kopii i mieczów, ale – prawią – relikwii krzyżackich się boim, bo przeciw tym na nic wszelka moc ludzka”.

Tu Anna Danuta spojrzała z przestachem na opata i dodała cichszym głosem:

– Podobno prawdziwe drzewo Krzyża Świętego mają: jakże z nimi wojować?

– Przysłał im je król francuski – odrzekł opat. Nastąpiła chwila milczenia – po czym zabrał głos Mikołaj z Długolasu, zwany Obuchem, człowiek bywały i doświadczony.

– Byłem w niewoli u Krzyżaków – rzekł – i widywałem procesje, na których ową wielką świętość noszono. Ale oprócz tego jest w klasztorze w Oliwie siła innych najprzedniejszych relikwii, bez których nie byłby Zakon do takiej potęgi doszedł.

Na to powyciągali benedyktyni głowy ku mówiącemu i z wielkim zaciekawieniem poczęli pytać:

– Powiadajcie, co jest?

– Jest krajka z szaty Najświętszej Panny – odrzekł dziedzic z Długolasu – jest trzonowy ząb Marii Magdaleny i główienki z krza ognistego, w którym się sam Bóg Ojciec Mojżeszowi pokazał, jest ręka świętego Liberiusza, a co kości innych świętych, tych bym na palcach u rąk i nóg nie zliczył...

– Jakoże z nimi wojować? – powtórzyła z westchnieniem księżna.

A opat zmarszczył swe wyniosłe czoło i zastanowiwszy się przez chwilę, tak odrzekł:

– Ciężko z nimi wojować choćby i dlatego, że są zakonnikami i krzyż na płaszczach noszą; ale jeśli przebrali miarę w grzechach, tedy i tym relikwiom może mieszkanie między nimi obrzydnąć, a naonczas nie tylko one mocy im nie dadzą, ale im ją odejmą, dlatego żeby między pobożniejsze ręce się dostać. Niech Bóg oszczędzi krwi chrześcijańskiej, ale jeśli wielka wojna nastąpi, są też i w naszym Królestwie relikwie, które za nas będą wojować. Głos zasię w objawieniu świętej Brygidy mówi:

„Postanowiłem ich pszczołami pożyteczności i utwierdziłem na brzegu ziem chrześcijańskich. Ale oto powstali przeciwko mnie. Bo nie dbają o dusze i nie litują się ciał tego ludu, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. I uczynili z niego niewolników, i nie uczą go przykazań Bożych, i odejmując mu Sakramenta święte na

większe jeszcze męki piekielne go skazują, niż gdyby był w pogaństwie pozostał. A wojny toczą ku rozpostarceniu swej chciwości. Dlatego przyjdzie czas, iż wyłamane będą ich zęby i będzie im ucięta ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje”. – Tak Bóg daj! – zawołał Zbyszko.

Inni rycerze i zakonnicy nabrali także wielkiej otuchy, słysząc słowa prorocstwa, opat zaś zwrócił się do księżny i rzekł:

– Dlatego miejcie ufność w Bogu, miłościwa pani, albowiem prędzej to ich dni niż wasze są policzone, a tymczasem przyjmijcie wdzięcznym sercem tę oto puszkę, w której palec od nogi świętego Ptolomeusza, jednego z naszych patronów, się znajduje.

Księżna wyciągnęła drżące ze szczęścia dłonie – i klękawszy, przyjęła puszkę, którą zaraz poczęła do ust przyciskać. Radość pani podzielali dworzanie i dworki, nikt bowiem nie wątpił, że z takiego podarku spłynie błogosławieństwo i pomyślność na wszystkich, a może i na całe księstwo. Zbyszko czuł się także szczęśliwym, gdyż zdało mu się, że wojna powinna zaraz po uroczystościach krakowskich nastąpić.

## ROZDZIAŁ IV

Było już dobrze z południa, gdy księżna wraz z orszakiem wyruszyła z gościnnego Tyńca do Krakowa. Częstoć ówcześni rycerze, wjeżdżając do większych miast lub do zamków w odwiedziny do znakomitych osób, przywdziewali na się pełny rynsztunek bojowy. Był wprawdzie zwyczaj zdejmować go zaraz po przebyciu bram, do czego w zamkach zwywał sam gospodarz uświęconymi słowy: „Zdejmcie zbroję, szlachetny panie, albowiem przybyliście do przyjaciół” – niemniej jednak wjazd „wojenny” uważał się za okazalszy i podnosił znaczenie rycerza. Gwoli tej to okazałości tak Maćko, jak i Zbyszko przybrali się w wyborne pancerze i w naramienniki zdobyte na rycerzach fryzyjskich – jasne, błyszczące i po brzegach wpuszczoną nicią złotą ozdobne. Mikołaj z Długolasu, który dużo świata i wielu rycerzy w życiu widział, a był rzeczy wojennych znawcą nie małym, poznał zaraz, iż są to zbroje kowane przez mediolańskich, najstynniejszych w świecie płatnerzy, takie, na jakie najbogatsi tylko rycerze wspomóc się mogą i z których każda za dobrą majątność starczy. Wnioskował z tego, że owi Fryzowie musieli być znakomitymi ludźmi w swoim narodzie, i z tym większym szacunkiem począł spoglądać na Maćka i Zbyszka. Lecz hełmy ich, lubo także niepoślednie, nie były tak bogate, natomiast olbrzymie ogiery, pięknie pokryte, wzbudziły między dworzanami podziw i zazdrość. I Maćko, i Zbyszko, siedząc na niezmiernie wysokich kulbakach, spoglądali z góry na cały dwór. Każdy z nich dzierżył w ręku długą kopię, każdy miał miecz przy boku i topór u siodła. Tarcze oddali wprawdzie dla wygody na wozy, ale i bez nich obaj wyglądali tak, jakby ciągnęli na bitwę, nie do miasta.

Obaj też jechali w pobliżu kolaski, w której na tylnym siedzeniu siedziała księżna z Danusią, na przodku zaś stateczna dworka Ofka, wdowa po Krystynie z Jarząbkowa, i stary Mikołaj z Długolasu. Danusia spoglądała z wielkim zajęciem na żelaznych rycerzy, księżna zaś, dobywając od czasu do czasu z zanadru puszkę z relikwiami świętego Ptolomeusza, podnosiła ją do ust.

– Ciekawam okrutnie, jak kości w środku wyglądają – rzekła wreszcie – ale sama nie otworzę, aby Świętego nie urazić. Niech otworzy biskup w Krakowie.

Na co ostrożny Mikołaj z Długolasu odrzekł:

– Ej, lepiej tego z rąk nie popuszczać, zbyt to łakoma rzecz.

– Może i słusznie mówicie – rzekła po chwili zastanowienia księżna, po czym dodała:

– Dawno mi nikt nie sprawił takiej uciechy jak ów zacny opat, i tym podarkiem, i tym, że strach mój przed krzyżackimi relikwiami uspokoił.

– Mądrze mówili i sprawiedliwie – ozwał się Maćko z Bogdańca. – Mieli oni i pod Wilnem rozmaite relikwie, a to tym bardziej że chcieli gości przekonać, iż z poganami wojna. No i co? Obaczyli nasi, że byle w garście splunąć, a od ucha toporem machnąć, to i hełm puszczał, i łeb puszczał. Święci pomagają – grzech by mówić inaczej – ale jeno sprawiedliwym, którzy wedle słuszności w imię Boże do bitwy idą. Tak też i myślę, miłościwa pani, że przyjdzie-li do wielkiej wojny, to chociażby wszystkie Niemcy pomagały Krzyżakom, zbijem ich na pował, bo większy jest nasz naród i Pan Jezus większą moc spuścił nam w kości. A co do relikwii – albo to u nas w klasztorze świętokrzyskim nie ma drzewa Krzyża Świętego?

– Prawda, jak mi jest Bóg miły – rzekła księżna. – Ale u nas ono w klasztorze zostanie, a oni swoje ze sobą w potrzebie wożą.

– Wszystko jedno! Dla mocy Bożej nie ma dalekości.

– Prawdaże to? powiadajcie, jak jest? – pytała księżna, zwracając się do mądrego Mikołaja z Długolasu, a on odrzekł:

– Temu i każdy biskup przyświadczy. Do Rzymu też daleko, a papież światem rządzi – coże dopiero Bóg!

Słowa te uspokoiły do reszty księżnę, więc zwróciła rozmowę na Tyniec i jego wspaniałości. Dziwiła Mazurów w ogóle nie tylko za-  
możność opactwa, ale i zamożność, a także piękność całego kraju, przez który teraz przejeżdżali. Naokół były wsie gęste, dostatnie, przy nich sady pełne drzew owocowych, gaje lipowe, bocianie gniazda na lipach, a niżej ule ze słomianymi nakrywkami. Wzdłuż gościńca z jednej i drugiej strony ciągnęły się łąny zbóż wszelkich. Wiatr chwilami pochylał zielonawe jeszcze morze kłosów, wśród którego gęsto jak gwiazdy na niebie migotały głowy modrych chabrów i jasnoczerwonych maków. Daleko, za łąnami czerniał gdzieniegdzie bór, gdzieniegdzie weseliły oczy dąbrowy i olszyńce, skąpane w blasku słonecznym,

gdzieniegdzie wilgotne łąki, pełne traw i czajek krążących nad mokradłami, i znów wzgórza obsiadłe przez chaty, znów łąny; widocznie ziemię tę zamieszkiwał lud rojny i pracowity, rozmiłowany w roli – i dokąd wzrok sięgnął, kraj wydawał się nie tylko mlekiem i miodem płynący, ale spokojny i szczęśliwy.

– Kazimierzowe to królewskie gospodarstwo – rzekła księżna – ale też żyć tu i nie umierać.

– I Pan Jezus się do takiej ziemi śmieje – odrzekł Mikołaj z Długolasu – i błogosławieństwo Boże jest nad nią; ale jakoż ma być inaczej, kiedy tu, gdy zaczną bić dzwony, to nie masz takowego kąta, do którego by odgłos nie doszedł! Wiadomo przecie, że złe duchy, znieść tego nie mogąc, muszą aż na granicę węgierską do głuchych borów uciekać.

– To mi i dziwno – ozwała się pani Ofka, wdowa po Krystynie z Jarząbkowa – że Walgierz Wdały, o którym zakonnicy prawili, może się w Tyńcu pokazywać, gdzie siedem razy na dzień dzwony biją.

Uwaga ta zakłopotała na chwilę Mikołaja, który też dopiero no pewnym namyśle odrzekł:

– Naprzód, wyroki boskie są niezbadane, a po wtóre, to sobie zauważcie, że on osobne pozwolenie za każdym razem otrzymuje.

– A nich ta będzie, jak chce, alem rada, że w klasztorze nie nocujemy. Umarłabym chyba ze strachu, gdyby mi się taki piekielny wielkolud pokazał.

– Hej! nie wiadomo, bo mówią, że okrutnie wdały.

– Choćby był i najurodziwszy, nie chcę ja pocałowania od takiego, któremu siarką z gęby bucha.

– A skąd wiecie, że zaraz chciałby was całować? Na te słowa księżna, a za nią pan Mikołaj i obaj rycerze z Bogdańca poczuli się śmiać. Śmiała się, nie rozumiejąc dlaczego, za przykładem innych, i Danusia – zaś Ofka z Jarząbkowa zwróciła zagniewaną twarz do Mikołaja z Długolasu i rzekła:

– Wolałabym jego niż was.

– Ej, nie wywołujcie wilka z lasu – odpowiedział wesoło Mazur – bo jędzon często i po gościńcu między Krakowem a Tyńcem się włóczy, a szczególnie pod wieczór; nuż was usłyszysz i nuż się wam w postaci wielkoluda ukáže!

– Na psa urok! – odrzekła Ofka.

Lecz w tej chwili Maćko z Bogdańca, który, siedząc na wyniosłym ogierze, dalej mógł widzieć niż ci, którzy siedzieli w kolasce, ściągnął lejce i rzekł:

– O, jak mi Bóg miły, a to co?  
– Co takiego?  
– Wielkolud jakowys zza wzgórza przed nami wyjeżdża.  
– A słowo stało się ciałem! – zawołała księżna. – Nie powiadajcie  
byle czego!

Lecz Zbyszko uniósł się na strzemionach i rzekł:

– Jako żywo – wielkolud, Walgierz, nikt inny! Na to woźnica osadził ze strachu konie i nie wypuszczając z rąk lejce, począł się żegnać, albowiem i on dojrzał już z kozła na przeciwległym wzgórzu olbrzymią postać jeźdźca.

Księżna podniosła się – i zaraz usiadła z twarzą zmienioną przez trwożę. Danusia pochowała głowę w fałdy sukni księżnej. Dworzanie, dwórki i rybałci, którzy jechali konno za kolasą, usłyszawszy złowrogie imię, poczęli skupiać się koło niej. Mężowie niby śmiali się jeszcze, ale w oczach mieli niepokój; panny pobladły, jeno Mikołaj z Długolasu, który z niejednego pieca chleb jadał – zachował pogodne oblicze i chcąc uspokoić księżnę, rzekł:

– Nie bójcie się, miłościwa pani. Toć słońce jeszcze nie zaszło, a choćby była i noc, święty Ptolomeusz da rady Walgierzowi.

Tymczasem nieznany jeździec, wjechawszy na podługowaty grzbiet wzgórza, zatrzymał konia i stanął nieruchomie. W promieniach zachodzącego słońca widać go było doskonale – i istotnie postać jego zdawała się przechodzić ogromem zwykłe ludzkie rozmiary. Przestrzeń między nim a orszakiem księżny nie wynosiła więcej nad trzysta kroków.

– Czego on stoi? – rzekł jeden z rybałtów

– Bo i my stoim – odpowiedział Maćko.

– Spogląda ku nam, jakby sobie kogo chciał wybrać – zauważył drugi rybałt – żebym wiedział, że człowiek, a nie złe, tobym ku niemu podjechał i lutnią go przez łeb zwalił.

Kobiety przestraszyły się już całkiem i poczęły się głośno modlić. Zbyszko zaś, chcąc się popisać odwagą wobec księżnej i Danusi, rzekł:

– A ja i tak pojedę. Co mi ta Walgierz! Na to Danusia poczęła wołać na wpół z płaczem: „Zbyszku! Zbyszku!”, lecz on ruszył koniem i jechał coraz prędzej, ufny, że choćby i prawdziwego Walgierza znalazł, to na wskrós go kopią przebodzie.

A Maćko, który miał wzrok bystry, rzekł:

– Wydaje się wielkoludem, bo na wzgórzu stoi. Chłopisko jakies duże, ale człek zwyczajny – nic innego. O wa! pojedę i ja, żeby do zwady między nim a Zbyszkiem nie dopuścić.

Zbyszko tymczasem, jadąc rysią, rozmyślał, czy od razu kopię nastawić, czy też wpierw z bliska obaczyć, jak wygląda ów stojący na wzgórzu człowiek. Postanowił jednak wpierw zobaczyć i zaraz przekonał się, że była to myśl lepsza, albowiem w miarę jak się zbliżał, nieznamy począł tracić w jego oczach swoje nadzwyczajne rozmiary. Mąż był ogromny i siedział na olbrzymim koniu, roślejszym jeszcze od Zbyszkowego ogiera – ale miary ludzkiej nie przechodził. Był nadto bez zbroi, w czapce aksamitnej na głowie, mającej kształt dzwona, i w białej płóciennej osłaniającej od kurzu opończy, spod której wyglądała zielona szata. Stojąc na wzgórzu, głowę miał wzniesioną i modlił się. Widocznie też zatrzymał konia dlatego, by skończyć wieczorne pacierze.

„Ej, co mi za Walgierz!” – pomyślał młody chłopak. Dojechał już tak blisko, że mógłby był dosięgnąć kopią nieznanego; ów zaś, widząc przed sobą wspaniale uzbrojonego rycerza, uśmiechnął się do niego życzliwie i rzekł:

- Pochwalony Jezus Chrystus!
- Na wieki wieków.
- Zali to nie dwór księżnej mazowieckiej tam w dole?
- Tak jest.
- To z Tyńca jedziecie?

Lecz na to nie było już odpowiedzi, albowiem Zbyszko zdumiał się tak, że nawet nie usłyszał zapytania. Przez chwilę stał jak skamieniały, oczom własnym nie wierząc, gdyż oto na ćwierć staj za nieznanym mężem ujrzał kilkunastu konnych żołnierzy, na czele których, ale znacznie naprzód, jechał rycerz przybrany cały w świecąą zbroję, w biały sukieny płaszcz z czarnym krzyżem i w stalowy hełm z przepysznym pawim czubem w grzebieniu.

- Krzyżak! – szepnął Zbyszko.

I na ten widok pomyślał, że modlitwy jego zostały wysłuchane, że Bóg w miłosierdziu swoim zsyła mu takiego Niemca, o jakiego w Tyńcu prosił, że trzeba z łaski boskiej korzystać, więc nie wahając się ani chwili – zanim to wszystko przemknęło mu przez głowę, zanim miał czas ochłonąć ze zdumienia, pochylił się w kulbace, złożył głowę w pół końskiego ucha i wydawszy rodowy okrzyk: „Grady! Grady!” – ruszył co koń wyskoczy na Krzyżaka.



A tamten zdumiał się także, gdyż wstrzymał konia i nie pochylając kopii sterczącej w górę od strzemienia, patrzył przed siebie jakby niepewny, czy w niego godzą.

– Pochyl kopię! – wrzeszczał Zbyszko, wbijając żelazne końce strzemion w boki końskie.

– Grady! Grady!

Przestrzeń dzieląca ich poczęła się zmniejszać. Krzyżak, widząc, że napad wymierzony jest naprawdę ku niemu, ściągnął konia, nadstawił broń i już, już kopia Zbyszkowa miała się roztrzaskać o jego piersi, gdy naraz jakaś potężna dłoń przyłamała ją Zbyszкови przy samym ręku jak zeszlą trzcinę, potem taż sama dłoń ściągnęła cugle jego konia z tak straszliwą siłą, aż rumak zarył się wszystkimi czterema nogami w ziemię i stanął jak wkopany.

– Szalony człecze, co czynisz? – ozwał się głęboki, groźny głos – w posła godzisz, króla znieważasz!

Zbyszko spojrział i poznał tegoż samego olbrzymiego męża, który poczytan za Walgierza przestraszył przed chwilą dworskie niewiasty księżny.

– Puszczaj na Niemca! Coś za jeden? – zawołał, chwytając za rękę jeść topora.

– Precz z toporem! – na miły Bóg! precz z toporem – mówię – bo z konia zwalę! – zawołał groźniej jeszcze nieznajomy. – Obraziłeś majestat króla i pod sąd pójdziesz.

Po czym zwrócił się ku ludziom, którzy jechali za Krzyżakiem, i krzyknął:

– Bywaj!

Ale tymczasem nadjechał Maćko z twarzą niespokojną i złowrogą. Rozumiał i on jasno, że Zbyszko postąpił jak szalony i że z tej sprawy zgubne dla niego mogą wyniknąć skutki, ale jednak gotów był do bitki. Cały orszak nieznanego rycerza i Krzyżaka wynosił zaledwie piętnastu ludzi, uzbrojonych po części w dzidy, po części w kusze – dwóch więc całkiem pokrytych rycerzy mogło się z nimi potykać nie bez nadziei zwycięstwa. Myślał też Maćko, że jeżeliby w następstwie miał im zagrozić sąd, to może i lepiej uniknąć go, przejechawszy przez tych ludzi, a potem pochować się gdzie, póki burza nie przemienie. Więc twarz skurczyła mu się zaraz jak paszcza wilka gotowego kąsać i wsparłszy konia między Zbyszka a nieznajomego męża, począł pytać, mając się jednocześnie miecza:

– Coście za jedni? Skąd wasze prawo?

– Prawo moje stąd – odparł nieznajomy – że król mi nad przepieczeństwem okolicy czuwać rozkazał, a zowią mnie Powąła z Taczewa.

Na te słowa Maćko i Zbyszko spojrzeli na rycerza, a następnie pochowali na wpół już wyciągniętą broń do pochw i pospuszczali głowy. Nie strach ich obleciał, ale pochylili czoła przed głośnym i dobrze sobie znanym nazwiskiem, albowiem Powąła z Taczewa, szlachcic znakomitego rodu i pan możny, posiadający liczne ziemie wedle Radomia, był zarazem jednym z najślawniejszych rycerzy w Królestwie. Rybałci opiewali go w pieśniach jako wzór honoru i męstwa, sławiąc jego imię na równi z imieniem Zawiszy z Garbowa i Farureja, i Skarbka z Góry, i Dobka z Oleśnicy, i Jaśka Naszana, i Mikołaja z Moskorzowa, i Zyn-drama z Maszkowic. W tej chwili przedstawiał on przy tym poniekąd osobę królewską, więc porwać się na niego znaczyło tyle, ile oddać głowę pod topór kata.

Maćko też, ochłonawszy, ozwał się pełnym poszanowania głosem:

– Cześć i pokłon wam, panie, waszej sławie i męstwu.

– Pokłon i wam, panie – odpowiedział Powąła – choć wołałbym nie w tak ciężkiej przygodzie uczynić z wami znajomość.

– Czemu to? – spytał Maćko.

A Powąła zwrócił się do Zbyszka:

– Cóżes ty, młodzieniaszku, najlepszego uczynił? Na publicznym gościńcu, pod bokiem królewskim porwałeś się na posła! Zali wiesz, co za to czeka?

– Porwał się na posła, bo młody i głupi, przeto o uczynek łatwiej mu niż o zastanowienie – rzekł Maćko. – Ale nie osądzicie go surowie, gdy całą sprawę rozpowiem.

– Nie ja go będę sądził. Moja rzecz jeno więzy mu nałożyć...

– Jakże to? – ozwał się Maćko, obrzucając znów ponurym wejrzeniem całą gromadę ludzi.

– Wedle królewskiego rozkazania. Po tych słowach zapadło milczenie.

– Szlachcic jest – rzekł wreszcie Maćko.

– To niech zaprzysięże na rycerską cześć, że stawi się na wszelki sąd.

– Poprzysięgnę na cześć! – zawołał Zbyszko.

– To dobrze. Jakoże was zowią? Maćko wymienił nazwisko i herb.

– Jeśliście z dworu księżny Januszowej, to proście jej, by się wsta-wiła za wami do króla.

– Nie z dworu jesteśmy. Z Litwy od księcia Witolda jedziem. Bogdajemy byli nijakiego dworu nie napotkali! Z tego to spotkania przyszło na chłopca nieszczęście.

I tu Maćko począł opowiadać, co się zdarzyło w gospodzie, więc mówił o spotkaniu dworu księżnej i o ślubowaniu Zbyszki, ale w końcu chwycił go nagły gniew na Zbyszka, przez którego nierozwagę popadli w tak ciężkie położenie, więc zwróciwszy się do niego, zawołał:

– A bodajęś ty był legł pod Wilnem! Cóżes ty sobie, warchlaku, myślał?

– Ba – rzekł Zbyszko – po ślubowaniu modliłem się do Pana Jezusa, by mi Niemców przysporzył – i dań mu obiecałem, więc gdym pawie pióra, a przy nich opończę z czarnym krzyżem ujrzał, zaraz jakowys głoś zawołał we mnie: „Bij w Niemca, bo to cud!” No – i skoczyłem – kto by był nie skoczył?

– Słuchajcie – przerwał Powął. – Nie życzę ja wam złego, bo to widzę jasno, że ów młodzianek więcej przez płochość przyrodzoną wiekowi niżli przez złość zawinił. Rad bym też zgoła na jego uczynek nie baczyć i pojechać sobie dalej, jakoby się nic nie stało. Ale mógłbym to tylko w takim razie uczynić, gdyby ów komtur obiecał, że się królowi nie poskarży. Proście go o to: może i jemu żal się uczyni wzrostka.

– Wolej pójdę pod sąd, niżlibym się miał Krzyżakowi pokłonić! – zawołał Zbyszko. – Nie przystoi to mojej czci szlacheckiej.

Na to Powął z Taczewa spojrział na niego surowo i rzekł:

– Źle czynisz. Lepiej od ciebie starsi wiedzą, co przystoi, a co nie przystoi czci rycerskiej. O mnie też ludzie słyszeli, a to ci powiadam, że gdybym taki uczynek popełnił, nie sromałbym się o darowanie winy prosić.

Zbyszko zawstydział się, ale rzuciwszy wokół oczyma, odrzekł:

– Tu ziemia równa, byle ją trochę udeptać. Niżli Niemca przeproszać, wolej bym się z nim potykał konną albo pieszą, na śmierć albo niewolę.

– Głupis! – przerwał Maćko. – Jakże to z posłem będziesz się potykał? Ni tobie z nim, ni jemu z takim chłystkiem!

Tu zwrócił się do Powąły:

– Wybaczcie, szlachetny panie. Do reszty rozwydrzyło mi się chłopisko przez wojnę, ale lepiej niech do Niemca nie gada, bo jeszcze by go zwymyślał. Ja będę gadał, ja będę prosił, a jeśliby po skończonym

posłowaniu chciał się ów komtur w ogrodzieńcu samowtór potykać, to i ja mu stanę.

– Wielkiego rodu to jest rycerz, który nie każdemu stanie – odrzekł Powąła.

– Jakże? Albo to ja pasa i ostróg nie noszę? Mnie choćby i księżę może stanąć.

– Prawda jest, ale mu o tym nie mówcie, chyba sam wspomniał, bo się boję, żeby się na was nie zawziął. No, niech was tam Bóg wspomaga.

– Pójdę za cię oczyma świecić – rzekł do Zbyszka Maćko – ale poczekaaj!

I to rzekłszy, zbliżył się do Krzyżaka, który zatrzymawszy się o kilka kroków, siedział nieruchomie na swym ogromnym Jak wielbłąd koniu, podobny do odlanego z żelaza posągu, i słuchał z największą obojętnością poprzedniej rozmowy. Maćko podczas długich lat wojny nauczył się nieco po niemiecku, więc począł teraz tłumaczyć komturowi w jego rodowitym języku, co się stało, składać winę na młody wiek i porywczy umysł chłopca, któremu wydawało się, że to sam Bóg zesłał mu rycerza z pawim czubem, a wreszcie prosić o darowanie Zbyszkowi winy.

A twarz komtura ani drgnęła. Sztywny i wyprostowany, z podniesioną głową, spoglądał na mówiącego Maćka swymi stalowymi oczyma tak obojętnie, a zarazem i pogardliwie, jakby spoglądał nie na rycerza i nawet nie na człowieka, ale na kołek w płocie. Włodyka z Bogdańca dostrzegł to i lubo słowa jego nie przestały być dworne, dusza poczęła się w nim widocznie burzyć; mówił z coraz większym przymusem, a na ogorzałych policzkach pokazały się mu rumieńce. Widocznym było, że wobec tej zimnej pychy walczył ze sobą, by nie zgrzytać zębami i nie wybuchnąć okropnie.

Powąła zaś spostrzegł to i mając dobre serce, postanowił mu przyjść w pomoc. I on szukając za młodych lat na dworach: węgierskim, rakuskim, burgundzkim i czeskim, różnych rycerskich przygód, które szeroko rozsławiły jego imię, wyuczył się był po niemiecku, więc teraz ozwał się w tym języku do Maćka głosem pojednawczym i umyślnie żartobliwym:

– Widzicie, panie, że szlachetny komtur mniema, że cała sprawa nawet i słowa jednego niewarta. Nie tylko w naszym Królestwie, ale i wszędzie wyrostkowie bywają niespełna rozumu, ale taki rycerz z dziećmi nie wojuje ni mieczem, ni prawem.

Na to Lichtenstein wydał swe płowe wąsy i nie rzekłszy ani słowa, ruszył koniem przed siebie, pomijając Maćka i Zbyszka.

A im gniew szalony począł podnosić włosy pod hełmami, a ręce drżały im ku mieczom.

– Czekał, krzyżacka mać – mówił przez zaciśnięte zęby starszy rycerz z Bogdańca – teraz ja ci będę ślubował i znajdę cię, byłeś posłować przestał.

Lecz Powąła, któremu serce poczęło również zapływać krwią, rzekł:

– To potem. Niech teraz księżna przemówi za wami, bo inaczej gorze chłopcu.

To rzekłszy, pojechał za Krzyżakiem, zatrzymał go i przez czas jakiś rozmawiali z ożywieniem. I Maćko, i Zbyszko zauważyli, że rycerz niemiecki nie spoglądał jednakże na Powałę z twarzą tak dumną jak na nich – a to ich do większej jeszcze złości przywiodło. Po chwili Powąła zawrócił ku nim i poczekawszy chwilę, by się Krzyżak oddalił, rzekł im:

– Mówiłem za wami, ale to nieużyty człek. Powiada, że tylko w takim razie się nie poskarży, jeśli uczynicie to, czego będzie chciał...

– Czego chce?

– Powiedział tak: „Ja zatrzymam się, by księżnę mazowiecką powitać; niech, prawi, nadjadą, niech zlązą z koni, niech zdejmą hełmy – i z ziemi, z gołymi głowami mnie proszą, wówczas odpowiem”.

Tu spojrział Powąła bystro na Zbyszka i dodał:

– Ciężko to ludziom szlachetnego rodu... rozumiem – ale muszę cię przestrzec, że jeśli tego nie uczynisz, kto wie, co cię czeka: może katowski miecz.

Twarze Maćka i Zbyszka uczyniły się jakby kamienne. Nastąpiło znów milczenie.

– No i co? – spytał Powąła.

A Zbyszko odrzekł spokojnie i z taką powagą, jakby mu przez tę jedną chwilę dwadzieścia lat przybyło:

– A cóż! Moc boska nad ludźmi!

– Jak to?

– Tak, że chociażbym miał dwie głowy i choćby mi kat obydwie miał uciąć – jedną mam cześć, której mi pohańbić nie wolno.

Na to spoważniał Powąła i zwróciwszy się do Maćka, spytał jeszcze:

– A wy co powiadacie?

– Ja powiadam – odrzekł posepnie Maćko – zem tego chłopa od małości wypiastrawał... Na nim też stoi nasz ród. bom stary – ale tego on uczynić nie może, choćby miał szczepnąć.

Tu sroga twarz poczęła mu drgać i nagle miłość do bratanka wybuchnęła w nim z taką siłą, że chwycił go w swoje okute żelazem ręce i począł wołać:

– Zbyszku! Zbyszku!

A młody rycerz aż zdziwił się i oddawszy stryjcowi uścisk, rzekł:

– Aj! Tom nie wiedział, że mnie tak miłujecie!...

– Widzę, żeście prawi rycerze – rzekł wzruszony Powąła – a skoro młody przysiągł mi na cześć, że się stawi, to go nie będę więził; takim jak wy ludziom można zaufać. Bądźcie też dobrej myśli. Niemiec w Tyńcu z dzionek zabawi, więc ja króla prędzej obaczę i tak mu sprawę opowiem, żeby go jak najmniej rozsierzdzić. Szczęście, zem zdążył kopię przyłamać – wielkie szczęście!

Lecz Zbyszko rzekł:

– Jeśli już koniecznie mam głowę dać, to niechbym miał przynajmniej tę uciechę, zem Krzyżakowi gnaty połamał.

– Ze też to swojej czci potrafisz bronić, a tego nie rozumiesz, że na cały nasz naród hańbę byś ściągnął! – odparł niecierpliwie Powąła.

– Rozumieć, to ja rozumiem – rzekł Zbyszko – ale dlatego mi i żal...

Powąła zaś zwrócił się do Maćka:

– Wiecie, panie, jeśli temu wyrostkowi uda się jakowym sposobem wykręcić, powinniście mu kaptur na głowę założyć, jako czynią sokołom. Inaczej nie skończy on własną śmiercią.

– Udałoby się mu wykręcić, gdybyście wy, panie, chcieli zataić przed królem to, co się przygodziło.

– A z Niemcem cóż uczynim? Języka mu przecież na węzeł nie zawiążę.

– Prawda! Prawda!...

Tak rozmawiając, ruszyli z powrotem ku dworowi księżny. Słudzy Powąły, którzy przedtem pomieszani byli z ludźmi Lichtensteina, jechali teraz za nimi. Z daleka widać było wśród mazowieckich czapek chwiejące się w powiewie pawie pióra Krzyżaka i jego jasny, świecący w słońcu hełm.

– Dziwna to jest natura krzyżacka – ozwał się jakby w zamyśleniu rycerz z Taczewa. – Gdy z Krzyżakiem źle, będzie ci wyrozumiały jak franciszkanin, pokorny jak jagnię i słodki jak miód – tak że lepszego na

świecie nie znajdzie. Ale niech jeno poczuje za sobą moc – nikt ci się więcej nie napuszy i u nikogo nie znajdziesz mniej zmiłowania. Widać Pan Jezus dał im krzemienie zamiast serc. Przypatrywałem ja się przez różnym narodom i nieraz widziałem, jako prawy rycerz oszczędzi drugiego, który jest słabszy, mówiąc sobie: „Nie przybędzie mi czci, skoro leżącego potrąję”. A Krzyżak wtedy właśnie najzawziętszy. Dzierżę go za łeb i nie puszczaj, bo inaczej gorze ci! Oto i ów poseł! – zaraz chciał nie tylko waszego przeproszenia, ale i waszej hańby. Ale rad jestem, że tego nie będzie.

– Niedoczekanie jego! – zawołał Zbyszko.

– Miarkujcie też, żeby frasunku po was nie poznał, bo zaraz by się ucieszył.

Po tych słowach dojechali do orszaku i połączyli się z dworem księżny. Poseł krzyżacki, ujrzawszy ich, przybrał natychmiast wyraz pychy i wzgardy, lecz oni zdawali się go wcale nie widzieć. Zbyszko stanął od strony Danusi i jął wesoło mówić jej, że ze wzgórza widać już dobrze Kraków, Maćko zaś opowiadał jednemu z rybałtów o nadzwyczajnej sile pana z Taczewa, który przyłamał kopię w rękę Zbyszka jak suchy badył.

– A po coże ją przyłomił! – spytał rybałt.

– Bo się chłopak do Niemca złożył, ale jeno dla śmiechu. Rybałtowi, który był szlachcic i człek obyty, nie wydał się taki żart zbyt przystojnym, ale widząc, że Maćko mówi o nim lekko, nie brał go także do serca. Tymczasem Niemca poczęło takie zachowanie się korcić. Raz i drugi spojrzął na Zbyszka, potem na Maćka: wreszcie zrozumiał, że z koni nie zsiądą i że umyślnie na niego nie zważają. Wówczas błysnęło mu coś w oczach jakby stalą – i zaraz począł się żegnać...

W chwili zaś gdy ruszył, pan z Taczewa nie mógł się powstrzymać i rzekł mu na rozstaniu:

– Jedźcie śmieje, mężny rycerzu. Kraj to spokojny i nikt na was nie napadnie, chyba jakowy dzieciak krotofilny...

– Choć dziwne są obyczaje w tym kraju, nie obrony, ale towarzystwa waszego szukałem – odparł Lichtenstein – jakoż tuszę, że się jeszcze spotkamy i na tutejszym dworze, i gdzie indziej...

W ostatnich słowach brzmiała jakby ukryta groźba, dlatego Powąła odrzekł poważnie:

– Bóg to da...

To powiedziawszy, skłonił się i odwrócił, po czym wzruszył ramionami i rzekł półgłosem, tak jednak, aby go najbliżsi słyszeli:

– Chuchraku! Zdjąłbym cię z kulbaki ostrzem kopii i przez trzy pacierze dzierzył w powietrzu!

I począł rozmawiać z księżną, którą znał dobrze. Anna Danuta pytała go, co robi na gościńcu, on zaś oznajmił jej, że jeździ z królewskiego rozkazaniam, by utrzymać bezpieczeństwo w okolicy, w której z powodu wielkiej liczby gości ściągających zewsząd do Krakowa łatwo jakowaś zwada zdarzyć się może. I na dowód przytoczył to, czego przed chwilą sam był świadkiem. Pomyślałszy jednak, że o orędownictwo księżny za Zbyszkiem dość będzie czasu prosić wówczas, gdy okaże się tego potrzeba, nie nadawał zająci zbytniego znaczenia, nie chcąc psuć wesołości. Jakoż księżna śmiała się nawet ze Zbyszka, że mu tak pilno było do pawich czubów – inni zaś, dowiedziawszy się o przyłamaniu kopii, podziwiali pana z Taczewa, że tak łatwo to jedną ręką uczynił...

On zaś chępliwym nieco będąc, cieszył się w sercu, że go sławia, i sam wreszcie począł opowiadać o swoich czynach, które głośnym uczyniły imię jego szczególnie w Burgundii, na dworze Filipa Śmiałego. Raz on tam w czasie turnieju chwycił, po skrzeszeniu kopii, pewnego rycerza ardeńskiego w pół, wywłókł go z kulbaki i wyrzucił na wysokość kopii w górę, chociaż Ardeńczyk cały był w żelazo zakuty. Filip Śmiały ofiarował mu za to złoty łańcuch, a księżna aksamitny trzewiczek, który on odtąd na hełmie nosi.

Słyszając to, wszyscy wpadli w wielkie zdumienie, z wyjątkiem Mikołaja z Długolasu, który rzekł:

– Nie ma już w dzisiejszych zniewieściałych czasach takich mężów, jacy bywali za mojej młodości, albo takich, o jakich ojciec mój mi opowiadał. Zdarzy się teraz szlachcicowi rozedrzeć pancerz, naciągnąć kuszę bez korby albo skrócić między palcami tasak żelazny, to się już mocarzem powiada i nad innych się wynosi. A drzewiej czyniły to i dziewczki.

– Nie przeciwię ja się temu, że dawniej byli ludzie tężsi – odpowiedział Powąła – ale znajdują się i dziś chłopcy krzepkie. Mnie Pan Jezus siły w kościach nie poskapił, wszelako nie powiadam się najmocniejszym w tym Królestwie. Widziałeś waść kiedy Zawiszę z Garbowa? Ten by mnie zmógł.

– Widziałem. Bary u niego tak szerokie jak wał od krakowskiego dzwonu.



– A Dobko z Oleśnicy? Raz on na turnieju, który Krzyżacy w Toruniu wyprawili, rozciągnął dwunastu rycerzy z wielką chwałą dla siebie i dla naszego narodu...

– Ale nasz Mazur Staszko Ciołek tęższy był, panie, i od was, i od Zawiszy, i od Dobka. Powiadali o nim, że wzięwszy w garść świeży kołek, sok z niego wyciskał.

– Sok ja też wycisnę! – zawołał Zbyszko.

I nim go kto poprosił o próbę, skoczył na brzeg drogi, uderzył sporą gałąź z drzewa, a następnie ścisnął ją za koniec w oczach księżny i Danusi tak silnie, że sok począł istotnie kapać kroplami na drogę.

– Aj, Jezu! – zawołała na ten widok Ofka z Jarząbkowa – nie chadzaj że na wojnę, bo szkoda by była, żeby taki zginął przed ożenkiem...

– Szkoda by! – powtórzył, zasepiwszy się nagle, Maćko. Lecz Mikołaj z Długolasu począł się śmiać, a z nim i księżna. Inni wszelako wychwalali w głos siłę Zbyszkową, że zaś w owych czasach żelazną rękę ceniono nad wszystkie inne przedmioty, więc panny wołały na Danuškę: „Raduj się!” – ona zaś rada była, chociaż nie rozumiała dobrze, co jej przyjść może z tego kawałka wyciśniętego drzewa. Zbyszko, zapomniawszy całkiem o Krzyżaku, spoglądał tak górnie, iż Mikołaj z Długolasu, pragnąc przywieść go do pomiarkowania, rzekł:

– Próżno byś puszył siłą, bo są lepsi od ciebie. Jam tego nie widział, ale ojciec mój był świadkiem czegoś lepszego, co przygodziło się na dworze Karola, cesarza rzymskiego. Pojechał do niego w odwiedzi-ny nasz król Kazimierz z wielu dworzany, między którymi był właśnie i ów słynny z mocy Staszko Ciołek, syn wojewody Andrzeja. Pocznie się tedy raz chełpić cesarz, że ma między swoimi ludźmi pewnego Czecha, który niedźwiedzia wpół obłapiwszy, na miejscu go udusi. Dopieroż wyprawili widowisko i Czech dwóch niedźwiedzi po kolei udusił. Bardzo się tym zafrasował nasz król, żeby ze wstydem nie odjechać, i rzeknie: „Ale mój Ciołek nie da mu się pohańbić”. Naznaczyli, że za trzy dni będą się zmagać. Nazjeżdżało się pań i rycerzy znacznych, a po trzech dniach chycili się Czech z Ciołkiem na zamkowym dworzyszczu; ale niedługo tego było, bo ledwie się objęli, przelomił Ciołek Czechowi krzyż, pokruszył wszystkie żebra i dopiero nieżywego, z wielką chwałą królewską, z rąk wypuścił. Tenże, przezwan od tej pory Łomignatem, raz dzwon wielki na wieżę sam jeden zaniósł, którego dwudziestu mieszczan z miejsca ruszyć nie mogło.

– A ile mu było roków? – pytał Zbyszko.

– Młody był!

Tymczasem Powąła z Taczewa, jadąc po prawej stronie przy księżnie, pochylił się wreszcie do jej ucha i powiedział całą prawdę o ważności przygody, a zarazem prosił ją, by go poparła, gdy się będzie wstawiał za Zbyszkiem, który ciężko może za swój postępek odpowiadać. Księżna, której się Zbyszko podobał, przyjęła tę wiadomość ze smutkiem i zaniepokoiła się bardzo.

– Biskup krakowski rad mnie widzi – rzekł Powąła – to może go uproszę i królowę też, ale im więcej będzie orędowników, tym będzie dla młodziaszka lepiej...

– Byle królowa za nim się ujęła, włos mu z głowy nie spadnie – rzekła Anna Danuta – bo król ją i za świętobliwość, i za wiano czci wielce, a szczególnie teraz, gdy zdjeta jest z niej hańba bezpłodności. Ale jest przecie w Krakowie umiłowana siostra królewska, księżna Ziemowitowa – do niej się udajcie. Ja też uczynię, co będę mogła, ale ona mu rodzona, a ja stryjeczna.

– Kocha król i was, miłościwa pani.

– Ej, nie tak – odrzekła z pewnym smutkiem księżna – dla mnie ogniwko, dla niej cały łańcuch; dla mnie liszka, dla niej soból. Nikogo z rodzonych nie miłuje król tak jak Aleksandrę. Nie ma takiego dnia, żeby z próżnymi rękoma odeszła...

Tak rozmawiając, zbliżyli się do Krakowa. Gościniec, rojny od samego Tyńca, zaroił się jeszcze bardziej. Spotykali ziemian ciągnących do miasta na czele pachołków, czasem w zbrojach, czasem w letnich szatach i słomianych kapeluszach. Niektórzy jechali konno, niektórzy koleśno, z żonami i córkami, które chciały widzieć zapowiadane z dawna gonitwy. Miejscami cały gościniec zawałony był przez wozy kupców, którym nie wolno było omijać Krakowa, by nie pozbawić miasta licznych opłat. Wieziono na tych wozach sól, воск, zboża, ryby, skóry bydłce, konopie, drzewo. Inne szły z miasta ładowne sukniem, beczkami piwa i przeróżnym miejskim towarem. Kraków było już widać dobrze: ogrody królewskie, pańskie i mieszczańskie, otaczające zewsząd miasto, za nimi mury i wieże kościołów. Im było bliżej, tym ruch czynił się większy, a przy bramach trudno było wśród ogólnego skrętu przejechać.

– To miasto! nie masz chyba takiego drugiego na świecie – rzekł Maćko.

– Zawsze jakoby jarmark – odrzekł jeden z rybałtów. – Dawnoście tu byli, panie?

– Dawno. I dziwuję się, jakobym je pierwszy raz widział, gdyż z dzikich krajów przyjeżdżamy.

– Mówią, że Kraków okrutnie urósł od króla Jagiełły. Była to prawda: od czasu wstąpienia na tron wielkiego księcia Litwy niezmierzone kraje litewskie i ruskie otwarte zostały dla krakowskiego handlu, wskutek czego miasto z dnia na dzień porastało w ludność, w dostatki, w budowlę – i czyniło się jednym ze znaczniejszych w świecie krzyżackie miasta też zacne – ozwał się znów gruby rybałt.

– By jeno się do nich dostać – odpowiedział Maćko. – Byłby łup godny!

Lecz Powała myślał o czym innym, mianowicie, że młody Zbyszko, który tylko przez głupią zapalczywość zawinił, idzie jednak jak wilkowi w gardziel. Pan z Taczewa, srogi i zawzięty w czasie wojny, miał jednak w swych potężnych piersiach prawdziwie gołębie serce – że zaś lepiej rozumiał od innych, co winowajcę czeka, więc zdjęła go nad nim litość...

– Waguję się i waguję – rzekł znów do księżny – czy mówić królowi, co się stało, czy nie mówić. Jeśli Krzyżak się nie poskarży, to i nijakiej sprawy nie będzie, ale jeśli się ma skarżyć, to może by lepiej wszystko pierwej powiedzieć, by pan nagłym gniewem nie zagorzał...

– Krzyżak jak może kogo zgubić, to zgubi – odrzekła księżna – ale ja przedtem rzekę młodzieńcowi, żeby do naszego dworu przystał. Może też król nie tak srodze dworzanina naszego ukarze.

To rzekłszy, zawołała Zbyszka, który dowiedziawszy się, o co idzie, zeskoczył z konia, podjął ją pod nogi i z największą radością zgodził się być jej dworzaninem, nie tyle dla większego bezpieczeństwa, ile dlatego, że w ten sposób mógł blisko Danusi pozostać...

Powała zaś spytał tymczasem Maćka:

– A gdzie zamieszkacie?

– W gospodzie.

– W gospodach z dawna me masz żadnego miejsca.

– To pójdziem do kupca znajomka, Amyleja, może nas przenocuje...

– A ja wam powiem tak: pójdźcie w gościnę do mnie. Bratanek wasz mógłby z dworzany księżny na zamku zamieszkać, ale lepiej mu będzie nie być królowi pod ręką. Co się w pierwszym gniewie uczyni, tego się w drugim nie uczyni. Pewnie się przy tym rozdzielicie dostatkami, wozami i służbą, a na to potrzeba czasu. Wiecie! – dobrze wam u mnie będzie i przezpiecznie.

Maćko, lubo zaniepokoił się trochę tym, że Powała tak o ich bezpieczeństwie myśli, podziękował z wielką wdzięcznością i wjechali do miasta. Lecz tu obaj ze Zbyszkiem zapomnieli znów na chwilę o troskach na widok cudów, które ich otoczyły. Na Litwie i na pograniczu widzieli tylko pojedyncze zamki, a z miast znaczniejszych jedno Wilno – źle pobudowane i spalone, całe w popiele i gruzach, tu zaś kamienice kupieckie częstokroć okazały się być od tamtejszego wielkksiążęcego zamku. Wiele domów było wprawdzie drewnianych, ale i te dziwiły wyniosłością ścian i dachów oraz oknami ze szklanych gomólek poprawianych w ołów, które odbijały tak blaski zachodzącego słońca, że można było mniemać, iż w domu jest pożar. W ulicach bliższych rynku pełno było jednak dworzyszcz z czerwonej cegły albo zgoła kamiennych, wysokich, ozdobionych przystawkami i czarnym krzyżowaniem po ścianach. Stały jedne obok drugich jak żołnierze w szyku, niektóre szerokie, drugie wąskie na dziewięć łokci, ale strzeliste, ze sklepiionymi sieniami – często ze znakiem Bożej Męki lub z obrazem Najświętszej Panny nad bramą. Były ulice, na których widać było dwa szeregi domów, nad nimi pas nieba, na dole drogę całkiem wymoszczoną kamieniami, a po obu bokach, jak okiem dojrzeć, składy i składy – sowite – pełne najprzedniejszych, częstokroć dziwnych albo zupełnie nieznanymi towarów, na które przywykły do ciągłej wojny i brania łupu Maćko spoglądał jednak nieco łakomym okiem. Lecz w jeszcze większy podziw wprowadziły obydwóch gmachy publiczne: kościół Panny Marii w Rynku, sukienice, ratusz z olbrzymią piwnicą, w której sprzedawano piwo świdnickie, dzinghus, toż inne kościoły, toż składy sukna, toż ogromne *mercatorium* przeznaczone dla kupców zagranicznych, toż budynek, w którym zamykano wagę miejską, toż postrzygalnie, łaźnie, topnie miedzi, topnie wosku, złota i srebra, browary, całe góry beczek koło tak zwanego Schrotamtu – słowem, dostatki i bogactwa, których nie obyty z miastem człowiek, choćby zamożny właściciel „grodku”, wyobrazić sobie nawet nie umiał...

Powała zaprowadził Maćka i Zbyszka do swego domostwa przy ulicy Św. Anny, kazał im dać izbę obszerną, polecił ich swym giermkom, sam zaś udał się na zamek, z którego wrócił na wieczerzę dość późną nocą. Wraz z nim przybyło kilku jego przyjaciół – i używając obficie na winie i mięsie, ucztowali wesoło, sam tylko gospodarz był jakiś zatroskany – a gdy wreszcie goście porozchodzili się do domów, rzekł do Maćka:

– Gadałem z jednym kanonikiem, biegłym w piśmie i w prawie, którego powiada, że zniewaga posła to sprawa gardłowa. Proścież tedy Boga, by się Krzyżak nie skarżył...

Usłyszawszy to, obaj rycerze, lubo przy uczcie przebrali nieco miarę, jednakże udali się na spoczynek nie z tak już wesołym sercem. Maćko nie mógł nawet zasnąć i po jakimś czasie, gdy się już pokładli, ozwał się do bratańca:

– Zbyszku?

– A co?

– Bo tak pomiarkowawszy wszystko, myślę wszelako, że ci głowę utną.

– Myślicie? – spytał Zbyszko sennym głosem. I obróciwszy się do ściany, zasnął smaczno, gdyż był utrudzon drogą...

## ROZDZIAŁ V

Następnego dnia obaj rycerze z Bogdańca wraz z Powałą udali się na ranną mszę do katedry, tak dla nabożeństwa, jak i dlatego, by widzieć dwór i gości, którzy schodzili się na zamek. Jakoż po drodze już Powała spotkał mnóstwo znajomych, a między nimi wielu rycerzy sławnych w kraju i za granicą, na których z podziwem patrzył młody Zbyszko, obiecując sobie w duszy, że jeśli sprawa z Lichtensteinem ujdzie mu na sucho, to będzie się starał im wyrównać w męstwie i we wszystkich cnotach. Jeden z tych rycerzy, Toporczyk, krewny kasztelana krakowskiego, powiedział im nowinę o powrocie z Rzymu Wojciecha Jastrzębca, scholastyka, który jeździł do papieża Bonifacego IX z listem królewskim, zapraszającym na chrzciny do Krakowa. Bonifacy przyjął zaprosiny, a jakkolwiek wyraził wątpliwość, czy będzie mógł przybyć własną osobą, upoważnił posła, aby w jego imieniu trzymał do chrztu mające się narodzić dziecko, a zarazem prosił, by w dowód osobliwszej jego miłości dla obojga królestwa dziecku nadano imię Bonifacy lub Bonifacja.

Mówiono także o bliskim przyjeździe króla węgierskiego Zygmunta i spodziewano się go na pewno. Zygmunt bowiem przyjeżdżał i proszony, i nieproszony, zawsze gdy zdarzyła się sposobność jakowychś odwiedzin, uczt i gonitw, w których z zamiłowaniem brał udział, pragnąc zasłynać po świecie i jako władca, i jako śpiewak, i jako jeden z pierwszych rycerzy. Powała, Zawisza z Garbowa, Dobko z Oleśnicy, Naszan i inni podobnej miary mężowie z uśmiechem wspominali sobie, jako za poprzednich bytności Zygmunta król Władysław prosił ich po cichu, aby na turnieju nie nacierali zbyt ostro i oszczędzali „węgierskiego gościa”, którego znana w świecie próżność była tak wielka, że w razie niepowodzenia wyciskała mu łzy z oczu. Lecz największe zajęcie między rycerstwem budziły sprawy Witoldowe. Rozpowiadano cuda o wspaniałości owej kolebki, ulanej ze szczerego srebra, którą od Witolda i żony jego Anny przywieźli w darze kniazie i bojarzyni litewscy. Potworzyły się, jako zwykle przed nabożeństwem, gromadki ludzi opowiadające sobie nowiny. W jednej z nich Maćko, posłyszawszy o kolebce, zabrał głos i opisywał kosztowność daru, ale więcej jeszcze

opowiadał o zamierzonej ogromnej wyprawie Witolda przeciw Tatarom, gdyż zarzucano go o nią pytaniami. Wyprawa była prawie gotowa, albowiem ogromne wojska ruszyły już na wschód Rusi; gdyby się zaś udała, rozciągnęłaby zwierzchnictwo króla Jagiełły niemal na pół świata, aż do nieznanych głębin azjatyckich, po granice Persji i brzegi Aralu. Maćko, który poprzednio był blisko osoby Witolda i mógł znać jego zamiary, umiał o nich rozpowiadać dokładnie, a nawet i tak wymownie, że zanim zadzwoniono na mszę, przed wschodami katedry utworzył się naokół niego krąg ciekawych. Szło – mówił – po prostu o wyprawę krzyżową. Sam Witold, chociaż go piszą wielkim kniazem, rządzi przeciw Litwą z ramienia Jagiełły i jest tylko wielkorządcą, zasługa więc spadnie na króla. I co za chwała będzie dla nowo ochrzczonej Litwy i dla potęgi Polski, gdy połączone wojska poniosą Krzyż w takie strony, w których, jeśli wspominają imię Zbawiciela, to chyba dlatego, by mu bluźnić, i w których nie powstała dotąd noga Polaka ni Litwina! Wypędzony Tochtamysz, gdy go polskie i litewskie wojska posadzą na nowo na utraconym kapczackim tronie, uzna się „synem” króla Władysława i jako obiecał, wraz z całą Złotą Ordą pokłoni się Krzyżakowi.

Słuchano z natężeniem tych słów, lecz wielu nie wiedziało dobrze, o co chodzi, komu Witold ma pomagać, przeciw komu wojować – więc niektórzy poczęli pytać:

– Powiadajcie wyraźnie, z kim wojna?

– Z kim? Z Tymurem Chromym – odrzekł Maćko. Nastąpiła chwila milczenia. O uszy rycerstwa zachodniego odbijały się wprawdzie niejednokrotnie nazwy Ord Złotych, Sinych, Azowskich i rozmaitych innych, ale sprawy tatarskie i wojny domowe między pojedynczymi Ordami nie były mu dobrze wiadome. Natomiast nie znalazłbyś ani jednego człowieka w ówczesnej Europie, który by nie słyszał o straszliwym Tymurze Chromym, czyli Tamerlanie, którego imię powtarzano z niemniejszą trwogą niż niegdyś imię Attyli. Był to przecie „pan świata” i „pan czasów” – władca dwudziestu siedmiu zawojowanych państw, władca Rusi Moskiewskiej, władca Sybiru, Chin po Indie, Bagdadu, Ispahanu, Aleppu, Damaszku – którego cień padał przez piaski arabskie na Egipt, a przez Bosfor na Cesarstwo Greckie – tępicieł ludzkiego rodzaju, potworny budowniczy piramid z czaszek ludzkich, zwycięzca we wszystkich bitwach, niezwyciężony w żadnej, „pan dusz i ciał”.

Tochtamysz przez niego posadzony jest na tronie Złotej i Sinej Ordy – i uznan „synem”. Lecz gdy władztwo jego rozciągnęło się od Aralu

do Krymu, przez więcej ziem, niż ich było w reszcie Europy, „syn” chciał być władcą niepodległym – za co „jednym palcem” straszego ojca pozbawion tronu uciekł do litewskiego rządcy, wzywając go o pomoc. Jego to właśnie zamierzył Witold wprowadzić na powrót na państwo, ale aby to uczynić, trzeba się było wpierw zmierzyć ze światowładnym Kulawcem.

Z tego też powodu imię jego silne na słuchaczach sprawiło wrażenie – i po chwili milczenia jeden z najstarszych rycerzy, Wojciech z Jagłowa, rzekł:

– Nie z byle kim sprawa.

– A o byle co – ozwał się roztropnie Mikołaj z Długolasu. – Bo czy tam za dziesiątą ziemią będzie Tochtamysz. czy jakowyś Kutłuk panował synom Beliala. cóż nam z tego przyjdzie?

– Tochtamysz wiarę chrześcijańską by przyjął – odpowiedział Maćko.

– Przyjąłby albo nie przyjął. Żali można psubratom wierzyć, którzy Chrystusa nie wyznawają?

– Lecz dla imienia Chrystusowego godzi się polec – odparł Powąła.

– I dla czci rycerskiej – dodał Toporczyk, krewny kasztelana.

– Są przecie między nami tacy, którzy pójdą. Pan Spytko

z Melsztyna młodą ma żonę i umiłowaną, a dlatego już do kniazia Witolda pociągnął.

– Bo i nie dziwno – wtrącił Jaśko z Naszan – choćbyś miał najbezpieczniejszy grzech na duszy, odpust za taką wojnę pewny i zbawienie pewne.

– A sława po wieki wieków – rzekł znów Powąła z Taczewa.

– Jak wojna, to wojna, a że nie byle z kim, to lepiej. Tymur świat zawojował i ma dwadzieścia siedem królestw pod sobą. Toż by była chwała dla naszego narodu, żebyśmy go starli.

– Dlaczego by nie? – odrzekł Toporczyk – choćby i sto królestw posiadał, niech się go inni boją, ale nie my! Godnie mówicie! Skrzyknąć by jeno z dziesięć tysięcy kopijników dobrych – to i świat przejdziem.

– A któryż naród ma Chromego pokonać, jeśli nie nasz?... Tak rozmawiali rycerze, a Zbyszko aż się zdziwił, że przedtem nigdy nie przyszła mu ochota pociągnąć z Witoldem w dzikie stepy... Ale za czasu pobytu w Wilnie chciało mu się widzieć Kraków, dwór, wziąć udział w gonitwach rycerskich, a teraz pomyślał, że tu znaleźć może niesławę i sąd, tam zaś w najgorszym razie znalazłby śmierć pełną chwały...



Lecz stuletni Wojciech z Jagłowa, któremu ze starości trzęsła się już szyja, ale który rozum miał odpowiedni wiekowi, oblał zimną wodą ochotę rycerzy:

– Głupiście – rzekł. – Żali to żaden z was nie słyszał, że wizerunek Chrystusów przemówił do królowej, a jeżeli sam Zbawiciel do takiej dopuszczają poufałości, czemu by Duch Święty, który jest trzecią Trójcy osobą, miał na nią być mniej miłościw. Przez to ona przyszłe rzeczy widzi, jakoby się przed nią działy, i mówiła tak...

Tu zatrzymał się i przez chwilę trząśł głową, a następnie rzekł:

– Zapomniałem, co powiedziała, ale zaraz sobie przypomnę. I począł się namyślać, oni zaś czekali w skupieniu, albowiem powszechne było mniemanie, że królowa widzi przyszłe zdarzenia.

– Aha! – rzekł wreszcie – jużem się obaczył! Królowa powiedziała, że gdyby wszystko rycerstwo tutejsze poszło z kniazem Witoldem na Chromego, tedy byłaby moc pogańska skruszona. Ale to nie może być, dla niepoczciwości panów chrześcijańskich. Trzeba granic pilnować i od Czechów, i od Węgrzynów, i od Zakonu, bo nikomu ufać nie można. Gdy zaś garść jeno Polaków z Witoldem pójdzie, pokona go Tymur Kulawy albo jego wojewodowie, którzy ómom nieprzeliczonym przywodzą...

– Przecie teraz jest spokój – ozwał się Toporczyk – i sam Zakon daje podobno jakąś pomoc Witoldowi. Nie mogą nawet Krzyżacy inaczej uczynić, choćby dla wstydu – żeby Ojcu Świętemu pokazać, iż z pogany walczyć gotowi. Prawią też dworscy, że Kuno Lichtenstein nie tylko dla krzcim, ale i dla narad z królem tu bawi...

– A oto i on! – zawołał ze zdziwieniem Maćko.

– Prawda! – rzekł, oglądając się. Powąła. – Dalibóg on! Krótco bawił u opata i musiał chyba do dnia z Tyńca wyjechać.

– Jakoś mu było pilno – odrzekł posepnie Maćko. Tymczasem Kuno Lichtenstein przeszedł koło nich. Maćko poznał go po krzyżu wyszytym na płaszczu, ale on nie poznał ni jego, ni Zbyszka, gdyż widział ich poprzednio w hełmach, z hełmu zaś, nawet przy otwartej przyłbicy, widać było tylko małą część twarzy rycerza. Przechodząc, skinął głową Powale z Taczewa i Toporczykowi. po czym wraz ze swymi giermkami począł wstępować po schodach do katedry krokiem poważnym i pełnym majestatu.

Wtem ozwały się dzwony, płosząc stada kawek i gołębi gnieźdzących się po wieżach, a zarazem oznajmiając, iż msza niebawem się rozpocznie. Maćko i Zbyszko weszli razem z innymi do kościoła, nieco

zaniepokojeni szybkim powrotem Lichtensteina. Lecz starszy rycerz niepokoił się więcej, albowiem uwagę młodszego pochłonał całkowicie dwór królewski. Zbyszko nigdy w życiu nie widział nic równie świetnego jak ten kościół i to zebranie. Na prawo i na lewo otaczali go najznakomitsi mężowie Królestwa, słynni w radzie lub boju. Wielu, których rozum przeprowadził małżeństwo W. Księcia Litwy z cudną i młodziuchną królową polską, już pomarło, ale niektórzy żyli jeszcze, i na tych spoglądano ze czcią nadzwyczajną. Nie mógł się napatrzeć młody rycerz wspaniałej postaci Jaśka z Tęczyna, kasztelana krakowskiego, w której łączyła się surowość z powagą i prawością; podziwiał mądre i stateczne twarze innych rajców lub potężne oblicza rycerskie, z włosami równo przyciętymi nad brwią, a spływającymi w długich kędziorach z boków głowy i z tyłu. Niektórzy nosili siatki na głowach, niektórzy tylko przepaski utrzymujące w ładzie włosy. Goście zagraniczni, posłowie króla rzymskiego, czescy, węgierscy i rakuscy, oraz ich przybocznicy dziwili największą wykwinnością ubiorów; kniazie i bojarzynowie litewscy przy boku króla zostający, pomimo lata i gorących dni, mieli na sobie dla okazałości szuby podbite futrem kosztownym; kniazie ruscy w szatach sztywnych a szerokich wyglądali na tle ścian i złoceń kościelnych jak obrazy bizantyńskie. Lecz z największą ciekawością oczekiwał Zbyszko wejścia króla i królowej i tłoczył się, ile mógł, ku stallom, za którymi w pobliżu ołtarza widać było dwie poduszki z czerwonego aksamitu, królestwo bowiem słuchali mszy zawsze na klęczkach. Jakoż nie czekano długo: król wszedł pierwszy drzwiami od zakrystii i zanim doszedł przed ołtarz, można mu się było dobrze przypatrzeć. Włosy miał czarne, zwichrzone i rzadziejące nieco nad czołem, długie, po bokach założone za uszy, twarz smagłą, całkiem ogoloną, nos garbaty i dość spiczasty, koło ust zmarszczki, oczki czarne, małe, świecące, którymi rzucał na wszystkie strony, jakby chciał, zanim dojdzie przed ołtarz, porachować wszystkich ludzi w kościele. Oblicze jego miało wyraz dobrotliwy, ale zarazem i czujny, człowieka, który wyniesion przez fortunę nad własne spodziewanie, musi myśleć ustawicznie o tym, czy jego postęпки odpowiadają godności, i który obawia się złośliwych przygan. Ale właśnie dlatego była w jego twarzy i ruchach jakby pewna niecierpliwość. Łatwo było odgadnąć, że gniew jego musi być nagły, straszny i że jest to zawsze ten sam książę, który swego czasu, zniecierpliwiony matactwami Krzyżaków, wołał do ich wysłanników: „Ty do mnie z pergaminem, a ja do ciebie z dzidą!”

Lecz już teraz tę przyrodzoną zapalczywość hamowała wielka i szczerą pobożność. Nie tylko świeżo nawróceni kniazie litewscy, ale i pobożni z dziada pradziada wielmoże polscy budowali się widokiem króla w kościele. Często on, odrzuciwszy poduszkę, klękał dla większego umartwienia na gołych kamieniach; często, wzniosłszy ręce do góry, trzymał je wzniesione dopóty, dopóki mu same nie opadły ze zmęczenia. Słuchał najmniej trzech mszy dziennie i słuchał ich niemal z chciwością. Odkrycie kielicha i odgłos dzwonka na Podniesienie wypełniały zawsze duszę jego uniesieniem, zachwytem, rozkoszą i prze-strachem. Po skończonej mszy wychodził z kościoła jakby zbudzon ze snu, uspokojony, łagodny, i dworzanie wcześniej zwiedzieli się, że wówczas najlepiej jest go prosić czy o przebaczenie, czy o dary.

Jadwiga weszła przez drzwi od zakrystii. Ujrzawszy ją, rycerze bliżsi stallów, jakkolwiek msza się jeszcze nie zaczęła, poklękali natychmiast, mimo woli oddając jej cześć jak świętej. Zbyszko uczynił to samo, albowiem w całym tym zgromadzeniu nikt nie wątpił, że ma naprawdę przed sobą świętą, której obrazy będą zdobyły z czasem ołtarze kościelne. Szczególniej od kilku lat surowe, pokutnicze życie Jadwigi sprawiło, że obok czci, winnej królowej, oddawano jej cześć niemal religijną. Z ust do ust między panami i ludem chodziły głosy o cudach spełnianych przez królowę. Mówiono, iż dotknięcie jej dłoni leczyło chorych: ludzie pozbawieni władzy w rękach i nogach odzyskiwali ją po włożeniu starych szat królowej. Wiarogodni świadkowie zapewniali, iż słyszeli na własne uszy, jak raz Chrystus przemówił do niej z ołtarza. Czcił ją na klęczkach monarchowie zagraniczni, czcił i obawiał się ją obrazić nawet hardy Zakon krzyżacki. Papież Bonifacy IX nazywał ją świątobliwą i wybraną córką Kościoła. Świat patrzył na jej postęпки i pamiętał, że to dziecię domu Andegaweńskiego i polskich Piastów, że ta córka potężnego Ludwika, wychowanka najświetniejszego dworu, a wreszcie najpiękniejsza z dziewic na ziemi, zrzekła się szczęścia, zrzekła się pierwszej dziewiczej miłości i poślubiła jako królowa „dzikiego” księcia Litwy, aby wraz z nim skłonić do stóp Krzyża ostatni pogański naród w Europie. Czego nie dokazały siły wszystkich Niemców, potęga Zakonu, wyprawy krzyżowe, morze przelanej krwi – tego dokazało jedno jej słowo. Nigdy chwała apostołstwa nie opromieniła młodszego i cudniejszego czoła — nigdy apostołstwo nie połączyło się z takim poświęceniem – nigdy niewieścia piękność nie zaświeciła taką anielską dobrocią i takim cichym smutkiem.

Opiewali ją też minstrele na wszystkich dworach Europy;

zjeżdżali się do Krakowa rycerze z najodleglejszych ziem, by widzieć tę polską królowę, kochał ją jak żrenicę oka jej własny naród, któremu przez związek z Jagiełłą przymnożyła potęgę i sławy. Jedna tylko wielka troska zaciążyła nad nią i nad narodem – oto tej wybrance swojej Bóg odmawiał przez długie lata potomstwa.

Lecz gdy nareszcie i ta niedola minęła, radosna wieść o uproszonym błogosławieństwie rozbiegła się jak błyskawica od Bałtyku po Morze Czarne, po Karpaty i napełniła weselem wszystkie ludy olbrzymiego państwa. Z wyjątkiem stolicy krzyżackiej przyjęto ją radośnie nawet po dworach zagranicznych. W Rzymie śpiewano „Te Deum”. W ziemiach polskich utrwaliło się ostatecznie mniemanie, że o co „święta pani” Boga poprosi, to stanie się nieodmiennie.

Przychodzili więc do niej ludzie błagać, by uprosiła im zdrowie, przychodzili wysłańcy od ziem i powiatów, by w miarę potrzeby modliła się to o deszcz, to o pogodę na żniwa, to o szczęśliwą kośbę, to o pomyślne miodobranie. to o obfitość ryby w jeziorach, to o zwierza w lasach. Groźni rycerze z nadgranicznych zamków i gródków, którzy przejętym od Niemców zwyczajem trudnili się zbójnictwem lub wojną między sobą, na jedno jej napomnienie wkładali miecze do pochew, puszczali jeńców bez okupu, zwracali zagarnięte stada i podawali sobie dłonie do zgody. Wszelka niedola, wszelkie ubóstwo cisnęło się do bram krakowskiego zamku. Czysty duch jej przenikał w serca ludzkie, łagodził los niewolników, dumę panów, surowość sędziów i unosił się jak świt szczęścia, jak anioł sprawiedliwości i spokoju nad całą krainą.

Wszyscy też z bijącymi sercami oczekiwali dnia błogosławieństwa.

Rycerze pilnie spoglądali na postać królowej, aby z jej kształtów wywnioskować, jak długo przyjdzie im czekać na przyszłego dziedzica lub przyszłą dziedziczkę tronu. Ksiądz biskup krakowski Wysz, który był zarazem najbieglejszym w kraju, a słynnym i za granicą lekarzem, nie zapowiadał jeszcze rychłego połogu, jeśli zaś czyniono przygotowania, to dlatego, że zwyczajem wieku było rozpoczynać wszelkie uroczystości jak najwcześniej, a przeciągać je przez całe tygodnie. Jakoż postać pani. lubo podana nieco naprzód, zachowała dotychczas dawną wysmukłość. Odzież nosiła aż nazbyt prostą. Niegdyś – wychowana na świetnym dworze i piękniejsza od wszystkich współczesnych księżniczek – kochała się w kosztownych tkaninach, w łańcuchach, perłach, w złotych manelach i pierścieniach, obecnie – a nawet od lat już kilku – nie tylko nosiła szaty mniszki, ale przysłaniała nawet i twarz z obawy, by myśl o własnej piękności nie wzbudziła w niej py-

chy światowej. Próżno Jagiełło, dowiedziawszy się o odmiennym jej stanie, polecił w uniesieniu radości, by łożnicę przyozdobiła złotogłowiem, bisiosem i klejnotami. Odpowiedziała, że wyrzekłszy się z dawna okazałości, pamięta, iż pora złogów bywa częstokroć porą śmierci, a więc nie wśród klejnotów, ale w cichej pokorze powinna przyjąć łaskę, którą ją Bóg nawiedza.

Złoto i klejnoty szły tymczasem na Akademię lub na wysyłanie nowo ochrzczony młodzieży litewskiej do zagranicznych uniwersytetów.

Królowa zgodziła się tylko w tym zmienić zakonny pozór, iż od czasu jak nadzieja macierzyństwa stała się zupełną pewnością, nie przysłała więcej twarzy, słusznie mniemając, że nie przystoi jej od tej chwili strój pokutnicy...

Jakoż wszystkie oczy spoczęły teraz z miłością na tym cudnym obliczu, któremu ni złoto, ni drogie kamienie nie mogły przydać ozdoby. Królowa szła z wolna od drzwi zakrystii ku ołtarzowi, mając oczy wzniesione do góry, w jednej ręce książkę, w drugiej różaniec. Zbyszko ujrzał liliową twarz, niebieskie źrenice, rysy po prostu anielskie, pełne spokoju, dobroci, miłosierdzia, i serce poczęło mu bić jak młotem. Wiedział on, że z rozkazania Bożego powinien kochać i swego króla, i swoją królową, i miłował ich po swojemu, ale teraz serce zawrzało mu nagle miłością wielką, która powstaje nie z nakazu, ale bucha sama przez się jak płomień, a jest zarazem i czią największą, i pokorą, i chęcią ofiary. Młody był i porywczy rycerz Zbyszko, więc chwycił go zaraz chęć, by tę miłość i wierność poddanego rycerza jakoś okazać, coś dla niej uczynić, gdzieś lecieć, kogoś popłatać, coś zdobyć i samemu przy tym karkiem nałożyć. „Pójdę chyba z kniazem Witoldem – mówił sobie – bo jakże świętej Pani usłużę, skoro nie masz nigdzie blisko wojny?” Nie przyszło mu nawet do głowy, by można inaczej usłużyć niż mieczem, rohatyną lub toporem, ale za to gotów był sam jeden na całą potęgę Tymura Chromego uderzyć. Chciało mu się zaraz po mszy siąść na koń i coś zacząć. Co? sam nie wiedział. Wiedział tylko, że nie wytrzyma, że go palą ręce i pali się w nim dusza cała...

Zapomniał też znów całkiem o niebezpieczeństwie, które mu groziło. Zapomniał nawet chwilowo i Danusi – a gdy przyszła mu ona na myśl z powodu dziecinnych śpiewów, które nagle ozwały się w kościele, miał poczucie, że „to co innego”. Danusi przyrzekł wierność, przyrzekł trzech Niemców – i tego dotrzyma, ale przecie królowa jest ponad

wszystkie niewiasty – i gdy pomyślał, ilu by dla królowej chciał zabić – ujrzał przed sobą całe zastępy panczerzy, hełmów, piór strusich, pawich, i czuł, że wedle chęci jeszcze by tego było za mało...

Tymczasem nie spuszczał z niej oka, rozmyślając w wezbranym sercu, jaką by ją uczcić modlitwą, sądził bowiem, że za królową byle jak modlić się nie można. Umiał powiedzieć: *Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen Tuum* – tego bowiem wyuczył go pewien franciszkanin w Wilnie, ale być może, że zakonnik sam więcej nie umiał, być może, że Zbyszko reszty zapomniał, dość że całego „Ojcie nasz” wyrecytować nie mógł. Teraz jednak począł powtarzać w kółko tych kilka słów, które w jego duszy znaczyły: „Daj naszej umiłowanej pani zdrowie i życie, i szczęście – i więcej o nią dbaj niż o wszystko inne”. Że zaś to mówił człowiek, nad którego własną głową wisiał sąd i kara – przeto w całym kościele nie było szerszej modlitwy...

Po skończonej mszy myślał Zbyszko, że gdyby mu wolno było stanąć przed królową, upaść przed nią na twarz i objąć jej stopy, to niechby potem nawet koniec świata nastąpił, ale po pierwszej mszy wyszła druga, potem trzecia, a następnie pani odeszła do swoich komnat, zwykle bowiem suszyła aż do południa i umyślnie nie brała udziału w wesołych śniadaniach, przy których dla uciechy króla i gości występowali trefnisie i kuglarze. Natomiast przed Zbyszkim pojawił się stary rycerz z Długolasu i wezwał go do księżny.

– Będiesz posługiwał przy śniadaniu mnie i Danusi jako mój dworzanin – rzekła księżna – a nuż zdarzy ci się przypodobać królowi jakimś krotochwilnym słowem albo postępkiem, którym serce jego sobie zjednasz. Krzyżak, jeśli cię pozna, nie będzie może się skarżył, widząc, że przy stole królewskim mnie posługujesz.

Zbyszko ucałował tedy rękę księżny, po czym zwrócił się do Danusi i jakkolwiek przywykły więcej do wojny i bitek niż do dworskich obyczajów, wiedział jednak widocznie, co rycerzowi czynić przystoi, gdy rankiem zobaczy damę swych myśli – gdyż cofnął się i przybrawszy wyraz zdumienia, zawołał, żegnając się:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha!... A Danusia spytała, podnosząc na niego modre oczki:

– Czego się Zbyszko żegna, kiedy już po mszy?

– Bo przez tę noc tyle ci, piękna panno, gładkości przybyło, aże mi cudnie!

Lecz Mikołaj z Długolasu nie lubił, jako człowiek stary, nowotnych zagranicznych zwyczajów rycerskich, więc wzruszył ramionami i rzekł:

– Co tam będziesz po próżnicy czas tracił i o urodzie jej prawil! Skrzat to, któren ledwie od ziemi odrósł.

Na to Zbyszko spojrział zaraz na niego zawzięcie:

– Warujcie się nazywać ją skrzatem – rzekł, blednąc z gniewu – i to wiedzcie, że gdyby wam było mniej roków, zaraz bym kazał ziemię za zamkiem udeptać, i niechby przyszła wasza albo moja śmierć!...

– Cichaj, chłystku?... dałbym ci rady jeszcze dziś?

– Cichaj? – powtórzyła księżna. – To zamiast o własnej głowie myśleć, będzie tu jeszcze zwady szukał! Wolej bym była stateczniejszego dla Danusi poszukała rycerza. Ale to ci powiadam, że jeśli chcesz burzyć, chybaj sobie, gdzie chcesz, bo tu takich nie trzeba...

Zbyszko zawstydził się słowami księżny i począł ją przeproszać. Pomyślał przy tym, że jeśli pan Mikołaj z Długolasu ma doletniego syna, to tam kiedyś wyzwie go na walkę pieszą lub konną, byle za skrzata nie darować. Tymczasem jednak postanowił zachować się na pokojach królewskich jak trusia i nie wyzywać nikogo, chybaby tego koniecznie rycerska cześć wymagała...

Odgłos trąb oznajmił, że śniadanie gotowe, więc księżna Anna, wzięwszy za rękę Danusię, udała się do komnat królewskich, przed którymi stali, czekając na jej przyjście, świeccy dygnitarze i rycerze. Księżna Ziemowitowa weszła już była pierwej, gdyż jako rodzona siostra królewska wyższe brała miejsce za stołem. Wnet zaroilo się w komnacie od gości zagranicznych i zaproszonych miejscowych dygnitarzy i rycerzy. Król siedział u wyższego końca stołu, mając przy sobie biskupa krakowskiego i Wojciecha Jastrzębca, który chociaż niższy godnością od infułatów, siedział jako poseł papieski po prawicy króla. Dwie księżne zajęły miejsca następne. Za Anną Danutą rozparł się wygodnie na szerokim krześle były arcybiskup gnieźnieński Jan, książę pochodzący z Piastów śląskich, syn Bolka III. księcia opolskiego. Zbyszko słyszał o nim na dworze Witoldowym i teraz, stojąc za księżną i Danusią, poznał go natychmiast po niezmiernie obfitych włosach, które pozwijane w strąki czyniły głowę jego podobną do kościelnego kropidla. Na dworach książąt polskich przezywano go też Kropidłem, a nawet Krzyżacy dawali mu imię „Grapidła”. Był to człowiek słynny z wesołości i lekkich obyczajów. Otrzymawszy wbrew woli króla paliusz na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, chciał je zająć zbrojną ręką, za co

wyzuty z godności i wypędzon, związał się z Krzyżakami, którzy dali mu na Pomorzu ubogie biskupstwo kamieńskie. Wówczas dopiero, zrozumiałwszy, że z potężnym królem lepiej jest być w zgodzie, przebłagał go, wrócił do kraju i czekał na opróżnienie której ze stolic, spodziewając się, że ją z rąk dobrotliwego pana otrzyma. Jakoż nie zawiódł się w przyszłości, a tymczasem starał się krotochwilami zaskarbić sobie serce królewskie. Został mu jednak zawsze dawny pociąg do Krzyżaków. Nawet i teraz, na dworze Jagiełłowym – niezbyt mile widziany przez dygnitarzy i rycerstwo – szukał towarzystwa Lichtensteina i rad sadowił się obok niego przy stole.

Tak było i obecnie. Zbyszko, stojąc za krzesłem księżny, znalazł się tak blisko Krzyżaka, że mógłby go być ręką dosięgnąć. Jakoż palce poczęły go zaraz swędzić i kurczyć się, lecz to było mimo woli, gdyż pohamował swą popędliwość zupełnie i nie pozwolił sobie na zdrożną myśl. Nie mógł się jednak powstrzymać od rzucania od czasu do czasu nieco łakomych spojrzeń na łysiejącą nieco z tyłu płową głowę Lichtensteina. na szyję, plecy i ramiona, pragnąc zarazem wymiarkować, czyli też wiele miałby z nim do roboty, gdyby się im spotkać przyszło bądź w bitwie, bądź w pojedynczej walce. Wydawało mu się, iż niezbyt wiele, bo choć łopatki Krzyżaka rysowały się dość potężnie pod obciśłą, z szarego cienkiego sukna szatą, był on jednak chuchrakiem w porównaniu do takiego Powały, do Paszka Złodzieja z Biskupic, do obu przesławnych Sulimczyków, do Krzona z Kozichłków i do wielu innych rycerzy siedzących przy stole królewskim.

Na nich to z podziwem i zazdrością spoglądał Zbyszko, lecz główną uwagę Jego zwrócił sam król, który rzucając spojrzenia na wszystkie strony, zagarniał co chwila palcami włosy za uszy, jakby zniecierpliwiony tym, że śniadanie się jeszcze nie rozpoczęło. Wzrok jego zatrzymał się przez mgnienie oka i na Zbyszku, a wówczas młody rycerz doznał pewnego uczucia strachu, i na myśl, że pewno przyjdzie mu stanąć przed gniewnym obliczem królewskim, opanował go okrutny niepokój. Pierwszy to raz pomyślał naprawdę o odpowiedzialności i karze, jaka nań spaść mogła, dotychczas bowiem wydawało mu się to wszystko dalekie, niewyraźne, zatem nie warte troski.

Ale Niemiec ani się domyślał, że ów rycerz, który natarł na niego zuchwale na gościńcu, znajduje się tak blisko. Rozpoczęło się śniadanie. Wniesiono polewkę winną, zaprawną jajami, cynamonem, gwoździkami, imbirem i szafranem tak silnie, że zapach rozszedł się po całej izbie. Jednocześnie trefniś Ciaruszek siedzący we drzwiach na zydlu



począł udawać śpiew słowika, co widocznie weseliło króla. Po nim drugi obchodził stół wraz ze służbą obnoszącą potrawy, stawał nieznanie za gośćmi i naśladował bliskie brzęczenie pszczoły tak dokładnie, że jaki taki kładł łyżkę i poczynał oganiać czuprynę. Na ten widok inni wybuchali śmiechem. Zbyszko pilnie usługiwał księżnie i Danusi, lecz gdy z kolei i Lichtenstein począł się klepać w łysiejącą głowę, zapomniał znów o niebezpieczeństwie i począł śmiać się aż do łez, a stojący blisko niego młody kniaź litewski Jamont, syn namiestnika smoleńskiego, pomagał mu w tym tak szczerze, że aż ronił potrawy z półmisków.

Lecz Krzyżak, spostrzegłszy wreszcie pomyłkę, sięgnął do kalety, a jednocześnie zwróciwszy się do biskupa Kropidły przemówił do niego kilka słów po niemiecku, które biskup zaraz po polsku powtórzył:

– Szlachetny pan mówi ci tak: – rzekł, zwracając się do błazna

– Dostaniesz dwa skojce, ale nie bręcz za blisko, gdyż pszczoły się odpędza, a trutniów się bije...

Na to trefniś pochował dwa skojce, które mu podał Krzyżak, i korzystając z przysługującej błaznom na wszystkich dworach wolności, odrzekł:

– Dużo miodu w ziemi dobrzyńskiej, dlatego ją trutnie obsiadły. Bijże ich, królu Władysławie!

– Naści i ode mnie grosz, boś dobrze powiedział – rzekł Kropidło – jeno pamiętaj, że gdy leziwo się urwie, to bartnik kark skręci. Mają żądła te malborskie trutnie, które Dobrzyń obsiadły, i niebezpiecznie leżć na ich barć.

– O wa! – zawołał Zyndram z Maszkowic, miecznik krakowski – można ich wykurzyć!

– Czym?

– Prochem!

– Albo toporem barć ściąć! – rzekł olbrzymi Paszko Złodziej z Biskupic.

Zbyszskowi rosło serce, sądził bowiem, że takie słowa zapowiadają wojnę. Ale rozumiał je i Kuno Lichtenstein, który, przebywając długo w Toruniu i Chełmnie, wyuczył się polskiej mowy – i nie używał jej tylko przez pychę. Teraz jednak, podrażnion słowami Zyndrama z Maszkowic, utopił w nim swoje szare źrenice i odrzekł:

– Zobaczymy.

– Widzieli ojce nasi pod Płowcami, a i my widzielim pod Wilnem – odpowiedział Zyndram.

– *Pax vobiscum!* – zawołał Kropidło. – *Pax!, pax!* Niech jeno ksiądz Mikołaj z Kurowa ustąpi z biskupstwa kujawskiego, a król miłościwy mnie po nim naznaczy, powiem wam tak piękne kazanie o miłości między chrześcijańskimi narodami, iż was do cna skruszę. Cóż to jest bowiem nienawiść, jeśli nie *ignis*, a do tego *ignis infernalis*... ogień tak okrutny, że woda mu nie poradzi – i chyba winem trzeba go zalewać. Wina dawajcie! Pojedziemy na ops! jak mawiał nieboszczyk biskup Zawisza z Kurozwęk!

– A z opsu do piekła, jak mówił diabeł! – dodał trefniś Ciaruszek.

– Niechże cię porwie!

– Cudniej będzie, jeśli was porwie. Nie widziano jeszcze diabła z Kropidłem, ale tak myślę, że wszyscy będziemy mieli tę uciechę...

– Wpierw ciebie jeszcze pokropię. Wina dajcie i niech żywie miłość między chrześcijany!

– Między prawdziwymi chrześcijany! – powtórzył z naciskiem Kuno Lichtenstein.

– Jakże? – zawołał, podnosząc głowę, biskup krakowski Wysz – żali to nie w odwiecznie chrześcijańskim królestwie przebywacie? żali nie starsze tu kościoły niż w Malborgu?

– Nie wiem – odpowiedział Krzyżak.

Król szczególnie drażliwy był, gdy szło o chrześcijaństwo. Zdawało mu się, że Krzyżak może jemu właśnie chce przemówić, więc wystające policzki pokryły mu się zaraz czerwonymi piętami, oczy poczęły błyskać.

– Co to! – odezwał się grubym głosem. – Nie chrześcijański ja król? co?

– Królestwo powiada się chrześcijańskim – odparł zimno Krzyżak – ale obyczajają się w nim pogańskie...

Na to podnieśli się groźni rycerze: Marcin z Wrocimowic, herbu Półkoza, Florian z Korytnicy, Bartosz z Wodzinka, Domarat z Kobylan, Powąła z Taczewa, Paszko Złodziej z Biskupic, Zyndram z Maszkowic, Jaksa z Targowiska, Krzon z Kozichgłów, Zygmunt z Bobowy i Staszko z Charbimowic, potężni, sławni, zwycięscy w wielu bitwach, w wielu turniejach, i to płonąć z gniewu, to blednąć, to zgrzytając zębami, poczęli wołać jeden przez drugiego:

– Gorze nam! bo gościem jest i nie może być wyzwan! A Zawisza Czarny, Sulimczyk, naj słynniejszy między słynnymi, „wzór rycerzy”, zwrócił zmarszczone czoło do Lichtensteina i rzekł:

– Nie poznaję cię, Kunonie. Jakże możesz, rycerzem będąc, hańbić wspaniały naród, gdy wiesz, że jako posłowi żadna ci za to kara nie grozi?

Lecz Kuno wytrzymał spokojnie groźne spojrzenia i odrzekł z wolna, dobitnie:

– Nasz Zakon, zanim do Prus przybył, wojował w Palestynie, ale tam nawet i Saraceni postów szanowali. Wy jedni ich nie szanujecie – i dlatego obyczaj wasz nazwał pogańskim.

Na to gwar uczynił się jeszcze większy. Naokół stołu ozwały się znów okrzyki: „Gorze, gorze!”

Ale uciszyły się, gdy król, na którego obliczu wrzał gniew, klasnął obyczajem litewskim kilkakroć w dłoń. Wówczas wstał stary Jaśko Topór z Tęczyna, kasztelan krakowski, sędziwy, poważny, postrach dostojnością urzędu budzący, i rzekł:

– Szlachetny rycerzu z Lichtenstemu, jeśli was jakowaś obelga jako posła spotkała, mówcie, a srogiej sprawiedliwości wartko stanie się zadość.

– Nie przygodziłoby mi się to w żadnym innym chrześcijańskim państwie – odrzekł Kuno. – Wczoraj na drodze do Tyńca napadł mnie jeden wasz rycerz, i choć z krzyża na płaszczu łącznie mógł poznać, ktm jest – na życie moje godził.

Zbyszko, usłyszawszy te słowa, pobladł mocno i mimo woli spojrział na króla, którego twarz była wprost straszna. Jaśko z Tęczyna zdumiał się i rzekł:

– Możeż to być?

– Zapytajcie pana z Taczewa, któren był świadkiem przygody. Wszystkie oczy zwróciły się na Powagę, który stał przez chwilę mroczny ze spuszczoneymi powiekami, po czym rzekł:

– Tak jest!...

Usłyszawszy to, rycerze poczęli wołać: „Hańba! hańba! Bogdaj się ziemia pod takim zapadła!” I ze wstydu jedni uderzali się pięściami w uda i piersi, drudzy skręcali w palcach cynowe misy na stole, nie wiedząc, gdzie oczy podziać.

– Czemuś ty go nie ubił? – zagrział król.

– Bo głowa jego do sądu należy – odparł Powaga.

– Uwięziliście go? – spytał kasztelan Topór z Tęczyna.

– Nie, bo na cześć rycerską poprzysiągł, że się stawi.

– I nie stawi się! – zawołał szyderczo Kuno, podnosząc głowę.

Wtem jakiś młody, smutny głos ozwał się niedaleko za plecami Krzyżaka:

– Nie daj Bóg, abych ja hańbę od śmierci wołał. Jam to uczynił: Zbyszko z Bogdańca.

Po tych słowach porwali się rycerze ku nieszczęsnemu Zbyszkowi, lecz powstrzymało ich groźne skinienie króla, który, powstawszy z zaiskrzonymi oczyma, począł wołać zdyszczanym od gniewu głosem, podobnym do turkotu, jaki wydaje wóz toczący się po kamieniach:

– Uciąć mu szyję! Uciąć mu szyję! Niech Krzyżak głowę jego odeśle do Malborga mistrzowi!

Po czym krzyknął na stojącego w pobliżu młodego kniazia litewskiego, syna namiestnika smoleńskiego:

– Trzymaj go, Jamont!

Przerażony gniewem królewskim Jamont położył drżące dłonie na ramionach Zbyszka, który, zwróciwszy ku niemu pobladałą twarz, rzekł:

– Nie ucieknę...

Lecz białobrody kasztelan krakowski, Topór z Tęczyna, podniósł rękę na znak, że chce mówić – i gdy się uciszyło, rzekł:

– Miłościwy królu! Niechże się ów komtur przekona, że nie twoja zapalczywość, ale nasze prawa karzą śmiercią za porwanie się na osobę posła. Inaczej słusznie by mógł mniemać, że nie masz praw chrześcijańskich w tym Królestwie. Sąd nad winowajcą sam odprawię!

Ostatnie słowa wyrzekł głosem podniesionym i widocznie nie dopuszczając nawet myśli, aby ów głos mógł być nie wysłuchanym, skinął na Jamonta:

– Zamknąć go do wieży. Wy zaś, panie z Taczewa, świadczyć będziecie.

– Opowiem całą winę tego wyrostka, której zaden żrzały mąż między nami nigdy by się nie dopuścił – odpowiedział Powąła, spoglądając posepnie na Lichtensteina.

– Słusznie prawi! – powtórzyli zaraz inni – pacholę to jeszcze! za cóż nas wszystkich z jego przyczyny pohańbiono?

Nastała chwila milczenia i niechętnych spojrzeń na Krzyżaka, a tymczasem Jamont wiódł Zbyszka, by oddać go w ręce łuczników stojących na zamkowym dziedzińcu. Czuł on w młodym sercu litość dla więźnia, którą potęgowała wrodzona mu nienawiść do Niemców. Ale jako Litwin, przywykły ślepo spełniać wolę wielkiego księcia i sam przerażony gniewem królewskim, począł po drodze szeptać do młodego rycerza sposobem życzliwej namowy:

– Wiesz, co ci rzeke: powieś się! najlepiej od razu powieś się. „Korol” rozsierdził się, i tak ci głowę utną. Czemu byś go nie miał uweseścić? Powieś się, druhu! u nas taki zwyczaj.

Zbyszko, na wpeł przytomny ze wstydu i strachu, zdawał się z początku nie rozumieć słów kniazika, ale wreszcie zrozumiał je i aż zatrzymał się ze zdumienia:

– Coże ty prawisz?

– Powieś się! Po co cię mają sądzić. Króla uweselisz! – powtórzył Jamont.

– Powieszę się sam! – zawołał młody rycerz. – To cię niby ochrzczili, a skóra została na tobie pogańska, i tego nawet nie rozumiesz, że grzech chrześcijaninowi taką rzecz czynić.

A kniaź ruszył ramionami:

– Toż nie po dobrej woli. I tak ci głowę utną. Zbyszkowi przemknęło przez myśl, że za podobne słowa wypadałoby zaraz wyzwać bojarzynka na walkę pieszą lub konną, na miecze albo na topory, ale stłumił w sobie tę chęć, wspomniawszy, że już mu czasu na to nie stanie. Więc spuścił smutnie głowę i w milczeniu pozwolił się oddać w ręce przywódcy pałacowych łuczników.

A w sali tymczasem uwaga powszechna zwróciła się w inną stronę. Danusia, widząc, co się dzieje, przelękała się z początku tak, iż dech zaparło w jej piersi. Twarzyczka jej pobladła jak płótno, oczki stały się okrągłe z przerażenia – i patrzyła na króla bez ruchu jak woskowa figurka w kościele. Lecz gdy wreszcie usłyszała, że jej Zbyszkowi mają głowę uciąć, gdy go zabrali i wyprowadzili z izby, wówczas chwycił ją żal niezmierny; usta i brwi poczęły jej się trząść; nie pomógł nic ni strach przed królem, ni przygryzanie ząbkami ust – i nagle wybuchnęła płaczem tak żalnym i donośnym, że wszystkie twarze zwróciły się ku niej, a sam król spytał:

– Co to jest?

– Królu miłościwy! – zawołała księżna Anna. – To jest córka Juranda ze Spychowa, której ów nieszczęsny rycerzyk ślubował. Ślubował ci jej trzy pawie czuby z hełmów zedrzeć – i ujrawszy czub taki na hełmie tego komtura, mniemał, że go mu sam Bóg zesłał. Nie ze złości on to czynił, panie, jeno przez głupstwo, przeto bądź mu miłościw i nie karz go, o co cię na kolanach prosimy.

Tak rzekłszy, wstała i chwyciwszy Danusię za rękę, podbiegła z nią do króla, który widząc to, począł się cofać. Ale one obie ukłękły przed nim i Danusia objąwszy rączynami nogi pańskie, poczęła wołać:

– Daruj Zbyszkowi, królu, daruj Zbyszkowi! I z uniesienia, a zarazem ze strachu, pochowała swą jasną główkę w fałdy szarej szaty królewskiej, całując mu przy tym kolana i dygocąc jak liść. Księżna Aleksandra Ziemowitowa klękała z drugiej strony i złożywszy ręce, patrzyła błagalnie na króla, w którego twarzy odbiło się wielkie zakłopotanie. Cofał się wprawdzie wraz z krzesłem, ale nie odpychał przemocą Danusi, machał tylko obu rękoma, jakby opędzając się od much.

– Dajcie mi spokój! – wołał – zawinił, całe Królestwo pohańbił! niech mu głowę utną!

Lecz małe rączyny zaciskały się coraz silniej wokół jego kolan, a dziecinny głosik wołał coraz żałośniej:

– Daruj Zbyszkowi, królu, daruj Zbyszkowi! Wtem ozwały się rycerskie:

– Jurand ze Spychowa, rycerz sławny, postrach na Niemców!

– I ów wyrostek wielce się już pod Wilnem zasłużył – dodał Powąła.

Lecz król bronił się dalej, lubo sam widokiem Danusi wzruszony:

– Dajcie mi spokój! Nie mnie zawinił i nie ja mogę mu darować. Niech mu poseł Zakonu daruje, to i ja daruję, a nie, to niech mu głowę utną.

– Daruj mu, Kunonie! – rzekł Zawisza Czarny, Sulimczyk – sam mistrz ci tego nie przygani!

– Daruj mu, panie! – zawołały obie księżne.

– Daruj mu, daruj! – powtórzyły głosy rycerskie. Kuno przymknął powieki i siedział z podniesionym czołem, jakby rozkoszując się tym, że i obie księżne, i tak znamienici rycerze zanoszą do niego prośby. Nagle zmienił się w mgnieniu oka: spuścił głowę, skrzyżował ręce na piersiach, z dumnego stał się pokorny i ozwał się przyciszonym, łagodnym głosem:

– Chrystus, Zbawiciel nasz, przebaczył łotrowi na krzyżu i nieprzyjaciołom swoim...

– Prawy to rycerz mówi! – ozwał się biskup Wysz.

– Prawy! prawy!

– ...Jakżebym ja nie miał przebaczyć – ciągnął dalej Kuno – którym jest nie tylko chrześcijaninem, ale i zakonnikiem? Przeto przebaczam mu z duszy serca jako Chrystusowy sługa i zakonnik!

– Sława mu! – huknął Powąła z Taczewa.

– Sława! – powtórzyli inni.

– Ale – rzekł Krzyżak –jestem tu posłem między wami i noszę w sobie majestat całego Zakonu, który jest Chrystusowym Zakonem. Kto więc mnie jako posła ukrzywdził, ukrzywdził Zakon, a kto obraził Zakon – obraził samego Chrystusa, i takiej krzywdy ja wobec Boga i ludzi darować nie mogę –jeśli zaś prawo wasze ją daruje, niech się dowiedzą o tym wszyscy panowie chrześcijańscy.

Po tych słowach zapadło głucho milczenie. Po chwili tylko ozwały się gdzieniegdzie zgrzytania zębów, ciężkie oddechy tłumionej wściekłości i łkanie Danusi.

Do wieczora wszystkie serca przechyliły się ku Zbyszkowi. Ci sami rycerze, którzy z rana byliby go gotowi na jedno skinienie króla roznieść na mieczach, wysilali teraz umysły, jakim by sposobem przyjąć mu z pomocą. Księżne postanowiły udać się z prośbą do królowej, by skłoniła Lichtensteina do zupełnego odstąpienia od skargi lub w razie potrzeby napisała do mistrza Zakonu, prosząc, by ten rozkazał Kunonowi zaniechać sprawy. Droga zdawała się pewna, gdyż Jadwigę otaczała cześć tak nadzwyczajna, że wielki mistrz ściągnąłby na siebie gniew papieża i naganę wszystkich chrześcijańskich książąt, gdyby jej takiej rzeczy odmówił. Nie było też to prawdopodobnym i dlatego, że Konrad von Jungingen był człowiekiem spokojnym i o wiele od swoich poprzedników łagodniejszym. Na nieszczęście, biskup krakowski Wysz, który był zarazem głównym lekarzem królowej, zakazał najsurowiej wspominać jej choćby jednym słowem o całej sprawie. „Nigdy ona o śmiertelnych wyrokach rada nie słucha – mówił – i choćby o prostego zbója chodziło, zaraz to do serca bierze, a cóż dopiero, jeśli o szyję młodzianka idzie, któren słusznie jej miłosierdzia mógłby wygłądać. Ale wszelka turbacja łatwo do ciężkiej niemocy może ją przywieść, zdrowie zaś jej więcej dla całego Królestwa znaczy niżeli dziesięć głów rycerskich”. Zapowiedział wreszcie, że gdyby kto ośmielił się wbrew jego słowom turbować panią, na tego on ściągnie straszny gniew królewski, a w dodatku klątwą kościelną go obłoży.

Złękły się tej zapowiedzi obie księżne i postanowiły milczeć przed królową, a natomiast póty błagać króla, póki jakowejś łaski nie okaże. Cały dwór i wszyscy rycerze stali już po stronie Zbyszka. Powąła z Taczewa zapowiadał, iż wyzna szczerą prawdę, ale że złoży świadcstwo dla młodzieńca przychylne i całą sprawę przedstawi jako chłopięcą zapędliwość. Z tym wszystkim każdy przewidywał, a kasztelan Jaśko z Tęczyna głośno oświadczał, że jeśli Krzyżak się zatnie, to srogiemu prawu musi się stać zadość.

Burzyły się więc tym bardziej przeciw Lichtensteinowi rycerskie serca i niejedni myślał lub nawet mówił otwarcie: „Posłem jest i w szranki powołań być nie może, ale gdy do Malborga wróci, nie daj Bóg, aby swoją własną szczęśliwą śmiercią”. I nie były to próżne groźby, albowiem rycerzom, którzy nosili pas, nie wolno było jednego słowa na wiatr uronić, kto zaś co zapowiadał, musiał tego dokazać lub zginąć. Groźny Powąła okazał się przy tym najzawziętym, albowiem miał w Taczewie umiłowaną córuchnę w wieku Danusi – skutkiem czego łązy Danusine całkiem skruszyły w nim serce.

Jakoż jeszcze tego samego dnia odwiedził Zbyszka w podziemiu, kazał mu być dobrej myśli i opowiedział o prośbach obu księżn i o łożach Danusi... Zbyszko, dowiedziawszy się, iż dziewczyna rzuciła się dla niego do nóg królewskich, rozczulił się tym uczynkiem aż do łez i nie wiedząc, jak swoją wdzięczność i tęsknotę wyrazić, rzekł, obcierając wierzchem dłoni powieki:

– Hej! niechże ją Bóg błogosławi, a mnie jako najprędzej zezwoli jakąś walkę pieszą albo konną za nią stoczyć! Za mało ja jej Niemców obiecał – bo takiej trzeba ich było tylu ślubować, ile ma roków. Byle mnie Pan Jezus z tej obierzy wybawił, już ja jej nie poskapię!

I podniósł pełne wdzięczności oczy ku górze...

– Naprzód kościołowi jakiemu co obiecuj – odrzekł pan z Taczewa – bo jeśli się twoja obietnica Bogu spodoba, pewnikiem wnet wolny będziesz. A po wtóre, słuchaj: poszedł do Lichtensteina twój stryk, a potem pójdę jeszcze i ja. Nie hańba ci będzie przeprosić go za winę, boś zawinił – i nie żadnego Lichtensteina, ale posła będziesz przeproszał. Gotówże jesteś?

– Skoro mi taki rycerz jak wasza miłość mówi, iż się to godzi – uczynię! ale jeśli będzie chciał, żebym go tak przeproszał, jako żądał na drodze z Tyńca, to niechże mi głowę utną. Stryk ostanie i stryk mu odpłaci, gdy się jego poselstwo skończy...

– Obaczym, co powie Maćkowi – rzekł Powąła. A Maćko rzeczywiście był wieczorem u Niemca, ale ten przyjął go wzgardliwie: światła nawet nie kazał zapalić i w zmroku z nim gadał. Wrócił więc stary rycerz od niego pośpny jak noc i udał się do króla. Król przyjął go dobrotliwie, bo się już był całkiem uspokoił, i gdy Maćko klęknął, kazał mu zaraz wstać, pytając, czego by żądał.

– Miłościwy panie – rzekł Maćko – była wina, musi być kara, bo inaczej nie byłoby nijakiego prawa na świecie. Jeno jest i moja wina, iżem przyrodzonej zapalczywości tego wyrostka nie tylko nie hamo-



wał, alem mu ją jeszcze chwalił. Takem go to hodował, a potem od małości hodowała go wojna. Moja wina, miłościwy królu, bom mu nieraz powiadał: wpierv tni, a potem obaczysz, kogoś rozciął. I dobrze z tym było na wojnie, źle zasię przy dworze! Ale to chłop jak szczere złoto, ostatni z rodu –i żal mi go okrutny...

– Mnie pohańbił, Królestwo pohańbił – rzekł król – mam-li go za to miodem smarować?

A Maćko umilkł, gdyż na wspomnienie o Zbyszku żal ścisnął go nagle za gardło, i dopiero po długiej chwili jął mówić wzruszonym jeszcze i przerywanym głosem:

– Anim ja wiedział, że go tak miłuję – i dopiero teraz się pokazało, jak bieda przyszła. Aleja stary, a on z rodu ostatni. Nie będzie jego – nie będzie nas. Królu miłościwy i panie, ulitujże ty się nad rodem naszym!

Tu klęknął znowu Maćko i wyciągnąwszy przed się spracowane na wojnach ręce, mówił ze łzami:

– Broniliśmy Wilna: łupy Bóg dał godne, komu ja to ostawię? Chce Krzyżak kary, panie – niech będzie kara, ale pozwólcie, abych ja swoją głowę oddał. Co mi tam po żywocie bez Zbyszka! Młody jest, niech ziemię wykupi i potomstwo płodzi, jako Bóg człowiekowi przykazał. Nie zapyta się nawet Krzyżak, czyja głowa spadła, byle spadła. Hańba też z tego nijaka na ród nie spadnie. Ciężko człowiekowi iść na śmierć, ale pomiarkowawszy, to lepiej, żeby człek zginął, niż żeby ród miał zginąć...

I tak mówiąc, objął nogi królewskie, król zaś począł mrugać oczyma, co było u niego oznaką wzruszenia, a wreszcie rzekł:

– Nie będzie tego, żeby ja opasanemu rycerzowi głowę kazał niewinnie ucinać! nie będzie, nie będzie!

– I nie byłoby w tym sprawiedliwości – dodał kasztelan. –Prawo winnego przyciśnie, ale nie smok ci to żaden, który nie patrzy, czyją krew chłepce. A wy uważcie, że właśnie hańba by na wasz ród spadła, bo jeśliby bratanek wasz przystał na to, co mówicie, tedyby i samego, i jego potomstwo za bezecnych wszyscy mieli... Na to Maćko:

– Nie przystałby on. Ale gdyby się to bez jego wiadomości stało, toby mnie potem pomścił, jako i ja jego pomszczę...

– Ha! – rzekł Tęczyński – wskórajcie u Krzyżaka, by skargi zanichał...

– Jużem u niego był.

– I co? – spytał, wyciągając szyję, król – co powiedział?

– Powiedział mi tak: „Trzeba było na tynieckiej drodze o darowanie prosić – nie chcieliście, to teraz i ja nie chcę”.

– A wy czemu nie chcieli?

– Bo przykazał nam z koni zsiąść i na piechotę przepraszać.

Król założył włosy za uszy i chciał coś odpowiedzieć, gdy wtem wszedł dworzanin z oznajmieniem, iż rycerz z Lichtensteinu prosi o posłuchanie.

Usłyszawszy to, Jagiełło spojrział na Jaśka z Tęczyna, potem na Maćka, lecz kazał im pozostać, może w nadziei, że uda mu się przy tej sposobności załagodzić sprawę swoją powagą królewską.

Tymczasem Krzyżak wszedł, skłonił się królowi i rzekł:

– Miłościwy panie! Oto jest spisana skarga o zniewagę, jaka mnie w królestwie waszym spotkała.

– Skarżcie się jemu – odpowiedział król, ukazując na Jaśka z Tęczyna.

Krzyżak zaś rzekł, patrząc wprost w twarz króla:

– Nie znam waszych praw ni waszych sądów, wiem jeno, że poseł Zakonu przed samym tylko królem skarżyć się może.

Małe oczki Jagiełły zamigotały z niecierpliwości, wyciągnął jednak rękę, wziął skargę i oddał Tęczyńskiemu.

Ten zaś rozwinął ją i począł czytać, ale w miarę jak czytał, twarz stawała mu się coraz więcej frasobliwa i smutna.

– Panie – rzekł wreszcie – tak nastajecie na życie tego młodzianka, jakby on całemu waszemu Zakonowi był straszny. Żali wy. Krzyżacy, już się i dzieci boicie?

My, Krzyżacy, nie boim się nikogo – odparł dumnie komtur.

A stary kasztelan dodał z cicha:

– A zwłaszcza Boga.

Powała z Taczewa czynił nazajutrz przed sądem kasztelańskim wszystko, co było w jego mocy, aby winę Zbyszka umniejszyć. Lecz próżno uczynek przypisywał dzieciństwu i niedoświadczeniu, próżno mówił, że nawet i ktoś starszy, gdyby trzy pawie czuby ślubował i o zesłanie ich się modlił, a potem ujrzał nagle taki czub przed sobą, mógłby także pomyśleć, że jest w tym zrządzenie boskie. Jednej rzeczy nie mógł zacny rycerz zaprzecć, to jest, że gdyby nie on, to kopia Zbyszkowa byłaby uderzyła o pierś Krzyżaka. Kuno zaś kazał przynieść do sądu zbroję, w którą owego dnia był przybrany, i okazało się, że była z cienkiej blachy, używana tylko do uroczystych odwiedzin i tak wiotka, że Zbyszko, zważywszy jego nadzwyczajną siłę, byłby ją

niechybnie grotem na wylot przebódl i posła życia pozbawił. Za czym pytano jeszcze Zbyszka, czy myślał Krzyżaka zabić; lecz on nie chciał się tego zapierać. „Wołałem na niego z daleka – rzekł – by kopii nadstawił, bo jużci żywy nie dałby sobie ze łba hełmu zedrzeć – ale gdyby i on był z daleka wołał, iż jest posłem, tedybym go był w spokoju ostawił”.

Podobały się te słowa rycerzom, którzy przez życzliwość dla młodzianka tłumnie się na sąd zgromadzili, i zaraz podniosły się liczne głosy: „Prawda! czemu nie wołał!” Lecz twarz kasztelana pozostała posępna i surowa. Nakazawszy obecnym milczenie, sam także przez chwilę milczał, po czym utkwiał w Zbyszku badawcze źrenice i zapytał:

– Możesz-li na mękę Pańską poprzysiąc, żeś płaszcza i krzyża nie widział?

– Nijak! – odpowiedział Zbyszko – żeby ja krzyża nie widział, to myślałbym, że to nasz rycerz, a w naszego przecie bym nie godził.

– A jakoż mógł się inny Krzyżak pod Krakowem znajdować, jeśli nie poseł albo nie z poselskiego pocztu?

Na to nic nie rzekł Zbyszko, bo nie było co rzec. Dla wszystkich było rzeczą aż nazbyt jasną, że gdyby nie pan z Taczewa, to w obecnej chwili leżałby przed sądem nie pancierz posła, ale sam poseł, z przebitą na wieczną hańbę narodowi polskiemu pierśią – więc ci nawet, którzy z całej duszy sprzyjali Zbyszowskiemu, rozumieli, że wyrok nie może być dla niego łaskawy...

Jakoż po chwili kasztelan rzekł:

– Iżeś w zapalczywości swej nie pomyślał, w kogo bijesz, i czynił bez złości, przeto ci Zbawiciel nasz to policzy i daruje, ale ty się, nieboże, Najświętszej Pannie poleć, gdyż prawo nie może ci tego darować...

Usłyszawszy to, Zbyszko, chociaż spodziewał się podobnych słów, przybladł nieco, ale wnet potem wstrząsnął w tył swe długie włosy, przeżegnał się i rzekł:

– Wola boska! Ano, trudno!

Następnie zwrócił się do Maćka i ukazał mu oczyma na Lichtensteina, jakby polecając go jego pamięci, a Maćko kiwnął głową na znak, że rozumie i pamięta. Zrozumiał to spojrzenie i ten ruch także i Lichtenstein, i jakkolwiek w piersiach biło mu zarówno mężne, jak zawzięte serce, jednakże dreszcz przebiegł go na chwilę od stóp do głów, tak straszną i złowrogą twarz miał w tej chwili stary wojownik. Widział Krzyżak, że między nim a owym starym rycerzem, którego twarzy nie

mógł nawet dobrze pod hełmem dojrzeć, pójdzie odtąd na śmierć i życie, że gdyby się nawet chciał przed nim skryć, to się nie skryje, i że gdy przestanie być posłem, to się muszą spotkać choćby w Malborgu.

Tymczasem kasztelan udał się do przyległej izby, by podyktować wyrok na Zbyszka bieglemu w piśmie sekretarzowi. Ten i ów z rycerzy zbliżał się podczas owej przerwy do Krzyżaka, mówiąc:

– Bogdaj na sądzie ostatecznym łaskawiej-ć osądzono! Radześ tej krwi?

Lecz Lichtensteinowi chodziło tylko o Zawiszę, gdyż ten, z powodu swych czynów bojowych, znajomości praw rycerskich i niezmierniej surowości w ich przestrzeganiu, znany był po świecie szeroko. W sprawach najbardziej zawilkłanych, w których chodziło o honor rycerski, udawano się do niego nieraz bardzo z daleka, i nikt nigdy nie śmiał mu przeczyć, nie tylko dlatego, że pojedyncza walka z nim była niepodobna, ale i dlatego, że uważano go za „zwierciadło czci”. Jedno słowo przygany albo pochwały z ust jego szybko rozchodziło się między rycerstwem Polski, Węgier, Czech, Niemiec i mogło stanowić o złej lub dobrej sławie rycerza.

Do niego więc zbliżył się Lichtenstein i jakby chcąc usprawiedliwić się ze swej zawziętości, rzekł:

– Sam tylko wielki mistrz wraz z kapitułą mógłby mu łaskę okazać – ja nie mogę...

– Nic waszemu mistrzowi do naszych praw; łaskę może tu okazać nie on, jeno król nasz – odpowiedział Zawisza.

– A ja, jako poseł, musiałem żądać kary.

– Pierwej byłeś rycerzem niż posłem, Lichtensteinie...

– Żali mniemasz, żem czci uchybił?

– Znasz nasze księgi rycerskie i wiesz, że dwoje zwierząt kazano naśladować rycerzowi; lwa i baranka. Ktoregożeś z nich w tej przygodzie naśladował?

– Nie tyś moim sędzią...

– Pytałeś, czyś czci nie uchybił, tom ci i odkazał, jako myślę.

– Żleś mi odkazał, bo tego nie mogę przełknąć.

– Własną się, nie moją złością udławisz.

– Ale mi Chrystus policzy, żem o majestat Zakonu więcej dbał niż o swoją chwałbę...

– On też nas wszystkich będzie sądził.

Dalszą rozmowę przerwało wejście kasztelana i sekretarza. Wiedziano już, że wyrok będzie niepomysłny, jednakże uczyniła się głucha

cisza. Kasztelan zajął miejsce za stołem i wzięwszy w rękę krucyfiks, rozkazał Zbyszkowi klęknąć.

Sekretarz zaczął odczytywać po łacinie wyrok. Ani Zbyszko, ani obecni rycerze nie zrozumieli go, jednakże wszyscy domyślili się, że jest to wyrok śmierci. Zbyszko po skończeniu czytania uderzył się kilkakrotnie pięścią w piersi, powtarzając: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu”.

Po czym wstał i rzucił się w ramiona Maćka, który począł całować w milczeniu jego głowę i oczy.

Wieczorem zaś tego dnia herold ogłaszał przy odgłosie trąb rycerzom, gościom i mieszczaństwu na czterech rogach rynku, iż szlachetny Zbyszko z Bogdańca skazan jest z wyroku kasztelańskiego na ucięcie głowy mieczem.

Lecz Maćko wyprosił, by egzekucja nie nastąpiła rychło, co mu przyszło łatwo, gdyż ludziom ówczesnym, zamiłowanym w drobiazgowym rozporządzaniu mieniem, zostawiano zwykle czas do układów z rodziną, jak również do pojednania się z Bogiem. Nie chciał też nastawać na prędkie wykonanie wyroku i sam Lichtenstein, rozumiejąc, że skoro obrażonemu majestatowi Zakonu stało się zadość, nie należy do reszty zrażać potężnego monarchy, do którego był wysłan nie tylko dla wzięcia udziału w uroczystościach chrzcin, ale i dla układów o ziemię dobrzyńską. Najważniejszym jednak względem było zdrowie królowej. Biskup Wysz ani chciał słyszeć o egzekucji przed połogiem, słusznie mniemając, że takiej sprawy nie można będzie przed panią ukryć, ta zaś, gdy się raz o niej dowie, wpadnie w turbację mogącą jej ciężko zaszkodzić. W ten sposób pozostawało Zbyszkowi może i kilka miesięcy życia do ostatecznych rozporządzeń i pożegnania się ze znajomymi.

Jakoż Maćko odwiedzał go codziennie i pocieszał, jak umiał. Rozmawiali żałośnie o nieuniknionej śmierci Zbyszkowej, a jeszcze żałośniej o tym, że ród może wyginać.

– Nie będzie inaczej, jeno musicie babę brać – rzekł raz Zbyszko.

– Wolej bym krewniaka jakiego choć z dalekości odszukał – odpowiedział stroskany Maćko. – Gdzie mnie o babach myśleć, kiedy tobie mają szyję uciąć. A choćby też koniecznie przyszło którą brać, nie uczynię tego, nim Lichtensteinowi zapowiedzi rycerskiej nie pošlę i pomsty nie dokonam. Już ty się nie bój!...

Bóg wam zapłać. Niechże mam choć tę uciechę! Alem to wiedział, że mu nie darujecie. Jakoże uczynicie?

– Jak się posłowanie jego skończy, będzie albo wojna, albo spokój – rozumiesz? Jeśli będzie wojna, wyślę mu zapowiedź, żeby przed bitwą do pojedynczej walki ze mną stanął.

– Na udeptanej ziemi?

– Na udeptanej ziemi, konno albo pieszo, ale jeno na śmierć, nie na niewolę. Będzie-li zaś spokój, to do Malbörga pojedę i kopią w bramę zamkową uderzę, a trębaczowi każę otrąbić, że go na śmierć wyzywam. Już ci się nie pochowa.

– Pewnie, że się nie pochowa, i rady mu dacie, jakobym widział.

– Rady?... Zawiszy bym nie dał, Paszkowi bym nie dał, Powale też; ale nie chwalcę się, takim jak on poradzę dwom. Obaczy krzyżacka jego mać! Żali nie tęższy był ów rycerz od Fryzów? A jakem go ciął z góry bez hełm, gdzie mi się topór zatrzymał? Na zębach się zatrzymał. Albo nie?

Odetchnął na to Zbyszko z wielką ulgą i rzekł:

– Lżej będzie ginąć.

I poczęli wzdychać obydwaj, po czym stary szlachcic jął mówić wzruszonym głosem:

– Ty się nie frasuj. Nie będą twoje kości szukały jedna drugiej na sądzie ostatecznym. Trumnę ci kazałem sporządzić dębową, taką, że i kanonicy od Panny Marii nie mają lepszych. Nie zginiesz ty jako ścierciałka. Ba! i tego nawet nie dopuszczę, żebyć mieli ścinać na tym samym suknie, na którym mieszczanów ścinają. Jużem się z Amylejem zgodził, że da całkiem nowe, tak zacne, że starczyłoby i królowi na poszycie kozucha. I mszy ci nie pożałuję – nie bój się!

Uradowało się na to serce Zbyszka, więc pochyliwszy się do ręki stryjca, powtórzył:

– Bóg wam zapłać.

Czasem jednak, mimo wszystkich pociech, zdejmowała go okrutna tęsknota, więc innym razem, gdy Maćko przyszedł go odwiedzić, ledwie się z nim przywitawszy, zapytał, spoglądając przez kratę w murze:

– A co tam na dworze?

– Pogoda jak złoto, a słońko przygrzewa, aże całemu światu miło.

Na to Zbyszko założył na kark obie dłonie i przechyliwszy w tył głowę, mówił:

– Hej, mocny Boże! Konia pod sobą mieć i jeździć po polach, po szerokich. Żal ginąć młodemu! Okrutny żal!

– Giną ludzie i z konia! – odparł Maćko.

– Ba! Ale ilu sami przedtem nabijają!...

I począł wypytywać o rycerzy, których na dworze króla widział: o Zawiszę, o Farureja, o Powagę z Taczewa, o Lisa z Targowiska i o wszystkich innych – co robią, czym się zabawiają, na jakich zacnych ćwiczeniach czas im schodzi? I słuchał chciwie opowiadań Maćka, który prawił, jako rano we zbrojach przez konie skaczą, jako powrozy targają, jako się próbują na miecze i na topory z ołowianymi ostrzami, a w końcu, jak uczują i jakie pieśni śpiewają. Chciało się Zbyszkowi lecieć do nich z całej duszy i serca, a gdy się dowiedział, że Zawisza zaraz po chrzcinach wybiera się aż hen gdzieś w dół Węgrów na Turków, nie mógł się wstrzymać od okrzyku:

– Puściliby mnie z nim! niechbym choć przeciw poganom zginął.

Ale nie mogło to być, a tymczasem zdarzyło się coś innego. Oto obie księżne mazowieckie nie przestały myśleć o Zbyszku, który ujął je swoją młodością i urodą. Wreszcie księżna Aleksandra Ziemowitowa umyśliła wysłać list do mistrza. Mistrz nie mógł wprawdzie zmienić wyroku wydanego przez kasztelana, ale mógł wstawić się za młodzieńcem do króla. Jagielle nie wypadało wprawdzie okazywać łaski, gdy szło o zamach na posła, zdawało się jednak rzeczą niewątpliwą, że rad ją okaże na wstawiennictwo samego mistrza. Więc nadzieja na nowo wstąpiła w serce obu pań. Księżna Aleksandra, mając sama słabość do polerowanych rycerzy zakonnych, była i przez nich nadzwyczaj ceniona. Niejednokrotnie szły dla niej z Malborge bogate dary i listy, w których mistrz nazywał ją czcigodną, świątobliwą dobrodziejką i osobliwą orędowniczką Zakonu. Słowa jej wiele mogły i było rzeczą wielce prawdopodobną, iż nie doznają odmowy. Chodziło tylko o znalezienie gońca, który by dołożył wszelkiej gorliwości, aby jak najprędzej list oddać i z odpowiedzią powrócić. Usłyszawszy o tym, stary Maćko podjął się tego bez wahania...

Uproszony kasztelan wyznaczył termin, do którego obiecał powstrzymać wykonanie wyroku. Pełen otuchy Maćko zakrzętnął się tego samego dnia koło odjazdu, po czym udał się do Zbyszka, aby mu szczęśliwą nowinę zwiastować.

Jakoż w pierwszej chwili Zbyszko wybuchnął tak wielką radością, jakby mu już otworzono drzwi wieży. Następnie jednak zamyślił się, sposepniał nagle i rzekł:

– Kto się tam od Niemców czego dobrego doczeka! Lichtenstein też mógł prosić króla o łaskę – i jeszcze by na tym wygrał, bo pomsty byłby się uchronił – a dlatego nie chciał nic uczynić...

– On się zawiązał za to, żeśmy go na tynieckiej drodze nie chcieli przeprosić. O mistrzu Kondracie nie mówią ludzie źle. Wreszcie stracić na tym – nie stracisz.

– Pewnie – rzekł Zbyszko – ale mu się tam nisko nie kłaniajcie.

– Co się mam kłaniać? List od księżnej Aleksandry wiozę –i tyła...

– Ha! kiedyście tacy dobrzy, to niech wam tam Bóg dopomoże...

Nagle spojrział bystro na stryjca i rzekł:

– Ale jeśli mi król daruje, to Lichtenstein będzie mój, nie wasz. Pamiętajcie...

– Jeszcześ szyi niepewny, to żadnych zapowiedzi nie czyń. Dość masz tamtych głupich ślubów – odrzekł z gniewem stary.

Po czym rzucili się sobie w objęcia – i Zbyszko został sam. Nadzieja i niepewność miotały na przemian jego duszą, a gdy przyszła noc, a z nią burza na niebie, gdy zakratowane okno poczęło rozświecać się złowrogim światłem błyskawic, a mury trząść się od grzmotów, gdy wreszcie wichur wpadł ze świstem do wieży i zgasił mdły kaganek przy łożu: pograżony w ciemności Zbyszko stracił znów wszelką otuchę – i całą noc ani na chwilę oczu nie mógł zamrużyć...

„Już ja się śmierci nie wywinę – myślał – i wszystko nic nie pomoże”.

Wszelako nazajutrz przyszła do niego w odwiedziny zacna księżna Anna Januszowa, a z nią i Danusia ze swoją luteńką za pasem. Zbyszko padł im kolejno do nóg, po czym jakkolwiek był w utrapieniu, po bezsennej nocy, w niedoli i niepewności, nie do tyła jednak zapomniał o rycerskiej powinności, aby nie okazać Danusi zdumienia nad jej urodą...

Lecz księżna podniosła na niego oczy pełne smutku i rzekła:

– Nie dziwuj się ty jej, bo jeśli Maćko dobrej odpowiedzi nie przywiezie albo zgoła nie wróci, będziesz ty się wkrótce, nieboże, lepszym rzeczom w niebie dziwował.

Po czym ją ronić łzy, rozmyślając o przyszłym niepewnym losie rycerzyka, a Danusia zawtórowała jej zaraz. Zbyszko pochylił się na nowo do ich nóg, bo i jego serce zmiękło wobec tych płaczów jak wosk w ciepłe. Nie kochał on tak Danusi, jak mąż kocha niewiastę, poczuł jednak, że ją kocha z całej duszy i że na jej widok dzieje mu się w piersiach coś takiego, jakby w nich tkwił drugi człowiek, mniej srogi, mniej zapędliwy, mniej wojną dyszący, a natomiast jakby słodkiego kochania spragniony. Chwycił go wreszcie żal ogromny, iż musi ją porzucić i nie będzie mógł dotrzymać tego, co ślubował.



– Już ja ci, niebogo, pawich czubów pod nogi nie podłożę –mówił.– Ale jeśli przed boskim obliczem stanę, tedy tak powiem: „Odpuść mi, Panie, grzechy, ale co jest dobra wszelkiego na ziemi, to daj nie komu innemu, tylko pannie Jurandównie ze Spychowa”.

– Niedawności się poznali – rzekła księżna. – Nie da Bóg, by to było na próżno.

Zbyszko zaczął wspominać wszystko, co zaszło w gospodzie tynieckiej, i rozczulił się zupełnie. W końcu jął prosić Danusi, by mu zaśpiewała tę samą pieśń, którą śpiewała wówczas, kiedy ją to chwycił z ławki i przyniósł do księżnej.

Więc Danusia, choć było jej nie do śpiewania, wzniosła zaraz główkę ku sklepieniu i przymknawszy jako ptaszek oczki, poczęła:

*Gdybym ci ja miała  
Skrzydłeczka jak gąska,  
Poleciałabym ja  
Za Jaśkiem do Śląska.  
Usiadłabym ci ja  
Na śląskowskim płocie...  
„Przypatrz się, Jasiulku...”*

Lecz nagle spod stulonych rzęsów wypłynęły jej łzy obfite –i nie mogła dłużej śpiewać. A Zbyszko porwał ją na ręce tak samo jak niegdyś w tynieckiej gospodzie i począł chodzić z nią po izbie, powtarzając w uniesieniu:

– Nie paniej jeno ja bym w tobie szukał. Niechby mnie Bóg wyratował, niechbyś dorosła – i niechby rodzic pozwolili – toby ja cię brał, dziewczyno!... Hej!

Danusia, objąwszy go za szyję, skryła splakaną twarz na jego ramieniu – a w nim żal wstawał coraz większy, który płynąc z głębi wolnej natury słowiańskiej, zmieniał się w tej prostej duszy niemal w pieśń polną:

*Toby ja cię brał, dziewczyno!  
Toby ja cię brał!*

## ROZDZIAŁ VI

Wtem zaszedł wypadek, wobec którego inne sprawy straciły wszelkie znaczenie w ludzkich oczach. Pod wieczór dnia 21 czerwca rozeszła się po zamku wiadomość o nagłym zasłabnięciu królowej. Wezwani medycy pozostali wraz z biskupem Wyszem przez całą noc w jej komnacie, a tymczasem dowiedziano się od niewiast służebnych, iż pani zagroziła słabość przedwczesna. Kasztelan krakowski Jaśko Topór z Tęczyna wysłał tejże nocy gońców do nieobecnego króla. Nazajutrz rano wieść gruchnęła po mieście i okolicy. Był dzień niedzielny, więc tłumy napępniały wszystkie świątynie, w których księża nakazali modlitwy za zdrowie królowej. Wówczas ustała wszelka wątpliwość. Po nabożeństwie goście rycerscy, którzy się już byli zjechali na spodziewane uroczystości, szlachta oraz deputacje kupieckie udały się na zamek; cechy i bractwa wystąpiły z chorągwiami. Od południa nieprzeliczone roje ludu otoczyły Wawel, między którymi utrzymywali ład łucznicy królewscy, nakazując spokojność i ciszę. Miasto wyludniło się prawie zupełnie i tylko przez opustoszałe ulice przeciągały od czasu do czasu gromady okolicznego chłopstwa, które również już zwiedziało się o chorobie uwielbianej pani i dążyło pod zamek. Wreszcie w głównej bramie pojawili się biskup i kasztelan, z nimi zaś kanonicy katedralni, rajcy królewscy i rycerze. Ci rozeszli się wzdłuż murów, między lud, z twarzami zwiastującymi nowinę, zaczęli jednak od surowego rozkazu, aby powstrzymano się od wszelkich okrzyków, te bowiem mogłyby chorej zaszkodzić. Za czym zwiastowali wszem wobec, iż królowa powiła córkę. Nowina napępniła radością serca, zwłaszcza gdy zarazem dowiedziano się, iż jakkolwiek półóg był przedwczesny, nie masz jednak widomego niebezpieczeństwa ni dla matki, ni dla dziecięcia. Tłumy poczęły się rozchodzić, albowiem pod zamkiem nie wolno było krzyczeć, każdy zaś chciał pofolgować radości. Jakoż, gdy wypełniły się ulice prowadzące na rynek, ozwały się wnet pieśni i radosne nawoływania. Nie trapiło się tym, że przyszła na świat córka. „Albo źle było, mówiono, że król Louis nie miał synów i że Królestwo dostało się Jadwidze? Przez jej to małżeństwo z Jagiełłą podwoiła się moc państwa. Tak będzie i teraz. Gdzież szukać takiej dziedziczki jako bę-

dzie nasza królowna, gdy ni cesarz rzymski, ni żaden z innych królów nie posiadają tak wielkiego państwa, tak obszernych ziemi ni tak liczne rycerstwa! Będą się dobijali o jej rękę najpotężniejsi monarchowie ziemi, będą się kłaniali królowej i królowi, będą zjeżdżali do Krakowa, a nam kupcom, korzyść z tego wypadnie, nie mówiąc o tym, że nowe jakieś państwo, czeskie albo węgierskie, z naszym się Królestwem połączy”. Tak to między sobą mówili kupcy – i radość stawała się z każdą chwilą powszechniejsza. Ucztowano w domach prywatnych i w gospodach. Rynek zaroił się od latami i pochodni. Po przedmieściach podkrakowscy kmiecie, których coraz więcej ściągało się do miasta, porozkładali się obozem przy wózkach. Żydzi rajcowali przy synagodze na Kazimierzu. Do późna w noc, prawie do brzasku, wrzało na rynku, szczególnie koło ratusza i wagi, jak w czasie wielkich jarmarków. Udzielano sobie wzajem wiadomości; posyłano po nie na zamek i oblegano tłumnie wracających z nowinami.

Najgorsza z nich była ta, że ksiądz biskup Piotr ochrzcił dziecko tej samej nocy, z czego wnoszono, że musi być bardzo słabe. Doświadczone mieszczki przytaczały jednak wypadki, w których dzieci urodzone na wpół martwe odzyskiwały siłę do życia właśnie po chrzcie. Więc pokrzepiano się nadzieją, którą wzmagало i imię nadane dziewczynce. Mówiono, że żaden Bonifacy ni żadna Bonfacja nie może umrzeć zaraz po urodzeniu, gdyż przeznaczono im jest coś dobrego uczynić, w pierwszych zaś leciech, tym bardziej w pierwszych miesiącach życia, dziecko nie może czynić ni źle, ni dobrze.

Następnego dnia jednak przysły z zamku wiadomości niepomyślne i o niemowlęciu, i o matce – i wzburzyły miasto. W kościołach przez cały dzień panował tłok jak w czasie odpustu. Posypały się wota za zdrowie królowej i królowny. Widziano ze wzruszeniem ubogich wieśniaków ofiarujących ćwiartki zboża, jagnięta, kury, wianuszki suszonych grzybów lub krobie orzechów. Płynęły znaczne ofiary od rycerstwa, od kupców, od rzemieślników. Rozesłano gońców do cudownych miejsc. Astrologowie badali gwiazdy. W samym Krakowie nakazano uroczyste procesje. Wystąpiły wszystkie cechy i wszystkie bractwa. Całe miasto zakwitło chorągwiami. Odbyła się i procesja dzieci, sądzono bowiem, że niewinne istoty najłatwiej ubłagają Boga o łaskę. Przez bramy miejskie zjeżdżały coraz nowe tłumy z okolicy.

I tak płynął dzień za dniem wśród ustawicznego bicia w dzwony, wśród gwaru po kościołach, procesyj i nabożeństw. Lecz gdy upłynął tydzień, a i dostojna chora, i dziecię żyły jeszcze, poczęła otucha wstę-

pować w serca. Zdawało się ludziom rzeczą niepodobną, aby Bóg zabrał przedwcześnie władczynię państwa, która tyle dla niego uczyniwszy, musiałaby pozostawić niedokończone ogromne dzieło i apostołkę, która ofiarą własnego szczęścia przywiodła do chrześcijaństwa ostatni pogański naród w Europie. Uczeni wspominali, ile uczyniła dla Akademii, duchowni ile dla chwały Bożej, statyści ile dla pokoju między chrześcijańskimi monarchami, prawoznawcy – ile dla sprawiedliwości, biedni – ile dla ubóstwa, i wszystkim nie mieściło się w głowie, izby życie tak potrzebne dla Królestwa i świata całego mogło być przedwcześnie przecięte.

Tymczasem 13 lipca dzwony żałobne oznajmiły śmierć dziecka. Zawrzało znów miasto i niepokój ogarnął ludzi, a tłumy powtórnie obiegły Wawel, dopytując o zdrowie królowej. Lecz tym razem nikt nie wychodził z dobrą nowiną. Owszem, twarze panów wjeżdżających na zamek lub wyjeżdżających przez bramy były posępne i z każdym dniem posępniejsze. Mówiono, że ksiądz Stanisław ze Skarbimierza, mistrz nauk wyzwolonych w Krakowie, nie odstępował już królowej, która codziennie przystępuje do komunii. Mówiono również, że po każdym przystąpieniu komnata jej napełnia się światłem niebieskim. Niektórzy widzieli je nawet przez okna, ale widok ten raczej przerażał oddane pani serca jako oznaka, że rozpoczyna się już dla niej życie ziemskie.

Niektórzy nie wierzyli jednak, aby się mogła stać rzecz tak straszna, i ci krzepili się nadzieją, że sprawiedliwe nieba poprzestaną na jednej ofierze. Tymczasem w piątek z rana dnia 17 lipca gruchnęło między ludem, iż królowa kona. Kto żył, spieszył pod zamek. Miasto opustoszało tak, że zostali w nim tylko kalecy, albowiem nawet matki z niemowlętami pośpieszyły do bram. Sklepy były pozamykane; nie gotowano jadła. Ustały wszystkie sprawy, a natomiast pod Wawelem czerniało jedno morze ludu – niespokojne, przerażone, ale milczące.

Wtem o godzinie trzynastej z południa ozwał się dzwon na katedralnej wieży. Nie zrozumiano od razu, co to znaczy, jednakowoż niepokój począł podnosić włosy na głowach. Wszystkie głowy i wszystkie oczy zwróciły się ku wieżycy na kołyszący się z coraz większym rozmachem dzwon, którego żaloszny jęk zaczęły powtarzać inne w mieście: u Franciszkanów, u Św. Trójcy, u Panny Marii – i hen dalej, jak miasto długie i szerokie. Zrozumiano wreszcie, co znaczą owe jęki; dusze ludzkie napełniły się przerażeniem i takim bólem, jakby one spiżowe serca dzwonów uderzały wprost w serca wszystkich obecnych.

Nagle na wieży ukazała się czarna chorągiew z wielką trupią głową pośrodku, pod którą białe dwa złożone na krzyż piszczele ludzkie. Wówczas ustała wszelka wątpliwość. Królowa oddała ducha Bogu.

Pod zamkiem rozległ się ryk i płacz stu tysięcy ludzi – i pomieszał się z ponurymi odgłosami dzwonów. Niektórzy rzucali się na ziemię, inni darli na sobie szaty lub rozdrapywali twarze, inni spoglądali na mury w niemym osłupieniu, niektórzy jęczeli głucho, niektórzy, wyciągając ręce ku kościołowi i komnacie królowej, wzywali cudu i Bożego miłosierdzia. Lecz ozwały się także głosy gniewne, które w uniesieniu i rozpaczach dochodziły do bluźnierstw. „Przecież nam zabrano naszą umiłowaną? Na cóż się zdały nasze procesje, nasze modlitwy i błagania? To miłe były srebrne i złote wota, a za to nic? Wziąć wzięto, a dać nie dano!” Inni wszelako powtarzali, zalewając się łzami i jęcząc: „Jezu! Jezu! Jezu!” Tłumy chciały wejść do zamku, by spojrzeć jeszcze raz na ukochaną twarz Pani. Nie puszczono ich, ale im przyobiecano, że wkrótce ciało będzie wystawione w kościele, a wtedy każdy będzie mógł oglądać je i modlić się przy nim. Za czym pod wieczór posępne tłumy zaczęły wracać ku miastu, opowiadając sobie o ostatnich chwilach królowej, o przyszłym pogrzebie i o cudach, które się będą działy przy jej ciele i około jej grobowca, a których wszyscy byli zupełnie pewni. Rozpowiadano również, że królowa zaraz po śmierci będzie kanonizowana – gdy zaś niektórzy wątpili, czy się to może stać, poczęto się oburzać i grozić Awinionem...

Smutek ponury padł na miasto, na cały kraj, i nie tylko ludowi pospolitemu, ale i wszystkim wydało się, że wraz z królową zagasła dla Królestwa pomyślna gwiazda. Nawet między panami krakowskimi byli tacy, którzy czarno patrzyli w przyszłość. Poczęto zadawać sobie i innym pytania, co teraz będzie? czyli Jagiełło po śmierci królowej ma prawo panować w Królestwie, czyli też wróci na swoją Litwę i poprzestanie na wielkoksiążęcym tronie? Niektórzy przewidywali – i jak się okazało, nie bez słuszności – że sam on zechce ustąpić i że w takim razie odpadną od Korony obszerne ziemie, rozpoczną się znów napady od strony Litwy i krwawe odwety zawziętych mieszkańców Królestwa. Zakon się wzmoże, wzmoże się cesarz rzymski i król węgierski a Królestwo, do wczoraj jedno z najpotężniejszych w świecie, przyjdzie do upadku i pohańbienia.

Kupcy, dla których stanęły otworem obszerne kraje litewskie i ruskie, czynili w przewidywaniu strat śluby pobożne, aby Jagiełło pozostał na Królestwie, lecz w takim znów razie przepowiadano rychłą

wojnę z Zakonem. Wiadomo było, że powstrzymywała ją tylko królowa. Ludzie przypominali sobie teraz, jak niegdyś, oburzona na chciwość i drapieżność Krzyżaków, mówiła im w proroczym widzeniu: „Póki ja żyję, póty powstrzymuję rękę i słuszny gniew męża mojego, lecz pamiętajcie, iż po mojej śmierci spadnie na was kara za wasze grzechy!”

Oni w pysze i zaślepieniu nie lękali się wprowadzić wojny, licząc, że gdy po śmierci królowej urok jej świętobliwości nie będzie powstrzymywał napływu ochotników z państw zachodnich, naówczas przyjdą im w pomoc tysiące bojowników z Niemiec, z Burgundii, Francji i dalszych jeszcze krajów. Lecz śmierć Jadwigi była jednakże wypadkiem tak doniosłym, że poseł krzyżacki Lichtenstein, nie czekając nawet na przyjazd nieobecnego króla, ruszył co prędzej do Malboga, by jak najprędzej donieść wielkiemu mistrzowi i kapitule ważną i poniekąd groźną nowinę.

Posłowie: węgierski, rakuski, cesarski, czeski, wyruszyli za nim lub też wysłali gońców do swych monarchów. Jagiełło przyjechał do Krakowa w ciężkiej rozpacz. W pierwszej chwili oświadczył panom, że nie chce już dalej królować bez królowej i że odjedzie na swoje dziedzictwo do Litwy, po czym z żalu wpadł jakoby w odrętwienie, nie chciał rozstrzygać żadnych spraw, nie odpowiadał na pytania, chwilami zaś wpadał w straszny gniew na samego siebie za to, że był odjechał, że nie był przy śmierci królowej, że się z nią nie pożegnał i nie wysłuchał jej ostatnich słów i poleceń. Próżno Stanisław ze Skarbimierza i biskup Wysz przedkładali mu, że choroba królowej wypadła niespodzianie i że wedle ludzkich obliczeń miał wszelki czas wrócić, gdyby połów odbył się był w porze właściwej. Nie przynosiło mu to żadnej pociechy ani nie koło jego żalu. „Nie król ja bez niej – odpowiadał biskupowi –jeno grzesznik pokajany, który nie zazna pociechy”. Po czym wbijał oczy w ziemię i nikt nie mógł od niego słowa więcej wydobyć.

Tymczasem wszystkie umysły zajęły się pogrzebem królowej. Z całego kraju poczęły ścigać nowe tłumy panów, szlachty i ludu, zwłaszcza ubóstwa, które spodziewało się obfitych zysków z jałmużn przy obrzędzie pogrzebowym, mającym trwać przez cały miesiąc. Ciało królowej ustawiono w katedrze na podwyższeniu urządzonym w ten sposób, że szersza część trumny, w której spoczywała głowa zmarłej, znajdowała się znacznie wyżej od dolnej. Urządzono tak umyślnie, by lud mógł lepiej widzieć twarz królowej. W katedrze odprawiało się

nieustające nabożeństwo: przy katafalku płonęły tysiące świec woskowych, a wśród tych blasków i wśród kwiatów leżała Ona, spokojna, uśmiechnięta, podobna do białej róży mistycznej – ze złożonymi w krzyż rękoma na lazurowej sukni. Lud widział w niej świętą, przyprowadzano do niej opętanych, kaleki, chore dzieci – i raz w raz w środku świątyni rozlegał się krzyk to jakiejś matki, która na twarzy chorego dziecka spostrzegła rumieńce, zwiastuny zdrowia, to jakiegoś paralityka, który nagle odzyskiwał władzę w schorzałych członkach. Wówczas serca ludzkie przejmował dreszcz, wieść o cudzie przelatywała kościół, zamek, miasto i ściągała coraz większe roje nędzy ludzkiej, która od cudu tylko mogła spodziewać się poratowania.

O Zbyszku zapomniano tymczasem zupełnie, któż bowiem wobec tak olbrzymiego nieszczęścia pamiętać mógł o zwyczajnym pacholęciu szlacheckim i o jego uwięzieniu w baszcie zamkowej! Zbyszko wiedział jednakowoż od stróżów więziennych o chorobie królowej, słyszał gwar ludu koło zamku, a gdy usłyszał jego płacz i bicie we dzwony, rzucił się na kolana i przepomniawszy o własnym losie, z całej duszy jął oplakiwać śmierć uwielbionej Pani. Zdawało mu się, że razem z nią zgasło coś i dla niego i że wobec takiej śmierci nie warto nikomu żyć na świecie.

Echa pogrzebu, dzwony kościelne, śpiewy procesyj i zawodzenia tłumów dochodziły go przez całe tygodnie. Przez ten czas sposepniał, stracił ochotę do jedła, do snu i chodził po swoim podziemiu jak dziki zwierz po klatce. Ciężła mu samotność, gdyż bywały dni, że nawet stróż więzienny nie przynosił mu świeżego jedła i wody, tak dalece wszyscy byli zajęci pogrzebem królowej. Od czasu jej śmierci nie odwiedził go nikt: ani księżna, ani Danusia, ani Powąła z Taczewa, który dawniej tyle okazywał mu życzliwości, ani kupiec Amylej, znajomek Maćka. Zbyszko z goryczą myślał, że gdy Maćka nie stało, zapomnieli o nim wszyscy. Chwilami przychodziło mu do głowy, że może zapomni o nim i prawo – i że przyjdzie mu gnić do śmierci w tym więzieniu. Wówczas modlił się o śmierć.

Wreszcie gdy od pogrzebu królowej upłynął miesiąc, a rozpoczął się drugi, począł wątpić i o powrocie Maćka. Obiecał przecie Maćko jechać pośpiesznie, konia nie żałować. Malborg nie na końcu świata. Przez dwanaście niedziel można było dojechać i wrócić – zwłaszcza gdy komuś pilno było. „Ale może i jemu niepilno! – myślał z żalem Zbyszko – może sobie gdzie po drodze babę upatrzył i rad ją do Bog-

dańca powiezie, aby się własnego potomstwa doczekać, a ja tu będę przez wieki zmiłowania boskiego wyglądał!”

Stracił wreszcie rachubę czasu, przestał całkiem rozmawiać ze stróżą i tylko z pajęczyny, pokrywającej coraz obficie żelazną kratę w oknie, miarkował, że na świecie nadchodzi jesień. Siadywał teraz całymi godzinami na łożu, z łokciami na kolanach, z palcami we włosach, które mu już daleko za ramiona sięgały – i w półśnie, w półodrętwieniu nie podnosił głowy nawet i wówczas, gdy strażnik zagadał do niego, przynosząc spyżę. Aż pewnego dnia skrzypnęły wrzeciędzy i znajomy głos zawołał od progu więzienia:

– Zbyszku!

– Stryjko – krzyknął Zbyszko, zerwawszy się z tapczana. Maciek chwycił go w ramiona, po czym objął mu jasną głowę dłońmi i pocałował ją całować. Żal, gorycz i tęsknota tak wezbrały w sercu młodzianka, że pocałował płakać na piersiach stryja ca jak małe dziecko.

– Myślałem, że już nie wrócicie – rzekł, łkając.

– Boć i niewiele brakło – odrzekł Maciek. Dopieroż Zbyszko podniósł głowę i spojrzawszy na niego, zawołał:

– A z wami co się stało?

I patrzył ze zdumieniem na wynędzniałą, zapadłą i bladą jak płótno twarz starego wojownika, na jego pochyloną postać i na posiwiałe włosy.

– Co z wami? – powtórzył.

Maćko siadł na tapczanie i przez chwilę oddychał ciężko.

– Co się stało? – rzekł wreszcie. – Ledwie granicę przejechał, postrzelili mnie w boru Niemcy z kuszy. Zbóje-rycerze! –wiesz? Ciężko mi jeszcze dychać... Bóg zesłał mi pomoc – inaczej byś mnie tu nie widział.

– Któż was zratował?

– Jurand ze Spychowa – odrzekł Maćko. Nastąpiła chwila milczenia.

– Oni napadli mnie, a w pół dzionka później on ich. Ledwie połowa mu ich uszła. Mnie wziął do gródka, i tam w Spychowie ze śmiercią-m się przez trzy niedziele zmagiał. Bóg nie dał skonać – i choć mi jeszcze ciężko, alem wrócił.

– A to nie byliście w Malborgu?

– Z czymżem miał jechać? Obdarli mnie do cna i list z innymi rzeczami zabrali. Wróciłem prosić księżny Ziemowitowej o drugi, alem się z nią w drodze rozminął – i czyją zgonię – nie wiem – bo mi się też na tamten świat wybierać.



To rzekłszy, splunął na dłoń i wyciągnąwszy ją ku Zbyszkowi, ukazał na niej czystą krew, mówiąc:

– Widzisz?

A po chwili dodał:

– Widać wola boska.

Czas jakiś milczeli obaj pod brzemieniem posepnych myśli, po czym Zbyszko rzekł:

– To tak ciągle krwią plwacie?

– Jakoże nie mam plwać, kiedy mi na pół piędzi grota między żebrami utkwiło! Plwałbyś i ty – nie bój się. Ale u Juranda ze Spychowa już mi się lepiej uczyniło, jeno żem się ninie okrutnie znów zmęczył, bo droga długa, a pilnom jechał.

– Hej! po co wam się było spieszyć?

– Bom chciał księżnę Aleksandrę zdybać i brać od niej drugie pisanie. A Jurand ze Spychowa prawil tak: „Jedźcie – powiada –i wracajcie z listem do Spychowa. Ja – prawi – mam kilku Niemców pod podłogą, to jednego na słowo rycerskie uwolnię i ten list do mistrza powiezie”. A on ich tam zawsze kilku przez pomstę za śmierć żony pod sobą trzyma i rad słucha, jako mu nocami jęczą a żelaziwem brzękają, gdyż jest człek zawzięty. Rozumiesz?

– Rozumiem. Jeno to mi dziwno, żeście pierwszy list stracili, bo skoro Jurand ułapił tych, którzy was napadli, to list powinien był być przy nich.

– Nie ułapił ci ich wszystkich. Uszło coś z pięciu. Taka już doła nasza.

To rzekłszy, Maćko odchrząknął, splunął znów krwią i stęknął trochę z bólu w piersiach.

– Ciężko was postrzelili – rzekł Zbyszko. – Jakże to? Z zasadzki?

– Z kuszców tak gęstych, że na krok nie było nic widać. A jechałem bez zbroi, bo mi kupcy mówili, że kraj bezpieczny –i upał był.

– Któż zbójom przywodził? Krzyżak?

– Nie zakonnik, ale Niemiec. Chełmińczyk z Lentzu, wstawion z rozbojów i grabieży.

– Cóż się z nim stało?

– U Juranda na łańcuchu. Ale on też ma w podziemiu dwóch szlachty Mazurów, których chce za siebie oddać. Znów zapadło milczenie.

– Miły Jezu – rzekł wreszcie Zbyszko – to Lichtenstein będzie żywy i ów z Lentzu także, a nam trzeba ginąć bez pomsty. Mnie głowę utną, a i wy pewnikiem już się nie przezimujecie.

– Ba! i do zimy nie dociągnę. Żeby choć ciebie jako zratować...

– Widzieliście tu kogo?

– Byłem u kasztelana krakowskiego, bo jakim się dowiedział, że Lichtenstein wyjechał, myślałem, że ci pofolgują.

– A to Lichtenstein wyjechał?

– Zaraz po śmierci królowej, do Malborga. Byłem wtedy u kasztelana, ale on powiedział tak: „Nie dlatego waszemu bratankowi głowę utnę, aby się Lichtensteinowi pochlebić, jeno że taki jest wyrok, a czy Lichtenstein tu jest, czy go nie ma, to wszystko jedno. Choćby też Krzyżak i umarł, nic to nie zmieni, bo – powiada – prawo jest wedle sprawiedliwości – nie tak jako kubrak, którego możesz do góry podszewką przewrócić. Król – prawi – może łaskę okazać, ale nikt inny”.

– A gdzie król?

– Pojechał po pogrzebie aż na Ruś.

– No, to i nie ma rady.

– Nijakiej. Kasztelan powiadał jeszcze: „Żal mi go, bo i księżna Anna za nim prosi, ale jak nie mogę, to nie mogę...”

– A księżna Anna jeszcze też jest?...

– Niech jej ta Bóg zapłaci! To dobra pani. Jeszcze tu jest, bo Jurandówna zachorzała, a księżna ją miłuje jak własne dziecko.

– O, dla Boga! To i Danuskę chorobę napadła. Coże jej takiego?

– Boja wiem!... księżna powiada, że ją ktoś urzekł.

– Pewnie Lichtenstein! nikt inny, jeno Lichtenstein – sobacza mać!

– Może i on. Ale co mu zrobisz? – nic.

– To dlatego wszyscy mnie tu zabaczyli, że i ona była chora... To rzekłszy, Zbyszko jął chodzić wielkimi krokami po izbie, a wreszcie chwycił rękę Maćka, ucałował ją i rzekł:

– Bóg wam zapłaci za wszystko, boć z mojej przyczyny pomrzecie, ale skoroście jeździli aż do Prus, to póki do reszty nie zesłabniecie, uczynicież jeszcze dla mnie jedną rzecz. Pójdźcie do kasztelana i proście, żeby mnie na słowo rycerskie puścił choć na dwanaście niedziel. Potem wrócę i niech mi szyję utną, ale to przecie tak nie może być, byśmy bez nijakiej pomsty poginęli. Wiecie... pojedę do Malborga i zara zapowiedź Lichtensteinowi pošlę. Już też nie może być inaczej. Jego śmierć albo moja!

Maćko począł trzeć czoło:

- Pójść pójdę, ale czy kasztelan pozwoli?
- Słowo rycerskie dam. Na dwanaście niedziel – więcej mi nie trza...
- Co ta gadać: na dwanaście niedziel! A jak będziesz ranny i nie wrócisz, co pomyślą?...
- Toć choćby na czworakach wrócę. Ale nie bójcie się! I widzicie, może przez ten czas zjedzie król z Rusi; to mu się będzie można o zmiłowanie pokłonić.
- Prawda jest – rzekł Maćko. Lecz po chwili dodał:
- Bo mnie kasztelan i to jeszcze powiadał: „Przepomnieliśmy o waszym bratanku z przyczyny śmierci królowej, ale teraz niechże się to już skończy”.
- Ej, pozwoli – odpowiedział z otuchą Zbyszko. – Jużci przecie wie, że szlachcic mu słowo zdzierży, a czy mi teraz głowę utną, czy po świętym Michale, to mu wszystko jedno.
- Ha! pójdę dziś jeszcze.
- Dziś idźcie do Amyleja i legnijcie trochę. Niech wam jakowej driakwi na ranę przyłożą, a jutro pójdźcie do kasztelana.
- No, to z Bogiem!
- Z Bogiem!
- Uściskali się i Maćko zwrócił się ku drzwiom, ale w progu zatrzymał się jeszcze i namarszczył czoło, jakby sobie coś nagle przypomniał.
- Ba, toć przecie ty pasa rycerskiego jeszcze nie nosisz: powie ci Lichtenstein, że z niepasowanym nie będzie się potykał-i co mu zrobisz?
- Zbyszko zafrasował się, ale tylko na chwilę, po czym rzekł:
- A jakoże bywa na wojnie? Czy to koniecznie pasowany tylko pasowanych wybiera?
- Wojna to wojna, a walka samowtór co innego.
- Prawda... ale... poczekajcie... Trzeba poradzić... Ano, widzicie! – jest rada. Książę Janusz będzie mnie pasował. Jak go księżna z Danuską poproszą, to będzie pasował. A ja po drodze będę się zaraz na Mazowszu z synem Mikołaja z Długolasu też potykał.
- Za co?
- Bo Mikołaj – wiecie – ten, co jest przy księżnie i którego Obuchem zowią – powiedział na Danuskę: „skrzat”.
- Maćko popatrzył na niego ze zdumieniem, a Zbyszko, chcąc widocznie lepiej wytłumaczyć, o co mu chodziło, mówił dalej:

– Jużci tego też darować nie mogę, a z Mikołajem przecie nie będę się potykał, bo mu chyba z osiemdziesiąt lat. Na to Maćko:

– Słuchaj, chłopie! szkoda mi twojej głowy, ale rozumu nie szkoda, ile żeś głupi jak cap.

– A wy się czego sierdziecie?

Maćko nie odrzekł nic i chciał wyjść, ale Zbyszko poskoczył jeszcze ku niemu:

– A jakoże Danuśka? zdrowa już? Nie gniewajcie się za byle co. Przecie was tyle czasu nie było.

I pochylił się znów do ręki starego, ten zaś wzruszył ramionami, ale odrzekł łagodniej:

– Jurandówna zdrowa, jeno jej jeszcze z komnaty nie puszczają. Bywaj zdrów.

Zbyszko pozostał sam, ale jakby odrodzony na duszy i ciele. Miło mu było pomyśleć, że będzie miał jeszcze ze trzy miesiące życia przed sobą, że pojedzie w dalekie kraje, wyszuka Lichtensteina i stoczy z nim walkę śmiertelną. Na samą myśl o tym radość zapełniła mu piersi. Dobrze choć przez dwanaście niedziel czuć konia pod sobą, jeździć po szerokim świecie, bić się i nie zginąć bez pomsty. A potem – niech się dzieje, co chce – to przecie ogromny szmat czasu. Może król wrócić z Rusi i darować winę, może wybuchnąć ta wojna, którą wszyscy z dawna zapowiadali – może i sam kasztelan, gdy po trzech miesiącach ujrzy zwycięzcę hardego Lichtensteina, powie: „Ruszajże teraz na bory, lasy!” Czuł bowiem jasno Zbyszko, że zawziętości nikt, prócz Krzyżaka, przeciw niemu nie żywił – i że sam surowy pan krakowski tylko jakoby z musu skazał go na śmierć.

Więc nadzieja wstępowała w niego coraz większa, gdyż nie wątpił, że mu tych trzech miesięcy nie odmówią. Owszem, myślał, że mu dadzą nawet więcej, to bowiem, by szlachcic, poprzysiągłszy na cześć rycerską, miał słowa nie dotrzymać, nawet nie przyjdzie staremu panu z Tęczyna do głowy.

Toteż gdy Maćko przyszedł nazajutrz o zmroku do więzienia, Zbyszko, który ledwie mógł już usiedzieć, skoczył ku niemu do proga i zapytał:

– Pozwolił?

Maćko siadł na tapczanie, bo stać z wielkiego osłabienia nie mógł; przez chwilę oddychał ciężko i wreszcie rzekł:

– Kasztelan powiedział tak: „Jeśli wam potrzeba podzielić grunt albo statek, to waszego bratanka na jedną albo na dwie niedziele na rycerskie słowo wypuszczę, ale na dłużej nie”.

Zbyszko zdumiał się tak, iż czas jakiś słowa nie mógł przemówić.

– Na dwie niedziele? – zapytał po chwili – A toć ja przez dwie niedziele nawet do granicy nie zajadę! – Cóż to jest?... Chybaście kasztelanowi nie powiedzieli, po co ja chcę do Malborka?

– Nie tylko ja za tobą prosiłem, ale i księżna Anna.

– No i co?

– I co? Powiedział jej stary, że mu po twojej szyi nic i że sam cię żałuje. „Niechbym, powiada, jakie prawo za nim znalazł – ba! niechby i pozór – tobym go całkiem puścił – ale jak nie mogę, to nie mogę. Nie będzie, powiada, dobrze w tym Królestwie, gdy ludzie poczną na prawo oczy zamykać i po przyjaźni sobie folgować; czego ja nie uczynię, choćby o Toporczyka, mego krewniaka, albo zgoła brata chodziło”. – Tacy to tu ludzie nieuczyci. – A on jeszcze powiadał tak: „My nie potrzebujemy się oglądać na Krzyżaków, ale hańbić się nam przed nimi nie wolno. Co by pomyśleli i oni, i ich goście, którzy z całego świata przychodzą, gdyby ja skazanego na śmierć szlachcica puścił po to, by miał wolę pojechać sobie do nich na bitkę? Żaliby uwierzyli, że go kara dosięgnie i że jest jakaś w naszym państwie sprawiedliwość? Wolę ja jedną głowę uciąć niżli króla i Królestwo na śmiech podawać”. – Powiedziała na to księżna, że cudna jej taka sprawiedliwość, od której nawet krewna królewska nie może człeka wyprosić, ale stary jej odrzekł: „I samemu królowi służy łaska, ale nie służy bezprawie”. Dopieroż wzięli się kłócić, bo księżnę porwał gniew: „To go, powiada, nie gnójcie w więzieniu!” A kasztelan na to: „Dobrze! od jutra każę pomostek na rynku stawić”. I na tym się rozeszli. Już ciebie, nieboże, chyba sam Pan Jezus zratuje... Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Jakże? – ozwał się głuchym głosem Zbyszko. – To to już zaraz będzie?

– Za dwa albo trzy dni. Jak nie ma rady, to nie ma. Co ta mogłem, tom uczynił. Padłem do nóg kasztelanowi, proszę o zmiłowanie, ale on swoje: „Wynajdź prawo albo pozór”. A co ja wynajdę? Byłem u księdza Stanisława ze Skarbimierza, aby do ciebie z Panem Bogiem przyszedł. Niechże choć ta sława będzie, że cię ten sam spowiadał, co i królową. Ale go nie znalazłem doma, bo był u księżny Anny.

– Może u Danuśki?

– Bogdać tam. Dziewka coraz zdrowsza. Pójdę do niego jeszcze jutro do dnia. Powiadają, że po jego spowiedzi to ci zbawienie tak pewne, jakobyś je miał w torbie.

Zbyszko siadł, wsparł łokcie na kolanach i pochylił głowę tak, że włosy całkiem mu pokryły oblicze. Stary wpatrywał się w niego przez czas długi, wreszcie począł z cicha wołać:

– Zbyszku! Zbyszku!

Chłopak podniósł twarz raczej rozdrażnioną i pełną chłodnej zawziętości niż zboląłą.

– A co?

– Słuchajże pilnie, bom może co i znalazł.

To rzekłszy, przysunął się blisko i począł prawie szeptać:

– Słyszałeś ty o księciu Witoldzie, jako drzewiej, uwięzion przez dzisiejszego naszego króla w Krewie, wyszedł z więzienia w niewieścim przebraniu. Niewiasta tu żadna za ciebie nie ostanie, ale bierz mój kubrak, bierz kaptur i wychodź – rozumiesz. A nuż się nie postrzegą. I pewno. Za drzwiami ciemno. W oczy nie będą ci świecić. Widzieli mnie wczoraj, jakom wychodził, i żaden ani spojrzal. Cicho bądź i słuchaj: znajdą mnie jutro –i co? Utną mi głowę? To ci im będzie pociecha, kiedy mnie i tak za dwie lub trzy niedziele śmierć pisana. A ty, jak stąd wyjdiesz, siadaj na konia i prosto do kniazia Witolda ruszaj. Przypomnisz mu się, pokłonisz, to cię przyjmie i będzie ci u niego jak u Pana Boga za piecem. Tu ludzie gadają, że wojska kniaziewe zniszczone przez Tatarów. Nie wiadomo, czy prawda, ale może być, bo nieboszczka królowa tak prorokowała. Jeśli prawda, to tym bardziej będzie kniaź rycerzy potrzebował i rad cię obaczy. Ty zasię trzymaj się go, bo nie masz na świecie lepszej służby. Przegra-li inszy król wojnę, to już po nim, a w kniaziu Witoldzie taka obrotność, że po przegranej jeszcze się czyni potężniejszy. I hojny jest, a naszych miłuje okrutnie. Powiedz mu wszystko, jako było. Powiedz, żeś chciał na Tatary z nim iść, aleś nie mógł, boś w wieży siedział. Bóg da, że cię obdarzy ziemią, chłopami –i rycerzem będzie cię pasował, i do króla się za tobą wstawi. Dobry to orędownik – obaczysz! – co?

Zbyszko słuchał w milczeniu, Maćko zaś jakby podniecony własnymi słowami mówił dalej:

– Nie ginąć tobie za młodu, ale do Bogdańca wracać. A jak wrócisz, zaraz masz żonę brać, żeby nasz ród nie zginął. Dopiero jak dzieci napłodzisz, możesz Lichtensteina na śmierć pozwać, ale przedtem warij mi się od szukania pomsty, bo nużby cię postrzelili gdzie w Prusach

tak jako mnie – toby już nie było nijakiej rady. Bierzże teraz kubrak, bierz kaptur i ruszaj w imię Boże.

To rzekłszy, Maćko wstał i począł się rozdziewać – lecz Zbyszko podniósł się także, zatrzymał go i rzekł:

– Nie uczynię ja tego, czego ode mnie chcecie, tak mi pomagaj Bóg i Święty Krzyż.

– Czemu? – spytał ze zdumieniem Maćko.

– Bo nie uczynię.

A Maćko aż pobladł ze wzruszenia i gniewu.

– Bogdajes ty się był nie rodził.

– Mówiliście już kasztelanowi – rzekł Zbyszko – iżę swoją głowę za moją oddajecie.

– Skąd wiesz?

– Powiadał mi pan z Taczewa.

– To i co z tego?

– Co z tego? A cóż wam kasztelan rzekł, że hańba by spadła na mnie i na cały nasz ród. Żali nie większa by jeszcze hańba była, gdyby ja stąd uciekł, a was tu na pomstę prawu zostawił?

– Na jaką pomstę? Co mnie prawo uczyni, kiedy ja i tak zamrę? Miejsze rozum, na miłosierdzie Boże!

– A toć tym bardziej. Niechże mnie Bóg pokarze, jeśli ja was starego i chorego tu opuszczę. Tfu! hańba...

Nastało milczenie; słycać było tylko ciężki, rzeżący oddech Maćka – i nawoływania łuczników stojących na straży przy bramach. Na dworze uczyniła się już noc głęboka...

– Słuchaj – ozwał się wreszcie Maćko złamanym głosem – nie była hańba kniaziowi Witoldowi uciekać tak z Krewa – nie będzie i tobie...

– Hej! – odrzekł z pewnym smutkiem Zbyszko – wiecie! kniaz Witold wielki kniaz: ma ci koronę z rąk królewskich, bogactwo i panowanie – a ja ubogi ślachcic – jeno cześć...

Po chwili zaś zawołał jakby z nagłym wybuchem gniewu:

– A to nie rozumiecie, że was takż miłuję i że waszej głowy za swoją nie dam?

Na to Maćko podniósł się na chwiejnych nogach, wyciągnął przed się ręce – i choć natury ówczesnych ludzi twarde były, jakby je kowano z żelaza – ryknął nagle rozdzierającym głosem:

– Zbyszku!...

A następnego dnia pachołcy sądowi poczeli zwozić na rynek belki na rusztowanie, które miało być wzniesione naprzeciw głównej bramy ratusza.

Księżna jednakże naradzała się jeszcze z Wojciechem Jastrzębcem, ze Stanisławem ze Skarbimierza i z innymi uczonymi kanonikami, biegłymi zarówno w prawie pisanym i obyczajowym. Zachęcały ją do tych usiłowań słowa kasztelana, który oświadczył, że gdyby mu znaleziono „prawo alibo pozór”, nie omieszkałby Zbyszka uwolnić. Radzono więc długo i gorliwie, czyby nie można czego znaleźć, a chociaż ksiądz Stanisław przygotował Zbyszka na śmierć i dał mu Ostatnie Sakramenta, jednakże prosto z podziemia wrócił raz jeszcze na naradę, która trwała niemal do świtu.

Tymczasem nadszedł dzień egzekucji. Od rana tłumy ściągały na rynek, gdyż głowa szlachcica większą budziła ciekawość niż zwykła, a do tego pogoda uczyniła się cudna. Między kobietami rozeszła się też wieść o młodzieńczym wieku i nadzwyczajnej piękności skazanego, więc cała droga wiodąca od zamku zakwitła jak kwiatami od całych gromad strojnych mieszczanek; w oknach na rynku i w wystających przystawkach widać też było czepce, złote i aksamitne czołka lub przetowłose głowy dziewcząt, zdobne tylko wieńcami z róż i lilij. Rajcy miejscy, choć sprawa właściwie do nich nie należała, wyszli wszyscy dla dodania sobie powagi i ustawili się w pobliżu rusztowania tuż za rycerstwem, które chcąc okazać swoje współczucie młodzieńcowi, stanęło gromadnie najbliżej pomostu. Za nimi pstrzył się tłum, złożony z pomniejszych kupców i rzemieślników w barwach cechowych. Żaki i w ogóle dzieci, wypychane w tył, krążyły jak uprzykrzone muchy wśród tłumu, wdzierając się wszędzie, gdzie ukazało się choć trochę wolnego miejsca. Nad ową zbitą masą głów ludzkich widniał pomost pokryty nowym suknem, na którym stało trzech ludzi: jeden kat, barczysty i groźny Niemiec przybrany w czerwony kubrak i takiż kaptur, z ciężkim, obosiecznym mieczem w ręku – i dwóch jego pachołków z obnażonymi ramionami i powrozami u pasów. U nóg ich stał pień i trumna obita również suknem. Na wieżach Panny Marii były dzwony, napelniając miasto spizowym dźwiękiem i płosząc stada kawek i gołębi. Ludzie patrzyli to na drogę wiodącą z zamku, to na pomost i sterzącego na nim kata z pałającym w słonecznym blasku mieczem, to wreszcie na rycerzy, na których zawsze z chciwością i szacunkiem spoglądali mieszczanie. Tym razem było zaś na co patrzeć, gdyż najślawniejsi stanęli w kwadrat koło rusztowania. Podziwiano więc szeroko-



kość ramion i powagę Zawiszy Czarnego Jego kruczy włos spadający na ramiona – podziwiano krępą, kwadratową postać oraz pałaczące nogi Zyndrama z Maszkowic i olbrzymi, nadludzki niemal wzrost Paszka Złodzieja z Biskupic, i groźną twarz Bartosza z Wodzinka – i urodę Dobka z Oleśnicy, który w Toruniu pokonał na turnieju dwunastu rycerzy niemieckich – i Zygmunta z Bobowy, który podobnie wślawił się z Węgrami w Koszycach – i Krzona z Kozichgłów, i straszego w ręcznym spotkaniu Lisa z Targowiska, i Staszka z Charbimowic, który konia w biegu doganiał. Powszechną uwagę zwracał także Maćko z Bogdańca swoją wybladłą twarzą, podtrzymywany przez Floriana z Korytnicy i Marcina z Wrocimowic. Sądzono powszechnie, iż jest to ojciec skazanego.

Ale największą ciekawość wzbudzał Powąła z Taczewa, który stojąc w pierwszym szeregu trzymał w swych potężnych ramionach Danusię, przybraną całkiem białą, z zielonym rucianym wianuszkiem na jasnych włosach. Ludzie nie rozumieli, co to znaczy i dlaczego ta biała ubrana dziewczeczka ma patrzeć na egzekucję skazanego. Jedni mówili sobie, że to siostra, inni odgadywali w niej panią myśli młodego rycerza, ale i ci nie umieli sobie wytłumaczyć ani jej ubioru, ani obecności przy pomocy. Natomiast we wszystkich sercach widok jej podobnej do rumianego jabłuszka, ale zalanej łzami twarzy – budził współczucie i wzruszenie. W zbitych tłumach ludu poczęto szemrać na nieugiętość kasztelana, na surowość prawa – i szemrania owe przechodziły stopniowo w pomruk wprost groźny – a wreszcie tu i ówdzie jeły podnosić się głosy, że gdyby zburzono rusztowanie, egzekucja musiałaby być odłożona.

Tłum ożywił się i rozkołysał. Podawano sobie z ust do ust, że gdyby król był obecny, byłby niewątpliwie ułaskawił młodzianka, który, jak zapewniano, nie dopuścił się żadnej winy.

Ale wszystko ucichło, gdy dalekie okrzyki oznajmiły zbliżanie się łuczników i halebardników królewskich, między którymi szedł skazany. Jakoż wkrótce orszak pojawił się na rynku. Pochód otwierało bractwo pogrzebowe, przybrane w czarne, do ziemi sięgające opończe i także zasłony na twarzach z powycinanymi otworami na oczy. Lud bał się tych posepnych postaci i na ich widok umilkł. Za nimi szedł oddział kuszników, złożony z doborowych Litwinów, przybranych w łosiowe niewyprawne kubraki. Był to oddział gwardii królewskiej. Z tyłu orszaku widać było halebardy drugiego oddziału, w środku zaś, między

pisarzem sądowym, który miał czytać wyrok, a księdzem Stanisławom ze Skarbimierza, niosącym krucyfiks, szedł Zbyszko.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na niego i ze wszystkich okien i przystawek wychyliły się niewieście postacie. Zbyszko szedł przybrany w swą zdobyczną białą jakę, haftowaną w złote gryfy i zdobną złotą frędzlą u dołu – i w tym świetnym stroju wydawał się oczom tłumów jakimś książątkiem albo pacholęciem z wielkiego domu. Ze wzrostu, z barków, widnych pod obcisłym ubraniem, z tęgich ud i szerokich piersi wydawał się być mężem całkiem dojrzałym, ale nad tą postawą męża wznosiła się głowa dziecinna prawie i twarz młoda, z pierwszym meszkiem nad ustami – i zarazem cudna – twarz królewskiego pazia ze złotym włosom, uciętym równo nad brwiami, a puszczone długo na ramiona. Szedł krokiem równym i sprężystym, ale z czołem pobladłym. Chwilami patrzył na tłum jakby nieco przez sen, chwilami wznosił oczy ku wieżom kościelnym, ku stadom kawek i ku rozkołysanym dzwonom, które wydzwaniały mu ostatnią godzinę; chwilami wreszcie odbijało mu się na twarzy jakby zdziwienie, że te dźwięki i szlochania niewieście, i cała ta uroczystość, to wszystko dla niego. Na rynku ujrzał wreszcie z daleka pomost i na nim czerwoną sylwetkę kata. Wówczas drgnął i przeżegnał się – ksiądz zaś w tejże chwili podał mu krucyfiks do pocałowania. O kilka kroków dalej padł mu pod nogi pęk chabrów rzucony przez młodą dziewczynę z ludu. Zbyszko schylił się, podniósł go, a następnie uśmiechnął się do dziewczyny, która wybuchnęła głośnym płaczem. Lecz on pomyślał widocznie, że wobec tych tłumów i wobec niewiast powiewających chustkami z okien trzeba umrzeć odważnie i zostawić po sobie przynajmniej pamięć „dzielnego chłopca”, więc wyteżył całą odwagę i wolę, nagłym ruchem odrzucił w tył włosy, podniósł głowę jeszcze wyżej i szedł hardo, tak prawie, jak idzie zwycięzca po skończonych rycerskich gonitwach, gdy go prowadzą po nagrodę. Posuwali się jednak z wolna, gdyż tłum był przed nimi coraz większy i niechętnie ustępujący. Próżno kusznicy litewscy, idący w pierwszym szeregu, wołali co chwila: *Eyk szalin! Eyk szalin!* (precz z drogi!). Nie chciano się domyślać, co znaczą te słowa – i czyniło się coraz ciaśniej. Jakkolwiek ówczesne mieszczaństwo krakowskie składało się w dwóch trzecich z Niemców – jednakże naokół rozlegały się groźne klątwy przeciw Krzyżakom: „Hańba! hańba! niechby szczyły te krzyżowe wilki, jeśli dzieci gwoli im będą tu wytracać! Wstyd dla króla i Królestwa!” – Litwini, widząc opór, zdjąwszy napięte kusze z ramion, poczęli spoglądać spode łbów na lud, nie śmieli jednak szyc w

gęstwę bez rozkazu. Lecz kapitan wysłał naprzód halebardników, halebardami bowiem łatwiej było torować sobie drogę i w ten sposób dotarli aż do rycerzy stojących w kwadrat koło rusztowania.

Ci rozstąpili się bez oporu. Pierwsi weszli halebardnicy, za nimi szedł Zbyszko z księdzem i pisarzem. Lecz wówczas stało się to, czego się nikt nie spodziewał. Oto nagle spomiędzy rycerzy wystąpił Powąła z Danusią na rękę i krzyknął: „Stój!”, tak grzmiącym głosem, iż cały orszak zatrzymał się jak wkopany w ziemię. Ni kapitan, ni nikt z żołnierzy nie chciał sprzeciwić się panu i pasowanemu rycerzowi, którego codziennie widywano w zamku, a nieraz w poufnych z królem rozmowach. Wreszcie i inni, również znamienici, poczęli wołać rozkazującymi głosami: „Stój! stój!” – pan z Taczewa zaś zbliżył się do Zbyszka i podał mu białą ubraną Danusię.

Ów mniemając, że to pożegnanie, chwycił ją, objął i przycisnął do piersi – lecz Danusia, zamiast przytulić się do niego i zarzucić mu na szyję rączęta, zerwała co prędzej ze swych jasnych włosów, spod rucianego wianka, białą zasłonę i owinęła w nią całkiem głowę Zbyszka, a jednocześnie poczęła wołać z całej siły rozplakany dziecięcym głosem:

– Mój ci jest! mój ci jest!

– Jej ci jest! – powtórzyły potężne głosy rycerzy. – Do kasztelana!

Odpowiedział im podobny do grzmotu krzyk ludu: „Do kasztelana! do kasztelana!” Spowiednik podniósł oczy w górę, zmieszał się pisarz sądowy, kapitan i halebardnicy opuścili broń, albowiem wszyscy zrozumieli, co się stało.

Był stary, polski i słowiański obyczaj, mocny jak prawo, znany na Podhalu, w Krakowskim, a nawet i w innych krajach, że gdy na prowadzonego na śmierć chłopca rzuciła niewinna dziewczka zasłonę na znak, że chce za niego wyjść za mąż, tym samym zbawiała go od śmierci i kary. Zнали ów obyczaj rycerze, zнали kmiecie, zнал polski lud miejski – a słyszeli o jego mocy i Niemcy, z dawniejszych czasów w grodach i miastach polskich zamieszkali. Stary Maćko też aż zesłał na ten widok ze wzruszenia, rycerze, odsunawszy wnet kuszników, otoczyli Zbyszka i Danusię; wzruszony i rozradowany lud krzyczał coraz potężniej: „Do kasztelana! do kasztelana!” Tłumy ruszyły się nagle, na kształt olbrzymich wełn morskich.

Kat i pomocnicy zbiegli co prędzej z pomostu. Uczyniło się zamieszanie. Dla wszystkich stało się jasnym, że gdyby Jaśko z Tęczyna chciał się teraz oprzeć uświęconemu obyczajowi, w mieście wszcząłby

się groźny rozruch. Jakoż ława ludzka rzuciła się zaraz na rusztowanie. W mgnieniu oka ściągnięto sukno i rozerwano je w kawałki, potem belki i deski, ciągnięte silnymi rękoma lub rąbane toporami, poczęły uginać się, trzeszczeć, pękać – i w kilka pacierzy później na rynku nie zostało śladu z pomostu.

A Zbyszko, wciąż trzymając Danusię na rękę, wracał na zamek, ale tym razem jak prawdziwy zwycięzca-tryumfator. Naokół niego bowiem szli z radosnymi twarzami pierwsi rycerze Królestwa, a z boków, z przodu i z tyłu tłoczyły się tysiące kobiet, mężczyzn i dzieci, krzyząc wniebogłosy, śpiewając, wyciągając ręce ku Danusi i sławiąc obojga męstwo i urodę. Z okien białe ręce bogatych mieszczek biły im oklaski, wszędzie widać było oczy zalane łzami radości. Deszcz wianuszków różanych, liliowych, deszcz wstążek, a nawet złocistych przepasek i pątlików padał szczęśliwemu młodziankowi pod nogi, a on, rozpromieniony jak słońce, z sercem przepelnionym wdzięcznością, podnosił co chwila w górę swoją białą panienkę, czasem całował jej w uniesieniu kolana, a ten widok rozczulał do tego stopnia mieszczki, że niektóre rzucały się w objęcia swoim kochankom, oświadczając, że byle zasłużyli na śmierć – zostaną także uwolnieni. I Zbyszko, i Danusia stali się jakby ukochanymi dziećmi rycerzy, mieszczan i pospolitego tłumu. Stary Maćko, którego wiedli wciąż pod rękę Florian z Korytnicy i Marcin z Wrocimowic, odchodził niemal od zmysłów z radości i zarazem ze zdumienia, że taki środek ratunku dla bratanka nawet mu do głowy nie przyszedł. Powoła z Taczewa opowiadał wśród ogólnego wrzasku swym potężnym głosem rycerzom, jako ów sposób wymyślili, a raczej przypomnieli na naradach z księżną Wojciech Jastrzębiec i Stanisław ze Skarbimierza, biegli w prawie pisanym i obyczajowym – rycerze zaś dziwili się jego prostocie, mówiąc między sobą, że chyba dlatego nikt inny o owym obyczaju nie pamiętał, iż w mieście przez Niemców zamieszkanym z dawna już nie był praktykowany.

Wszystko jednak zależało jeszcze od kasztelana. Rycerze i lud pociągnęli na zamek, w którym pod niebytność króla mieszkał pan krakowski – i zaraz pisarz sądowy, ksiądz Stanisław ze Skarbimierza, Zawisza, Farurej, Zyndram z Maszkowic i Powoła z Taczewa udali się do niego, aby przedstawić moc obyczaju i przypomnieć, jako sam mówił, iż gdyby znalazł „prawo alibo pozór” – to wnet by skazanego uwolnił. A czyż mogło być lepsze prawo nad starodawny obyczaj, którego nie łamano nigdy? Pan z Tęczyna odpowiedział wprawdzie, że więcej się do prostego ludu i do podhalskich zbójników ów obyczaj stosuje niż do

szlachty, ale zbyt on sam był biegłym we wszelakim zakonie, aby mógł siły jego nie uznać. Przykrywał przy tym srebrną brodę dłonią i uśmiechał się pod palcami, bo widocznie był rad. Wreszcie wyszedł na niski krużganek, mając przy sobie księżnę Annę Danutę, kilku duchownych i rycerzy.

Zbyszko, ujrzawszy go, podniósł znów w górę Danusię – a on położył zgrzybiałą rękę na jej złotych włosach, chwilę ją trzymał – a potem skinął poważnie i dobrotliwie sędziwą głową.

Zrozumiano ten znak i aż mury zamkowe zatrzęsły się od okrzyków. „Pomagaj ci Bóg! żyj długo, sprawiedliwy panie! żyj i sądz nas!” – wołano ze wszystkich stron. Potem nowe okrzyki wzniosły się dla Danusi i Zbyszka, a w chwilę później oboje, wszedłszy na krużganek, padli do nóg dobrej księżnie Annie Danucie, której Zbyszko zawdzięczał życie, ona to bowiem obmyśliła z uczonymi sposób i nauczyła Danusię, co ma robić.

– Niech żywie młoda para! – zawołał na widok klęczących Powąła z Taczewa.

– Niech żywie! – powtórzyli inni.

A sędziwy kasztelan zwrócił się do księżny i rzekł:

– Już też, miłościwa księżno, zrękowiny muszą być zaraz, bo ów obyczaj tak każe.

– Zrękowiny uczynię zaraz – odpowiedziała z rozpromienioną twarzą dobra pani – ale pokładzin bez ojcowej woli Juranda ze Spychowa nie dopuszczę.

## ROZDZIAŁ VII

U kupca Amyleja Maćko i Zbyszko naradzali się nad tym, co zrobić. Stary rycerz spodziewał się rychłej śmierci, a że przepowiadał mu ją także znający się na ranach franciszkanin o. Cybek, więc chciał wracać do Bogdańca, aby być pochowanym wedle ojców na cmentarzu w Ostrowiu.

Nie wszyscy jednak ojce tam leżeli. Był to niegdyś liczny ród. Czasu wojen zwoływali się okrzykiem: „Grady!”, w herbie zaś –mieniąc się lepszymi od innych włodyków, którym nie zawsze przysługiwało prawo herbu – nosili Tępą Podkowę. W roku 1331, w bitwie pod Płowcami, siedmdziesięciu czterech wojowników z Bogdańca wystrzelali na bagnie kusznicy niemieccy, ocalał tylko jeden, Wojciech, przezwiskiem Tur, któremu król Władysław Łokietek po pogromie Niemców potwierdził osobnym przywilejem herb i ziemie bogdanieckie. Tamtych kości białały odtąd na polach płowieckich, Wojciech zaś wrócił do domowych pieleszy, lecz po to tylko, by całkowitą zgubę rodu swego oglądać.

Albowiem, podczas gdy mężowie z Bogdańca ginęli pod strzałami Niemców, zbójnicy-rycerze z pobliskiego Śląska napadli na ich gniazdo, spalili do cna osadę, ludność wysiekli lub uprowadzili w niewolę po to, by ją sprzedać w odległe kraje niemieckie. Wojciech został sam jeden w starym domostwie, które ocalało od ognia, jako dziedzic obszernych, ale pustych ziem, poprzednio do całego włodyczego rodu należących. W pięć lat później ożenił się i spłodziwszy dwóch synów, Jaśka i Maćka – od tura w lesie na łowach zabit.

Synowie rośli pod opieką matki, Kachny ze Spalenicy, która w dwóch wyprawach pomściła na śląskich Niemcach dawne krzywdy, w trzeciej zaś poległa. Jaśko doszedłszy do lat pojął w małżeństwo Jagienkę z Mocarzewa, z którą spłodził Zbyszka. Maćko zaś, pozostawszy w stanie bezzennym, pilnował majątności i synowca, o ile pozwalały mu na to wyprawy wojenne.

Lecz gdy w czasie wojny domowej Grzymalitów z Nałęczami spalono po raz drugi chałupy w Bogdańcu i rozproszono kmieciów, samotny Maćko próżno usiłował go na nowo dźwignąć. Nabiedziwszy się

lat niemało, zastawił wreszcie ziemię krewnemu opatowi, sam zaś z małym jeszcze Zbyszkiem pociągnął na Litwę przeciw Niemcom.

Nigdy on jednak nie tracił z oczu Bogdańca. Na Litwę pociągnął właśnie dlatego, by wzbogaciwszy się łupami, z czasem powrócić, wykupić ziemię, zaludnić ją jeńcami, odbudować grodek i osadzić na nim Zbyszka. Teraz też, po szczęśliwym ocaleniu młodzianka, o tym tylko myślał i nad tym naradzał się z nim u kupca Amyleja.

Ziemię mieli za co wykupić. Z łupów, z okupów, które składali wzięci przez nich do niewoli rycerze, i z darów Witolda zebrali zapasy dość znaczne. Szczególnie dużą korzyść przyniosła im owa walka na śmierć z dwoma rycerzami fryzyjskimi. Same zbroje, które po nich wzięli, stanowiły w owych czasach prawdziwą majątność, prócz zbroi zaś wzięli przecie wozy, konie, ludzi, szaty, pieniądze i cały bogaty sprzęt wojenny. Wiele z tych łupów nabył teraz kupiec Amylej, a między innymi dwie sztuki cudnego flandryjskiego sukna, które przezornie i możni Fryzyjczycy mieli z sobą na wozach. Maćko sprzedał także kosztowną zdobyczną zbroję, mniemając, że wobec bliskiej śmierci na nic mu się już nie przyda. Płatnerz, który ją nabył, odprzedał ją na drugi dzień Marcinowi z Wrocimowic herbu Półkoza z zyskiem znacznym, gdyż pancerze pochodzenia mediolańskiego ceniono wówczas nad wszystkie w świecie.

Zbyszkowi też żal było tej zbroi z całej duszy.

– Jeśli wam Bóg wróci zdrowie – mówił do stryja – gdzie taką drugą znajdziecie?

– Tam, gdzie i tę znalazł, na jakowym innym Niemcu – odpowiedział Maćko. – Ale już ja się śmierci nie wywinę. Żeleźce się mi między żebrami rozszczepiło i szczebrzuch ostał we mnie. Com go zmacał i chciałem pazurami wyciągnąć, tom go jeno głębiej zapychał. A teraz nijakiej rady nie ma.

– Niedźwiedziego sadła by wam się saganek jeden i drugi napić!

– Ba! Ojciec Cybek mówi też, że dobrze by było, bo może by się jako drzazga wyślizgła. Ale skąd tu dostanę? W Bogdańcu jeno by topór wziął, a pod barcią na noc przykucnął!

– To i trza do Bogdańca. Tylko mi tam gdzie w drodze nie zamrzycie.

Stary Maćko spojrział z pewnym rozczuleniem na bratanka.

– Wiem ja, gdzie by ci się chciało: na dwór księcia Janusza albo do Juranda ze Spychowa, chełmińskich Niemców najeżdzać.

– Tego się nie zaprę. Razem z dworem księżny rad bym do Warszawy albo do Ciechanowa pojechał, a to z przyczyny, by jako najdłużej być z Danušką. Nijak mi teraz bez niej, bo to nie tylko moja pani, ale i moje miłowanie. Tak ci ją rad widzę, że jak o niej pomyślę, to aż mnie ciągoty biorą. Pójdę ja za nią choćby na kraj świata, ale teraz pierwsze moje prawo to wy. Nie opuściliście mnie, to i ja i was nie opuszczę. Jak do Bogdańca, to do Bogdańca!

– Toś dobry chłop – rzekł Maćko.

– Bóg by mnie skarał, gdyby ja był dla was inny. Obaczcie, że już wozy ładują, a jeden kazałem sianem dla was wymościć. Amylejówna podarowała też pierzynę zącą, jeno nie wiem, czy na niej od gorąca wyteżycie. Pojedziemy wolno razem z księżną i dworem, żeby wam starunku nie zbrakło. Potem oni nawrócą na Mazowsze, a my do siebie – i pomagaj Bóg!

Niechbvm tyle pożył, by gródek na nowo wznieść – rzekł Maćko – bo to wiem, że po mojej śmierci niewiele ty będziesz o Bogdańcu myślał.

– Co nie miałbym myśleć!

– Bo ci będą w głowie bitki i kochanie.

– A wam to nie była w głowie wojna? Właśnie żem sobie już całkiem wymiarkował, co mam czynić – i pierwsza rzecz

gródek z dębiny mocnej zbudujem, a rowem każemy okopać na porządek.

– Także myślisz? – spytał zaciekawiony Maćko. – No, a jak gródek stanie?... Gadaj!

– Jak gródek stanie, dopieroż na dwór książęcy do Warszawy albo do Ciechanowa pojedę.

– Po mojej śmierci?

– Jeśli prędko zamrzecie, to po waszej śmierci, ale wprzód was godnie pochowam; a jeśli Pan Jezus da wam zdrowie, to w Bogdańcu ostaniecie. Mnie księżna obiecała, że tam pas rycerski od księcia dostanę. Inaczej nie chciałby się ze mną Lichtenstein potykać.

– To potem do Malborga wyruszysz?

– Do Malborga albo choćby na kraj świata, byle tylko Lichtensteina dostać.

– Tego ci nie przyganię. Twoja śmierć albo jego!

– Już ja wam jego rękawicę i pas do Bogdańca przywiozę – nie bójcie się!

– Jeno się strzeż zdrady. U nich o zdradę łatwo.



– Pokłonię się księciu Januszowi, żeby posłał po glejt do mistrza. Teraz jest spokój. Pojadę za glejtem do Malboga, a tam zawsze gości rycerstwa kupa. To wiecie? – naprzód Lichtenstein, a potem będę upatrywał, którzy pawie czuby na hełmach mają – i po kolei ich wyzywał. Boga mi! zdarzy-li Pan Jezus zwycięstwo, to zarazem i ślub spełnię.

Tak mówiąc, Zbyszko uśmiechał się do swoich własnych myśli, przy czym twarz miał zupełnie pacholecia, które zapowiada, jakich to czynów rycerskich dokona, gdy dorośnie.

– Hej! – rzekł, kiwając głową, Maćko – żebyś ty trzech rycerzy ze znakomitych rodów pokonał, to nie tylko byś ślub spełnił, ale jaki byś sprzęt po nich wziął – miły Boże!

– Co to trzech! – zawołał Zbyszko. – Już ja w więzieniu powiedziałem sobie, że nie będę Danuśce skąpił. Ile palców u rąk – nie trzech!

Maćko wzruszył ramionami.

– Dziwujcie się albo i nie wiercie – rzekł Zbyszko – a ja przecie z Malboga do Juranda ze Spychowa pojadę. Jakże mu się nie pokłonić, kiedy to Danuśkowy ojciec? I z nim będziem chełmińskich Niemców najeżdżali. Samiście przecie mówili, że większego wilkołaka na Niemców nie masz na całym Mazowszu.

– A jak ci Danuśki nie da?

– Miałby nie dać! On swojej pomsty szuka, ja swojej. Kogóż lepszego sobie upatrzy? Wreszcie, skoro księżna na zrękowiny pozwoliła, to i on się nie przeciwi.

– Już ja jedno miarkuję – rzekł Maćko – że ty wszystkich ludzi z Bogdańca zabierzesz, żeby poczet mieć, jako się rycerzowi patrzy, a ziemia ostanie bez rąk. Póki będę żyw, to nie dam, ale po mojej śmierci, już widzę, że zabierzesz.

– Pan Bóg mi poczet obmyśli, a przecie i Janko z Tulczy krewniak, więc nie poskapi.

A wtem drzwi się otworzyły, i jakby na dowód, że Pan Bóg Zbysz-kowi poczet obmyśli, weszło dwóch ludzi, czarniawych, krępych, przybranych w żółte, podobne do żydowskich kaftany, w czerwone krymki i w niezmiernie szerokie hajdawery. Ci, stanawszy we drzwiach, poczęli przykładać palce do czoła, do ust, do piersi i zarazem bić pokłony aż do ziemi.

– Cóż to za odmieńcy? – zapytał Maćko. – Coście za jedni?

– Niewolnicy wasi – odpowiedzieli polskim łamanym językiem przybysze.

– A to jak? skąd? kto was tu przysłał?

– Przysłał nas pan Zawisza w darze młodemu rycerzowi, abyśmy niewolnikami jego byli.

– O dla Boga! dwóch chłopów więcej! – zawołał z radością Maćko.

– A z jakiego narodu?

– My Turki.

– Turki? – powtórzył Zbyszko. – Będę miał dwóch Turków w poczcie. Widzieliście kiedy Turków?

I skoczywszy ku nim, począł ich okręcać dłońmi i oglądać jak osobliwe zamorskie stworzenia. Maćko zaś rzekł:

– Widzieć, nie widziałem, ale słyszał, że pan z Garbowa ma w służbie Turków, których pobrał, wojując nad Dunajem u cesarza rzymskiego Zygmunta. Jakże to? toście, psubraty, poganie?

– Pan kazał się ochrzcić – rzekł jeden z jeńców.

– A wykupić się nie mieliście za co?

– My z daleka, z azjatyckiego brzegu, z Brussy.

Zbyszko, który chciwie zawsze słuchał wszelkich opowiadań wojennych, a zwłaszcza gdy chodziło o czyny przestawnego Zawiszy z Garbowa, począł wypytywać ich, jakim sposobem dostali się do niewoli. Ale w opowiadaniach jeńców nie było nic nadzwyczajnego: Zawisza napadł ich kilkudziesięciu przed trzema laty w wąwozie, częścią wytracił, częścią pochwytał – i wielu potem rozdarował. Zbyszskowi i Maćkowi serca zalewały się radością na widok tak znakomitego daru, zwłaszcza że o ludzi było w owych czasach trudno i posiadanie ich stanowiło prawdziwy majątek.

Tymczasem po chwili nadszedł i sam Zawisza w towarzystwie Powwały i Paszka Złodzieja z Biskupic. Ponieważ wszyscy oni pracowali nad ocaleniem Zbyszka i radzi byli, że udało im się tego dokazać, przeto każdy składał mu jakowyś dar na pożegnanie i pamiątkę. Hojny pan z Taczewa dał mu kropierz na konia, szeroki, bogaty, obsyty na pierśsiach frędzlą złotą. Paszko zaś miecz węgierski, wartości kilku grzywien. Nadeszli potem Lis z Targowiska, Farurej i Krzon z Kozichgłów z Marcinem z Wrocimowic, a na ostatku przyszedł Zyndram z Maszkowic – każdy z pełnymi rękoma.

Zbyszko witał ich z wezbranym sercem, podwójnie uszczęśliwiony – i z darów, i z tego, że najślawniejsi w Królestwie rycerze okazują mu przyjaźń. Oni zaś wypytywali go o odjazd i o zdrowie Maćka, radząc, jako ludzie doświadczeni, choć młodzi, rozmaite maście i driakwie cudownie rany gojące.

Lecz Maćko polecał im jeno Zbyszka, sam zaś wybierał się na tamten świat. Trudno żyć z żelazną drzazgą pod żebrami. Skarżył się też, że ustawicznie krwią spluwa i jeść nie może. Kwarta wyluskanych orzechów, dwie piędzie kielbasy, misa jajecznicy ot i całe jego dzienne jedzenie. Ojciec Cybek puszczał mu krew kilkakrotnie, myśląc, że w ten sposób odciągnie mu gorączkę spod serca i wróci ochotę dojadła ale i to nie pomogło.

Był jednak tak uradowany z darów dla bratanka, że w tej chwili czuł się zdrowszym, i gdy kupiec Amylej kazał dla uczczenia tak znakomitych gości przynieść do izby baryłkę z winem – zasiadł razem z nimi do kielicha. Poczęto rozmawiać o ocaleniu Zbyszka i o jego zrękowinach z Danušką. Rycerze nie wątpili, iż Jurand ze Spychowa nie będzie się chciał sprzeciwić woli księżny, zwłaszcza jeśli Zbyszko pomści pamięć jej matki i ślubowane pawie czuby zdobędzie.

– Jeno co do Lichtensteina – rzekł Zawisza – nie wiemy, czy ci będzie chciał stanąć, gdyż jest zakonnik, a do tego i jeden ze starostów w Zakonie. Ba! powiadali ludzie z jego orszaku, że byle doczekał, to i wielkim mistrzem z czasem zostanie.

– Jeśli walki odmówi, to cześć utraci – ozwał się Lis z Targowiska.

– Nie – odpowiedział Zawisza – gdyż nie jest rycerz świecki, zakonnikom zaś nie wolno do pojedynczej walki stawać.

– A przecież często bywa, że stają.

– Bo się prawa w Zakonie popsowały. Różne oni składają śluby – i słyną z tego, że ku zgorszeniu całego chrześcijańskiego świata raz w raz je łamią. Ale do walki na śmierć może Krzyżak, a zwłaszcza komtur nie stanąć.

– Ha! to go chyba na wojnie dostaniesz.

– Kiedy powiadają, że wojny nie będzie – rzekł Zbyszko – gdyż Krzyżacy boją się teraz naszego narodu. Na to Zyndram z Maszkowic rzekł:

– Niedługo tego spokoju. Z wilkiem nie może być zgody, bo on musi cudzym żyć.

– A tymczasem może nam przyjdzie z Tymurem Kulawym za bary się wziąć – ozwał się Powął. – Książę Witold klęskę poniósł od Edygi – to już pewna.

– Pewna. I wojewoda Spytko nie wrócił – przywtórzył Paszko Złodziej z Biskupic.

– A kniaziów litewskich siła została na polu.

– Królowa nieboszczka przepowiadała, że tak będzie – rzekł pan z Taczewa.

– Ha! to może i przyjdzie nam na Tymura wyruszyć. Tu rozmowa zwróciła się na litewską wyprawę przeciw Tatarom. Nie było już żadnej wątpliwości, że książę Witold, wódz więcej porywczy niż biegły, poniósł straszną klęskę pod Worklą, w której legło mnóstwo bojarów litewskich, ruskich, a z nimi razem garść posiłkowych rycerzy polskich, a nawet i krzyżackich. Zebrani u Amyleja biadali szczególnie nad losem młodego Spytka z Melsztyna, największego pana w Królestwie, który pociągnął na wyprawę jako ochotnik i po bitwie przepadł bez wieści. Wynoszono też pod niebo jego prawdziwie rycerski postępek, że dostawszy od wodza nieprzyjaciół kołpak ochronny, nie chciał takowego w czasie bitwy wdziać, przekładając śmierć sławną nad życie z łaski pogańskiego władcy. Nie było jednak jeszcze pewności, czy zginął, czy popadł w niewolę. Z niewoli miał zresztą czym się wykupić, gdyż bogactwa jego były niezmiernie, a w dodatku król Władysław puścił mu był w lenne posiadanie całe Podole.

Lecz klęska Litwinów mogła być groźną i dla całego Jagiellowego państwa, nikt bowiem dobrze nie wiedział, czy Tatarzy zachęteni zwycięstwem nad Witoldem nie rzucą się na ziemie i grody przynależne do W. Księstwa. W takim razie zostałyby wciągnięte do wojny i Królestwo. Wielu też rycerzy, którzy jak Zawisza, Farurej, Dobko, a nawet i Powąła, przywykli byli szukać przygód i bitew na dworach zagranicznych, nie opuszczało umyślnie Krakowa, nie wiedząc, co niedaleka przyszłość przyniesie. Gdyby Tamerlan, pan dwudziestu siedmiu królestw, poruszył cały świat mongolski, wówczas niebezpieczeństwo mogło być straszne. Otóż byli ludzie, którzy przewidywali, że to nastąpi.

– Jeżeli będzie potrzeba, to się i z samym Kulawcem zmierzmy. Nie pójdzie mu tak łatwo z naszym narodem, jako poszło z tymi wszystkimi, które wytracił i podbił. A przecie inni książęta chrześcijańscy przyjdą nam w pomoc.

Na to Zyndram z Maszkowic, który płonął szczególną nienawiścią przeciw Zakonowi, odrzekł z goryczą:

– Książęta – nie wiem, ale Krzyżacy gotowi z Tatarami się pokumać i na nas z drugiej strony uderzyć.

– To i będzie wojna! – zawołał Zbyszko – ja przeciw Krzyżakom!

Lecz inni rycerze zaczęli zaprzeczać. Nie znają Krzyżacy bojaźni Bożej i swego dobra tylko patrzą, ale przecie poganom by przeciw

chrześcijańskiemu narodowi nie pomagali. Zresztą Tymur daleko gdzieś w Azji wojuje, a wódz tatarski Edyga tyle ludzi w bitwie utracił, że się podobno własnego zwycięstwa przeląkł. Książę Witold zaradny jest i pewno grody dobrze opatrzył, a zresztą, chociaż nie udało się tym razem Litwinom, jednakże nie nowina im Tatarów zwyciężać.

– Nie z Tatarami nam, ale z Niemcami na śmierć i życie – rzekł Zyndram z Maszkowic i jeśli ich nie zetrzem, od nich zguba przyjdzie.

Po czym zwrócił się do Zbyszka:

– A najpierw zginie Mazowsze. Znajdziesz tam zawsze robotę nie bój się!

– Hej! żeby stryj był zdrow, zaraz bym tam pociągnął.

– Pomagaj ci Bóg! rzekł Powąła, wznosząc kielich.

– Na zdrowie twoje i Danuśki!

– A na zatrąę Niemcom! – dodał Zyndram z Maszkowic. I poczęli go żegnać. A tymczasem wszedł dworzanin księżny z sokołem na rękę i skłoniwszy się obecnym rycerzom, zwrócił się z jakimś dziwnym uśmiechem do Zbyszka:

– Księżna pani kazała wam powiedzieć – rzekł że przenocuje jeszcze w Krakowie, a w drogę ruszy jutro rano.

– To i dobrze – rzekł Zbyszko – ale czemu to? zali kto nie zachorzał?

– Nie. Jenó księżna ma gościa z Mazowsza.

– Samże książę przyjechał?

– Nie książę, jenó Jurand ze Spychowa – odrzekł dworzanin. Usłyszawszy to, Zbyszko zmieszał się okrutnie i serce poczęło mu się tak tłuc w piersi jak wówczas, gdy mu czytano wyrok śmierci.

## ROZDZIAŁ VIII

Księżna Anna nie zdziwiła się zbytnio przyjazdem Juranda ze Spychowa, zdarzało się bowiem często, że wśród ustawicznych pościgów, napadów i walk z sąsiednimi rycerzami niemieckimi porywała go nagła tęsknota za Danusią. Wówczas zjawiał się niespodzianie bądź w Warszawie, bądź w Ciechanowie lub gdziekolwiek czasowo bawił dwór księcia Janusza. Na widok dziecka wybuchał zawsze okropną żalością. Danusia bowiem z upływem lat stawała się tak do matki podobna, że za każdym razem zdawało mu się, że widzi swoją nieboszczkę, taką, jaką niegdyś poznał u księżny Anny w Warszawie. Ludzie myśleli nieraz, że od tej żalności skruszeje w nim wreszcie żelazne, zemście tylko oddane serce. Księżna namawiała też go często, by porzuciwszy swój krwawy Spychów, został przy dworze i przy Danusi. Sam książę, ceniąc jego męstwo i znaczenie, a zarazem chcąc uniknąć kłopotów, na jakie narażały go ustawiczne zajścia graniczne, ofiarował mu urząd miecznika. Zawsze na próżno. Właśnie widok Danusi rozdzierał w nim dawne rany. Po kilku dniach tracił ochotę do jadła, do snu, do rozmowy. Serce poczynało mu się widocznie burzyć i zalewać krwią, a wreszcie znikał z dworu i wracał w swoje bagna spychowskie, by żal i gniew we krwi zatopić. Ludzie wówczas mówili: „Gorze Niemcom! wcale ci oni nie owce, ale dla Juranda owce, bo on im wilkiem”. – Jakoż po upływie pewnego czasu rozchodziły się wieści to o pochwytych gościach, ochotnikach, którzy szlakiem granicznym dążyli do Krzyżaków, to o popalonych gródkach, to o zagarniętych chłopach lub walkach na śmierć, z których straszny Jurand zawsze wychodził zwycięsko. Przy drapieżnym usposobieniu Mazurów i rycerzy niemieckich, którzy z ramienia Zakonu dzierżyli ziemię i gródki do Mazowsza przyległe, nawet w czasach największego pokoju między księżętą mazowieckimi a Zakonem na granicy nie ustawała nigdy wrzawa bojowa. Nawet na ścińnianie drzew w boru lub na żniwa mieszkańcy wybierali się z kuszami lub zbrojni w dzidy. Ludzie żyli w niepewności jutra, w ciągłym wojennym pogotowiu, w zatwardziałości serc. Nikt nie przestawał na samej obronie, ale za grabież płacił grabieżą, za pożogę pożogą, za napad napadem. I zdarzało się, że gdy Niemcy przekradali się cicho leśnymi rubieżami, by ubiec jakowyś gródek, porwać chłopów lub stada, Mazu-

ry w tym samym czasie czynili to samo. Nieraz też spotykali się z sobą i bili się do upadłego, często wszakże tylko wodzowie wyzywali się na śmiertelną walkę, po której zwycięzca zabierał poczet pokonanego przeciwnika. Toteż gdy na dwór warszawski przychodziły skargi na Juranda, książę odpowiadał skargami na napady poczynione w innych stronach przez rycerzy niemieckich. W ten sposób, gdy obie strony żądały sprawiedliwości, a nie chciała i nie mogła jej uczynić żadna – wszystkie grabieże, pożogi, napady uchodziły całkiem bezkarnie.

Lecz Jurand, siedząc w swym błotnym, porośłym sitowiem Spychowie i płonąć nieugaszoną chęcią zemsty, stał się tak ciężkim dla swych zagranicznych sąsiadów, iż w końcu przestraszył ich stał się większym od zawziętości. Pola graniczące ze Spychowem leżały odłogiem, lasy zarastały dzikim chmielem i leszczyną, łąki szuwarem. Niejeden rycerz niemiecki, przywykły do prawa pięści w ojczyźnie, próbował osiadać w sąsiedztwie Spychowa, lecz każdy po pewnym czasie wolał odbiec lenna, stad i chłopów, niż żyć pod bokiem nieubłaganego męża. Często też rycerze zrywali się, aby uczynić wspólną na Spychów wyprawę, lecz każda z nich kończyła się klęską. Próbowano różnych sposobów. Raz sprowadzono znanego z siły i srogości rycerza znanego z Menu, który we wszystkich walkach bywał zwycięzcą, aby wyzwał Juranda na udeptaną ziemię. Lecz gdy stanęli w szrankach, upadło w Niemcu jakoby przez czary serce na widok straszego Mazura i zwrócił konia do ucieczki. Jurand zaś mu niezbrojny pośladek kopią przeszył i w ten sposób czci i światłości dziennej go pozbawił. Od tej pory tym większa trwoga ogarnęła sąsiadów, i który Niemiec chociaż z daleka dymy spychowskie spostrzegł, wnet zęgnął się i do patrona swego w niebiesiech rozpoczynał modlitwę, albowiem utrwaliła się wiara, że Jurand nieczystym siłom duszę dla pomsty zaprzedał.

Opowiadano też o Spychowie straszliwe rzeczy: że przez grzańskie bagna, wśród drzemiących, zarosłych rzesą i wodnym rdestem topielisk, wiodła do niego droga tak wąska, iż dwóch mężów na koniach nie mogło obok siebie po niej jechać; że po obu jej stronach walały się kości niemieckie, nocami zaś przechadzały się na pajęczych nogach głowy potopionych, jęcząc, wyjąc i wciągając ludzi razem z końmi w głębinę. Powtarzano, że w samym gródku częstokół przybrany był w czaszki ludzkie. Prawdą w tym wszystkim było tylko to, że w zakratowanych jamach, wykopanych pod dworzyszczem w Spychowie, jęczało zawsze kilku lub kilkunastu jeńców i że imię Juranda straszniejsze było od owych wymysłów o kościotrupach i topielcach.

Zbyszko, dowiedziawszy się o jego przybyciu, pośpieszył do niego natychmiast, ale jako do ojca Danusi, szedł z pewnym niepokojem w sercu. Że Danuskę obrał sobie na panią myśli i że jej ślubował, tego mu nikt nie mógł wzbronić, ale później księżna wyprawiła mu z Danuską zrękowiny. Co Jurand na to powie? Zgodzi się czy nie zgodzi! i co będzie, jeżeli jako ojciec zakrzyknie, iż nigdy tego nie dopuści? Pytania te przejmowały trwogą duszę Zbyszka, gdyż już mu o Danusie chodziło więcej niż o wszystko na świecie. Otuchy dodawała mu tylko myśl, że Jurand poczyta mu za zasługę, nie za ujmę, napaść na Lichtensteina, bo przecie to uczynił także przez zemstę za Danusina matkę – i omal własnej szyi nie stracił.

Tymczasem jał badać dworzanina, który po niego przyszedł do Amyleja:

– A gdzie mnie wiedziecie? – pytał – na zamek?

– Juści na zamek. Jurand razem z dworem księżny stanął.

– Powiedzcie mi też, jaki to człowiek?... żebyśmy wiedział, jako z nim gadać...

– Co wam powiem! To jest człek zgoła od innych ludzi odmienny. Powiadają, że dawniej był wesół, póki mu się krew w wątrobie nie zapiekła.

– A mądry jest?

– Chytry jest, bo innych łupi, a sam się nie da. Hej! jedno on oko ma, gdyż drugie mu Niemcy z kuszy wystrzelili, ale tym jednym do dna ci człowieka przejrzy. Nikt z nim na swoim nie postawi... Jeno księżnę, naszą panią, to miłuje, bo jej dworękę za żonę wziął, a teraz się dziewczka u nas hoduje.

Zbyszko odetchnął.

– To mówicie, że on się woli księżny nie sprzeciwi?

– Wiem ja, czego byście się chcieli dowiedzieć, i com zaś słyszał, to powiem. Mówiła z nim księżna o waszych zrękowinach, boć nieładnie byłoby utaić, ale co on na to rzekł – nie wiadomo.

Tak rozmawiając, doszli do bramy. Kapitan łuczników królewskich, ten sam, który poprzednio prowadził Zbyszka na śmierć, skinął mu teraz przyjaźnie głową, więc przeszedłszy warty, znaleźli się w dziedzińcu, a potem weszli na prawo do oficyny, którą zajmowała księżna.

Dworzanin, spotkawszy przed drzwiami pacholka, spytał:

– A gdzie Jurand ze Spychowa?

– W krzywej komnacie, z córką.



– To tamój – rzekł dworzanin, ukazując drzwi. Zbyszko przeżegnał się i podniósłszy zasłonę w otwartych drzwiach, wszedł z bijącym sercem. Ale nie od razu dostrzegł Juranda z Danusią, gdyż komnata nie tylko była krzywa, ale i mroczna. Po chwili dopiero ujrzał jasną główkę dziewczyny siedzącej na kolanach ojca. Oni też nie usłyszeli, gdy wszedł, więc zatrzymał się przy zasłonie, chrząknął i wreszcie ozwał się:

– Niech będzie pochwalony.

– Na wieki wieków – odpowiedział, wstając, Jurand. W tej chwili Danusia skoczyła ku młodemu rycerzowi i chwyciwszy go za rękę, poczęła wołać:

– Zbyszku! Tatuś przyjechali!

Zbyszko ucałował jej ręce, po czym wstał, zbliżył się wraz z nią do Juranda i rzekł:

– Przyszedłem się wam pokłonić; wiecie, ktom jest? I schylił się lekko, czyniąc rękoma ruch, jakby go chciał podjąć pod nogi. Lecz on chwycił jego dłoń, obrócił go ku światłu i począł mu się w milczeniu przypatrywać.

Zbyszko już był nieco ochłonał, więc podniósłszy zaciekawiony wzrok ku Jurandowi, ujrzał przed sobą męża postawy ogromnej, z płowym włosem i również płowymi wąsami, z twarzą dziobatą i jednym okiem barwy żelaza. Zdawało mu się, że oko to chce go przewiercić na wylot, tak że zmieszanie poczęło go znów ogarniać, wreszcie nie wiedząc, co ma rzec, a chcąc koniecznie coś powiedzieć, by przerwać kłopotliwe milczenie, zapytał:

– To wyście Jurand ze Spychowa, ociec Danusin? Lecz tamten wskazał mu tylko ławę obok dębowego krzesła, na którym sam zasiadł, i nie odrzekłszy ni słowa, przypatrywał mu się dalej.

Zbyszko zniecierpliwiał się wreszcie.

– Bo wiecie – rzekł – nieskładnie mi tak siedzieć jako na sądzie.

Dopieroż Jurand ozwał się:

– Tyś chciał bić w Lichtensteina?

– Ano! – odrzekł Zbyszko.

W oku pana ze Spychowa błysnęło jakieś dziwne światło i groźna jego twarz rozjaśniła się nieco. Po chwili spojrział na Danusię i znów spytał:

– I to dla niej?

– A dla kogoż by? Musieli wam stryjko powiadać, jakom jej ślubował Niemcom ze łbów pawie czuby pozdzierać. Ale nie będzie ich

trzy, jeno co najmniej tyle, ile palców u obu rąk. Przez to i wam do pomsty dopomogę, boć to przecie za Danusią mać.

– Gorze im! – odrzekł Jurand.

I znów zapadło milczenie. Zbyszko jednak, pomiarkowawszy, iż okazując swoją zawziętość na Niemców, trafia do serca Jurandowego, rzekł:

– Nie daruję ja za swoje, choć mało mi już szyi nie ucieli. Tu zwrócił się ku Danusi i dodał:

– Ona mnie zratowała.

– Wiem – rzekł Jurand.

– A nie krzywiście o to?

– Skoroś jej ślubował, to jej służ, bo jest taki rycerski obyczaj. Zbyszko zawahał się nieco, lecz po chwili począł mówić z widocznym niepokojem:

– Bo to uważcie... nałęczką mi głowę nakryła... Wszystko rycerstwo słyszało i franciszkanin, który był przy mnie z krzyżem, słyszał, jako rzekła: „Mój ci jest!” I pewno, iż niczyj inny do śmierci nie będę, tak mi dopomóż Bóg.

To rzekłszy, przyklęknął znów i chcąc pokazać, że zna rycerski obyczaj, ucałował z wielką czcią oba trzewiki siedzącej na poręczy od krzesła Danusi, po czym wstał i zwróciwszy się do Juranda, zapytał:

– Widzieliście taką drugą... co?

A Jurand założył nagle na głowę swe straszne mężobójcze ręce – i zamknawszy powieki, odrzekł głucho:

– Widziałem, ale Niemce ci mi ją zabili.

– To słuchajcie – rzekł z zapalem Zbyszko – jedna nam krzywda i jedna pomsta. I naszych kupę z Bogdańca, co im konie w młace polgnęły, psubraty z kusz wystrzelali... Już wy nikogo lepszego ode mnie do waszej roboty nie znajdziecie... Nie nowina mi to! Spytajcie stryka. Na kopie alibo na topory, na długie alibo na krótkie miecze, za jedno mi! A powiadał wam stryk o onych Fryzaczach?... Narznę ja wam Niemców jako baranów, a co do dziewczyny, to wam, klękający, ślubuję, jako się będę o nią bodaj z samym piekielnym starostą potykał i jako nie odstąpię jej ni za ziemię, ni za stada, ni za sprzęt żaden, a choćby mi i zamek o szklanych oknach bez niej dawali, to i zamek porzucę, a za nią na kraj świata powędruję.

Jurand siedział czas jakiś z głową w dłoniach, lecz wreszcie ocknął się jakoby ze snu i rzekł z żałością i smutkiem:

– Udałeś ty mi się, pacholku, ale ci jej nie dam, bo nie tobie ona pisana, nieboże!

Zbyszko, usłyszawszy to, aż oniemiał i począł patrzeć na Juranda okrągłymi oczyma, nie mogąc słowa przemówić.

Lecz Danusia przyszła mu w pomoc. Bardzo jej miły był Zbyszko i miło jej było uchodzić nie za „skrzata”, ale za „żrzałą dziewczkę”. Podo- bały jej się i zrekowiny, i słodkości, jakie jej rycerzyk codziennie zno- sił, więc teraz, gdy zrozumiała, że jej to wszystko chcą odjąć, zsunęła się co prędzej z poręczy krzesła i ukrywszy głowę na kolanach ojca, poczęła wołać:

– Tatulu! tatulu! bo będę płakać!

On zaś widocznie kochał ją nad wszystko, gdyż położył łagodnie dłoń na jej głowie. W twarzy jego nie było ni zawziętości, ni gniewu, tylko smutek.

Zbyszko tymczasem ochłonął i rzekł:

– Jakże to? To woli boskiej chcecie się przeciwzić? A na to Jurand:

– Jak będzie wola boska, to ją dostaniesz, jeno ci mojej nie mogę przychylić. Ba, rad bym ci przychylił, ale nie lża...

To powiedziawszy, podniósł Danusią i wzięwszy ją na ręce, skie- rował się ku drzwiom, gdy zaś Zbyszko chciał mu zastąpić drogę, za- trzymał się jeszcze na chwilę i rzekł:

– Nie będę na cię krzyw o rycerskie służby, ale mnie więcej nie py- taj, gdyż nie mogę ci nic rzec. I wyszedł.

## ROZDZIAŁ IX

Następnego dnia nie unikał Jurand bynajmniej Zbyszka ani mu też przeszkadzał w oddawaniu Danusi w drodze rozmaitych przysług, które jako rycerz powinien był jej oddawać. Owszem – Zbyszko, choć wielce w sercu strapiony, zauważył przecie, iż posepny pan ze Spychowa spogląda na niego życzliwie i jakby z żalem, że musiał mu dać tak okrutną odpowiedź. Próbował też młody włodyka niejednokrotnie zbliżyć się do niego i zacząć z nim rozmowę. Po wyruszeniu z Krakowa, w czasie podróży o sposobność nie było trudno, gdyż obaj towarzyszyli księżnej konno, Jurand, lubo zwykle milczący, rozmawiał dość chętnie, ale gdy tylko Zbyszko chciał dowiedzieć się czegoś o przeszkodach dzielących go od Danusi, rozmowa urywała się nagle, a twarz Jurandowa czyniła się chmurna. Myślał Zbyszko, że księżna wie więcej – upatrzwszy zatem sposobną chwilę, starał się od niej jakąkolwiek wiadomość wydostać, ale ona niewiele także mogła mu powiedzieć.

– Juźci jest tajemnica – rzekła. – Powiedział mi o tym Jurand, jeno prosił zarazem, abym go nie wypytywała. Pewnikiem przysięgą jakoś związany, jak to między ludźmi bywa. Bóg wszelako da, że z czasem wszystko to wyjdzie na jaw.

– Tako by mi bez Danuśki na świecie było jako psu na powrozie albo jak niedźwiedziowi w dole – odrzekł Zbyszko. – Ni radości nijakiej, ni uciechy. Nic, jedno frasunek i wzdychanie.

Poszedłby ja już do Tawani z księciem Witoldem, niechby mnie tam Tatarzy zabili. Ale wpierw muszę stryjca odwieźć, a potem one pawie czuby Niemcom ze łbów pościagać, jakom zaprzysiągł. Może mnie przy tym zabiją – co i wolę niż patrzeć, jako Danuškę inny zabierze.

Księżna podniosła na niego swoje dobre, niebieskie oczy i spytała z pewnym zdziwieniem:

– A tobyś na to przyzwolił?

– Ja? Póki mi tchu w nozdrzach, nie będzie tego! Chybaby mi ręka uschła i topora zdzierżyć nie mogła!

– Ano, widzisz.

– Ba! Ale jakoże mi ją przeciw ojcowej woli brać? Na to księżna jakby do siebie:

– Mocny Boże! albo to się i tak nie przytrafia... Potem zaś do Zbyszka:

– Zali wola boska nie mocniejsza od ojcowej? A coże Jurand rzekł? „Jak – powiada – będzie wola boska, to ją dostanie”.

– To samo i mnie rzekł! – zawołał Zbyszko. – „Jak – powiada – będzie wola boska, to ją dostaniesz”.

– A widzisz?

– Toż przy waszej łasce, miłościwa pani –jedyna pociecha.

– Moją łaskę masz, a Danuśka ci dotrzyma. Wczoraj jeszcze mówię jej: Danuśka, a dotrzymasz-li ty Zbyszkowi? A ona powiada tak: „Będem Zbyszkowa albo niczyja”. Zielona to jeszcze jagoda, ale jak co powie, to i dotrzyma, boć to szlacheckie dziecko, nie żadna powsinoga. I matka jej była taka sama.

– Dałby Bóg! rzekł Zbyszko.

– Jeno pamiętaj, byś i ty dotrzymał – bo to niejedyn chłop bywa płochy: obiecuje wiernie miłować, a zaraz ci potem dęba do innej, że go i na postronku nie utrzymasz! Sprawiedliwie mówię!

– A niechże mnie Pan Jezus wpierw skarże! – zawołał z zapalem Zbyszko.

– No, to pamiętaj. A jak stryjca odwieziesz, to na nasz dwór przyjeżdżaj. Zdarzy się tam sposobność, że ostrogi dostaniesz. a potem zobaczymy, jako Bóg da. Danuśka przez ten czas dojrzeje i wolę Bożą poczuje, bo teraz miłuje cię ona wprawdzie okrutnie – inaczej nie mogę rzec – ale nie tak jeszcze, jako wyrosłe dziewczki miłują. Może też i Jurand się w duszy do ciebie nakłoni, bo jako miarkuję, to on by rad. Pojedziesz i do Spychowa, i razem z Jurandem na Niemców, może się przytrafić, że mu się jako przysłużysz i całkiem go sobie zjednasz.

– To właśnie, miłościwa księżno, tak samo myślałem uczynić, ale z pozwolenstwem będzie mi łatwiej.

Rozmowa ta wielce dodała ducha Zbyszkowi. Tymczasem jednak na pierwszym popasie stary Maćko zachorzał tak, że trzeba było przyzostać i czekać, póki choć trochę sił do dalszej podróży nie odzyska. Zostawiła mu dobra księżna Anna Danuta wszystkie leki i driakwie, jakie z sobą miała, ale sama musiała jechać dalej, przyszło więc obu rycerzom z Bogdańca rozstać się z dworem mazowieckim. Padł Zbyszko jak długi do nóg naprzód księżnie, potem Danusi, poprzysiągł jej jeszcze raz wierne służby rycerskie, obiecał przyjechać rychło do Cie-

chanowa albo do Warszawy, wreszcie porwał ją swoje silne ramiona i podniósłszy do góry, jął powtarzać wzruszonym głosem:

– Pamiętajże ty o mnie, kwiatuszku najmilejszy, pamiętaj, rybeńko moja złota!

A Danusia, objąwszy go ramionami tak właśnie, jak młodsza siostra obejmuje miłego brata, przyłożyła swój zadarty nosek do jego policzka i płakała wielkimi jak groch łzami, powtarzając:

– Nie chcę do Ciechanowa bez Zbyszka, nie chcę do Ciechanowa!

Widział to Jurand, ale gniewem nie wybuchnął. Owszem, pożegnał i sam bardzo życzliwie młodzianka, a gdy już siedział na koniu, nawrócił jeszcze raz ku niemu i rzekł:

– Ostawaj z Bogiem i urazy do mnie nie chowaj.

– Jakobym miał urazę do was chować, kiedyście Danusków ojciec!  
– odrzekł szczerze Zbyszko.

I pochylił mu się do strzemion, ów zaś ścisnął mu silnie rękę i rzekł:

– Szczęść ci Boże we wszystkim!... rozumiesz?

I odjechał. Zbyszko jednakże zrozumiał, jak wielka życzliwość tkwiła w ostatnich jego słowach, i wróciwszy do wozu, na którym leżał Maćko, rzekł:

– Wiecie? on by też chciał, jeno mu coś przeszkadza. Wyście byli w Spychowie i rozum macie bystry, to starajcie się wymiarkować, co to jest.

Lecz Maćko zbyt był chory. Gorączka, którą miał od rana, powiększyła się pod wieczór do tego stopnia, że począł tracić przytomność, więc zamiast odpowiedzieć Zbyszkowi, spojrzął na niego jakby ze zdziwieniem, potem spytał:

– A gdzie tu dzwonią?

Zbyszko zląkł się, przyszło mu bowiem do głowy, że skoro chory słyszy dzwony, to widać, że już śmierć ku niemu idzie. Pomyślał też, że stary może umrzeć bez księdza, bez spowiedzi, a tym samym dostać się, jeżeli zgoła nie do piekła, to przynajmniej na długie wieki do czyśćca – więc postanowił go jednak wieźć dalej, by jak najprędzej dojechać do jakowejś parafii, w której Maćko mógłby przyjąć Ostatnie Sakramenta.

W tym celu ruszyli na całą noc. Zbyszko siadł na wóz z sianem, na którym leżał chory, i czuwał nad nim aż do białego dnia. Od czasu do czasu poił go winem, którym zaopatrzył ich na drogę kupiec Amylej, a które spragniony Maćko pił chciwie, albowiem przynosiło mu ono wi-

doczną ulgę. Po drugiej kwarcie odzyskał nawet przytomność, po trzeciej zaś zasnął tak głęboko, że Zbyszko pochylał się nad nim chwilami, by się przekonać, że nie umarł.

I na myśl o tym zdejmował go żal głęboki. Do czasu swego uwięzienia w Krakowie nie zdawał sobie nawet dobrze sprawy, jak dalece miłuje tego stryjca, który mu był w życiu ojcem i matką. Lecz teraz wiedział o tym dobrze, a zarazem czuł, że po jego śmierci będzie okrutnie sam na świecie – bez krewnych, prócz opata, który trzymał w zastawie Bogdaniec, bez przyjaciół i bez pomocy. Jednocześnie przychodziło mu na myśl, że Maćko, jeśli umrze, to też przez Niemców, przez których on sam mało szyi nie stracił, przez których zginęli wszyscy jego ojciec i Danusina matka, i wielu, wielu niewinnych ludzi, których znał lub o których słyszał od znajomych – i aż poczynało go zdejmować zdziwienie. „Żali – mówił sobie – w całym tym Królestwie nie ma człowieka, który by od nich krzywdy nie doznał i pomsty nie pragnął?” Tu przypomniał sobie Niemców, z którymi wojował pod Wilnem, i pomyślał, że pewnie i Tatarzy srożej od nich nie wojują i że takiego drugiego narodu chyba na świecie nie ma.

Świt przerwał mu te rozmyślenia. Dzień wstawał jasny, ale chłodny. Maćko widocznie miał się lepiej, bo oddychał równiej i spokojniej. Zbudził się dopiero, gdy słońce dobrze już przygrzało, otworzył oczy i rzekł:

– Ulżyło mi. A gdzie jesteśmy?

– Dojeżdżamy do Olkusza. Wiecie?... gdzie srebro kopią i olbory do skarbu oddają.

– Żeby tak mieć, co jest w ziemi! Ot by można Bogdaniec zabudować!

– Widać, że wam lepiej – odrzekł, śmiejąc się, Zbyszko. – Hej! starczyłoby i na murowany zamek! Ale zajedziem do fary, bo tam i gościnę nam dadzą, i będziecie się mogli wypowiadać. Wszystko jest w boskich rękach, ale równo lepiej mieć sumienie na porządek.

– Ja grzeszny człowiek, rad się pokajam – odrzekł Maćko. – Śniło mi się w nocy, że mi diabli skórznie z nóg ściągają... I po niemiecku z sobą szwargotali. Bóg łaskaw, że mi ulżyło. A ty spałeś krzywą?

– Jakożem miał spać, kiedyś was pilnowałem?

– To przylegnij sobie trochę. Jak dojedziemy, to cię zbudzę.

– Gdzie mnie tam do spania!

– A co ci przeszkadza?

Zbyszko spojrzął na stryjca oczyma dziecka.

– A co, jak nie kochanie? Aże mnie kolki od wzdychania w dołyszku sparły, ale siędę trochę na konia, to mi ulży.

I zlazłszy z wozu, siadł na konia, którego mu Turczynek, podarowany przez Zawiszę, sprawnie podał. Maćko tymczasem brał się nieco z bólu za bok, ale widocznie myślał o czym innym, nie o własnej chorobie, bo kręcił głowę, cmokał ustami i wreszcie rzekł:

– Toć dziwuję się, dziwuję i nie mogę się wydziwować, skądś ty na to kochanie taki pazerny, bo ani twój rodzic nie był taki, ani ja też.

Lecz Zbyszko zamiast odpowiedzieć wyprostował się nagle w kulbace, wziął się w boki, głowę zadarł do góry i huknął całą siłą piersi:

*Plakałem ci bez noc, plakałem i z rana,  
Gdzieś mi się podziiała, dziewucho kochana!  
Nic mi nie pomoże, choć oczy wypłaczę,  
Bo ciebie, dziewczyno, nigdy nie zobaczę.  
Hej!*

I to „hej!” runęło po lesie, odbiło się o pnie przydrożne, wreszcie ozwało się dalekim echem i ucichło w gęstwinach.

A Maćko pomacał się znów po boku, w którym ugrzęzło niemieckie żeleźce, i rzekł, stękając trochę:

– Drzewiej ludzie byli mądrzejsi – rozumiesz? Po chwili jednak zamyślił się, jakby sobie przypominając jakieś dawne czasy, i dodał:

– Chociaż poniektóry bywał i drzewiej głupi. Ale tymczasem wyjechali z boru, za którym ujrzeli szopy gwarków, a dalej zębate mury Olkusza wzniesione przez króla Kazimierza i wieżę fary zbudowanej przez Władysława Łokietka.



## ROZDZIAŁ X

Kanonik od fary wypowiedział Maćka i zatrzymał ich gościnnie na nocleg, tak że wyjechali dopiero nazajutrz rano. Za Olkuszem skręcili ku Śląskowi, którego granicą mieli wciąż jechać aż do Wielkopolski. Droga szła po większej części puszcza, w której pod zachód słońca odbywały się często, podobne do podziemnych grzmotów, ryki turów i żubrów, nocami zaś pobłyskiwały spośród leszczynowej gęstwy oczy wilcze. Większe jednak niebezpieczeństwo niż od zwierza groziło na tej drodze wędrownikom i kupcom od niemieckich lub ziemczatych rycerzy ze Śląska, których zameczki wznosiły się tu i ówdzie nad granicą. Wprawdzie wskutek wojny z Opolczykiem Naderspanem, któremu pomagali przeciw królowi Władysławowi synowcowie śląscy, większą część tych zameczków pokruszyły ręce polskie, zawsze jednak trzeba się było mieć na baczości i zwłaszcza po zachodzie słońca nie popuszczać broni z ręki.

Jechali jednak spokojnie, tak że Zbyszki poczyniała się już droga przykrzyć, i dopiero na dzień kołowej jazdy od Bogdańca posłyszeli za sobą pewnej nocy parskanie i tupot koni.

– Jacyś ludzie jadą za nami – rzekł Zbyszko. Maćko, który nie spał, spojrzał na gwiazdy i odpowiedział jako człowiek doświadczony:

– Świt niedaleko. Przecieżby zbóje nie napadali przy schyłku nocy, bo nade dniem czas im do domu.

Zbyszko wstrzymał jednak wóz, uszykował ludzi w poprzek drogi czołem do nadjeżdżających, sam zaś wysunął się naprzód i czekał.

Jakoż po pewnym czasie ujrzał w pomroce kilkunastu konnych. Jeden z nich jechał na czele, na kilka kroków przed innymi, ale widocznie nie miał zamiaru się ukrywać, albowiem śpiewał głośno. Zbyszko nie mógł dosłyszeć słów, ale do uszu jego dochodziło wesole: „hoc! hoc!”, którym nieznamy kończył każdą zwrotkę pieśni.

– Nasi! – rzekł sobie. Po chwili jednak zawołał:

– Stój!

– A ty se siednij – odpowiedział żartobliwy głos.

– Coście za jedni?

– Coście za drudzy?

- A czemu nas najeżdżacie?
- A czemuż drogę zagradasz?
- Odpowiadaj, bo kusze napięte.
- A u nas... wypięte – strzelaj!
- Odkazujże po ludzku, bo ci będzie bieda. Na to odpowiedziała

Zbyszkowi wesoła pieśń:

*Jedna bieda z drugą biedą Na rozstaju w taniec idą...*

*Hoc! hoc! hoc! Na cóż im się taniec przyda?*

*Dobry taniec, chociaż bieda...*

*Hoc! hoc! hoc!*

Zdumiał się, usłyszawszy taką odpowiedź, Zbyszko; a tymczasem pieśń ustała, ale ten sam głos spytał:

– A jak się ta ma stary Maćko? Dycha jeszcze? Maćko przypodniósł się na wozie i rzekł:

– Dla Boga, to jacyś swoi! Zbyszko zaś ruszył koniem naprzód:

– Kto o Maćka pyta?

– A somsiad, Zych ze Zgorzelic. Już z tydzień jadę za wami i rozpytuję ludzi po drodze.

– Rety! Stryjku! Zych ze Zgorzelic tu jest! – zawołał Zbyszko. I poczęli się witać radośnie, Zych bowiem był istotnie ich sąsiadem, a do tego człowiekiem dobrym i powszechnie lubianym dla wielkiej wesołości.

– No, jak się macie? – pytał, potrząsając dłoń Maćka. – Hoc jeszcze, czyli już nie hoc!

– Hej, już nie hoc! – odrzekł Maćko. – Ale rad was widzę. Miły Boże, to jakbym już był w Bogdańcu!

– A co wam jest, bo jak słyszałem, to was Niemce postrzelili?

– Postrzelili psubraty! Żeleźce mi się między żebrami ostało...

– Bójcie się Boga! No i co? A próbowaliście niedźwiedziego sadła się napić?

– Widzicie! – rzekł Zbyszko – każdy niedźwiedzie sadło rai. Byle do Bogdańca. Zara pójde na noc z toporem pod barcie.

– Może Jagienka będzie miała, a nie, to pośle pytać.

– Jaka Jagienka? Waszej przecie było Małgochna? – spytał Maćko.

– Oo! co ta Małgochna! Na święty Michał będzie trzecia jesień, jak Małgochna na księżej grudzi. Zadzierzysta była baba – Panie, świeć nad jej duszą! – Ale Jagienka po niej poszła, jeno że młoda...

*Za dolami świeci górka,  
Jaka mać taka i córka... Hoc! hoc!*

...A Małgochnie gadałem: Nie leż na sosnę, kiedy ci pięćdziesiąt roków. Nieprawda! Wlazła. A to gałąź się ułomiła i buch! To powiadam wam, że aż dziurę w ziemi wybiła, ale też we trzy dni puściła ostatnią parę.

– Panie, świeć jej! – rzekł Maćko. – Pamiętam, pamiętam... kiedy to się w boki wzięła, a poczęła cudować, to się parobcy w siano chowali. Ale do gospodarki była sprawna! I z sosny jej się zleciało?... Widzicie ludzie!...

– Zleciała jak szyszka na zimę... Oj, był frasunek. Wiecie? po pogrzebie tom się tak z żalości upił. że trzy dni nie mogli mnie dobudzić. Myśleli, że się też wykopyrtnął. A com się potem napłakał, to byście cebrem nie wynieśli! Ale do gospodarstwa i Jagienka sprawna. Wszystko to teraz na jej głowie.

– Ledwie że ją pamiętam. Nie większa była, kiedym wyjeżdżał, jak toporzysko. Pod koniem mogła przejść, głową o brzuch nie zawadziwszy. Ba! dawno to już i musiała wyrosnąć.

– Na świętą Agnieszkę skończyła piętnaście lat; alem jej też już blisko rok nie widział.

– A cóż się z wami działo? Skąd wracacie?

– Z wojny. Albo to mi niewola, mający Jagienkę, w domu siedzieć?

Maćko, chociaż chory, na wzmiankę o wojnie nadstawił ciekawie uszu i zapytał:

– Byliście może z kniazem Witoldem pod Worską?

– A byłem – odrzekł wesoło Zych ze Zgorzelic. – No, Pan Bóg mu nie poszczęścił: ponieśliśmy klęskę od Edygi okrutną. Naprzód konie nam wystrzelali. Tatar ci nie uderzy wręcz jako rycerz chrześcijański, jeno z łuków z daleka szyje. Ty na niego obces, to ci się umknie i znów szyje. Róbże z nim, co chcesz! Bo widzicie, w naszym wojsku chępli się rycerze bez pomiarkowania i gadali tak:

„Kopij nawet nie będziemy pochylać ni mieczów dobywać Jeno na kopytach to robactwo rozniesiem”. Tak to oni się chwalili, aż tu jak wzięły grotty warczeć, to aż się ciemno uczyniło – i po bitwie, co? Ledwie jeden na dziesięciu żyw ostał. Dacie wiarę? Więcej niż połowa wojska, siedemdziesięciu kniazów litewskich i ruskich zostało na polu, a co bojarzynów i różnych tam dworzan, czyli jako oni zowią: otroków, tego byście i bez dwie niedziele nie policzyli.

– Słyszałem – przerwał Maćko. – I naszych posiłkowych rycerzy też siła legło.

– Ba, nawet i dziewięciu Krzyżaków, gdyż i ci musieli Witoldowej potędze służyć. A naszych także kupa, że to, jako wiecie, gdzie inny się obejrzy za siebie, tam nasz się nie obejrzy. Dufał najbardziej wielki kniaź naszym rycerzom i nie chciał mieć innej straży w bitwie koło siebie, jeno samych Polaków. Hi! hi! Mostem się też koło niego położyli, a jemu nic! Legł pan Spytko z Melsztyna i miecznik Bemat, i cześnik Mikołaj, i Prokop, i Przecław, i Dobrogost, i Jaśko z Lazewic, i Pilik Mazur, i Warsz z Michowa, i wojewoda Socha, i Jaśko z Dąbrowy, i Pietrko z Miłosławia, i Szczepiecki, i Oderski, i Tomko Łagoda. Kto by ich ta wszystkich zliczył! A niektórych tom widział tak nabitych grotami, że jako jeże po śmierci wyglądali, aż śmiech brał patrzeć!

Tu roześmiał się istotnie, jak gdyby opowiadał rzecz najweselszą – i nagle począł śpiewać:

*Oj poznałeś, co to Tatar,  
Kiej ci dobrze skóry natarł!*

– No, a potem co? – spytał Zbyszko.

– Potem umknął wielki kniaź, ale zaraz ducha nabrał, jako to on zwykle. Im mocniej go przygniesz, tym ci lepiej odskoczy, jak leszczy nowy kierz. Poskoczyliśmy tedy do Tawańskiego brodu bronić przeprawy. Przyszła też garść rycerzy nowych z Polski. No i nic! Dobrze! Na drugi dzień nadciągnął Edyga z ćmą tatarstwa, ale już nic nie wskórał. Hej, było wesele! Co on chce przez bród, to my go w pysk. Nijak nie mógł. Jeszcześmy ich nabili i nałapali niemało. Ja sam pięciu ułowilem, których z sobą do Zgorzelic prowadzę. Obaczycie po dniu, jakie mają psie mordy.

– W Krakowie powiadali, że i na Królestwo może przyjść wojna.

– Albo to Edyga głupi. Wiedział ci on dobrze, jakie u nas rycerstwo, a i to też, że najwięksi rycerze ostali doma, bo królowa nierada była, że Witold na swoją rękę wojny wszczyna. Ej, chytry on jest – stary Edyga! Zaraz pomiarkował u Tawani, że kniaź w siłę rośnie, i poszedł sobie precz, hen, za dziewiątą ziemię!...

– A wyście wrócili?

– A wróciłem. Już tam nie ma co robić. I w Krakowie dowiedziałem się o was, żeście mało co przede mną wyjechali.

– To dlatego wiedzieliście, że to my?

– Wiedziałem, że to wy, bom się wszędzie o was na popasach pytał.

Tu zwrócił się do Zbyszka:

– Hej, mój Boże, to ja cię małego ostatni raz widział, teraz zasię choć i po ciemku miarkuję, żeś chłop jak tur. A zaraz gotów był z kuszki dziać!... Widać, że na wojnie bywałeś.

– Mnie od małości wojna chowała. Niech stryjko powie, czyli mi doświadczenia brak.

– Nie potrzebuje mi stryjko nic mówić. Widziałem w Krakowie pana z Taczewa, który mi o tobie rozpowiadał... Ale pono ów Mazur nie chce ci dziewczki dać, a ja bym ta nie był taki zawzięty, boś mi się udał... Zapomnisz ty o tamtej, jeno zobaczysz moją Jagienkę. To ci rzepa!...

– A nieprawda! Nie zapomnę, choćbym i dziesięć takich jak wasza Jagna obaczył.

– Za nią pójdą Moczy doły, gdzie jest młyn. Było też na łągach, jakem wyjeżdżał, dziesięć świerzop dobrych ze źrebięty... Niejeden mi się jeszcze o Jagnę pokłoni – nie bój się!

Zbyszko chciał odpowiedzieć: „Ale nie ja!” – lecz Zych ze Zgorzelic począł sobie znów pośpiewywać:

*Ja wam się do kolan nagne,  
A wy za to dajcie Jagnę,  
Bogdaj was!*

– Wam zawsze wesołość i śpiewanie w głowie – zauważył Maćko.

– Ba, a cóż błogosławione dusze w niebie robią?

– Śpiewają.

– No, to widzicie! A potępione płaczą. Wolę ja iść do śpiewających niż do płaczących. Święty Pieter też powie tak: „Trzeba go puścić do raju, bo inaczej będzie jucha i w piekle śpiewała, a to nie przystoi”. Patrzcie – świta już.

I rzeczywiście czynił się dzień. Po chwili wyjechali na szeroką polanę, na której było już wcale widno. Na jeziorku zajmującym większą część polany jacyś ludzie łapali ryby, ale na widok zbrojnych mężów porzucili niewód i wypadłszy z wody, pochwycili co prędzej za osęki, za drągi i stanęli w groźnej postawie, gotowi do bitki.

– Wzięli nas za zbójów – rzekł, śmiejąc się, Zych. – Hej, rybitwy! a czy iście wy?

Tamci stali jeszcze czas jakiś w milczeniu, spoglądając nieufnie, na koniec jednak starszy między nimi, rozpoznawszy rycerzy, odrzekł:

– Księża opata z Tulczy.

– Naszego krewniaka – rzekł Maćko – który Bogdaniec w zastawie trzyma. To muszą być jego bory, ale chyba niedawno je kupił.

– Bogać kupił – odpowiedział Zych. – Wojował on o nie z Wilkiem z Brzozowej i widać wywojował. Mieli się nawet rok temu potykać konno na kopie i na długie miecze o całą tę stronę, ale nie wiem, jako się skończyło, bom był wyjechał.

– No, my swojak! – rzekł Maćko – z nami się nie będzie darł, a może jeszcze co z zastawu odpuści.

– Może. Z nim byle po dobrej woli, to jeszcze ze swego dołoży. Rycerski to opat, któremu nie nowina hełmem głowę nakryć. A przy tym pobożny i bardzo pięknie odprawia nabożeństwo. Musicie przecie pamiętać... Jak ci huknie przy mszy, to aż jaskółki pod pułapem z gniazd wylatują. No, i chwała Boża rośnie.

– Co nie mam pamiętać! Przecie o dziesięć kroków świece tchem w ołtarzu gasił. Zajeżdżałże on choć raz do Bogdańca?

– A jakże. Zajeżdżał. Pięciu nowych chłopów z żonami na karczunkach osadził. I u nas, w Zgorzelicach, też bywał, bo jako wiecie, on mi krzcił Jagienkę, którą zawsze bardzo nawidzi i córuchną ą zowie.

– Dałby Bóg, żeby chciał mi chłopów ostawić – rzekł Maćko.

– O wa! co tam dla takiego bogacza pięciu chłopów! Wreszcie, jak Jagienka go poprosi, to ostawi.

Tu rozmowa umilkła na chwilę, albowiem znad ciemnego boru i znad rumianej zorzy podniosło się jasne słońce i rozświetliło okolicę. Powitali je rycerze zwykłym: „Niech będzie pochwalony!”, a następnie, przeżegnawszy się, poczęli ranne pacierze.

Zych skończył pierwszy i uderzywszy się po kilkakroć w piersi, ozwał się do towarzyszków:

– Teraz się wam dobrze przypatrzę. Hej, zmieniliście się obaj... Wy, Maćku, musicie wpierv do zdrowia przyjść... Jagienka będzie miała o was staranie, bo to w waszym dworze baby nie uświeci... Ano, znać, że wam szczebrzuch tkwi między żebrami... I dobrze nie bardzo...

Tu zwrócił się do Zbyszka:

– Pokażże się i ty... Oj, mocny Boże! Pamiętam cię maleńkim, jakoś przez ogon żrebakom na grzbiet łąził, a teraz, wciornaści, co za rycerzyk!... Z gęby czyste paniątko, ale chłop pleczysty... Takiemu się choć i z niedźwiedziem brać...

– Co mu ta niedźwiedź! – rzekł na to Maćko. – Toć młodszy był niż dziś, gdy go ów Fryzyjczyk nazwał gołowąsem, a on, że to nie całkiem mu się spodobało, zaraz mu garścią wasy wydarł...

– Wiem – przerwał Zych. – I potykaliście się potem, i wzięliście ich poczet. Wszystko mi rozpowiadał pan z Taczewa:

*Wyszedł Niemiec z wielgim zyskiem,  
Pogrzebli go z gołym pyskiem,  
Hoc! hoc!*

I począł spoglądać na Zbyszka rozbawionymi oczyma, on zaś patrzył także z wielką ciekawością na jego długą jak tyczka postać, na chudą twarz z ogromnym nosem i na okrągłe, pełne śmiechu oczy.

– O! – rzekł – przy takim somszedzie, byle Bóg stryjkwowi wrócił zdrowie – to i nie będzie smutku.

– Lepiej mieć wesołego somsiada, bo z wesołym nie może być zwady – odrzekł Zych. – A teraz posłuchajcie, co wam po dobremu i po krześcijańsku powiem. Doma dawnoście nie byli i porządków nijakich w Bogdańcu nie zastaniecie. Nie mówię: w gospodarstwie – bo opat dobrze gospodarzył... lasu szmat wykarczował i chłopów nowych osadził... Ale że sam jeno czasem dojeżdża, więc w spizami będą pustki, ba, i w domu ledwie tam ława jaka jest – albo i wiązka grochowin do spania – a choremu potrzeba wygody. Więc wiecie co? – jedźcie ze mną do Zgorzelic. Zabawicie jaki miesiąc albo dwa, to mi będzie po sercu, a bez ten czas Jagienka o Bogdańcu pomyśli. Tylko się na nią zdajcie i niech was głowa o nic nie boli... Zbyszko będzie dojeżdżał gospodarki pilnować, a księdza opata też wam do Zgorzelic sprowadzę, to się z nim zaraz porachujecie... O was, Maćku, będzie dziewczka miała taki starunek jak o ojcu – a w chorobie babski starunek od innego lepszy. No! Moiście wy! uczynicieże tak, jako was proszę.

– Wiadoma rzecz, żeście dobry człowiek i zawszeście tacy byli – odrzekł z pewnym wzruszeniem Maćko – ale widzicie, mam-li umrzeć przez tę juchę zadziore, co mi pod ziobrem siedzi, to wolę na własnych śmieciach Przy tym w domu, choć ta człek i chory, to o niejedno się rozpyła, niejednego dopatrzy i niejedno zładzi. Jeśli Bóg każe iść na tamten świat – no, to nie ma rady! Czy przy większym starunku, czy przy mniejszym –jednako się nie wykręcisz. Do niewygód my na wojnie przywykli. Miła i wiacha grochowin temu, co przez kilka roków na gołej ziemi sypiał. Ale za wasze serce to wam szczerze dziękuję, i jeśli nie ja się wywdzięczę, to da Bóg, Zbyszko się wywdzięczy.

Zych ze Zgorzelic, który służył istotnie z dobroci i uczynności, począł znów nalegać i prosić, ale Maćko się uparł: kiedy umierać, to na własnym podwórku! Cniło mu się oto bez tego Bogdańca całymi latami, więc teraz, gdy granica już niedaleko, nie wyrzeknie się go za nic, choćby to miał być ostatni nocleg. Bóg łaskaw i tak, że mu choć pozwolił tu się przywlec.

Tu roztarł pięściami łzy, które wezbrały mu pod powiekami, obejrzał się wkoło i rzekł:

– Jeśli tu już bory Wilka z Brzozowej, to zaraz po południu dojeżdżiem.

– Nie Wilka z Brzozowej, jeno ninie opatowe – zauważył Zych.

Uśmiechnął się na to chory Maćko i po chwili odrzekł:

– Jeśli opatowe, to może kiedyś będą nasze.

– Ba! dopieroście mówili o śmierci – zawołał wesoło Zych – a teraz chce wam się opata przetrzymać.

– Nie ja go przetrzymam, jeno Zbyszko.

Dalszą rozmowę przerwały im odgłosy rogów w boru, które ozwały się daleko przed nimi. Zych wstrzymał zaraz konia i począł słuchać.

– Ktoś ci tu chyba poluje – rzekł. – Poczekajcie.

– Może opat. Tobo dobrze było, żebyśmy się zaraz spotkali.

– Cichajcie no!

Tu zwrócił się do orszaku:

– Stój!

Stanęli. Rogi ozwały się bliżej, a w chwilę później rozległo się szczekanie psów.

– Stój! – powtórzył Zych – Ku nam idą. Zbyszko zaś zeskoczył z konia i począł wołać:

– Dawajcie kuszę! może zwierz na nas wypadnie! wartko! wartko!

I porwawszy kuszę z rąk pachołka, wsparł ją o ziemię, przycisnął brzuchem, pochylił się, wyprężył grzbiet jak łuk i chwyciwszy palcami obu rąk cięciwę, naciągnął ją w mgnieniu oka na żelazny zastawnik, za czym założył strzałę i skoczył przed siebie w bór.

– Napiął! bez korby ci napiął! – szepnął Zych, zdumiony przykładem tak nadzwyczajnej siły.

– Ho, to morowy chłop! – odszepnął z dumą Maćko. Tymczasem rogi i granie psów ozwało się jeszcze bliżej, aż nagle po prawej stronie boru rozległ się ciężki tupot, trzask łamanych krzów i gałęzi – na drogę wypadł z gęstwiny, jak piorun, stary brodaty żubr z olbrzymią, nisko pochyloną głową, z krwawymi oczyma i wywalonym ozorem, zziajany, straszny. Trafiwszy na wyrwę przydrożną, przesadził ją jednym skokiem, upadł z rozpędu na przednie nogi, ale podniósł się i już, już miał skryć się w gęstwinie po drugiej stronie drogi, gdy nagle zawarczała złowrogo cięciwa kuszy, rozległ się świst grotu, po czym zwierz wspiął się, zakręcił, ryknął okropnie i runął jak gromem rażony na ziemię.



Zbyszko wychylił się zza drzewa, napiął znów kuszę i zbliżył się gotów do strzału ku leżącemu bykowi, którego zadnie nogi kopały jeszcze ziemię.

Lecz popatrzawszy chwilę, zawrócił spokojnie do orszaku i z daleka począł wołać:

– Tak dostał, aże gnojem popuścił!

– A niechże cię! – ozwał się, podjeżdżając, Zych – od jednej strzały!

– Ba, blisko było, a to przecie okrutny pęd. Obaczcie: nie tylko żeleźce, ale i brzechwa całkiem mu się schowała pod łopatką.

– Myśliwcy muszą być już blisko; pewnikiem ci go zabiorą.

– Nie dam! – odpowiedział Zbyszko – na drodze zabit, a droga niczyja.

– A jeśli to opat poluje?

– A, jeśli opat, to niech go bierze.

Tymczasem z lasu wychyliły się naprzód psy, których było kilkanaście. Ujrzawszy zwierza, rzuciły się na niego ze strasznym harmidrem, zbiły się na nim w kupę i niebawem poczęły się między sobą gryźć.

– Zaraz będą i myśliwi – rzekł Zych. – Ot patrz! już są, jeno dalej przed nami wypadli i nie widzą jeszcze zwierza. Hop! hop! bywajcie tu, bywajcie!... leży! leży!...

Lecz nagle umilkł, przysłonił oczy ręką, a po chwili ozwał się:

– Dla Boga! coże to jest? Czym ośleplę, czy mi się zdaje...

– Jeden na wronym koniu na przedzie – rzekł Zbyszko. Lecz Zych zawołał nagle:

– Miły Jezu! dyć to chyba Jagienka! I naraz począł krzyżeć:

– Jagna! Jagna!...

Po czym ruszył naprzód, ale nim zdążył puścić w cwał podjezdka, Zbyszko ujrzał najdziwniejsze w świecie widowisko:

Oto na chybkim srokaczu sadziła ku nim, siedząc po męsku, dziewczyna z kuszą w rękę i z oszczepem na plecach. W rozpuszczone od pędu włosy powszczepiały jej się chmielowe szyszki; twarz miała rumianą jak zorza, na piersiach rozchełstana koszulinę, a na koszuli serdak wełną do góry. Dopadłszy, osadziła na miejscu konia; przez chwilę na twarzy jej odbijało się niedowierzanie, zdumienie, radość – na koniec jednak, nie mogąc świadectwom oczu i uszu zaprzeczyć, poczęła krzyżeć cienkim, nieco jeszcze dziecinnym głosem:

– Tatulo! tatuś najmilejsi!

I w mgnieniu oka zsunęła się z konia, a gdy Zych zeskoczył także dla powitania jej na ziemię, rzuciła mu się na szyję. Przez długi czas Zbyszko słyszał tylko odgłos pocałunków i dwa wyrazy: „Tatulo! Jagula! Tatulo! Jagula!” – powtarzane w radosnym upojeniu.

Nadjechały oba poczty, nadjechał na wozie Maćko, a oni jeszcze powtarzali: „Tatulo! Jagula!”, i jeszcze się obejmowali za szyję. Aż gdy wreszcie mieli już do sytu powitań i okrzyków, poczęła go Jagienka wypytywać:

– To z wojny wracacie? Zdrowście aby?

– Z wojny. Co nie mam być zdrów! A ty? A młodsze chłopaki? Myślę, że zdrowe? – tak? Bo inaczej nie latałabyś po lesie. Ale coże ty tu robisz najlepszego, dziewczyno?

– Przecie widzicie: poluję – odpowiedziała, śmiejąc się, Jagienka.

– W cudzych lasach?

– Opat dał mi pozwolenstwo. Jeszcze przysłał pacholków do tego uczonych i psy.

Tu zwróciła się do swej czeladzi:

– A odpędzić mi ta psy, bo skórę podra! Po czym do Zycha:

– Oj, też rada jestem, rada, że was widzę!... U nas wszystko dobrze.

– A jam to nierad? – odparł Zych. – Dajże jeszcze, dziewucho, pyska!

I poczęli się znów całować, a gdy skończyli, Jagna rzekła:

– Do domu okrutny szmat drogi... takeśmy się za oną bestią zagnali. Chyba ze dwie mileśmy gnali, że już i konie ustawały. Ale tęgi żubr – widzieliście?... ma on ze trzy moje strzały w sobie, a od ostatniej musiał paść.

– Padł on od ostatniej, ale nie od twojej: ten to rycerzyk go ustrześlił.

Jagienka odgarnęła dłonią włosy, które się jej nasunęły na oczy, i spojrzała bystro, lubo niezbyt życzliwie na Zbyszka.

– Wiesz, kto to jest? – spytał Zych.

– Nie wiem.

– Nie dziwota, żeś go nie poznała, bo wyrósł. Ale może starego Maćka z Bogdańca poznasz?

– Dla Boga! to Maćko z Bogdańca! – zawołała Jagienka. I zbliżywszy się do woza, pocałowała Maćka w rękę.

– Toście wy?

– A ja. Jenom na wozie, bo mnie Niemcy postrzelili.

– Jakie Niemcy? przecie to z Tatory była wojna? Wiem ci ja to, bom się niemało tatula naprosiła, żeby mnie z sobą wziął.

– Była wojna z Tatory, ale my na niej nie byli, bośmy na Litwie przedtem wojowali i ja, i Zbyszko.

– A gdzie jest Zbyszko?

– Toś nie poznała, że to Zbyszko? – rzekł ze śmiechem Maćko.

– To jest Zbyszko? – zawołała dziewczyna, spoglądając znów na młodego rycerza.

– A jakże!

– Dajże mu po znajomości gęby – zawołał wesóło Zych. Jagienka zwróciła się żywo ku Zbyszkowi, lecz nagle cofnęła się i zakrywszy ręką oczy, rzekła:

– Kiedy się wstydam...

– My się przecie od małości znamy! – ozwał się Zbyszko.

– Aha! dobrze się znamy. Pamiętam ci ja, pamiętam. Z ośm roków temu przyjechaliście do nas z Maćkiem i nieboszczka matula przynieśli nam orzechów z miodem. A wy, jak jeno starsi wyszli z izby, zaraz mnie pięścią w nos, a orzechy samiście zjedli!

– Nie uczyniłby on teraz tego! – rzekł Maćko. – U kniazia Witolda bywał, w Krakowie na zamku bywał i obyczaj dworski zna.

Lecz Jagience przyszło co innego do głowy, zwróciwszy się bowiem do Zbyszka, spytała:

– To wyście żubra zabili?

– Ja.

– Obejrzym, gdzie tkwi grot.

– Nie obaczycie, bo mu się całkiem pochował pod łopatką.

– Daj spokój, nie prawuj się – rzekł Zych. – Widzielim wszyscy, jak go ustrzelił, i widzielim jeszcze coś lepszego, bo kuszę w mig bez korby naciągnął.

Jagienka spojrziała po raz trzeci na Zbyszka, ale tym razem z podziwem:

– Naciągnęliście kuszę bez korby? – spytała. Zbyszko odczuł w jej głosie jakby pewne niedowierzanie, wsparł więc o ziemię kuszę, którą był poprzednio spuścił, naciągnął ją w mgnieniu oka, aż zaskrzypiała żelazna obręcz, po czym, chcąc pokazać, że zna dworski obyczaj, przyklęknął na jedno kolano i podał ją Jagience.

Dziewczyna zaś, zamiast ją wziąć z jego rąk, zaczerwieniła się nagle, sama nie wiedząc dlaczego, i poczęła zaciągać pod szyją zgrzebną koszulę, która się była od szybkiej jazdy po lesie otwarła.

## ROZDZIAŁ XI

Drugiego dnia po przyjeździe do Bogdańca Maćko i Zbyszko poczeli rozglądać się po swojej starej siedzibie i wkrótce dostrzegli, iż Zych ze Zgorzelic miał słuszość, mówiąc, że z początku dokuczy im bieda niemała.

Z gospodarstwem szło jeszcze jako tako. Było kilka łąnów obrabianych przez chłopów dawnych albo świeżo osadzonych przez opata. Niegdyś bywało w Bogdańcu uprawnej ziemi daleko więcej, ale od czasu gdy w bitwie pod Płowcami ród Gradów wyginął prawie do szczytu – zbrakło rąk roboczych, a po napadzie śląskich Niemców i po wojnie Grzymalitów z Nałęczami żyzne niegdyś niwy bogdańskie pozarastały po większej części lasem. Maćko nie mógł sam dać rady. Próżno chciał przed kilkunastu laty przyciągnąć wolnych kmieciów z Krześni i puścić im ziemię za odsepy – ci bowiem woleli siedzieć na swoich własnych „lechach” niżli uprawiać cudzy zagon. Przywabił jednak nieco ludzi bezdomnych; w różnych wojnach wziął kilkunastu jeńców, których pozenił, osadził po chatach – i w ten sposób wieś zaczęła się dźwigać na nowo. Ale trudno mu to szło, więc gdy zdarzyła się sposobność zastawu, zastawił Maćko skwapliwie cały Bogdaniec, mniemając naprzód, że możnemu opatowi łatwiej będzie zagospodarować ziemię, a po wtóre, że tymczasem jemu i Zbyszkowi wojna przysporzy ludzi i pieniędzy. Jakoż opat rządził sprężyście. Siłę roboczą Bogdańca powiększył o pięć rodzin chłopskich, stada bydła i koni pomnożył, a przy tym zbudował śpichlerz, chruścianą oborę i takąż stajnię. Natomiast, nie mieszkając stale w Bogdańcu o dom nie dbał – i Maćko, który marzył czasami, że wróciwszy, zastanie go otoczonym rowem i częstokołem, zastał wszystko tak, jak był zostawił, z tą chyba różnicą, że węgły pokrzywiły się nieco, a ściany wydawały się niższe, bo osiadły i zasunęły się w ziemię.

Dwór składał się z ogromnej sieni, dwóch obszernych izb z komorami i z kuchni. W izbach były okna z błon, na środku zaś każdej ognisko w ulepionej z gliny podłodze, z którego dym wychodził przez szpary w pułapie. Pułap ów, czarny zupełnie, bywał za lepszych czasów zarazem i wędlarnią, na kołkach bowiem powbijanych w belki wiesz-

no wówczas szynki wieprzowe, dzicze, niedźwiedzie i łosie, combry jelenie i sarnie, grzbiety wołowe i całe zwoje kielbas. W Bogdańcu jednak haki były teraz puste, jak również i półki biegnące wzdłuż ścian, na których po innych „dworach” ustawiano misy cynowe i gliniane. Tylko ściany pod półkami nie wydawały się już zbyt nagie. Zbyszko bowiem kazał ludziom porozwieszać na nich pancerze, hełmy, miecze krótkie i długie, a dalej oszczepy, widły, kusze, kopie rycerskie, wreszcie tarcze i topory, i kropierze na konie. Broń czerniała od takiego rozwieszania w dymie i trzeba było często ją czyścić, ale za to była wszystka pod ręką i w dodatku czerw nie toczył drzewa w kopiach, kuszach i toporzyskach. Szaty kosztowne kazał troskliwy Maćko poprzemnieść do komory, w której sypiał.

W przednich izbach byty też w pobliżu błoniastych okien stoły zbite z sosnowych desek i także ławy, na których panowie zasiadali wraz z czeladzią do jadła. Ludziom odwykłym przez długie lata wojny od wygod nie trzeba było wiele, w Bogdańcu jednak brakło chleba, mąki i różnych innych zapasów, a zwłaszcza statków. Chłopi poznosili, co mogli, liczył głównie Maćko na to, że jako bywa w takich razach, przyjdą mu w pomoc sąsiedzi –i rzeczywiście nie omylił się, przynajmniej co do Zycha ze Zgorzelic.

Drugiego dnia po przyjeździe siedział właśnie stary na kłodzie przed domem, chcąc użyć pięknej jesiennej pogody, gdy na dziedziniec zajechała na tym samym wronym koniu Jagienka. Czeladnik, który drzewo rąbał koło płota, chciał jej do zsiadania pomóc, lecz ona, zeskoczywszy w jednej chwili na ziemię, zbliżyła się do Maćka, zdyszana nieco od prędkiej jazdy i zarumieniona jak jabłuszko.

– Niech będzie pochwalony! Przyjechałam pokłonić się wam od tatusia i zapytać o zdrowie.

– Nie gorzej niż było w drodze – odrzekł Maćko – człek się przynajmniej wyspał na własnych śmieciach.

– Ale niewygodę musicie mieć wielką, a choremu potrzeba starunku.

– Twarde my chłopcy. Jużci, z początku nie ma wygod, ale nie ma i głodu. Kazalim zarznąć wołu i dwie owce, mięsa jest dość. Poznosiły też baby trochę mąki i jaj, ale tego mało, a już najgorzej statków nam brakło.

– Bo ja kazałam wyładzić dwa wozy. Na jednym idą dwie pościele i statki, a na drugim spyża różna. Są placki i mąka, i słonina, i suszone

grzyby, jest beczuleczka piwa, a druga miodu – i co tam było w domu, ze wszystkiego po trochu.

Maćko, który rad był zawsze z każdego przybytku w domu, wyciągnął rękę, pogładził Jagienkę po głowie i rzekł:

– Bóg zapłać tobie i twojemu rodzicowi. Jak się zagospodarujem, to oddamy.

– Bogdajże was! A czy to my Niemce, żebyśmy mieli odbierać to, co dajem!

– No, to jeszcze bardziej Bóg wam zapłać. Powiadał o tobie rodzic, jakaś gospodarna. Toś ty całymi Zgorzelicami bez rok rządziła?

– Ano!... Jak wam będzie czego więcej potrzeba, to kogo przyślijcie, jeno takiego, co by wiedział, czego trzeba – bo to czasem głupi jaki sługa przyjedzie i nie wie, po co go przysłali.

Tu Jagienka poczęła się nieco oglądać, a Maćko, spostrzegłszy to, uśmiechnął się i zapytał:

– Za kimże się oglądasz?

– Nie oglądam się za nikim!

– Przyślę Zbyszka, niech za mnie tobie i Zychowi podziękuję. Udał ci się Zbyszko? co?

– A, nie patrzyłam!

– To przypatrzże mu się teraz, bo ci właśnie nadchodzi. Jakoż Zbyszko nadchodził rzeczywiście od wodopoju i ujrawszy Jagienkę, przyśpieszył kroku. Ubrany był w łośi kubrak i okrągłą pilśniową myckę, taką, jakich używano pod hełmy, włosy miał bez pątlaka, obcięte równo nad brwiami, a po bokach spływające w złotych zwojach na ramiona – i zbliżał się szybko, rosły, hoży do giermka z wielkiego domu zupełnie podobny.

Jagienka odwróciła się całkiem do Maćka, aby przez to okazać, że tylko do niego przyjechała, lecz Zbyszko przywitał ją wesoło, a następnie, wzięwszy jej rękę, podniósł ją do ust mimo oporu dziewczyny.

– Czemu mnie w rękę całujesz? – spytała – czy to ja ksiądz?

– Nie brońcie się! To taki zwyczaj.

– A choćby cię i w drugą pocałował za to, coś przywiozła – wtrącił Maćko – nie byłoby nadto.

– Co zaś przywiozła? – zapytał Zbyszko, rozglądając się po dziedzińcu, nie widząc nic więcej prócz wronego konia, który stał przywiązany do palika.

– Wozy jeszcze nie nadeszły, ale przyjdą – odpowiedziała Jagienka.

Maćko począł wymieniać, co przywiozła, niczego nie opuszczając, gdy zaś wspomniał o dwóch pościelach, Zbyszko rzekł:

– Ja tam rad i na żubrowej skórze przylegam, ale dziękuję wam, żeście i o mnie pomyśleli.

– To nie ja: tatulo... – odrzekła, czerwieniąc się, dziewczyna. – Jeśli wolicie na skórze, to niewoli nie ma.

– Wolę, na czym wypadnie. Bywało, nieraz w polu, po bitwie, to się sypiało i z zabitym Krzyżakiem pod głową.

– Alboście to zabili kiedy Krzyżaka? Pewno, że nie!

Zbyszko, zamiast odpowiedzieć, począł się śmiać. Maćko zaś zawołał:

– Bójże się Boga, dziewczyno, to ty jego nie znasz! Nic ci on innego nie czynił, jeno w Niemców bił, aże grzmiało. Na kopie, na topory, do wszystkiego gotów, a jak Niemca z dala dopatrzy, to choć go na powrozie trzymaj, tak się do niego rwie. W Krakowie chciał nawet w posła Lichtensteina bić, za co mało mu głowy nie ucieli. Taki to chłop! I o Fryzjach dwóch ci opowiem, po których wzięliśmy poczet i łup tak godny, że za połowę tego można by Bogdaniec wykupić.

Tu Maćko jął opowiadać o pojedynku z Fryzyczykami, a następnie o innych przygodach, jakie się im przytrafiały, i czynach, jakich dokonali. Potykali się przecie zza murów i w otwartym polu z największymi rycerzami, jacy w cudzoziemskich krajach żyją. Bili w Niemców, bili we Francuzów bili w Angielczyków i w Burgundów. Bywali w zaciekłych wirach bitew, że z koni, z ludzi, ze zbroi, z Niemców i piór czynił się jakoby jeden kłęb. A czego to oni przy tym nie widzieli! Widzieli krzyżackie zamki z czerwonej cegły, litewskie grodźce drewniane i kościoły, jakich koło Bogdańca nie ma, i miasta, i srogie puszcze, w których nocami kwiliły powypędzane ze świątyń litewskie bożeczki, i różne, różne cuda; wszędzie zaś, gdzie do bitki przyszło, Zbyszko na przedzie, tak że dziwowali mu się najwięksi rycerze.

Jagienka, przysiadłszy na kłodzie obok Maćka, słuchała z otwartymi ustami tego opowiadania, kręcąc głową, jakby ją miała na śrubkach, to w stronę Maćka, to w stronę Zbyszka i spoglądając na młodego rycerza z coraz większym podziwem. Wreszcie, gdy Maćko skończył, westchnęła i rzekła:

– Bogdaj się to chłopakiem urodzić!

Lecz Zbyszko, który przez czas opowiadania przyglądał się jej również bacznie, myślał w tej chwili widocznie o czym innym, gdyż niespodzianie rzekł:

– Ale też z was kraśna dziewczka!

Jagienka zaś odrzekła, na wpół z niechęcią, a na wpół ze smutkiem:

– Widzieliście wy kraśniejsze ode mnie.

Zbyszko jednak mógł bez kłamstwa odpowiedzieć jej, że wiele takich nie widział, gdyż od Jagienki bił po prostu blask zdrowia, młodości i siły. Stary opat nie próżno mawiał o niej, że wygląda jak na wpół kalina, wpół sosenka. Wszystko w niej było piękne: i wysmukła postawa, i szerokie ramiona, i piersi jak ze skały wykute, i czerwone usta, i modre oczki bystro patrzące. Była też przybrana staranniej niż poprzednio w lesie na łowach. Na szyi miała kraśne paciorki, kożuszek otwarty na przodzie, kryty zielonym sukmem, spódnicę z samodziału w prążki i nowe buty. Nawet stary Maćko zauważył ten piękny strój i popatrzawszy na nią przez chwilę, zapytał:

– A czemuś to się tak przybrała, jako na odpust? Lecz ona, zamiast odpowiedzieć, zaczęła wołać:

– Idą wozy, idą!...

Jakoż, gdy wozy zajechały, skoczyła ku nim, a za nią poszedł Zbyszko. Wyładowanie trwało aż do zachodu słońca, ku wielkiemu zadowoleniu Maćka, który każdą rzecz z osobna oglądał i za każdą wysławiał Jagienkę. Mrok też już zapadał zupełny, gdy dziewczyna zaczęła się zabierać do domu. Przy wsiadaniu na koń Zbyszko chwycił ją nagle wpół i nim zdążyła słowo wymówić, podniósł ją w górę i posadził na kulbakę. Wówczas zarumieniła się jak zorza i zwróciwszy ku niemu twarz, rzekła przytłumionym nieco głosem:

– Mocarny z was pacholek...

On zaś, nie dojrawszy jej rumieńców i zmieszania z powodu ciemności, roześmiał się i zapytał:

– A nie boicie się zwierza?... już zaraz noc!

– Jest na wozie oszczep... podajcie mi go.

Zbyszko poszedł do wozu, wyjął oszczep i wręczył go Jagience:

– Bądźcie zdrowi!

– Bądźcie zdrowi!

– Bóg wam zapłać! Przyjadę jutro alibo pojutrze do Zgorzelic pokłonić się Zychowi i wam za somszedzką uczynność.

– Przyjeżdżajcie! Radzi będziemy! Wiśta! I ruszywszy koniem, znikła po chwili w przydrożnych krzaczach.

Zbyszko wrócił do stryja.

– Czas wam do izby wracać.

Lecz Maćko odrzekł, nie ruszając się z kłody:



– Hej! co za dziewczyna! Aże podwórze od niej pojaśniało!

– Bo pewnie!

Nastała chwila milczenia. Maćko zdawał się o czymś rozmyślać, patrząc w ukazujące się gwiazdy, po czym znów rzekł jakby sam do siebie:

– I przyszczypne to, i gospodarne, choć nie ma więcej nad piętnaście roków...

– A no! – rzekł Zbyszko – stary Zych miłuje ją też jak oko w głowie.

– I mówił, że Moczydoły za nią pójdą, a tam jest w łęgach stadko świerzop ze źrebięty.

– W borach moczydłowskich ponoś okrutne bagna?...

– Ale żeremia bobrowe w nich są. I znów nastąpiło milczenie. Maćko spoglądał czas jakiś z ukosa na Zbyszka, a wreszcie spytał.

– Cóż się tak zapamiętał? O czym rozmyślasz?

– Bo... widzicie... po Jagience tak mi się Danuśka przypomniała, aże mnie coś w sercu zabolalo.

– Chodźmy do izby – rzekł na to stary. – Późno już. I wstawszy z trudem, wsparł się na Zbyszku, który odprowadził go do komory.

Zbyszko pojechał jednak zaraz nazajutrz do Zgorzelic, albowiem Maćko bardzo o to przynaglał. Wymógł również na bratanku, by wziął z sobą dla okazałości dwóch pacholców i przybrał się jak najpiękniej, aby w ten sposób cześć Zychowi wyrządzić i należyta wdzięczność mu okazać. Zbyszko ustąpił i pojechał wystrojony jak na wesele w tę samą zdobyczną jakę z białego atlasu, obszytą złotą frędzlą i zahartowaną w złote gryfy. Zych przyjął go z otwartymi ramionami, radością i ze śpiewaniem, Jagienka zaś, wszedłszy na próg izby, stanęła jak wryta i omal nie upuściła łagiewki z winem na widok młodziana, myślała bowiem, że królewicz jaki przyjechał. Straciła też od razu śmiałość i siedziała w milczeniu, przecierając tylko kiedy niekiedy oczy, jak gdyby się chciała ze snu obudzić. Zbyszko, któremu brakło doświadczenia, myślał, że z niewiadomych mu przyczyn nierada go widzi, rozmawiał więc tylko z Zychem, sławiąc jego sąsiedzką hojność i podziwiając dwór zgorzelicki, który rzeczywiście w niczym nie był do bogdanieckiego podobny.

Wszędzie znać tu było dostatek i zasobność. W izbach były okna z szybami z rogu, zestruganego cienko i tak wygładzonego, że był prawie jak szkło przezroczyście. Nie było ognisk na środku izb, tylko wielkie kominy z okapami po rogach. Podłoga była z modrzewiowych desek

czysto umytych, na ścianach zbroje i mnóstwo mis błyszczących jak słońca oraz pięknie wyciętych łyżników, z szeregami łyżek, z których dwie były ze srebra. Gdzieś wisiły też makatki, złupione w wojnach lub nabyte od wędrownych kupców. Pod stołami leżały olbrzymie płowe skóry turze, a także żubrze i dzicze. Zych z chęcią pokazywał swoje bogactwa, mówiąc co chwila, że to Jagienkowe gospodarowanie. Zaprowadził także Zbyszka do alkierza, pachnącego całkiem żywicą i miętą, w którym u pułapu wisiły całe pęki skór wilczych, lisich, kunich i bobrowych. Pokazał mu sernik, składy wosku i miodu, beczki z mąką, składy sucharów, konopi i suszonych grzybów. Wziął go następnie do śpichrzów, obór, stajen i chlewów, do szop, w których były wozy, sprzęty myśliwskie, sieci, i tak olśnił oczy jego dostatkiem, że Zbyszko, wróciwszy na wieczerzę, nie mógł utrzymać w sobie podziwu.

– Życ nie umierać w waszych Zgorzelicach! – rzekł.

– W Moczydołach bez mała takie same porządki – odrzekł Zych, – Pamiętasz Moczydoły? To przecie ku Bogdańcowi. – Drzewiej wadzili się nawet nasi ojce o granice i zapowiedzi sobie posyłali na bitki, aleja ta nie będę się wadził.

Tu trącił się ze Zbyszkiem kubkiem miodu i zapytał:

– A może byś chciał sobie coś zaśpiewać?

– Nie – rzekł Zbyszko – ciekawie was słucham.

– Zgorzelice, widzisz, wezmą niedźwiadki. Byłe się jeno kiedyś o nie nie podarli!...

– Jakie niedźwiadki?

– Ano, chłopaki, Jagienkowi bracia.

– Hej! nie będą potrzebowali łapy przez zimę ssać.

– A nie. Ale Jagience w Moczydołach sperki w gębie nie zabraknie...

– Pewnikiem!

– A czemu nie jesz i nie pijesz? Jagienka, nalej i jemu, i mnie.

– Jem i piję, jako mogę.

– Jak nie będziesz mógł, to się odpasz... Piękny pas! Wy też na Litwie musieliście wziąć łup godny?

– Nie narzekamy – odrzekł Zbyszko, korzystając ze sposobności, aby okazać, że i dziedzice Bogdańca nie byle włodyczkowie. – Część łupów przedaliśmy w Krakowie i wzięliśmy czterdzieści grzywien srebra...

– Bój się Boga! Toż za to można kupić wieś.

– Bo była jedna zbroja mediolańska, którą stryjko spodziewający się śmierci sprzedał, a to wiecie...

– Wiem! No! to warto na Litwę iść. Ja swego czasu chciałem, alem się bojał.

– Czego? Krzyżaków?

– E, kto by się ta ich bał. Póki cię nie zabiją, to czegoś się bać, a jak cię zabiją, to już i nie czas na strach. Bojałem się onych pogańskich bożków, czyli diabłów. Po lasach to podobno tego jak mrowia.

– A gdzie mają siedzieć, kiedy im bożnice popalili?... Dawniej mieli dostatek, a teraz jeno grzybami i mrówkami żyją.

– Widziałeś też ich?

– Ja sam nie widziałem, ale słyszałem, że ludzie widzieli... Wysunie ta poniektóry kosmatą łapinę i zza drzewa potrząsa nią, żeby mu co dać.

– Powiadali to samo Maćko – ozwała się Jagienka.

– A jakże! prawil ci i mnie o tym w drodze – dodał Zych. – No, nie dziwota! Przecie i u nas, choć kraj dawno krześcijański, czasem się coś po bajorach śmieje, a i w domu, choć księza o to krzyczą, lepiej zawsze skrzatom miskę zjadłem na noc ostawić, bo inaczej tak ci skrobia w ściany, że i oka nie zmrużysz... Jagienka!... postaw, córuchno, pod progiem miskę!

Jagienka wzięła glinianą miskę pełną klusków z serem i postawiła ją pod progiem. Zych zaś rzekł:

– Księza krzyczą, pomstują! Panu Jezusowi przecie przez trochę klusków chwały nie ubędzie, a skrzat byle był syt i zyczliwy, to i od ognia, i od złodzieja ustrzeże.

Po czym zwrócił się do Zbyszka:

– Ale może byś się odpaś i trochę sobie zaśpiewał?

– Zaśpiewajcie wy, bo już widzę, że z dawna macie ochotę, ale może panna Jagienka zaśpiewa?

– Będziem po kolei śpiewali – zawołał uradowany Zych. – Jest też w domu pacholek, który nam do wtóru na drewnianej fujarce zapiska. Wołać pachółka!

Zawołano pachółka, który siadł na zydlu i włożywszy „piszczkę” w usta, a następnie, rozstawiwszy na niej palce, jął spoglądać po obecnych, czekając, komu ma zawtórować.

Oni zaś poczęli się sprzeczać, nikt bowiem nie chciał być pierwszy. Kazał wreszcie Zych dać przykład Jagience, więc Jagienka, chociaż

bardzo jej było wstyd Zbyszka, wstała z ławy, włożyła ręce pod fartuch i poczęła:

*Gdybym ci ja miała  
Skrzydłeczka jak gąska,  
Poleciałabym ja  
Za Jaśkiem do Śląska!...*

Zbyszko otworzył naprzód szeroko oczy, po czym zerwał się na równe nogi i zawołał wielkim głosem:

– A wy skąd to umiecie śpiewać? Jagienka spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Przecie to wszyscy śpiewają... Co wam?

Zych zaś, który sądził, że Zbyszko podpił, zwrócił ku niemu rozradowaną twarz i rzekł:

– Odpasz się! Zaraz ci ulży!

Lecz Zbyszko stał przez chwilę z mieniającą się twarzą, po czym, opanowawszy wzruszenie, ozwał się do Jagienki:

– Przepraszam was. Cosik mi się niespodzianie przypomniało. Śpiewajcie dalej.

– A może wam smutno słuchać?

– Ej, gdzie tam! – odrzekł drgającym głosem. – Słuchałbym tego przez całą noc.

To rzekłszy, siadł i zakrywszy dłonią brwi, umilkł, nie chcąc żadnego słowa uronić.

Jagienka zaśpiewała drugą zwrotkę, lecz skończywszy ją, spostrzegła wielką łzę staczającą się po palcach Zbyszkowej dłoni.

Wówczas przysunęła się żywo ku niemu i siadłszy obok, poczęła go trącać łokciem:

– No? Co wam? Nie chcę, byście płakali. Mówcie, co wam jest?

– Nic, nic! – odrzekł z westchnieniem Zbyszko. – Siła by gadać... Co było, to przeszło. Już mi weselej.

– A może byście się wina słodkiego napili?

– Poćciwa dziewczka! – zawołał Zych. – Czemu to mówicie sobie: wy? Mów mu: Zbyszku, a ty jej: Jagienko. Znacie się przecie od małości...

Po czym zwrócił się do córki:

– Że cię tam ongi sprął, to nic!... Ninie tego nie uczyni.

– Nie uczynię! – rzekł wesoło Zbyszko. – Niechże mnie ona za to teraz spierze, jeśli jej wola.

Na to Jagienka, chcąc go do reszty rozweselić, złożyła dłoń w piąstkę i śmiejąc się, poczęła udawać, że bije Zbyszka.

– A masz ci za mój rozbity nos! a masz! a masz!

– Wina! – zawołał rozochocony dziedzic Zgorzelic, Jagienka skoczyła do komory i po chwili wyniosła kamionkę z winem, dwa kubki piękne, wygniatane w srebrne kwiaty, roboty wrocławskich złotników, i parę gomółek z daleka pachnących.

Zycha, mającego już w głowie, rozczulił ten widok zupełnie, więc przygarnął do siebie kamionkę, przycisnął ją do łona i sądząc widocznie, że to Jagienka, począł mówić:

– Oj, córuchno ty moja! oj, niebogo sieroto! Co ja, biedny chudzi-  
na, w Zgorzelicach pocznę, jak mi cię zabiorą – co ja pocznę!...

– A trza ją będzie niezadługo dać! – zawołał Zbyszko. Zych zaś w mgnieniu oka z rozczulenia przeszedł do śmiechu:

– Chy! chy! A dziewce piętnaście roków i już ją do chłopów ciągnie!.. już jak którego choć z daleka uwidzi, to ażę kolaniem o kolano trze!...

– Tatusiu, bo sobie pójdę – rzekła Jagienka.

– Nie chodź! dobrze z tobą...

Po czym ją mrugać tajemniczo na Zbyszka.

– Zajeżdża ich tu dwóch: jeden młody Wilk, syn starego Wilka z Brzozowej, a drugi Cztań z Rogowa. Żeby cię tu zastali, zaraz by wzięli na cię zgrzytać, jako i na się wzajem zgrzytają.

– O wa! – rzekł Zbyszko.

Po czym zwrócił się do Jagienki i mówiąc jej: ty, wedle polecenia Zycha, zapytał:

– A ty którego wolisz?

– Żadnego.

– Wilk sierzysty pacholek! – zauważył Zych.

– Niech w inną stronę wyje!

– A Cztań?

Jagienka poczęła się śmiać.

– Cztań – mówiła, zwracając się do Zbyszka – takie ci ma kudły na gębie jak cap, że mu oczu nie widać – i sadła tyle na nim co na niedźwiedziu.

A Zbyszko uderzył się w głowę, jakby coś sobie nagle przypominając, i rzekł:

– Ale! kiedyście tacy dobrzy, to was jeszcze o jedną rzecz poproszę: nie ma też u was w domu niedźwiedziego sadła, bo stryjkowi na lek potrzebne, a w Bogdańcu nie mogłem dopytać?

– Było – rzekła Jagienka – ale chłopaki na dwór wynieśli do smarowania łuków – i psi do szczętu zjedli... Bodajże to!

– Nic nie zostało?

– Do czysta wylizane!

– Ha! to nie ma innej rady, jeno trza będzie w boru poszukać.

– Uczynicie obławę, bo niedźwiedzi nie brak, a jeśli myśliwskiego sprzętu chcecie, to damy.

– Gdzie mi tam czekać! Pójdę na noc pod barcie.

– Weźcie z pięciu naroczników. Są między nimi chłopcy sprawne.

– Nie będę kupą chodził, bo jeszcze mi zwierza spłoszą.

– To jakże? Z kuszą pójdziecie?

– A co bym z kuszą w boru po ciemku zrobił? Miesiąc teraz przecie nie świeci. Wezmę widły z zadziarami, topór dobry i pój dę jutro sam.

Jagienka umilkła na chwilę, po czym w twarzy jej odbił się niepokój.

– Poszedł od nas łośńskiego roku – rzekła – myśliwiec Bezduch i niedźwiedź go rozdarł. Zawsze to jest nieprzeznaczona rzecz, bo on jak samego człowieka w nocy uwidzi, a tym bardziej przy barciach, to zaraz na zadnie łapy staje.

– Żeby uciekał, toby się go nie dostało – odrzekł Zbyszko. Tymczasem Zych, który się był zdrzemnął, zbudził się nagle i zaczął śpiewać:

*A ty, Kuba, od roboty,*

*A ja, Maciek, od ochoty!*

*Idźże rano z sochą w pole!*

*A ja z Kasią w żytko wolę.*

*Hoc! hoc!*

Po czym do Zbyszka:

– Wiesz? jest ich dwóch: Wilk z Brzozowej i Cztan z Rogowa... a ty...

Lecz Jagienka, bojąc się, żeby Zych nie powiedział czegoś nadto, zbliżyła się szybko do Zbyszka i jeła wypytywać:

– I kiedy pójdziesz? jutro?

– Jutro, po zachodzie słońca.

– A do których barci?

– Do naszych, do bogdańskich, niedaleko od waszych kopców, wedle Radzikowego błota. Powiadali mi, że tam o misia łatwo.

## ROZDZIAŁ XII

Zbyszko wybrał się, jak zapowiedział, gdyż Maćko czuł się coraz gorzej. Z początku podtrzymywała go radość i pierwsze domowe zajęcia, lecz trzeciego dnia wróciła mu gorączka i ból w boku ozwał mu się z taką siłą, iż musiał się położyć. Zbyszko poszedł naprzód w dzień, obejrzał barci, zobaczył, że jest blisko ogromny ślad na błocie – i rozmówił się z bartnikiem Wawrkiem, który nocami sypiał w pobliżu w szałasie, razem z parą srogich podhalskich kundli, ale właśnie miał się już wynieść do wsi z powodu chłódów jesiennych.

Obaj rozrzučili szałas, zabrali psy, tu i ówdzie rozsmarowali trochę miodu po pniach, by zapach znęcił zwierza, za czym Zbyszko wrócił do domu i począł się gotować na wyprawę. Ubrał się dla ciepła w kubrak łośi, bez rękawów; na ciemę nawdział żelazny czepiec z drutu, aby niedźwiedź nie mógł mu obedrzeć skóry z głowy, wreszcie wziął widły dobrze okute, dwuzębne, z zadziorami, i topór stalowy, szeroki, na dębowym toporzysku nie tak krótkim, jakich zażywają cieśle. O wieczornym udoju był już u celu i wybrawszy sobie dogodnie miejsce, przeżegnał się, zasiadł i czekał.

Czerwone promienie zachodzącego słońca świeciły między gałęziami chojarów. Po wierzchołkach sosen tłukły się wrony, kracząc i łopocąc skrzydłami; gdzieniegdzie kicały ku wodzie zające, czyniąc szelest po żółciejących jagodziskach i po opadłych liściach; czasem śmignęła po buczku chybka kuna. W gąszczach odzywał się jeszcze świegot ptaków, który stopniowo ustawał.

O samym zachodzie nie było w boru spokoju. Przeszło niebawem opodal Zbyszka stadko dzików z wielkim hałasem i fukaniem, a potem kłusowały łośie długim rzędem, trzymając jeden drugiemu łeb na ogonie. Suche gałęzie trzeszczały im pod raciami i las aż dudnił, one atoli, połyskując czerwono w słońcu, dążyły do błota, gdzie im było nocą bezpiecznie i błogo. Nareszcie zorze rozpały się na niebie, od których wierzchołki sosen zdawały się płonąć jak w ogniu, i z wolna jęło się wszystko uspokajać. Bór szedł spać. Mrok wstawał od ziemi i podnosił się w górę ku świetlistym zorzom, które też w końcu poczęły omdlewać, zasepiać się, czernieć i gasnąć.

„Teraz póki się wilki nie odezwą, to będzie cicho” – pomyślał Zbyszko.

Żałował jednak, że nie wziął kuszy, mógłby był bowiem z łatwością położyć dzika lub łosia. Tymczasem od strony błota dochodziły jeszcze czas jakiś przytłumione odgłosy, podobne do ciężkiego stękania i poświstywania. Zbyszko spoglądał ku temu błotowi z pewną nieufnością, albowiem chłop Radzik, który mieszkał tu niegdyś w ziemnej chacie, znikł razem z rodziną, jakby się pod ziemię zapadł. Jedni mówili, że porwali ich zbóje, byli wszelako ludzie, którzy widzieli później wedle chaty jakieś dziwne ślady ni to ludzkie, ni zwierzęce – i którzy bardzo kręcili nad tym głowami, a nawet namyślali się, czyby nie sprowadzić księdza z Krześni, aby tę chałupę poświęcił. Nie przyszło wprawdzie do tego, bo nie znalazł się nikt, który by chciał tu zamieszkać, i chatę, a raczej glinę na chruścianych ścianach, rozpłukały z czasem dżdże – miejsce jednakże nie używało odtąd dobrej sławy. Nie uważał wprawdzie na to Wawrek, bartnik, który tu nocował latem w szałasie, ale i o tym Wawrku różnie mówiono. Zbyszko, mając widły i topór, nie obawiał się dzikich zwierząt – myślał natomiast z pewnym niepokojem o siłach nieczystych i rad też był, gdy owe gwary wreszcie umilkły.

Ostatnie odblaski znikły i uczyniła się noc zupełna. Wiatr ustał, nie było nawet zwykłego szumu w wierzchołkach sosen. Kiedy niekiedy spadała tu i ówdzie szyszka, wydając na tle ogólnego milczenia odgłos mocny i donośny, ale zresztą było tak cicho, że Zbyszko słyszał własny oddech.

W ten sposób przesiedział długi czas, rozmyślając naprzód o niedźwiedziu, który mógł nadejść, a następnie o Danusi, która z dworem mazowieckim jechała w dalekie strony. Przypomniawszy sobie, jak ją chwycił na rękę w chwili rozstania się z księżną i jak jej łzy spływały mu po policzku, przypomniawszy sobie jej jasną twarz, jej przetowłosą główkę, jej chabrowe wianuszki i jej śpiewanie, jej czerwone trzewiczki z długimi nosami, które całował na odjezdnym – wreszcie wszystko, co zaszło od chwili, jak się poznali; i ogarnął go taki żal, że jej blisko nie ma, i taka po niej tęsknota, że całkiem w niej zatonął, stracił pamięć, że jest w lesie, że czatuje na zwierza, a natomiast począł sobie mówić w duszy:

„Pójdę ja k'tobie, bo mi nie żyć bez ciebie”.

I czuł, że tak jest – i że musi jechać na Mazowsze, bo inaczej skapieje w Bogdańcu. Przyszedł mu na myśl Jurand i jego dziwny opór,



więc pomyślał, że tym bardziej trzeba mu jechać, aby się dowiedzieć, co to za tajemnica, co za przeszkody i czyby jakowyś pozew do walki na śmierć nie zdołał ich usunąć. Wreszcie wydało mu się, że Danusia wyciąga do niego ręce i woła:

„Bywaj, Zbyszku, bywaj!” Jakże mu do niej nie iść!

I nie spał – a widział ją tak wyraźnie, jakby w zjawieniu albo we śnie. Jedzie teraz oto Danuśka obok księżny, brząka jej na luteńce i pośpiewuje, a myśli o nim. Myśli, że go ujrzy niezadługo, a może się i obziera, czy on za nimi w skok nie pędzi – a on tymczasem w boru ciemnym.

Tu ocknął się Zbyszko – i ocknął się nie tylko dlatego, że sobie przypomniał bór ciemny, ale i dla tej przyczyny, że z dala za nim ozwał się jakiś szelest.

Wówczas ścisnął mocniej widły w garściach, nadstawił uszu i począł słuchać.

Szelest zbliżał się i po jakimś czasie stał się całkiem wyraźny. Chrupały pod czyjąś ostrożną stopą suche gałązki, szurały opadłe liście i jagodziska... Coś szło.

Chwilami szelest ustawał, jak gdyby zwierz zatrzymywał się przy drzewach, i wówczas robiła się taka cisza, że Zbyszkowi poczynało aż w uszach dzwonić – po czym znów odzywały się kroki wolne i przeczorne. W ogóle było w tym zbliżaniu się coś tak ostrożnego, że Zbyszka ogarnęło zdziwienie.

– Musi się „Stary” psów bać, które tu były przy szałasie – rzekł sobie – ale może to i wilk, który mnie zwietrzył.

Tymczasem kroki ucichły. Zbyszko jednak słyszał wyraźnie, że coś zatrzymało się może o dwadzieścia albo o trzydzieści kroków za nim i jakby przysiadło. Obejrzał się raz i drugi – ale lubo pnie rysowały się w zmroku dość wyraźnie, nie mógł nic dojrzeć. Nie było innej rady, tylko czekać.

I czekał tak długo, że aż zdziwienie ogarnęło go po raz wtóry.

– Niedźwiedź nie przyszedłby tu przecie spać pod barcią, a wilk byłby mnie już zawietrzył i też by nie czekał do rana.

I nagle mrowie przeszło go od stóp do głowy.

A nuż to co „paskudnego” wylazło z błota i zachodzi mu z tyłu? Nuż niespodzianie chwycą go jakie oślizgłe ramiona topielca albo zajrzą mu w twarz zielone oczy upiora, nuż się coś roześmieje okropnie tuż za nim albo zza sosny wy lezie sina głowa na pajęczych nogach?

I uczuł, że pod żelaznym czepcem włosy poczynają mu się jeżyć.

Lecz po chwili szelest odezwał się przed nim – i tym razem wyraźniejszy jeszcze niż poprzednio. Zbyszko odetchnął. Przypuszczał wprawdzie, że to samo „dziwo” obeszło go, a teraz zbliża się z przodu. Ale to wołał. Chwycił wygodnie widły, podniósł się cicho i czekał.

Wtem nad głową usłyszał szum sosen, na twarzy uczuł silny powiew, ciągnący od strony błota, a jednocześnie do jego nozdrzy doleciał swąd niedźwiedzi.

Nie było teraz najmniejszej wątpliwości: szedł miś! Zbyszko jednej chwili przestał się bać i pochyliwszy głowę, wyteżył wzrok i słuchał. Kroki zbliżały się ciężkie, wyraźne, swąd czynił się ostrzejszy; wkrótce dało się słyszeć sapanie i pomruk. „Byle nie szło dwóch!” – pomyślał Zbyszko. Ale w tej chwili zobaczył przed sobą wielki i ciemny kształt zwierzęcia, które idąc z wiatrem, do ostatniej chwili nie mogło go zwietrzyć, tym bardziej że zajmował je zapach rozsmarowanego po pniach miodu.

– Bywaj, dziadku! – zawołał Zbyszko, wysuwając się spod sosny.

Niedźwiedź ryknął krótko, jakby przerażony niespodzianym zjawiskiem, lecz był już zbyt blisko, aby mógł ratować się ucieczką, więc w jednej chwili podniósł się na zadnie łapy, rozwarłszy przednie jak do uścisku. Tego właśnie czekał Zbyszko;

zebrał się w sobie, skoczył jak błyskawica i całą siłą potężnych ramion oraz własnego ciężaru wbił widły w piersi zwierza.

Cały bór zatrząsł się teraz od przeraźliwego ryku. Niedźwiedź chwycił łapami widły, pragnąc je wyrwać, ale zadziory przy ostrzach wstrzymały, więc poczuwszy ból, zagrzmiął jeszcze straszliwiej. Chcąc dosięgnąć Zbyszka, wsparł się na widłach i wbił je w siebie mocniej. Zbyszko, nie wiedząc, czy ostrza weszły dość głęboko, nie puszczał rękojęści. Człowiek i zwierzę poczęły się szarpać i szamotać. Bór trząsł się wciąż od ryku, w którym brzmiała wściekłość i rozpacz.

Zbyszko nie mógł się jąć topora, nie wbiwszy poprzednio drugiego, zaostrzonego końca wideł w ziemię, niedźwiedź zaś, chwyciwszy za osadę łapami, miotał nią i Zbyszkiem, jakby rozumiejąc, o co chodzi, i – mimo bólu, który sprawiało mu każde poruszenie utkwionych głęboko ostrzy, nie dając się „podeprzeć”. W ten sposób straszna walka przedłużała się – i Zbyszko zrozumiał, że siły jego w końcu wyczerpią się. Mógł także upaść, a wówczas byłby zginał, więc zebrał się w sobie, wyteżył ramiona, rozstawił nogi, wygiął grzbiet jak tuk, by się nie przewrócić na wznak, i począł powtarzać przez zaciśnięte zęby:

– Moja śmierć albo twoja!...

I chwycił go wreszcie taki gniew, taka zawziętość, że istotnie wołałby był w tej chwili sam zginąć niż bestię puścić. Wreszcie, zawadzwszy nogą o korzeń sosny, zachwiał się i byłby padł, gdyby nie to, że w tej chwili stanęła przy nim jakaś ciemna postać – i drugie widły „podparły” bestię, a jednocześnie głos jakiś zawołał mu nagle tuż nad uchem:

– Toporem!...

Zbyszko w uniesieniu walki ani na jedno mgnienie oka nie zastanowił się, skąd mu niespodziewana pomoc nadeszła, natomiast chwycił topór i ciął strasznie. Trzasnęły teraz widły złamane ciężarem i ostatnią konwulsją zwierza – ów zaś zwałił się jakby piorunem rażony na ziemię i począł na niej chrapać. Lecz zaraz ustał. Nastąpiła cisza przerywana tylko głośnym oddechem Zbyszka, który wsparł się o sosnę, gdyż nogi chwiały się pod nim. Po chwili dopiero podniósł głowę, spojrzał na stojącą obok siebie postać – i przeląkł się myśląc, że to może nie człowiek.

– Ktoś jest? – zapytał niespokojnie.

– Jagienka! – odpowiedział cienki niewieści głos. Zbyszko aż zaniemówił ze zdziwienia, oczom własnym nie wierząc. Ale wątpliwości jego nie trwały długo, gdyż głos Jagienki ozwał się znowu:

– Nakrzesam ognia...

Wraz ozwał się szczeł krzesiwa o krzemień, iskry poczęły się sytać i przy ich migotliwym blasku ujrzał Zbyszko białe czoło, ciemne brwi i wysunięte naprzód usta dziewczyny, które dmuchały w zatloną hubkę. Wówczas dopiero pomyślał, że ona przyszła do tego boru, żeby mu dać pomoc, że bez jej widel mogłoby być z nim źle – i poczuł tak wielką wdzięczność dla niej, że nie namyślając się długo, chwycił ją wpół i ucałował w oba policzki.

A jej hubka i krzesiwo wypadły na ziemię.

– Daj spokój! Czego? – poczęła powtarzać stłumionym głosem, ale jednocześnie nie usuwała mu twarzy, owszem, ustami dotknęła nawet niby wypadkiem ust Zbyszka.

On zaś puścił ją i rzekł:

– Bóg ci zapłać. Nie wiem, co by się bez ciebie przy godziło. A Jagienka, kucnąwszy w ciemności, by odnaleźć krzesiwo i hubkę, poczęła się tłumaczyć:

– Bojałam się o ciebie, bo Bezdech poszedł też z widłami i z toporem – i niedźwiedz go ozdardł. Broń czego, Boże, Maćkowi byłoby

markotno, a on przecie i tak ledwie dycha... No, to i wzięłam widły, i poszłam.

– Toś to ty zachodziła tam za sosny?

– Ja.

– A ja myślał, że to „złe”.

– Niemały i mnie strach brał, bo tu koło Radzikowego błota w nocy bez ognia niedobrze.

– Czemuś się nie obezwała?

– Bom się bała, że mnie odpędzisz.

I to rzekłszy, znów zaczęła krzesać, a następnie położyła na hubkę kłaczek suchych konopnych paździerzy, które wnet strzeliły jasnym płomieniem.

– Mam dwie szczyпки – rzekła – a ty nazbieraj wartko sucharzy; będzie ogień.

Jakoż po chwili buchnęło rzeczywiście wesołe ognisko, którego blask rozświetlił ogromne rude cielsko niedźwiedzia leżące w kałuży krwi.

– Hej, sroga stwora! – ozwał się z pewną chępliwością Zbyszko.

– Ale ci łeb prawie caluśki rozwalony! o Jezu! To powiedziawszy, schyliła się i zanurzyła rękę w kudły niedźwiedzie, aby przekonać się, czy zwierz dużo ma w sobie sadła, po czym podniosła się z wesołą twarzą:

– Będzie sadła na jakie dwa roki!

– A widły połamane, patrz!

– To i bieda, bo co ja w domu powiem?

– Albo co?

– Bo tatuś nie byliby mnie wcale do boru puścili, więc musiałam czekać, póki się wszyscy nie pokładą.

Po chwili zaś dodała:

– Nie powiadaj też, że tu była, żeby nade mną nie cudowali.

– Ale cię pod dom odprowadzę, bo jeszcze wilcy na cię napadną, a wideł nie masz.

– No – dobrze!

I tak rozmawiali czas jakiś przy wesołym brzasku ogniska, nad trupem niedźwiedzia, podobni oboje do jakichś młodych leśnych stworzeń.

Zbyszko popatrzał na wdzięczną twarz Jagienki oświeconą blaskiem płomienia i rzekł z mimowolnym zdziwieniem:

– Ale takiej drugiej dziewczyny jak ty to chyba na świecie nie ma.  
Tobie by na wojnę chodzić!

Ona zaś spojrzała mu na chwilę w oczy, po czym odrzekła prawie smutno:

– Ja wiem... ale nie śmieję się ze mnie.

## ROZDZIAŁ XIII

Jagienka sama wytopiła duży garnek niedźwiedziego sadła, którego pierwszą kwartę wypił Maćko z ochotą, albowiem było świeże, nie przypalone i miało zapach dzięgielu, którego znająca się na lekach dziewczyna dorzuciła w miarę do garnka. Pokrzepił się też zaraz Maćko na duchu i nabrał nadziei, że wyzdrowieje.

– Tego mi było trzeba – mówił. – Jak się w czleku wszystko godnie wytłuści, to się może i ta, psia mać, drzazga któreśdy wypsnie.

Następne kwarty nie smakowały mu jednak tak dobrze jak pierwsza, ale pił przez rozum. Jagienka dodawała mu też otuchy, mówiąc:

– Będziecie zdrowi. Biludowi z Ostroga wbili ogniwa od kolczugi głęboko pod karkiem, a od sadła mu wyszły. Jeno, jak się rana otworzy, trzeba skromem bobrowym zatykać.

– A skrom masz?

– Mamy. Jeśli zasię świeżego będzie trzeba, to pójdziem ze Zbyszkim do żeremiów. O bobra nietrudno. Ale nie wadziłoby także, żebyście jakiemu świętemu co przyobiecali, takiemu, który jest patronem od ran.

– Mnie już to przez głowę przechodziło, tylko że nie wiem dobrze: któremu? Święty Jerzy jest patronem rycerzów: on ci strzeże wojownika od przygody i wżdy męstwa we wszelakiej potrzebie mu przydawa, a powiadają, że często osobą własną po sprawiedliwej stronie staje i niemiłych Bogu bić pomaga. Ale taki. co sam rad bije, rzadko rad sam smaruje, i od tego może być inny, któremu on nie będzie chciał wchodzić w drogę. Każdy święty ma w niebie swój urząd i swoją gospodarkę – to się wie! A jeden do drugiego nigdy się nie miesza, bo z tego mogłyby niezgody wyniknąć, w niebie zaś nie przystoi się świętym wadzić alibo się potykać... Są Kosma i Damian, też wielcy święci, do których się medycy modlą o to, by choróbska na świecie nie wyginęły, gdyż inaczej nie mieliby co jeść. Jest także święta Apolonia od zębów i święty Liboriusz od kamienia –ale to wszystko nie to! Przyjedzie opat, to mi powie, do kogo mam się udać – bo i nie byle kleryk wszystkie tajemnice boskie posiadał, i nie każdy takie rzeczy wie, chociaż ma głowę wygoloną.

– A żebyście samemu Panu Jezusowi ślubowali.

– Pewnie, że On nad wszystkimi. Ale to byłoby tak, jakoby mi, nie przymierzając, twój ojciec chłopa pobił, a ja bym do Krakowa do króla na skargę jechał. Co by mi ta król powiedział? Powiedziałby tak: „Ja nad całym Królestwem gospodarz, a ty do mnie z twoim chłopem przychodzisz! A to nie masz urzędów? nie możesz iść do grodu, do mojego kasztelana i pośrednika?” Pan Jezus jest gospodarzem nad całym światem – rozumiesz? –a od mniejszych spraw ma świętych.

– To ja wam powiem – rzekł Zbyszko, który nadszedł na koniec rozmowy – ślubujcie naszej nieboszczce królowej, że jeśli się za wami przyczyni, to pielgrzymkę do Krakowa, do jej grobu odprawicie. Albo to się tam mało cudów już w naszych oczach przygodziło? Po co obcych świętych szukać, kiedy jest swoja Pani od innych lepsza.

– Ba! Żebym to wiedział, że ona od ran!

– A choćby ta i nie była od ran! Nie będzie się śmiał na nią skrzywić byle święty, a skrzywi się, to jeszcze sam od Pana Boga oberwie, boć to przecie nie żadna zwyczajna nawojka, ale królowa polska...

– Która w ostatku pogańską krainę do krześcijańskiej wiary przywiodła. Toś mądrze rzekł – odpowiedział Maćko. – Wysoko ona tam musi siadać w boskim wiecu i pewno, że lada pacholek przeciw niej nie wskóra. Tak też uczynię, jak radzisz, żebym tak zdrów był!

Rada ta podobała się i Jagience, która nie mogła oprzeć się podziwieniu dla Zbyszkowego rozumu, a Maćko uczynił uroczysty ślub tego samego wieczora i odtąd z większą jeszcze otuchą pił niedźwiedzie sadło, wyglądając z dnia na dzień niechybnego uzdrowienia. Po tygodniu jednak począł tracić nadzieję. Mówił, że sadło „burzy” mu w żywocie, a na skórze, wedle ostatniego zebra, coś mu rośnie jakoby guz. Po dziesięciu dniach było jeszcze gorzej: guz urósł i poczerwieniał, a sam Maćko zesłabł bardzo, i gdy przyszła gorączka, począł znów gotować się na śmierć.

Aż pewnej nocy zbudził nagle Zbyszka:

– Zapal wartko łuczywo – rzekł – bo cości się dzieje ze mną, ale nie wiem, czy co dobrego, czy złego.

Zbyszko zerwał się na równe nogi i nie krzesząc ognia, rozdmuchał w przyległej do komory izbie ognisko, zapalił od niego smolną szczypkę i wrócił.

– Co z wami?

– Co ze mną! Guz mi coś przebodło, pewno zadziora! Trzymam ci ją, ale wydobyć nie mogę! czuję jeno, jako mi pod pazdurami brzęka i zbyrczy...

– Zadziera! nic innego. Chyćcie dobrze i ciągnijcie. Maćko jął się przekręcać i syczeć z bólu, ale tkał palce coraz głębiej, póki nie objął dobrze twardego przedmiotu; wreszcie szarpnął i wyciągnął.

– O Jezu!

– Jest? – spytał Zbyszko.

– Jest. Aż na mnie zimne poty uderzyły. Ale jest: patrzaj! To rzekłszy, pokazał Zbyszkowi podługowatą, ostrą drzazgę, która się była od źle ukutego grotu odłupała i od kilku miesięcy tkwiła w ciele.

– Chwała Bogu i królowej Jadwidze! Teraz będziecie zdrowi.

– Może, że mi ulżyło, ale okrutnie boli – mówił Maćko, wyciskając guz, z którego poczęła wypływać obficie krew pomieszana z ropą. – Tyle będzie tego paskudztwa w człeku mniej, to i musi chorość popuścić. Jagienka mówiła, że teraz trzeba będzie skromem bobrowym zatykać.

– Pójdziemy po bobra zaraz jutro.

Maćkowi jednakże zrobiło się zaraz nazajutrz znakomicie lepiej. Spał do późna, a zbudziwszy się, wołał o jedzenie. Na niedźwiedzie sadło nie mógł już patrzeć, ale za to rozbito mu dwadzieścia jaj do rynki, gdyż na więcej nie chciała przez ostrożność Jagienka pozwolić. On zaś spożył je łączywie wraz z półbochenkiem chleba i popił garncem piwa, po czym jął wołać, by mu przywiedli Zycha, bo mu się uczyniło wesoło.

Posłał więc Zbyszko jednego ze swoich Turczyneków, darowanych przez Zawiszę, po Zycha, który siadł na koń i przyjechał po południu, właśnie wtedy kiedy młodzi wybierali się do Odstajanego jeziora po bobry. Było z początku śmiechu, żartów i śpiewania przy miodzie bez miary, ale później starzy poczęli rozmawiać o dzieciach i wychwalać każdy swoje.

– Co to za chłop Zbyszko! – mówił Maćko – to takiego drugiego na świecie nie ma. A mężne to, a wartkie jako ryś, a sprawne. Wiecie! jak go na śmierć w Krakowie prowadzili, to tak dziewczki w oknach piszczwały, jakby je kto z tyłu stojący szydłem kłuł, i to jakie dziewczki: rycerskie i kasztelańskie córki, o różnych cudnych mieszczkach nie wspominając.

– A niech ta będą i kasztelańskie, i cudne, a od mojej Jagienki nie lepsze! – odrzekł Zych ze Zgorzelic.



– Albo ja wam mówię, że lepsze? Milszej dziewczki ku ludziom niż Jagienka chyba nie znaleźć.

– Ja też na Zbyszka nic nie powiadam: kuszę ci bez pokrętki naciąga!...

– I niedźwiedzia sam jeden podeprze. Widzieliście, jak go ciął? Cały łeb z jedną łapą odwalił.

– Łeb odwalił, ale podparł nie sam. Jagienka mu pomogła.

– Pomogła?... nie mówił mi nic.

– Bo jej obiecał... że to dziewczce wstyd po nocy do boru chodzić. Mnie zaraz powiedziała, jako było. Inne rade zmyślają, ale ona prawdy nie ukryje. Szczerze rzekłszy, nie byłem rad, bo kto ta wie... Chciałem ją skrzyczyć, ona zasie powiedziała tak: „Jak ja sama wianka nie upilnuje, to i wy, tatulu, nie upilnujecie, ale nie bójcie się. Zbyszko też wie, co rycerska cześć”.

– Bo pewno. Przecie i dziś sami poszli.

– Ale przed wieczorem wróca. Po nocy diabeł najgorszy, a wstydzić się dziewczce nie potrzeba, bo ciemno.

Maćko pomyślał chwilę, po czym rzekł jakby do siebie:

– A wszelako radzi się oni widzą...

– Ba! Żeby to innej nie był ślubował.

– To, jak wiecie, jest rycerski obyczaj... Który by z młodych swojej paniej nie miał, tego inni za prostaka uważają... Ślubował on pawie czuby i te musi ze łbów pozdzierać, gdyż poprzysiągł na rycerską cześć; Lichtensteina też musi dostać, ale od innych ślubów może go opat uwolnić.

– Opat zjedzie lada dzień...

– Myślicie? – spytał Maćko, po czym ozwał się znów: –Wreszcie co tam takie ślubowanie, kiedy Jurand wręcz mu powiedział, że dziewczki nie da! Czyją innemu obiecał, czy na służbę Bożą ochwiarował, tego ja nie wiem – ale wręcz powiedział, że nie da...

– Mówiłem wam – zapytał Zych – że opat tak Jagienkę miłuje, jakby była jego? Ostatni raz to jej rzekł tak: „Krewnych mam jeno po kądzieli, ale z tej kądzieli więcej będzie nici dla ciebie niż dla nich”.

Na to Maćko spojrział niespokojnie, a nawet podejrzliwie na Zycha i dopiero po chwili odpowiedział:

– Naszej krzywdy przecie byście nie chcieli...

– Za Jagienką pójdą Moczydoły – rzekł wymijająco Zych.

– Zaraz?

– Zaraz. Innej bym nie popuścił, a jej popuszczę.

– Bogdaniec i tak w połowie Zbyszków, a da Bóg zdrowie, to mu go zagospodaruję jako się patrzy. Miłujecież wy Zbyszka?

Na to Zych począł mrugać oczyma i rzekł:

– Gorzej to, że jakoś Jagienka, byle kto o nim wspomniał, zaraz się do ściany obraca.

– A jak wspominiacie innych?

– Jak innego wspomnę, to jeno prychnie i powiada: „czegóż?!”

– Ano widzicie. Da Bóg, że przy takiej dziewce zapomni Zbyszko o tamtej. Ja stary, a też bym zapomniał... Napijcie się miodu?

– Napiję się.

– No, opat... juści mądry człowiek! Bywają między opatami, jako wiecie, całkiem świeccy ludzie, ale ten, choć między mnichami nie siedzi – przecie jest ksiądz – a ksiądz zawsze lepiej poradzi od zwykłego człeka, bo i na czytaniu się zna, i z Duchem Świętym jest w pobliżności. A wy, że dziewczynie zaraz Moczydoły puścicie – to słusznie. Ja też, byle Pan Jezus do zdrowia pomógł, co będę mógł Wilkowi z Brzozowej kmieciów odmówić, to odmówię. Po źrebiu dobrej ziemi każdemu dam, bo w Bogdańcu ziemi nie brak. A Wilkowi niech się na Boże Narodzenie pokłonią i do mnie przyjdą. Albo to im nie wolno? Z czasem to i grodek w Bogdańcu zbuduję, godny kasztelik z dębów i z rowem wokół... Zbyszko i Jagienka niech sobie ninie na polowiczko razem chadzają... Myślę, że i śniegu niezadługo czekać... Wezwyczai się jedno do drugiego – i chłopak o tamtej zapomni. Niech sobie chadzają. Co tam długo gadać! Dalibyście mu Jagienkę czy nie dali?

– Dałbym. Z dawna my to przecie uradzili, żeby jedno było dla drugiego, a Moczydoły i Bogdaniec dla naszych wnuków.

– Grady! – zawołał z radością Maćko. – Bóg da, że posypie się ich jak gradu. – Opat będzie ich nam krzcił...

– Byle nadażył! – zawołał wesoło Zych. – Ale was to już dawno w takiej radości nie widziałem.

Bo mi pocieszno w sercu... Zadziora wyszła, a co do Zbyszka, wy się o niego nie bójcie. Wczoraj, jak Jagienka na koń siadała... wiecie... wiatr dał... Pytam ja tedy Zbyszka: „Widziałeś?” – a jego zaraz ciągoty wzięły. I tom też zmiarkował, że z początku mało ze sobą gadali, a teraz, jak razem chodzą, to ciągle jedno ku drugiemu szyję obraca i tak uradzają... uradzają!”. Napijcie się jeszcze.

– Napiję się...

– Za zdrowie Zbyszka i Jagienki!

## ROZDZIAŁ XIV

Stary Maćko nie mylił się, mówiąc, że Zbyszko i Jagienka radzi z sobą przestają, a nawet że tęsknią do siebie. Jagienka pod pozorem odwiedzin chorego Maćka przyjeżdżała częstokroć do Bogdańca, z ojcem lub sama, Zbyszko przez samą wdzięczność wpadał co czas jakiś do Zgorzelic, więc wraz z upływem dni wyrodziła się między nimi bliska zażyłość i przyjaźń. Poczęli się lubić i chętnie z sobą „uradzać”, to jest rozmawiać o wszystkim, co ich mogło obchodzić. Było też trochę wzajemnego podziwu w tej przyjaźni, albowiem młody i śliczny Zbyszko, który i na wojnie się już wslawił, i w gonitwach brał udział, i na pokojach królewskich bywał, wydawał się dziewczynie w porównaniu z takim Cztanem z Rogowa lub z Wilkiem z Brzozowej prawdziwym dworskim rycerzem i niemal królewiczem, jego zaś zdumiewała chwilami uroda dziewczyny. Myślał wiernie o swojej Danusi, nieraz jednak, gdy spojrzął niespodzianie na Jagienkę, czy to w lesie, czy w domu, mimo woli mówił sobie: „Hej! to ci łania!” – gdy zaś wzięwszy ją pod boki, wsadzał na konia i wyczuwał pod dłońmi jej czerstwe, jakby z kamienia wykrzesane ciało, to aż go ogarniał niepokój i – jak powiadał Maćko: – „brały go ciagoty”, a zarazem coś poczynało mu chodzić po kościach i morzyć go niby sen.

Jagienka, z natury harda, skora do wyśmiewania, a nawet zaczepna, stawała się stopniowo z nim coraz pokorniejsza, zupełnie jak służka, która tylko w oczy patrzy, w czym by usłużyć i dogodzić, on zaś rozumiał tę jej wielką przychylność, był jej wdzięczny i coraz mu milej było z nią przestawać. W końcu, zwłaszcza od czasu gdy Maćko zaczął pijać niedźwiedzie sadło, widywali się prawie codziennie, a po wyjściu szczebrzucha z rany wybrali się razem na bobry po świeży skrom do gojenia bardzo potrzebny.

Wzięli kuszę, siedli na koń i pojechali naprzód do Moczydołów, które miały być w przyszłości wianem Jagienkowym, potem pod las, gdzie zostawili konie pachołkowi, i dalej poszli piechotą, gdyż przez gęstwą i mokradła trudno było przejechać. Po drodze pokazała Jagienka za rozległą, pokrytą szuwarami łąką siną wstęgę lasu i rzekła:

– To bory Cztana z Rogowa.

– Tego, który by cię rad wziął? A ona poczęła się śmiać:

– Wzięłyby, żebym się jeno dała!

– Łacnie mu się obronisz, mając Wilka do pomocy, który, jako sły-  
szałem, na tamtego zęby szczerzy. I dziwno mi to nawet, że się jeszcze  
nie pozwalają na śmierć.

– Bo tatulo, jadąc na wojnę, powiedzieli im tak: „Jeśli się pobijecie,  
to żadnego na oczy nie chcę widzieć”. To i cóż mieli robić? Jak są w  
Zgorzelicach, to na się sapią, ale potem piją razem w gospodzie w  
Krześni, póki pod ławy nie pozlatują.

– Głupie chłopy!

– Czemu?

– Bo jak Zycha nie było doma, powinien był jeden albo drugi na-  
stąpić na Zgorzelice i siłą cię brać. Cóż by Zych uczynił, jeśliby wró-  
ciwszy znalazł cię z dzieciakiem na ręku!

A modre oczy Jagienki zaiskrzyły się od razu:

– To myślisz, żebym się była dała? A czy to w Zgorzelicach nie ma  
ludzi, a ja to nie umiem chycić oszczepu albo kuszy? Niechby spróbo-  
wali! Pognałabym ja każdego do domu, jeszcze bym sama Rogów albo  
Brzozową najechała. Wiedzieli tatuś, że mogą przepiecznie na wojnę  
iść.

I tak mówiąc, poczęła marszczyć swe śliczne brwi i potrząsać tak  
groźnie kuszą, że aż Zbyszko roześmiał się i rzekł:

– No, tobie rycerzem być, nie dziewczyną. Ona zaś, uspokoiwszy  
się, odrzekła:

– Cztan mnie strzegł od Wilka, a Wilk od Cztana. Byłam ci ja  
zresztą pod ppatową opieką, a z opatem lepiej nikomu nie zadzierać...

– O wa! – odpowiedział Zbyszko wszyscy się tu opata boją! A ja,  
niech mi tak święty Jerzy pomaga, jako ci mówię prawdę, że nie bojał-  
bym się ni opata, ni Zycha, ni zgorzelickich osaczników, ni ciebie, jeno  
bym cię brał...

Na to Jagienka zatrzymała się na miejscu i podniósłszy oczy na  
Zbyszka, spytała jakimś dziwnym, miękkim i przewlekłym głosem:

– Brałbyś?...

Po czym usta jej rozchyliły się i czekała odpowiedzi, zarumieniona  
jak zorza.

Lecz on widocznie myślał tylko o tym, co by uczynił na miejscu  
Cztana lub Wilka, po chwili bowiem potrząsnął swą złotą głową i mó-  
wił! dalej:

– Co tu dziewczce z chłopami wojować, kiedy jej trzeba za męż! Nie zdarzy-li się trzeci, to jednego z nich musisz wybrać, bo jakże?

– Ty mi tego nie powiadaj – odpowiedziała smutno dziewczyna.

– Bo co? Dawnom tu nie bywał, więc nie wiem, zali tu jest kto koło Zgorzelic, który by ci się więcej udał?...

– Hej! – odrzekła Jagienka. – Daj spokój!

I szli dalej w milczeniu, przedzierając się przez gęstwę tym bardziej zbitą, że krze i drzewa pokryte były dzikim chmielem. Zbyszko szedł naprzód, rozrywając zielone zwoje, łamiąc tu i ówdzie gałęzie. Jagienka zaś podążała za nim z kuszą na plecach jak jakowaś boginka myśliwa.

– Będzie – rzekła – za tą gęstwiną głęboka struga, ale wiem miejsce, gdzie jest bród.

– Mam skórnie za kolana, to i sucho przejdziem – odparł Zbyszko.

Jakoż po niejakiem czasie trafili na strugę. Jagienka znająca dobrze moczydolskie lasy odnalazła z łatwością bród, pokazało się jednak, że rzeczulka nieco wezbrała od deszczów i że woda jest dość głęboka. Wówczas Zbyszko, nie pytając, chwycił dziewczynę na rękę.

– Przeszłabym i tak – rzekła Jagienka.

– Trzymaj się szyi! – odpowiedział Zbyszko. I szedł z wolna przez rozlaną wodę, próbując za każdym krokiem nogą, czy nie trafi na głębinę, dziewczyna zaś przytulała się wedle rozkazu do niego, wreszcie gdy już byli niedaleko drugiego brzegu, rzekła:

– Zbyszku!

– Ano?

– Nie pójdę ni za Cztana, ni za Wilka... On tymczasem doniósł ją, spuścił uważnie na szcerk i odpowiedział nieco wzburzony:

– A niech ci ta Bóg da jak najlepszego! Nie będzie on miał krzywdy.

Do Odstajanego jeziora nie było już daleko. Jagienka, idąc teraz na przedzie, odwracała się niekiedy i kładąc palce na usta, nakazywała Zbyszkowi milczenie. Szli wśród kęp łożyn i szarych wierzb po gruncie mokrym i niskim. Od prawej strony dolatywały ich gwary ptasie, którym dziwił się Zbyszko, gdyż była to już pora odlotu.

– Tam oparzelisko – szepnęła Jagienka – gdzie kaczki zimują, ale i w jeziorze woda jeno z brzegu na wielkie mrozy zamarza. Obacz, jako dymi...

Zbyszko spojrział przez łożynę i spostrzegł przed sobą jakoby tuman mgły: było to Odstajane jezioro.

Jagienka znów przyłożyła palec do ust i po chwili doszli. Dziewczyna pierwsza wczolgnęła się cicho na grubą starą wierzbę, pochyloną całkiem nad wodą. Zbyszko poszedł za jej przykładem i przez długi czas leżeli spokojnie, nie widząc przed sobą nic z powodu mgły, słysząc tylko żałośliwy pisk czajek i rybitew nad głowami. Wreszcie jednak powiał wiatr, zaszeleścił łożyną, żółciejącymi liśćmi wierzb, i odsłonił zapadłą toń jeziora, zmarszczoną nieco od powiewu i pustą.

– Nie widać? – szepnął Zbyszko.

– Nie widać. Cichaj!...

Jakoż po chwili wiatr opadł i nastąpiła cisza zupełna. Wówczas na powierzchni wody zaczerniała jedna głowa, potem druga – a wreszcie znacznie bliżej spuścił się do wody z brzegu duży bóbr ze świeżo uciętą gałęzią w pysku i zaczął płynąć wśród rzęsy i kaczeńca, podnosząc paszczę w górę i holując gałąź przed sobą. Zbyszko, leżąc na pniu poniżej Jagienki, ujrzał nagle, jak łokcie jej poruszyły się cicho, a głowa pochyliła się ku przodowi: widocznie mierzyła do zwierza, który nie podejrzewając żadnego niebezpieczeństwa, przepływał nie dalej niż na pół strzelenia ku niezarosłej toni.

Wreszcie zawarczała cięciwa kuszy, a jednocześnie głos Jagienki zawołał:

– Jest! jest!...

Zbyszko wdrapał się w mgnieniu oka wyżej i spojrzał przez gałęzie na wodę: bóbr to zanurzał się, to wypływał na powierzchnię, koziołkując przy tym i ukazując chwilami jaśniejszy od grzbietu brzuch.

– Dobrze dostał! zaraz się uspokoi! – rzekła Jagienka. I zgadła, gdyż ruchy zwierza stawały się coraz słabsze, a po upływie jednej zdrowaśki spłynął na powierzchnię brzuchem do góry.

– Pójdę po niego – rzekł Zbyszko.

– Nie chodź. Tu z brzegu jest mułu na kilku chłopów. Kto nie wie, jak sobie poradzić, utopi się na pewno.

– To jakże go dostaniem?

– Już on wieczorem będzie w Bogdańcu, niech cię o to głowa nie boli; a nam czas do domu...

– Aleś go dobrze ustrzeliła!

– Ba! nie pierwszego!...

– Inne dziewczki boją się i spojrzeć na kuszę, a z taką to choćby całe życie po boru chodzić!...

Jagienka, słysząc tę pochwałę, uśmiechnęła się z radości, ale nie odrzekła nic, i poszli tą samą drogą przez łożynę. Zbyszko zaczął wy-

pytywać o żeremia bobrowe, ona zaś opowiadała mu, ile jest bobrów na Moczydołach, ile na Zgorzelicach i jak sobie po jeziorkach i strugach bobrują.

Nagle jednak uderzyła się dłonią po biodrze.

– Ot! – zawołała – zabaczyłam grotów na wierzbie. Czekaj! I nim zdążył odpowiedzieć, że sam po nie pójdzie, skoczyła jak sama z powrotem, a po chwili znikła mu z oczu. Zbyszko czekał i czekał, aż wreszcie począł się dziwić, dlaczego jej tak długo nie ma.

– Chyba pogubiła groty i szuka ich – rzekł sobie – ale pójdę, obaczę, czyjej się co nie stało...

Zaledwie jednak przeszedł parę kroków, gdy dziewczyna zjawiała się przed nim z kuszą w ręku, ze śmiejącą się rumianą twarzą i z bobrem na plecach.

– Dla Boga! – zawołał Zbyszko – a ty jakieś go wyłowiała?

– Jak? wlałam do wody i tyła! mnie nie pierwszyczna, a ciebie nie chciałam puścić, bo kto tam nie wie, jak pływać, zaraz go muł wciągnie.

– A jam ci tu czekał jak kto głupi! Chytra z ciebie dziewczka.

– No to i co? Miałam się przy tobie rozdziwiać czy jak?

– Toś i grotów nie zapomniała?

– A nie, jeno chciałam cię odwieść od brzegu.

– Ba, a żebym tak za tobą poszedł, tobym dopiero dziwo zobaczył. Byłoby się nad czym cudować! Hej!...

– Cichaj!

– Jak mi Bóg miły, takem już szedł.

– Cichaj!...

Po chwili zaś, chcąc widocznie odwrócić rozmowę, rzekła:

– Wyźnij mi warkocz, bo mi okrutnie plecy moczy. Zbyszko chwycił jedną ręką warkocz blisko głowy, drugą zaś począł go wykręcać, mówiąc przy tym:

– Najlepiej go rozpleć, to wiatr zaraz wysuszy. Lecz ona nie chciała tego uczynić z powodu gęstwiny, przez którą musieli się przedzierać. Zbyszko wziął teraz bobra na plecy, Jagienka zaś, idąc na przedzie, mówiła:

– Prędko teraz Maćko wyzdrowieje, bo na rany nie masz nad niedźwiedzie sadło do środka, a bobrowy skrom na wierzch. Za jakie dwie niedziele na koń będzie siadał.

– Dajże mu Boże! – odrzekł Zbyszko. – Czekam też tego jak zbawienia, bo mi nijak od chorego odjeżdżać, a ciężko mi tu siedzieć.

– Ciężko ci tu siedzieć? – spytała Jagienka. – Czemu to?

– To ci nic Zych nie mówił o Danusi?

– Coś mi tam mówił... Wiem... ona cię nałęczką nakryła... wiem!...

Mówił mi także, że każdy rycerz śluby jakoweś czyni, że będzie swojej paniej służył... Ale powiadał, że to nic – taka służba... bo poniektóry, choć żeniaty, a też jakowejs pani służy. A ta Danusia, Zbyszku, to co? – powiadaj!... co ona Danusia?

I przysunąwszy się blisko, podniosła oczy i poczęła patrzeć z wielkim niepokojem w jego twarz, on zaś, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na jej trwożny głos i spojrzenie, rzekł:

– Pani ci to jest moja, ale i kochanie najmilejsze. Nie mówię ja tego nikomu, ale tobie powiem jakoby właśnie siostrze, bo się od małego znamy. Poszedłby ja za nią za dziewiątą rzekę i za dziewiąte morze, do Niemców i do Tatarów, gdyż nie ma takiej drugiej w caluśkim świecie. Niech stryk w Bogdańcu siedzi, a ja zaś przed się ku niej powędruję... Co mi ta bez niej Bogdaniec, co statek, co stada, co opatowe bogactwa! Siądę, ot, na koń i na zamry pojedę, a tak mi dopomóż Bóg, jako że to, com jej ślubował, spełnię, chyba że wprzód sam legnę.

– Nie wiedziałam... – odparła głucho Jagienka. Zbyszko zaś począł jej opowiadać, jako się z Danusią w Tyńcu poznali, jak jej zaraz ślubował, i wszystko, co nastąpiło potem, więc swoje uwięzienie, ratunek, jaki mu dała Danusia, Jurandową odmowę, pożegnanie, swoje tęsknoty i wreszcie radość z tego, że po wyzdrowieniu Maćka będzie mógłjechać do kochanej dziewczyny, by spełnić, co jej obiecał. Opowiadanie przerwał mu dopiero widok pachołka z końmi, który czekał na skraju lasu.

Jagienka siadła zaraz na koń i poczęła się żegnać ze Zbyszkiem.

– Niech pachołek jedzie z bobrem za tobą, a ja nawrócę do Zgorzelec.

– A to nie pojedziesz do Bogdańca? Zych tam jest.

– Nie. Tatulo mieli wrócić i mnie kazali.

– No, to Bóg ci zapłać za bobra.

– Z Bogiem...

I po chwili Jagienka została sama. Jadąc przez wrzosa ku domowi, czas jakiś oglądała się za Zbyszkiem, a gdy znikł wreszcie za drzewami, zakryła oczy dłonią, jakby chroniąc się od blasku słońca.

Wkrótce jednak spod ręki poczęły jej spływać po policzkach łzy wielkie i padać jedna za drugą jak groch na siodło i grzywę końską.



## ROZDZIAŁ XV

Po rozmowie ze Zbyszkiem Jagienka przez trzy dni nie ukazywała się w Bogdańcu, atoli czwartego wpadła z wiadomością, że opat przyjechał do Zgorzelic. Maćko przyjął nowinę z pewnym wzruszeniem. Miał on wprawdzie z czego spłacić sumę zastawną, a nawet wyliczył, że dość mu zostanie na pomnożenie osadników, zaprowadzenie stad i inne potrzeby gospodarskie, niemniej jednak dużo w całej sprawie zależało od życzliwości bogatego krewnego, który mógł na przykład chłopów, osadzonych przez się na żrebiach, zabrać albo zostawić, i tym samym zniżyć albo powiększyć wartość majątku.

Wypytał zatem Maćko bardzo dokładnie Jagienkę o opata, jaki przyjechał: wesół czy chmurny, co o nich mówił i kiedy zjedzie do Bogdańca? – ona zaś odpowiadała mu roztropnie na pytania, starając się pokrzepić go i uspokoić we wszystkim.

Mówiła, iż opat przyjechał zdrow i wesół, ze znacznym pocztem, w którym prócz zbrojnych pachołków było kilku kleryków-wagantów i rybałtów, że pośpiewuje z Zychem i rad podaje ucha pieśniom, nie tylko duchownym, lecz i świeckim. Zauważyła też, że rozpytywał z wielką troskliwością o Maćka, a opowiadań Zychowych o przeprawach Zbyszka w Krakowie chciwie słuchał.

– Sami najlepiej wiecie, co wam czynić należy – rzekła w końcu mądra dziewczyna – ale ja tak myślę, iż wypadałoby Zbyszkowi zaraz jechać, starszego krewnego powitać, nie czekając, aż on pierwszy do Bogdańca zjedzie.

Maćkowi trafiła ta rada do przekonania, więc kazał przywołać Zbyszka i rzekł mu:

– Przybierz się pięknie i pojedziesz pod nogi opata podjąć, cześć mu wyrządzić, aby i on cię umiłował. Następnie zwrócił się do Jagienki:

– Nie dziwowałbym się, choćbyś była głupia, boś od tego niewiasta, ale że rozum masz, to się dziwuję. Powiedzże mi, jako mam najlepiej opata ugościć i czym go ucieszyć, gdy tu przyjedzie?

– Co do jądła, sam powie, na co ma ochotę; lubi on dobrze podjeść, ale byle dużo było szafranu, to i nie przebredza. Maćko, słysząc to, porwał się za głowę.

– Skąd ja mu szafranu wezmę!...

– Przywiozłam – rzekła Jagienka.

– A bogdaj się takie dziewczki na kamieniu rodziły! – zawołał uradowany Maćko. – I ku oczom to miłe, i gospodarne, i roztropne, i ludziom życzliwe! Hej! żebyś tak był młody, zaraz bym cię brał!...

Na to Jagienka spojrzała nieznacznie na Zbyszka i westchnąwszy cicho, mówiła dalej:

– Przywiozłam też i kości, i kubek, i sukno, bo on po każdym jędzeniu rad się kośćmi zabawia.

– Miał ten obyczaj i drzewiej, a gniewliwy przy tym bywał okrutnie.

– Gniewliwy to on ci i teraz bywa; nieraz kubkiem o ziemię praśnie i precz za drzwi do pola wyskoczy. Ale potem śmiejący się wraca i sam pierwszy nad swoim gniewem wydziwia... Wy go przecie znacie... Jenemu się nie przeciwic, to nie ma lepszego człowieka na świecie.

– A kto by mu się tam sprzeciwił, kiedy on i rozum ma od innych większy!

Tak to oni ze sobą rozmawiali, gdy tymczasem Zbyszko przebierał się w alkierzu. Wyszedł wreszcie tak piękny, że Jagienkę aż olśniło, zupełnie jak wówczas, gdy pierwszy raz przyjechał w swojej białej jace do Zgorzelic. Ale tym razem zdjął ją głęboki żal na myśl, że ta jego uroda nie dla niej i że on inną umiłował.

Maćko zaś rad był, pomyślał bowiem, że opat pewno sobie Zbyszka upodoba i przy układach nie będzie czynił trudności. Ucieszył się nawet tą myślą tak dalece, iż postanowił jechać razem.

– Każ mi wymościć wóz – rzekł do Zbyszka – mogłem jechać z Krakowa aż do Bogdańca z żeleźcem między żebrami, to mogę teraz bez żeleźca do Zgorzelic.

– Byle was nie zamroczyło – rzekła Jagienka.

– Ej, nic mi nie będzie, bo już czuję w sobie moc. A choćby mnie ta trochę i zamroczyło, będzie wiedział opat, jakom ku niemu śpieszył, i tym hojniejszym się okaże.

– Milsze mi wasze zdrowie niż jego hojność – ozwał się Zbyszko.

Lecz Maćko uparł się i postawił na swoim. Po drodze stękał trochę, nie przestawał jednak dawać Zbyszkowi nauk, jak się ma zachować w

Zgorzelicach, szczególnie zaś zalecał mu posłuszeństwo i pokorę wobec możnego krewnego, który nigdy nie znosił najmniejszego oporu.

Przyjechawszy do Zgorzelic, znaleźli Zycha i opata na przyłapie, spoglądających przed się na pogodny świat Boży i popijających wino. Za nimi, pod ścianą, siedziało rzędem na ławie sześciu pocztowych, w tym dwóch rybałtów i jeden pątnik, którego łatwo było rozeznaczyć po zakrzywionym kijku, obońce u pasa i po małżowinach naszytych na ciemnej opończy. Inni wyglądali na kleryków, albowiem głowy mieli z wierzchu pogolone, odzież jednakże nosili świecką, pasy z byczej skóry, a przy boku kordy.

Na widok Maćka, który zajechał na wozie, ruszył się żywo Zych, opat zaś, widocznie bacząc na swą duchowną godność, został na miejscu, począł tylko coś mówić do swoich kleryków, których jeszcze kilku wysypało się przez otwarte drzwi izby. Zbyszko i Zych wprowadzili pod ręce słabego Maćka na przyłap.

– Trocha jeszcze nie mogę – rzekł Maćko, całując opata w rękę – ale przyjechał, aby się wam, dobrodziejowi mojemu, pokłonić, za gospodarstwo w Bogdańcu podziękować i o błogosławieństwo poprosić, które grzesznemu człowiekowi najpotrzebniejsze.

– Słyszałem, żeście zdrowsi – rzekł opat, ściskając go za głowę – i żeście się do grobu naszej nieboszczki królowej ofiarowali.

– Bo nie wiedząc, do którego świętego się udać, do niej się udałem.

– Dobrzeście uczynili! – zawołał zapalczywie opat – lepsza ona od innych i niechby jej który śmiał pozazdrościć!

I w jednej chwili gniew wystąpił mu na oblicze, policzki napłynęły krwią, oczy poczęły się iskrzyć.

Znali tę jego zapalczywość obecni, więc Zych począł się śmiać i wołać:

– Bij, kto w Boga wierzy!

Opat zaś odsapnął rozgłośnie, potoczył oczyma po obecnych, za czym roześmiał się, równie nagle jak poprzednio wybuchnął i spojrzawszy na Zbyszka, zapytał:

– A to wasz bratanek i mój krewniak? Zbyszko pochylił się i ucałował go w rękę.

– Małego widziałem; nie poznałbym! – mówił opat. – Pokaż się jeno!

I począł go oglądać od stóp do głowy bystrymi oczyma, a wreszcie rzekł:

– Zbyt urodziwy! panna to, nie rycerz! Na to Maćko:

– Brali tę pannę Niemce w taniec, ale co ci ją który wziął, wnet się wykopyrtnął i już nie wstał.

– I kuszę bez pokrętki napnie! – zawołała nagle Jagienka. Opat zwrócił się ku niej:

– A ty tu czego?

Ona zaś zaczerwieniła się tak, że aż szyja i uszy jej stały się różowe, i odrzekła ogromnie zmieszana:

– Bom widziała...

– Strzeżże się, by cię przypadkiem nie ustrzelił; musiałabyś się bez trzy kwartały goić...

Na to rybałtowie, pątnik i klerycy-waganci wybuchnęli jednym gromkim śmiechem, od którego Jagienka stropiła się do reszty, tak że opat ulitował się nad nią i podniósłszy ramię, ukazał jej olbrzymi rękaw swej sukni.

– Pochowaj się, dziewucho – rzekł – bo ci krew z jagód tryśnie.

Tymczasem Zych usadził Maćka na ławie i kazał przynieść

wina, po które skoczyła Jagienka. Opat zwrócił oczy na Zbyszka i począł tak mówić:

– Dość krotochwil! Nie dla sromoty ja cię do dziewczki porównałem, jeno z wesołości dla twojej urody, której i niejedna dziewczka mogłaby pozazdrościć. Ale wiem, żeś chłop na schwał! Słyszałem i o twoich uczynkach pod Wilnem, i o Fryzach, i o Krakowie. Powiadali mi Zych o wszystkim – rozumiesz!...

Tu począł patrzeć przenikliwie w oczy Zbyszka i po chwili ozwał się znowu:

– Iżeś trzy pawie czuby poprzysiągł, to ich sobie szukaj! Chwalebny to jest i Bogu miły uczynek nieprzyjaciół naszego plemienia ścigać... Ale jeżeliś – i co innego przy tym ślubował, to wiedz, że cię tu na poczekaniu mogę od onych ślubów rozwiązać,

bo takową moc mam.

– Hej! – rzekł Zbyszko – jak człowiek co Panu Jezusowi w duszy obiecał, to jakaż moc może go od tego rozwiązać?

Usłyszawszy to, Maćko spojrział z pewną obawą na opata, lecz on widocznie był w wybornym humorze, gdyż zamiast wybuchnąć gniewem pogroził wesoło palcem Zbyszskowi i rzekł:

– To ci mądrała! Bacz, by ci się nie przygodziło to, co Niemcowi Beyhardowi.

– A co mu się przygodziło? – spytał Zych.

– A spalili go na stosie.

- Za co?
- Bo gadał, że świecki człek potrafi tak samo tajemnice boskie wyrozumieć jako i osoba duchowna.
- Surowie ci go pokarali!
- Ale słusznie! – zagrział opat – gdyż przeciw Duchowi Świętemu pobлуźnił. Cóż to sobie myślicie! Może-li człek świecki co z tajemnic boskich wymiarkować?
- Nijak nie może! – ozwali się zgodnym chórem wędrowni klerycy.
- A wy, „szpylmany”, cicho siedzieć! – rzekł opat – boście też żadni duchowni, choć głowy macie pogolone.
- Nie szpylmany my już ni goliardowie, jeno waszej miłości dworzanie – odpowiedział jeden z nich, zaglądając w tymże czasie do dużej konwi, od której z daleka bił zapach słodu i chmielu.
- Patrzcie!... mówi jakoby z beczki! – zawołał opat. – Hej, ty kudłaty! A czego do konwi zaglądasz? Łaciny tam na dnie nie znajdziesz.
- Ja też nie łaciny szukam, jedno piwa, którego nie mogę naleźć.
- Opat zaś zwrócił się do Zbyszka, który ze zdziwieniem spoglądał na tych dworzanie, i rzekł:
- Wszystko to *clerici scholares*, choć każdy wołał prasnąć książkę, a chycić lutnię i z nią włóczyć się po świecie. Przygarnąłem ich i żywię, bo cóż mam robić? Nicponie i powsinogi wierutne, ale umieją śpiewać i trochę służby Bożej liznęli, więc mam z nich przy kościele pożytek, a w potrzebie i obronę, bo niektórzy sierdzite pacholki! Ten tu pątnik prawi, że był w Ziemi Świętej, ale próżno byś go pytał o jakowe morza alibo kraje, bo on tego nawet nie wie, jak cesarzowi greckiemu na imię i w którym mieście mieszka.
- Wiedziałem – odrzekł ochryłym głosem pątnik – ale jak mnie wzięła frybra na Dunaju trząść, tak i wszystko wytrzęsła.
- Najbardziej się mieczom dziwuję – rzekł Zbyszko – bo takich nigdy u wędrownych kleryków nie widziałem.
- Im wolno – rzekł opat – gdyż nie mają święceń, a że ja także kord przy boku noszę, to nie dziwota. Rok temu pozwałem Wilka z Brzozowej na udeptaną ziemię o te bory, przez któreście przejeżdżali do Bogdańca. Nie stawił się...
- Jakoże miał duchownemu stawać? – przerwał Zych.
- Na to zaperzył się opat i uderzywszy pięścią w stół, zawołał:
- Gdym we zbroi, to ja nie ksiądz, jeno ślachcic!... A on nie stanął, bo mnie wołał z pacholkami nocą w Tulczy najechać. Ot, dlaczego

kord przy boku noszę!... *Omnes leges, omniaque iura vim vi repellere cunctisque sese defensare permittunt!* Ot, dlaczego i im dałem miecze.

Umilkli, zasłyszawszy łacinę, Zych, Maćko i Zbyszko i schylili głowy przed mądrością opata, gdyż żaden ni jednego słowa nie wyrozumiał: on zaś toczył jeszcze czas jakiś wokoło gniewnymi oczyma, a wreszcie rzekł:

– Kto go wie, czy on i tu na mnie napadnie?

– O wa! niech jeno napadnie – zawołali wędrowni klerycy, chwytając za rękojeść mieczów.

– A niechby napadł! Cni się już i mnie bez bitki.

– Nie uczyni on tego – rzekł Zych – prędzej z pokłonem i zgodą przyjdzie. Borów się już wyrzekł, a o syna mu chodzi...Wiecie!... Ale niedoczekanie jego!...

Tymczasem opat uspokoił się i rzekł:

– Młodego Wilka widziałem, jako pił z Cztanem z Rogowa w gospodzie w Krześni. Nie uznali nas zrazu, było ciemno – i precz uradzali o Jagience.

Tu zwrócił się do Zbyszka:

– I o tobie.

– A oni czego ode mnie chcieli?

– Oni od ciebie niczego nie chcieli, jeno nie po myśli im to, iż jest w pobliżu Zgorzelic trzeci. Tak tedy mówi Czta do Wilka:

„Jak mu skórę wygarbuję, to przestanie być gładki”. A Wilk mówi: „Może się nas będzie bojał, a nie, to mu gnaty w mig połamię!” A potem poczęli się obaj upewniać, że się będziesz bojał.

Usłyszawszy to. Maćko spojrział na Zycha, Zych na niego, i oblicza obu przybrały wyraz chytry i radosny. Żaden nie był pewny, czy opat słyszał istotnie taką rozmowę, czy też zmyśla dlatego jedynie. by Zbyszkowi dodać bodźca: natomiast rozumieli obaj, a zwłaszcza, znając dobrze Zbyszka. Maćko, że nie było na świecie lepszego sposobu, aby go popchnąć do Jagienki.

A opat jakby umyślnie dodał:

– I po prawdzie, morowe to chłopcy!... Zbyszko zaś nie pokazał po sobie nic, tylko począł pytać Zycha jakimś jakby nieswoim głosem:

– A to jutro niedziela?

– Niedziela.

– Na mszę świętą zaś pojedziecie?

– Ano!...

– Dokąd? do Krześni?

- Bo najbliżej. Gdzieżbyśmy jechali?
- No, to dobrze!

## ROZDZIAŁ XVI

Zbyszko, dogoniwszy Zycha i Jagienkę jadących w towarzystwie opata i jego kleryków do Krześni, przyłączył się do nich i jechał razem, chodziło mu bowiem o to, by dowieść opatowi, że się ni Wilka z Brzozowej, ni Cztana z Rogowa nie lęka i chować się przed nimi nie myśli. Zdziwiła go znów w pierwszej chwili uroda Jagienki, bo chociaż nieraz widywał ją i w Zgorzelicach, i w Bogdańcu przybraną pięknie do gości, ale nigdy tak, jak teraz do kościoła. Odzież miała z czerwonego sukna podbitą gronostajami, czerwone rękawiczki i gronostajowy, naszyty złotem kapturek na głowie, spod którego wysuwały się na ramiona dwa warkocze. Nie siedziała też na koniu po męsku, ale na wysokim siodle z poręczą i z ławeczką pod stopy, które ledwie było widać spod długiej i ułożonej w równe zagietki spódnicy. Zychowi, który pozwalał dziewczynie ubierać się w domu w kozuch i jałowicze buty, chodziło o to, by przed kościołem każdy poznał, iż przyjechała nie córka byle szarego włodyczki albo ścierciałki, lecz panna z możnego rycerskiego domu. W tym celu konia jej prowadziło dwóch wyrostków, przybranych od dołu obcisło, od góry w buchaste szaty, jakie nosili zwykle paziowie. Czterech dworskich ludzi jechało z tyłu, a z nimi opatowi klerycy, z kordami i lutniami przy pasach.

Zbyszko podziwiał wielce cały orszak, szczególnie zaś Jagienkę, wyglądającą jak obrazek, i opata, który w czerwieni i z olbrzymimi rękawami u sukni wydawał mu się jak jaki podróżujący książę. Najskromniej ze wszystkich przybrany był sam Zych, który dbał o okazałość dla innych, dla siebie zaś tylko o wesołość i śpiewanie.

Zrównawszy się, jechali w szeregu: opat, Jagienka, Zbyszko i Zych. Opat z początku kazał śpiewać nabożne pieśni swoim szpylmanom – później atoli, mając ich dosyć, począł rozmawiać ze Zbyszkiem, który z uśmiechem spoglądał na jego potężny kord, nie mniejszy od dwuręcznych niemieckich brzeszczotów.

– Widzę – rzekł z powagą – że cudujesz się nad moim mieczem; wiedz przeto, że synody zezwalają duchownym na miecze, a nawet na balisty i katapulty w podróży – my zaś jesteśmy w podróży. Wreszcie gdy Ojciec Święty mieczów i czerwonych szat księżom zabraniał, to



pewnikiem myślał o ludziach niskiego stanu, ślachcica bowiem Bóg stworzył do broni, i kto by mu chciał ją odjąć, ten by się odwiecznym Jego wyrokowi przeciwiał.

– Widziałem księcia mazowieckiego Henryka, który się w szrankach potykał – odrzekł Zbyszko.

– Nie to mu się też gani, że się potykał – odpowiedział, podnosząc w górę palec, opat – ale to, że się ożenił, i do tego nieszczęśliwie, albowiem *fornicariam* i *bibulam* wziął *mulierem*, która, jak mówią, *Bacchum* od młodości *adorabat*, a do tego i *adultera* była, z czego też nic dobrego wypaść nie mogło.

Tu aż zatrzymał konia i począł nauczać z większą jeszcze powagą:

– Kto-li bo masz się żenić, czyli *uxorem* wybierać, masz baczyć, aby była bogobojna, dobrych obyczajów, gospodarna i ochędożna, co wszystko, oprócz Ojców Kościoła, jeszcze ci i pewien pogański mędrzec imieniem Seneka poleca. A jakoż uznasz, iżeś dobrze utrafił, jeśli nie znasz gniazda, z którego towarzyszkę dozonną wybierasz? Albowiem inny mędrzec Pański powiada: *Pomus non cadit absque arbore...* Jaki wół, taka i skóra, jaka mac, taka i córa... Z czego bierz, grzeszny człowiecze, tę naukę, abyś nie w dalekości, ale w pobliżu żony szukał, bo jeśli złą i fryjowną dostaniesz, nieraz na nią zapłaczesz, jako płakał oto filozof, gdy mu swarliwa niewiasta *aquam sordidam* na głowę w gniewie wylała.

– *In saecula saeculorum, amen!* – zagrzmieli jednym głosem wędrowni klerycy, którzy, odpowiadając tak zawsze opatowi, nie bardzo baczyli, czy odpowiadają do sensu.

Wszyscy słuchali w wielkim skupieniu słów opata, dziwiąc się jego wymowie i biegłości w Piśmie, on zaś nie mówił rzekomo wprost do Zbyszka, owszem, więcej zwracał się do Zycha i Jagienki, jakby szczególnie ich chciał zbudować. Jagienka jednak pojęła widocznie, o co chodzi, gdyż spoglądała pilnie spod swoich długich rzęs na chłopaka, który namarszczył brew i spuścił głowę, niby głęboko rozważając to, co słyszał.

Po chwili orszak ruszył dalej, ale w milczeniu; dopiero gdy już Krześnię było widać, zmacał się opat po pasie, obrócił go ku przodowi, tak aby łatwo było chwycić za rękojęć korda, i rzekł:

– A stary Wilk z Brzozowej pewnie z dobrym pocztem przyjedzie.

– Pewnie – potwierdził Zych – ale coś tam słudzy gadali, że zachorzał.

– A jeden z moich kleryków słyszał, że ma na nas nastąpić przed gospodą po kościele.

– Nie uczyniłby on tego bez zapowiedzi i zwłaszcza po mszy świętej.

– Niech mu tam Bóg ześle upamiętanie. Ja wojny z nikim nie szukam i krzywdy cierpliwie znoszę.

Tu obejrzał się na swoich szpylmanów i rzekł:

– Nie wydobywać mi mieczów i pamiętać, żeście duchowni słudzy, a dopiero gdyby tamci pierwsi wydobyli, to w nich!

Zbyszko zaś, jadąc wedle Jagienki, wypytywał ją ze swej strony o sprawę, o które mu głównie chodziło.

– Cztana i młodego Wilka zastaniem niechybnie w Krześni – mówił. – Pokażesz mi ich z daleka, abym wiedział, którzy są.

– Dobrze, Zbyszku – odrzekła Jagienka.

– Przed kościołem i po kościele zapewne cię oni spotykają. Coże wówczas robią?

– Służą mi, jako umieją.

– Nie będą ci dziś służyli, rozumiesz? A ona odrzekła znów niemal z pokorą:

– Dobrze, Zbyszku.

Dalszą rozmowę przerwał im głos drewnianych kołatek, gdyż w Krześni nie było jeszcze dzwonów. Po chwili dojechali. Z tłumów czekających na mszę przed kościołem wysunęli się natychmiast młody Wilk i Cztan z Rogowa, lecz Zbyszko uprzedził ich, zeskoczył z konia, nim zdolali dobiec, i chwyciwszy pod boki Jagienkę, zсадził ją z siodła, po czym wziął za rękę i spoglądając na nich wyzywająco, prowadził do kościoła.

W przedsionku kościelnym czekał ich nowy zawód. Obaj pospieszyli do kropielnicy i obaj, zanurzywszy w nią ręce, wyciągnęli je do dziewczyny. Lecz to samo uczynił Zbyszko, ona zaś dotknęła jego palców, a następnie przeżegnała się i z nim razem weszła do kościoła. Wtedy nie tylko młody Wilk, ale i Cztan z Rogowa, chociaż miał rozum miałki, domyślił się, iż to wszystko było uczynione umyślnie, i obydwóch ogarnął gniew tak dziki, że aż włosy poczęły się im jeżyć pod pątlkami. Zachowali zaledwie tyle przytomności, że w gniewie nie chcieli, bojąc się kary boskiej, wchodzić do kościoła; natomiast Wilk wypadł z przedsionka i leciał jak szalony przez cmentarz między drzewami, sam nie wiedząc dokąd. Cztan leciał za nim, także nie wiedząc, w jakim to czyni celu.

Zatrzymali się aż w rogu parkanu, gdzie leżały wielkie kamienie przygotowane pod fundamenta dzwonnicy, którą miano stawiać w Krześni. Tam Wilk, chcąc spędzić złość, która burzyła mu się aż pod szyję w piersiach, chwycił za jeden z głazów i jął nim potrząsać ze wszystkich sił, co widząc, Cztań chwycił go także i po chwili poczęli obaj toczyć go ze wściekłością przez cały cmentarz, aż ku wrotom kościelnym.

Ludzie patrzyli na nich ze zdziwieniem, mniemając, że uczynili ślub jakowyś i że w ten sposób chcą się do budowy dzwonnicy przychylić. Lecz im wysiłek ów ulżył znacznie, tak że oprzytomnieli obaj, stali tylko bladzi z natężenia, sapiąc i spoglądając na się niepewnym wzrokiem.

Milczenie przerwał pierwszy Cztań z Rogowa.

– No i co? – spytał.

– A co? – odpowiedział Wilk.

– Zaraz-li go napadniesz?

– Jakoże w kościele będziesz napadał?

– Nie w kościele, jeno po mszy.

– Z Zychem jest – i z opatem. A toś zahaczył, co mówił Zych, że niech-li się zdarzy bitka, obydwóch ze Zgorzelic wyżenie. Gdyby nie to, byłbym ci dawno zebra połomił.

– Albo ja tobie! – odparł Cztań, ściskając swe potężne pięści. I oczy poczęły im się skrzyć złowrogo, lecz wnet pomiarkowali obaj, że teraz więcej im potrzeba zgody niż kiedykolwiek. Nieraz już oni bili się z sobą, lecz zawsze jednali się po bitce, bo chociaż rozdzielała ich miłość do Jagienki, jednak żyć bez siebie nie mogli i tęsknili jeden do drugiego zawsze. Obecnie zaś mieli wspólnego wroga i czuli obaj, że jest to wróg okrutnie niebezpieczny.

Po chwili Cztań spytał:

– Co robić? Chyba mu zapowiedź posłać do Bogdańca? Wilk, który był mądrzejszy, nie wiedział jednakże na razie, co robić. Na szczęście przyszły mu w pomoc kołatki, które ozwały się znowu na znak, iż nabożeństwo się poczyna. Więc rzekł:

– Co robić? Pójść na mszę, a potem będzie, co Bóg da. Ucieszył się z tej rozumnej odpowiedzi Cztań z Rogowa.

– Może ta Pan Jezus nas natchnie – rzekł.

– I pobłogosławi – dodał Wilk.

– Po sprawiedliwości.

I poszli do kościoła, a wysłuchawszy pobożnie nabożeństwa,

nabrali otuchy. Nie stracili głów nawet wówczas, gdy Jagienka po mszy w przedsionku znowu przyjęła wodę święconą z ręki Zbyszka. Na cmentarzu przy wrotach podjęli pod nogi Zycha, Jagienkę, a nawet i opata, choć ten był nieprzyjacielem starego Wilka z Brzozowej. Na Zbyszka patrzyli wprawdzie spode łba, ale żaden nie warknął, chociaż serca skowytały im w piersiach z bólu, z gniewu i zazdrości, gdyż nigdy Jagienka nie wydawała im się tak cudną i tak do królowy podobną. Dopiero gdy świetny orszak ruszył z powrotem i gdy z dała doszła ich wesoła pieśń wędrownych kleryków, Cztań począł ocierać pot ze swych zarosłych policzków i parskać jak koń. Wilk zaś ozwał się, zgrzytając zębami:

– Do gospody! do gospody! gorze mi!...

Po czym, pamiętając, co im poprzednio ulżyło, chwycili znów głaz i potoczyli go zapalczywie na dawne miejsce.

Zbyszko zaś jechał wedle Jagienki, słuchając pieśni opatowych szpylmanów, lecz gdy ujechali pięć albo sześć stajań, zatrzymał nagle konia i rzekł:

– Ba, miałem dać na mszę za stryjkowe zdrowie i zabaczyłem, wrócę się.

– Nie wracaj! – zawołała Jagienka – pošlem ze Zgorzelic.

– Wrócę, a wy nie czekajcie na mnie. Z Bogiem!

– Z Bogiem! – rzekł opat. – Jedź!

I twarz mu poweselała, a gdy Zbyszko znikł im z oczu, trącił nieznacznie Zycha i rzekł:

– Rozumiecie?

– Co mam rozumieć?

– Pobije się w Krześni z Wilkiem i Cztańem, jako amen w pacierzu, ale tegom chciał i do tegom prowadził.

– To morowe chłopcy! Jeszcze go poranią, i co z tego?

– Jak to co z tego? Jeśli za Jagienkę się pobije, to jakże mu potem o tej Jurandównie myśleć? Jagienka ci mu odtąd będzie panią – nie tamta; tego zaś chcę, bo to mój krewny i udał mi się!

– Ba, a ślubowanie?

– Na poczekaniu go rozgrzeszę! Zaliście nie słyszeli, że to już obiecał?

– Wasza głowa na wszystko poradzi – odrzekł Zych. Opat uradował się pochwałą, po czym przysunął się do Jagienki i zapytał:

– Czegożeś taka frasobliwa?

Ona pochyliła się w siodle i chwyciwszy rękę Opatową, podniosła ją do ust:

– Ojczy krzestny, a może byście też podesłali z paru szpylmanów do Krześni.

– Po co? Popiją mi się w gospodzie i tyła.

– Ale może jakowej zwadzie przeszkodzą.

Opat spojrzął jej bystro w oczy i nagle rzekł ostro:

– A choćby go tam i zabili!

– To niech i mnie zabiją! zawołała Jagienka. I gorycz, która nagromadziła się z żalem w jej piersiach od czasu rozmowy ze Zbyszkiem, spłynęła teraz nagłym potokiem łez. Widząc to, opat objął ramieniem dziewczynę, tak że nakrył ją prawie całą swoim olbrzymim rękawem, i począł mówić:

– Nie bój się, córuchno, o nic. Zwada może się przygodzić, ale przecie i tamci są ślachtą, przeto go kupą nie napadną, jeno na pole rycerskim obyczajem pozwą, a już tam on da sobie rady, choćby się naraz z obydwoma miał potykać. A co do Jurandówny, o której słyszałaś, to ci jeno tyle rzekę, że drzewo na tamtą łożnicę w nijakim boru nie rośnie.

– Skoro mu tamta milsza, to i ja o niego nie dbam! – odpowiedziała przez łzy Jagienka.

– To czegoż chlipiesz.

– Bo się o niego boję.

– Ot, babski rozum! – rzekł, śmiejąc się, opat.

Po czym, schyliwszy się do ucha Jagienki, począł mówić:

– Pomiarkuj się, dziewczyno, że choć cię i weźmie, to też nieraz zdarzy mu się potykać, bo od tego ślachcic. Tu schylił się jeszcze niżej i dodał:

– A weźmie cię – i to niezadługo, jako Bóg w niebie!

– Zaśby tam brał! – odpowiedziała Jagienka.

A jednocześnie poczęła się uśmiechać przez łzy i spoglądać na opata, jakby się go chciała zapytać, skąd to wie.

A tymczasem Zbyszko, wróciwszy do Krześni, zajechał wprost do księdza, chciał bowiem rzeczywiście dać na mszę za zdrowie Maćka; po załatwieniu zaś tej sprawy udał się wprost do gospody, w której spodziewał się znaleźć młodego Wilka z Brzozowej i Cztana z Rogowa.

Jakoż zastał obydwóch, a oprócz tego pełno ludzi – i szlachty, i skartabellów, i kmieciów, i kilku „sowizdrzałów” pokazujących rozma-

ite niemieckie sztuki. W pierwszej chwili nie mógł jednakże nikogo rozeznaczyć, gdyż okna karczmy z błonami z wołowych pęcherzy mało przepuszczały światła – i dopiero gdy miejscowy pacholek dorzucił na komin szczypek sosnowych, ujrzał w kącie za łagwiami piwa włochaty pysk Cztana i srogą, zapalczywą twarz Wilka z Brzozowej.

Wtedy począł iść z wolna ku nim, roztrącając po drodze ludzi i doszedłszy, uderzył pięścią w stół, aż zagrzmiało w całej gospodzie.

A oni podnieśli się natychmiast i jęli śpiesznie przekręcać na sobie skórzane pasy, nim jednakże chwycili za rękojeści, Zbyszko rzucił na stół rękawicę i mówiąc przez nos, jak mieli zwyczaj mówić rycerze przy wyzwaniu, ozwał się w następujące, niespodziane dla nikogo słowa:

– Pakliby który z was dwóch albo z innych ludzi rycerskich w izbie będących przeciwiał się temu, iż naj cudniejsza i najcnotliwsza dziewczyna na świecie jest panna Danuta Jurandówna ze Spychowa, tego pozzywam na walkę konną albo pieszą do pierwszego klęknienia alibo do ostatniego tchu.

Zdumieli się Wilk i Cztan, równie jak byłby zdumiał się opat, gdyby coś podobnego usłyszał – i przez chwilę słowa nie mogli przemówić. Co to za panna? Im przecie o Jagienkę, nie o nią chodziło?... A jeśli temu żbikowi nie o Jagienkę idzie, to czego od nich chce? Czemu ich rozsierdził przed kościołem? Po co tu przyszedł i po co szuka z nimi zaczepki? – Od tych pytań zrobiła im się w głowie taka kasza, że pootwierali szeroko usta, Cztan zaś wytrzeszczył tak oczy, jakby nie człowieka, ale jakby jakieś dziwo niemieckie miał przed sobą.

Lecz bystrzejszy Wilk, który znał nieco rycerskie zwyczaje i wiedział, że nieraz innym niewiastom rycerze służby ślubują, a z innymi się żenią, pomyślał, że i w tym wypadku tak być może i że gdy zdarza się taka sposobność ujęcia się za Jagienką, to należy w lot z niej skorzystać.

Więc wysunął się zza stołu i zbliżywszy się ze złowrogą twarzą do Zbyszka, zapytał:

– Jak to, psu bracie, to nie Jagienka Zychówna najcudniejsza? Za nim wysunął się Cztan – a ludzie poczęli się wokół nich kupić, bo już wszystkim było wiadomo, że się to na byle czym nie skończy.

## ROZDZIAŁ XVII

Jagienka, wróciwszy do domu, wysłała natychmiast parobka do Krześni, aby dowiedział się, czy w gospodzie nie zaszła jakowaś bitka albo czy kto kogo nie wyzwiał. Ten jednakże, dostawszy na drogę skojca, począł pić z księżymi sługami i nie myślał o powrocie. Drugi, wysłany do Bogdańca, który miał zapowiedzieć Maćkowi przyjazd opata, wrócił, spełniwszy polecenie, i zarazem oznajmił, że widział Zbyszka zabawiającego się ze starym dziedzicem w kości.

Uspokoilo to w części Jagienkę, wiedząc bowiem o doświadczeniu i sprawności Zbyszkowej, nie tyle bała się dla niego wyzwania, ile jakowejś doraźnej ciężkiej przygody w karczmie. Miała też ochotę razem z opatem jechać do Bogdańca, ale ów sprzeciwił się temu, pragnął bowiem rozmówić się z Maćkiem w sprawie zastawu i w innej, jeszcze ważniejszej, przy której nie chciał mieć za świadka Jagienki.

Zresztą wybierał się na noc. Dowiedziawszy się o szczęśliwym powrocie Zbyszka, wpadł w wyborny humor i kazał swoim klerykom-wagantom śpiewać i hukać tak, że aż się bór trząsał, a w samym Bogdańcu aż kmiecie wyglądali z chałup, patrząc, czy się nie pali albo czy nieprzyjaciel nie nastąpił. Ale jadący naprzód pątnik z krzywą łagą uspokajał ich, iż to jedzie osoba duchowna wysokiej godności – więc kłaniali mu się, a niektórzy nawet kładli na piersi znak krzyża; on zaś, widząc, jak go szanują, jechał w dumie radosnej, rad ze świata i pełen dla ludzi życzliwości.

Maćko i Zbyszko, zasłyszawszy krzyki i śpiewy, wyszli aż do wrót na jego spotkanie. Niektórzy z kleryków bywali już z opatem w Bogdańcu, ale byli i tacy, którzy przyłączywszy się niedawno do kompanii, nie widzieli go dotychczas nigdy. Tym upadły serca na widok nędznego domu, który nie mógł iść w porównanie z obszernym dworzyszczem w Zgorzelicach. Skrzepił ich jednakowoż widok dymu dobywającego się przez słomiane poszycie dachu, a zwłaszcza nabrali całkiem otuchy, gdy wszedłszy do izby, poczuli zapach szafranu i rozmaitych mięsów, a zarazem spostrzegli dwa stoły pełne cynowych mis, jeszcze wprawdzie pustych, ale tak ogromnych, iż każde oczy musiały poweseleć na ich

widok. Na mniejszym stole świeciła przygotowana dla opata misa cała srebrna i także cudnie rzeźbiona łagiewka, obie zdobyte razem z innymi skarbami na Fryzach.

Maćko i Zbyszko poczęli zaraz prosić do stołu, lecz opat, który był dobrze podjadł na odjezdnym w Zgorzelicach, odmówił, tym bardziej że zajmowało go co innego. Od pierwszej chwili przybycia spoglądał on bacznie, a zarazem niespokojnie na Zbyszka, jakby chciał śladów bitki na nim dopatrzeć, widząc zaś spokojną twarz młodzianka, niecierpliwił się widocznie, aż wreszcie nie

mógł już dłużej ciekawości swej pohamować.

– Pójdziemy do alkierza – rzekł – o zastawie uradzać. Nie przeciwie się, bo się zgniewam!

Tu zwrócił się do kleryków i zagrzmiął:

– A wy, cicho mi siedzieć i pode drzwiami nie podsłuchiwać! To rzekłszy, otworzył drzwi do alkierza, w które zaledwie mógł się pomieścić, i wszedł, a za nim weszli Zbyszko i Maćko. Tam, gdy siedli na skrzyniach, opat zwrócił się do młodego rycerza. Byłeś z nawrotem w Krześni? – zapytał.

– Byłem. No i co?

– A dałem na mszę za stryjowe zdrowie, i tyła.

Opat poruszył się niecierpliwie na skrzyni. „Ha! – pomyślał – nie spotkał się ni z Cztanem, ni z Wilkiem; może ich nie było, a może ich nie szukał. Omyliłem się!”

Ale zły był, że się pomylił i że go wyrachowanie zawiodło, więc zaraz poczerwieniało mu oblicze i począł sapać.

– Gadajmy o zastawie! – rzekł po chwili. – Macie pieniądze?... bo jak nie, to dziedzina moja!...

Na to Maćko, który wiedział, jak z nim postępować, podniósł się w milczeniu, otworzył skrzynię, na której siedział, wydobył z niej przygotowany już widocznie worek z grzywnami i rzekł:

– Ubodzyśmy ludzie, ale pieniądze mamy, i co się należy, to płacimy, jako stoi w „liście” i jakom znakiem krzyża świętego sam poświadczył. Jeżelibyście zasie chcieli jeszcze za porządki i za dobytek dopłaty, to też nie będziem się sprzeczali, jeno zapłacim, co każecie, i pod nogi was, dobrodzieja naszego, podejmiem.

To rzekłszy, pochylił mu się do kolan, a za nim uczynił też to samo Zbyszko. Opat, który spodziewał się sporów i targów, wielce był takim postępowaniem zaskoczony, a nawet i nie całkiem rad, gdyż przy tar-



gach chciał stawiać różne swoje warunki, a tymczasem sposobność ominęła.

Więc oddając „list”, czyli kwit zastawny, na którym Maćko był znakiem krzyża podpisany, rzekł:

– Czego mi o dopłacie prawicie?

– Bo nie chcem darmo brać – odpowiedział chytrze Maćko, wiedząc, że im więcej będzie się w tym wypadku sprzeczał, tym więcej zyska.

Jakoż opat zaperzył się w mgnieniu oka:

– Widzicie ich! Nie chcą od krewnych darmo brać! Chleb ludzi bodzie! Nie brałem pustki i nie oddaję pustki, a jak mi się spodoba i tym tu oto workiem prasnąć, to i prasnę!

– Tego nie uczynicie! – zawołał Maćko.

– Nie uczynię? Ot mi wasz zastaw! ot mi wasze grzywny! Dałem, bo moja łaska, a choćby mi wola była na gościńcu ostawić, to wam do tego nic. Ot, jak nie uczynię!

To rzekłszy, porwał worek za zwiłkę i grzotnął nim o podłogę, aż z rozpekłego płótna posypały się pieniądze.

– Bóg zapłać! Bóg wam zapłać, ojczy i dobrodzieju! – począł wołać Maćko, który tylko czekał na tę chwilę. – Od innego bym nie wziął, ale od krewniaka i duchownego – wezmę...

Opat zaś spoglądał czas jakiś groźnie to na niego, to na Zbyszka, wreszcie rzekł:

– Wiem ci ja, choć i gniewający się, co robie; za czym trzymajcie, coście dostali, bo to wam też zapowiadam, że więcej jednego skojca nie uwidzicie.

– Nie spodziewaliśmy się i tego.

– Ale wiedzcie, że co po mnie zostanie, to weźmie Jagienka.

– I ziemię? spytał naiwnie Maćko.

– I ziemię! – huknął opat.

Na to przedłużyła się Maćkowi twarz, ale opanował się i rzekł:

– Ej, co tam o śmierci myśleć! Niech wam Pan Jezus da sto lat albo i więcej, a przedtem biskupstwo zacne.

– A choćby!... albo to ja gorszy od innych! – odrzekł opat.

– Nie gorszy, jeno lepszy.

Te słowa podziałały uspokajająco na opata, gdyż w ogóle gniew jego był krótkotrwały.

– No – rzekł – wyście moi krewni, a ona tylko krześniaczka, ale ja miłuję i ją, i Zycha od dawnych lat. Lepszego człeka niż Zych nie ma

na świecie, i lepszej dziewczki niż Jagienka też! Co będzie miał kto na nich powiedzieć?

I począł toczyć wyzywającym wzrokiem, lecz Maćko nie tylko nie przeczył, ale skwapliwie potwierdził, że godniejszego sąsiada próżno by w całym Królestwie szukać.

– A co do dziewczki – rzekł – córki rodzonej więcej bym nie miłował, niżli ją miłuję. Za jej to przyczyną przyszedłem do zdrowia i tego jej do śmierci nie zapomnę.

– Potępieni będziecie i jeden, i drugi, jeśli zapomnicie – rzekł opat – i pierwszy was za to przeklnę. Ja krzywdy waszej nie chcę, boście moi krewni, i dlatego wymyśliłem sposób, żeby to, co po mnie zostanie, było i Jagienkowe, i wasze – rozumiecie?

– Dałby Bóg. aby się to stało! – odrzekł Maćko. – Miły Jezu! piechcą bym poszedł do grobu Królowej w Krakowie i na Łysą Górę, aby się drzewu Krzyża Świętego pokłonić.

Uradował się opat szczerością, z jaką mówił Maćko, uśmiechnął się i rzekł:

– Dziewka ma prawo przebierać, bo i gładka, i wiano godne, i ród zacny! Co ta dla niej Cztan albo Wilk, kiedy i wojewodziński syn nie byłby nadto. Ale niechbym tak ja, nie przymierzając, kogo zaswatał – toby za niego poszła, bo mnie miłuje i wie, że jej źle nie poradzę...

– Dobrze temu będzie, kogo zaswatacie – rzekł Maćko. Lecz opat zwrócił się do Zbyszka:

– A ty co?

– Ano, ja tako myślę, jako i stryjko... Zaczne oblicze opata rozjaśniło się jeszcze bardziej; uderzył Zbyszka dłonią w łopatkę, aż się rozleгло w alkierzu, i zapytał:

– Czemuś to przy kościele ni Cztana, ni Wilka do Jagienki nie dopuścił?... co?...

– By zaś nie myśleli, że się ich boję, i byście nie myśleli i wy.

– Ale i święconą wodę jej podałeś.

– A podałem.

Opat uderzył go po raz drugi:

– To... to ją bierz!

– Bierz ją! – zawołał jak echo Maćko. Na to Zbyszko zagarnął pod siatkę włosy i odpowiedział spokojnie:

– Jakoże ją mam brać, kiedym ja przed ołtarzem w Tyńcu Danusi Jurandównie ślubował?

– Ślubowałeś pawie czuby, to ich szukaj, a Jagienkę zaraz bierz.

– Nie – odrzekł Zbyszko – potem jak na mnie nałęczką rzuciła, ślubowałem, że ją za żonę wezmę.

Twarz opata poczęła nabiegać krwią; uszy mu posiniały, a oczy poczęły wychodzić na wierzch: zbliżył się do Zbyszka i rzekł potłumionym przez gniew głosem:

– Twoje śluby plewa, a ja wiatr – rozumiesz! Ot! I dmuchnął mu w głowę tak potężnie, że aż pątlík zleciał, a włosy rozsypały się w nieładzie po ramionach i plecach. Wówczas Zbyszko zmarszczył brwi i patrząc opatowi wprost w oczy, rzekł:

– W moim ślubowaniu moja cześć, a nad moją czcią ja sam stróża!

Usłyszawszy to, nieprzywykły do oporu opat stracił do tego stopnia dech, iż mowa była mu na czas jakiś odjęta. Nastąpiło złowrogie milczenie, które przerwał wreszcie Maćko:

– Zbyszku! – zawołał – upamiętaj się! coć jest? Opat tymczasem podniósł ramię i wskazując młodzianka, począł krzyczeć:

– Co mu jest? Ja wiem, co mu jest: dusza w nim nie rycerska i nie ślachecka, jeno zajęcza. To mu jest, że się Cztana i Wilka boi!

A Zbyszko, który nie stracił ani na chwilę zimnej krwi, ruszył nie dbale ramionami i odpowiedział:

– O wa! porozbijałem im łby w Krześni.

– Bój się Boga! – zawołał Maćko.

Opat patrzył czas jakiś na Zbyszka wytrzeszczonymi oczyma. Gniew walczył w nim o lepszą z podziwem, a jednocześnie przyrodzony bystry rozum począł mu przypominać, że z tego pobicia Wilka i Cztana może dla swych zamiarów korzyść wyciągnąć.

Więc ochłonawszy nieco, krzyknął na Zbyszka:

– Czemuś nie gadał?

– Bo mi było wstyd. Myślałem, że mnie pozwą, jako rycerzom przystało, na walkę konną albo pieszą, ale to zbójce, nie rycerze. Pierwszy Wilk udarł deskę ze stołu, Cztan udarł drugą, i do mnie! To i cóżem miał robić? Chwyciłem ławę też, no... i wiecie!...

– Żywi aby? – zapytał Maćko.

– Żywi, jeno ich zamroczyło. Ale jeszcze przy mnie poczęli dychać.

Opat słuchał, tarł czoło, po czym zerwał się nagle ze skrzyni, na której był poprzednio przysiadł dla lepszego namysłu, i zawołał:

– Poczkaj!.. Ja ci teraz coś powiem!

– A co powiecie? – zapytał Zbyszko.

– To ci powiem, że jeśliś ty się za Jagienkę bił i ludziom przez nią łby rozwał, toś ty naprawdę jej rycerz, nie czyj inny, i musisz ją brać.

To rzekłszy, wziął się w boki i począł spoglądać tryumfalnie na Zbyszka, lecz ów uśmiechnął się tylko i rzekł:

– Hej, dobrzem ja wiedział, dlaczegoście chcieli mnie na nich napuścić, ale to wam zgoła chybiło.

– Czemu chybiło?... gadaj!

– Bo ja im kazał przyświadczyć, jako najgładsza i najcnotliwsza dziewczka w świecie jest Danuśka Jurandówna, a oni właśnie ujęli się za Jagienką, i z tego była bitka.

Usłyszawszy to, opat stał przez chwilę na miejscu jak skamieniały i tylko po mruganiu oczyma można było poznać, że żyw jeszcze. Nagle zawrócił się na miejscu, wywalił nogą drzwi alkierza, wpadł do izby, tam chwycił krzywą łagę z rąk pątnika i począł nią okładać swoich szpylmanów, rycząc przy tym jak ranny tur:

– Na koń, skomorochy! na koń, psiawiary! Noga moja w tym domu nie postanie! Na koń, kto w Boga wierzy! Na koń!...

I znów wywaliwszy drzwi, wyszedł na dziedziniec, a przerażeni klerycy-waganci za nim. Tak ruszywszy hurmem do szopy, poczęli w mig kułbaczyć konie. Próżno Maćko pogonił za opatem, próżno prosił, błagał, bożył się, że nie winien – nic nie pomogło! Opat kłął, przeklinał dom, ludzi, pola, a gdy podano mu konia, skoczył na niego bez strzemion i puścił się w cwał z miejsca, z rozwianymi przez wiatr rękawami, podobny do olbrzymiego czerwonego ptaka. Klerycy lecieli za nim w trwodze na kształt stada, które podąża za przewodnikiem.

Maćko spoglądał czas jakiś za nimi, aż gdy znikli w boru, wrócił z wolna do izby i rzekł do Zbyszka, kiwając posępnie głową:

– Cóżes ty najlepszego narobił!...

– Nie byłoby tego, gdybym był sobie wcześniej pojechał, a zem nie pojechał, to przez was.

– Jak to przeze mnie?

– Ba, bom nie chciał was chorych odjeżdżać.

– A teraz jako będzie?

– A teraz pojedę.

– Dokąd?

– Na Mazury, do Danuśki... – i pawich czubów szukać między Niemców.

Maćko pomilczał chwilę, po czym rzekł:

– „List” oddał, ale zastaw jest i w księdze sądowej zapisany. Nie daruje nam tera opat ni skojca.

– To niech nie daruje. Pieniądze macie, a ja na drogę nie potrzebuję. Przecie mnie wszędzie przyjmą i koniom dadzą żreć; a byłem miał pancierz na grzbiecie a kord w garści, to i o nic nie dbam.

Maćko zamyślił się i począł rozważać wszystko, co się stało. Nic nie poszło po jego myśli ni wedle jego serca. Sam on życzył sobie także z całej duszy Jagienki dla Zbyszka; zrozumiał jednak, że nie może być chleba z tej mąki i że wobec gniewu opata, wobec Zycha i Jagienki, wreszcie wobec bójkki z Cztanem i Wilkiem lepiej, żeby sobie Zbyszko pojechał, niż żeby miał być dalszych niezgód i poswarków przyczyną.

– Ha! – rzekł wreszcie – łbów krzyżackich i tak musisz szukać, więc skoro nie ma innej rady, to jedź. Niech się ta stanie wedle woli Pana Jezusowej... Ale mnie trzeba zaraz do Zgorzelic; może jako Zycha i opata przejednam... Zycha mi osobliwie żal.

Tu spojrział w oczy Zbyszkowi i spytał nagle:

– A tobie Jagienki nie żal?

– Niechże jej Bóg da zdrowie i wszystko najlepsze! – odrzekł Zbyszko.

## ROZDZIAŁ XVIII

Maćko czekał cierpliwie przez kilka dni, czy nie dojdzie go jaka wieść ze Zgorzelic lub czy opat się nie udobrucha, aż wreszcie sprzykrzyła mu się niepewność i czekanie i postanowił sam wybrać się do Zycha. Wszystko, co się stało, stało się bez jego winy, chciał jednak wiedzieć, czy Zych nie czuje do niego urazy, bo co do opata był pewnym, że gniew jego będzie odtąd ciężył i na Zbyszku, i na nim.

Chciał jednak uczynić wszystko, co było w jego mocy, by ów gniew złagodzić, więc jadąc, rozmyślał i układał sobie, co komu w Zgorzelicach powie, aby urazę zmniejszyć i starą sąsiedzką przyjaźń zachować. Myśli jednak nie kleiły mu się jakoś w głowie, rad też był, że zastał samą Jagienkę, która przyjęła go po staremu pokłonem, ucałowaniem ręki – słowem: przyjaźnie, choć trochę smutno.

– A ojciec doma? – zapytał.

– Doma, jeno się wybrali z opatem na łowy. Mało patrzeć, jak wrócić...

To rzekłszy, wprowadziła go do izby, w której zasiadłszy, milczeli oboje przez dłuższą chwilę, po czym dziewczyna spytała pierwsza:

– Cni się wam samemu w Bogdańcu?

– Cni – odpowiedział Maćko. – A to już wiesz, że Zbyszko pojechał?

Jagienka westchnęła cicho:

– Wiem. Wiedziałam tego samego dnia – i myślałam... że wstąpi choć dobre słowo rzec, a nie wstąpił.

– Jakże mu było wstępować! – rzekł Maćko – toć opat chyba by go rozerwał na dwoje, a i ojciec twój nierad by go też widział. Ona zaś potrząsnęła głową i odrzekła:

– Ej! Nie dałaby ja mu krzywdy uczynić nikomu. Na to Maćko, choć serce miał hartowne, wzruszył się jednak, przyciągnął do się dziewczynę i rzekł:

– Bóg z tobą, dziewucho! Tobie smutek, ale i mnie smutek, bo to ci jeno rzekę, że ni opat, ni ociec rodzony nie miłują cię bardziej ode mnie. Niechbym był lepiej szczeł od tej rany, z której mnie wygoiłaś, byle on ciebie brał, nie inną.

A na Jagienkę przyszła taka chwila żalu i tęsknoty, w której człowiek nie potrafi niczego w sobie zataić – i rzekła:

– Nie obaczę już ja go nigdy, a jeśli obaczę, to z Jurandówną – wołałabym zasię wpierw oczy wypłakać.

I podniósłszy końce fartucha, przesłoniła nim oczy, które zaszyły jej łzami.

A Maćko:

– Daj spokój! Pojechał ci, bo pojechał, ale za łaską boską z Jurandówną nie wróci.

– Co nie ma wrócić! – ozwała się spod fartucha Jagienka.

– Bo mu Jurand nie chce dziewczki dać. Na to Jagienka odsłoniła nagle twarz i zwróciwszy się do Maćka, spytała żywo:

– Mówił mi! – ale prawda-li to?

– Prawda, jako Bóg na niebie.

– A czemu?

– Kto jego wie. Ślubowanie jakieś czy co, a na ślubowanie nie ma rady! Udał mu się Zbyszko, ile że mu obiecował do pomsty pomagać, ale i to nie pomogło. Na nic było i księżny Anny swatanie. Ni prośby, ni namowy, ni rozkazania nie chciał Jurand słuchać. Powiadał, że nie może. No, i widać przyczyna takowa jest, że nie może, a to człek twarady, który tego, co rzekł, nie zmieni. Ty, dziewczyno, nie trać otuchy i pokrzep się. Po sprawiedliwości musiał chłop jechać, boć te pawie grzebienie w kościele zaprzysiągł. Dziewka też go nałęczką przykryła na znak, że go chce za męża brać, bez co mu głowy nie ucieli – za to jej powinien – nie ma co gadać. Nie będzie, da Bóg, ona jego, ale on jest wedle prawa jej. Zych na niego krzyw, opat pewnikiem pomstuje, aże skóra cierpnie, mnie też gniewno, a wszelako pomiarkowawszy, co on miał robić? Skoro tamtej powinien, to i trza mu było jechać. Przecie jest ślachcic. Ale ci to jeno powiadam, że jeśli go tam gdzie Niemce godnie nie pokołaczą, to jak pojechał, tak i wróci – i wróci nie tylko do mnie starego, nie tylko do Bogdańca, ale do ciebie, bo cię strasznie rad widział.

– Gdzie on mnie ta rad widział! – rzekła Jagienka Ale jednocześnie przysunęła się do Maćka i trąciwszy go łokciem, zapytała:

– Skąd wiecie? – co? Pewnie nieprawda?...

– Skąd wiem? – odrzekł Maćko. – Bo widziałem, jak mu ciężko było odjeżdżać. I jeszcze było tak, że jak już stanęło na tym, że ma jechać, tak pytam ja go: „A nie żal ci też Jagienki?” – A on prawi: „Nie-

chże jej Bóg da zdrowie i wszystko najlepsze”. I tak ci zaraz wziął wzdychać, jakby miał kowalski miech w brzuchu...

– Pewnie nieprawda!... — powtórzyła ciszej Jagienka – ale powiadajcie jeszcze...

– Jak mi Bóg miły, prawda!... Już mu tamta nie będzie tak po tobie smakować, bo to i sama wiesz, że jędrniejszej a zaś urodziwszej dziewczki na całym świecie nie znaleźć. Czuł on do ciebie wolę Bożą – nie bój się – może i więcej niż ty do niego.

– Bogać tam! – zawołała Jagienka.

I pomiarkowawszy, co w prędkości wyrzekła, zakryła rumianą jak jabłko twarz rękawem, a Maćko uśmiechnął się, pociągnął ręką po wąsach i rzekł:

– Hej, żeby ja był młody! Ale ty się pokrzep, bo już widzę, jako będzie: Pojedzie, ostrogi na dworze mazowieckim zyszcze, gdyż tam granica blisko i o Krzyżaka nietrudno... Jużci wiem, że i między Niemcami bywają tędzy rycerze, a żelazo od jego skóry nie odskoczy, ale tak myślę, że byle który rady mu nie da, bo to jucha do bitki okrutnie sprawna. Patrzące, jako Cztana z Rogowa i Wilka z Brzozowej w mig potar mosił, choć to przecie, mówią, chłopcy na schwał i mocarne jak niedźwiedzie. Przywiezie on swoje czuby, jeno Jurandówny nie przywiezie, bo i ja gadałem z Jurandem i wiem, jako jest. No, a potem co? Potem tu wróci, bo gdzieżby miał wracać.

– Kiedy tam wróci?

– Ba! jeśli nie wytrzymasz, to ci nie będzie krzywdy. Ale tymczasem powtórz opatowi i Zychowi to, co ci mówię. Niechby ta w gniewie na Zbyszka choć trochę pofolgowali.

– Jakoże mam mówić? Tatuś więcej frasobliwi niż gniewni, ale przy opacie i wspomnieć o Zbyszku nieprzezpiecznie. Dał ci on i mnie, i tatusiowi za tego pachółka, którego Zbyszkowi posłałam.

– Za jakiego pachółka?

– Wiecie. Był tu u nas Czech, co go tatuś pojмали pod Bolesławcem, dobry pachółek i wiemy. Wołali na niego Hława. Tatuś mi go dali do posług, bo się powiadał tamtejszym włodyką, a ja dałam ci mu zbroiczkę godną i posłałam go Zbyszkowi, aby mu służył i strzegł go w przygodzie, a broń Boże czego, żeby dał znać... Dałam ci mu i trzosik na drogę, a on zaprzysiągł mi na zbawienie duszy, że do śmierci będzie Zbyszkowi wiernie służył.

– Mojaż ty dziewczyno! Bóg ci zapłać! a Zych się nie przeciwił?



– Co się miał przeciwzić! Zrazu całkiem tatuś nie pozwalali, dopiero jak wzięłam go pod nogi podejmować, tak i stanęło na moim. Z tatuśm nijakiego kłopotu nie masz, ale jak opat zwiedził się o tym od swoich skomorochów, w mig pełniuską izbę naklął i taki był sądny dzień, że tatuś do stodół uciekli. Dopiero wieczorem ulitował się opat moich łez i jeszcze mi paciorki podarował... Ale ja rada byłam pocierpieć, byle Zbyszko poczet miał większy.

– Jak mi Bóg miły, tak nie wiem, czy więcej jego miłuję, czy ciebie, ale on i tak poczet wziął zacny – i pieniędzy też mu dałem, choć nie chciał... No, Mazury przecie nie za morzem...

Dalszą rozmowę przerwało im ujadanie psów, okrzyki i odgłosy trąb mosiężnych przed domem. Usłyszawszy to, Jagienka rzekła:

– Tatuś i opat wrócili z łowów. Pójdziemy na przyłap, bo lepiej, żeby was opat pierwej z daleka uwiidził, nie zaś znienna w izbie.

To rzekłszy, wyprowadziła Maćka na przyłap, z którego ujrzeli w podwórzu na śniegu kupę ludzi, koni, psów, a zarazem pobodzone oszczepami lub postrzelone z kuszy łosie i wilki. Opat, ujrzawszy Maćka, zanim jeszcze zsiadł z konia, cisnął w jego stronę oszczepem, nie dlatego wprawdzie, aby go ugodzić, ale by w ten sposób tym dowodniej swą zawziętość przeciw bogdanieckim ludziom okazać. Lecz Maćko skłonił mu się z dala czapką, jak gdyby nic nie zauważył, Jagienka zaś nie zauważyła tego istotnie, gdyż przede wszystkim zdumiała ją obecność dwóch jej zalotników w orszaku.

– Są Cztan i Wilk! – zawołała – musieli się w boru z tatusiem zdybać.

A Maćka aż zakłuło coś w dawnej ranie na ich widok. W lot przez głowę przebiegła mu myśl, że jeden z nich może dostać Jagienkę, a z nią Moczydoły, opatowe ziemie, bory i pieniądze... I żał wespół ze złością chwyciły go za serce, zwłaszcza że po chwili ujrział rzecz nową. Oto Wilk z Brzozowej, choć z jego ojcem chciał się niedawno opat potykać, skoczył teraz do jego strzemia, aby mu pomóc zsiąść z konia, on zaś, zsiadając, oparł się przyjaźnie na ramieniu młodego szlachcica.

„Pogodzi się opat ze starym Wilkiem takowym sposobem – pomyślał Maćko – że za dziewczyną odda bory i ziemie”.

Lecz przerwał mu owe przykre myśli głos Jagienki, która w tej samej chwili rzekła:

– Wygoili się już po Zbyszkowym biciu, ale choćby tu co dnia przyjeżdżali – niedoczekanie ich!

Maćko spojrział – twarz dziewczyny była rumiana zarówno z gniewu, jak i z zimna, a modre jej oczy iskrzyły się gniewem, pomimo iż wiadomo jej było dobrze, że Wilk i Cztan za nią właśnie ujeli się w gospodzie i przez nią zostali pobici.

Więc Maćko rzekł:

– Ba! uczynisz, co opat każe. A ona na to z miejsca:

– Opat uczyni, co ja zechcę.

„Miły Boże! – pomyślał Maćko – i ten głupi Zbyszko takiej dziewczynki odbiezał!”

## ROZDZIAŁ XIX

A tymczasem „głupi Zbyszko” wyjechał był z Bogdańca istotnie z ciężkim sercem. Naprzód, było mu jakoś obco i nieswojo bez stryjca, z którym dotychczas od dawnych lat się nie rozłączał i do którego tak nawykł, że sam teraz dobrze nie wiedział, jak się bez niego i w podróży, i na wojnie obejdzie. Po wtóre, żał mu było i Jagienki, bo chociaż mówił sobie, że jedzie do Danusi, którą miłował z całej duszy, jednakże bywało mu tak dobrze przy Jagience, iż teraz dopiero uczuł, jaka przy niej była radość, a jaki bez niej może być smutek. I aż sam się dziwił swojemu żalowi, a nawet się nim zaniepokoił, bo żeby to tęsknił po Jagience, jak brat tęskni po siostrze, nic by to było. Ale on spostrzegł, że mu się „cni” za tym, by ją przed się pod boki brać i na konia sadzać albo z kulbaki zdejmować, by ją przez strugi przenosić, wodę jej z warkocza wykręcać, by z nią po lasach chadzać i patrzeć na nią, i „uradzać” z nią. Tak zaś do tego przywykł i takie mu to było miłe, że gdy teraz począł o tym myśleć, zaraz się zapamiętał i całkiem zapomniał, że w długą drogę aż na Mazury jedzie, a natomiast stanęła mu w oczach ta chwila, gdy Jagienka dała mu pomoc w lesie, gdy się z niedźwiedziem borykał. I zdało mu się, że to było wczoraj, jak również że wczoraj chodzili na bobry do Odstajanego jeziora. Nie widział jej przecie wówczas, gdy się wplaw po bobra puściła, a teraz zdało mu się, że ją widzi – i zaraz poczęły go brać takie same ciągoty, jakie brały go parę tygodni temu, gdy wiatr nazbyt z Jagienkową suknią poswawolił. Potem zaś przypomniał sobie, jak jechała wspaniale przybrana do kościoła w Krześni i jak się dziwił, że taka prosta dziewczyna naraz wydała mu się niby dwornie jadące wysokiego rodu paniątko. Wszystko to sprawiło, że koło serca zaczęło mu się czynić jakoś bałamutnie, zarazem błogo i smutno, i pożądliwie, a gdy jeszcze pomyślał, że byłby z nią mógł uczynić, co chciał, i jak ją też ku niemu ciągnęło, jak mu patrzyła w oczy i jak się do niego garnęła, to ledwie że na koniu mógł usiedzieć. „Niechbym jej był gdzie dopadł i choć pożegnał, a objął na drogę – mówił sobie – może by mnie było popuściło” – ale wnet uczuł, że to nieprawda i że nie byłoby go popuściło, gdyż na samą myśl o ta-

kim pożegnaniu poczęły mu skry po skórze chodzić, chociaż na świecie był przymrozek.

Aż wreszcie przestraszył się owych wspomnień nazbyt do żądz podobnych i strząsnął je z duszy jak suchy śnieg z opończy. – Do Danuśki jadę, do mojej najmilejszej! – rzekł sobie.

I wraz zmiarkował, że to jest inne kochanie, jakby pobożniejsze i mniej po kościach chodzące. Powoli też, w miarę jak w strzemionach marzły mu nogi, a chłodny wiatr studził mu krew, wszystkie myśli jego poleciały ku Danusi Jurandównie. Tej – to był naprawdę powinien. Gdyby nie ona, dawno by jego głowa była spadła na krakowskim rynku. Przecie gdy wyrzekła wobec rycerzy i mieszczan: „Mój ci jest” to go przez to samo katom z rąk odjęła – i od tej pory on tak należy do niej jak niewolnik do pana. Nie on ją brał, ale ona jego wzięła; na to żadne sprzeciwianie się Jurandowe nie poradzi. Ona jedna mogłaby go odpędzić, jako pani może sługę odpędzić, chociaż on i wówczas nie poszedłby daleko, bo go i własne ślubowanie wiąże. Pomyślał jednak, że ona go nie odpędzi, że raczej pójdzie za nim z mazowieckiego dworu choćby na kraj świata – i pomyślawszy to, począł ją wysławiać w duszy ze szkodą Jagienki. jakby to była wyłącznie jej wina, że go napaściwały pokusy i że dwoiło się w nim serce. Nie przyszło mu do głowy teraz, że Jagienka wygoiła starego Maćka, a prócz tego, że bez jej pomocy byłby mu może niedźwiedz obdarł owej nocy ze skóry głowę – i burzył się przeciw Jagience rozmyślnie, sądząc, że tym sposobem Danusi się zasłuży i we własnych oczach się usprawiedliwi.

A wtem nadjechał Czech Hława wysłany przez Jagienkę – prowadząc ze sobą wjucznego konia.

– Pochwalony! – rzekł, kłaniając się nisko. Zbyszko widział go raz lub dwa razy w Zgorzelicach, ale go nie poznał, więc ozwał się:

– Pochwalony na wieki wieków. A coś za jeden?

– Wasz pacholek, słowutny panie.

– Jak to mój pacholek? Tamci moi pacholcy – rzekł, ukazując na dwóch Turczynków, podarowanych mu przez Sulimczyka Zawiszę, i na dwóch tęgich parobków, którzy, siedząc na mierzynach, prowadzili rycerskie ogiery – tamci moi – a ciebie kto przysłał?

– Panna Jagienka Zychówna ze Zgorzelic.

– Panna Jagienka?

Zbyszko dopiero co właśnie burzył się był przeciw niej i serce jego pełne było jeszcze niechęci, więc rzekł:

– Wróćże do dom i podziękuj pannie za łaskę, bo cię nie chcę.

Lecz Czech potrząsnął głową.

– Nie wróćę, panie. Mnie wam podarowali, a prócz tego ja zaprzysiągł do śmierci wam służyć.

– Jeśli mi cię podarowali, toś mój sługa.

– Wasz, panie.

– Więc rozkazuję wrócić.

– Ja zaprzysiągł, a choć ja jeniec spod Bolesławca i chudy pacholek, ale włodyczka... A Zbyszko rozgniewał się:

– Ruszaj precz! Jakże to! Będiesz mi zaś przeciw mojej woli służył czy co? Ruszaj, bo każę kuszę napiąć.

Czech zaś odtoczył spokojnie sukienną opończę podbitą wilkami, oddał ją Zbyszkowi i rzekł:

– Panna Jagienka i to wam przysłała, panie.

– Chcesz, abych ci kości połomił? – zapytał Zbyszko, biorąc drzewce z rąk parobka.

– A jest i trzosik na wasze rozkazanie – odrzekł Czech. Zbyszko zamierzył się drzewcem, lecz wspomniął, że pacholek, chociaż jeniec, jest jednakże z rodu włodyką, którego widocznie dlatego tylko został u Zycha, że nie miał się za co wykupić – więc opuścił ratyszcze.

Czech zaś pochylił mu się do strzemia i rzekł:

– Nie gniewajcie się, panie. Nie każecie mi ze sobą jechać, to pojedę za wami o stajanie albo o dwa, ale pojedę, bom to na zbawienie duszy mojej zaprzysiągł.

– A jak cię każę ubić albo związać?

– Jak mnie każecie ubić, to nie będzie mój grzech, a jak mnie każecie związać, to ostanę, póki mnie dobrzy ludzie nie rozwiążą alibo wilcy nie zjedzą.

Zbyszko nie odpowiedział – ruszył jeno koniem przed siebie, a za nim ruszyli jego ludzie. Czech z kuszą za plecami i z toporem na ramieniu włókł się z tyłu, zatulając się w kosmatą skórę żubrzą, albowiem począł dąć ostry wiatr niosący krupki śniegowe.

Nawałnica wzmagała się nawet z każdą chwilą. Turczynkowie, lubo w tołubach, kostnieli od niej, parobcy Zbyszkowi poczęli „zabijać” ręce, a on sam, będąc również przybrany nie dość ciepło, rzucił raz i drugi oczyma na wilczą opończę przywiezioną przez H lawę i po chwili rzekł do Turczynka, aby mu ją podał.

I owinąwszy się w nią szczelnie, wkrótce poczuł ciepło rozchodzące się po całym ciele. Wygodny był szczególnie kaptur, który osłaniał mu oczy i znaczną część twarzy, tak iż wicher przestał mu prawie do-

kuczać. Wówczas mimo woli pomyślał, że Jagienka to jednak poczciwa z kośćcami dziewczka – i wstrzymał nieco konia, albowiem wzięła go chęć wypytać Czecha o nią i o wszystko, co się w Zgorzelicach działo.

Więc skinąwszy na pachółka, rzekł:

– Zali stary Zych wie, że cię panna do mnie wysłała?

– Wie – odpowiedział Hława.

– I nie przeciwiał się?

– Przeciwił.

– Powiadajże, jako było.

– Pan chodził po izbie, a panna za nim. On krzyczał, a panienska nic –jeno co się ku niej nawrócił, to ona mu do kolan. I ani słowa. Powiada wreszcie panisko: „Czyś ogłuchła, że nic nie mówisz na moje przyczyny? Przemów, bo wreszcie pozwolę, a jak pozwolę, to mi opat łeb urwie!” Dopieroż panna pomiarkowała, że już na swoim postawi, i nuż z płaczem dziękować. Pan jej wymawiał, że go pozbadła, i narzekał, że we wszystkim musi być jej wola, w końcu zaś rzekł: „Przyrzecz mi, że chyłkiem nie wyskoczysz żegnać się z nim, to pozwolę, inaczej nie”. Dopieroż zafrasowała się panienska, ale przyrzekła – i pan rad był, bo oni oba z opatem okrutnie się tego bali, by jej nie przyszła chęć widzieć się z waszą miłością... No, nie na tym koniec, bo później panna chciała, by były dwa konie, a pan bronił, panna chciała wilczury i trzosika, pan bronił. Ale co tam z takich zakazowań! Żeby jej się umyśliło dom spalić, toby też panisko przystał. – Dlatego jest drugi koń, jest wilczura i jest trzosik...

„Poćciwa dziewczka!” – pomyślał w duchu Zbyszko.

Po chwili zaś zapytał głośno:

– A z opatem nie było biedy?...

Czech uśmiechnął się jak roztropny pachółek, który zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co się wokół niego dzieje, i odrzekł:

– Oni to oboje w tajemnicy przed opatem czynili, a nie wiem, co było, gdy się dowiedział, bom wcześniej wyjechał. Opat jako opat! – huknie czasem i na panienkę, ale potem to jeno oczyma za nią wodzi i patrzy, czyli jej zbyt nie pokrzywdził. Sam widziałem, jako ją raz skrzyczał, a potem do skrzyni poszedł, łańcuch przyniósł taki, że zaniejszego i w Krakowie nie dostać –i powiada jej: „na!” – Poradzi sobie ona i z opatem, gdyż i ojciec rodzony więcej jej nie miłuje.

– Pewnie, że tak jest.

– Jak Bóg na niebie...

Tu umilkli i jechali dalej wśród wiatru i śnieżnych krupów;

nagle jednak Zbyszko powstrzymał konia, gdyż z pobocza leśnego ozwał się jakiś żalony głos, na wpół przytłumiony przez szum leśny:

– Chrześcijanie, ratujcie Bożego sługę w nieszczęściu! I jednocześnie na drogę wybiegł człowiek, przybrany w odzież na wpół duchowną, na wpół świecką, i stanąwszy przed Zbyszkiem, począł wołać:

– Ktokolwiek jesteś, panie, daj pomoc człowiekowi i bliźniemu w ciężkiej przygodzie!

– Coć się przytrafiło i coś zacz? – zapytał młody rycerz.

– Sługam Boży, chociaż bez święceń, a przygodziło mi się, iż dzisiejszego rana wyrwał mi się koń, skrzynie ze świętościami niosący. Zostałem sam, bez broni, a wieczór się zbliża i rychło czekać, jako luty zwierz ozwie się w boru. Zginę, jeśli mnie nie

poratujecie.

– Jeślibyś z mojej przyczyny zginął – odrzekł Zbyszko – musiałbym za twoje grzechy odpowiadać, ale po czymże poznam, że prawdę mówisz i żeś nie powsinoga jakowys albo nie rzezimieszek, jakich wielu po drogach się włóczy?

– Po skrzyniach poznasz, panie. Niejeden oddałby trzos nabity dukatami, byle osiąść to, co się w nich znajduje, aleja tobie darmo z nich udzieli, byleście mnie i moje skrzynie zabrali.

– Mówisz, żeś sługa Boży, a tego nie wiesz, że poratunek nie dla ziemskich, jeno dla niebieskich trzeba dawać nagród. Ale jakżeś to skrzynie ocalił, skoro ci niosący je koń uciekł?

– Bo konia, nimem go odnalazł, wilcy w lesie na polance zarznąli, a zasię skrzynie ostały, które ja do drogi przywlokłem, aby czekać na zmiłowanie i pomoc dobrych ludzi.

To rzekłszy i chcąc zarazem dać dowód, że prawdę mówi, wskazał na dwie łubowe skrzynki leżące pod sosną. Zbyszko patrzył na niego dość nieufnie, gdyż człowiek nie wydawał mu się zbyt zacnym, a przy tym mowa jego, lubo czysta, zdradzała pochodzenie z dalekich stron. Nie chciał jednakże odmówić mu pomocy i pozwolił mu przysiąść się wraz ze skrzyniami, które okazały się dziwnie lekkie, na luznego konia, którego powodował Czech.

– Niech Bóg pomnoży twoje zwycięstwa, mężny rycerzu! – rzekł nieznajomy.

Po czym, widząc młodocianą twarz Zbyszkową, dodał półgłosem:

– A również twoje włosy na brodzie.

I po chwili jechał obok Czecha. Przez czas jakiś nie mogli rozmawiać, albowiem dał silny wiatr i w boru szum był okrutny, lecz gdy się nieco uspokoiło, Zbyszko usłyszał za sobą następującą rozmowę:

– Nie przeczę ci, że w Rzymie byłeś, ale wyglądasz na piwożłopa – mówił Czech.

– Strzeż się wiekuistego potępienia – odrzekł nieznajomy – albowiem mówisz do człowieka, który zeszłej Wielkanocy jadł jaja na twardo z Ojcem Świętym. Nie mów mi na takie zimno o piwie, chyba o grzonym, ale jeśli masz gdzie przy sobie gąsiorek z winem, to daj mi dwa lub trzy łyki, a ja ci miesiąc czyśćca odpuszczę.

– Nie masz święceń, bom słyszał, żeś sam o tym mówił, jako-że więc odpuścisz mi miesiąc czyśćca?

– Święceń nie mam, ale głowę mam ogoloną, gdyż na to pozwolenstwo otrzymałem, prócz tego odpusty i relikwie wożę.

– W tych łubach? – zapytał Czech.

– W tych łubach. A gdybyście wszystko ujrzeni, co mam, padlibyście na twarze nie tylko wy, ale i wszystkie sosny w boru razem z dzikimi zwierzęty.

Lecz Czech, który był pacholek roztropny i doświadczony, spojrzał podejrzliwie na przekupnia odpustów i rzekł:

– A wilcy konie zjedli?

– Zjedli, gdyż są diabłom pokrewni, ale popekali. Jednogom ci rozpukniętego na własne oczy widział. Jeśli masz wino, to daj, bo choć wiatr ustał, alem przemarzł, siedząc przy drodze.

Czech wina jednak nie dał i znów jechali w milczeniu, aż przekupień relikwii sam począł pytać:

– Dokąd jedziecie?

– Daleko. Ale tymczasem do Sieradza. Pojedziesz z nami?

– Bo muszę. Prześpię się w stajni, a jutro może mi ten pobożny rycerz konia podaruje – i ruszę dalej.

– Skądże jesteś?

– Spod pruskich panów, spod Malbarga. Usłyszawszy to, Zbyszko zwrócił głowę i kiwnął na nieznajomego, aby się przybliżył.

– Spod Malbarga jesteś? – rzekł. Stamtąd jedziesz?

– Spod Malbarga.

– Ale chyba nie Niemiec, ile że naszą mową dobrze mówisz. Jako cię wołają?

– Niemiec jestem, a wołają mnie Sanderus; waszą mową mówię, gdyż się w Toruniu urodziłem, gdzie wszystek naród tak mówi. Później



mieszkałem w Malbogu, ale i tam to samo! Ba! nawet i bracia zakonni waszą mowę rozumieją.

– A dawność z Malboga?

– Byłem, panie, w Ziemi Świętej, potem zaś w Konstantynopolu i w Rzymie, skąd przez Francję wróciłem do Malboga, a z Malboga jechałem na Mazowsze, obwożąc relikwie święte, które pobożni chrześcijanie radzi dla zbawienia duszy kupują.

– Byłeś w Płocku czyli też w Warszawie?

– Byłem i tu, i tu. Niech Bóg da zdrowie obum księżnom! Nie próżno księżnę Aleksandrę nawet panowie pruscy miłują, bo to świętobliwa pani – chociaż i księżna Anna Januszowa nie gorsza.

– Widziałeś w Warszawie dwór?

– Nie napotkałem go w Warszawie, jeno w Ciechanowie, gdzie mnie oboje księstwo jako sługę Bożego gościnnie przyjęli i hojnie na drogę obdarowali. Ale i ja też zostawiłem im relikwie, które błogosławieństwo boskie muszą na nich ściągnąć.

Zbyszko chciał zapytać o Danusię, ale naraz zdjęła go jakby pewna nieśmiałość i pewien wstyd, zrozumiał bowiem, że byłoby to samo, co zwierzyć się z miłości przed nieznanym, gminnego pochodzenia człkiem, który przy tym wyglądał podejrzenie i mógł być prostym oszustem. Więc po chwili milczenia spytał:

– Jakież to relikwie po świecie wozisz?

– Wożę i odpusty, i relikwie, które to odpusty są różne: są całkowite i na pięćset lat, i na trzysta, i na dwieście, i na mniej, tańsze, aby i ubodzy ludzie mogli je nabywać i tym sposobem czyścicowe męki sobie skracać. Mam odpusty na przeszłe grzechy i na przyszłe, ale nie myślcie, panie, abym pieniądze, za które je kupują, sobie chował... Kawalek czarnego chleba i łyk wody – ot, co dla mnie – a resztę, co zbieram, do Rzymu odwożę, aby się z czasem na nową wyprawę krzyżową zebrało. Jeździ ci wprawdzie po świecie wielu wydrwigraszów, którzy wszystko mają fałszywe: i odpusty, i relikwie, i pieczęcie, i świadectwa – i takich słusznie Ojciec Święty listami ściga, ale mnie przeor sieradzki krzywdę i niesprawiedliwość wyrządził – gdyż moje pieczęcie są prawdziwe. Obejrzyjcie, panie, wosk i sami powiecie.

– A cóż przeor sieradzki?

– Ach, panie! Bogdajbym niesłusznie mniemał, że heretycką nauką Wiklefa zarazon. Ale jeśli, jako mi wasz giermek powiedział, jedziecie do Sieradza, tedy mu się wolę nie pokazywać, aby go do grzechu i bluźnierstw przeciw świętościom nie przywodzić.

– To się znaczy, niewiele mówiąc, że cię wziął za oszusta i rzeziemieszka?

– Żebyż to mnie, panie! odpuściłbym mu dla miłości bliźniego, jak zresztą już uczyniłem, ale on przeciw towarom moim świętym pobлуźnił, za co, obawiam się wielce, że potępiony zostanie bez ratunku.

– Jakież to masz towary święte?

– Takie, że się i mówić o nich z nakrytą głową nie godzi, ale tym razem, mając gotowe odpusty, daję wam, panie, pozwolenie nie zrzucać kaptura, gdyż wiatr dmie znowu. Kupicie za to odpuszcik na popasie i grzech nie będzie wam policzon. Czego ja nie mam! Mam kopyto osiołka, na którym odbyła się ucieczka do Egiptu, które znalezione było koło piramid. Król aragoński dawał mi za nie pięćdziesiąt dukatów dobrym złotem. Mam pióro ze skrzydeł archanioła Gabriela, które podczas Zwiastowania uronił; mam dwie głowy przepiórek zesłanych Izraelitom na puszczy; mam olej, w którym poganie świętego Jana chcieli usmażyć – i szczebel z drabiny, o której się śniło Jakubowi – i łyż Marii Egipcjanki, i nieco rdzy z kluczków świętego Piotra... Ale wszystkiego wymienić nie zdołam, dlatego żem przemarzył, a twój giermek, panie, nie chciał mi dać wina, a po wtóre dlatego, że do wieczora bym nie skończył.

– Wielkie są te relikwie, jeśli prawdziwe! – rzekł Zbyszko.

– Jeśli prawdziwe? Weź, panie, dzidę z rąk pachołka i nadstaw, bo diabeł jest w pobliżu, który ci takie myśli poddaje. Trzymaj go, panie, na długość kopii. A nie chcesz-li nieszczęścia na się sprowadzić, to kup u mnie odpust za ten grzech – inaczej w trzech niedzielach umrze ci ktoś, kogo najwięcej na świecie miłujesz.

Zbyszko przeląkł się groźby, gdyż przyszła mu na myśl Danusia, i odrzekł:

– Toć nie ja nie wierzę, jeno przeor dominikanów w Sieradzu.

– Obejrzyjcie, panie, sami wosk na pieczęciach; a co do przeora, Bóg wie, zali on jeszcze żyw, albowiem prędka bywa sprawiedliwość boska.

Lecz gdy przyjechali do Sieradza, okazało się, że przeor był żyw. Zbyszko udał się nawet do niego, aby dać na dwie msze, z których jedna miała się odprawić na intencję Maćka, druga na intencję owych pawich pióropuszków, po które Zbyszko jechał. Przeor, jak wielu wówczas w Polsce, był cudzoziemcem, rodem z Cylii, ale przez czterdzieści lat życia w Sieradzu wyuczył się dobrze polskiej mowy i był wielkim nie-

przyjacielem Krzyżaków. Za czym, dowiedziawszy się o Zbyszkowym przedsięwzięciu, rzekł:

– Większa ich jeszcze spotka kara boska, ale i ciebie od tego, coś zamierzył, nie odwodzę, naprzód z tej przyczyny, iżes zaprzysiągł, a po wtóre, że za to, co tu w Sieradzu uczynili, nigdy ich dosyć polska ręka nie przyciśnie.

– Coże uczynili? – zapytał Zbyszko, który rad był wiedzieć o wszystkich nieprawościach krzyżackich.

Na to staruszek przeor rozłożył dłonie i naprzód począł odmawiać głośno „Wieczny odpoczynek”, potem zaś siadł na zydlu, przez chwilę oczy trzymał zamknięte, jakby chcąc zebrać dawne wspomnienia, i wreszcie tak mówić począł:

– Sprowadził ich tu Wincenty z Szamotuł. Było mi wtedy dwanaście lat i właśnie przybył tu z Cylji, skąd mnie wuj mój Petzoldt, kustosz, zabrał. Krzyżacy napadli w nocy na miasto i zaraz je podpalili. Widzieliśmy z murów, jako w rynku mężów, dzieci i niewiasty ścinał mieczami albo jako niemowlęta rzucali w ogień... Widziałem zabijanych i księży, gdyż w złości swej nie przepuszczali nikomu. A zdarzyło się, iż przeor Mikołaj, z Elbląga rodem będąc, znał komtura Hermana, który wojskiem przewodził. Wszedł on tedy ze starszymi braćmi do owego lutego rycerza i klękawszy przed nim, zaklinał go po niemiecku, aby się chrześcijańskiej krwi ulitował. Któren mu rzekł: „Nie rozumiem” – i dalej rzezać ludzi nakazał. Wtedy to wycięto i zakonników, a z nimi wuja mego Petzoldta, a zasię Mikołaja koniowi do ogona przywiązali... A nad ranem nie było jednego żywego człowieka w mieście, prócz Krzyżaków i prócz mnie, który się na belce ode dzwonu zataiłem. Bóg ich już pokarał za to pod Płowcami, ale oni ciągle na zgubę tego chrześcijańskiego Królestwa dybią i poty będą, póki ich całkiem nie zetrze ramię boskie.

– Pod Płowcami toż – odrzekł Zbyszko – wszyscy prawie mężowie z rodu mego wyginęli; ale ich nie żałuję, skoro Bóg króla Łokietka tak wielkim zwycięstwem udarował! i dwadzieścia tysięcy Niemców wygubił.

– Doczekasz ty się jeszcze większej wojny i większych zwycięstw – rzekł przeor.

– Amen! – odpowiedział Zbyszko.

I poczęli mówić o czym innym. Młody rycerz wypytywał trochę o przekupnia relikwii, którego zdybał w drodze, i dowiedział się, iż wielu podobnych oszustów włóczy się po drogach, durząc łatwowiernych

ludzi. Mówił mu także przeor, iż są bulle papieskie nakazujące biskupom ścigać podobnych przekupniów, i któren by nie miał prawdziwych listów i pieczęci, zaraz go sądzić. Ponieważ świadectwa owego włości wydały się przeorowi podejrzone, więc chciał go zaraz do jurysdykcji biskupiej odesłać. Jeśliby się okazało, że prawdziwym jest wysłannikiem od odpustów, tedy by mu się krzywda nie stała. Ale on wołał uciec. Może jednak bał się mitregi w podróży – ale przez tę ucieczkę w jeszcze większe podejrzenie się podał.

Pod koniec odwiedzin zaprosił też przeor Zbyszka na odpoczynek i nocleg do klasztoru, lecz ów nie mógł się na to zgodzić, chciał bowiem wywiesić kartę przed gospodą z wyzwaniem na „walkę pieszą alibo konną” wszystkich rycerzy, którzy by zaprzeczyli, że panna Danuta Jurandówna jest najurodziwszą i najcnotliwszą dziewczką w Królestwie – nie wypadało zaś żadną miarą wywieszać takowego wyzwania na furcie klasztornej. Ni przeor, ni inni księża nie chcieli mu nawet karty napisać, skutkiem czego młody rycerz wpadł w wielki kłopot i całkiem nie wiedział, jak sobie poradzić. Aż dopiero po powrocie do gospody przyszło mu na myśl udać się o pomoc do przekupnia odpustów.

– Przeor zgoła nie wie, czyliś nie hukaj – rzekł – bo powiada tak: „Czego by się miał bać biskupiego sądu, gdyby prawe miał świadectwa?”

– Nie boję się też biskupa – odrzekł Sanderus – jeno mnichów, którzy się na pieczęciach nie znają. Właśnie chciałem do Krakowa jechać, ale że konia nie mam, więc muszę czekać, póki mi go ktoś nie podaruje. Ale tymczasem pismo poślę, do którego własną pieczęć przyłożę.

– Jam też sobie pomyślał, iż jeśli pokaże się, że znasz pismo, to będzie znak, żeś nie prostak. Ale jakże list pošlesz?

– Przez jakiego pątnika albo wędrownego mnicha. Małoż to ludzi do Krakowa do grobu królowej jeździ?

– A mnie potrafisz kartę napisać?

– Wypiszę, panie, wszystko, co każecie – gładko a do rzeczy, choćby na desce.

– Lepiej, że na desce – rzekł uradowany Zbyszko – bo to się nie zerde i na później się przyda.

Jakoż, gdy po upływie pewnego czasu pacholikowie znaleźli i przynieśli świeżą deskę, zabrał się Sanderus do pisania. Co tam napisał, tego Zbyszko przeczytać nie umiał, ale kazał zaraz przybić wyzwanie na wrotach, pod nim zaś zawiesić tarczę, której Turczynkowie pilnowali na przemian. Kto by w nią kopią uderzył, ten by dał znak, że wyzwania

nie przyjmuje. W Sieradzu jednak brakło widocznie ochotników do takich spraw, tego bowiem dnia ani nazajutrz do południa nie zadźwięczała tarcza ani razu od uderzenia – o południu zaś wybrał się strapiony nieco młodzieńczyk w dalszą drogę.

Jednakże przedtem jeszcze przyszedł do Zbyszka Sanderus i rzekł mu:

– Gdybyście, panie, wywiesili tarczę w krajach panów pruskich, pewnie by już teraz giermek musiał na was rzemienie od zbroi dociągać.

– Jak to! przecie Krzyżak, jako zakonnik, nie może mieć damy, w której się kocha, bo mu nie wolno.

– Nie wiem, czy im wolno, jeno wiem, że je miewają. Prawda, że Krzyżak bez zgorszenia do pojedynczej walki stanąć nie może, gdyż przysięga, że tylko za wiarę będzie się wespół z drugimi potykał, ale tam prócz zakonników siła jest i świeckich rycerzy z dalekich stron, którzy panom pruskim w pomoc przychodzą. Ci patrzą jeno, z kim by się szepić, a szczególnie rycerze francuscy.

– O wa! widziałem ja ich pod Wilnem, a da Bóg, zobaczę i w Malborgu. Potrzeba mi pawich piór z hełmów, bom to ślubowałem – rozumiesz?

– Kupcie, panie, ode mnie dwie albo trzy krople potu świętego Jerzego, które wylał, ze smokiem walcząc. Żadna relikwia lepiej się rycerzowi nie przygodzi. Dacie mi za to konia, na którego kazaliście mi się przysiąść, to wam jeszcze i odpust dołożę za tę krew chrześcijańską, którą w walce przelejecie.

– Daj spokój, bo się zaś zgniewam. Nie będę twego towaru brał, póki nie wiem, czy dobry.

– Jedziecie, panie, jakoście rzekli, na dwór mazowiecki do księcia Janusza. Spytajcie się tam, ile relikwiiów ode mnie nabrali – i sama księżna, i rycerze, i panny na weselach, na których byłem.

– Na jakich weselach? – zapytał Zbyszko.

– Jako zwyczajnie przed adwentem. Żenili się rycerze jeden przez drugiego, bo ludzie prawią, że będzie wojna między królem polskim a pruskimi pany o ziemię dobrzyńską... Mówi też sobie poniektóry: „Bogu wiadomo, czy żyw będę” – i chce przedtem szczęśliwości z niewiastą zażyć.

Zbyszka zajęła mocno wieść o wojnie, ale jeszcze mocniej to, co Sanderus mówił o zamęściach, więc zapytał:

– Jakież tam dziewczki się wydały?

– A dwórki księżny. Nie wiem, czy jedna ostała, bom słyszał, jako księżna mówiła, że przyjdzie jej nowych służebnych niewiast szukać.

Usłyszawszy to, Zbyszko umilkł na chwilę, po czym spytał nieco zmienionym głosem:

– A panna Danuta Jurandówna, której imię na desce stoi, też się wydała?

Sanderus zawahał się z odpowiedzią, naprzód dlatego, że sam nic dobrze nie wiedział, a po wtóre, że pomyślał, iż utrzymując rycerza w niepewności, nabierze nad nim pewnej przewagi i potrafi go lepiej wyzyskać. Już on poprzednio rozważył to w duszy, iż należy mu się trzymać tego rycerza, którego poczet miał zacny i opatrzony był dostatnio. Sanderus znał się na ludziach i na rzeczach. Wielka młodość Zbyszka pozwalała mu przypuszczać, że będzie to pan hojny a nieopatrzny i łatwo groszem rzucający. Zobaczył już był także ową kosztowną zbroję mediolańską i ogromne ogiery bojowe, których byle kto posiadać nie mógł – więc powiedział sobie, że przy takim paniątku będzie się miało i gościnność po dworach zapewnioną, i niejedną sposobność do zyskowej sprzedaży odpustów, i bezpieczeństwo w drodze – i wreszcie obfitość jadła i napoju, o którą mu przede wszystkim chodziło.

Zatem, usłyszawszy Zbyszkowe pytanie, namarszczył czoło, podniósł w górę oczy, jakby natężając pamięć, i odrzekł:

– Panna Danuta Jurandówna... A skąd ona jest?

– Jurandówna Danuta ze Spychowa.

– Widziałem ci ja je wszystkie, ale jak tam na którą wołali – nie bardzo pomnę.

– Młódka to jeszcze jest, na luteńce grywająca, która śpiewaniem księżnę rozwesela.

– Aha... młódka... na luteńce grywająca... wychodziły i młódki... Nie czarnać ona jest jako agat? Zbyszko odetchnął.

– To nie ta! Tamta biała jako śnieg, jeno na jagodach rumiana – i płowa.

A na to Sanderus:

– Bo jedna, czarna jak agat, przy księżnie ostała, a inne prawie wszystkie się wydały.

– Przecie mówisz, że „prawie wszystkie”, to się znaczy, że nie co do jednej. Na miły Bóg, chcesz-li ode mnie co mieć, to sobie przypomnij.

– Tak we trzy albo cztery dni tobym sobie przypomniał – a najmilszy byłby mi koń, który by moje święte towary nosił.

– To go dostaniesz, byłeś prawdę rzekł. Wtem Czech, który słuchał tej rozmowy od początku i uśmiechał się w garść, ozwał się:

– Prawda będzie wiadoma na mazowieckim dworze. Sanderus popatrzył na niego przez chwilę, po czym rzekł:

– A to myślisz, że się dworu mazowieckiego boję.

– Ja nie mówię, że się dworu mazowieckiego boisz, jeno że zaraz ni też po trzech dniach z koniem nie odjedziesz, a pokaże się li, żeś zełgał, to i na własnych nogach nie odejdziesz, bo ci je Jego Miłość każe połamać.

– Jako żywo! – rzekł Zbyszko.

Sanderus pomyślał, że wobec takiej zapowiedzi lepiej być ostrożnym, i odrzekł:

– Gdybym chciał zełgać, to byłbym od razu powiedział, że się wydała, albo że się nie wydała, a ja rzekłem: nie pomnę. Żebyś miał rozum, tobyś zaraz cnotę moją z tej odpowiedzi wymiarkował.

– Nie brat mój rozum twojej cnotie, bo ona może być psu siostra.

– Nie szczeka moja cnota, jako twój rozum; a kto za życia szczeka, ten snadnie może wyć po śmierci.

– I pewnie! Twoja cnota nie będzie po śmierci wyła, jeno zgrzytała, chyba że za życia na usługach diabłu zęby straci.

I poczęli się kłócić, gdyż Czech wartki miał język i na każde słowo Niemca dwa znajdował. Lecz tymczasem dał Zbyszko rozkaz odjazdu i niebawem ruszyli, wypytawszy wprzód dobrze ludzi bywałych o drogę do Łęczycy. Wkrótce za Sieradzem wjechali w głucho bory, którymi większa część kraju była porośnięta. Lecz środkiem ich szedł gościniec, miejscami nawet okopany, miejscami na nizinach wymoszczony okraglakami, zabytek króla Kazimierzowej gospodarki. Wprawdzie po jego śmierci wśród zawieruchy wojennej, jaką wznieśli Nałęczce i Grzymalicy, podupadły nieco drogi, lecz za Jadwigi po uspokojeniu Królestwa zawrzały znów w rękach zabiegłego ludu łopaty po bagnach, siekiery po lasach i pod koniec jej życia wszędzie już kupiec mógł między znaczniejszymi grodami prowadzić swoje ładowne wozy bez obawy, iż mu się połamią wśród wybojów lub pogręczną w młakach. Zwierz chyba dziki lub zbóje mogli wstręt czynić po drogach, lecz od zwierza były kaganki na noc, zaś kusze do obrony w dzień, a zbójów, zawalidrogów mniej było niż w krajach ościennych. Zresztą, kto jechał z poczem i zbrojny, ten mógł się niczego nie obawiać.

Zbyszko też nie obawiał się zbójów ni zbrojnych rycerzy, a nawet i nie myślał o nich, gdyż opadł go srogi niepokój – i duszą całą był na

mazowieckim dworze. Zastanie-li jeszcze swoją Danuskę dwórką księżny, czyli też żoną jakiego mazowieckiego rycerza – sam nie wiedział i od rana do nocy bił się z myślami nad tym pytaniem. Czasem wydawało mu się to niepodobieństwem, by ona miała o nim zapomnieć – lecz chwilami przychodziło mu do głowy, że może Jurand przybył na dwór ze Spychowa i wydał dziewczkę za męża za jakiego sąsiada lub przyjaciela. Mówił on przecie jeszcze w Krakowie, że nie Zbyszkowi Danusia pisana i że mu jej oddać nie może – więc widocznie przyrzekł ją komuś innemu, widocznie był związany przysięgą, a teraz przysięgi dotrzymał. Zbyszkowi, gdy o tym myślał, zdało się rzeczą pewną, że już nie ujrzy Danuski dziewczyną. Wołał wówczas Sanderusa i znów go badał, znów wypytywał, ale ów mącił coraz bardziej. Nieraz już, już przypominał sobie dwórkę Jurandównę i jej wesele – a potem nagle wsadzał palec w usta, zamyślał się i odpowiadał: „Chyba nie ta!” W winie, które mu miało jasność w głowie czynić, nie odnajdował też Niemiec pamięci – i trzymał ciągle młodego rycerza między śmiertelną obawą a nadzieją.

Jechał więc Zbyszko w trosce, zmartwieniu i niepewności. Po drodze nie myślał już wcale ni o Bogdańcu, ni o Zgorzelicach, tylko o tym, co mu należy czynić. Przede wszystkim należało jechać dowiedzieć się prawdy na mazowieckim dworze, jechał więc spieszenie, zatrzymując się tylko na krótkie noclegi po dworach, gospodach i miastach, aby koni nie zniszczyć. W Łęczycy kazał wywiesić znów deskę z wyzwaniem przed bramą, rozumując sobie w duszy, że czy Danuska jeszcze trwa w panińskim stanie, czy za męża wyszła, zawsze jest panią jego serca i potykać się o nią powinien. Ale w Łęczycy nie bardzo kto umiał wyzwanie przeczytać, ci zaś z rycerzy, którym odczytali je biegle w piśmie klerycy, wzruszali ramionami, nie znając obcego obyczaju i mówiąc: „Głupi to jakiś jedzie, bo jakże mu kto ma przyświadczyć albo się sprzeciwić, skoro onej dziewczki na oczy nie widział”. A Zbyszko jechał dalej w coraz większym strapieniu i z coraz większym pośpiechem. Nigdy on nie ustawał kochać swojej Danuski, ale w Bogdańcu i w Zgorzelicach „uradzając” prawie co dzień z Jagienką i patrząc na jej urodę, nie tak często o tamtej myślał, a teraz dniem i nocą nie schodziła mu ni z oczu, ni z pamięci, ni z myśli. We śnie nawet widywał ją przed sobą, przetowłosą, z lutnią w ręku, w czerwonych trzewikach i z wianeczkiem na głowie. Wyciągała do niego ręce, a Jurand ją od niego odciągał. Rankiem, gdy sny pierzchały, przychodziła zaraz na ich miejsce tęsknota większa, niż była przedtem – i nigdy tak Zbyszko tej dziew-



czynny nie kochał w Bogdańcu, jak zaczął ją kochać właśnie teraz, gdy nie był pewien, czy mu jej nie zabrali.

Przychodziło mu też do głowy, że pewnie ją po niewoli wydali, więc jej w duszy nie oskarżał, zwłaszcza że dzieckiem będąc, woli swej jeszcze mieć nie mogła. Burzył się natomiast w duszy przeciw Jurandowi i przeciw księżnie Januszowej, a gdy pomyślał o Danusiny mężu, zaraz serce podnosiło mu się aż po szyję w piersiach i groźnie się na pacholków, wiozących pod oponami zbroje, oglądał. Układał też sobie, że służyć jej nie przestanie i że choćby ją cudzą żoną zastał, to pawie grzebienie złożyć jej u nóg musi. Ale było w tej myśli więcej żalu niż pociechy, bo całkiem nie wiedział, co pocznie potem.

Pocieszała go tylko myśl o wielkiej wojnie. Chociaż nie chciało mu się bez Danuśki żyć, nie obiecywał sobie, że koniecznie zginie, natomiast czuł, że tak mu się jakoś zapodzieje w czasie wojny dusza i pamięć, iż zbędzie wszelkich innych trosk i frasunków. A wielka wojna wisiała jakby w powietrzu. Nie wiadomo było, skąd się brały o niej wieści, gdyż między królem a Zakonem panował spokój – a jednakże wszędy, gdzie Zbyszko zajechał, nie mówiono o niczym innym. Ludzie mieli jakby przecucie, że to nastąpić musi, a niektórzy mówili otwarcie: „Po cóż nam się było z Litwą łączyć, jeśli nie przeciw onym wilkom krzyżackim? Raz więc trzeba z nimi skończyć, aby zaś dłużej nie szarpali nam wnętrzości”. Inni wszelako powiadali: „Szaleni mnichowie! mało im było Płowców! Śmierć jest nad nimi, a oni jeszcze ziemię dobrzyńską porwali, którą wraz z krwią wyrzygać muszą”. I gotowano się po wszystkich ziemiach Królestwa poważnie, bez chępliwości, jako zwyczajnie do boju na śmierć i życie, ale z głuchą zawziętością potężnego ludu, który zbyt długo krzywdy znosił i wreszcie do wymierzenia straszliwej kary się gotował.

Po wszystkich dworach spotykał Zbyszko ludzi przekonanych, że lada dzień trzeba będzie na koń siadać, i aż dziwił się temu, albowiem mniemając również jak i inni, że do wojny przyjść musi, nie słyszał jednak o tym, by miała nastąpić tak prędko. Nie przyszło mu wszelako do głowy, że ludzka chęć wyprzedza w tym razie wypadki. Wierzył innym, nie sobie, i radował się w sercu na widok owej przedwojennej krzątany, którą na każdym spotykał kroku. Wszędzie wszystkie inne troski ustępowały trosce o konie i zbroje, wszędzie oglądano w wielkim skupieniu kopie, miecze, topory, rohatyny, hełmy, pancerze, rzemienie przy napierstnikach i kropierzach. Kowale dzień i noc bili młotami w żelazne blachy, kowając zbroje grube, ciężkie, które by ledwie

dźwignąć mogli wytworni rycerze z Zachodu, ale które z łatwością nosili krzepcy „dziedzice” z Wielkopolski i Małopolski. Starcy wydobywali ze skrzyń w alkierzach spleśniałe worki z grzywnami na wojenną wyprawę dla dzieci. Raz nocował Zbyszko u możnego szlachcica Bartosza z Bielaw, który mając dwudziestu dwóch tęgich synów, zastawił liczne ziemie klasztorowi w Łowiczu, aby zakupić dwadzieścia dwa pancerze, tyleż hełmów i innych przyborów na wojnę. Więc Zbyszko, choć o tym w Bogdańcu nie słyszał, myślał także, że zaraz przyjdzie do Prus pociągnąć, i dziękował Bogu, że tak przednio jest na wyprawę opatrzon. Jakoż zbroja jego budziła powszechny podziw. Brano go za wojewodzińskie dziecko, a gdy powiadał ludziom, że prostym jest tylko szlachcicem i że taką zbroję można u Niemców kupić, byle godnie toporem zapłacić, wzbierały serca ochotą wojenną. Lecz niejedni, na widok tej zbroi nie mogąc pożądlivosti potłumić, doganiał Zbyszka na gościńcu i mówił: „Nuż byś się o nią spotkał?” Ale on, mając drogę pilną, nie chciał się potykać, a Czech kuszę naciągał. Przestał nawet Zbyszko wywieszać po gospodach deskę z wyzwaniem, albowiem pomiarkował, iż im głębiej od granic w kraj wjeżdżał, tym mniej się ludzie na tym rozumieli i tym bardziej poczytywali go za głupiego.

Na Mazowszu mniej ludzie mówili o wojnie. Wierzyli i tu, że będzie, ale nie wiedzieli kiedy. W Warszawie spokój był, tym bardziej że dwór bawił w Ciechanowie, który książe Janusz po dawnym napadzie litewskim przebudowywał, a raczej całkiem na nowo wznosił, gdyż z dawnego został tylko zamek. W grodzie warszawskim przyjął Zbyszka Jaśko Socha, starosta zamkowy, syn wojewody Abrahama, który pod Worsklą poległ. Jaśko znał Zbyszka, gdyż był z księżną w Krakowie, więc też i ugościł go z radością – on zaś, nim do jadła i napoju zasiadł, zaraz począł go wypytywać o Danusię i o to, czy się wraz z innymi dwórkami księżny nie wydała.

Lecz Socha nie umiał mu na to odpowiedzieć. Księstwo bawili na zamku ciechanowskim od wczesnej jesieni. W Warszawie została tylko garść łuczników i on dla straży. Słyszał, że były w Ciechanowie różne uciechy i wesela, jak bywa zwyczajnie przed adwentem, ale która by z dwórek za mąż poszła, a która się ostała, o to, jako człek żonaty, nie wypytywał.

– Myślę wszelako – mówił – że Jurandówna się nie wydała, gdyżby się to bez Juranda obyć nie mogło, a nie słyszałem, aby przyjeżdżał. Bawią też u księstwa w gościnie dwaj bracia zakonnicy, komturowie, jeden z Jansborku, a drugi ze Szczytna, a z nimi podobno jacyś goście

zagraniczni – a wtedy Jurand nigdy nie przyjeżdża, gdyż jego widok białego płaszcza do szaleństwa zaraz przywodzi. Nie było zasię Juranda, nie było i wesela! A chcesz, to poślę ci gończego zapytać, któremu pilno wracać każe, choć jako żywo tak myślę, że Jurandównę w pańskim jeszcze stanie napotkasz.

– Sam zaraz jutro pojedę, ale za pociechę Bóg ci zapłaci. Niech jeno konie odpoczną, to pojedę, gdyż nie będę miał spokoju, póki się prawdy nie dowiem, Bóg ci wszelako zapłaci, bo zaraz mi ulżyło.

Socha nie poprzestał jednak na tym i począł się przepytywać między szlachtą bawiącą przygodnie w zamku i między żołnierzami, czy kto czego o weselu Jurandówny nie słyszał. Nie słyszał jednak nikt – choć znaleźli się tacy, którzy byli w Ciechanowie, a nawet i na niektórych weselach: „Chybaby kto ją wziął w ostatnich tygodniach albo w ostatnich dniach”. Jakoż mogło się i tak zdarzyć, gdyż w owych czasach nie tracili ludzie czasu na namysł. Ale tymczasem Zbyszko poszedł spać wielce pokrzepiony. Już w łożu będąc, namyślał się, czy nie odpędzić nazajutrz Sanderusa, pomyślał jednak, że hultaj może mu się dla swej znajomości niemieckiej mowy przydać wówczas, gdy się przeciw Lichtensteinowi wybierze. Pomyślał także, że Sanderus nie okłamał go, a chociaż był nabytkiem kosztownym, gdyż jadł i pił po gospodach za czterech, był jednak usłużny i okazywał nowemu panu pewne przywiązanie. Nadto posiadał także sztukę pisania, czym górował nad giermkim Czechem i nad samym Zbyszkiem.

To wszystko sprawiło, iż młody rycerz pozwolił mu jechać ze sobą do Ciechanowa, z czego Sanderus był rad nie tylko dla wiktów, ale i dlatego, iż zauważył, że w zacnym towarzystwie więcej wzbudza ufności i łatwiej znajduje kupców na swój towar. Po jeszcze jednym noclegu w Nasielsku, jadąc ni zbyt wartko, ni zbyt wolno, ujrzeni następnego dnia pod wieczór mury ciechanowskiego zamku. Zbyszko zatrzymał się w gospodzie, aby wdziać na się zbroję i wjechać obyczajem rycerskim do zamku w hełmie i z kopią w rękę – za czym siadł na olbrzymiego zdobytecznego ogiera i uczyniwszy w powietrzu znak krzyża – ruszył przed siebie.

Lecz nie ujechał i dziesięciu kroków, gdy jadący z tyłu Czech porównał się z nim i rzekł:

– Wasza miłość, rycerze jacyś za nami walą. Krzyżaki chyba czy co?

Zbyszko zawrócił konia i nie dalej jak na pół stajania za sobą ujrzał okazały poczet, na którego czele jechało dwóch rycerzy na tęgich pomorskich koniach, obaj w pełnych zbrojach, każdy

w białym płaszczu z czarnym krzyżem i w hełmie z wysokim pawim pióropuszem.

– Krzyżacy, na miły Bóg! – rzekł Zbyszko.

I mimo woli pochylił się w siodle i złożył kopię w pół ucha końskiego, co widząc, Czech splunął w garście, aby mu się nie ślizgało w nich toporzysko.

Czeladnicy Zbyszkowi, ludzie bywali i znający obyczaj wojenny, stanęli także w gotowości – nie do walki wprawdzie, albowiem w spotkaniach rycerskich służba nie brała udziału, ale do odmierzenia miejsca pod bitwę konną lub do udeptania zaśnieżonej ziemi pod pieszą. Jeden Czech tylko, szlachcicem będąc, miał się ku robocie, lecz i on spodziewał się, że Zbyszko przemówi, zanim uderzy, i w duszy mocno się nawet dziwił, iż młody pan pochylił kopię przed wyzwaniem.

Lecz i Zbyszko opamiętał się w porę. Przypomniawszy sobie swój szalony uczynek pod Krakowem, gdy nieopatrznie chciał bić w Lichtensteina – i wszystkie nieszczęścia, jakie z tego wynikły, więc podniósł kopię, oddał ją Czechowi i nie dobywając miecza, ruszył koniem ku rycerzom zakonnym. Zbliżywszy się, zauważył, że prócz nich był jeszcze trzeci rycerz, również z piórami na głowie, i czwarty, niezbrojny, długowłosy, który wydawał mu się Mazurem.

Widząc zaś ich, rzekł sobie w duszy:

„Ślubowałem mojej panience w więzieniu nie trzy czuby, jeno tyle, ile palców u rąk, ale trzy, byle to nie byli posłowie – mogłoby być zaraz”.

Jednakże pomyślał, że to właśnie muszą być jacyś posłowie do księcia mazowieckiego, więc westchnąwszy, ozwał się głośno:

– Pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków – odpowiedział długowłosy niezbrojny jeździec.

– Szczęść wam Boże.

– I wam, panie.

– Chwała świętemu Jerzemu!

– Nasz ci to patron. Witajcie, panie, w podróży. Tu poczęli się sobie kłaniać, a następnie Zbyszko wymienił, kto jest, jakiego herbu, zawołania i skąd na dwór mazowiecki podąża, długowłosy zaś rycerz oznajmił, iż zowie się Jędrzek z Kropiwnicy i gości księciu wiedzie:

brata Gotfryda, brata Rotgiera oraz pana Fulka de Lorche z Lotaryngii, który u Krzyżaków bawiąc, chce księcia mazowieckiego, a zwłaszcza księżnę, córkę sławnego „Kynstuta”, na własne oczy obaczyć.

Przez ten czas, gdy wymieniano ich nazwiska, rycerze zagraniczni, siedząc prosto na koniach, pochylali raz po raz przybrane w żelazne hełmy głowy, sądząc bowiem ze świetnej zbroi Zbyszkowej, mniemali, że księżę kogoś znacznego, może krewnego lub syna, na spotkanie ich wysłał. Jędrak zaś z Kropiwnicy mówił dalej:

– Komtur, jakobyście po naszymu rzekli: starosta z Jansborku, bawi w gościnie u księcia, któremu rozповідаł o tych trzech rycerzach, jako mają żywną ochotę przybyć, ale nie śmia, a zwłaszcza ów rycerz z Lotaryngii, on bowiem z daleka będąc, mniemał, że za krzyżacką granicą zaraz mieszkają Saraceny, z którymi wojna nie ustaje. Księżę, jako ludzki pan, wnet mnie na granicę posłał, abym ich bezpiecznie wśród zamków przeprowadził.

– To bez waszej pomocy nie mogliby przejechać?

– Jest nasz naród okrutnie na Krzyżaków zawzięty, a to z przyczyny nie tyle ich napaści – bo i my do nich zaglądamy, ile z przyczyny wielkiej ich zdradliwości, że to, jeśli cię Krzyżak obłąpi, a z przodu w gębę cię całuje, to z tyłu gotów cię w tym samym czasie nożem żgnąć, którego obyczaj zgoła jest świński i nam Mazurom przeciwny... ba! już-ci!... Pod dach i Niemca każdy przyjmie, i gościowi krzywdy nie uczyni, ale na drodze rad mu zastąpi. A są i tacy, którzy nic innego nie czynią, przez pomstę alibo dla chwały, którą daj Bóg każdemu.

– Którzenie jest między wami najślawniejszy?

– Jest jeden taki, że lepiej by Niemcu śmierć obaczyć niż jego; zowie się Jurand ze Spsychowa.

Zadrgało w młodym rycerzu serce, gdy usłyszał to nazwisko – i wraz postanowił pociągnąć Jędrka z Kropiwnicy za język.

– Wiem! – rzekł – słyszałem: to ów, którego córka Danuta dwórką księżny była, póki się nie wydała.

I to rzekłszy, począł pilnie patrzeć w oczy mazowieckiego rycerza, tamując prawie dech w piersiach, ów zaś odrzekł z wielkim zdziwieniem:

– A wam to kto powiadał? Dyc to młódka. Bywa po prawdzie, że i takie wychodzą za mąż, ale Jurandówna nie wyszła. Sześć dni temu, jak wyjechałem z Ciechanowa i widziałem ją przy księżnie. Jakoże jej w adwencie wychodzić?

Zbyszko, słysząc to, wyteżył całą siłę woli, by nie pochwycić Mazura za szyję i nie zakrzyknąć mu: „Bóg ci zapłać za nowinę!” – pohamował się jednak i rzekł:

– Bo słyszałem, że ją Jurand komuś oddał.

– Księżna chciała ją oddać, nie Jurand, jeno przeciw woli Jurandowej nie mogła. Chciała ją oddać jednemu rycerzowi w Krakowie, który dziewczce ślubował i którego ona miłuje.

– Miłuje ci go? – zakrzyknął Zbyszko.

Na to Jędrak spojrział na niego bystro, uśmiechnął się i rzekł:

– Wiecie, jakoś strasznie się o tę dziewczuchę przepytujecie.

– Przepytuję o znajomych, ku którym jadę.

Mało Zbyszskowi widać było twarzy spod hełmu, ledwie oczy, nos i trochę policzków, ale za to nos i policzki tak były czerwone, że skory do drwin, a przechera, Mazur rzekł:

– Pewnikiem od mrozu tak wam gęba pokraśniała jako wielkanocne jaje!

A młodzian zmieszał się jeszcze bardziej i odpowiedział:

– Pewnikiem...

Ruszyli i jechali czas jakiś w milczeniu, tylko konie parślały, wyrzucając z nozdrzy słupy pary – i obcy rycerze poczęli między sobą szwargotać. Lecz po chwili Jędrak z Kropiwnicy zapytał:

– Jakoże was zowią, bom niedobrze dosłyszał?

– Zbyszko z Bogdańca.

– Moiście wy! A toć tamtemu, co to Jurandównie ślubował, podobnie było.

– Zali myślicie, że się zaprę? – odpowiedział prędko i z dumą Zbyszko.

– Bo i nie ma czego. Miły Boże, to wyście ów Zbyszko, któremu dziewczucha nałęczką głowę nakryła! Po powrocie z Krakowa wszystkie dwórki o niczym innym nie gadały, jeno o was, a niejednemu to aż śluzę, słuchający, po jagodach ciekły. Toście wy! Hej! radość też będzie na dworze... że to i księżna was nawidzi.

– Bóg jej błogosław i wam także za dobrą nowinę... Bo jak mi powiedzieli, że się wydała, to ażem ścierpl.

– Co się miała wydać!... Łakoma to jest rzecz taka dziewczka, bo za nią cały Spychów stoi, ale choć siła jest gładkich chłopów na dworze, żaden ci jej w ślepią nie zaglądał, bo kaźden i jej uczynek, i wasze ślubowanie szanował. Nie byłaby też dopuściła do tego i księżna. Hej! będzie radość. Po prawdzie przekomarzali się czasem dziewczusze! Po-

wie jej kto: „Nie wróci twój rycerz” – to ona jeno piętami przytupuje: „Wróci! wróci!” – chociaż nieraz, gdy kto jej rzekł, żeście inną wzięli, to i do płakania przychodziło.

Rozczuliły te słowa Zbyszka, ale zarazem chwycił go gniew na ludzkie gadanie, więc rzekł:

– Kto o mnie takie rzeczy czekał, to go pozwę! A Jędrzek z Kropiwnicy począł się śmiać:

– Baby na przekór gadały! Będziecie pozywać baby? Mieczem przeciw kądzieli nie poradzisz!

Zbyszko rad, że mu Bóg zesłał tak wesołego i życzliwego towarzysza, począł go wypytywać o Danusie, potem o obyczaje mazowieckiego dworu, i znów o Danusie, potem o księcia Janusza, o księżnę, i znów o Danusie – na koniec jednak, wspomniawszy o swych ślubach, rozpowiedział Jędrkowi, co słyszał po drodze o wojnie – jako się ludzie do niej gotują, jako jej z dnia na dzień czekają – a wreszcie zapytał, czyli i w księstwach mazowieckich tak samo myślą.

Lecz dziedzic Kropiwnicy nie myślał, aby wojna była tak bliska. Gadają ludzie, że nie może inaczej być, ale on słyszał oto, jak raz sam książę mówił do Mikołaja z Długolasu, że pochowali rogi Krzyżacy i że byle król nastawał, to i z ziemi dobrzyńskiej, którą porwali, odstąpią, bo się potęgi jego boją – albo przynajmniej będą sprawę przewłóczyć, póki się dobrze nie przygotowują.

– Zresztą – rzekł – książę niedawno do Malborga jeździł, gdzie pod niebytność mistrza wielki marszałek go podejmował i gonitwy dla niego wyprawił, a teraz u księcia komtury bawia –i ot, nowi goście jeszcze jadą...

Tu jednak zastanowił się przez chwilę i dodał:

– Powiadają ludzie, że te Krzyżacy nie bez przyczyny u nas i u księcia Ziemowita w Płocku siedzą. Chcieliby oni pono, żeby w razie wojny nasi książęta nie wspomagali króla polskiego, jeno ich, a jeśli się nie dadzą do tego pociągnąć, to żeby choć na boku spokojnie ostali – ale tego nie będzie...

– Bóg da, że nie będzie. Jakżebyście to w domu usiedzieli? Wasi książęta przecie Królestwu Polskiemu powinni. Nie usiedzicie, myślę.

– Nie usiedzimy – odrzekł Jędrzek z Kropiwnicy.

Zbyszko spojrział znów na obcych rycerzy i na ich pawie pióra:

– To i ci po to jadą?

– Bracia zakonni, może i po to. Kto ich wie?

– A ów trzeci?

– Trzeci jedzie, bo ciekawy.

– Znaczny jakiś musi być.

– Ba! wozów idzie za nim okutych trzy z godnym sprzętem, a ludzi pocztowych jest dziewięciu. Bogdajby się z takim zewrzeć! Aże ślina do gęby idzie.

– Ale nie możecie?

– Jakże! Toć mi książę kazał ich strzec. Włos im z głowy nie spadnie do Ciechanowa.

– A nużbym ich pozwał? Nużby się chcieli ze mną potykać?

– Tedy musielibyście się wpierw ze mną potykać, bo pókim żyw, nie będzie z tego nic.

Zbyszko, usłyszawszy to, spojrział przyjaźnie na młodego szlachcica i rzekł:

– Rozumiecie, co rycerska cześć. Z wami nie będę się potykał, bom wam przyjacielem, ale w Ciechanowie, da Bóg, przyczynę przeciw Niemcom znajdę.

– W Ciechanowie róbcie sobie, co wam się podoba. Nie obejdzie się też tam bez jakowychś gonitw, to może pójść i na ostre, byle książę i komturowie dali pozwolenstwo.

– Mam ci ja taką deskę, na której stoi pozwanie dla każdego, kto by nie przyznał, że panna Danuta Jurandówna najcnotliwsza i najgładsza dziewczka na świecie. Ale wiecie... wszędy ludzie jeno ramionami ruszali i śmiali się.

– Bo też to jest obcy obyczaj, a prawdę rzekłszy, głupi, którego u nas ludzie nie znają, chyba gdzieś na pograniczach. To i ten tu Lotaryńczyk zaczepiał po drodze szlachtę, każąc jakąś swoją panią nad inne wysławiać. Ale go nikt nie rozumiał, a jam do bitki nie dopuszczał.

– Jak to? kazał swoją panią wysławiać? Bójcie się Boga! Chyba że wstydu w oczach nie ma.

Tu spojrział na zagranicznego rycerza, jakby się chcąc przekonać, jak też wygląda człowiek, który wstydu w oczach nie ma, ale w duszy musiał jednak przyznać, iż Fulko de Lorche nie wyglądał wcale na zwykłego zawalidrogę. Owszem, spod uchylonej przyłbicy patrzyły oczy łagodne i wychylała się twarz młoda, a pełna jakiegoś smutku.

– Sanderus! – zawołał nagle Zbyszko.

– Do usług – odpowiedział, zbliżając się, Niemiec.

– Zapytaj się tego rycerza, jaka jest najcnotliwsza i najcudniejsza dziewczka na świecie.



– Jaka jest najcudniejsza i najcnotliwsza dziewczka na świecie? – zapytał Sanderus.

– Ulryka de Elner! – odpowiedział Fulko de Lorche. I podniósłszy oczy w górę, począł raz po razu wzdychać, Zbyszkowi zaś, gdy usłyszał takie bluźnierstwo, oburzenie zapało dech w piersi, a gniew chwycił go tak wielki, że zdarł na miejscu ogiera; zanim jednak zdołał przemówić, Jędrak z Kropiwnicy przedzielił go koniem od cudzoziemca i rzekł:

– Nie będziecie się tu wadzić.

Lecz Zbyszko zwrócił się znów do przekupnia relikwii.

– Powiedz mu ode mnie, że sowę miłuje.

– Pan mój mówi, szlachetny rycerzu, że miłujecie sowę! – powtórzył jak echo Sanderus.

Na to pan de Lorche puścił cugle i prawą ręką począł odpinać, a następnie ściągać żelazną rękawicę, po czym rzucił ją w śnieg przed Zbyszkim, ów zaś skinął na swego Czecha, aby ją podjął ostrzem kopii.

Wtem Jędrak z Kropiwnicy zwrócił się do Zbyszka z twarzą już groźną i rzekł:

– Nie spotkacie się, powiadam, póki się moje stróżowanie nie skończy. Nie pozwolę, ni jemu, ni wam.

– Przecie ja go nie pozwalałem, jeno on mnie.

– Ale za sowę. Dość mi tego, a który by się przeciwiał... Ej-że!.. wiem i ja, jako pas okręcić.

– Nie chcę się z wami bić.

– A musielibyście ze mną, boja tamtego poprzysiągł bronić.

– To jakże będzie? – spytał uparty Zbyszko.

– Ciechanów niedaleko.

– Ale co Niemiec pomyśli?

– Niech mu wasz człowiek powie, że tu spotkania być nie może i że pierwej musi być książęce pozwolenstwo dla was, a komturowe dla niego.

– Ba! a jeżeli pozwolenstwa nie dadzą?

– To się przecie znajdziecie. Dość gadania.

Zbyszko, widząc, że nie ma rady, i rozumiejąc, że Jędrak z Kropiwnicy nie może istotnie na bitkę pozwolić, zawołał znów Sanderusa, aby wytłumaczył lotaryńskiemu rycerzowi, że bić się będą, dopiero jak staną na miejscu. De Lorche, wysłuchawszy słów Niemca, skinął głową na znak, że rozumie, a następnie, wyciągnąwszy ku Zbyszkowi rękę,

potrzymany przez chwilę jego dłoń i ścisnął ją mocno po trzykroć, co wedle zwyczajów rycerskich oznaczało, że bić się ze sobą gdziekolwiek i kiedykolwiek muszą. Po czym w pozornej zgodzie ruszyli ku ciechanowskiemu zamkowi, którego tępe wieże widać już było na tle zarumienionego nieba.

Wjechali jeszcze za widnia, lecz nim opowiedzieli się przy bramach zamkowych i nim spuszczone most, nastąpiła głęboka noc. Przyjął ich i ugościł znajomy Zbyszkowy, Mikołaj z Długolasu, którego przywodził załozę złożoną z garści rycerstwa i trzystu niechybnych łuczników puszczańskich. Zaraz na wstępie dowiedział się ku wielkiemu swemu strapieniu Zbyszko, że dworu nie było. Księżę, chcąc uczcić komturów ze Szczytna i z Jansborka, wyprawił wielkie łowy w puszczy, na które udała się dla przydania okazałości widowisku i księżna wraz z dworskimi pannami. Ze znajomych niewiast znalazł Zbyszko tylko Ofkę, wdowę po Krzychu z Jarząbkowa, która była klucznicą w zamku. Ta rada mu była bardzo, albowiem od czasu powrotu z Krakowa opowiadała każdemu, kto chciał i nie chciał, o jego miłości do Danusi i przygodzie z Lichtensteinem. Jednały jej te opowiadania wielki mir wśród młodszych dworzan i panien – była więc wdzięczna Zbyszowski – i teraz starała się pocieszyć młodzianka w smutku, jakim przejęła go nieobecność Danusi.

– Nie poznasz jej – mówiła. – Dziewczynie roki idą i w szatkach już jej szwy poczynają pod szyją trzaskać, bo wszystko w niej pęcznieje. Nie skrzat to już taki, jaki był, i inaczej cię miłuje niż dawniej. Teraz niech jej kto jeno krzyknie do ucha:

„Zbyszko” – to jakby ją kto szydłem zgnął. Taka już nas wszystkich niewiast dola, przeciw czemu nie ma rady, gdyż to z rozkazania boskiego... A stryjko twój, powiadasz, zdrowi? Czemu zaś nie przyjechali?... Jużci, że taka dola... Cni się, cni samej niewieście na świecie... Łaska boska, że dziewczyna nóg nie połamała, bo co dzień na wieżę wyłazi, a na drogę spogląda... Każda z nas potrzebuje przyjaźnielstwa...

– Popasę jeno konie i pojedę ku niej – choćby i nocą pojedę – odpowiedział Zbyszko.

– Uczyni to, jeno przewodnika z zamku weź, bo w puszczy zabłądzisz.

Jakoż na wieczerzy, którą Mikołaj z Długolasu dla gości wyprawił, oświadczył Zbyszko, że zaraz za księciem pojedzie i o przewodnika prosi. Zdrożeni bracia zakonnicy poprzysuwali się po uczcie do olbrzymich kominów, na których płonęły całe pnie sosnowe, i postanowili

jechać dopiero nazajutrz, po wypoczynku. Lecz de Lorche, wypytawszy się, o co chodzi, oznajmił chęć jechania razem ze Zbyszkiem, mówiąc, że inaczej mogliby się spóźnić na łowy, które chciał widzieć koniecznie.

Po czym zbliżył się do Zbyszka i wyciągnąwszy doń rękę, znów trzykrotnie ścisnął jego palce.

## ROZDZIAŁ XX

Lecz nie miało i tym razem przyjść między nimi do bitki, gdyż Mikołaj z Długolasu, dowiedziawszy się od Jędrka z Kropiwnicy, o co im chodzi, wziął od obydwóch słowo, że się bez wiedzy księcia i komturów potykać nie będą, w razie zaś oporu groził zamknięciem bram. Zbyszkowi chciało się jak najprędzej zobaczyć Danusie, więc nie śmiał się sprzeciwiać, de Lorche zaś, który bił się chętnie, gdy było trzeba, ale nie był człowiekiem krwiożerczym, poprzysiągł bez trudności na swą rycerską cześć, iż będzie czekał na pozwolenie księcia, tym bardziej że postępując przeciwnie, obawiałby się mu ubliżyć. Chodziło też Lotaryńczykowi, który nasłuchawszy się pieśni o turniejach, lubił świetne zgromadzenia i okazałe uroczystości, aby potykać się właśnie wobec dworu, dostojników i dam – gdyż sądził, że w ten sposób zwycięstwo jego nabierze większego rozgłosu i tym łatwiej złote ostrogi mu wyjedna. Przy tym zaciekawiał go kraj i ludzie, więc po myśli była mu zwłoka – zwłaszcza że Mikołaj z Długolasu, którego lata całe u Niemców w niewoli przesiedział i z cudzoziemcami mógł łatwo się rozmówić, dziwy opowiadał o łowach książęcych na różne bestie nie znane już w krajach zachodnich. O północy więc ruszyli razem ze Zbyszkim ku Przasnyszowi, mając ze sobą swe zbrojne poczty i ludzi z kagankami dla ochrony od wilków, które zbierając się zimą w nieprzeliczone gromady, mogły okazać się groźne nawet dla kilkunastu jeźdźców, choćby najlepiej uzbrojonych. Z tej strony Ciechanowa nie brakło już także lasów, które niedaleko za Przasnyszem przechodziły w olbrzymią puszcę kurpieską, łączącą się na wschód z nieprzebytymi borami Podlasia i dalszej Litwy. Przed niedawnymi czasy tymi to borami spływała zwykle na Mazowsze, omijając jednak groźnych miejscowych osadników, dzicz litewska, która w r. 1337 doszła aż pod Ciechanów i zburzyła miasto. De Lorche z największą ciekawością słuchał opowiadań o tym starego przewodnika, Maćka z Turobojów, albowiem pałał w duszy chęcią zmierzenia się z Litwinami, których – jak i inni rycerze zachodni – za Saracenów uważał. Przybył on przecie w te strony na wyprawę krzyżową, pragnąc uzyskać sławę i zbawienie duszy, a jadąc, mniemał, że wojna nawet i z Mazurami, jako z pogańskim przez

pół narodem, także zupełny odpust zapewnia. Oczom też prawie nie wierzył, gdy wjechawszy w Mazowsze, ujrzał kościoły po miastach, krzyże na wieżach, duchownych, rycerzy ze świętymi znamionami na zbrojach i naród bujny wprawdzie, zapalczywy, do zwady i bitki pochopny, ale chrześcijański i wcale od Niemców, wśród których młody rycerz przejeżdżał, nie drapieźniejszy. Więc gdy mu prawiono, że od wieków ten naród Chrystusa wyznaje, sam nie wiedział, co o Krzyżakach myśleć, a gdy się dowiedział, że i Litwę już nieboszczka królowa krakowska ochrzciła, zdumienie jego, a zarazem i troska nie miały granic.

Więc począł rozpytywać Maćka z Turobojów, czy w owych lasach, ku którym jadą, nie ma przynajmniej smoków, którym ludzie muszą ofiarowywać dziewice i z którymi można by walczyć. Lecz odpowiedź Maćka i pod tym względem sprawiła mu zawód zupełny.

– W borach jest rozmaity godny zwierz, jako wilcy, tury, żubry i niedźwiedzie, z którymi dość jest roboty – odrzekł Mazur.

– Może też po bagnach są i duchy nieczyste, ale o smokach nie słyszałem, a choćby i były, pewnie byśmy im dziewczek nie dawali, ale kąpą byśmy na nie poszli. Ba, gdyby były, już by dawno osadnicy puszczańscy pasy z ich skóry nosili!

– Co to za naród i czyby nie można z nim walczyć? – spytał de Lorche.

– Walczyć z nim można, ale niezdrowo – odrzekł Maćko – a wreszcie rycerzowi nie przystoi, gdyż to jest naród chłopski.

– Szwajcarowie także są chłopami. Zali ci Chrystusa wyznają?

– Nie masz innych na Mazowszu, a ci są ludzie nasi i książęcy. Widzieliście przecie łuczników na zamku. Sami to Kurpie, albowiem nie masz nad nich łuczników w świecie.

– Anglicy i Szkoci, których na dworze burgundzkim widziałem...

– Widziałem ich i w Malborgu – przerwał Mazur. – Tęgie pacholki, ale nie daj im Bóg kiedy przeciw tym stawać! U nich dzieciak w siedmiu leciech póty jeść nie dostanie, póki jadła strzałą z wierzchołka sosny nie zrzuci.

– O czym gadacie? – zapytał nagle Zbyszko, o którego uszy odbił się kilkakrotnie wyraz: Kurpie.

– O łucznikach kurpieskich i angielskich. Prawi ten rycerz, iż angielscy, a zasię szkoccy, nad wszystkimi celują.

– Widziałem ich i ja pod Wilnem. O wa! słyszałem ich groty koło uszu. Byli też tam i rycerze ze wszystkich krajów, którzy zapowiadali,

że nas bez soli zjedzą, ale popróbowawszy raz i drugi, stracili dojadła ochotę.

Maćko rozśmiał się i powtórzył słowa Zbyszku panu de Lorche.

– Mówili o tym na różnych dworach – odrzekł Lotaryńczyk – chwalono tam zawziętość waszych rycerzy, ale przyganiano im, iż pogan przeciw Krzyżowi bronią.

– Broniliśmy naród, który chciał się ochrzcić, przeciw napaściom i niesprawiedliwości. Niemcy to chcą ich w pogaństwie utrzymać, aby powód do wojny mieli.

– Bóg to osądzi – rzekł de Lorche.

– Może i niezadługo już – odpowiedział Maćko z Turobojów. Lecz Lotaryńczyk zasłyszawszy, iż Zbyszko był pod Wilnem, począł się go o nie wypytywać, albowiem wieść o walkach i pojedynkach rycerskich tam stoczonych rozeszła się już szeroko po świecie. Szczególniej ów pojedynek, na który wyzwało się czterech rycerzy polskich i czterech francuskich, podniecił wyobraźnię wojowników zachodnich. Więc de Lorche począł spoglądać z większym szacunkiem na Zbyszka, jako na człowieka, który w tak sławnych bojach brał udział – i radował się w sercu, iż nie z byle kim przyjdzie mu się potykać.

Jechali więc dalej w pozornej zgodzie, świadcząc sobie grzeczności na postojach i częstując się wzajem winem, którego de Lorche miał znaczne zapasy w wozach. Lecz gdy z rozmowy między nim a Maćkiem z Turobojów okazało się, że Ulryka de Elner naprawdę nie jest panną, ale czterdziestoletnią zamężną niewiastą, mającą sześcioro dzieci, wzburzyła się tym bardziej dusza w Zbyszku, że ów dziwny cudzoziemiec śmie „babę” nie tylko z Danušką porównywać, ale i pierwszeństwa dla niej wymagać. Pomyślał jednakowoż, że może to być człowiek niespełna zmysłów, któremu ciemna izba i batogi więcej by się przydały od podróży po świecie – i myśl ta powstrzymała w nim wybuch natychmiastowego gniewu.

– Czy nie myślicie – rzekł do Maćka – że zły duch rozum mu pomieszał? Może też siedzi mu diabeł w głowie jako czerw w orzechu i gotów po nocy na którego z nas przeskoczyć. Trzeba się nam mieć na baczności...

Usłyszawszy to, Maćko z Turobojów zaprzeczył wprawdzie, ale począł jednak spoglądać z pewnym niepokojem na Lotaryńczyka i w końcu rzekł:

– Czasem bywa, że ich w opętanym siedzi sto i więcej, a ciasno-li im, to radzi pomieszkania w innych ludziach szukają. Najgorszy też taki diabeł, którego baba naśle.

Po czym zwrócił się nagle do rycerza:

– Pochwalony Jezus Chrystus!

– I ja go chwale – odpowiedział z pewnym zdziwieniem de Lorche.

Maćko z Turobojów uspokoił się zupełnie.

– No, widzicie – rzekł – zęby w nim złe siedziało, zaraz by się zapienił alboby go o ziem rzuciło, bom go nagle zagabnął. Możem jechać.

Jakoż ruszyli dalej spokojnie. Z Ciechanowa do Przasnysza nie było zbyt daleko i latem goniec na dobrym koniu mógł we dwie godziny przebiec drogę dzielącą dwa miasta. Ale oni jechali daleko wolniej z powodu nocy, postojów i zasp śnieżnych leżących w lasach, a ponieważ wyjechali znacznie po północy, więc do myśliwskiego dworu książęcego, który leżał za Przasnyszem, na brzegu borów, przybyli dopiero o brzasku. Dwór stał prawie oparty o puszcę, duży, niski, drewniany, mający jednakże szyby w oknach ze szklanych gomólek. Przed dworem widać było żurawie studzienne i dwie szopy dla koni, naokół zaś dworu roiło się od szałasów, skleconych naprędce z sosnowych gałęzi, i od namiotów ze skór. Przy szarzącym dopiero dniu błyszczały jasno przed namiotami ogniska, a wokół nich stali osacznicy w kozuchach wełną do góry, w tołubach lisich, wilczych i niedźwiedzych. Panu de Lorche wydało się, że widzi dzikie bestie na dwóch łapach przed ogniem, albowiem większość tych ludzi przybrana była w czapki uczy-nione ze łbów zwierzęcych. Niektórzy stali wsparci na oszczepach, inni na kuszach, niektórzy zajęci byli zwijaniem ogromnych sieci i powro-zów – inni obracali nad węglami potężne ćwierci żubrze i łosie, przeznaczone widocznie na ranny posiłek. Blask płomienia padał na śnieg, oświecając zarazem te dzikie postacie poprzestłaniane nieco dymem ognisk, mgłą oddechów i parą podnoszącą się z pieczonych mięsów. Za nimi widać było zaróżowione pnie olbrzymich sosen i nowe gromady ludzi, których mnogość dziwiła nieprzywykłego do widoku takich łowieckich zebrań Lotaryńczyka.

– Wasi książęta – rzekł – na łowy jakoby na wojenne wyprawy chodzą.

– Jakbyście wiedzieli – odrzekł Maćko z Turobojów – że nie brak im ni myśliwskiego sprzętu, ni też ludzi. To są osacznicy książęcy, ale są też i inni, którzy dla targu z puszczańskich komyszy tu przychodzą.

– Co będziemy czynili? – przerwał Zbyszko – we dworze śpią jeszcze.

– Ano, zaczekamy, aż się pobudzą – odpart Maćko. – Przecie nie będziem do drzwi kołatać i księcia, pana naszego, budzić.

To rzekłszy, zaprowadził ich do ogniska, przy którym osacznicy ponarzucali im skór żubrzych i niedźwiedzich, a następnie poczęli ich skwapliwie częstować dymiącym mięsem – słysząc zaś obcą mowę, jęli się skupiać, ażeby na Niemca popatrzeć. Wnet rozniosło się przez ludzi Zbyszkowych, że to jest rycerz „aż zza morza” – i wówczas stało się naokół tak ciasno, że pan na Turobojach musiał użyć powagi, aby cudzoziemca od zbytnej ciekawości uchronić. De Lorche zauważył też w tłumie niewiasty, poprzybierane przeważnie również w skóry, ale rumiane jak jabłka i nadzwyczaj urodziwe, więc począł pytać, czy one także w łowach biorą udział.

Maćko Turobojski wyjaśnił mu, że do łowów one nie należą, ale że przybywają wraz z osacznikami przez babską ciekawość albo jakby na jarmark, dla kupna miejskich towarów i sprzedaży leśnych bogactw. Jakoż tak było w istocie; ów dworzec książęcy był jakby ogniskiem, naokół którego, nawet w czasie nieobecności księcia, kupiły się dwa żywioły: miejski i leśny. Osacznicy nie lubili wychodzić z puszczy, gdyż nieswojo im było bez szumu drzew nad głowami, więc Przasnyszanie zwozili na ową leśną krawędź słynne swe piwa, mąkę mieloną w miejskich wiatrakach lub na wodnych młynach na Węgiec, sól rzadką w puszczy i poszukiwaną chciwie, żelaziwo, rzemienie i tym podobny owoc ludzkiej przemyślności, a brali w zamian skóry, kosztowne futra, suszone grzyby, orzechy, zioła w chorobach przydatne lub bryłki bursztynu, o które między Kurpiami nie było zbyt trudno. Z tego powodu około książęcego dworca wrzał jakby ustawiczny targ, który potęgował się jeszcze w czasie książęcych łowów, gdy i obowiązek, i ciekawość wywabiała mieszkańców z głębin leśnych.

De Lorche słuchał opowiadań Maćkowych, przypatrując się z zajęciem postaciom osaczników, którzy żyjąc w zdrowym, żywicznym powietrzu i karmiąc się, jak zresztą większość chłopów ówczesnych, przeważnie mięsem – zdumiewali nieraz zagranicznych wędrowców wzrostem i siłą, Zbyszko zaś, siedząc przy ogniu, spoglądał ustawicznie na drzwi i okna dworca, zaledwie mogąc wytrwać na miejscu. Świeciło się tylko jedno okno, widocznie od kuchni, gdyż dym wychodził przez szpary między nie dość szczelnie dopasowanymi szybami. Inne były ciemne, połyskujące tylko od blasków dnia, który białął z



każdą chwilą i posrebrzał coraz mocniej ośnieżoną puszcę za dworem. W małych drzwiach wybitych w bocznej ścianie domostwa ukazywała się czasem służba w barwie książęcej – i z wiadrami lub cebrami na powerkach biegła po wodę do studzien. Ludzie ci, zapytywani, czy wszyscy śpią jeszcze, odpowiadali, że dwór strudzon wczorajszymi łowami spoczywa dotąd, ale że już warzy się strawa na ranny posiłek przed wyruszeniem.

Jakoż przez okno kuchenne począł wydobywać się zapach tłuszczów i szafranu, który rozszedł się daleko między ogniskami. Skrzypnęły wreszcie i otwarły się drzwi główne, odkrywając wewnątrz suto oświetlonej sieni – i na ganek wyszedł człowiek, w którym Zbyszko na pierwszy rzut oka poznał jednego z rybaltów, których w swoim czasie widział między służbą księżny w Krakowie. Na ów widok, nie czekając na Maćka z Turobojów ni na de Lorche, skoczył Zbyszko z takim pędem ku dworowi, że aż zdziwiony Lotaryńczyk zapytał:

– Co się stało temu młodemu rycerzowi?

– Nic się nie stało – odrzekł Maćko z Turobojów – jeno miłuje jedną dwórkę księżny i rad by ją jako najprędzej uwidzieć.

– Ach! – odpowiedział de Lorche, przykładając obie dłonie do serca.

I podniósłszy oczy w górę, począł wzdychać raz po raz tak żałośnie, że aż Maćko wzruszył ramionami i w duchu rzekł:

„Zaliby do swojej starki tak wzdychał? Nużby szczerze był niespełna rozumu?”

Ale tymczasem wprowadził go do dworca i obaj znaleźli się w obszernej sieni, przybranej rogami turów, żubrów, łosi i jeleni, i oświetlonej przez płonące na potężnym kominie suche kłody. W środku stał nakryty kilimkiem stół z przygotowanymi misami do jadła, w sieni było zaledwie kilku dworzan, z którymi rozmawiał Zbyszko. Maćko z Turobojów zapoznał ich z panem de Lorche, ale że nie umieli po niemiecku, musiał sam dalej dotrzymywać mu towarzystwa. Jednakże dworzan przybywało co chwila, chłopów po większej części na schwał, surowych jeszcze, ale roślących, pleczystych, płowowłosych, poprzybieranych już jak do puszczy. Ci, którzy znali Zbyszka i wiedzieli o jego przygodach krakowskich, witali się z nim jak ze starym przyjacielem – i znać było, że ma mir między nimi. Inni patrzyli na niego z takim podziwem, z jakim zwykle patrzy się na człowieka, nad którego karkiem wisiał topór katowski. Naokół słychać było głosy: „Jużci! Jest księżna, jest Jurandówna, zaraz ją tu ujrzysz, nieboże, i na łowy z nami poje-

dziesz”. A wtem weszli dwaj goście krzyżaccy, brat Hugo de Danveld, starosta z Ortelsburga, czyli ze Szczytna, którego krewny był w swoim czasie marszałkiem, i Zygfyrd de Lowe, także z zasłużonej w Zakonie rodziny – wójt z Jansborku. Pierwszy dość młody jeszcze, ale otyły, z twarzą chytrego piwożłopa i grubymi, wilgotnymi wargami, drugi wysoki o rysach surowych, ale szlachetnych. Zbyszkwowi wydało się, że Danvelda widział niegdyś przy księciu Witoldzie i że go Henryk, biskup płocki, zwałił w gonitwach z konia, lecz wspomnienia owe pomieszało mu wejście księcia Janusza, ku któremu zwrócili się z pokłonami i Krzyżacy, i dworzanie. Zbliżył się ku niemu de Lorche i komturowie, i Zbyszko, on zaś witał uprzejmie, ale z powagą na swej bezwąsej, wieśniaczej twarzy, okolonej włosami obciętymi równo nad czołem, a spadającymi aż na ramiona po obu bokach. Wnet zagrzmiały za oknami trąby na znak, że księżę zasiada do stołu: zagrzmiały raz, drugi, trzeci, aż za trzecim razem otworzyły się duże drzwi po prawej stronie izby i ukazała się w nich księżna Anna, mając przy sobie cudną przetowłosą dziewczeczkę z lutnią zawieszoną na ramieniu.

Ujrzawszy je, Zbyszko wysunął się naprzód i złożywszy przy ustach ręce, klęknął na oba kolana w postawie pełnej czci i uwielbienia.

Na ten widok szmer uczynił się w sali. gdyż zdziwił Mazurów postępek Zbyszka, a nawet niektórych i zgorszył. „A wiera – mówili starsi – pewnikiem nauczył się tego obyczaju od zamorskich jakowychś rycerzy, a może zgoła od pogan, gdyż nie masz go nawet między Niemcami”. Młodzi wszelako myśleli: „Nie dziwota, toć dziewczce szyję powinien”. A księżna i Jurandówna nie poznały zrazu Zbyszka, gdyż klęknął plecami do ognia i twarz miał w cieniu. Księżna myślała w pierwszej chwili, iż to któryś z dworzan, zawiniwszy coś względem księcia, prosi jej o wstawiennictwo, lecz Danusia, która wzrok miała bystrzejszy, postąpiła krok naprzód – i pochyliwszy swą jasną głowę, krzyknęła nagle ciekim, przeraźliwym głosem:

– Zbyszko!

Po czym, nie myśląc o tym, że patrzy na nią cały dwór i zagraniczni goście, skoczyła jak sama ku młodemu rycerzowi i objąwszy go ramionami, poczęła całować jego oczy, usta, policzki, tuląc się do niego i piszcząc przy tym z wielkiej radości póty, póki nie zagrzmiali jednym wielkim śmiechem Mazurowie i póki księżna nie pociągnęła ją za kołnierz ku sobie.

Wówczas spojrziała po ludziach i stropiwszy się okrutnie, z równą szybkością schowała się za księżną, ukrywając się w fałdach jej spódnicy, tak że jej ledwie wierzch głowy było widać.

Zbyszko objął nogi pani, ta zaś podniosła go i poczęła witać, a zarazem wypytywać się o Maćka: czy zmarł, czy też żyw, a jeśli żyw, czy nie przyjechał także na Mazowsze? Zbyszko odpowiadał niezbyt przytomnie na te pytania, albowiem przechylając się na obie strony, starał się dojrzeć za księżną Danuskę, która to wychylała się przez ten czas ze spódnicy pani, to znów dawała nurka w jej fałdy. Mazurowie w boki się brali na owo widowisko, śmiał się i sam książę, aż wreszcie, gdy wniesiono gorące misy, zwróciła się rozradowana pani do Zbyszka i rzekła:

– Służę nam, miły służko, a bogdaj nie tylko przy jedle, ale i na zawsze.

Potem zaś do Danusi:

– A ty, mucho utrapiona, wyleźże raz zza spódnicy, bo mi ją do reszty oberwiesz.

Więc Danusia wyszła zza spódnicy, sploniona, pomieszana, podnosząca co chwila na Zbyszka oczy lękliwe, zawstydzone, a ciekawe – i tak cudna, że aż rozplynęło się serce nie tylko w Zbyszku, ale i w innych mężach: starosta krzyżacki ze Szczytna począł przykładać raz po raz dłoń do swych grubych, wilgotnych warg, de Lorche zaś zdumiał się; podniósł obie ręce w górę i zapytał:

– Na świętego Jakuba z Kompostelli, kto jest ta dziewczica? Na to starosta ze Szczytna, który przy otyłości był niski, podniósł się na palce i rzekł do ucha Lotaryńczyka:

– Córka diabła.

De Lorche popatrzył na niego, mrugając oczyma, następnie zmarszczył brwi i zaczął mówić przez nos:

– Nie praw to rycerz, który przeciw piękności szczeka.

– Noszę złote ostrogi – i jestem zakonnikiem – odparł z wyniosłością Hugo de Danveld.

Tak wielka była cześć dla pasowanych rycerzy, iż Lotaryńczyk spuścił głowę, lecz po chwili odrzekł:

– A jam krewny książąt Brabantu.

– *Pax! Pax!* – odpowiedział Krzyżak. – Cześć potężnym książętom i przyjaciołom Zakonu, z którego rąk wkrótce, panie, złote ostrogi otrzymacie. Nie odmawiam ja urody tej dziewczce, ale posłuchajcie, kto jest jej ojciec.

Lecz nie zdążył nic opowiedzieć, albowiem w tej chwili książę Janusz zasiadł do śniadania, a dowiedziawszy się poprzednio od wójta z Jansborku o wielkich pokrewieństwach pana de Lorche, dał mu znak, aby siadł koło niego. Naprzeciw zajęła miejsce księżna z Danusią, Zbyszko zaś stanął, jak ongi w Krakowie, za ich krzesłami do usługi. Danusia trzymała głowę, jak mogła najniżej, nad miską, bo wstyd jej było ludzi, ale trochę na bok, by Zbyszko mógł widzieć jej twarz. On zaś patrzył chciwie i z zachwyceniem na jej jasną, drobną głowę, na różowy policzek, na ramiona przybrane w obcisłą odzież, które przedstawiały już być dziecinne, i czuł, że wzbiera w nim jakby rzeka nowej miłości, która zalewa mu całe piersi. Czuł także na oczach, na ustach i na twarzy świeże jej pocałunki. Niegdyś dawała mu je ona tak jak siostra bratu i on przyjmował je jak od miłego dziecka. Teraz, na świeże ich wspomnienie, działało się z nim to, co czasem działało się przy Jagiencce: brały go ciagoty i ogarniała go omdlałość, pod którą taił się żar jak w przysypanym popiołem ognisku. Danusia wydawała mu się dorosłą zupełnie panną – bo też i rzeczywiście wyrosła, rozkwitła. A przy tym tyle i tak ciągle mówiono przy niej o miłości, że równie jak pączek kwiatowy przygrzany słońcem kraśniej i otwiera się coraz bardziej, tak i jej otworzyły się oczy na miłość – i skutkiem tego było w niej teraz coś, czego nie było poprzednio – jakaś uroda, już nie tylko dziecinna, i jakaś ponęta, mocna, upajająca, bijąca od niej tak, jak bije ciepło od płomienia albo zapach od róży.

Zbyszko to czuł, ale nie zdawał sobie z tego sprawy, gdyż się zapamiętał. Zapomniał nawet o tym, że trzeba przy stole służyć. Nie widział, że dworzanie patrzą na niego, trącając się łokciami, że pokazują sobie ich oboje z Danusią i śmieją się. Nie zauważył również ani jakby skamieniałej ze zdumienia twarzy pana de Lorche, ani wypukłych oczu krzyżackiego starosty ze Szczytna, które ustawicznie utkwione były w Danusię, i odbijając zarazem płomień komina, wydawały się tak czerwone i błyszczące jak wilcze. Ocknął się dopiero, gdy trąby ozwały się ponownie, dając znak, że czas do puszczy – i gdy księżna Anna Danuta, zwróciwszy się ku niemu, rzekła:

– Przy nas pojedziesz, abyś zaś miał uciechę i dziewce o kochaniu mógł prawić, czego i ja rada posłucham.

To powiedziawszy, wyszła z Danusią, aby się na koń przybrać. Zbyszko zaś skoczył na podwórzec, na którym trzymano już pokryte sędzielizną i parsające konie dla księstwa, gości i dworzan. Na dziedzińcu nie było tak rojno jak przedtem, gdyż osacznicy wyszli już

pierwej z sieciami i potonęli w puszczy. Ogniska poprzygasały, dzień uczynił się jasny, mroźny, śnieg skrzypiał, a z drzew poruszanych lekkim powiewem sypała się sadź sucha, iskrząca. Wkrótce wyszedł i siadł na koń księżę, mając za sobą pachółka z kuszą i z oszczepem tak długim i ciężkim, że mało kto mógł nim władać; księżę jednak władał nim z łatwością, albowiem, jak i inni Piastowie mazowieccy, posiadał siłę nadzwyczajną. Bywały nawet i takie niewiasty w tym rodzie, które wychodząc za obcych książąt, zwiły w palcach przy weselnych ucztach szerokie tasaki żelazne. Blisko księcia trzymało się też dwóch mężów gotowych w nagłym razie do pomocy, a wybranych ze wszystkich dziedziców ziemi warszawskiej i ciechanowskiej, strasznych na samo wejście, o barach jak pnie leśne – na których patrzył z podziwem przybyły z daleka pan de Lorche.

Tymczasem wyszła i księżna z Danusią, obie przybrane w kaptury ze skór białych łasic. Nieodrodna córka Kiejstuta lepiej umiała „szyć” z łuku niż igłą, niesiono więc i za nią ozdobną, nieco tylko lżejszą od innych kuszę. Zbyszko, przykłęknąwszy na śniegu, wyciągnął dłoń, na której pani wsparła, siadając na koń – nogę, po czym uniósł w górę Danusię, tak samo jak w Bogdańcu unosił Jagienkę – i ruszyli. Orszak wyciągnął się w długiego węża: skręcił na prawo od dworu, mieniając się i migocąc na brzegu puszczy jak barwna krajka na brzegu ciemnego sukna, a następnie począł się w nią z wolna zanurzać.

Byli już dość głęboko w boru, gdy księżna, zwróciwszy się do Zbyszka, rzekła:

– Przeczże nie gadasz? Nuże, mów do niej.

Zbyszko, lubo tak zachęcony, milczał jeszcze przez chwilę, albowiem opanowała go jakaś nieśmiałość – i dopiero po upływie jednej lub dwóch zdrowasiek ozwał się:

– Danuśka!

– Co, Zbyszku?

– Miłuję cię tak...

Tu zaciął się, szukając słów, o które było mu trudno, bo chociaż klękał jak zagraniczny rycerz przed dziewczyną, choć wszelkimi sposobami cześć jej okazywał i starał się unikać gminnych wyrażań, jednakże próżno się silił na dworność, gdyż mając duszę polną, tylko po prostu umiał mówić.

Więc i teraz po chwili rzekł:

– Miłuję cię tak, aże mi dech zapiera!

Ona zaś podniosła na niego spod łasiczego kapturka modre oczęta i twarz wyszczypaną na różowo przez zimne leśne powietrze:

– I ja, Zbyszku! – odrzekła jakby z pośpiechem. Po czym zaraz nakryła oczy rzęsami, bo już wiedziała, co to jest miłość.

– Hej, krocie ty moje! hej, dziewczyno ty moja! – zawołał Zbyszko – Hej!...

I znowu umilkł ze szczęścia i ze wzruszenia, lecz dobra, a zarazem ciekawa księżna przysłała im powtórnie z pomocą:

– Powiadajże – rzekła – jako ci się cniło bez niej, a zdarzy się li gąszczyk, to choćbyś ją tam i w gębę pocałował, nie będę krzywa, boć to najlepiej o twoim kochaniu zaświadczy.

Więc począł opowiadać, „jako mu się cniło” bez niej i w Bogdańcu przy doglądaniu Maćka, i między „somsiadami”. O Jagience nic tylko nie wspomniał chytry wykrętnik – ale zresztą szczerze mówił, bo w tej chwili tak kochał śliczną Danusię, że chciało mu się chwycić ją, przesadzić na swego konia, wziąć przed się i trzymać przy piersiach.

Nie śmiał jednak tego uczynić; natomiast gdy pierwszy gąszczyk przedzielił ich od jadących za nimi dworzan i gości, pochylił się ku niej, objął ją i pochował twarz w łasiczy kaptur, świadcząc tym uczynkiem o swej miłości.

Ale że zimą nie ma liści na krzaczkach leszczynowych, dojrzał go Hugo von Danveld i pan de Lorche, dojrżeli go również dworzanie i poczęli między sobą mówić:

– Poboćkał ci ją przy księżnie! Wierę, jako wnet im pani weselisko wyprawi.

– Chwacki to jakiś pacholek, ale i ona siarczysta Jurandowa krew!

– Krzemień to i krzesiwo, choć dziewczka niby trusia. Pójdą z nich iskry, nie bój się! Przywarł ci do niej jak kleszcz do żywej skóry!

Tak oni rozmawiali, śmiejąc się, lecz starosta krzyżacki ze Szczyt-na zwrócił ku panu de Lorche swą koźlą, złą i lubieżną twarz – i zapytał:

– Czy chcielibyście, panie, by jaki Merlin zmienił was czarnoksięską mocą w tamtego oto rycerzyka?

– A wy, panie? – zapytał de Lorche.

Na to Krzyżak, w którym widocznie zawrzała zazdrość i żądza, ściągnął niecierpliwą ręką konia i zawołał:

– Na moją duszę!...

W tej chwili jednak opamiętał się i pochyliwszy głowę, odrzekł:

– Zakonnikiem jestem, który ślubował czystość. I spojrział bystro na Lotaryńczyka, w obawie, czy nie zobaczy na jego twarzy uśmiechu, albowiem pod tym względem Zakon złą miał sławę u ludzi, a między zakonnikami Hugo de Danveld najgorszą. Był on przed kilku laty pomocnikiem wójta w Sambii i tam skargi na niego stały się tak głośne, że pomimo całej pobłażliwości, z jaką patrzano na podobne sprawy w Malborgu, musiano go przenieść na dowódcę zamkowej załogi w Szczytnie. Przybywszy w ostatnich dniach z tajnymi zleceniami na dwór księcia i ujrzawszy cudną Jurandównę, zapalał do niej żądzą, dla której wiek Danusi nie był żadnym hamulcem, albowiem w tych czasach młodsze od niej wychodziły za mąż. Lecz że zarazem wiedział Danveld, jaki był ród dziewczyny, i że imię Juranda łączyło się ze strasznym wspomnieniem w jego pamięci, więc i jego żądza wyrosła na podkładzie dzikiej nienawiści. A de Lorche począł go właśnie wypytywać o te dzieje.

– Nazwaliście, panie, tę piękną dziewicę córką diabła; dlaczegoście ją tak nazwali?

Danveld począł na to opowiadać historię Złotoryi: jako przy odbudowywaniu zamku porwano szczęśliwie księcia wraz z dworem i jako w tym zdarzeniu zginęła matka Jurandówny, za którą Jurand mścił się od owej pory w okropny sposób na wszystkich rycerzach zakonnych. I nienawiść buchała z Krzyżaka przy tym opowiadaniu jak płomień, albowiem miał i osobiste do niej powody. Oto i on sam zetknął się przed dwoma laty z Jurandem, ale wówczas na widok strasznego „Dzika ze Spychowa” pierwszy raz w życiu upadło w nim serce tak nikczemnie, że opuścił dwóch swoich krewnych, ludzi, łupy i jak obłąkany uciekał dzień cały aż do Szczytna, gdzie z trwogi na długi czas zachorzał. Gdy przyszedł do zdrowia, wielki marszałek Zakonu oddał go pod sąd rycerski, którego wyrok uniewinnił go wprawdzie, gdy Danveld poprzyśiągł na krzyż i cześć, że rozhukany koń uniósł go z pola walki – ale zamknął mu drogę do wyższych dostojęństw w Zakonie. Krzyżak zamilczał wprawdzie teraz o tych wypadkach przed panem de Lorche, natomiast wypowiedział tyle skarg na okrucieństwo Juranda i zuchwałość całego polskiego narodu, że wszystko to zaledwie mogło pomieścić się w głowie Lotaryńczyka.

– My wszelako – rzekł po chwili – jesteśmy u Mazurów, nie u Polaków?

– To osobne księstwo, ale jeden naród – odpowiedział starosta – jednaka ich bezecność i jednaka przeciw Zakonowi zawziętość. Bóg daj, aby niemiecki miecz całe to plemię wygubił!

– Słusznie mówicie, panie; bo żeby ten książę, który na pozór znaczny się wydaje, śmiał zamek przeciw wam w waszych ziemiach wznosić – o podobnym bezprawiu nawet i między poganami nie słyszałem.

– Zamek on wznosił przeciw nam, ale Złotoryja leży w jego, nie w naszych ziemiach.

– Tedy chwała Chrystusowi, że wam dał nad nim zwycięstwo. Jakże skończyła się ta wojna?

– Nie było wówczas wojny.

– A wasze zwycięstwo pod Złotoryją?

– Bóg nam właśnie i w tym pobłogosławił, że książę był bez wojska, jeno z dworem i niewiastami.

Na to de Lorche spojrzał ze zdumieniem na Krzyżaka.

– Jak to? Więc w czasie pokoju napadliście na niewiasty i na księcia, który we własnych ziemiach zamek budował?

– Dla chwały Zakonu i chrześcijaństwa nie masz bezecnych uczynków.

– A ówże straszny rycerz jeno za młodą małżonkę pomsty szuka, zabita przez was czasu pokoju?

– Kto przeciw Krzyżakowi rękę podnosi, synem ciemności jest.

Zadumał się, usłyszawszy to, pan de Lorche, ale nie miał już czasu Danveldowi odpowiedzieć, gdyż wyjechali na obszerną, zaśnieżonym szuwarem pokrytą polankę, na której książę zsiadł z konia, a za nim poczęli zsiadać i inni.



## ROZDZIAŁ XXI

Biegli leśnicy poczuli pod wodzą wielkiego łowczego rozstawiać myśliwych długim rzędem na skraju polany, tak aby będąc sami w ukryciu, mieli przed sobą pustą przestrzeń, ułatwiającą strzały z kusz i łuków. Dwa krótsze boki polany obstawione były sieciami, za którymi taili się borowi „nawrotnicy”, których obowiązkiem było nawracać zwierz ku strzelcom lub jeśli, nie dając się spłoszyć, zaplątywał się w sieciach, dobijać go oszczepami. Nieprzeliczone gromady Kurpiów, umiejętnie rozstawione w tak zwaną otokę, miały pędzić wszelkie żywe stworzenie z głębin leśnych na polanę. Za strzelcami znów znajdowała się sieć, rozpięta w tym celu, by zwierz, który zdoła przedrzeć się przez ich szereg, został nią powstrzymany i w jej skrętach dobity.

Książę stanął w pośrodku szeregu w lekkim zagłębieniu, które biegło przez całą szerokość polany. Główny łowczy, Mrokota z Mocarzewa, wybrał mu to stanowisko, wiedząc, że tym właśnie wgłębieniem będzie pomykał przed otoką najgrubszy zwierz z puszczy. Sam książę miał w ręku kuszę, tuż pod bokiem pana stał oparty o drzewo ciężki oszczep, a nieco z tyłu trzymali się dwaj „brońcy” z toporami na ramionach, ogromni, do pni leśnych podobni, którzy prócz toporów mieli jeszcze gotowe napięte kusze dla podania księciu w razie potrzeby. Księżna i Jurandówna nie zsiadały z koni, albowiem nie zezwalał na to nigdy książę ze względu na niebezpieczeństwo od turów i żubrów przed których wściekłością łatwiej się było w razie wypadku chronić konno niż pieszo. De Lorche, lubo wezwany przez księcia, aby zajął miejsce po prawej jego stronie, prosił, aby mu wolno było zostać dla obrony dam na koniu, i stał opodal księżny do długiego gwoźdźcia podobny, z rycerską kopią, z której podrwili z cicha pod wąsem Mazurowie jako z broni mało na łowach przydatnej. Natomiast Zbyszko wbił oszczep w śnieg, kuszę przekręcił na plecy i stojąc przy koniu Danusi, podnosił ku niej głowę, chwilami szeptał do niej, a chwilami obejmował jej nogi i całował kolana, albowiem wcale się już przed ludźmi ze swoją miłością nie krył. Uspokoił się dopiero wówczas, gdy Mrokota z Mocarzewa, który w puszczy ośmielał się i na samego księcia burczeć, nakazał mu groźnie milczenie.

Tymczasem daleko, daleko w głębi puszczy ozwały się rogi kurpie-  
skie, którym z polany odpowiedział krótko wrzaskliwy głos krzywuły –  
po czym nastąpiła cisza zupełna. Ledwie niekiedy zaskrzeczała sójka w  
wierzchołkach sosen, niekiedy zakrakali jak kruki ludzie z otoki. My-  
śliwi wyteżyli oczy na białą, pustą przestrzeń, na której wiatr poruszał  
oszronionym sitowiem i bezlistnymi krzami wikliny – każdy czekał z  
niecierpliwością, jaki też pierwszy zwierz pojawi się na śniegu – w  
ogóle zaś wrócono sobie łowy obfite i wspaniałe, gdyż puszcza roiła się  
od żubrów, turów, dzików. Kurpie wykurzyli też z barłogów i kilka  
niedźwiedzi, które zbudzone w ten sposób chodziły po gąszczach, złe,  
głodne i czujne, domyślając się, że wkrótce przyjdzie im stoczyć walkę  
nie o spokojny sen zimowy, ale o życie.

Trzeba było jednak czekać długo, gdyż ludzie, którzy parli zwierza  
ku kłamrom otoki i ku polanie, zajęli ogromny szmat boru i szli z tak  
daleka, że do uszu myśliwych nie dochodziło nawet szczekanie psów,  
które zaraz po odezwaniu się trąb spuszczone zostały ze smyczy. Jeden  
z nich, spuszczonej widocznie za wcześnie albo też włóczący się luzem  
za chłopami, ukazał się na polanie i przebiegłszy ją całą z nosem ku  
ziemi, przeszedł między myśliwcami. I znów uczyniło się pusto i cicho,  
tylko nawrotnicy krakali ciągle jak krucy, dając w ten sposób znać, że  
wkrótce robota się rozpocznie. Jakoż po upływie kilku pacierzy na  
skraju pojawiły się wilki, które jako najczujniejsze pierwsze usiłowały  
się wynieść z obierzy. Było ich kilka. Ale wypadłszy na polanę i zawie-  
trzywszy wokół ludzi, dały znów nurka w bór, szukając widocznie in-  
nego wyjścia. Potem dziki, wynurzywszy się z kniei, poczęły biec dłu-  
gim, czarnym łańcuchem przez zaśnieżoną przestrzeń, podobne z dala  
do swojskiej trzody chlewnej, która na wołanie gospodarnej niewiasty  
zdąży, trzęsąc uszyna, ku chacie. Ale łańcuch ów zatrzymywał się,  
słuchał, wietrzył – zawracał i znów słuchał; wyboczył ku sieciom i po-  
czuwszy nawrotników, znów puścił się ku myśliwym, chrapiąc, zbliża-  
jąc się coraz ostrożniej, ale coraz bardziej, póki wreszcie nie rozległ się  
szczęk żelaznych zastawników przy kuszach, warkot grotów i póki  
pierwsza krew nie splamiła białej śnieżystej podścieli.

Wówczas rozległ się okrzyk i stado rozproszyło się, jakby w nie  
piorun uderzył; jedne poszły na oslep przed siebie, drugie rzuciły się ku  
sieciom, inne poczęły biegać to w pojedynkę, to po kilka, mieszając się  
z innym zwierzem, od którego zarojła się tymczasem polana. Już też  
dochodziły wyraźnie do uszu głosy rogów, ujadanie psów i daleki gwar  
ludzi idących w głównej ławie z głębi boru. Mieszkańcy leśni, odpe-

dzani z boków przez rozciągnięte szeroko w puszczy skrzydła otoki, zapełniali coraz szczelniej leśną łąkę. Nic podobnego nie można było zobaczyć nie tylko w krajach zagranicznych, ale nawet i w innych ziemiach polskich, w których nie było już takich puszczy jak na Mazowszu. Krzyżacy, chociaż bywali na Litwie, gdzie czasem zdarzało się, że żubry, uderzając na wojsko, sprawiały w nim zamieszanie\* – dziwili się niepomąłu tej niezmiernej ilości zwierza, a zwłaszcza dziwił się pan de Lorche. Stojąc przy księżnie i dworakach jak żuraw na straży, a nie mogąc się z żadną rozmówić, począł on już był nudzić się. marznąć w swej żelaznej zbroi i mniemać, że łowy chybiły. Aż oto ujrzał przed sobą całe stada lekkonogich sarn, płowych jeleni i łosiów o łbach ciężkich, ukoronowanych, pomieszane z sobą, wichrzące po polanie, oślepięne trwożą i szukające na próżno wyjścia. Księżna, w której na ten widok zagrała Kiejstutowa, ojcowska krew, wypuszczała grot za grottem w ową pstrą ciżbę, pokrzykując z radości za każdym razem, gdy ugodzony jeleń lub łoś wspinał się w pędzie do góry, a następnie walił się ciężko i kopał śnieg nogami. Inne dwórki pochylały też często twarze ku kuszom, albowiem wszystkie ogarnął zapal myśliwski. Jeden tylko Zbyszko nie myślał o łowach, ale wsparłszy łokcie na kolanach Danusi, a głowę na dłoniach, patrzył jej w oczy, ona zaś, na wpół śmiejąca się, na wpół zawstydzona, próbowała mu zamykać palcami powieki, niby nie mogąc takiego wzroku wytrzymać.

Lecz uwagę pana de Lorche zwrócił ogromny, siwy na karku i łopatkach niedźwiedź, który niespodzianie wychynął z szuwarów w pobliżu strzelców. Książę strzelił do niego z kuszy, a następnie wypadł ku niemu z oszczepem i gdy zwierz podniósł się, rycząc okropnie, na zadnie łapy – skłuł go na oczach całego dworu tak sprawnie i szybko, że żaden z dwu „brońców” nie potrzebował użyć topora. Pomyślał tedy młody Lotaryńczyk, że jednak niewielu panów, na dworach których bawił po drodze, ważyłoby się na taką zabawę i że z takimi książętami i z takim ludem ciężką może Zakon mieć kiedyś przeprawę i ciężkie przeżyć godziny. Lecz w dalszym ciągu zobaczył skłute w ten sam sposób przez innych myśliwych srogie, białokływe odyńce, ogromne, daleko większe i zacieklejsze od tych, na które polowano w lasach Niższej Lotaryngii i w puszczech niemieckich. Tak wprawnych i dufnych w siłę dłoni łowców ani też takich uderzeń oszczepem nie widział pan de Lorche nigdzie – co, jako człowiek bywały, tłumaczył sobie tym, że wszyscy ci wśród niezmiernych borów siedzący ludzie przywykają od

dziecięcych lat do kuszy i oszczepu – za czym i do większej w ich użyciu dochodzą od innych biegłości.

Polana usłala się wreszcie gęsto trupami wszelkiego rodzaju zwierząt, lecz łowom daleko jeszcze było do końca. Owszem,

najciekawsza a zarazem najbardziej niebezpieczna ich cłwila miała dopiero nadejść, gdyż otoka wparła właśnie na pustać kilkanaście żubrów i turów. Chociaż w lasach trzymały się one zwykle osobno, szły teraz pomieszane razem, ale bynajmniej nie ośleple z trwogi, raczej groźne niż przerażone. Nie szły też zbyt szybko, jakby pewne w poczuciu okrutnej siły, że złamią wszelkie zapory i przejdą – ziemia jednak zaczęła dudnić pod ich ciężarem. Brodate byki, idące na czele gromady ze łbami nisko nad ziemią, zatrzymywały się chwilami, jakby rozważając, w którą stronę uderzyć. Z potwornych ich płuc wydobywał się głuchy ryk do podziemnego grzmotu podobny, z nozdrzów dymiło parą, a kopiąc śnieg przednimi nogami, zdawały się upatrywać spod grzyw krwawymi oczyma ukrytego nieprzyjaciela.

Tymczasem nawrotnicy podnieśli ogromny krzyk, któremu od strony głównej ławy i od skrzydeł otoki odpowiedziały setki gromkich głosów; zawrzały rogi i piszczałki; zadrzała puszcza aż hen do najdalszych głębin, a jednocześnie wypadły na polanę ze strasznym harmidrem goniące po tropie psy kurpieskie. Widok ich wprawił w mgnieniu oka we wściekłość samice mające przy sobie młode. Idące dotąd z wolna stado rozproszyło się w szalonym pościgu po całej polanie. Jeden z turów, płowy, olbrzymi, niemal potworny byk, ogromem żubry przenoszący, puścił się w ciężkich skokach ku szeregowi strzelców, zawrócił ku prawej stronie polany, po czym, ujrawszy o kilkadziesiąt kroków między drzewami konie, zatrzymał się i hucząc, począł orać nogami ziemię, jakby podniecając się do skoku i walki.

Na ten straszny widok nawrotnicy podnieśli krzyk jeszcze większy, w szeregu zaś myśliwych ozwały się przeraźliwe głosy: „Księżna, księżna! ratujcie panią!” Zbyszko porwał za utkwiony w śniegu oszczep i skoczył na skraj lasu, za nim skoczyło kilku Litwinów gotowych zginać w obronie córki Kiejstuta – a wtem zgrzytnęła w rękach pani kusza, zaświszczał grot i przeleciawszy ponad schylonym łbem zwierzęcia utkwiał w jego karku.

– Dostał! – zawołała księżna – nie pójdzie...

Ale dalsze jej słowa zgłuszył ryk tak straszliwy, że aż konie przysiadły na zadach. Tur rzucił się jak burza wprost na panią, lecz nagle z nie mniejszym pędem wypadł spomiędzy drzew mężny pan de Lorche i

pochylony na koniu, z kopią wyciągniętą jak na rycerskim turnieju, runął wprost na zwierza.

Obecni ujrzeli przez jedno mgnienie oka kopię utkwioną w karku byka, która wnet wygięła się jak pałak i prysła w drobne złamki, za czym olbrzymi rogaty łeb zniknął całkiem pod brzuchem konia pana de Lorche i zanim kto z obecnych zdołał wykrzyknąć, i rumak, i jeździec wylecieli jak z procy w powietrze.

Koń, spadłszy na bok, począł bić w przedśmiertnych drgawkach nogami, oplątując je we własne wyprute trzewia, pan de Lorche leżał w pobliżu bez ruchu, podobny na śniegu do żelaznego klina, tur zaś zdawał się przez chwilę wahać, czy nie pominąć ich i nie uderzyć na inne konie, lecz mając tuż przed sobą te pierwsze ofiary, zwrócił się znów ku nim i jał pastwić się nad nieszczęsnym rumakiem, gniotąc go łbem i orząc z wściekłością rogami jego otwarty brzuch.

Z boru jednakże sygnęli się ludzie na ratunek obcego rycerza, Zbyszko, któremu chodziło o ochronę księżny i Danusi, dobiegł pierwszy i wbił ostrze oszczepu pod łopatkę zwierzęcia. Lecz uderzył z takim rozmachem, że oszczep przy nagłym zwrocie tura pękł mu w rękę, on sam zaś upadł twarzą w śnieg. „Zginał! zginał!” – ozwały się głosy biegnących z pomocą Mazurów. Tymczasem łeb byka pokrył Zbyszka i przycisnął go do ziemi. Od strony księcia już, już nadbiegali dwaj potężni „brońcy” – byliby jednak przybyli za późno, gdyby na szczęście nie uprzedził ich darowany przez Jagienkę Zbyszkowi Czech Hława. Ten dopadł przed nimi i podniósłszy oburącz szeroki topór, ciął w pochylony kark tura tuż za rogami.

Cięcie było tak straszne, że zwierz runął jak gromem rażony z przerażanymi kręgami i łbem niemal do połowy odwalonym;

lecz padając, przygniół Zbyszka. Obaj „brońcy” odciągnęli w mgnieniu oka potworne cielsko, a tymczasem księżna i Danusia, zeskoczywszy z koni, nadbiegły, nieme z przerażenia, do rannego młodzianka.

On zaś blady, cały zalany krwią tura i własną, podniósł się nieco, spróbował wstać, ale zachwiał się, upadł na kolana i wsparłszy się na rękę, zdołał przemówić jedno tylko słowo:

– Danuśka...

Po czym wyrzucił krew ustami i ciemności objęły mu głowę. Danusia chwyciła go przez plecy za ramiona, ale nie mogąc go utrzymać, poczęła krzyczeć o ratunek. Jakoż otoczono go ze wszystkich stron, tarto śniegiem, wlewano wino do ust, wreszcie łowczy Mrokota z Mo-

carzewa rozkazał położyć go na opończy i tamować krew za pomocą miękkich hubek borowych

– Żyw będzie, jeśli jeno ziobra, nie pacierze, ma połamione – rzekł, zwracając się do księżny.

Wszelako inne dwórki zajęły się przy pomocy myśliwców ratunkiem pana de Lorche. Obracano nim na wszystkie strony, szukając na zbroi dziur lub wgłęć uczynionych przez rogi byka, ale prócz śladów śniegu, który wbił się między złożenia blach, nie można było znaleźć innych. Tur mścił się głównie na koniu, który leżał obok już martwy, mając pod brzuchem wszystkie swe wnętrzności, pan de Lorche zaś nie był ugodzon. Omdlał tylko wskutek upadku – i jak się pokazało później, rękę prawą miał ze stawu wybitą. Teraz jednak, gdy zdjęto mu hełm i wiano do ust wina, wnet otworzył oczy, oprzytomniał – i widząc pochylone nad sobą zatroskane twarze dwóch młodych i hożych dwórek, rzekł po niemiecku:

– Pewniem już w raję i aniołowie są nade mną? Dwórki nie zrozumiały wprawdzie tego, co powiedział, ale rade, że ożył i przemówił, poczęły się do niego uśmiechać i przy pomocy myśliwców podniosły go z ziemi, on zaś jęknął, poczuwszy ból w prawej ręce, lewą wsparł się na ramieniu jednego z „aniołów” – i przez chwilę stał nieruchomo, bojąc się kroku postąpić, gdyż nie czuł się pewny w nogach. Za czym powiódł mętnym jeszcze wzrokiem po poboju: ujrzał płowe cielsko tura, które z bliska wydawało się potwornie wielkie, ujrzał łamiącą rękę nad Zbyszkiem Danusiem – i samego Zbyszka na opończy.

– Ten to rycerz przybył mi z pomocą? – zapytał. – Żywy-li?

– Ciężko pobit – odpowiedział jeden z umiejających po niemiecku dworzan.

– Nie z nim, ale za niego będę się odtąd potykał! – rzekł Lotaryńczyk.

Lecz w tej chwili ksiązę, który poprzednio stał nad Zbyszkiem, zbliżył się do niego i począł go wystawiać: że swoim śmiałym postępkim ochronił od srogiego niebezpieczeństwa księżnę i inne niewiasty, a może i życie im ocalił – za co, prócz rycerskich nagród, otoczy go chwała u ludzi, którzy teraz żyją, i u potomnych. – W dzisiejszych zniewieściałych czasach – rzekł – coraz mniej prawych rycerzy jeździ po świecie, bądźcie mi więc gościem jako najdłużej albo i całkiem na Mazowszu ostańcie, gdzie łaskę moją jużście zdobyli, a miłość ludzką również łatwo cnymi uczynkami zdobędziecie!

Rozpływało się od takich słów chciwe na sławę serce pana de Lorchy, gdy zaś pomyślał, że tak przeważnego czynu rycerskiego dokonał i na takie pochwały zarobił w owych dalekich ziemiach polskich, o których tyle dziwnych rzeczy opowiadano na Zachodzie – z radości nie czuł prawie wcale bólu w zwichniętym ramieniu. Rozumiał, że rycerz, który na dworze brabanckim lub burgundzkim będzie mógł opowiedzieć, iż na łowach ocalił życie księżnie mazowieckiej, będzie chodził w chwale jak w słońcu. Pod wpływem tych myśli chciał nawet zaraz iść do księżny i na klęczkach jej wierne służby ślubować, ale i sama pani, i Danusia zajęte były Zbyszkiem. Ów oprzytomniał znowu na chwilę, ale tylko uśmiechnął się do Danusi, podniósł dłoń do pokrytego zimnym potem czoła i zaraz powtórnie omdlał. Doświadczeni łowcy, widząc, jak zawarły się przy tym jego ręce, a usta pozostały otwarte, mówili między sobą, że nie wyżyje, lecz doświadczeni jeszcze Kurpie, z których niejeden nosił na sobie ślady niedźwiedzich pazurów, dzikich kłów lub żubrzych rogów, lepszą czynili nadzieję, twierdząc, że róg tura obsunął się między żebrami rycerza, że może jedno z nich albo dwa są złamane, ale krzyż cały, gdyż inaczej nie mógłby się młody pan ani na chwilę przypodnieść. Pokazywali też, że w miejscu, gdzie upadł Zbyszko, była jakby zaspas śnieżna i to właśnie go ocaliło – albowiem zwierz, przycisnąwszy go międzyrożem, nie podolał zgnieść mu do szczytu piersi ni krzyża.

Nieszczęściem lekarz książęcy, ksiądz Wyszoniek z Dziewanny, nie był na łowach, choć zwykle na nich bywał, albowiem zajęty był tym razem wypiekaniem opłatków we dworze. Skoczył po niego, dowiedziawszy się o tym, Czech, tymczasem jednak ponieśli Kurpie Zbyszka na opończy do książęcego dworu. Danusia chciała iść przy nim piechotą, lecz księżna sprzeciwiła się temu, albowiem droga była daleka i w parowach leśnych leżały już głębokie śniegi, chodziło zaś o pośpiech. Starosta krzyżacki, Hugo de Danveld, pomógł więc dziewczynie sięść na koń, a następnie, jadąc przy niej, tuż za ludźmi, którzy nieśli Zbyszka, rzekł po polsku przyciszonym głosem, tak aby przez nią tylko mógł być słyszany:

– Mam w Szczytnie cudowny balsam gojący, który od pewnego pustelnika w Hercyńskim Lesie dostałem i który mógłbym we trzech dniach sprowadzić.

– Bóg wam wynagrodzi, panie! – odpowiedziała Danusia.

– Bóg zapisuje każdy miłosierny uczynek, ale czy mam i od was spodziewać się zapłaty?

– Jakoż mogę wam zapłacić?

Krzyżak przysunął się bliżej z koniem, widocznie chciał coś mówić, ale się zawahał i dopiero po chwili rzekł:

– W Zakonie, prócz braci, są i siostry... Jedna z nich przywiezie balsam gojący, a wtedy powiem o zapłacie.



## ROZDZIAŁ XXII

Ksiądz Wyszoniek opatrzył rany Zbyszka, uznał, iż tylko jedno żebro jest złamane, ale pierwszego dnia nie ręczył za wyzdrowienie, nie wiedział bowiem, „czy się w chorym nie przekreśliło serce i czy się w nim wątroba nie oberwała”. Pana de Lorche opanowała też pod wieczór niemoc tak wielka, iż musiał się położyć, na drugi dzień zaś nie mógł ni ręką, ni nogą bez wielkiego bólu we wszystkich kościach poruszyć. Księżna i Danusia oraz inne dwórki pilnowały chorych i warzyły dla nich wedle przepisu księdza Wyszońka rozliczne smarowania i driadki. Zbyszko jednakże ciężko był pobity i od czasu do czasu oddawał krew ustami, co wielce niepokoiło księdza Wyszońka. Był jednakże przytomny i na drugi dzień, lubo jeszcze osłabiony bardzo, dowiedziawszy się od Danusi, komu życie zawdzięcza, przywołał swego Czecha, aby mu podziękować i wynagrodzić. Musiał jednak przy tym pomyśleć, że miał go od Jagienki i że gdyby nie jej życzliwe serce, byłby zginął. Myśl ta była mu nawet ciężka, czuł bowiem, że nie wypłaci się nigdy pocziwej dziewczynie dobrem za dobre i że będzie dla niej tylko zmartwień i okrutnego smutku przyczyną. Powiedział sobie wprawdzie zaraz: „Toć się na dwoje nie rozetnę” – ale na dnie duszy został mu jakby wyrzut sumienia, Czech zaś zaognił jeszcze ów wewnętrzny niepokój.

– Przysiągłem mojej panience – rzekł – na włodyczą cześć, że was będę strzegł – to i będę, bez nijakiej nagrody. Jej to, nie mnie, powinniście, panie, za ratunek.

Zbyszko nie odpowiedział, jeno począł oddychać ciężko – a Czech pomilczał przez chwilę, po czym ozwał się znowu:

– Jeślibyście kazali mi skoczyć do Bogdańca, to skoczę. Może byście radzi starego pana ujrzeli, gdyż Bóg to wie, co z wami będzie.

– A co powiada ksiądz Wyszoniek? – zapytał Zbyszko.

– Ksiądz Wyszoniek powiada, że pokaże się to na nowiu, a do nowiu jeszcze cztery dni.

– Hej! to nie trzeba ci do Bogdańca. Albo zamrę przedtem, nim stryk nadąży, albo ozdrowię.

– Posłałibyście choć pismo do Bogdańca. Sanderus czysto wszystko wypisze. Będą przynajmniej o was wiedzieć i bogdaj na mszę dadzą.

– Daj mi teraz spokój, bom słaby. Jeśli zamrę, wrócisz do Zgorzelic i powiesz, jak co było – wtedy dadzą na mszę. A mnie tu pochowają albo w Ciechanowie.

– Chyba że w Ciechanowie albo w Przasnyszu, bo w boru jeno Kurpie się grzebią, nad którymi wilcy wyją. Słyszałem też od służby, że ksiązę za dwa dni razem ze dworem do Ciechanowa, a potem do Warszawy wraca.

– Przecież mnie tu nie ostawią – odrzekł Zbyszko. Jakoż odgadł, bo księżna tegoż dnia jeszcze udała się do księcia z prośbą, aby pozwolił jej zabawić w puszczańskim dworcu wraz z Danusią, z pannami służebnymi i z księdzem Wyszońkiem, który przeciwny był prędkiemu przewożeniu Zbyszka do Przasnysza. Pan de Lorche miał się po dwóch dniach znacznie lepiej i począł wstawać, dowiedziawszy się jednak, że „damy” zostają, pozostał także, aby towarzyszyć im w drodze powrotnej i w razie napadu Saracenów bronić ich od złej przygody. Skąd się mieli wziąć owi Saraceni – tego pytania nie zadawał sobie mężny Lotaryńczyk. Nazywano tak wprawdzie na dalekim Zachodzie Litwinów – od nich jednak nie mogło grozić żadne niebezpieczeństwo córce Kiejstuta, rodzonej siostrze Witolda, a stryjecznej potężnego „króla krakowskiego”, Jagiełły. Ale pan de Lorche zbyt długo bawił między Krzyżaki, aby mimo wszystkiego, co na Mazowszu słyszał i o chrzcie Litwy, i o połączeniu dwu koron na głowie jednego władcy, nie miał przypuszczać, że od Litwinów zawsze wszystkiego złego można się spodziewać. Tak mówili Krzyżacy, a on jeszcze nie całkiem stracił wiarę w ich słowa.

Ale tymczasem zaszedł wypadek, który padł cieniem między gości krzyżackich i księcia Janusza. Na dzień przed wyjazdem dworu przybyli dwaj bracia Gotfryd i Rotgier, którzy byli zostali poprzednio w Ciechanowie, a z nimi przyjechał niejaki pan de Fourcy jako zwiastun niepomyślnej dla Krzyżaków nowiny. Oto zdarzyło się, że goście zagraniczni bawiący u starosty krzyżackiego w Lubawie, a więc on, pan de Fourcy, a dalej pan de Bergow i pan Majneger, obaj z rodzin poprzednio już w Zakonie zasłużonych, nasłuchawszy się wieści o Jurandzie ze Spychowa, nie tylko się ich nie ulękli, ale postanowili wywabić w pole słynnego wojownika, aby przekonać się, czy rzeczywiście jest tak straszny, za jakiego go głoszą. Starosta sprzeciwiał się wprawdzie,

powołując się na pokój między Zakonem a księstwami mazowieckimi, w końcu jednak, może w nadziei, iż uwolni się od groźnego sąsiada, nie tylko postanowił patrzeć przez szpary na wyprawę, ale i knechtów zbrojnych na nią pozwolił. Rycerze posłali wyzwanie Jurandowi, który je skwapliwie przyjął pod warunkiem, że ludzi odprawia, a samotrzeć z nim i dwoma towarzyszami będą się potykali na samej granicy Prus i Spychowa. Gdy jednak nie chcieli ani knechtów odprawić, ani z ziem spychowskich ustąpić, napadł na nich, knechtów wytracił, pana Majnegera sam okrutnie kopią przebódl, a pana de Bergow wziął w niewolę i do piwnic spychowskich wtrącił. De Fourcy jeden się ocalił i po trzechniowym błakaniu się po mazowieckich lasach, dowiedziawszy się od smolarzy, iż w Ciechanowie bawią bracia zakonni, przedarł się do nich, aby razem z nimi zanieść skargę przed majestat księcia, prosić o karę i o rozkaz uwolnienia pana de Bergow.

Wieści te wnet zmałyły dobre stosunki między księciem i gośćmi, gdyż nie tylko dwaj przybyli bracia, ale i Hugo de Danveld, i Zygfryd de Lowe poczęli natarczywie upominać się u księcia, aby raz przecie uczynił sprawiedliwość Zakonowi, uwolnił granicę od drapieżnika i ryczałtem karę za wszystkie winy wymierzył. Szczególniej Hugo de Danveld mający własne dawne rachunki z Jurandem, których wspomnienie piekło go bólem i wstydem – upominał się niemal groźnie o zemstę.

– Pójdzie skarga do wielkiego mistrza – mówił – i jeśli sprawiedliwości od waszej książęcej mości nie uzyskamy, on sam potrafi ją uczynić, choćby za owym zbójem całe Mazowsze stanęło.

Lecz książę, lubo z natury łagodny, rozgniewał się i rzekł:

– Jakiejże to sprawiedliwości się domagacie? Gdyby Jurand pierwszy na was nastąpił, wsie popalił, stada zagarnął i ludzi pobił, pewnie bym go na sąd wezwał i karę mu odmierzył. Ale wasi to sami go naszli. Wasz starosta knechtów na wyprawę pozwolił – a cóże Jurand? Jeszcze wyzwanie przyjął, a tego jeno żądał, by ludzie odeszli. Jakoże mam go za to karać alibo na sąd pozywać? Zaczepiliście straszego męża, którego się wszyscy boją, i dobrowolnie ściągnęliście klęskę na wasze głowy – więc czegoż chcecie? Zali mam mu rozkazać, aby się nie broił, gdy się wam spodoba go najechnąć?

– Nie Zakon go napastował, jeno goście, obcy rycerze – odparł Hugo.

– Za gości Zakon odpowiada, a do tego byli z nimi knechci z lubawskiej załogi.

– Miałże starosta gości jako na rzeź wydać? Na to książę zwrócił się do Zygryda i rzekł:

– Patrzcieże, w co się sprawiedliwość w waszych uścicach obraca i zali wasze wykręty nie obrażają Boga? Lecz surowy Zygryd odrzekł:

– Pan de Bergow musi być z niewoli wypuszczon, albowiem mężowie z jego rodu bywali starszymi w Zakonie i wielkie Krzyżowi oddali usługi.

– A śmierć Majnegera musi być pomszczona – dodał Hugo de Danveld.

Książę, usłyszawszy to, odgarnął na obie strony włosy i wstawszy z ławy, począł iść ku Niemcom z twarzą złowrogą, po chwili jednak wspomniął widocznie, że byli jego gośćmi, więc pohamował się raz jeszcze, położył rękę na ramieniu Zygryda i rzekł:

– Słuchajcie, starosto: krzyż na płaszczu nosicie, więc odpowiedzcie wedle sumienia – na ten krzyż! – praw-li był Jurand czy też nie praw?

– Pan de Bergow musi być z niewoli wypuszczon – odpowiedział Zygryd de Lowe.

Nastała chwila milczenia, po czym książę rzekł:

– Bóg, daj mi cierpliwość.

Zygryd zaś mówił dalej głosem ostrym, do cięć miecza podobnym:

– Ta krzywda, która nas w osobach gości naszych spotkała – to jeno nowa sposobność do skargi. Jak Zakon Zakonem, nigdy, ni w Palestynie, ni w Siedmiogrodzie, ni między dotychczas pogańską Litwą, nie uczynił nam jeden zwykły mąż tyle złego, ile ten zbój ze Spychowa. Wasza Książęca Mość! my sprawiedliwości i kary żądamy nie za jedną krzywdę, ale za tysiąc, nie za jedną bitwę, ale za pięćdziesiąt, nie za krew raz przelaną, ale za całe lata takowych postępków, za które ogień niebieski powinien był spalić to bezbożne gniazdo złości i okrucieństwa. Czyjeż tam jęki wołają o pomstę do Boga? – nasze! Czyje łzy? – nasze! Próżno zanosiliśmy skargi, próżno wołali o sąd. Nigdy nie uczyniono nam zadość!

Usłyszawszy to, książę Janusz począł kiwać głową i odrzekł:

– Hej! nieraz drzewiej Krzyżacy gościli w Spychowie i nie był Jurand waszym wrogiem, póki mu umiłowana niewiasta na waszym powrozie nie skołała. Ale ileż to razy zaczepialiście go sami, chcąc go zgładzić, jako i ninie, za to, że pozywał i zwyciężał waszych rycerzy? Ile razy nasadzaliście na niego zbójców albo biliście do niego z kusz w boru? Następował ci on na was, prawda, bo go piekła zemsta – ale czy-

liż wy lub rycerze, którzy na ziemiach waszych siedzą, nie następowali na spokojnych ludzi na Mazowszu, nie zagarniali stad, nie palili wsiów, nie mordowali mężów, niewiast i dzieci? A gdym się skarżył mistrzowi, to mi odpowiadał z Malborga: „Zwyczajna graniczna swawola!” Dajcie mi spokój! Nie wam przystoi się skarżyć, którzyście chwycili mnie samego, bez broni, w czasie pokoju, na mojej własnej ziemi – i gdyby nie strach przed gniewem króla krakowskiego, to może bym dotychczas w podziemiach waszych jęczał. Tak odpłaciliście się mnie, który z rodu waszych dobrodziejów pochodzę. Dajcie mi spokój, bo nie wam gadać o sprawiedliwości!

Usłyszawszy to, Krzyżacy spojrzeli po sobie niecierpliwie, gdyż przykro i wstyd im było, że ksiązę wspomniął o zajściu pod Złotoryją wobec pana de Fourcy, więc Hugo de Danveld, chcąc położyć koniec dalszej o tym rozmowie, rzekł:

– Z waszą książęcą mością zdarzyła się omyłka, którąśmy nie ze strachu przed królem krakowskim, ale dla sprawiedliwości naprawili, a za graniczną swawolę mistrz nasz nie może odpowiadać, bo ile jest królestw na świecie, wszędy na granicach niespokojne duchy swawolą.

– To sam to gadasz, a sądu na Juranda wołasz. Czegoże chcecie?

– Sprawiedliwości i kary.

Ksiązę zacisnął swe kościste pięści i powtórzył:

– Bóg, daj mi cierpliwość!

– Niech wasz książęcy majestat wspomni też i na to – mówił dalej Danveld – że nasi swywołnicy krzywdzą jeno świeckich i nie należących do niemieckiego plemienia ludzi, wasi zaś przeciw niemieckiemu Zakonowi rękę podnoszą, przez co samego Zbawiciela obrażają. A jakichże mąk i kar dosyć na krzywdzicieli Krzyża?

– Słuchaj! – rzekł ksiązę – Bogiem nie wojuj, bo Go nie oszukasz!

I położywszy ręce na ramionach Krzyżaka, potrząsnął nim silnie, on zaś stropił się zaraz i począł łagodniejszym już głosem:

– Jeśli prawda, że goście pierwsi naszli Juranda i że nie odesłali ludzi, nie pochwałę im tego, ale czy istotnie Jurand przyjął wyzwanie?

To rzekłszy, począł patrzeć na pana de Fourcy, mrugając przy tym nieznacznie oczyma, jakby mu chcąc dać do zrozumienia, żeby zaprzeczył – lecz ów, nie mogąc czy nie chcąc tego uczynić, odrzekł:

– Chciał, byśmy, odesławszy ludzi, samotrzeć się z nim potykali.

– Pewni jesteście?

– Na moją cześć! Ja i de Bergow zgodziliśmy się, ale Majneger nie przystał.

Wtem książę przerwał:

– Starosto ze Szczytna! wy lepiej od innych wiecie, że Jurand nie uchybił wyzwaniu.

Tu zwrócił się do wszystkich i rzekł:

– Który by z was chciał go pozwać na pieszą alibo na konną walkę, daję na to pozwolenstwo. Jeśliby Jurand był zabit lub pojman, pan Bergow wyjdzie bez wykupu z niewoli. Więcej ode mnie nie żądajcie, bo nie wskóracie.

Lecz po tych słowach zapadła cisza głęboka. I Hugo de Danveld, i Zygfyrd de Lowe, i brat Rortgier, i brat Gotfryd, jakkolwiek mężni, zbyt dobrze znali straszego dziedzica Spychowa, by którykolwiek z nich podjął z nim walkę na śmierć i życie. Mógł to uczynić chyba człowiek obcy, pochodzący z dalekich stron, jak de Lorche lub Fourcy, ale de Lorche nie był obecny przy rozmowie, zaś pan de Fourcy nadto pełen był jeszcze wewnętrznego przerażenia.

– Raz go widziałem – mruknął z cicha – i nie chcę widzieć więcej.

Zaś Zygfyrd de Lowe rzekł:

– Zakonnikom nie wolno jest w pojedynczej walce się potykać, chyba za osobnym mistrza i wielkiego marszałka pozwoleniem, ale my tu nie pozwolenstwa na walkę żądamy, jeno by de Bergow był z niewoli wypuszczon, a Jurand na gardle skaran.

– Nie wy prawa w tej ziemi stanowicie.

– Bośmy do tej pory cierpliwie ciężkie sąsiedztwo znosili. Ale mistrz nasz potrafi wymierzyć sprawiedliwość.

– Zasię mistrzowi i wam od Mazowsza!

– Za mistrzem stoją Niemcy i cesarz rzymski.

– A za mną król polski, któremu więcej ziem i narodów podlega.

– Czy wasza książęca mość chce wojny z Zakonem?

– Gdybym chciał wojny, nie czekałbym was na Mazowszu, jeno szedł ku wam, ale i ty mi nie groź, boć się nie boję.

– Cóż mam donieść mistrzowi?

– Wasz mistrz o nic nie pytał. Mów mu, co chcesz.

– Tedy sami wymierzym karę i pomstę.

Na to książę wyciągnął ramię i począł kiwać groźnie palcem przy samej twarzy Krzyżaka.

– Waruj się! – rzekł stłumionym przez gniew głosem – waruj się! Jam ci pozwolił wyzwąć Juranda, ale gdybyś z wojskiem zakonnym wdarł mi się do kraju, tedy na cię uderzę – i więźniem, nie gościem, tu osiedziesz.

I widocznie cierpliwość jego była już wyczerpana, gdyż cisnął ze wszystkich sił czapkę o stół i wyszedł z izby, trzasnąwszy drzwiami. Krzyżacy pobladli ze wściekłości, a pan de Fourcy spoglądał na nich jak błędny.

– Co tedy będzie? – spytał pierwszy brat Rotgier.

A Hugo de Danveld przyskoczył niemal z pięściami do pana de Fourcy.

– Po coś powiedział, że wyście pierwsi naśli Juranda?

– Bo prawda!

– Trzeba ci było zelgać.

– Jam tu przyjechał bić się, nie łgać.

– Tęgo się biłeś – ni słowa!

– A tyś to nie pomykał przed Jurandem do Szczytna?

– *Paxl* – rzekł de Lowe. – Ten rycerz jest gościem Zakonu.

– I wszystko jedno, co rzekł – wtrącił brat Gotfryd. – Bez sądu nie skaraliby Juranda, a na sądzie rzecz by musiała wyjść na wierzch.

– Co tedy będzie – powtórzył brat Rotgier.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym zabrał głos surowy i zawzięty Zygfryd de Lowe.

– Trzeba z tym krwawym psem raz skończyć! – rzekł. – De Bergow musi być z więzów wydobyty. Ściągniem załogi ze Szczytna, z Insburka, z Lubawy, wezwiem chełmińską szlachtę i uderzym na Juranda... Czas z nim skończyć!

Lecz przebiegły Danveld, który umiał każdą rzecz na obie strony rozważyć, założył ręce na głowę, namarszczył się i po namyśle rzekł:

– Bez pozwolenia mistrza nie można.

– Jeśli się uda, to mistrz pochwali! – ozwał się brat Gotfryd.

– A jeśli się nie uda? Jeśli księżę ruszy kopijników i uderzy na nas?

– Jest pokój między nim i Zakonem: nie uderzy!

– Ba! jest pokój, ale my go pierwsi naruszym. Załogi nasze przeciw Mazurom nie wystarczą.

– To mistrz ujmie się za nami i będzie wojna. Danveld znów się namarszczył i zamyślił:

– Nie! nie! – rzekł po chwili. – Jeśli się uda, mistrz będzie w duchu rad... Pójdą posły do księcia, będą układy i ujdzie nam bezkarnie. Ale w razie klęski Zakon nie ujmie się za nami i wojny księciu nie wypowie... Innego by na to trzeba mistrza... Za księciem stoi król polski, a z nim mistrz nie zadrze...

– Wszelako wzięliśmy ziemię dobrzyńską – to widać nie strach nam Krakowa.

– Bo były pozory... Opolczyk... Wzięliśmy niby zastaw, a i to...

Tu obejrzał się naokół i zniżonym głosem dodał:

– Słyszałem w Malborgu, iż gdyby wojną grozili, to byle nam zastaw wrócono – oddamy.

– Ach! – rzekł brat Rotgier – gdyby tu między nami był Markwart Salzbach albo Szomberg, który szczenięta Witoldowe wydusił – ci znaleźliby radę na Juranda. Cóż Witold! namiestnik Jagiełłów! Wielki kniaź, a pomimo tego Szombergowi nic... Wydusił Witoldowi dzieci – i nic mu!... Zaprawdę, brak między nami ludzi, którzy na wszystko potrafią znaleźć sposób...

Usłyszawszy to, Hugo de Danveld wsparł łokcie na stole, głowę na rękach i na długi czas zatopił się w rozmyślaniu. Nagle rozjaśniły mu się oczy, obtarł wedle zwyczaju wierzchem dłoni wilgotne, grube wargi i rzekł:

– Błogosławiona niech będzie chwila, w której wspomnieliście, pobożny bracie, imię mężnego brata Szomberga.

– Czemu tak? Zaliście coś obmyślili? – spytał Zygfryd de Lowe.

– Mówcie żywo! – zawołali bracia Rotgier i Gotfryd.

– Słuchajcie – rzekł Hugo. – Jurand ma tu córkę, jedyne dziecko, którą jako żrenicę oka miłuje.

– Ma! znamy ją. Miłuje ją i księżna Anna Danuta.

– Tak. Otóż słuchajcie, gdybyście porwali tę dziewczkę, Jurand oddałby za nią nie tylko Bergowa, ale wszystkich jeńców, siebie samego i Spychów w dodatku!

– Na krew świętego Bonifacego przelaną w Dochum! – zawołał brat Gotfryd – byłoby tak, jak mówicie!

Po czym zamilkli, jakby przestraszeni śmiałością i trudnościami przedsięwzięcia. Dopiero po chwili brat Rotgier zwrócił się do Zygfyryda de Lowe:

– Rozum wasz i doświadczenie – rzekł – równe są męstwu; co tedy o tym mniemacie?

– Mniemam, że sprawa warta rozważenia.

– Bo – mówił dalej Rotgier – dziewczka jest przyboczną księżny – ba, więcej, gdyż prawie córką umiłowaną. Pomyślcie, pobożni bracia, jaki powstanie hałas.

A Hugo de Danveld począł się śmiać.



– Samiście mówili – rzekł – że Szomberg wytruł czy też wyduślił Witoldowe szczenięta – i cóż mu za to? Hałas oni z byle przyczyny podnoszą, ale gdybyśmy posłali mistrzowi Juranda na łańcuchu, czeka nas pewnie nagroda niż kara.

– Tak – ozwał się de Lówe – sposobność do najazdu jest. Książę wyjeżdża, Anna Danuta zostaje tu jeno z dworskimi dziewczki. Jednakże najazd na dwór książęcy w czasie pokoju – nie byle sprawa. Dwór książęcy – nie Spychów. To znów jak w Złotoryi! Znów pójdą skargi do wszystkich królestw i do papieża na gwałty Zakonu; znów odezwie się z groźbą przeklęty Jagiełło, a mistrz – znacie go przecie: rad on uchwycić, co się da chwycić, ale wojny z Jagiełłą nie chce... Tak! krzyk się podniesie we wszystkich ziemiach Mazowsza i Polski.

– A tymczasem kości Juranda zbieleją na haku – odparł brat Hugo. – Kto wreszcie mówi wam, by ją tu z dworca spod boku księżny porwać?

– Przecie nie z Ciechanowa, gdzie prócz szlachty jest trzystu łuczników.

– Nie. Ale zali Jurand nie może zachorzeć i przysłać ludzi po dziewczkę? Nie wzbroni jej wtedy księżna jechać, a jeśli dziewczka w drodze przepadnie, kto powie wam lub mnie: „Tyś ją porwał!”

– Ba! – odrzekł zniecierpliwiony de Lowe – sprawcie, by Jurand zachorzał i dziewczkę wezwał...

Na to uśmiechnął się z tryumfem Hugo i odrzekł:

– Mam ci ja u siebie złotnika, który z Malborga za złodziejstwo wypędzon w Szczytnie osiadł i który każdą pieczęć wyciąć potrafi; mam i ludzi, którzy, choć nasi poddani, z mazurskiego narodu pochodzą... Zali mnie jeszcze nie rozumiecie?...

– Rozumiem! – zawołał z zapalem brat Gotfryd. A Rotgier podniósł dłonie do góry i rzekł:

– Niech ci Bóg szczęści, pobożny bracie, bo ni Markwart Salzbach, ni Szomberg nie znaleźliby lepszego sposobu.

Po czym przymrużył oczy, jakby chciał dojrzeć coś dalekiego.

– Widzę Juranda – rzekł – jako z powrozem na szyi stoi przy Gdańskiej bramie w Malborgu i jako kopią go nogami knechty nasze...

– A dziewczka zostanie służką Zakonu – dodał Hugo. Usłyszawszy to, de Lówe zwrócił oczy na Danvelda, on zaś uderzył się znów wierzchem dłoni w usta i rzekł:

– A teraz do Szczytna nam jak najprędzej!

## ROZDZIAŁ XXIII

Jednakże przed wyruszeniem do Szczytna czterej bracia i de Fourcy przyszli jeszcze pożegnać się z księciem i księżną. Było to pożegnanie niezbyt przyjazne, wszelako księżę, nie chcąc, wedle starego polskiego obyczaju, wypuszczać gości z domu z próżnymi rękoma, podarował każdemu z braci piękny błam kuni i po grzywnie srebra, oni zaś przyjęli z radością, zapewniając, że jako zakonnicy zaprzysiężeni na ubóstwo nie zatrzymają tych pieniędzy dla siebie, ale rozdadzą je ubogim, którym zarazem polecą się modlić za zdrowie, sławę i przyszłe zbawienie księcia. Uśmiechali się pod wąsem z tych zapewnień Mazurowie, albowiem dobrze znana im była chciwość zakonna, a jeszcze lepiej kłamstwa Krzyżaków. Powtarzano na Mazowszu, że „jako tchórz cuchnie, tak Krzyżak łże”. Księżę też jeno machnął ręką na podobną podziękę, a po ich wyjściu rzekł, iż rakiem chyba pojechałby do nieba za przyczyną modlitw krzyżackich.

Lecz przedtem jeszcze, przy pożegnaniu się z księżną, w chwili gdy Zygfryd de Lowe całował jej rękę, Hugo von Danveld zbliżył się do Danusi, położył dłoń na jej głowie i głaszcząc ją, rzekł:

– Nam przykazano dobrem za złe płacić i miłować nawet nieprzyjaciół naszych, więc przyjedzie tu siostra zakonna i przywiezie wam, panienko, gojący balsam hercyński.

– Jakoże mam wam podziękować, panie? – odpowiedziała Danusia.

– Bądźcie przyjaciółką Zakonu i zakonników. Zauważył tę rozmowę de Fourcy, a że uderzyła go przy tym uroda dziewczyny, więc gdy już ruszyli ku Szczytnu, zapytał:

– Co to za piękna dwórka, z którą rozmawialiście na odjezdnym?

– Córka Juranda! – odpowiedział Krzyżak. A pan de Fourcy zdziwił się.

– Ta, którą macie pochwycić?

– Ta. A gdy ją pochwycim, Jurand nasz.

– Nie wszystko widać złe, co od Juranda pochodzi. Warto być stróżem takiego jeńca.

– Myślicie, że łatwiej by było wojować z nią niż z Jurandem?

– To znaczy, że myślę tak samo jak i wy. Ojciec wróg Zakonu, a do córki mówiliście miodem smarowane słowa i w dodatku obiecaliście jej balsam.

Hugo de Danveld uczył widocznie potrzebę uprawiedliwienia się kilkoma słowy.

– Obiecałem jej balsam – rzekł – dla tego młodego rycerza, który od tura pobit i z którym, jako wiecie, jest zmówiona. Jeśli podniosą krzyk po pochwyceniu dziewczki, powiemy, żeśmy nie tylko nie chcieli jej krzywdy, aleśmy jej jeszcze leki przez chrześcijańskie miłosierdzie posyłali.

– Dobrze – rzekł de Lowe. – Trzeba jeno posłać kogoś pewnego.

– Poślę jedną pobożną niewiastę, całkiem Zakonowi oddaną. Przykażę jej patrzeć i słuchać. Gdy ludzie nasi niby od Juranda przybędą, znajdą gotowe porozumienie...

– Takich ludzi trudno będzie dobrać.

– Nie. Naród u nas mówi tym samym językiem. Są też w mieście, ba! nawet między knechtami w załodze, ludzie, którzy prawem ściągani z Mazowsza zbiegli – zbóje, złodzieje – prawda, ale żadnej trwogi nie znający i na wszystko gotowi. Tym obiecę, jeśli wskórają, wielkie nagrody, jeśli nie wskórają – powróż.

– Ba! a nuż zdradzą?

– Nie zdradzą, bo na Mazowszu każdy dawno na łamanie kołem zarobił i nad każdym wyrok cięży. Trzeba im tylko dać ochędożne szaty, aby ich za prawych Jurandowych pachółków poczytano – i główna rzecz: list z pieczęcią od Juranda.

– Należy wszystko przewidzieć – rzekł brat Rotgier. – Jurand po ostatniej bitwie zechce może zobaczyć księcia, aby się na nas poskarżyć, a siebie usprawiedliwić. Będąc w Ciechanowie, zajedzie do córki, do leśnego dworca. Może się wtedy przygodzić, że nasi ludzie, przybywszy po Jurandównę, natkną się na samego Juranda.

– Ci ludzie, których wybiorę, są szelmy kute na cztery nogi. Będą oni wiedzieć, że jeśli się natkną na Juranda, pójdą na haki. Ich głowa w tym, żeby się nie spotkali.

– Jednak może się zdarzyć, że ich pochwyca.

– Tedy wyprzemy się i ich, i listu. Kto nam dowiedzie, że to myśmy ich wysłali? Wreszcie: nie będzie porwania, nie będzie krzyku, a że kilku wisielców Mazury poćwiertują, nie stanie się przez to szkoda dla Zakonu.

A brat Gotfryd, najmłodszy między zakonnikami, rzekł:

– Nie rozumiem tej waszej polityki ani tej waszej bojaźni, aby się nie wydało, że dziewczka z naszego nakazu porwana. Mając ją raz w ręku, musimy przecie posłać kogoś do Juranda i powiedzieć mu: „Twoja córka jest u nas – chcesz-li, by odzyskała wolność, oddaj za nią de Bergowa i siebie samego...” Jakże inaczej?... Ale wtedy będzie wiadomo, że to my nakazaliśmy dziewczynę pochwycić.

– Prawda! – rzekł pan de Fourcy, któremu niezbyt przypadła do smaku cała sprawa. – Po co ukrywać to, co musi się wydać.

A Hugo de Danveld począł się śmiać i zwróciwszy się do brata Gotfryda, zapytał:

– Jak dawno nosicie biały płaszcz?

– Skończy się sześć lat na pierwszą niedzielę po Świętej Trójcy.

– Jak go przenosicie jeszcze sześć, będziecie lepiej rozumieli sprawy Zakonu. Jurand zna nas lepiej niż wy. Powie mu się tak: „Twojej córki pilnuje brat Szomberg i jeśli słowo piśniesz –to wspomnij na dzieci Witolda...”

– A później?

– Później de Bergow będzie wolny, a Zakon będzie także uwolnion od Juranda.

– Nie! – zawołał brat Rotgier – wszystko jest tak rozumnie pomyślane, że Bóg powinien pobłogosławić naszemu przedsięwzięciu.

– Bóg błogosławi wszelkim czynkom mającym na celu dobro Zakonu – rzekł posepny Zygfryd de Lowe.

I jechali dalej w milczeniu – a przed nimi na dwa lub trzy strzelania z kuszy szły ich poczty, aby torować drogę, która stała się kopna, albowiem w nocy spadł śnieg obfity. Na drzewach leżała bogata okiść, dzień był chmurny, ale ciepły, tak że z koni podnosił się opar. Z lasów ku ludzkim siedliskom leciały stada wron, napełniając powietrze posepnym krakaniem.

Pan de Fourcy pozostał nieco za Krzyżakami i jechał w głębokim zamyśleniu. Był on od kilku lat gościem Zakonu, brał udział w wyprawach na Żmujdź, gdzie odznaczył się wielkim męstwem i podejmowany wszędy tak, jak tylko Krzyżacy umieli podejmować rycerzy z dalekich stron, przywiązał się do nich mocno, a nie mając własnej fortuny, zamierzał wstąpić w ich szeregi. Tymczasem to przesiadywał w Malborgu, to odwiedzał znajome komandorie, szukając w podróży rozrywki i przygód. Przybywszy świeżo do Lubawy wraz z bogatym de Bergowem i zasłyszawszy o Jurandzie, począł płonąć żądzą zmierzenia się z mężem, którego otaczała groza powszechna. Przybycie Majnege-

ra, który ze wszystkich walk wychodził zwycięzcą, przyspieszyło wyprawę. Komtur z Lubawy dał na nią ludzi; naopowiadał jednak tyle trzem rycerzom nie tylko o okrucieństwie, ale o podstępach i wiarołomstwie Juranda, iż gdy ów zażądał, by odprawili żołnierzy, nie chcieli się na to zgodzić, bojąc się, że gdy to uczynią, otoczy ich, wytraci lub wtrąci do piwnic spychowskich. Wówczas Jurand, mniemając, że chodzi im nie tylko o walkę rycerską, ale i o grabież, uderzył na nich wstępnym bojem i zadał im klęskę okrutną.

De Fourcy widział Bergowa obalonego wraz z koniem, widział Majnegera z odłamek włóczni w brzuchu, widział ludzi próżno błagających o litość. Sam ledwo zdołał się przebić – i kilka dni tułał się po drogach i lasach, gdzie byłby zmarł z głodu lub stał się łupem dzikiego zwierza, gdyby wypadkiem nie dostał się do Ciechanowa, w którym znalazł braci Gotfryda i Rotgiera. Z całej wyprawy wyniósł uczucie upokorzenia, wstydu, nienawiści, zemsty i żalu za Bergowem, który był mu bliskim przyjacielem. Toteż z całej duszy przyłączył się do skargi zakonnych rycerzy, gdy domagali się kary i wolności dla nieszczęsnego towarzysza, a gdy ta skarga pozostała bezowocną – w pierwszej chwili gotów był zgodzić się na wszystkie środki, które wiodły do zemsty nad Jurandem. Teraz jednak ozwały się w nim nagle skrupuły. Przysłuchując się rozmowom zakonników, a zwłaszcza temu, co mówił Hugo de Danveld, niejednokrotnie nie mógł oprzeć się zdziwieniu. Poznawszy bliżej w ciągu kilku lat Krzyżaków, widział już wprawdzie, że nie są oni tacy, za jakich przedstawiają ich w Niemczech i na Zachodzie. W Malborgu poznał jednakże kilku prawych i surowych rycerzy; ci sami często rozwodzili skargi nad zepsuciem braci, nad ich rozpustą, brakiem karność – i de Fourcy czuł, że mają słuszość, ale sam będąc rozpustnym i niekarnym, nie brał zbyt za złe innym tych wad, zwłaszcza że wszyscy rycerze zakonni nagradzali je męstwem. Widział ich przecie pod Wilnem uderzających pierś o pierś polskich rycerzy, przy zdobywaniu zamków bronionych z nadludzką uporczywością przez posiłkowe polskie załogi; widział ich ginących pod ciosami toporów i mieczów, w szturmach ogólnych lub w pojedynczych walkach. Byli nieubłagani i okrutni dla Litwy, ale byli zarazem jako lwy – i chodzili w chwale jak w słońcu. Teraz jednak wydało się panu de Fourcy, że Hugo de Danveld mówi takie rzeczy i podaje takie sposoby, na które wzdrygnąć się powinna dusza w każdym rycerzu – a zaś inni bracia nie tylko nie powstają na niego z gniewem, ale przytakują każdemu jego słowu. Więc zdziwienie ogarniało go coraz

większe i wreszcie zadumał się głęboko, czy mu przystoi do takich uczynków rękę przykładać.

Gdyby bowiem chodziło tylko o porwanie dziewczyny, a następnie o wymienienie jej za Bergowa, byłby się może na to zgodził, chociaż poruszyła go i ujęła za serce uroda Danusi. Gdyby przyszło mu być jej stróżem, nie miałby także nic przeciwko temu, a nawet nie był pewien, czyby z rąk jego wyszła taką, jaką w nie wpadła. Ale Krzyżakom szło widocznie o co innego. Oni przez nią chcieli dostać wraz z Bergowem i samego Juranda – obiecać mu, że ją wypuszczą, jeśli się za nią odda, a potem zamordować go, a z nim razem, dla ukrycia oszustwa i zbrodni – zapewne i dziewczynę. Wszakże już grozili jej losem dzieci Witoldowych na wypadek, gdyby Jurand śmiał się skarżyć. „Niczego nie chcą dotrzymać – oboje oszukać i oboje zgładzić – rzekł sobie de Fourcy – a przecie krzyż noszą i czci więcej od innych przestrzegać winni”. – I burzyła się w nim dusza co chwila mocniej na taką bezczelność, ale postanowił jeszcze sprawdzić, o ile jego podejrzenia są słuszne – więc podjechał znów do Danvelda i zapytał:

– A jeśli Jurand się wam odda, czy wypuścicie dziewczkę?

– Gdybyśmy ją wypuścili, cały świat wnet by wiedział, że to my chwyciliśmy oboje – odrzekł Danveld.

– Ba, cóż z nią uczynicie?

Na to Danveld pochylił się ku mówiącemu i ukazał w uśmiechu swe spróchniałe zęby spod grubych warg.

– O co pytacie? Czy o to, co uczynimy z nią *przedtem*, czy o to, co *potem*?

Lecz Fourcy, wiedząc już, co chciał wiedzieć, zamilkł – przez chwilę jeszcze zdawał się walczyć z sobą, a następnie podniósł się nieco na strzemionach i rzekł tak głośno, aby go wszyscy czterej zakonnicy usłyszeli:

– Pobożny brat Ulryk von Jungingen, który jest wzorem i ozdobą rycerstwa, rzekł mi raz tak: „Jeszcze między starymi w Malborgu znajdziesz godnych Krzyża rycerzy, ale ci, którzy na pogranicznych komandoriach siedzą, zakałę jeno Zakonowi przynoszą”.

– Wszyscyśmy grzeszni, ale Panu naszemu służymy – odrzekł Hugo.

– Gdzie wasza rycerska cześć? Nie przez haniebne uczynki Panu się służy – chyba że nie Zbawicielowi służycie. Któż to wasz Pan? Wiedziecie przeto, że nie tylko do niczego ręki nie przyłożę, ale i wam nie pozwolę...

– Na co nie pozwolicie?

– Na podstęp, na zdradę, na hańbę.

– A jakoże możecie nam zabronić? W bitwie z Jurandem postradałście poczet i wozy. Żyć musicie tylko z łaski Zakonu – i z głodu zamrzecie, jeśli wam kawałek chleba nie rzucim. A w dodatku: wyście jeden, nas czterech – jakoże nie pozwolicie?

– Jako nie pozwolę? – powtórzył Fourcy. – Mogę nawrócić do dworca i ostrzec księcia, mogę przed całym światem wasze zamiary rozgłosić.

Na to spojrzeli po sobie bracia zakonni i twarze zmieniły im się w okamgnieniu. Szczególniej Hugo de Danveld popatrzył przez długą chwilę pytającym wzrokiem w oczy Zygryda de Lowe, po czym zaś zwrócił się do pana de Fourcy:

– Przodkowie wasi – rzekł – służywali już w Zakonie – i wy chcecie do niego wstąpić, ale my zdrajców nie przyjmujem.

– Ja zaś nie chcę ze zdrajcami służyć.

– Ejże! nie spełnicie waszej groźby. Wiecie, że Zakon umie karać nie tylko zakonników...

A de Fourcy, którego podnieciły te słowa, wy dobył miecz, lewą ręką schwycił za ostrze, prawą dłoń położył na rękojeści i rzekł...

– Na tę rękojmię mającą kształt krzyża, na głowę świętego Dionizego, mego patrona, i na moją rycerską cześć ostrzegę księcia mazowieckiego i mistrza.

Hugo de Danveld znów popatrzył pytającym wzrokiem na Zygryda de Lowe, a ów przymknął powieki, jakby dając znak, że się na coś zgadza.

Wówczas Danveld ozwał się jakimś dziwnie głuchym i zmienionym głosem:

– Święty Dionizy mógł nieść pod pachą swą uciętą głowę, ale gdy wasza raz spadnie...

– Grozicie mi? – przerwał de Fourcy.

– Nie, jeno zabijam! – odpowiedział Danveld. I pchnął go nożem w bok z taką siłą, że aż ostrze schowało się w ciele po krzyżyk. De Fourcy zawrzasnął strasznym głosem, przez chwilę usiłował chwycić prawą ręką miecz, który poprzednio trzymał w lewej, ale upuścił go na ziemię, w tym samym zaś czasie pozostali trzej bracia poczęli go żgać bez litości nożami w szyję, w plecy, w brzuch, dopóki nie spadł z konia.

Po czym nastąpiło milczenie. De Fourcy, krwawiąc okropnie z kilkunastu ran, drgał na śniegu i darł go powykrzywianymi przez konwulsje palcami. Spod ołowianego nieba dochodziło

tylko krakanie wron lecących z głuchych puszczy ku ludzkim siedliskom.

A następnie poczęła się śpieszna rozmowa morderców:

– Ludzie nic nie widzieli! – rzekł zdyszczanym głosem Danveld.

– Nic. Poczty są na przedzie; nie widać ich – odparł Lowe.

– Słuchajcie: będzie powód do nowej skargi. Rozgłosim, że mazowieccy rycerze napadli na nas i zabili nam towarzysza. Podniosiem krzyk – aż go w Malborgu usłyszą, że nawet na gości księżę nasadza morderców. Słuchajcie! należy mówić, iż Janusz nie tylko nie chciał wysłuchać naszych skarg na Juranda, ale kazał zamordować skarżyciela.

De Fourcy przewrócił się tymczasem w ostatniej konwulsji

na wznak i leżał nieruchomy, z krwawą pianą na ustach i z przerażeniem w martwych już, szeroko otwartych oczach. Brat Rotgier popatrzył na niego i rzekł:

– Uważcie, pobożni bracia, jako Bóg karze sam zamiar zdrady.

– Cośmy uczynili, uczyniliśmy dla dobra Zakonu – odrzekł Gotfryd. – Chwała tym...

Lecz przerwał, bo w tej samej chwili z tyłu za nimi, na zakręcie śnieżnej drogi, ukazał się jakiś jeździec, który pędził co koń wyskoczy. Ujrawszy go, Hugo de Danveld zawołał prędko:

– Ktokolwiek ten człowiek jest – musi zginąć.

A de Lowe, który, lubo najstarszy między braćmi, miał wzrok nadzwyczaj bystry, rzekł:

– Poznaję go: to ów giermek, który tura toporem zabił. Tak jest: to on!

– Pochowajcie noże, aby się nie spłoszył – mówił Danveld. – Ja znów pierwszy uderzę, wy za mną.

Tymczasem Czech dojechał i o dziesięć lub ośm kroków zapał konia w śnieg. Dojrzał trupa w kałuży krwi, konia bez jeźdźcy i zdumienie odbiło mu się na twarzy, ale trwało tylko przez jedno mgnienie oka. Po chwili zwrócił się do braci, tak jakby nic nie widział, i rzekł:

– Czołem, mężni rycerze!

– Poznaliśmy cię – odpowiedział, zbliżając się z wolna Danveld. – Masz-li co do nas?



– Wysłał mnie rycerz Zbyszko z Bogdańca, za którym kopię noszę, a który od tura na łowach pobit sam nie mógł ku wam.

– Czego chce od nas twój pan?

– Za to, żeście niesłusznie Juranda ze Spychowa oskarżyli z ujmą dla jego rycerskiej czci, pan mój każe wam powiedzieć, iżeście nie jako prawi rycerze czynili, ale jako psi szczekali; a któren by był krzyw o te słowa, tego pozywa na walkę pieszą alibo konną, aż do ostatniego tchu, do której stanie, gdzie mu wskażecie, gdy tylko za łaską i zmiłowaniem Bożym dzisiejsza krzypota go popuści.

– Powiedz panu swemu, że rycerze zakonni obelgi cierpliwie

dla imienia Zbawiciela znoszą, zasię do walki bez osobliwego pozwolenstwa mistrza albo wielkiego marszałka stawać nie mogą, o które to pozwolenstwo jednakże będziem do Malborga pisali.

Czech znów spojrział na trupa pana de Fourcy, albowiem do niego to głównie był posłany. Zbyszko wiedział już przecie, że zakonnicy do pojedynków nie stają, zasłyszawszy jednak, że był między nimi rycerz świecki, jego szczególnie chciał pozwać, sądząc, że tym sobie ujmie i zjedna Juranda. Tymczasem rycerz ów leżał oto teraz zarżnięty jak wół między czterema Krzyżakami.

Czech nie zrozumiał wprawdzie, co zaszło, ale ponieważ był od dziecka ze wszelkimi niebezpieczeństwami oswojony, więc zwietrzył jakieś niebezpieczeństwo. Zdziwiło go też i to, że Danveld, mówiąc z nim, zbliżał się coraz bardziej ku niemu, inni zaś poczęli zjeżdżać na boki, jakby go chcieli nieznacznie okrążyć. Z tych powodów począł się mieć na baczności, zwłaszcza że nie miał przy sobie broni, bo jej w pośpiechu wziąć nie zdążył.

A Danveld tymczasem był tuż i mówił dalej:

– Obiecałem twemu panu balsam gojący, więc źle mi się za uczynność wypłaca. Zwykła to zresztą u Polaków rzecz... ale że ciężko jest pobit i wkrótce przed Bogiem może stanąć, więc powiedz mu...

Tu wsparł lewą dłoń na ramieniu Czecha.

– Więc powiedz mu, że ja, ot, jak odpowiadam!... I w tej samej chwili błysnął nożem przy gardle giermka. Lecz nim zdołał pchnąć, Czech, który już od dawna śledził jego ruchy, chwycił go swymi żelaznymi rękoma za prawicę, wygiął ją, zakręcił, aż chrupnęły stawy i kości – i dopiero usłyszawszy okropny ryk bólu, wspiał konia – i pomknął jak strzała, zanim inni zdołali mu zastąpić.

Bracia Rotgier i Gotfryd poczęli go gonić, ale wnet wrócili, przerażeni strasznym krzykiem Danvelda. De Lowe podtrzymywał go pod

ramiona, on zaś z twarzą bladą i zarazem zsiniałą krzychał tak, że aż pocztowi, jadący przy wozach znacznie na przedzie, wstrzymali konie.

– Co wam jest? – pytali bracia.

Lecz de Lowe kazał im jechać co siłą, sprowadzić wóz, albowiem Danveld widocznie nie mógł się na kulbace utrzymać. Po chwili zimny pot okrył mu czoło i zemdlał.

Po sprowadzeniu wozu ułożono go na słomie i ruszono ku granicy. De Lowe pilił, albowiem rozumiał, że po tym, co zaszło, nie można czasu tracić nawet dla opatrunku Danvelda. Siadłszy przy nim na wozie, wycierał od czasu do czasu śniegiem jego twarz, ale nie mógł przywrócić mu przytomności.

Dopiero w pobliżu granicy Danveld otworzył oczy i począł obziierać się jakby ze zdziwieniem dokoła.

– Jak wam jest? – spytał Lowe.

– Nie czuję bólu, ale nie czuję i ręki – odrzekł Danveld.

– Bo wam już zdrętwiała – dlatego i ból minął. W cieplej izbie wróci. Tymczasem podziękujcie Bogu i za chwilę ulgi. A Rotgier i Gotfryd zbliżyli się zaraz do wozu.

– Stało się nieszczęście – rzekł pierwszy – co teraz będzie?

– Powiemy – odparł słabym głosem Danveld – że giermek zamordował de Fourcy'ego.

– Nowa ich zbrodnia i winowajca wiadomy! – dodał Rotgier.

## ROZDZIAŁ XXIV

Czech tymczasem poleciał jednym pędem wprost do leśnego dworca i zastawszy jeszcze w nim księcia, opowiedział jemu pierwszemu, co się stało. Na szczęście, znaleźli się dworzanie, którzy widzieli, że giermek wyjechał bez broni. Jeden z nich krzyknął mu był nawet na drogę półzartem, aby wziął jakie żelaziwo, bo inaczej Niemcy go pokolaczą, ów jednak, bojąc się, aby rycerze nie przejechali tymczasem granicy, skoczył na konia tak jak stał, w kozuchu tylko, i pognął za nimi. Świadectwa te rozproszyły wszelkie wątpliwości księcia co do tego, kto mógł być zabójcą de Fourcy'ego, ale napełniły go niepokojem i gniewem tak wielkim, że w pierwszej chwili chciał wysłać pościg za Krzyżakami, aby ich w łańcuchach odesłać wielkiemu mistrzowi na ukaranie. Po chwili jednak sam zmiarkował, że pościg nie zdołałby już dosięgnąć rycerzy przed granicą, i rzekł:

– Wysłę wszelako pismo do mistrza, aby zasię wiedział, co oni tu wyrabiają. Złe się poczyna dzieć w Zakonie, bo drzewiej posłuch był okrutny, a teraz byle komtur na swoją rękę poczyna. Dopust Boży, ale za dopustem idzie kara.

Po czym zamyślił się, a po chwili znów począł mówić do dworzan:

– Tego jeno nie mogłem nijak wyrozumieć, po co oni gościa zabili – i żeby nie to, że pacholek bez broni pojechał, miałbym na niego posadzenie.

– Ba – rzekł ksiądz Wyszoniek – a po cóż by go pacholek miał zabić, którego go przedtem nigdy nie widział, a po drugie, choćby i miał broń. jakże mu było jednemu na pięciu uderzyć – i na ich poczty zbrojne.

– Jużci prawda – rzekł książę. – Musiał się im ów gość w czym przeciwieć albo może nie chciał tak łgać, jako im było trzeba, bom i to już widział, że mrugali na niego, aby powiedział, że Jurand pierwszy zaczął.

A Mrokota z Mocarzewa rzekł:

– Chwacki to pacholek, jeśli on temu psu Danveldowi rękę pokruszył.

– Powiada, że słyszał, jak w Niemcu gnaty chrupnęły – odpowiedział książę – i miarkując z tego, jako się w boru popisał – może to być!

Widać i sługa, i pan sierdzite chłopcy. Żeby nie Zbyszko, byłby się tur na konie rzucił. I Lotaryńczyk, i on wielce się do zratowania księżnej przyczynili...

– Pewnie, że sierdzity chłop – przywodził ksiądz Wyszoniak. – Ot i teraz, ledwie dycha, a jednak się za Jurandem ujął i tamtych pozwał... Takiego właśnie Jurandowi trzeba zięcia.

– Coś ta Jurand inaczej w Krakowie gadał, ale teraz myślę, że się nie przeciw! – rzekł książę.

– Pan Jezus to sprawi – ozwała się księżna, która wszedłszy właśnie w tej chwili, usłyszała koniec rozmowy. – Nie może się Jurand teraz przeciwzić, byleby Bóg Zbyszkowi zdrowie powrócił. Ale i z naszej strony musi być też nagroda.

– Najlepsza dla niego nagroda będzie Danuśka, a ja też myślę, że ją dostanie, a to przez tę przyczynę, że jak się baby na co zawezmą, to przeciw nim i taki Jurand nie poradzi.

– Albo nie po sprawiedliwości się zawzięłam? – zapytała księżna. – Żeby Zbyszko był płochy, to nie mówię, ale wierniejszego chyba na świecie nie ma. I dziewczyna też. Krokiem teraz od niego nie odstąpi – i po gębie go gładzi, a on się do niej w boleści śmieje. A że mi samej czasem służy z oczu pociekną! Sprawiedliwie mówię!... Takiemu kochaniu warto pomóc, bo i Matka Boska rada na szczęśliwość ludzką patrzy.

– Byle była wola boska – rzekł książę – to i szczęśliwość się zdarzy. Ale co prawda, to mało mu przez tę dziewczynę głowy nie ucieli, a teraz znowu tur go starmosił.

– Nie powiadaj, że „przez nią”! – zawołała żywo księżna – boć nie kto inny, Jeno Danuśka go w Krakowie zratowała.

– Prawda. Ale żeby nie ona, nie byłby w Lichtensteina bił, aby mu pióra ze łba zedrzeć, a za Lorchego toż by karku tak ochotnie nie nadstawił. Co zasię do nagrody, to rzekłem już, że im obum się należy, i w Ciechanowie ją obmyślę.

– Niczego by Zbyszko tak rad nie widział jak rycerskiego pasa i złotych ostróg.

Książę uśmiechnął się na to dobrotliwie i odrzekł:

– To niechże mu je dziewczyna poniesie, a gdy krzypota go popuści, wówczas dopilnujem, aby wszystko wedle zwykłego obyczaju się odbyło. Niech mu wnet poniesie, bo prędka radość najlepsza!

Księżna, usłyszawszy to, uściskała pana wobec dworzan, potem ucałowała kilkakrotnie jego ręce, on zaś uśmiechał się wciąż, a wreszcie rzekł:

– Widzicie... No! dobra ci rzecz do głowy przyszła! Że też to Duch Święty i niewiastom krzyny rozumu nie poskapił! Zawołajże teraz dziewczynę.

– Danuśka! Danuśka! – zawołała księżna.

I po chwili we drzwiach bocznej komory ukazała się Danusia, z zaczerwienionymi od bezsenności oczyma i z dwojakami w ręku, pełnymi dymiącej kaszy, którą ksiądz Wyszoniek okładał potłuczone kości Zbyszka, a którą stara dworka właśnie przed chwilą jej oddała.

– Pójdźże tu jeno do mnie, sierotko! – rzekł książę Janusz. – Postaw dwojaki i chodź.

I gdy zbliżyła się z pewną nieśmiałością, „Pan” bowiem wzbudzał w niej zawsze pewną obawę, przygarnął ją z dobrocią do siebie i począł gładzić po twarzy, mówiąc:

– Ano, bieda na cię, dziecko, przyszła – co?

– Juźci! – odpowiedziała Danusia.

I mając smutek w sercu, a łzy na pogotowiu, poczęła zaraz płakać, ale cichutko, by księcia nie urazić; on zaś znów spytał:

– Czegóż płaczesz?

– Bo Zbyszko chory – odrzekła, wkładając piąstki w oczy.

– Nie bój się, nic mu nie będzie. Prawda, ojczy Wyszonku?

– Hej! bliżej mu ta za wolą boską do ślubu niż do truchty – odpowiedział dobry ksiądz Wyszoniek. A książę rzekł:

– Poczekaj! tymczasem dam ci dla niego lek, którego mu ulży albo go i całkiem uzdrowi.

– Balsam Krzyżaki przysłały? – zawołała żywo Danusia, odejmując od oczu ręce.

– Tym, co Krzyżaki przysłały, psa lepiej posmaruj, nie zaś rycerzyka, którego miłujesz. Aleja dam ci co innego. Po czym zwrócił się do dworzan i zawołał:

– Chybaj mi ta który do komory po ostrogi i pas!

Po chwili zaś, gdy mu je przyniesiono, rzekł do Danusi:

– Bierz, a nieś Zbyszkowi – i powiedz mu, że od tej pory jest przepasan. Jeśli zamrze, to przed Bogiem jako *miles cinctus* stanie, a jeśli nie – to reszty w Ciechanowie albo w Warszawie dopełnim.

Usłyszawszy to, Danusia naprzód podjęła pana pod nogi, po czym chwyciła jedną ręką oznaki rycerskie, drugą dwojaki i skoczyła do

izby, w której leżał Zbyszko. Księżna, nie chcąc tracić widoku ich radości, poszła za nią.

Zbyszko ciężko był chory, ale ujrzawszy Danusię, zwrócił ku niej pobladłą z boleści twarz i zapytał:

– A Czech, jagódko, wrócił?

– Co tam Czech! – odpowiedziała dziewczyna. – Lepszą ja ci tu nowinę przynoszę. Pan cię rycerzem pasował i ot, co ci przeze mnie posyła.

To rzekłszy, położyła przy nim pas i złote ostrogi. Zbyszkowi zapłonęły radością i zdumieniem blade policzki, spojrzął na Danusię, potem na oznaki, a następnie przymknął oczy i począł powtarzać:

– Jakże to mógł mnie rycerzem pasować?

A gdy w tej chwili weszła księżna, przypodniósł się nieco na ramionach i począł jej dziękować a przepraszać miłościwą panią, że jej do nóg nie może paść, gdyż wraz odgadł, że to za jej wstawiennictwem spotkało go takie szczęście. Lecz ona kazała mu zachować się spokojnie i własnymi rękoma pomogła Danusi ułożyć znów jego głowę na wezgielcu. Tymczasem nadszedł książę, a z nim ksiądz Wyszoniek, Mrokota i kilku innych dworzan. Książę Janusz z daleka dał znak ręką, by Zbyszko się nie ruszał, a następnie, siadłszy przy łożu, tak przemówił:

– Wiecie! Nie ma to ludziom być dziwno, że za mężne a zacne uczynki jest zapłata, bo jeśliby cnota miała ostać bez nagrody, tedy i nieprawości ludzkie chodziłyby po świecie bez kary. A żeś ty żywota nie szczędził i z utratą zdrowia od srogiej żałoby nas bronił, przeto pozwalamy ci pasem rycerskim się przepasać i we czci a sławie odtąd chadzać.

– Miłościwy panie – odrzekł Zbyszko – ja bym i dziesięciu żywotów nie żałował...

Lecz nie mógł nic więcej powiedzieć i ze wzruszenia, i dlatego, iż księżna położyła mu rękę na ustach, gdyż ksiądz Wyszoniek nie pozwalał mu mówić. Książę zaś mówił dalej:

– Tak myślę, że powinności rycerskie znasz i że będziesz godnie one ozdoby nosił. Zbawicielowi naszemu jako się patrzy masz służyć, a ze starostą piekielnym wojować. Pomazańcowi ziemskiemu masz być wiemy, wojny niesłusznej unikać i niewinności w ucisku bronić, w czym ci pomagaj Bóg i święta Jego Męko!

– Amen – rzekł ksiądz Wyszoniek.

Książę zaś wstał, przeżegnał Zbyszka i na odchodnym dodał:

– A jak wyzdrowiejesz, to prosto do Ciechanowa jedź, gdzie i Juranda sprowadzę.

## ROZDZIAŁ XXV

W trzy dni później przyjechała zapowiedziana niewiasta z hercyńskim balsamem, a z nią razem przybył i kapitan łuczników ze Szczytna z listem podpisanym przez braci i opatrzonym pieczęcią Danvelda, w którym Krzyżacy niebo i ziemię brali na świadków krzywdy, które ich na Mazowszu spotkały, i pod zagrożeniem pomsty Bożej wołali o karę za zamordowanie „ukochanego towarzysza i gościa”. Danveld podyktował do listu i skargę od siebie, upominając się w słowach zarazem pokornych i groźnych o zapłatę za ciężkie kalectwo i o wyrok śmierci na czeskiego pachołka. Książę przedał list w oczach kapitana, rzucił mu pod nogi i rzekł:

– Przysłał tu ich, krzyżackie macie, mistrz po to, aby mnie zjednali, a oni mnie do gniewu przywiedli. Powiedzcie im ode mnie, że sami gościa uśmiercili i pachołka chcieli uśmiercić – o czym do mistrza napiszę i to też dodam, aby innych posłów wybierał, jeśli chce, bym w razie wojny z królem krakowskim po żadnej stronie nie stanął.

– Miłościwy panie – odparł kapitan – czy jeno taką odpowiedź mam potężnym i pobożnym braciom odnieść?

– Jeślić nie dosyć, powiedz im jeszcze, że ich za psubratów, nie za prawych rycerzy uważam.

I na tym skończyło się posłuchanie. Kapitan odjechał, bo i książę tegoż dnia odjechał do Ciechanowa. Została tylko „siostra” z balsamem, którego nieufny książdz Wyszoniek użyć jednakże nie chciał, tym bardziej że chory poprzedniej nocy zasnął dobrze, a nazajutrz obudził się wprawdzie osłabiony bardzo, ale bez gorączki. Siostra po wyjeździe księcia wyprawiła zaraz z powrotem jednego ze swoich sług niby po nowe lekarstwo – po „jaje bazyliuszka”, które, jak twierdziła, miało moc przywracania sił nawet konającym – sama zaś chodziła po dworcu, pokorna, nie władająca jedną ręką, przybrana w świecką wprawdzie, ale podobną do zakonnej odzież – z różańcem i małą pątniczą tykwą u pasa. Mówiąc dobrze po polsku, dopytywała z wielką troskliwością służbę i o Zbyszka, i o Danusię, której przy sposobności podarowała różę jerychońską, a na drugi dzień w czasie snu Zbyszka, gdy dziewczyna siedziała w izbie jadalnej, przysunęła się do niej i rzekła:



– Boże wam błogosław, panienko. Dziś w nocy po pacierzu śniło mi się, że przez śnieg padający szło ku wam dwóch rycerzy, ale jeden doszedł pierwej i w bieluchny płaszcz was obwinał, a drugi zaś rzekł: „Śnieg jeno widzę, a jej nie ma” – i wrócił się.

A Danusia, której chciało się spać, otworzyła zaraz ciekawie swe modre oczy i spytała:

– A co to znaczy?

– To znaczy, że ten was dostanie, który was najbardziej miłuje.

– To Zbyszko! – odrzekła dziewczyna.

– Nie wiem, bom mu twarzy nie widziała, widziałam jeno biały płaszcz, a potem obudziłam się zaraz, gdyż Pan Jezus zsyła mi każdej nocy bóle w nogach, a rękę całkiem mi odjął.

– A że to wam ten balsam nie pomógł?

– Nie pomoże mi, panienko, i balsam, gdyż to za ciężki grzech mój, a chcecie wiedzieć, za jaki, to powiem.

Danusia skinęła głową na znak, że chce wiedzieć, więc siostra mówiła dalej:

– Są w Zakonie i służki, i niewiasty, które choć ślubów nie czynią, bo nawet i mężate być mogą, wszelako powinności względem Zakonu wedle rozkazania braci pełnić są obowiązane. A którą takowa łaska i cześć ma spotkać, ta otrzymuje pobożne pocałowanie od brata-rycerza, na znak, że odtąd uczynkami i mową Zakonowi ma służyć. Ach, panienko! – i mnie tak wielka łaska miała spotkać, aleja w grzesznej za-twardziałości, zamiast ją przyjąć wzięcznie, popełniłam ciężki grzech i karę na się ściągnęłam.

– Cóżście takiego uczynili?

– Brat Danveld przyszedł do mnie i dał mi zakonne pocałowanie, ja zaś, myśląc, iż on to przez swawolę jakowąś czyni, podniosłam na niego bezbożną rękę...

Tu zaczęła się bić w piersi i powtórzyła kilkakrotnie:

– Boże, bądź miłościw mnie grzesznej.

– I cóż się stało? – zapytała Danusia.

– I zaraz mi rękę odjęło i od tej pory kaleką jestem. Młoda byłam i głupia – nie wiedziałam! a jednak kara na mnie spadła. Bo choćby niewieście się wydało, że brat zakonny chce coś złego uczynić, niech Bogu sąd ostawi, a sama się nie sprzeciwia, gdyż kto się Zakonowi albo krzyżowemu bratu sprzeciwi, tego gniew Boży dosięgnie...

Danusia słuchała tych słów z przykrością i lękiem, siostra zaś poczęła wzdychać i dalej żale rozwodzić.

– Nie staram jeszcze i dziś – mówiła – ledwie mi trzydzieści roków, ale Bóg razem z ręką odjął młodość i urodę.

– Żeby nie ręka – odrzekła Danusia – to byście jeszcze nie mogli narzekać...

Po czym nastąpiło milczenie. Nagle siostra, jakby sobie coś przypomniawszy, rzekła:

– A śniło mi się, że was jakiś rycerz w białym płaszczu na śniegu owinął. Może to był Krzyżak! gdyż oni też białe płaszcze noszą.

– Nie chcę ja ni Krzyżaków, ni ich płaszców – odpowiedziała dziewczyna.

Lecz dalszą rozmowę przerwał ksiądz Wyszoniek, który wszedłszy do komory, kiwnął na Danusie i rzekł:

– Chwalże Boga i chodź do Zbyszka! Zbudził się i jeść woła. Znacznie go popuściło.

Jakoż tak było rzeczywiście. Zbyszko miał się lepiej i ksiądz Wyszoniek miał już prawie pewność, że będzie zdrow, gdy nagle niespodziane zdarzenie pomieszało wszystkie rachuby i nadzieje. Oto od Juranda przybyli wysłannicy z pismem do księżny, zawierającym same złe i straszne nowiny. W Spy chowie spaliła się część Jurandowego gródka, on sam zaś został przy ratunku płonąca belką przytłuczony. Ksiądz Kaleb, który w imieniu jego list pisał, donosił wprawdzie, że wyzdrowieć jeszcze Jurand może, ale że skry i węgle tak przypaliły mu jedyne pozostałe oko, iż już mu niewiele światła w nim pozostało – i grozi mu niechybna ślepotą.

Z tej przyczyny wzywał Jurand córkę, by spiesznie przybywała do Spychowa, bo chce ją widzieć jeszcze, zanim ciemności go ogarną. Mówił też, że odtąd ma już pozostać przy nim, bo jeśli nawet między ślepcami, którzy po proszonym chlebie między ludźmi chadzają, ma każdy jakoweś pachole, które go za rękę wiedzie i drogę mu pokazuje, czemuż by on tej ostatniej pociechy miał być pozbawion i między obcymi umierać? Były też pokorne podziękia dla księżny, która dziewczynę jakby rodzona matka hodowała – a w końcu obiecywał Jurand, że choć i ślepy, raz jeszcze do Warszawy przyjedzie, aby upaść pani do nóg i o łaskę i opiekę na dalsze lata dla Danusi jej prosić.

Księżna, gdy jej ojciec Wyszoniek przeczytał ów list, przez jakiś czas słowa prawie nie mogła przemówić. Miała ona nadzieję, że gdy Jurand, który pięć lub sześć razy do roku przyjeżdżał do dziecka, przyjedzie na bliskie święta, wówczas go powagą własną i księcia Janusza przejedna dla Zbyszka i zgodę jego na bliskie wesele uzyska. Tymcza-

sem list ów nie tylko burzył jej zamiary, ale pozbawiał jej zarazem i Danusi, którą kochała na równi z własnymi dziećmi. Przyszło jej do głowy, że Jurand może i wyda zaraz dziewczynę za którego z sąsiadów, aby reszty dni pomiędzy swoimi dożyć. O Zbyszku nie było co i myśleć, aby mógł do Spychowa jechać, gdyż żebra dopiero mu się zaczęły zrastać, i zresztą, któż mógł wiedzieć, jak by był w Spychowie przyjęty? Wiedziała przecie pani, że Jurand wręcz mu swego czasu Danusi odmówił – i jej samej powiedział, że dla tajemnych przyczyn nigdy na ich połączenie nie zezwoli. Więc w ciężkim frasunku kazała wezwać do siebie starszego spomędzy przysłanych ludzi, aby go o nieszczęście spychowskie rozpytać, a zarazem czegoś się o zamiarach Jurandowych dowiedzieć.

I zdziwiła się nawet, gdy na jej wezwanie wszedł człowiek zupełnie nieznany, nie zaś stary Tolima, który tarczę za Jurandem nosił i zwykle z nim razem przyjeżdżał – ów jednak odpowiedział jej, że Tolima w bitce ostatniej z Niemcami okrutnie poszczerbion ze śmiercią w Spychowie się zмага, zaś Jurand ciężką chorobą złożony o prędkie powrót córki prosi, gdyż coraz mniej widzi, a za dni parę może i całkiem oślepnie. Prosił nawet usilnie wysłannik, by zaraz, jak tylko konie odechną, wolno było wziąć dziewczynę, ale że to był wieczór, sprzeciwiła się temu stanowczo pani – zwłaszcza by i Zbyszкови, i Danusi, i sobie do reszty serca przez prędkie pożegnanie nie rozdzierać.

A Zbyszko już wiedział o wszystkim i leżał w izbie jakby uderzony obuchem w głowę, a gdy pani weszła i łamiąc ręce, ozwała się zaraz z proga: „Nie ma rady, boć to przecie ojciec!” – powtórzył za nią jak echo: „Nie ma rady” – i zamknął oczy jak człowiek, który się spodziewa, że zaraz śmierć do niego przystąpi.

Lecz śmierć nie nadeszła, choć w piersiach zbierał mu się żal coraz większy, a przez głowę przelatywały mu myśli coraz ciemniejsze, takie właśnie jak chmury, które gnane wichrem jedna za drugą przysłaniają blask słoneczny i gaszą wszelką radość na świecie. Rozumiał bowiem Zbyszko równie jak i księżna, że gdy Danusia raz do Spychowa wyjedzie, będzie dla niego tak jak stracona. Tu wszyscy byli dla niego życzliwi, tam Jurand może go nawet przyjąć ani wysłuchać nie zechce, zwłaszcza jeśli go wiąże ślub lub jakaś inna nieznana przyczyna, równie jak religijny ślub ważna. Zresztą, gdzie mu tam jechać do Spychowa, gdy oto chory jest i ledwie się może na łożu poruszyć. Przed kilku dniami, gdy z łaski księcia spadły nań złote ostrogi wraz z rycerskim pasem. myślał, że radość przemoże w nim chorobę, i modlił się z całej

duszy, aby rychło mógł powstać i z Krzyżakami się zmierzyć, ale teraz stracił znów wszelką nadzieję, czuł bowiem, że gdy mu zbraknie przy łożu Danusi, to razem z nią zbraknie mu i ochoty do życia, i sił do walki ze śmiercią. Przyjdzie oto dzień jutrzejszy i pojutrzejszy, nadejdzie wreszcie Wigilia i święta, kości go będą tak samo bolały i tak samo będzie go chwytało omdlenie, a nie będzie przy nim tej jasności, która po całej izbie rozchodzi się od Danusi, ni tego uradowania oczu, które na nią patrzą. Co za pociecha i co za osłoda była pytać kilka razy na dzień: „Miłym ci?” – i widzieć ją potem, jak sobie przysłania śmiejące się i zawstydzone oczy dłonią albo też pochyla się i odpowiada:

„A któż inny?” Obecnie zaś tylko choroba zostanie i ból zostanie, i tęsknota, a szczęście odejdzie – i nie wróci.

Łzy zabłyśły w oczach Zbyszkowych i stoczyły mu się z wolna po policzkach, po czym zwrócił się do księżny i rzekł:

– Miłościwa pani, już ja tak myślę, że Danuśki więcej w życiu nie obaczę.

A pani, sama stroskana, odpowiedziała:

– Bo i nie dziwno by było, żebyś zamarł od żalości. Ale Pan Jezus jest miłosierny.

Po chwili zaś, chcąc go jednak choć trochę pokrzepić, dodała:

– Chociaż żeby, nie przymierzając, Jurand umarł przed tobą, to opiekuństwo przeszłoby na księcia i na mnie, a my byśmy ci dziewczynę zaraz oddali.

– Kiedy on tam umrze! – odrzekł Zbyszko.

Lecz nagle widocznie jakaś nowa myśl błysnęła mu w głowie, gdyż przypodniósł się, siadł na łożu i rzekł zmienionym głosem:

– Miłościwa pani...

Wtem przerwała mu Danusia, która wbiegłszy z płaczem, poczęła od progu wołać:

– To już wiesz, Zbyszku! Oj, żal mi tatusia, ale żal i ciebie, nieboże!

Zbyszko zaś, gdy zbliżyła się ku niemu, ogarnął zdrowym ramieniem swoje kochanie i począł mówić:

– Jakże mi żyć bez ciebie, dziewczyno? Nie po tom tu przez rzeki i bory jechał, nie po tom ci ślubował i służył, abym cię zaś miał utracić. Hej, nie pomoże żal, nie pomoże płkanie, ba! i śmierć sama, bo choćby i murawa na mnie porosła, dusza o tobie nie zapomni, by i na Pana Jezusowym dworze, by i u samego Boga Ojca na pokojach... I rzekę, rady nie ma, a rada musi być, bo bez niej nijak! Krzypotę w kościach

czuję i boleść srogą, ale choć ty padnij pani do nóg, bo ja nie mogę – i proś o zmiłowanie nad nami.

Danusia, posłyszawszy to, prędko skoczyła do nóg księżnej i objąwszy je ramionami, pochowała swą jasną twarz w zagięciach jej ciężkiej sukni, pani zaś zwróciła pełne litości, ale zarazem zdziwione oczy na Zbyszka.

– W czymże ja wam mogę okazać zmiłowanie? – zapytała. – Nie puszczyć dziecka do chorego rodzica, to i gniew Boży ściągnę.

Zbyszko, który poprzednio przypodniósł się był na łożu, zesunął się znów na wezglowie i przez jakiś czas nie odpowiadał, gdyż mu tchu brakło. Powoli jednak począł posuwać na piersiach jedną rękę ku drugiej, aż wreszcie złożył je jak do modlitwy.

– Odpuśćnij – rzekła księżna – potem zasię powiadaj, o co ci idzie, a ty, Danuśka, wstań mi od kolan.

– Pofolguj, ale nie wstawaj i proś wraz ze mną – ozwał się Zbyszko.

Po czym jął mówić słabym i przerywanym głosem:

– Miłościwa pani... Był ci mi Jurand przeciwny w Krakowie... będzie i tu, ale gdyby ojciec Wyszoniek dał mi ślub z Danušką, to – niechby potem i jechała do Spychowa, bo mi jej żadna moc ludzka nie odejmie...

Słowa te były dla księżny Anny czymś tak niespodzianym, że aż zerwała się z ławy, po czym znów siadła i jakby nie rozumiejąc dobrze, o co chodzi, rzekła:

– Rany boskie!... ksiądz Wyszoniek?...

– Miłościwa pani!... Miłościwa pani! – prosił Zbyszko.

– Miłościwa pani – powtarzała za nim Danusia, obejmując znów kolana księżny.

– Jakoże to być może bez pozwolenstwa rodzicielskiego...

– Zakon Boży mocniejszy! – odpowiedział Zbyszko.

– Bójcieże się Boga!

– Kto ojciec, jeśli nie książę?... kto matka, jeśli nie wy, miłościwa pani!

A Danusia na to:

– Miłościwa matuchno!

– Prawda, że to ja byłam jej i jestem jako matka – rzekła księżna – i z mojej też ręki Jurand dostał żonę. Prawda! A jakby raz ślub był – to i przepadło. Może by się Jurand i posierdził, ale przecie i on księciu jako panu swojemu powinien. Wreszcie można by mu zrazu nie mówić, do-

piero gdyby dziewczynę chciał innemu dać albo mniszką uczynić... Jeśli zaś śluby jakowe uczynił – to i nie będzie jego winy. Przeciw woli boskiej nikt nie poradzi... Dla Boga żywego, może to i wola boska!

– Inaczej nie może być! – zawołał Zbyszko. Lecz księżna, cała jeszcze wzruszona, rzekła:

– Poczekajcie, niech się opamiętam! Żeby tu ksiązę był, zaraz bym do niego poszła i zapytałabym: mam-li Danuškę dać, czyli też nie?... Ale bez niego się boję... Aż mi dech zaparło, a tu i czasu na nic nie ma, bo i dziewczyna musi jutro jechać!... O miły Jezu! niechby żeniata jechała – byłby już spokój. Jeno nie mogę się opamiętać – i czegoś mi strach. A tobie nie strach, Danuška? – gadajże!

– Już ja bez tego zamrę! – przerwał Zbyszko. A Danuška podniosła się od kolan księżny i ponieważ istotnie była przez dobrą panią nie tylko do poufałości dopuszczana, ale i pieszczona, więc chwyciła ją za szyję i poczęła ścisnąć z całej siły.

Lecz księżna rzekła:

– Bez ojca Wyszonia nic wam nie powiem. Skoczże po niego co prędzej!

Danusia skoczyła po ojca Wyszonia, Zbyszko zaś zwrócił swą wybladłą twarz do księżny i rzekł:

– Co mi Pan Jezus przeznaczył, to będzie, ale za tę pociechę niech wam Bóg, miłościwa pani, nagrodi.

– Jeszcze mnie nie błogosław – odrzekła księżna – bo nie wiadomo, co się stanie. I musisz mi też na cześć poprzysiąc, że jeśli ślub będzie, nie wzbronisz dziewczynie do rodziciela zaraz jechać, abyś broń Boże, przekleństwa jego na siebie i na nią nie ściągnął.

– Na moją cześć! – rzekł Zbyszko.

– To i pamiętaj! A Jurandowi niech dziewczyna zrazu nic nie mówi. Lepiej, aby go nowina nie oparzyła jak ogień. Poślemy po niego z Ciechanowa, by z Danuška przyjeżdżał, i wtedy sama mu powiem albo też księcia uproszę. Jak zobaczy, że nie ma rady, to się i zgodzi. Nie byt ci on przecie krzyw?

– Nie – rzekł Zbyszko – nie był mi krzyw, więc może i rad będzie w duszy, że Danuška będzie moja. Bo jeśli ślubował, to już nie będzie jego winy, jeśli nie dotrzyma.

Wejście księdza Wyszonia z Danusią przerwało dalszą rozmowę. Księżna wezwała go w tej chwili do narady i z wielkim zapalem poczęła mu opowiadać o Zbyszkowych zamiarach, lecz on zaledwie usłyszawszy, o co idzie, przeżegnał się ze zdumienia i rzekł:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha!... jakże ja to mogę uczynić! Toć przecie adwent!

– Dla Boga! prawda! – zawołała księżna. I nastąpiło milczenie; tylko strapione twarze okazywały, jakim ciosem były dla wszystkich słowa ojca Wyszonia. On zaś po chwili rzekł:

– Gdyby dyspensa była, tobym się i nie przeciwiał, bo mi was żal. O Jurandowe pozwolenstwo niekoniecznie bym pytał, bo skoro pani miłościwa pozwala i za zgodę księcia pana naszego zaręcza – no! – to oni ojciec i matka dla całego Mazowsza. Ale bez dyspensy biskupiej – nie mogę. Ba! żeby to ksiądz biskup Jakub z Kurdwanowa był między nami, może by dyspensy nie odmówił – choć to surowy jest ksiądz, nie taki, jak był jego poprzednik, biskup Mamphiolus, którego na wszystko powiadał: *bene! bene!*

– Biskup Jakub z Kurdwanowa miłuje wielce i księcia, i mnie – wtrąciła pani.

– Toteż dlatego mówię, że dyspensy by nie odmówił, ile że są do tego przyczyny... Dziewczyna musi jechać, a ów młodzianek chorzeje i może zamrzeć... Hm! *in articulo mortis*... Ale bez dyspensy nijak...

– Już ja bym tam i później biskupa Jakuba o dyspensę uprosiła – i choćby też nie wiem jak był surowy, nie odmówi on mi tej łaski... Ej, uręczam, że nie odmówi.

Na to ksiądz Wyszoniak, który był człek dobry i miękki, rzekł:

– Słowo pomazanki boskiej – wielkie słowo... Strach mi księdza biskupa, ale to wielkie słowo!... Mógłby też młodzianek co do katedry w Płocku przyobieczać... Nie wiem... Zawsze to, póki dyspensa nie nadejdzie, będzie grzech – i to nie kogo innego, jeno mój... Hm! Pan Jezus po prawdzie jest miłosierny i jeśli kto zgrzeszy nie dla własnego zysku, jeno z politowania nad ludzką biedą, to tym łatwiej przebacza!... Ale grzech będzie i nużby się biskup zaciął, kto mi da odpust?

– Biskup się nie zatnie! – zawołała księżna Anna. A Zbyszko rzekł:

– Ten Sanderus, którego ze mną przyjechał, ma gotowe na wszystko odpusty.

Ksiądz Wyszoniak może i niezupełnie wierzył w odpusty Sanderusa, ale rad był chwycić się choćby pozoru, byle tylko Zbyszkowi i Danusi przyjść z pomocą, gdyż dziewczynę, którą znał od małego, kochał bardzo. Wreszcie pomyślał, że w najgorszym razie spotkać go może pokuta kościelna, więc zwrócił się do księżny i rzekł:

– Ksiądz ci ja jestem, ale i ksiązący sługa. Jakoże, miłościwa pani, rozkażecie?

– Nie chcę ja rozkazywać, wolę prosić – odpowiedziała pani. – Ale jeśli ten Sanderus ma odpusty...

– Sanderus ma. Jen o biskupa chodzi. Srogie on tam w Płocku z kanonikami synody odprawuje.

– Biskupa się nie bójcie. Zabronił on, jako słyszałem, księżom mieczów, kusz i różnej swawoli, ale dobrze czynić nie zabronił.

Ksiądz Wyszoniak podniósł oczy i ręce w górę:

– To niechże się stanie wedle waszej woli.

Na te słowa radość opanowała serca. Zbyszko znów osiadł na wezłowskiu, a księżna, Danusia i ojciec Wyszoniak siedli koło łoża i poczęli „uradzać”, jak rzecz należy uczynić. Więc postanowili zachować tajemnicę, tak aby w domu żywa dusza o tym nie wiedziała; postanowili też, że i Jurand nie powinien nic wiedzieć, póki mu sama pani w Ciechanowie o wszystkim nie oznajmi. Natomiast miał ksiądz Wyszoniak napisać list od księżny do Juranda, by zaraz przyjeżdżał do Ciechanowa, gdzie i lepsze leki na jego kalectwo mogą się znaleźć, i samotność mniej mu będzie dokuczać. Uradzili na koniec, że i Zbyszko, i Danusia przystąpią do spowiedzi, ślub zaś odbędzie się nocą, gdy już wszyscy spać się pokładą.

Przyszło Zbyszkowi na myśl, żeby wziąć giermka Czecha na świadka ślubu, ale porzucił ten zamiar, przypomniawszy sobie, że ma go od Jagienki. Przez chwilę stanęła mu w pamięci jakby żywa, tak iż zdało mu się, że widzi jej rumianą twarz, jej zapłakane oczy i słyszy głos proszący: „Nie czyń mi tego! nie płac mi złem za dobre i niedołą za kochanie!” Aż nagle chwyciła go wielka litość nad nią, gdyż czuł, że jej się stanie ciężka krzywda, po której nie znajdzie pociechy ni pod zgorzelickim dachem, ni w głębi boru, ni w polu, ni w darach opata, ni w zalotach Cztana i Wilka. Więc rzekł jej w duchu: „Daj ci Bóg wszystko najlepsze, dziewczyno, ale choćbym ci rad i nieba przychylić – nie poradzę”. I rzeczywiście przekonanie, że nie było to w jego mocy, przyniosło mu nawet ulgę i wróciło spokojność, tak że zaraz począł myśleć tylko o Danusi i o ślubie.

Nie mógł się jednak obejść bez pomocy Czecha, więc lubo postanowił zamilczeć przed nim o tym, co się miało stać, kazał go do siebie przywołać i rzekł mu:

– Przystąpię dziś do spowiedzi i do Stołu Pańskiego, przybierz mnie przeto jak najochędźniej, jakobym na królewskie pokoje miał iść.



Czech przeląkł się nieco i począł patrzeć mu w twarz, co zrozumiawszy, Zbyszko rzekł:

– Nie bój się, nie tylko na śmierć ludzie się spowiadają, a tym bardziej że idą święta, na które ojciec Wyszoniek z księżną do Ciechanowa wyjedzie i nie będzie księdza bliżej niż w Przasnyszu.

– A wasza miłość nie pojedzie? – spytał giermek.

– Jeśli wyzdrowieję, to pojedę, ale to w boskim ręku. Więc Czech się uspokoił i skoczywszy do łubów, przyniósł ową białą jakę zdobyczną, złotem szytą, w którą rycerz ubierał się zwykle na wielkie uroczystości, a też i piękny kobierczyk dla okrycia nóg i łoża, za czym podniósłszy Zbyszka przy pomocy dwóch Turczyneków, umył go, uczesał jego długie włosy, na które nałożył szkarłatną przepaskę, wreszcie wsparł tak przybranego o czerwone poduszki i rad z własnego dzieła, rzekł:

– Żeby jeno wasza miłość płaszać mogła, to choćby i wesele wyprawić!

– Musiałoby się obyć bez płasów – odrzekł z uśmiechem Zbyszko.

A tymczasem księżna rozmyślała również w swojej izbie, jak przybrać Danusię, gdyż dla jej niewieściej natury była to sprawa wielkiej wagi i za nic nie chciałaby przyzwolić, by miła jej wychowanka stanęła w codziennej szacie do ślubu. Służki, którym powiedziano, że dziewczyna też do spowiedzi w barwę niewinności się przybiera, łatwo znalazły w skrzyni białą sukienkę, ale bieda była z przybraniem głowy. Na myśl o tym opanował panią jakiś dziwny smutek, tak iż zaczęła wyrzekać.

– Gdzie ja dla ciebie, sierotko – mówiła – wianek ruciany w tym boru wynajdę! Ni tu kwiatuszka jakowego, ni liścia, chyba się mchy gdzie pod śniegiem zielenią.

A Danusia, stojąc z rozpuszczonymi już włosami, zatroskała się także, bo i jej chodziło o wianek; po chwili jednak ukazała na równianki z nieśmiertelników wiszące na ścianach izby i rzekła:

– Choćby i z tego co uwić, bo nic innego nie znajdziem, a Zbyszko weźmie mnie i w takim wianku.

Księżna nie chciała się z początku na to zgodzić, bojąc się złej wróżby, ale że w dworcu, do którego tylko na łowy przyjeżdżano, nie było żadnych kwiatów, więc skończyło się na nieśmiertelnikach. Tymczasem nadszedł ojciec Wyszoniek, który poprzednio wypowiadał już Zbyszka, i zabrał dziewczynę do spowiedzi, a potem zapadła głucha noc. Służba po wieczerzy poszła z rozkazu księżny spać. Wysłańczy

Jurandowi pokładli się jedni w czeladniej, inni przy koniach w stajniach. Wkrótce ognie w służebnych izbach zasłyły się popiołem na trzonach i pogasły, aż wreszcie uczyniło się całkiem cicho w leśnym dworze i tylko psy czekały od czasu do czasu na wilki w stronę boru.

Jednakże u księżny, u ojca Wyszonia i u Zbyszka okna nie przedstawiały świecić, rzucając czerwone blaski na śnieg pokrywający dziedziniec. Oni zaś czuwali w ciszy, słuchając bicia własnych serc – niespokojni i przejęci uroczystością chwili, która zaraz nadejść miała. Jakoż po północy księżna wzięła za rękę Danusię i poprowadziła ją do izby Zbyszkowej, gdzie ojciec Wyszonię czekał już na nich z Panem Bogiem. W izbie palił się wielki ogień w grabie i przy jego obfitym, ale nierównym świetle ujrzał Zbyszko Danusię, bladą nieco od bezsenności, białą, z wiankiem nieśmiertelników na skroni, przybraną w sztywną, spadającą aż do ziemi sukienkę. Powieki miała ze wzruszenia przymknięte, rączy –ny opuszczone wzdłuż sukni – i przypominała tak jakieś malowania na szybach, było w niej coś tak kościelnego, że Zbyszka zdjęło zdziwienie na jej widok, pomyślał bowiem, że nie dziewczynę ziemską, ale jakąś duszyczkę niebieską ma wziąć za żonę. A pomyślał to jeszcze bardziej, gdy klękała ze złożonymi dłońmi do komunii i przechyliwszy w tył głowę, zamknęła całkiem oczy. Wydała mu się nawet wówczas jak umarła i aż lęk chwycił go za serce. Nie trwało to jednak długo, gdyż posłyszawszy głos księdza:

*Ecce Agnus Dei* – sam skupił się w duchu i myśli jego wzięły lot w stronę Bożą. W izbie słyhać było teraz tylko uroczysty głos księdza Wyszonia: *Domine, non sum dignus* – a wraz z nim trzaskania skier w ognisku i świerszcze grające zawzięcie, a jakoś żałośnie w szparach komina. Za oknami wstał wiatr, zaszumił w ośnieżonym lesie, lecz zaraz ścichł.

Zbyszko i Danusia pozostali jakiś czas w milczeniu, ksiądz Wyszonię zaś wziął kielich i odniósł go do kapliczki dworskiej.

Po chwili wrócił, ale nie sam, tylko z panem de Lorche, i widząc zdziwienie na twarzach obecnych, położył naprzód palec na ustach, jakby chcąc jakiemuś niespodzianemu okrzykowi zapobiec, po czym zaś rzekł:

– Rozumiałem, że będzie lepiej, aby było dwóch świadków ślubu, i dlatego wpierw jeszcze ostrzegłem tego rycerza, któren mi na cześć i na relikwie akwizgrańskie poprzyściągł, że tajemnicy, póki będzie trzeba, dochowa.

A pan de Lorche przykląkł naprzód przed księżną, potem przed Danusią, następnie zaś podniósł się i stał w milczeniu, przybrany w uroczystą zbroję, po której zagięciach pełgały czerwone światełka od ognia, długi, nieruchomy, pogrążon jakby w zachwycie, gdyż i jemu ta biała dziewczyna z wiankiem nieśmiertelników na skroni wydała się jakby aniołem widzianym na szybie w gotyckim tumie.

Lecz ksiądz postawił ją przy łożu Zbyszka i narzuciwszy im stulę na ręce, rozpoczął zwykły obrządek. Księżnie splotywały łzy jedna za drugą po pocziwej twarzy, lecz w duszy nie czuła w tej chwili niepokoju, sądziła bowiem, że dobrze czyni, łącząc tych dwoje cudnych i niewinnych dzieci. Pan de Lorche klęknął po raz wtóry i wsparty obie- ma rękoma na rękojeści miecza, wyglądał zupełnie jak rycerz, który ma widzenie – tych zaś dwoje powtarzało kolejno słowa księdza: „Ja... bio- rę... ciebie sobie...” – a do wtóru tym słowom cichym i słodkim grały znów świerszcze w szparach komina i trzaskał ogień w grabie. Po skończonym obrzędzie Danusia padła do nóg księżnie, która błogosła- wiła oboje, a gdy wreszcie oddała ich w opiekę mocom niebieskim, rzekła:

– Radujcie się teraz, bo już ona twoja, a ty jej. Wówczas Zbyszko wyciągnął swe zdrowe ramię do Danusi, ona zaś objęła go rączkami za szyję i przez chwilę słychać było, jak powtarzali sobie z ustami przy ustach:

– Mojaś ty, Danuśko.

– Mój ty, Zbyszku.

Lecz zaraz potem Zbyszko zesłabł, gdyż za dużo było na jego siły wzruszeń – i zesunąwszy się na poduszki, począł oddychać ciężko. Nie przyszło jednak nań omdlenie i nie przestał się uśmiechać do Danusi, która obcierała mu twarz zroszoną zimnym potem, a nawet nie przestał powtarzać jeszcze: „Mojaś ty, Danuśka” – na co ona pochylała za każ- dym razem swą przetowłosą głowę. Widok ten wzruszył do reszty pana de Lorche, który oświadczył, że gdy w żadnym kraju nie przygodziło mu się widzieć serc tak czułych, przeto poprzysięga uroczyście, jako gotów jest potykać się pieszo lub konno z każdym rycerzem, czarno- księżnikiem lub smokiem, który by ich szczęśliwości śmiał stanąć na zawadzie. I rzeczywiście poprzysięgł ową zapowiedź natychmiast na mającej kształt krzyżyka rękojeści od mizerykordii, to jest małego mie- cza, który służył rycerzom do dobijania rannych. Księżna i ojciec Wy- szoniek wezwani byli na świadków tej przysięgi.

Lecz pani, nie rozumiejąc ślubu bez jakowegoś wesela, przyniosła wina – więc pili następnie wino. Godziny nocy płynęły jedna za drugą. Zbyszko, przewyciężywszy słabość, przygarnął znów Danusię i rzekł:

– Skoro mi cię Pan Jezus oddał, nikt mi cię nie odbierze, ale mi żal, że wyjeżdżasz, jagódka moja najmiłsza.

– Do Ciechanowa z tatulem przyjeździem – odpowiedziała Danusia.

– Byle cię chorość jakaś nie napadła – albo co... Boże cię strzeż od złej przygody... Musisz do Spychowa – wiem!... Hej!... Bogu najwyższemu i miłościwej pani dziękować, żeś już moja – bo jużci co ślub, to tego moc ludzka nie odrobi.

Że jednak ślub ten odbył się w nocy i tajemniczo, i że zaraz po nim miało nastąpić rozstanie, więc chwilami jakiś dziwny smutek ogarniał nie tylko Zbyszka, ale i wszystkich. Rozmowa rwała się. Od czasu do czasu przygasał też ogień w grabie – i głowy pogrążały się w mroku. Ksiądz Wyszoniek dorzucał wówczas na węgle nowe bierwiona, a gdy zapiszczało co żałośnie w szczapie, jako często bywa przy świeżym drzewie, mówił:

– Duszo pokutująca, czego żadasz?

Odpowiadały mu świerszcze, a potem wzmagający się płomień, który wydobywał z cienia bezsenne twarze, odbijał się w zbroi pana de Lorche, rozświetlając zarazem białą sukienkę i nieśmiertelniki na głowie Danusi.

Psy na dworze poczęły znów poszczekiwać w stronę boru takim szczekaniem jak na wilki.

I w miarę jak płynęły godziny nocy, coraz częściej zapadało milczenie, aż wreszcie księżna rzekła:

– Miły Jezu! ma-li tak być po ślubie, lepiej by pójść spać, ale skoro mamy czuwać do rania, to i zagrajże nam jeszcze, kwiatuszku, ostatni raz przed odjazdem na luteńce – mnie i Zbyszkowi.

Danusia, która czuła zmęczenie i senność, rada była czymkolwiek się orzeźwić, więc skoczyła po lutnię i wróciwszy z nią po chwili, siadła przy łóżku Zbyszka.

– Co mam grać? – zapytała.

– Co? – rzekła księżna – a cóż by jak nie oną pieśń, którąś w Tyńcu śpiewała, kiedy to cię pierwszy raz Zbyszko ujrzał!

– Hej! pamiętam – i do śmierci nie zabaczę – rzekł Zbyszko. – Jakem, bywało, to gdzie usłyszał, to aże mi śluzy z oczu płynęły.

– To i zaśpiewam! – rzekła Danusia. I zaraz poczęła brząkać na luteńce, następnie zaś, zadarłszy jak zwykle główkę do góry, zaśpiewała:

*Gdybym to ja miała  
Skrzydłeczka jak gąska,  
Poleciałabym ja  
Za Jaśkiem do Śląska,  
Usiadłabym ci ja  
Na śląskowskim płocie:  
„Przypatrz się, Jasieńku,  
Ubogiej sierocie!... „*

Lecz nagle głos się jej załamał, usta poczęły się trząść, a spod zamkniętych rzęs łzy wydostawały się przemocą na policzki. Przez chwilę starała się ich nie puścić spod powiek, ale nie mogła – i w końcu rozplakała się serdecznie, zupełnie jak wówczas, gdy ostatni raz śpiewała tę pieśń Zbyszkowi w krakowskim więzieniu, gdy myślała, że mu nazajutrz szyję utną.

– Danuśka! co ci, Danuśka? – pytał Zbyszko.

– Czego płaczesz? Jakież to wesele! – zawołała księżna. – Czego?

– Nie wiem – odpowiedziała, łkając, Danuśka – tak ci mi smutno!... taki żal!... Zbyszka i pani...

Więc zatroskali się wszyscy i nuż ją pocieszać, nuż tłumaczyć jej, że to nie na długo tego odjazdu i że pewnie jeszcze na święta zjadą z Jurandem do Ciechanowa. Zbyszko znów objął ją ramieniem, przytulał do piersi i wycalowywał łzy z oczu – ucisk jednak pozostał we wszystkich sercach – i w tym ucisku zbiegały im godziny nocy.

Aż wreszcie na dziedzińcu rozległ się odgłos tak nagły i przeraźliwy, że aż wzdrygnęli się wszyscy. Księżna, zerwawszy się z ławy, zawołała:

– O dlaboga! Żurawie studzienne! Konie poją! A ksiądz Wyszoniek spojrzał w okno, w którym szklane gomółki przybierały barwę szarawą, i ozwał się:

– Noc już bieleje i dzień się czyni. *Ave Maria, gratia plena...*

Po czym wyszedł z izby i wróciwszy po jakimś czasie, rzekł:

– Dnieje, chociaż będzie ciemny dzień. To Jurandowi ludzie konie poją. Czas ci do drogi, niebogo!...

Na te słowa i księżna, i Danusia uderzyły w głośny płacz i obie wraz ze Zbyszkciem poczęły wyrzekać, tak jak wyrzekają ludzie prości, gdy im przychodzi się rozstać, to jest, że było w tym wyrzekaniu coś obrządkowego i zarazem jakby pół zawodzenie, pół śpiewanie, które

wylewa się z dusz polnych tak przyrodzoną drogą, jak leją się łzy z oczu.

*Hej! nie pomoże już nic płkanie,  
Już cię żegnamy, miłe kochanie,  
Już płkanie nie pomoże,  
Już żegnamy cię, nieboże,  
Żegnamy cię – hej!...*

Lecz Zbyszko przytulił po raz ostatni Danusię do piersi i trzymał ją długo, dopóty, dopóki mu tchu starczyło i dopóki księżna nie oderwała jej od niego, aby ją przebrać na drogę.

Tymczasem rozedniało zupełnie. We dworcu rozbudzili się wszyscy i poczęli się krzątać. Do Zbyszka wszedł Czech, giermek, dowiedzieć się o zdrowie i pytać o rozkazy.

– Przyciągnij łożo do okna – rzekł mu rycerz.

Czech przyciągnął z łatwością łożo do okna, ale zdziwił się, gdy Zbyszko kazał mu je otworzyć – usłuchał jednak i tego rozkazu, nakrył tylko pana własnym kożuchem, gdyż na dworze chłodno było, choć chmurno – i padał śnieg miękki a obfity.

Zbyszko począł patrzeć: na dziedzińcu przez lecące z chmur płatki śniegowe widać było sanki, wokół nich siedzieli na zszerszeniałych i dymiących koniach ludzie Jurandowi. Wszyscy byli zbrojni, a niektórzy mieli blachy na kożuchach, w których przeglądały się blade i posępne promienie dnia. Las zasuło całkiem śniegiem; płotów i kołowrota prawie nie można było dojrzeć.

Danusia wpadła jeszcze do izby Zbyszka cała już zakutana w kożuszek i lisią szubę; jeszcze raz objęła za szyję i jeszcze raz rzekła mu na pożegnanie:

– Chociaż i odjeżdżam, tom twoja. A on całował jej ręce, policzki i oczy, które ledwie było widać spod lisiego puchu, i mówił:

– Boże cię strzeż! Boże cię prowadź! Mojaś ty już, moja do śmierci!

I gdy znów oderwano ją od niego, podniósł się, ile mógł, wsparł głowę na oknie i patrzył; więc poprzez płatki śniegowe jakby przez jakowąś zasłonę widział, jak Danusia siadała do sanek, jak księżna trzymała ją długo w objęciach, jak całowały ją dworki i jak ksiądz Wyszo-niek żegnał ją znakiem krzyża na drogę. Obróciła się jeszcze przed samym odjazdem ku niemu i wyciągnęła rękę:

– Ostawaj z Bogiem, Zbyszku!

– Boże, daj w Ciechanowie cię obaczyć...

Ale śnieg padał tak obfity, jakby chciał wszystko zgłuszyć i wszystko przesłonić, więc te ostatnie słowa doszły ich tak przytłumione, że obojgu wydało się, iż wołają na siebie –już z daleka.

## ROZDZIAŁ XXVI

Po obfitych śniegach nastaly ciężkie mrozy i dni pogodne, suche. Dniem bory iskrzyły się w promieniach słońca, lód popętał rzeki i ustalił bagna. Przyszły jasne noce, wśród których mróz wznagał się do tego stopnia, że drzewa pękały z hukiem w lesie; ptactwo zbliżało się do domostw; drogi stały się niebezpieczne z powodu wilków, które jeły się zbierać w stada i napadać nie tylko na pojedynczych ludzi, lecz i na wsie. Lud jednak radował się w dymnych chatach przy ogniskach, przepowiadając po mroźnej zimie rok urodzajny, i wesoło czekał świąt, które miały niebawem nadejść. Leśny dworzec książęcy opustoszał. Księżna wraz z dworem i księdzem Wyszońkiem wyjechała do Ciecchanowa. Zbyszko, znacznie już zdrowszy, ale nie dość jeszcze mocny, by na koń sięść, został w dworcu razem ze swymi ludźmi, z Sanderusem, z giermkim Czechem i z miejscową służbą, nad którą miała dozór stateczna szlachcianka pełniąca obowiązki gospodyni.

Lecz dusza w rycerzu rwała się do młodej żony. Była mu wprawdzie niezmierną osłodą myśl, że Danusia już jest jego i żadna moc ludzka nie zdoła mu jej odjąć, ale z drugiej strony też sama myśl potęgowała jego tęsknotę. Po całych dniach wzdychał do tej chwili, w której będzie mógł dworzec opuścić, i rozważał, co wówczas ma uczynić, gdzie jechać i jak Juranda przejednać. Miewał też chwile ciężkiego niepokoju, ale w ogóle przyszłość przedstawiała mu się radośnie. Kochać Danuskę i łuskać hełmy z pawimi piórami – oto miało być jego życie. Często brała go ochota porozmawiać o tym z Czechem, którego polubił, ale zauważył, że Czech, oddany duszą całą Jagiencu, nierad rozmawiał o Danusi, on zaś związany tajemnicą nie mógł mu powiedzieć wszystkiego, co się stało.

Zdrowie jego polepszało się jednak z każdym dniem. Na tydzień przed Wigilią dosiadł po raz pierwszy konia i choć czuł, że nie mógłby jeszcze tego uczynić w zbroi, jednakże nabrał otuchy. Nie spodziewał się zresztą, by miała go zaskoczyć potrzeba prędkiego przywdziania pancerza i hełmu, a w najgorszym razie tuszył, iż wkrótce będzie miał i na to dość sił. W izbie próbował dla zabicia czasu podnosić miecz i szło mu nieźle; topór okazał się tylko dla niego za ciężki, mniemał



wszelako, że chwyciwszy toporzysko w obie dłonie, zdołałby już skutecznie machnąć.

Na koniec, na dwa dni przed Wigilią, kazał wymościć wozy, pokulbaczyć konie i oznajmił Czechowi, że pojedą do Ciechanowa. Wiemy giermek zatroskał się nieco, zwłaszcza że na dworze był mróz trzaskający, ale Zbyszko rzekł mu:

– Nie twoja głowa, Głowaczu (tak go bowiem z polska nazywał). Nic tu po nas w tym dworcu, a choćbym miał zachorzeć, toć starunku w Ciechanowie nie zabraknie. Wreszcie pojedę nie konno, ale w saniach, po szyć w sianie i pod skórą, a dopiero pod samym Ciechanowem na koń się przesiadę.

I tak się stało. Czech już przeznał swego młodego pana i wiedział, że niedobrze mu się przeciwiać, a jeszcze gorzej nie spełnić w lot rozkazu; więc w godzinę później ruszono. W chwili odjazdu Zbyszko, widząc Sanderusa ładującego się na sanie wraz ze swoją skrzynią, rzekł mu:

– A ty czegoś się do mnie przyczepił jak rzep do owczej wełny?... Mówiłeś, że chcesz do Prus.

– Mówiłem, że chcę do Prus – rzekł Sanderus – ale jakże mi tam samemu iść w takie śniegi? Wilcy mnie zjedzą, nim pierwsza gwiazda zejdzie, a tu też nie mam po co ostawać. Wolej mi w mieście ludzi po bożnością budować, świętym towarem ich darzyć i z diabelskich obierzy ratować, jakom Ojcu wszystkiego chrześcijaństwa w Rzymie przysiągł. A prócz tego okrutniem waszą miłość pokochał, więc jej nie opuszczę przed odejściem do Rzymu, bo może się zdarzy i jakąś przysługę oddać.

– Zawsze on za was, panie, gotów zjeść i wypić – rzekł na to Czech – i taką przysługę najbardziej rad by oddać. Ale jeśli nas za wielka chmara wilków w przasnyskim boru opadnie, to im go rzucim na odprawę, bo na nic lepszego się nie przy godzi.

– A wy patrzcie, by wam grzeszne słowo do wąsów nie przymarzło – odparł Sanderus – gdyż takowe sople tylko w piekielnym ogniu topnieją.

– O wa! – rzekł Głowacz, sięgając rękawicą do wąsów, które ledwie poczynały mu się sypać – pierwej spróbuję zagrzać piwa na popasie, ale tobie go nie dam.

– A przykazanie jest: spragnionego napoić. Nowy grzech!

– To ci dam wiadro wody, a tymczasem naści, co mam pod ręką.

I tak mówiąc, nabrał śniegu, ile mógł dwiema rękawicami objąć, i rzucił nim w brodę Sanderusa, ale ów uchylił się i rzekł:

– Nic po was w Ciechanowie, bo tam już jest chowany niedźwiadek, co śniegiem praska.

Tak to oni przekomarzali się ze sobą, dosyć się lubiąc wzajemnie. Zbyszko jednakże nie zabronił Sanderusowi jechać ze sobą, albowiem cudaczny ów człowiek bawił go, a zarazem zdawał się być istotnie do niego przywiązany. Ruszyli więc z dworca leśnego jasnym rankiem w mróz tak wielki, że trzeba było konie okrywać. Cała kraina leżała pod obfitym śniegiem. Dachy chat ledwie było spod niego widać, a miejscami dymy zdawały się wychodzić wprost z białych zasp i szły w górę strzeliste, różowe od poranku, rozszerzone u szczytu w kiście, podobne do rycerskich pióropuszków.

Zbyszko jechał na wozie, raz, dla zaoszczędzenia sił, a po wtóre, dla wielkiego zimna, przed którym łatwiej się było uchronić w wyumoszczonych sianem i skórą wozach. Kazał też Głowaczowi przysiąść się do siebie i mieć kuszę na podorędziu od wilków, tymczasem zaś gawędził z nim wesoło.

– W Przasnyszu – rzekł – jeno konie popasiem, rozgrzejem się i zaraz ruszymy dalej.

– Do Ciechanowa?

– Naprzód do Ciechanowa państwu się pokłonić i nabożeństwa zażyć.

– A potem? – pytał Głowacz. Zbyszko uśmiechnął się i odrzekł:

– Potem, kto wie, czy nie do Bogdańca.

Czech spojrział na niego ze zdziwieniem. W głowie błysnęła mu myśl, że może młody pan wyrzekł się Jurandówny, i wydało mu się to tym podobniejszym do prawdy, ponieważ Jurandówna wyjechała, o uszy zaś Czecha odbiła się w leśnym dworcu wiadomość, że pan na Spychowie przeciwny był młodemu rycerzowi. Więc ucieszył się pocziwy giermek, bo chociaż miłował Jagienkę, ale patrzył na nią tak jak na gwiazdę na niebie i rad by był okupić jej szczęście choćby krwią własną. Zbyszka też pokochał i z całej duszy pragnął obojgu do śmierci służyć.

– To już wasza miłość osiedzie na dziedzinie! – rzekł z radością.

– Jakże mi na dziedzinie siedzieć – odpowiedział Zbyszko – kiedyś owych rycerzy krzyżowych pozwał, a przedtem jeszcze Lichtensteina? Mówił de Lorche, że ponoć mistrz ma króla w gościnę do Torunia zaprosić, to się do królewskich pocztów przyczępię – i tak myślę,

że w Toruniu pan Zawisza z Garbowa albo pan Powąła z Taczewa wyprosi mi u pana naszego pozwolenie, abym się mógł na ostre z tymi mnichami potykać. Pewnikiem wystąpią oni z giermkami, więc i tobie przyjdzie się spotkać.

– Już bym też chyba sam mnichemostał, gdyby miało być inaczej – rzekł Czech.

Zbyszko spojrział na niego z zadowoleniem.

– No i nie będzie temu dobrze, który ci się pod żelaziwo nawinie. Pan Jezus dał ci siłę okrutną, ale źle byś uczynił, gdybyś nią zbyt puszył, albowiem prawemu giermkowi pokora przystoi.

Czech począł kiwać głową na znak, że siłą nie będzie puszył, ale jej też i na Niemców nie poskapi – a Zbyszko uśmiechał się w dalszym ciągu, ale już nie do giermka, tylko do własnych myśli.

– Stary pan będzie rad, gdy wrócim – rzekł po chwili Głowacz – i w Zgorzelicach też będą radzi.

Zbyszkwowi stanęła Jagienka tak w oczach, jakby przy nim siedziała na saniach. Bywało to zawsze, że gdy wypadkiem o niej pomyślał, to widział ją ogromnie wyraźnie...

„Nie! – rzekł sobie – nie będzie ona rada, bo jeśli wrócę do Bogdańca, to z Danuską, a ona niech bierze innego...” Tu mignęli mu przed oczyma: Wilk z Brzozowej i młody Cztań z Rogowa – i nagle uczyniło mu się przykro na myśl, że dziewczyna może pójść w ręce jednego z tych dwóch. „Wolej by lepszego jakiego znalazła – mówił sobie w duszy – bo to piwożłopy i kostery, a dziewczka uczciwa jest”. Pomyślał też i o tym, że stryjowi, gdy się dowie o tym, co zaszło, będzie okrutnie markotno, ale pocieszył się wraz myślą, że Maćkowi chodziło zawsze w pierwszym rzędzie o ród i o dostatki, które mogły znaczenie rodu podnieść. Jagienka była wprawdzie bliżej, bo o miedzę, ale za to Jurand większy był dziedzic od Zycha ze Zgorzelic, więc łatwo było przewidzieć, że Maćko nie będzie długo krzyw o taki związek, tym bardziej że wiedział przecie o miłości bratanka i o tym, ile ów Danusi zawdzięcza... Pomruczy, a potem będzie rad i pocznie Danuskę miłować jak własne dziecko!

I nagle serce w Zbyszku poruszyło się przywiązaniem i tęsknotą do tego stryjca, który był człowiek twardy, a przecie tak go kochał jak źrenicę oka; w bitwach jego więcej strzegł niżli siebie, dla niego łup brał, dla niego zabiegał o majątność. Dwóch ich było oto samotników na świecie! – krewnych nawet nie mieli, chyba dalekich jak opat – więc gdy, bywało, przyszło im się czasem rozłączyć, to jeden bez drugiego

nie wiedział, co począć, a zwłaszcza stary, który niczego już dla siebie nie pożył.

– Hej! będzie rad, będzie rad! – powtarzał sobie Zbyszko – i tego bym jeno chciał, żeby mnie i Jurand tak przyjął, jako on mnie przyjmie.

I próbował sobie wyobrazić, co też powie i pocznie Jurand, gdy się o ślubie dowie. Było w tej myśli trochę niepokoju, ale niezbyt wiele, właśnie dlatego że już klamka zapadła. Na bitkę nie wypadało przecie Jurandowi go wyzywać, gdyby zaś zbyt się sprzeciwiał, to mógł mu Zbyszko odpowiedzieć tak: „Przystańcie, póki proszę, bo wasze prawo do Danuśki ludzkie, a moje boskie – i nie wasza teraz ona, jeno moja”. Coś tam zasłyszał w swoim czasie od pewnego kleryka biegłego w Piśmie, że niewiasta powinna porzucić ojca i matkę, a pójść za mężem – więc czuł, że przy nim większa moc. Nie spodziewał się jednak, by między nim a Jurandem miało dojść aż do zawziętej niezgody i złości, liczył bowiem, że dużo wskórają prośby Danusi, a równie wiele, jeśli nie więcej, wstawiennictwo księcia, którego Jurand był podwładnym, i księżny, którą umiłował jako opiekunkę swego dziecka.

W Przasnyszu radzono im zostać na nocleg, ostrzegając ich przed wilkami, które z powodu mrozów pozbijały się w stada tak wielkie, że napadały nawet gromadnie jadących ludzi. Zbyszko jednak nie chciał na to zważać, albowiem zdarzyło się, iż w gospodzie spotkali kilku rycerzy mazowieckich z pocztami, którzy też jechali do księcia do Ciechanowa, i kilku zbrojnych kupców z samego Ciechanowa, prowadzących ładowne wozy z Prus. W tak wielkiej kupie nie było niebezpieczeństwa, więc ruszyli na noc, choć pod wieczór zerwał się nagle wiatr, nagnał chmur i poczęła się zadymka. Jechali, trzymając się blisko jedni drugich, ale tak wolno, iż Zbyszko począł myśleć, iż nie zdążą na Wilię. W niektórych miejscach trzeba było rozkopywać zasy, gdyż konie wcale nie mogły przejść. Szczęściem, droga leśna nie była błędna. Jednakże zmierzch już był na świecie, gdy dojrzeliby Ciechanów.

Może nawet byliby jeździli wokół miasta wśród śnieżnych tumanów i poświstu wichrów, nie domyślając się, że są tuż, gdyby nie ognie płonące na wzniesieniu, na którym budowano nowy zamek. Nikt już dobrze nie wiedział, czy w Wigilię Bożego Narodzenia palono te ognie dla gości, czy dla jakiegoś starożytnego zwyczaju, ale też i nikt ze Zbyszkowych towarzyszy teraz o tym nie myślał – wszyscy bowiem chcieli znaleźć jak najprędzej ochronę w mieście.

Tymczasem zamieć zwiększała się coraz bardziej. Ostry i mroźny wiatr niósł niezmierne tumany śnieżne, targał drzewami, huczał, szalał,

podrywał całe zaspy, podnosił je w górę, skręcał, rozpylał, przykrywał nimi wozy, konie, ciął po twarzach podróżników jakby ostrym piaskiem – tłumiał im oddech w piersiach i mowę. Głosu kołatek przytwierdzonych do dyszlów nie było wcale słyszeć, natomiast w wyciu i poświście wichru odzywały się jakieś głosy żalosne jakby wycie wilcze, jakby odległe rżenie koni, a czasem jakby pełne trwogi ludzkie wołanie o ratunek. Wyczerpane konie poczęły się spierać bokami o siebie i iść coraz wolniej.

– Hej, kurniawa też to, kurniawa! – rzekł zdyszany głosem Czech – szczęście, panie, żeśmy pod miastem i że owe ognie się palą, bo inaczej źle by było z nami.

– Kto w polu, temu śmierć – odrzekł Zbyszko – ale owo i ognia już nie widzę.

– Bo tuman taki, że i ogień nie prześwieci. A może rozmiotło drwa i węgle.

Na innych wozach rozmawiali także kupcy i rycerze, że kogo zamieć z dała od siedzib ludzkich ułapi, ten już dzwonoń jutro nie usłyszy. Lecz Zbyszko zaniepokoił się nagle i rzekł:

– Nie daj Bóg, aby tam Jurand był gdzie w drodze. Czech, lubo całkiem zajęty wpatrywaniem się w stronę ognisk, usłyszawszy słowa Zbyszka, odwrócił jednak głowę i zapytał:

– To pan ze Spychowa miał zjechać?

– Miał.

– Z panną?

– A ogień to ci naprawdę przesłoniło – odpowiedział Zbyszko. I rzeczywiście płomień przygasł, ale natomiast na drodze tuż przy koniach i saniach zjawilo się kilku jeźdźców.

– A czego następujesz? – zawołał czujny Czech, chwytając kuszę. – Kto wy?

– Ludzie książęcy, wysłani w pomoc podróżnym.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków.

– Prowadźcie do miasta! – ozwał się Zbyszko.

– Czy nikt z was nie ostał?

– Nikt.

– Skąd jedziecie?

– Od Przasnysza.

– A więcej podróżnych nie widzieliście po drodze?

– Nie widzieliśmy. Ale może znajdują się na innych gościńcach.

– Na wszystkich ludzie szukają. Jedźcie za nami. Zjechaliście z drogi! W prawo!

I zawrócili konie. Przez czas jakiś słyhać było tylko szum wichru.

– Siła gości w starym zamku? – spytał po chwili Zbyszko. Najbliższy jeździec, nie dosłyszawszy, pochylił się ku niemu:

– Jako zaś mówicie, panie?

– Pytam, czy siła gości u księstwa?

– Po staremu: jest dość!

– A dziedzica ze Spychowa nie ma?

– Nie ma, ale go czekają. Pojechali też ludzie naprzeciw.

– Z kagankami?

– Zaśby tam wiatr pozwolił!

Lecz dalej nie mogli rozmawiać, bo szum zamieci wzmógł się jeszcze.

– Czyste diabelskie wesele! – ozwał się Czech. Zbyszko jednak kazał mu milczeć i paskudnego imienia nie wywoływać.

– Nie wiesz to – rzekł – że w takie święta diabelska moc truchleje i że diabły w przeręble się chowają? Jednego raz pod Sandomierzem rybacy przed Wilią w niewodzie znaleźli: trzymał szczupaka w pysku, ale jak go głos dzwonów doszedł, zaraz omdlał, oni zaś kijami go tłukli aż do wieczery. Juźci wichura tęga jest, ale to z Pana Jezusowego pozwolenstwa, którego widać chce, żeby jutrzejszy dzień był tym radośniejszy.

– Ba! Byliśmy tuż pod miastem, a wszelako gdyby nie ci ludzie, jeździlibyśmy może i do północkska, gdyż juźemy z drogi zjechali – odpowiedział Głowacz.

– Bo ogień przygał.

Tymczasem wjechali jednak rzeczywiście do miasta. Zaspy śniegowe leżały tam na ulicach jeszcze większe, tak wielkie, że w wielu miejscach zakrywały niemal okna, z którego to powodu, błądząc za miastem, nie mogli dojrzeć światła. Ale natomiast wicher mniej tu dawał się we znaki. Na ulicach były pustki, mieszczanie siedzieli już przy wili. Przed niektórymi domami chłopcy z jasłeczkami i z kozą śpiewali, mimo zamieci, kolędy. Na rynku też było widać ludzi poowijanych w grochowiny i udających niedźwiedzi, ale w ogóle było pusto. Kupcy, którzy towarzyszyli Zbyszkowi i innej szlachcie w drodze, zostali w mieście, owi zaś jechali dalej do starego zamku, w którym mieszkał książę i który mając już szyby szklane, zajaśniał przed nimi wesoło mimo zawiei, gdy podjechali bliżej.

Zwodzony most na rowie był spuszczone, gdyż dawne czasy litewskich napadów minęły, a Krzyżacy, przewidując wojnę z królem polskim, sami szukali przyjaźni księcia mazowieckiego. Jeden z ludzi książęcych zadał w róg i wnet otworzono bramę. Było przy niej kilkunastu łuczników, ale na murach i blankach ani żywej duszy, gdyż książę pozwolił strażom zejść. Naprzeciw gości wyszedł stary Mrokota, który już był przyjechał przed dwoma dniami, i powitawszy ich w imieniu księcia, zaprowadził do izb, w których mogli się przybrać godnie do stołu.

Zbyszko począł go zaraz wypytywać o Juranda ze Spychowa, ów zaś odrzekł, że go nie ma, ale się go spodziewają, gdyż obiecał przecie przyjechać, a gdyby był zachorzał mocniej, to dałby znać. Wysłali jednak naprzeciw kilkunastu jeźdźców, bo takiej zawiei najstarsi ludzie nie pamiętają.

– To może niezadługo tu będą.

– Wiera, że niezadługo. Księżna kazała postawić dla nich miski przy wspólnym stole.

Więc Zbyszko, choć zawsze strach mu było trochę Juranda, uradował się w sercu i mówił sobie: „Choćby też nie wiem, co czynił, tego nie odrobi, że to żona moja przyjeżdża, moja niewiasta, moja Danuśka najmilsza!” I gdy sobie to powtarzał, ledwie własnemu szczęściu mógł uwierzyć. Po czym pomyślał, że może mu tam już wszystko wyznała, może go przejednała i uprosiła, żeby ją zaraz oddał. „Po prawdzie, to i cóż ma lepszego do zrobienia? Jurand jest chłop mądry i wie, że choćby mi jej bronił, to ją i tak wezmę, bo moje prawo mocniejsze”.

Tymczasem, przebierając się, rozmawiał z Mrokota, wypytyując o zdrowie księcia, a szczególnie księżny, którą jeszcze od bytności w Krakowie pokochał jak matkę. Rad też był, dowiedziawszy się, że w zamku wszyscy zdrowi i weseli, chociaż księżna wielce po swojej miłej śpiewaczce tęskniła. Grywa jej teraz na luteńce Jagienka, którą księżna dość lubi, ale już nie tak.

– Jaka Jagienka? – zapytał ze zdziwieniem Zbyszko.

– Jagienka z Długolasu, wnuczka starego pana z Długolasu. Gładka dziewczka, w której się ów Lotaryńczyk rozkochał.

– To pan de Lorche tu jest?

– Gdzie by miał być? Przecie z leśnego dworca tu przyjechał i siedzi, bo mu dobrze. Nie brak naszemu księciu nigdy gości.

– Rad go obaczę, bo to rycerz, któremu w niczym nie przyganić.

– I on też was miłuje. Ale już chodźmy, gdyż księstwo wraz do stołu zasięda.

I poszli. W sali stołowej w dwóch kominach paliły się wielkie ognie, nad którymi czuwali pachołkowie, i roilo się już od gości i dworzan. Książę wszedł pierwszy w towarzystwie wojewody i kilku przybocznych. Zbyszko pochylił mu się do kolan, a następnie ucałował jego rękę.

On zaś ścisnął go za głowę, następnie, odwiódłszy go nieco na stronę, rzekł:

– Jużci o wszystkim wiem. Mruczno mi było z początku, żeście to bez mego pozwolenstwa uczynili, ale po prawdzie nie było czasu, bom ja w oną porę był w Warszawie, gdzie i święta chciałem przepędzić. Wiadoma wreszcie rzecz, iż jak się niewiasta czego chyci, to się i nie przeciw, bo nic nie wskórasz.

Księżna pani wam życzy jak matka, a ja zawdy wolę jej dogodzić niż się przeciw, z takowej przyczyny, aby zaś smutku i płakania jej oszczędzić.

Zbyszko pochylił się po raz wtóry do kolan książęcych.

– Daj Bóg waszej książęcej miłości odsłużyć.

– Chwalić Jego imię, żeś już zdrow. Powiedzże księżnie, jakom cię życzliwie przyjął, to się niewiasta ucieszy! Boga mi! Jej uciecha – moja uciecha! Jurandowi za tobą dobre słowo też rzeknę i tak myślę, że pozwolenstwo da, bo on też księżnę miłuje.

– Choćby i nie chciał dać, to moje prawo pierwsze.

– Twoje prawo pierwsze i musi się zgodzić, ale błogosławieństwa może wam umknąć. Przemocą mu tego nikt nie wydrze, a bez rodzicielskiego błogosławieństwa nie masz i boskiego.

Zatroskał się Zbyszko, usłyszawszy te słowa, gdyż dotąd o tym nie pomyślał. W tej chwili jednak weszła księżna z Jagienką z Długolasu i z innymi dworkami, więc skoczył pokłonić się pani, ona zaś powitała go jeszcze łaskawiej od księcia i zaraz poczęła mu mówić o spodziewanym przyjeździe Juranda. Oto misy dla nich zastawione, a ludzie wysłani, by ich przeprowadzić wśród zamieci. Z wieczszą wigilijną czekać już dłużej nie podobna, bo pan tego nie lubi, ale oni pewnie zjadą, nim wieczerza się skończy.

– Co do Juranda – mówiła księżna – będzie wedle natchnienia Bożego. Albo mu powiem dziś wszystko, albo jutro po pastercie, a książę też przyobiecał, że swoje słowo dołoży. Zawzięty bywa



Jurand, ale nie dla tych, których miłuje, i nie dla tych, którym powinien.

Tu poczęła mówić Zbyszkowi, jak się ma z teściem zachować, by go, broń Boże, nie urazić i do zawziętości nie przywieść. Była w ogóle dobrej myśli, ale kto by lepiej znał świat i patrzył bystrzej od Zbyszka, ten zauważyłby w słowach jej pewien niepokój. Może było tak dlatego, że pan ze Spychowa nie był w ogóle człowiek łatwy, a może też poczęła się księżna trwożyć nieco tym, że ich tak długo nie było widać. Wieja stawała się na dworze coraz okrutniejsza i wszyscy mówili, że kogo w szczerym polu złapie, ten może i zostać; księżnie jednakże przychodziło do głowy i inne przypuszczenie: mianowicie, że Danuška wyznała ojcu, iż jest już ślubem ze Zbyszkciem połączona, a ów, obraziwszy się, postanowił wcale do Ciechanowa nie przyjeżdżać. Nie chciała jednak pani zwierzyć się Zbyszkowi z tych myśli, a nawet nie było na to i czasu, gdyż pachołcy poczęli wносить jadło i zastawiać je na stole. Zdążył wszelako Zbyszko podjąć ją jeszcze pod nogi i zapytać:

– A jeśli przyjadą, to jakoże będzie, miłościwa pani? Mówił mi Mrokota, że dla Juranda jest osobna izba, gdzie też i dla giermków znajdzie się siano na posłanie. Ale jakoże będzie?...

A księżna poczęła się śmiać i uderzywszy go z lekka rękawicą po twarzy, rzekła:

– Cichaj! Czegóż? Widzicie go!

I odeszła ku księciu, przed którym rękodajni wysunęli już krzesło, aby mógł na nim zasiąść. Przedtem jednak jeden z nich podał mu płaską misę, pełną cienko pokrajanego placka i opłatków, którymi książę miał się dzielić z gośćmi, dworzany i służbą. Drugą podobną trzymał dla księżny piękny wyrostek, syn kasztelana sochaczewskiego. Po przeciwnej stronie stołu stał ksiądz Wyszoniek, który miał błogosławić ustawioną na pachnącym sianie wieczerzę. A wtem we drzwiach ukazał się człowiek pokryty śniegiem i począł wołać głośno:

– Miłościwy panie!

– Czego? – rzekł książę, nierad, iż mu przerywają obrządek.

– Na Radzanowskim gościńcu całkiem przysypało jakichś podróżnych. Ludzi nam trzeba więcej, by ich odgrześć.

Złękli się, usłyszawszy to, wszyscy, zatrwożył się książę i zwróciwszy się do kasztelana sochaczewskiego, zakrzyknął:

– Konnych z łopatami żywo. Po czym do zwiastuna nowiny:

– Wiele przysypanych?

- Nie mogliśmy zmiarkować. Dmie okrutnie. Są konie i wozy.  
Znaczny poczet.
- Nie wiecie, czyj zaś?
- Ludzie mówią: dziedzica ze Spychowa.

## ROZDZIAŁ XXVII

Zbyszko, usłyszawszy nieszczęsną nowinę, nie pytając nawet o pozwolenie księcia, skoczył do stajen i kazał konie siodłać. Czech, który jako szlachetnie urodzony giermek znajdował się z nim na sali, zaledwie zdołał wrócić do izby i przynieść ciepłą lisiurę; nie próbował jednakże młodego pana wstrzymać, gdyż mając z przyrodzenia rozum tęgi, wiedział, że wstrzymywanie na nic się nie przyda, a mitręga może okazać się zgubną. Siadłszy na drugiego konia, pochwycił jeszcze w bramie od odźwiernego kilka pochodni i wnet ruszyli razem z książęcymi ludźmi, których wartko sprawił stary kasztelan. Za bramą ogarnęły ich nieprzebite ciemności, ale wichura wydawała się im mniejsza. Byliby może zaraz za miastem zbłądzili, gdyby nie ów człowiek, który pierwszy dał znać o wypadku, a który teraz prowadził ich tym szybciej i pewniej, że miał przy sobie psa już poprzednio z drogą obeznanego. Na otwartym polu wichur zaczął znowu siec ich ostro po twarzach, głównie jednak dlatego, że jechali w cwał. Gościniec był kopny, miejscami zaś tak zawiany, że trzeba było zwalniać, gdyż konie zapadały po brzuchy. Ludzie książęcy pozapalali pochodnie, kaganki i jechali wśród dymu i płomieni, w które wiatr dał z taką siłą, jakby je chciał oderwać od smolnych szczap i ponieść na pola i bory. Droga była daleka – minęli osady bliższe Ciechanowa, a następnie Niedzborz, po czym skierowali się w stronę Radzanowa. Za Niedzborzem burza zaczęła jednak uciszać się rzeczywiście. Uderzenia wichru stały się słabsze i nie niosły już w sobie całych tumanów śnieżnych. Niebo pojaśniało. Z góry sypał jeszcze czas jakiś śnieg, ale wkrótce ustał. Potem tu i owdzie w szczelinach chmur błysnęła gwiazda. Konie poczęły parskać –jeźdźcy odetchnęli swobodniej. Gwiazd przybywało z każdą chwilą i brał mróz. Po upływie kilku pacierzy uciszyło się zupełnie.

Pan de Lorche, który jechał obok Zbyszka, jął go pocieszać, mówiąc, że niezawodnie Jurand w chwili niebezpieczeństwa myślał przede wszystkim o ocaleniu córki i że choćby wszystkich odkopali zmarłych, ją znajdą niezawodnie żywą, a może i śpiącą pod skórą. Ale Zbyszko mało go rozumiał, a wreszcie nie miał i czasu go słuchać,

gdyż po niejakej chwili przewodnik jadący na przedzie skręcił z gościńca.

Młody rycerz wysunął się naprzód i począł pytać:

– Czemu zbaczamy?

– Bo ich nie na gościńcu zasypało, jeno tam, hen! Widzicie, panie, ten olszniak?

To rzekłszy, ukazał ręką ciemniejące w dali zarośla, które można było dojrzeć na białej płaszczyźnie śniegowej, gdyż chmury odsłoniły tarczę księżycą i noc stała się widna.

– Widać zjechali z gościńca.

– Zjechali z gościńca i jeździli w kółko wedle rzeki. W czasie wiei i zadymki łatwo się taka rzecz przygodzi. Jeździli i jeździli, póki konie nie ustały.

– Jakożeście ich znaleźli?

– Pies doprowadził.

– W pobliżu nie ma jakich chat?

– Są, ale po tamtej stronie rzeki. Tu zaraz Wkra.

– W konie! – zawołał Zbyszko.

Ale rozkazać było łatwiej niż rozkaz wykonać, bo jakkolwiek brał ostry mróz. na łące jednak leżał śnieg niezamarzły jeszcze, sypki, świeżo nawiany i głęboki, w którym konie zapadały wyżej kolan; musieli więc posuwać się z wolna. Nagle doszło ich szczekanie psa, wprost zaś przed nimi zamajaczył gruby i garbaty pień wierzby, nad którym połykiwała w świetle księżycą korona bezlistnych prętów.

– Tamci są dalej – rzekł przewodnik – w pobliżu olszniaka; ale i tu coś musi być.

– Jest zaspą pod wierzbą. Poświećcie! Kilku ludzi księżących zsiadło z koni i zaczęło świecić pochodniami, po czym zaraz jeden zawołał:

– Człowiek pod śniegiem! Widać głowę, ot tu!

– Jest i koń – zawołał zaraz drugi

– Odkopać!

Łopaty poczęły zanurzać się w śnieg i odrzucać go na obie strony.

Po chwili ujrzano siedzącą pod drzewem postać ludzką ze schyloną na piersi głową i czapką głęboko zasuniętą na twarz. Jedna ręka trzymała lejce konia, który leżał obok z nozdrzami zarytymi w śnieg. Widocznie człowiek odjechał od orszaku, może dlatego, by dostać się prędzej do mieszkań ludzkich i sprowadzić pomoc, a gdy koń mu padł,

wówczas schronił się pod wierzbę po stronie przeciwnej od wiatru – i tam skrzepł.

– Poświeć! – zawołał Zbyszko.

Pachołek przysunął pochodnię do twarzy zmarłego, ale rysów trudno było zrazu rozeznąć. Dopiero gdy drugi pachoł uniósł pochyloną głowę do góry, ze wszystkich piersi wyrwał się jeden okrzyk:

– Pan ze Spychowa!

Zbyszko kazał go porwać dwom ludziom i ratować w najbliższej chacie, sam zaś, nie tracąc chwili, skoczył wraz z pozostałą służbą i przewodnikiem na ratunek reszty orszaku. Po drodze myślał, że tam znajdzie Danuškę, żonę swoją, może nieżywą – i wypierał ostatni dech z konia, który buchał się w śniegu po piersi. Szczęściem nie było już daleko – najwyżej kilka stajañ. Z ciemności ozwały się głosy: „Bywaj!” – ludzi, którzy poprzednio zostali przy zasypanych. Zbyszko dopadł i zeskoczył z konia:

– Do łopat!

Dwoje sani było już odkopanych przez tych, którzy pozostali na straży. Konie i ludzie w nich zmarzli bez ratunku. Gdzie są inne zaprzęgi, można było poznać po pagórkach śnieżnych, chociaż nie wszystkie sanie były całkiem pokryte. Przy niektórych widać było konie, brzuchami wsparte o zasy, rwące się jakby do biegu, zakrzepłe w ostatnim wysileniu. Przed jedną parą stał człowiek z dzidą w ręku, zanurzony po pas w śniegu, nieruchomy jak słup; w dalszych pachołkowie pomarli przy koniach, trzymając je przy pysku. Śmierć ich zaskoczyła widocznie w chwili, gdy chcieli wydobywać konie ze śnieżnych zawałów. Jeden zaprząg na samym końcu orszaku całkiem był nie przysypany. Woźnica siedział skulony na przedzie z rękoma przy uszach, zaś w tyle leżało dwóch ludzi; długie rzuty śniegowe nawiane w poprzek ich piersi łączyły się z zaspą leżącą obok i przykrywały ich jak pościel, a oni zdawali się spać cicho i spokojnie. Lecz inni poginęli, walcząc do ostatka z zawieją, albowiem skrzepili w postawach pełnych wysilenia. Kilka sań było wywróconych; u niektórych połamane dyszle. Łopaty odkrywały co chwila grzbiety końskie wyprężone jak łuki lub łby wbite zębami w śnieg, ludzi w saniach i obok sań – lecz na żadnych nie znaleziono niewiast. Zbyszko chwilami pracował łopata, aż pot zlewał mu czoło; chwilami świecił w oczy trupom z bijącym sercem, czy nie ujrzy między nimi kochanej twarzy – wszystko na próżno! Płomień oświecał tylko groźne wąsate twarze spychowskich zabijaków – ni Danusi, ni żadnej innej niewiasty nie było nigdzie.

– Co to jest? – pytał siebie ze zdumieniem młody rycerz. I wołał na ludzi pracujących opodal, pytając, czy czego nie odkryli; lecz ci odkrywali samych mężów. Wreszcie robota była skończona. Pachołkowie pozaprzęgali do sani własne konie i siadłszy na kozły, ruszyli z trupami ku Niedzborzu, by tam w ciepłym dworze próbować jeszcze, czyli którego ze zmarłych nie będzie można przywrócić do życia. Zbyszko z Czechem i dwoma ludźmi pozostał. Na myśl mu przyszło, że może sannie z Danusią odłączyły się od orszaku; może Jurand, jeśli, jak należało się spodziewać, zaprzężone były w konie najlepsze, kazał im jechać naprzód; a może zostawił je gdzie przy chacie po drodze. Zbyszko sam nie wiedział, co ma począć; w każdym razie chciał przepatrzeć pobliskie zasy, olsznik, a potem nawrócić i szukać po gościńcu.

Ale w zaspach nie znaleziono nic. W olszniaku błysnęły im jeno kilkakroć świeczki wilcze, nigdzie jednak nie trafili na ślady ludzi i koni. Łąka między olszniakiem a gościńcem lśniła się teraz w blasku księżycy i na białej, smutnej jej powierzchni widać było wprawdzie z dala tu i ówdzie kilka ciemniejszych plam, ale były to także wilki, które za zbliżeniem się ludzi poczynwały szybko umykać.

– Wasza miłość! – rzekł wreszcie Czech – próżno tu jeździm i szukamy, bo panny ze Spychowa nie było w orszaku.

– Na gościniec! – odpowiedział Zbyszko.

– Nie znajdziem i na gościńcu. Patrzałem ja dobrze, czy na których saniach nie było jakowych łubów, a w nich białogłowskich przyodziewków. Nie było nic. Panna ostała w Spychowie.

Zbyszka uderzyła trafność tej uwagi, więc odrzekł:

– Daj Bóg, aby tak było, jako mówisz.

A Czech poszedł jeszcze głębiej po rozum do głowy:

– Gdyby była gdzie w saniach, starszy pan nie byłby od niej odjechał albo odjeżdżając, wziąłby ją przed siebie na koń i bylibyśmy ją przy nim znaleźli.

– Jedźmy tam jeszcze raz – rzekł Zbyszko zaniepokojonym głosem.

Na myśl bowiem przyszło mu, że może tak i było, jak mówił Czech. Nuż nie szukali dość starannie! Nuż Jurand wziął przed siebie na konia Danusię, a potem, gdy koń padł, Danusia odeszła od ojca, chcąc znaleźć dla niego jakąś pomoc. W takim razie mogła znajdować się gdzie pod śniegiem w pobliżu

Ale Głowacz, jakby odgadłszy te myśli, powtórzył:

– W takim razie znalazłby się na saniach przyodziewek, boć nie jechałaby na dwór jeno w tych szatach, które na sobie miała.

Mimo tej słusznej uwagi pojechali jednakże pod wierzbę – ale ni pod nią, ni na staje wokoło nie znaleźli nic. Juranda już byli zabrali ludzie książęcy do Niedzborza i wokół było pusto zupełnie. Czech uważał jeszcze, że pies, który biegł przy przewodniku i który znalazł Juranda, byłby znalazł i panienkę. Wówczas Zbyszko odetchnął, nabrał bowiem niemal pewności, że Danusia została w domu. Umiał nawet zdać sobie sprawę, dlaczego się tak stało: oto Danusia widocznie wyznała wszystko ojcu, ów zaś, nie zgodziwszy się na małżeństwo, umyślnie ostawił ją w domu, sam zaś przyjechał wytoczyć sprawę przed księcia i szukać jego wstawiennictwa do biskupa. Na tę myśl Zbyszko nie mógł oprzeć się uczuciu pewnej ulgi, a nawet i radości, gdyż zrozumiał, że wraz ze śmiercią Juranda znikły wszelkie przeszkody. „Jurand nie chciał, ale Pan Jezus chciał – rzekł sobie młody rycerz – i wola boska zawsze mocniejsza”. Teraz jechać mu tylko do Spychowa i brać Danuskę jak swoją, a potem jeno ślub spełnić, który też na samym pograniczu łatwiejszy był do spełnienia niż w dalekim Bogdańcu. „Wola boska! wola boska!” – powtarzał sobie w duszy. Nagle jednak zawstydził się tej prędkiej radości i zwróciwszy się do Czecha, rzekł:

– Juści mi go żal i głośno to przyświadczam.

– Ludzie mówili, że Niemcy bały się go jak śmierci – odrzekł giermek.

Po chwili zaś zapytał:

– Wrócim teraz do zamku?

– Przez Niedzbórz – odpowiedział Zbyszko. Jakoż wstąpili do Niedzborza i zajechali przede dwór, w którym przyjął ich stary dziedzic Żelech. Juranda już nie znaleźli, lecz Żelech powiedział im dobrą nowinę:

– Tarli go tu śniegiem, ledwie nie do kości – rzekł – i wino mu wlewali w gębę, a potem parzyli go w łaźni, gdzie też począł i dychać.

– Żyje? – zapytał z radością Zbyszko, który na tę wieść zapomniał o swoich własnych sprawach.

– Żyje, ale czy wyżyje. Bóg wie, bo dusza nierada z pół drogi wracać.

– Czemu zaś go powieźli?

– Bo przysłali od księcia. Co było pierzyn w domu, to go nimi przykryli i powieźli.

– A nie powiadał o córce nic?

– Ledwie że zaczął dychać; mowy nie odzyskał.

– A inni?

– A inni u Boga już za piecem. Nie będą niebożęta na pasterce, chyba na tej, którą sam pan Jezus w niebie odprawi.

– Żaden nie ożył?

– Żaden. Chodźcie do izby, miast w sieni rozmawiać. A jeśli chcecie ich widzieć, to leżą wedle ognia w czeladnej. Chodźcie do izby.

Lecz oni spieszyli się i nie chcieli wejść, choć stary Żelech ciągnął ich, bo rad łapał ludzi, aby z nimi „ugwarzyć”. Mieli jeszcze z Niedzborza do Ciechanowa szmat drogi i Zbyszka paliło jak ogniem, by co prędzej zobaczyć Juranda i czegoś się od niego dowiedzieć.

Jechali więc, jak mogli, spiesznie po zawianym gościńcu. Gdy przyjechali, było już po północy i pasterka kończyła się właśnie w zamkowej kaplicy. Do uszu Zbyszka doszedł ryk wotów i beczenie kóz, które to głosy udawali wedle starego zwyczaju pobożni, na pamiątkę tego, że Pan urodził się w stajence. Po mszy przyszła do Zbyszka księżna z twarzą stroskaną, pełną przestachu i poczęła wypytować:

– A Danuśka?

– Nie masz jej. Zali Jurand nie przemówił, bo jako słyszałem, żyje?

– Jezusie miłosierny!... Kara to boska i gorze nam! Nie przemówił ci Jurand i leży jak drewno.

– Nie bójcie się, miłościwa pani. Danuśka ostała w Spychowie.

– Skąd wiesz?

– Bo w żadnych saniach ni śladu przyodziewku. Nie byłby ci jej przecie wioził w jednej kozuszyne.

– Prawda, jak mi Bóg miły!

I wnet oczy poczęły jej błyskać radością, a po chwili zawołała:

– Hej! Jezusiczku, coś się dziś narodził, nie gniew widać Twój, je-no błogosławieństwo jest nad nami.

Zastanowiło ją jednak przybycie Juranda bez dziewczyny, więc pytała dalej:

– Czemu by zaś miał ją ostawiać? Zbyszko wy łuszczył jej swoje domysły. Wydały się jej one słuszne, ale nie przejmowały jej zbytnią obawą.

– Będzie nam teraz Jurand życie zawdzięczał – rzekła – a po prawdzie, to i tobie, boś i ty jeździł go odgrzebywać. Już by też kamień chyba w piersi miał, żeby się dłużej upierał! Jest też w tym dla niego i przestroga boska, by z Sakramentem świętym nie wojował. Jak tylko się obaczy a przemówi, zaraz mu to powiem.



– Trzeba, żeby się pierwaj obaczył, gdyż jeszcze nie wiadomo, dlaczego Danuśki nie wziął. A nuż chora?

– Nie powiadaj byle czego! I tak mi markotno, że jej nie ma. Żeby była chora, toby jej nie odjechał!

– Prawda! – rzekł Zbyszko.

I poszli do Juranda. W izbie gorąco było jak w łaźni i widno zupełnie, gdyż na kominie paliły się ogromne kłody sosnowe. Ksiądz Wyszoniek czuwał nad chorym, który leżał na łożu pod niedźwiedzimi skórami, z twarzą bladą, z polepionymi od potu włosami i z zamkniętymi oczyma. Usta miał otwarte i robił pierściami jakby z trudem, ale tak silnie, że aż skóry, którymi był nakryty, podnosiły się i opadały od oddechu.

– Jakoże jest? – spytała księżna.

– Wlałem mu dzbaniec grzanego wina w gębę – odrzekł ksiądz Wyszoniek – i poty na niego przyszły.

– Śpi czy nie śpi?

– Może i nie śpi, bo bokami okrutnie robi.

– A próbowaliście do niego gadać?

– Próbowalem, ale nie odpowiada nic i tak myślę, że przed świtaniem nie przemówi.

– Będziem czekać świtania – rzekła księżna. Ksiądz Wyszoniek jął nalegać, by udała się na spoczynek, ale ona nie chciała go słuchać. Chodziło jej zawsze i we wszystkim o to, by dorównać w cnotach chrześcijańskich, a zatem i w doglądaniu chorych, zmarłej królowej Jadwidze, i odkupić swymi zasługami duszę ojca; nie pomijała więc żadnej sposobności, by w chrześcijańskim od wieków kraju okazać się gorliwszą od innych i tym zatrzeć pamięć, że urodziła się w pogaństwie.

A oprócz tego paliła ją chęć, by dowiedzieć się czegoś z ust Juranda o Danusi, nie była bowiem zupełnie o nią spokojna. Siadłszy więc przy jego łożu, poczęła odmawiać różaniec, a następnie drzemać. Zbyszko, który nie był jeszcze zupełnie zdrow, a w dodatku strudził się nad miarę jazdą nocną, poszedł wkrótce za jej przykładem i po upływie godziny posnęli oboje tak mocno, że byliby może dospali do białego dnia, gdyby nie to, że o świtaniu obudził ich głos dzwonka z zamkowej kaplicy.

Ale głos ów rozbudził i Juranda, który otworzył oczy, siadł nagle na łożu i jął rozglądać się wokół, mrugając przy tym oczyma.

– Pochwalony Jezus Chrystus!... Jakoże wam? – rzekła księżna. Lecz on widocznie nie oprzytomniał jeszcze, gdyż patrzył na nią, jakby jej nie poznawał, i po chwili zawołał:

– Bywaj! bywaj! rozkopać zaspę!

– W imię Boże: jużście w Ciechanowie! – ozwała się znów pani.

Jurand zaś zmarszczył czoło jak człowiek, który z trudem zbiera myśli, i odrzekł:

– W Ciechanowie?... Dziecko czeka i... księstwo... Danuśka! Danuśka!

I nagle, zamknąwszy oczy, upadł znów na wezglowie. Zbyszko i księżna złękli się, czy nie umarł, lecz w tej samej chwili piersi jego poruszały się poruszać głębokim oddechem jak u człowieka, którego pochwycił twardy sen.

Ojciec Wyszoniek przyłożył palec do ust i dał znak ręką, by go nie budzić, po czym szepnął:

– Może tak prześpi cały dzień.

– Tak, ale co on mówił? – zapytała księżna.

– Mówił, że dziecko czeka w Ciechanowie – odpowiedział Zbyszko.

– Bo się nie opamiętał – objaśnił ksiądz.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Ojciec Wyszoniek obawiał się nawet, czy i po powtórnym rozbudzeniu nie chwyci Juranda dur i nie odejmie mu na długo przytomności. Tymczasem obiecał księżnie i Zbyszkowi, że im da znać, gdy stary rycerz przemówi, a po ich odejściu sam udał się na spoczynek. Jakoż Jurand rozbudził się dopiero w drugie święto przed samym południem, ale za to zupełnie przytomny. Księżna i Zbyszko byli przy tym obecni, więc on, siadłszy na łożu, spojrzał na nią, poznał i rzekł:

– Miłościwa pani... Dłaboga, tom ja w Ciechanowie?

– I przespaliście święto – odrzekła pani.

– Śniegi mnie przysypały. Kto mnie zratował?

– Ten rycerz: Zbyszko z Bogdańca. Pamiętajcie, w Krakowie...

A Jurand popatrzył chwilę swoim zdrowym okiem na młodzieńca i rzekł:

– Pamiętam... A gdzie Danuśka?

– Nie jechała przecie z wami? – spytała z niepokojem księżna.

– Jakże miała ze mną jechać, kiedy to ja do niej jechał? Zbyszko i księżna spojrzeli po sobie w mniemaniu, że to jeszcze gorączka mówi przez usta Jurandowe, po czym pani rzekła:

– Ocknijcie się, na miły Bóg! Nie było-li z wami dziewczyny?

– Dziewczyny? Ze mną? – spytał ze zdumieniem Jurand.

– Bo wasi ludzie poginęli, ale jej między nimi nie znaleźli. Czemuście ją ostawili w Spychowie?

Ów zaś powtórzył jeszcze raz, ale już z trwogą w głosie:

– W Spychowie? Toć ona przy was, miłościwa pani, nie przy mnie!

– Przecie przysłaliście po nią do leśnego dworca ludzi i pismo!

– W imię Ojca i Syna! – odpowiedział Jurand. – Zgoła po nią nie posyłałem.

Wówczas księżna przybladła nagle.

– Co to jest? – rzekła – zali wyście pewni, że przytomnie mówicie?

– Na miłosierdzie boskie, gdzie dziecko? – zawołał, zrywając się, Jurand.

Ojciec Wyszoniek, usłyszawszy to, wyszedł pospiesznie z izby, a księżna mówiła dalej:

– Słuchajcie: przybył poczet zbrojny i pisanie od was do leśnego dworca po Danuskę. W piśmie było, że was belki w pożarze przytłukły... żeście na wpół oślepli i że chcecie dziecko widzieć... Wzięli Danuskę i pojechali...

– Gorze! – zawołał Jurand. – Jako Bóg na niebie, tak ni ognia nijkiego w Spychowie nie było, ni ja po nią nie posyłałem!

A wtem wrócił ksiądz Wyszoniek z listem, który podał Jurandowi, i zapytał:

– Nie waszego to księdza pisanie?

– Nie wiem.

– A pieczęć.

– Pieczęć moja. Co w piśmie stoi? Ojciec Wyszoniek odczytał pismo, Jurand słuchał, chwytając się za włosy, po czym rzekł:

– Pismo zmyślane!... pieczęć udana! Gorze duszy mojej! Chwycili mi dziecko i zatracą!

– Kto?

– Krzyżaki!

– Rany boskie! Księżciu trzeba oznajmić! Niech posłów śle do mistrza! – zawołała pani. – Jezu miłosierny, ratujże ją i pomagaj!...

I to rzekłszy, wybiegła z krzykiem z izby. Jurand wyskoczył z łóża i począł gorączkowo wciągać szaty na swój olbrzymi grzbiet. Zbyszko siedział jak skamieniały, ale po chwili zaciśnięte zęby jego poczęły zgrzytać złowrogo.

– Skąd wiecie, że Krzyżaki ją porwały? – zapytał ksiądz Wyszoniek.

– Na mękę Bożą przysięgnę!

– Czekajcie!... Może być. Przyjeżdżali skarżyć się na was do leśnego dworca... Chcieli pomsty na was...

– I oni ją porwali! – zawołał nagle Zbyszko.

To rzekłszy, wybiegł z izby i poskoczywszy do stajen, kazał zaprzęgać wozy i konie siodłać, sam nie wiedząc dobrze, dlaczego to czyni. Rozumiał tylko, że trzeba iść na ratunek Danusi – i to zaraz – i aż do Prus – i tam wyrwać ją z wrogich rąk albo zginąć.

Po czym wrócił do komnaty, by powiedzieć Jurandowi, że oręż i konie zaraz będą gotowe. Był pewien, że Jurand z nim pojedzie. W sercu wrzał mu gniew, ból i żal – ale jednocześnie nie tracił nadziei, zdawało mu się bowiem, że we dwóch z groźnym rycerzem ze Spychowa potrafią wszystkiego dokazać – i że mogą się porwać choćby na całą potęgę krzyżacką.

W izbie, prócz Juranda, ojca Wyszonia i pani, zastał także księcia i pana de Lorche oraz starego pana z Długolasu, którego książe, dowiedziawszy się o sprawie, wezwał także na naradę, a to dla jego rozumu i doskonałej znajomości Krzyżaków, u których przesiedział długie lata w niewoli.

– Potrzeba poczynać roztropnie, by zaś zapalczywością nie zgrzeszyć i dziewczki nie zgubić – mówił pan z Długolasu. – Mistrzowi należy się zaraz poskarżyć i jeśli W. Ks. Mość da do

niego pisanie, to ja pojedę.

– Pisanie dam i wy z nim pojedziecie – rzekł książe. – Nie damy dziecku zginać, tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż. Mistrz boi się wojny z królem polskim i chodzi mu o to, by sobie i Semka, brata mego, i mnie zjednać... Jużci nie z jego rozkazania ją porwano – i nakaże ją oddać

– A jeśli z jego rozkazania? – spytał ksiądz Wyszoniek.

– Chociaż to Krzyżak, więcej w nim uczciwości niż w innych – odrzekł książe – i jakom wam rzekł, prędzej by on mi teraz chciał wygodzić niż mnie rozgniewać. Potęga Jagiełłowa nie śmiech... Hej! zalewali oni nam sadła za skórę, póki mogli, ale ninie obaczyli się, że jak jeszcze i my Mazury pomożem Jagiełłę, to będzie źle...

Lecz pan z Długolasu począł mówić:

– Prawda jest. Krzyżaki po próżnicy niczego nie czynią; toteż tak miarkuję, że jeśli dziewczkę porwali, to jeno dlatego, by Jurandowi miecz z rąk wytrącić i alibo wykup wziąć, alibo ją wymienić.

Tu zwrócił się do pana ze Spychowa:

– Kogo macie teraz z jeńców?

– De Bergowa – odpowiedział Jurand.

– Znacznyż to kto?

– Widzi się, że znaczny.

Pan de Lorche, usłyszawszy nazwisko de Bergowa, począł o niego wypytywać i dowiedziawszy się, o co idzie, rzekł:

– To krewny hrabiego Geldrii, wielkiego dobrodzieja Zakonu i z rodu Zakonowi zasłużonego.

– Tak jest – rzekł pan z Długolasu, przetłumaczywszy obecnym jego słowa. – De Bergowowie wielkie piastowali dostojęstwa w Zakonie.

– A przecież Danveld i de Lowe okrutnie się o niego upominali – rzekł książe. – Co który gębę otworzył, to mówił, że de Bergow musi

być wolny. Jako Bóg w niebie, tak niechybnie po to oni dziewczkę porwali, by de Bergowa wydostać.

– Za czym ją i oddadzą – rzekł ksiądz.

– Ale lepiej by wiedzieć, gdzie jest – rzekł pan z Długolasu. – Bo dajmy, że mistrz spyta: komu mam rozkazać, by ją oddał? Cóż mu powiemy?

– Gdzie jest? – rzekł głucho Jurand. – Nie trzymają oni jej pewnie na pograniczu, ze strachu, bym jej nie odbił, jeno gdzieś ją na dalekie mierzeje wiślane albo morskie wywieźli.

A Zbyszko rzekł:

– Znajdziem ją i odbijem.

Lecz ksiązę wybuchnął nagle tłumionym gniewem:

– Z dworca mojego psubraty ją porwały, przeto i mnie pohańbiły, a tego im nie daruję, pókim żyw. Dość mi ich zrad! dość napastliwości! Wolej każdemu wilkołaków mieć za sąsiadów! Ale teraz musi mistrz tych komturów pokarać i dziewczkę wrócić, a do mnie posłów z przeprosinami ślać. Inaczej – wici roześle!

Tu uderzył pięścią w stół i dodał:

– O wa! Brat z Płocka pójdzie za mną, i Witold, i króla Jagiełłowa potęga. Dość folgi! Święty by cierpliwość przez nozdrza wyparsknął. Już mi dość!

Umilkli wszyscy, czekając z naradą, póki się w nim gniew nie uspokoi. Anna Danuta zaś ucieszyła się, że ksiązę bierze tak do serca sprawę Danusi, albowiem wiedziała, iż był cierpliwy, ale i zawzięty, i że gdy raz co przedsięweźmie, to już nie zaniecha, póki na swoim nie postawi.

Po czym zabrał głos ksiądz Wyszoniek.

– Był niegdyś w Zakonie posłuch – rzekł – i żaden komtur nie śmiał bez pozwolenstwa kapituły i mistrzowego nic na swoją rękę poczynać. Dlatego Bóg podał w ich ręce kraje tak znaczne, że prawie ich nad wszelką inną ziemską potęgę wywyższył. Ale teraz nie masz między nimi ni posłuchu, ni prawdy, ni uczciwości, ni wiary. Nic, jeno chciwość a złość taka, jakoby wilkami, nie ludźmi byli. Jakże im słu chać przykazań mistrza albo kapituły, skoroć i boskich nie słuchają? Każdy na swoim zamku jako ksiązę udzielny siedzi – i jeden drugiemu w złem pomaga. Poskarżym się mistrzowi – a oni się zaprą. Mistrz każe im dziewczkę oddać, a oni nie oddadzą – albo też rzekną: „Nie masz jej u nas, bośmy jej nie porywali”. Każe im przysiąc, to i przysięgną. Co tedy nam robić?

– Co robić? – rzekł pan z Długolasu. – Niech Jurand jedzie do Spychowa. Jeśli ją porwali dla okupu albo by ją na de Bergowa wymienić, to muszą dać znać i dadzą znać nie komu innemu, jeno Jurandowi.

– Porwali ją ci, którzy do leśnego dworca przyjeżdżali – rzekł ksiądz.

– To ich mistrz pod sąd odda albo każe im pole Jurandowi dać.

– Pole – zawołał Zbyszko – mnie muszą dać, bom ja ich wpierw pozwałem!

A Jurand odjął ręce od twarzy i zapytał:

– Którzy to byli w leśnym dworcu?

– Był Danveld i stary de Lowe, i dwóch braci: Gotfryd i Rotgier – odpowiedział ksiądz. – Skarżyli się i chcieli, by ksiązę wam rozkazał de Bergowa z niewoli wypuścić. Ale ksiązę, dowiedziawszy się od Fourcy'ego, że Niemcy to pierwsi was napadli, zgromił ich i z niczym odprawił.

– Jedźcie do Spychowa – rzekł ksiązę – bo oni tam się zgłoszą. Nie uczynili tego dotąd dlatego, że Danveldowi giermek tego oto młodego rycerza ramię pokruszył, gdy im pozwanie wozili. Jedźcie do Spychowa, a jak się zgłoszą, to mnie dawajcie znać. Oni wam dziecko za de Bergowa odeślą, aleja przeto pomsty nie poniecham, bo i mnie pohańbili, z dworca ją mojego biorąc.

Tu gniew począł go chwytać na nowo, gdyż istotnie Krzyżacy wyczerpali wszelką jego cierpliwość – i po chwili dodał:

– Hej! dmuchali i dmuchali w ogień, ale w końcu pyski poparzą.

– Zaprą się! – powtórzył ksiądz Wyszoniek.

– Jak raz Jurandowi oznajmią, że dziewczka u nich, to się nie będą mogli zaprzec – odpowiedział nieco niecierpliwie Mikołaj z Długolasu.

– Wierzę, że jej na pograniczu nie trzymają – i że, jako słusznie wy-miarkował Jurand, do dalszych zamków albo na morskie mierzeje ją wywieźli, ale gdy będzie dowód, że to oni – to się przed mistrzem nie zaprą.

A Jurand począł powtarzać jakimś dziwnym i zarazem strasznym głosem:

– Danveld, Lowe, Gotfryd i Rotgier...

Mikołaj z Długolasu polecił jeszcze wysłać bywałych a przebiegłych ludzi do Prus, aby się w Szczytnie i Insborku wywiedzieli, czy Jurandówna tam jest, a jeśli nie, to dokąd została wywieziona; po czym ksiązę wziął kostur w rękę i wyszedł, by wydać odpowiednie rozkazy,

księżna zaś zwróciła się do Juranda, chcąc go dobrym słowem pokrzepić:

– Jakoże wam jest? – spytała

Ów zaś przez chwilę nic nie odpowiedział, jakby nie słyszał pytania, a potem nagle rzekł:

– Jakoby mnie kto w dawną ranę ugodził.

– Ale ufajcie w miłosierdzie boskie; wróci Danuśka, jeno im de Bergowa oddajcie.

– Nie pożałowałbym im i krwi.

Księżna zawahała się, czyby mu zaraz o ślubie nie wspomnieć, ale pomyślawszy nieco, nie chciała przyrzucić nowego zmartwienia do ciężkich już i tak nieszczęść Juranda i przy tym ogarnął ją jakiś strach. „Będą jej szukali ze Zbyszkiem, niech mu Zbyszko przy sposobności powie – rzekła sobie – a ninie w głowie by się mu mogło do reszty pomieszać”. Więc wołała

mówić o czym innym.

– Wy nas nie winujcie – rzekła. – Przyjechali ludzie w waszych barwach, z pismem z waszą pieczęcią oznajmującym, jakoście chorzy, jako oczy wam gasną i jako na dziecko raz jeszcze spojrzeć chcecie. Jakże się było przeciw i ojcowego przykazania nie spełnić?

Jurand zaś podjął ją pod nogi.

– Ja nikogo nie winuję, miłościwa pani.

– I to wiedzcie, że Bóg ją wam odda, bo oko Jego jest nad nią. Ześle on jej poratowanie, jako na ostatnich łowach zesłał, gdy srogi tur na nas uderzył – a Pan Jezus natchnął Zbyszka, żeby nas bronił. Sam ci o mało nie stradał żywota i długo potem chorzał, ale Danuśkę i mnie obronił, za co mu książę dał pas i ostrogi. Widzicie!... Ręka boska jest nad nią. Pewnie, że dziecka żal. Myślałam, że z wami przyjedzie, że ją obaczę, najmilszą, a tymczasem...

I głos jej zadrzał, i łzy puściły się z oczu, a w Jurandzie tłumiona dotychczas rozpacz zerwała się na chwilę, nagła i straszna jak wichur. Chwycił rękoma swe długie włosy, a głową począł bić w belki ściany, jęcząc i powtarzając chrapliwym głosem:

– Jezu! Jezu! Jezu!...

Lecz Zbyszko skoczył ku niemu i potrząsnąwszy go z całą siłą za ramiona, zawołał:

– W drogę nam! Do Spychowa!



## ROZDZIAŁ XXIX

– Czyj to poczet? – zapytał nagle Jurand, ocknąwszy się za Radzanowem z zamyślenia jakby ze snu.

– Mój – odpowiedział Zbyszko.

– A ludzie moi wszyscy poginęli?

– Widziałem ich nieżywych w Niedzborzu.

– Nie masz starych towarzyszków!

Zbyszko nie odrzekł nic i jechali dalej w milczeniu a szybko, gdyż chcieli jak najprędzej być w Spychowie, spodziewając się, że może zastaną tam jakich wysłanników krzyżackich. Na szczęście ich przyszyły znów mrozy i drogi były przetarte, więc mogli pośpieszać. Pod wieczór Jurand znów przemówił i począł wypytywać o owych braci zakonnych, którzy byli w leśnym dworcu, a Zbyszko opowiadał mu wszystko – i o ich skargach, i o odjeździe, i o śmierci pana de Fourcy, i o postępkach swego giermka, który w tak straszny sposób pokruszył ramię Danvelda, a podczas tego opowiadania przypomniawszy mu się i uderzyła go jedna okoliczność, to jest bytność owej niewiasty w leśnym dworcu, która przywiozła od Danvelda balsamy gojące. Na popasie począł więc wypytywać o nią i Czecha, i Sanderusa – ale obaj nie wiedzieli dokładnie, co się z nią stało. Zdawało im się, że odjechała albo razem z tymi ludźmi, którzy przybyli po Danusię, albo wnet po nich. Zbyszkowi przyszło teraz do głowy, że to mógł być ktoś nasłany w tym celu, aby tych ludzi przestrec na wypadek, gdyby Jurand znajdował się własną osobą we dworcu. W takim razie nie podawaliby się za ludzi ze Spychowa, mogli zaś mieć przygotowane jakieś inne pismo, które by byli oddali księżnie zamiast zmyślnego Jurandowego listu. Wszystko to było ułożone z piekielną zręcznością i młody rycerz, który dotychczas znał Krzyżaków tylko z pola, po raz pierwszy pomyślał, że pięści na nich nie dość, ale że trzeba umieć zmóc ich i głową. Myśl ta była mu przykra, albowiem jego ogromny żal i ból zmieniły się w nim przede wszystkim w żądę walki i krwi. Nawet ratunek dla Danusi przedstawiał mu się jako szereg bitew kupą lub w pojedynkę; tymczasem teraz poznał, że trzeba może będzie chęć pomsty i łupania łbów wziąć jak niedźwiedzia na łańcuch i szukać całkiem nowych dróg oca-

lenia i odzyskania Danusi. Myśląc o tym, żałował, że nie ma przy nim Maćka. Macko bowiem równie był przebiegły, jak mężny. Postanowił jednak i sam wysłać ze Spychowa Sanderusa do Szczytna, aby ową niewiastę odszukał i starał się od niej wywiedzieć, co się z Danusią stało. Mówił sobie, że choćby Sanderus chciał go zdradzić, to niewiele sprawie zaszkodzi, a w razie przeciwnym może znaczne mu usługi oddać, albowiem rzemiosło jego otwierało mu wszędzie dostęp.

Chciał jednak naradzić się przedtem z Jurandem, odłożył wszelako tę rzecz do Spychowa, tym bardziej że zapadła noc i zdawało mu się, że Jurand, siedząc na wysokim siodle rycerskim, usnął z trudów, zmęczenia i ciężkiej troski. Ale Jurand dlatego tylko jechał z głową spuszczoną, że mu ją pochyliło nieszczęście. I widać, że ciągle o nim rozmyślał, że serce jego pełne było okrutnych obaw, gdyż wreszcie rzekł:

– Wolejbym był zamarzył pod Niedzborzem! Tyś to mnie odgrzebywał?

– Ja, z innymi.

– A na onych łowach tyś mi dziecko ratował!

– Jakożem miał czynić?

– I teraz mi pomożesz?

A w Zbyszku wybuchnęła zarazem miłość do Danuśki i nienawiść do Krzyżaków-krzywdzicieli tak wielka, że aż wstał na siodle i jął mówić przez zaciśnięte zęby, jakby z trudem:

– Słuchajcie, co rzekę: choćby mi przyszło zębami pruskie zamki gryźć, to je zgryzę, a ją dostanę.

I nastąpiła chwila milczenia. Mściwa i niepohamowana natura Juranda ozwała się też widocznie z całą siłą pod wpływem Zbyszkowych słów, gdyż począł zgrzytać w ciemności, a po chwili powtarzać znów nazwiska:

– Danveld, Lowe, Rotgier i Gotfryd!

I w duszy myślał, że jeśli zechcą, by im Bergowa oddał, to go odda, jeśli każą mu dopłacić, to dopłaci, choćby miał cały Spychów do ceny przyrzucić, ale później biada tym, którzy na to jedyne dziecko jego rękę podnieśli!

Przez całą noc sen nie zamknął im ani na chwilę powiek. Nad ranem ledwie się poznali, tak twarze ich były zmienione przez tę jedną noc. Juranda uderzył wreszcie ten ból i ta zawziętość

Zbyszka, więc rzekł:

– Nałęczką cię ona przykryła i śmierci wydarła – wiem. Ale też ją miłujesz?

Zbyszko spojrział mu prosto w oczy z twarzą niemal zuchwałą i odpowiedział:

– To żona moja.

Na to Jurand powstrzymał konia i patrzył na Zbyszka, mrugając ze zdumienia.

– Jako powiadasz? – zapytał.

– Mówię, że ona niewiasta moja, a ja jej mąż.

Rycerz ze Spychowa przykrył rękawicą oczy, jak gdyby olsnął od nagłego uderzenia pioruna, po czym nie odrzekł nic, po chwili ruszył koniem i wysunąwszy się na czoło orszaku, jechał w milczeniu.

## ROZDZIAŁ XXX

Ale Zbyszko, jadąc za nim, nie mógł długo wytrzymać i rzekł sobie w duszy: „Wolę, żeby gniewem wybuchnął, niż żeby się zaciął”. Więc podjechał ku niemu i trąciwszy strzemieniem w jego strzemień, począł mówić:

– Posłuchajcie, jako to było. Co Danuška dla mnie uczyniła w Krakowie, to wiecie, ale tego nie wiecie, że w Bogdańcu swatali mi Jagienkę, Zychową córkę, ze Zgorzelic. Stryj mój. Maćko, chciał; rodzic jej, Zych, chciał; a i krewny opat, bogacz, także... Co wam tam długo prawić? – uczciwa dziewczka i jak łania, a wiano też godne. Ale nie mogło to być. Było mi Jagienki żal, ale jeszcze większy żal Danuški – i zabrałem się ku niej na Mazowsze, bo szczerze wam rzekę: nie mogłem dłużej żyć. Wspomnijcie, jakoście sami miłowali – wspomnijcie! – a nie będzie wam dziwota.

Tu przerwał Zbyszko, czekając na jakieś słowo z ust Juranda, lecz gdy ów milczał, jął mówić dalej:

– W leśnym dworcu Bóg mi dał, zem i panią, i Danuškę od tura na łowach zratował. I zaraz pani mówiła: „Teraz już Jurand nie będzie przeciwny, bo jakoże mu się nie wypłacić za taki uczynek?” Ale ja i wtedy bez waszego rodzicielskiego pozwolenstwa nie myślałem jej brać. Ba! i nijak mi było, bo mnie zwierz luty tak starmosił, że ledwie duszy ze mnie nie wyżenał. Ale potem – wiecie – przyszli ci ludzie po Danuškę, by ją niby do Spychowa powieźć, a jam jeszcze z łoża nie wstawał. Myślałem, że już jej nigdy nie ujrzę. Myślałem, że ją do Spychowa weźmiecie i komu innemu oddacie. W Krakowie byliście mi przecie przeciwni... Jużem myślał, że zamrę. Hej, mocny Boże, co to była za noc! Nic, jeno strapienie; nic, jeno żałość! Myślałem, że jak mi ona odjedzie, to już i słońce nie wzejdzie. Wyrozumcie wy ludzkie kochanie i ludzką boleść...

I aż łzy zadrgały na chwilę w głosie Zbyszka, ale że serce miał mężne, więc się opanował i rzekł:

– Ludzie przyjechali po nią w wieczór i chcieli ją zaraz brać, ale księżna kazała im czekać do rana. Aż tu Pan Jezus zesłał mi myśl, aby się księżnie pokłonić i o Danuškę ją prosić. Myślałem, że jeśli zamrę,

to choć tę jedną będę miał pociechę. Wspomnijcie, że dziewczyna miała jechać, a ja ostawałem chory i śmierci bliski. Nie było też czasu prosić was o pozwolenie. Księża nie było już w leśnym dworcu, więc wagowała się Pani na obie strony, bo nie miała się kogo poradzić. Ale zlitowali się wreszcie oboje z księdzem Wyszoniem nade mną – ksiądz Wyszonię dał nam ślub... Moc boska, prawo boskie...

A Jurand przerwał głucho:

– I kara boska.

– Czemu zaś ma być kara? – zapytał Zbyszko. – Pomiarkujcie jeno, że przysłali po nią przed ślubem i czyby był, czyby go nie było, tak samo by ją powieźli.

Lecz Jurand znów nie odrzekł nic i jechał zamknięty w sobie, mroczny i z twarzą tak skamieniałą, że Zbyszko, lubo zrazu uczuł ulgę, jaką sprawia zawsze wyznanie *rzeczy* długo tajonej, zląkł się wreszcie i począł mówić sobie w duszy z coraz większym niepokojem, że stary rycerz zaciął się w gniewie i że odtąd będą dla siebie jak obcy i nieprzyjaźni ludzie.

I przyszła nań chwila wielkiego pogwałcenia. Nigdy, od czasu jak wyjechał z Bogdańca, nie było mu tak źle. Zdawało mu się teraz, że nie ma żadnej nadziei ni przejednania Juranda, ni, co gorsza, uratowania Danusi, że wszystko na nic i że w przyszłości spadną na niego tylko coraz większe nieszczęścia i coraz większa niedola. Ale pogwałcenie to trwało krótko, a raczej zgodnie z jego naturą wnet zmieniło się w gniew, chęć sporu i walki. „Nie chce zgody – mówił sobie, myśląc o Jurandzie – niech będzie niezgoda, niech będzie co chce!” I gotów był skoczyć do oczu samemu Jurandowi. Chwyliła go też żądza bitki z kimkolwiek o cokolwiek, byle coś zrobić, byle dać ujście żalowi, goryczy i gniewowi, byle znaleźć jakąś ulgę.

A tymczasem zajechali do karczmy na rozdrożu, zwanej Świetlik, gdzie Jurand w czasie powrotu z dworu książęcego do Spychowa dawał zwykle wypoczynek ludziom i koniom. Mimo woli uczynił to i teraz. Po chwili obaj ze Zbyszkiem znaleźli się w osobnej izbie. Nagle Jurand zatrzymał się przed młodym rycerzem i utkwivszy w nim wzrok, zapytał:

– Toś ty dla niej tu przywędrował? Ów zaś odpowiedział prawie szorstko:

– Myślicie, że się zaprę?

I począł patrzeć wprost w oczy Juranda, gotów na gniew gniewem wybuchnąć. Lecz na twarzy starego wojownika nie było zawziętości, był tylko smutek prawie bez granic.

– I dzieckoś mi ratował? – spytał po chwili. – I mnieś odgrzebł?...

A Zbyszko spojrział na niego ze zdziwieniem i obawą, czy mu się w głowie nie miesza, gdyż Jurand powtarzał zupełnie te same pytania, które już poprzednio był zadał.

– Siądźcie sobie – rzekł – bo widzi mi się, żeście jeszcze słabi. Lecz Jurand podniósł ręce, położył je na ramionach Zbyszka – i nagle przygarnął go z całą siłą do piersi; ów zaś, ochłonawszy z chwilowego zdumienia, chwycił go wpół i trzymali się tak długo, gdyż przykuwały ich do siebie wspólne strapienia i wspólna niedola.

Gdy zaś się puścili, Zbyszko ścisnął jeszcze za kolana starszego rycerza, a następnie począł całować go ze łzami w oczach po rękę.

– Nie będziecie mi przeciwni? – pytał. A na to Jurand odrzekł:

– Byłem ci przeciwny, bom ją w duszy Bogu ofiarowałem.

– Wyście ofiarowali ją Bogu, a Bóg mnie. Wola Jego!

– Wola Jego! – powtórzył Jurand – jeno trzeba nam teraz i miłosierdzia.

– Komuż Bóg pomoże, jeśli nie ojcu, który szuka dziecka, jeśli nie mężowi, który szuka żony? Zbójcom nie będzie ci pomagał.

– A przecie ją porwali – odpowiedział Jurand.

– To im de Bergowa oddacie.

– Oddam wszystko, co chcą.

Lecz na myśl o Krzyżakach zbudziła się w nim wnet stara nienawiść i objęła go jak płomień, gdyż po chwili dodał przez zaciśnięte zęby:

– I dołożę, czego nie chcą.

– Jam im też poprzysiągł – odpowiedział Zbyszko – ale teraz trzeba nam do Spychowa.

I począł pilić, by siodłano konie. Jakoż, gdy zjadły obroki, a ludzie rozgrzali się trochę w izbach, ruszono dalej, chociaż na dworze czynił się już mrok. Ponieważ droga była jeszcze daleka, a na noc brał mróz okrutny, przeto Jurand i Zbyszko, którzy nie odzyskali jeszcze wszystkich sił, jechali w saniach. Zbyszko opowiadał o stryjcju Maćku, do którego w duszy tęsknił, i żałował, że go nie ma, gdyż zarówno mogło się przydać jego męstwo, jak chytrość, która przeciw takim nieprzyjaciołom więcej jeszcze od męstwa jest potrzebna. W końcu zwrócił się do Juranda i zapytał:

– A wyście chytrzy?... Bo ja – to nijak nie potrafię.

– I ja nie – odpowiedział Jurand. – Nie chytrnością ja z nimi wojowałem, jeno tą ręką i tą boleścią, która we mnie ostała.

– Jużci ja to rozumiem – rzekł młody rycerz. – Przez to rozumiem, że Danuskę miłuję i że ją porwali. Gdyby, uchowaj Bóg...

I nie dokończył, bo na samą myśl o tym poczuł w piersi nie ludzkie, ale wilcze serce. Przez czas jakiś jechali w milczeniu białą, zalaną światłem miesięcznym drogą, po czym Jurand począł mówić jakby sam do siebie:

– Bo gdyby mieli przyczynę do pomsty nade mną – nie mówię! Ale na miły Bóg! nie mieli... Wojowałem z nimi w polu, gdym w poselstwie od naszego księcia do Witolda chadzał, ale tu byłem jako sąsiad sąsiadom... Bartosz Nałęcz czterdziestu rycerzy, którzy ku nim śli, chwycił, skował i w podziemiach w Koźminie zamknął. Musieli mu Krzyżacy pół wożą pieniędzy za nich nasypać. A ja, trafił się li gość Niemiec, który do Krzyżaków ciągnął, tom go jeszcze jako rycerz rycerza podejmował i obdarzał. Nieraz też i Krzyżacy do mnie przez bagna przyjeżdżali. Nie byłem im wtedy ciężki, a oni mi to uczynili, czego bym ja i dziś jeszcze największemu nieprzyjacielowi nie uczynił...

I straszne wspomnienia poczęły go targać z coraz większą siłą, głos zamarł mu na chwilę w piersi, po czym mówił na wpół z jękiem:

– Jedną ci miałem jako owieczkę, jako jedno serce w piersiach, a oni ją na powrót jak psa chwycili i zbielała im na powrozie... Teraz znów dziecko... Jezu! Jezu!

I znów zapadło milczenie. Zbyszko podniósł ku księżycowi swą młodą twarz, w której malowało się zdziwienie, następnie spojrzął na Juranda i zapytał:

– Ojczel!... Toćby im lepiej było na miłość ludzką niż na pomstę zarabiać. Po co oni tyle krzywd wszystkim narodom i wszystkim ludziom czynią?

A Jurand rozłożył jakby z rozpaczą ręce i odrzekł głuchym głosem:

– Nie wiem...

Zbyszko rozmyślał czas jakiś nad własnym pytaniem, po chwili jednak myśl jego wróciła do Juranda.

– Ludzie mówią, żeście godną pomstę wywarli – rzekł. Jurand tymczasem zdusił w sobie ból, opamiętał się i począł mówić:

– Bom im poprzysiągł... I Bogum poprzysiągł, że jeśli mi pomstę da spełnić, to Mu to dziecko, które mi ostało, oddam. Dla-tegom ci był

przeciwny. A teraz nie wiem: wola to Jego była, czyli też gniew Jego rozbudziliście waszym uczynkiem.

– Nie – rzekł Zbyszko. – Toćżem wam już mówił, że choćby ślubu nie było, i tak byłyby ją psubraty chwyciły. Bóg przyjął waszą chęć, a Danuškę mnie podarował, bo bez takowej Jego woli nic byśmy nie wskórali.

– Każdy grzech jest przeciw woli Bożej.

– Grzech jest, ale nie sakrament. Sakrament przecie boska rzecz.

– To i dlatego nie ma rady.

– A chwała Bogu, nie ma! Nie narzekajcie też na to, bo nikt by wam tak nie pomógł przeciw tym zbójom, jako ja pomogę. Obaczycie! Za Danuškę swoją drogą in zapłacim, ale jeśli żywie jeszcze choć jeden z tych, którzy waszą nieboszczkę porywali, zdajcie go mnie, a obaczycie!

Lecz Jurand począł trząść głową.

– Nie – odpowiedział posepnie – z tych żaden nie żywie... Przez czas jakiś słyhać było tylko parskanie koni i przytłumiony odgłos kopyt uderzających o wyjeżdżoną drogę.

– Raz w nocy – mówił dalej Jurand – usłyszałem jakiś głos jakoby ze ściany wychodzący, który mi rzekł: „Dość pomsty!” – ale ja nie usłuchołem, bo to nie był głos nieboszczki.

– A co to mógł być za głos – zapytał z niepokojem Zbyszko.

– Nie wieu. Często w Spychowie coś w ścianach gada, a czasem jęczy, bo dużo ich na łańcuchach w podziemiu pomarło.

– A wam ksiądz co nowi?

– Ksiądz święcił gródek i mówił też, żeby zemsty poniechać, ale nie mogło to być. Stałem się im zbyt ciężki i później sami chcieli się uścić. Czynili zasadzki i pozywali w pole... Tak było i teraz. Majneger i de Bergow pierwsi mnie pozwalali.

– Braliście kiedy wykup?

– Nigdy. Z tych, których chwyciłem, pierwszy de Bergow żyw wyjdzie.

Rozmowa ustała, gdyż skręcili z szerszego gościńca na węższą drogę, którą jechali długo, gdyż szła kręto, a miejscami zmieniała się jakby we wpadlinę leśną, pełną zasp śnieżnych, trudnych do przebycia. Wiosną albo latem, podczas dżdżów droga ta musiała być prawie nieprzystępna.

– Czy to już ku Spychowowi jedziem? – zapytał Zbyszko.



– Tak – odrzekł Jurand. – Bom jeszcze szmat znaczny, a potem zaczęną się oparzeliska, wśród których gródek... Za oparzeliskami są łągi i suche pola, zaś do gródka można dojechać tylko groblą. Nieraz chcieli mnie Niemcy dostać, ale nie mogli i siła ich kości próchnieje po leśnych brzeżkach.

– I trafić niełatwo – rzekł Zbyszko. – Jeśli Krzyżaki ludzi z listami wyszła, jakoże trafią?

– Nieraz już wysyłali i mają takich, którzy drogę wiedzą.

– Bogdajemy ich zastali w Spychowie! – rzekł Zbyszko. Tymczasem życzenie to miało się urzeczywistnić wcześniej, niż młody rycerz myślał, albowiem wyjechawszy z boru na odkrytą płaszczyznę, na której leżał wśród bagien Spychów, ujrzeli przed sobą dwóch konnych i niskie sanie, w których siedziały trzy ciemne postacie.

Noc była bardzo jasna, więc na białym podścielisku śniegów widać było całą gromadę doskonale. Jurandowi i Zbyszkowi uderzyły żywiej serca na ten widok, kto bowiem mógł jechać do Spychowa wśród nocy, jeśli nie wysłańcy krzyżacy?

Zbyszko kazał woźnicy jechać żywiej, więc wkrótce zbliżyli się tak znacznie, że usłyszano ich, i dwaj konni, którzy czuwali widocznie nad bezpieczeństwem sani, zwrócili się ku nim i pozdejmowawszy kusze z ramion, poczęli wołać:

– *Wer da?*

– Niemcy! – szepnął Zbyszkowi Jurand. Po czym podniósł głos i rzekł:

– Moje prawo pytać, twoje odpowiadać! Kto wy?

– Podróżni.

– Jacy podróżni?

– Pielgrzymi.

– Skąd?

– Ze Szczytna.

– Oni! – szepnął znów Jurand.

Tymczasem sanki porównały się ze sobą, a jednocześnie na przodzie przed nimi ukazało się sześciu konnych. Była to spychowska straż, która dniem i nocą czuwała nad groblą wiodącą do gródka. Przy koniach biegły psy straszne i ogromne, całkiem do wilków podobne.

Strażnicy, poznawszy Juranda, poczęli wykrzykiwać na jego cześć, lecz w okrzykach tych brzmiało i zdziwienie, że dziedzic wraca tak wcześniej i niespodzianie, lecz on całkiem zajęty był wysłańcami, więc znów zwrócił się ku nim:

– Dokąd jedziecie? – zapytał.

– Do Spychowa.

– Czego tam chcecie?

– To możemy jeno samemu panu powiedzieć. Jurand miał już na ustach: „Jam jest pan ze Spychowa” – ale się powstrzymał, rozumiejąc, że rozmowa nie może się odbywać przy ludziach. Natomiast spytawszy jeszcze, czy mają jakowe listy, i otrzymawszy odpowiedź, że polecono im ustnie się rozmówić, kazał jechać nieledwie co koń wyskoczy. Zbyszkowi było również tak pilno do wiadomości o Danusi, że nie umiał na nic innego zwrócić uwagi. Niecierpliwił się tylko, gdy jeszcze dwukrotnie straże zastępowały im drogę na grobli; niecierpliwił się, gdy spuszczano most na fosie, za którą sterczał na wałach olbrzymi ostrokół, a chociaż poprzednio nieraz brała go ciekawość obaczyć, jak wygląda ten złowroziej sławy gródek, na którego wspomnienie Niemcy zegnali się znakiem krzyża – teraz nie widział nic prócz krzyżackich wysłańców, od których mógł usłyszeć, gdzie jest Danusia i kiedy będzie wrócona jej wolność. Nie przewidział zaś, że za chwilę czeka go ciężki zawód.

Prócz konnych, dodanych dla obrony, i woźnicy, poselstwo ze Szczytna składało się z dwóch osób: jedną z nich była ta sama niewiasta, która swego czasu przywoziła balsam gojący do leśnego dworca, drugą młody pątnik. Niewiasty Zbyszko nie poznał, albowiem jej w leśnym dworcu nie widział, pątnik zaś od razu wydał mu się jakimś przebrany giernkiem. Jurand wnet wprowadził oboje do narożnej izby – i stanął przed nimi ogromny i prawie straszny w blasku płomienia, który padał na niego od płonącego w kominie ognia.

– Gdzie dziecko? – zapytał.

Oni jednakże zlekli się, stanąwszy oko w oko z groźnym mężem. Pątnik, choć twarz miał zuchwałą, trząśnięty jak liść, a i pod niewiastą drżały nogi. Wzrok jej przeszedł z oblicza Juranda na Zbyszka, następnie na błyszczącą, łysą głowę księdza Kaleba i znów wrócił do Juranda, jakby z zapytaniem, co tamci dwaj tu robią.

– Panie – odrzekła wreszcie – nie wiemy, o co pytacie, ale przysłano nas ku wam w sprawach ważnych. Wszelako ten, który nas wysłał, rozkazał nam wyraźnie, aby rozmowa z wami odbyła się bez świadków.

– Nie mam dla nich tajemnic! – rzekł Jurand.

– Ale my je mamy, szlachetny panie – odrzekła niewiasta –i jeśli każecie im zostać, to o nic innego prosić was nie będziemy, tylko abyście nam pozwolili jutro odjechać.

Na twarzy nieprzywykłego do oporu Juranda odbił się gniew. Przez chwilę płowe jego wąsy poczęły się poruszać złowrogo, lecz pomyślał, że idzie o Danusię, i pohamował się. Zbyszko zresztą, któremu chodziło przede wszystkim o to, by rozmowa odbyła się jak najprędzej, i który był pewien, że Jurand mu ją powtórzy, rzekł:

– Skoro tak ma być, ostańcie sami.

I wyszedł wraz z księdzem Kalebem, zaledwie jednak znalazł się w głównej izbie obwieszanej tarczami i bronią zdobytą przez Juranda, gdy Głowacz zbliżył się ku niemu.

– Panie – rzekł – to ta sama niewiasta.

– Jaka niewiasta?

– Od Krzyżaków, która przywoziła balsam hercyński. Poznałem ją od razu i Sanderus poznał ją także. Przyjeżdżała widać na przeszpiegi, a teraz wie ona pewnie, gdzie jest panienska.

– I my będziemy wiedzieć – rzekł Zbyszko. – Zali znacie także i tego pątnika?

– Nie – odpowiedział Sanderus. – Ale nie kupujcie, panie, od niego odpustów, bo to fałszywy pątnik. Gdyby go na męki położyć, siła można by się od niego dowiedzieć.

– Czekać! – rzekł Zbyszko.

Tymczasem w izbie narożnej, zaledwie drzwi się zamknęły za Zbyszkiem i księdzem Kalebem, siostra zakonna przysunęła się szybko do Juranda i poczęła szeptać:

– Waszą córkę zbójce porwali.

– Z krzyżem na płaszcach?

– Nie. Ale Bóg pobłogosławił pobożnym braciom, że ją odbili i teraz ona jest u nich.

– Gdzie jest? – pytam.

– Pod opieką pobożnego brata Szomberga – odrzekła, krzyżując ręce na piersiach i schylając się pokornie.

A Jurand, usłyszawszy straszne nazwisko kata Witoldowych dzieci, zbladł jak płótno; po chwili siadł na ławie, przymknął oczy i począł dłonią rozcierać zimny pot, który uperlił mu czoło.

Co widząc, pątnik, jakkolwiek nie umiał przedtem pohamować strachu, wsparł się teraz w boki, rozwalił się na ławie, wyciągnął nogi i spojrział na Juranda oczyma pełnymi pychy i pogardy.

Nastąpiło długie milczenie.

– I brat Markwart pomaga bratu Szombergowi w czuwaniu nad nią – rzekła znów niewiasta. – Pilna to opieka i nie stanie się panience krzywda.

– Co mam czynić, by mi ją oddali? – zapytał Jurand.

– Upokorzyć się przed Zakonem! – rzekł z dumą pątnik. Usłyszawszy to, Jurand wstał, podszedł ku niemu i pochyliwszy się nad nim, rzekł stłumionym, strasznym głosem:

– Milczeć!...

A pątnik przeraził się znowu. Wiedział, że może grozić i może rzecz coś takiego, co powstrzyma i złamie Juranda, ale zląkł się, że wpierw, nim słowo przemówi, stanie się z nim coś okropnego; więc zamilkł, oczy okrągłe, jakby skamieniałe ze strachu, utkwiał w groźnej twarzy spychowskiego pana i siedział bez ruchu – tylko broda poczęła mu się trząść silnie.

Jurand zaś zwrócił się do siostry zakonnej:

– List macie?

– Nie, panie. Nie mamy listu. Co mamy do powiedzenia, kazano nam ustnie powiedzieć.

– Za czym mówicie!

A ona powtórzyła jeszcze raz, jakby pragnąc, by Jurand wbił sobie to dobrze w pamięć:

– Brat Szomberg i brat Markwart czuwają nad panienką, przeto wy, panie, hamujcie swój gniew... Ale nie stanie się jej nic złego, bo choć przez wiele lat krzywdziliście ciężko Zakon, jednakże bracia chcą wam dobrem za złe wypłacić, jeśli uczynicie zadość sprawiedliwym ich żądaniom.

– Czego chcą?

– Chcą, abyście uwolnili pana de Bergowa. Jurand odetchnął głęboko.

– Oddam im de Bergowa rzekł.

– I innych brańców, których w Spychowie macie.

– Jest dwóch giermków Majnegera i de Bergowa, prócz ich pacholców.

– Macie ich uwolnić, panie, i wynagrodzić za uwięzienie.

– Nie daj Bóg, abym się o dziecko miał targować.

– Tego też po was spodziewali się pobożni zakonnicy – rzekła niewiasta – ale to jeszcze nie wszystko, co mi kazano powiedzieć. Waszą córkę, panie, porwali jacyś ludzie, zapewne zbójce i zapewne dlatego,

aby wziąć od was okup bogaty... Bóg pozwolił braciom, że ją odbili – i teraz niczego więcej nie żądają, tylko abyście im towarzysza i gościa oddali. Ale bracia wiedzą i wy wiecie, panie, jaka w tym kraju jest ku nim nienawiść i jak niesprawiedliwie sądzą wszystkie ich, choćby najpobożniejsze uczynki. Z tego powodu bracia są pewni, iż gdyby tu ludzie dowiedzieli się, że córka wasza jest u nich, zaraz by poczęli ich posądzać, że to oni ją porwali, i w ten sposób za swą cnotę zebraliby jeno oszczerstwa i skargi... O tak! źli i złośliwi ludzie tutejsi nieraz im się już tak wypłacali, na czym sława pobożnego Zakonu cierpiała bardzo – o którą bracia dbać muszą, i przeto kładą ten jeszcze tylko warunek, abyście sami i księciu tej krainy, i wszystkiemu srogiemu rycerstwu oświadczyli – jako i jest prawda – że nie bracia krzyżowi, jeno zbóje waszą córkę porwali i że od zbójów musieliście ją wykupywać.

– Prawda jest – rzekł Jurand – że zbóje mi dziecko porwali i od zbójów muszę je wykupywać...

Nikomu też nie macie inaczej mówić, bo gdyby choć jeden człowiek dowiedział się, żeście układali się z braćmi, gdyby choć jedna żywa dusza albo gdyby choć jedna skarga poszła czy to do mistrza, czy do kapituły – tedyby ciężkie zrodziły się trudności...

Na twarzy Juranda odbił się niepokój. W pierwszej chwili wydawało mu się dość naturalnym, że komturowie żądają tajemnicy z obawy przed odpowiedzialnością i niesławą, ale teraz zrodziło się w nim podejrzenie, że może być i jakaś inna przyczyna, że zaś nie umiał sobie zdać z niej sprawy, więc chwycił go lęk taki, jaki chwyta najodważniejszych ludzi, gdy niebezpieczeństwo zagraża nie im samym, lecz ich bliskim i kochanym.

Postanowił jednakże dowiedzieć się czegoś więcej od zakonnej służki.

– Komturowie chcą tajemnicy – rzekł – ale jakoż tajemnica ma się zachować, gdy de Bergowa i tamtych innych za dziecko wypuszczę?

– Powiecie, żeście wzięli okup za pana de Bergowa, aby mieć czym zbójom zapłacić.

– Ludzie nie uwierzą, bom nigdy okupu nie brał – odrzekł posepnie Jurand.

– Bo nigdy nie chodziło o wasze dziecko – odrzekła syczącym głosem służka.

I znów nastało milczenie, po czym pątnik, który przez ten czas nabrał ducha i osądził, że Jurand musi się już teraz więcej hamować, rzekł:

– Taka jest wola braci Szomberga i Markwarta. Służka zaś mówiła dalej:

– Oto powiecie, że ten pątnik, który przyjechał ze mną, przywiózł wam okup, my zaś odjedziem stąd ze szlachetnym panem de Bergow i z jeńcami.

– Jak to? – rzekł Jurand, marszcząc brwi – zali myślicie, że wam oddam jeńców, nim mi dziecko wrócicie?

– Uczyńcie, panie, jeszcze inaczej. Możecie sami jechać po córkę do Szczytna, dokąd wam ją bracia przywiozą.

– Ja? do Szczytna?

– Bo gdyby ją znów zbójcy w drodze porwali, znów posąd wasz i tutejszych ludzi padłby na pobożnych rycerzy, i dlatego ci wołają wam do rąk własnych oddać.

– A kto zaś zaręczy mi, że wrócę, gdy sam wleżę wilkowi w gardziel?

– Cnota braci, sprawiedliwość ich i pobożność. Jurand począł chodzić po izbie. Począł już przewidywać zdradę i obawiał się jej, ale czuł jednocześnie, że Krzyżacy mogą mu nałożyć warunki, jakie im się podoba – i że jest wobec nich bezsilny.

Jednakże przyszedł mu widocznie do głowy jakiś sposób, gdyż zatrzymawszy się nagle przed pątnikiem, począł mu się bystro przypatrywać, po czym zwrócił się do służki i rzekł:

– Dobrze. Pojadę do Szczytna. Wy i ten człowiek, który ma na sobie szaty pątnicze, ostaniecie tu do mego powrotu, po którym odjedziecie z de Bergowem i z jeńcami.

– Nie chcecie, panie, zawierzyć zakonnikom – rzekł pątnik – jakże więc oni mają wam zawierzyć, że wróciwszy, wypuścicie nas i de Bergowa?

Twarz Juranda pobladła ze wzburzenia i nastąpiła groźna chwila, w której już, już zdawało się, że chwyci pątnika za pierś i weźmie go pod kolano – lecz zdusił w sobie gniew, odetchnął głęboko i począł mówić z wolna i dobitnie:

– Ktośkolwiek jest, nie nagingaj zbyt mojej cierpliwości, aby zaś nie pękła.

A pątnik zwrócił się do siostry:

– Mówcie! co wam kazano.

– Panie – rzekła – waszej przysiędze na miecz i na rycerską cześć nie ośmielilibyśmy się nie wierzyć, ale i wam nie przystoi składać

przed ludźmi prostego stanu przysięgi, i nas nie po waszą przysięgę przysłano.

– Po cóż was przysłano?

– Powiedzieli nam bracia, iż macie, nie mówiąc nic nikomu, stawić się w Szczytnie z panem de Bergow i z jeńcami.

Na to ramiona Juranda poczęły się cofać w tył, a palce rozszerzać się na kształt szponów drapieżnego ptaka; na koniec, stanąwszy przed niewiastą, pochylił się tak, jakby chciał jej mówić do ucha, i rzekł:

– Azali nie powiedziano wam, że każę was i Bergowa kołem połać w Spychowie?

– Wasza córka jest w mocy braci, a pod opieką Szomberga i Markwarta – odrzekła z naciskiem siostra.

– Zbójców, trucieli, katów! – wybuchnął Jurand.

– Którzy potrafią nas pomścić, a którzy rzekli nam na odjezdnym tak: „Jeśliby nie miał spełnić wszystkich naszych rozkazów, lepiej by było, by ta dziewczka umarła, jako i Witoldowe dzieci pomarły”. Wybierajcie!

– I zrozumiejcie, żeście w mocy komturów – ozwał się pątnik. – Nie chcą oni uczynić wam krzywdy, i starosta ze Szczytna przysłała wam przez nas słowo, że wolni wyjedziecie z jego zamku – ale chcą, byście za te, któreście im wyrządzili, przyszli pokłonić się przed krzyżackim płaszczem i błagać o łaskę zwycięzców. Chcą wam przebaczyć, ale wpierv chcą zgiąć wasz hardy kark. Głosiliście ich za zdrajców i krzywoprzysięzców – więc chcą, byście się zdali na ich wiarę. Wrócą wolność i wam, i córce – ale musicie o nią błagać. Deptaliście ich – musicie przysiąc, iż ręka wasza nigdy się na biały płaszcz nie wzniesie.

– Tak chcą komturowie – dodała niewiasta – a z nimi Markwart i Szomberg.

Nastała chwila śmiertelnej ciszy. Zdawało się tylko, że gdzieś między belkami pułapu jakieś przytłumione echo powtarza jakby z przerażeniem: „Markwart... Szomberg”. Zza okien dochodziły też nawoływania Jurandowych łuczników czuwających na wałach przy ostrokołe gródka.

Pątnik i służka zakonna przez długi czas spoglądali to na siebie, to na Juranda, który siedział oparty o ścianę, nieruchomy i z twarzą pograżoną w cieniu padającym na nią od pęku skór, zawieszzonego przy oknie. W głowie pozostała mu jedna tylko myśl, że jeśli nie uczyni tego, czego Krzyżacy chcą – uduszą mu dziecko; jeśli zaś uczyni, to i tak może nie uratować ani Danusi, ani siebie. I nie widział żadnej rady,

żadnego wyjścia. Czuł nad sobą niemiłosierną przemoc, która go zgniotła. W duszy widział już żelazne ręce Krzyżaka na szyi Danusi – znając ich bowiem, nie wątpił ani chwili, że ją zamordują, zakopią w wale zamkowym, a potem się wyprą, wyprzysięgną – i wówczas któż zdoła im dowieść, że to oni ją porwali? Miał wprawdzie Jurand w ręku wysłańców, mógł ich zawieźć księciu, mękami wydobyć z nich zeznania – ale Krzyżacy mieli Danusię – i mogli także nie pożałować dla niej mąk. I przez chwilę zdawało mu się, że dziecko wyciąga do niego ręce z dalekości, prosząc o ratunek. Gdyby choć wiedział na pewno, że ona jest w Szczytnie, mógłby ruszyć tej samej nocy ku granicy, napaść na nie spodziewających się napadu Niemców, wziąć zamek, wyciąć załogę i uwolnić dziecko – ale jej mogło nie być i pewnie nie było w Szczytnie. Jeszcze mignęło mu błyskawicą przez głowę, że gdyby chwycił niewiastę i pątnika, a zawiózł ich wprost do wielkiego mistrza, może mistrz wydobyłby z nich zeznania i kazał mu oddać córkę, ale błyskawica ta jak zapaliła się, tak i wnet zgasła... Przecie ci ludzie mogli powiedzieć mistrzowi, że przyjechali wykupić Bergowa i że nic o żadnej dziewczynie nie wiedzą. Nie! ta droga nie wiodła do niczego – ale któraż wiodła? Pomyślał bowiem, że jeśli pojedzie do Szczytna, to go skują i wtrącają do podziemia, a Danusi i tak nie puszcza, choćby dlatego, by się nie wydało, że ją porwali. A tymczasem śmierć jest nad jedynym dzieckiem, śmierć nad ostatnią drogą głową!... I wreszcie myśli poczęły mu się plątać, a boleść stała się tak wielka, że przesiliła się i przeszła w odrętwienie. Siedział nieruchomie dlatego, że ciało jego stało się martwe, jakby wykute z kamienia. Gdyby chciał podnieść się w tej chwili, nie byłby zdołał tego dokazać.

Tymczasem tamtym sprzykrzyło się długie czekanie, więc służka zakonna podniosła się i rzekła:

– Już i świt niezadługo – więc pozwólcie nam odejść, panie, albowiem potrzebujemy spoczynku.

– I posiłku po długiej drodze – dodał pątnik. Po czym oboje skłonili się Jurandowi i – wyszli. On zaś siedział dalej bez ruchu, jakby ujęty snem lub martw. Ale po chwili drzwi uchylły się i ukazał się w nich Zbyszko, a za nim ksiądz Kaleb.

– Cóż wysłańcy? czego chcą? – zapytał młody rycerz, zbliżając się do Juranda.

Jurand drgnął, ale zrazu nie odrzekł nic, począł tylko mrugać mocno jak człowiek zbudzony z twardego snu.



– Panie, czyście nie chorzy? – ozwał się ksiądz Kaleb, który znając lepiej Juranda, spostrzegł, iż dzieje się z nim coś dziwnego

– Nie – odrzekł Jurand.

– A Danuśka – dopytywał dalej Zbyszko. – Gdzie jest i co wam rzekli? Z czym przyjechali?

– Z wy-ku-pem – odpowiedział z wolna Jurand.

– Z wykupem za Bergowa?

– Za Bergowa...

– Jak to za Bergowa? co wam jest?

– Nic...

Lecz w głosie jego było coś tak niezwykłego i jakby zniedołęźniałego, że tamtych obu chwyciła nagła trwoga, zwłaszcza że przy tym Jurand mówił o wykupie, nie o zamianie Bergowa na Danusię.

– Na miły Bóg! – zawołał Zbyszko – gdzie Danuśka?

– Nie masz jej u Krzyżaków, nie! – odpowiedział sennym głosem Jurand.

I nagle zwalił się jak martwy z ławy na podłogę.

## ROZDZIAŁ XXXI

Nazajutrz o południu wysłańcy widzieli się z Jurandem, a w jakiś czas później wyjechali, zabrawszy z sobą de Bergowa, dwóch giermków i kilkunastu innych jeńców. Jurand wezwał następnie ojca Kaleba, któremu podyktował list do księcia z oznajmieniem, że Danusi nie porwali rycerze zakonni, ale że zdołał odkryć jej schronienie i ma nadzieję, iż w ciągu kilku dni ją odzyszcze. To samo powtórzył i Zbyszkowi, który od wczorajszej nocy szalał ze zdumienia i trwogi. Stary rycerz nie chciał jednak odpowiadać na żadne jego pytania, oświadczył mu natomiast, by czekał cierpliwie i tymczasem nic nie przedsiębrał dla uwolnienia Danusi, gdyż to jest rzecz zbyt ciężka. Pod wieczór zamknął się znów z księdzem Kalebem, któremu naprzód rozkazał spisać swą ostatnią wolę, potem zaś spowiadał się, a po przyjęciu komunii wezwał przed siebie Zbyszka i starego, wiecznie milczącego Tolimę, który był mu towarzyszem we wszystkich wyprawach i walkach, a w czasie spokoju gospodarzył w Spychowie.

– Oto jest – rzekł, zwracając się do starego wojownika i podnosząc głos, jakby mówił do człowieka, który nie dosłyszy – mąż mojej córki, którą na książęcym dworze zaślubił, na co i moją zgodę uzyskał. Ten ci ma tu przeto być po mojej śmierci panem i zaś dziedzicem gródka, ziem, borów, ługów, ludzi i wszelakiego statku, który się w Spychowie znajduje...

Usłyszawszy to, Tolima zdumiał się bardzo i począł zwracać swą kwadratową głowę w stronę Zbyszka, to w stronę Juranda; nie rzekł jednak nic, gdyż prawie nigdy nic nie mówił, tylko pochylił się przed Zbyszkiem i objął z lekka dłońmi jego kolana.

A Jurand mówił dalej:

– Którą to wolę moją spisał ksiądz Kaleb, a pod pismem pieczęć się moja na wosku znajduje; ty zaś masz świadczyć, żeś to ode mnie słyszał i żeś rozkazał, aby tu dla tego młodego rycerza taki sam posłuch był jako i dla mnie. Zaś co jest w skarbcu łupów i pieniędzy, to mu pokażesz – i będziesz mu wiernie w pokoju i na wojnie do śmierci służył. Słyszałeś?

Tolima podniósł ręce do uszu i skinął głową, po czym na dany znak przez Juranda skłonił się i odszedł, rycerz zaś zwrócił się do Zbyszka i rzekł z naciskiem:

– Tym, co jest w skarbcu, można choćby największą chciwość pokusić – i niejednego, ale stu brańców wykupić. Pamiętaj

Lecz Zbyszko spytał:

– A czemu to już zdajecie mi Spychów?

– Więcej ci ja niż Spychów zdaję, bo dziecko.

– I śmierci godzina niewiadoma – rzekł ksiądz Kaleb.

– Juźci niewiadoma – powtórzył jakby ze smutkiem Jurand. – Toćz niedawno śniegi mnie przysypały, a chociaż Bóg mnie zratował, nie ma już we mnie dawnej siły...

– Na miły Bóg! – zawołał Zbyszko – coś się w was odmieniło od wczoraj i o śmierci niż o Danusi radziej mówicie. Na miły Bóg!

– Wróci Danuška, wróci – odpowiedział Jurand – nad nią jest opieka boska. Ale jak wróci... słuchaj... Bierz ty ją do Bogdańca, a Spychów na Tolimę zdaj... To człek wiemy, a tu ciężkie sąsiedztwo... Tam ci jej na powróż nie wezmą... Tam przezpieczniej...

– Hej! – zakrzyknął Zbyszko – a wy już jakby z tamtego świata gadacie. Cóż to jest?

– Bom już przez pół był na tamtym świecie, a teraz tak mi się widzi, że jakowaś chorość mnie ima. I chodzi mi o dziecko... toć ja ją jedną mam. A i ty, choć wiem, że ją miłujesz...

Tu przerwał i wydobywszy z pochwy krótki mieczyk, zwany mize-rykordią, zwrócił go rękojeścią ku Zbyszkowi:

– Przysięgnijże mi jeszcze na ten krzyżyk, jako jej nigdy nie pokrzywdzisz i będziesz statecznie miłował...

A Zbyszkowi aż łzy stanęły nagle w oczach; w jednej chwili rzucił się na kolana i położywszy palec na rękojeści, zawołał:

– Na świętą Mękę, tak jej nie pokrzywdzę i będę statecznie miłował!

– Amen – rzekł ksiądz Kaleb.

Jurand zaś pochował w pochwę mize-rykordię i otworzył mu ramiona:

– Toś mi i ty dziecko!...

Po czym rozeszli się, bo noc już zapadła głęboka, a od kilku już dni nie zaznali dobrego wyczasu. Zbyszko jednakże wstał nazajutrz świtaniem, albowiem wczoraj zląkł się istotnie, czy nie idzie na Juranda

jakowaś choroba, i chciał teraz dowiedzieć się, jak starszy rycerz spędził noc.

Przed drzwiami Jurandowej izby natknął się na Tolimę, który z niej właśnie wychodził.

– A jakoże pan? – zdrowi? – zapytał.

Ów zaś skłonił się, a następnie otoczył ucho dłonią i rzekł:

– Wasza miłość co każą?

– Pytam: jak się ma pan? – powtórzył głośniejszym głosem Zbyszko.

– Pan pojechał.

– Dokąd?

– Nie wiem. We zbroi.

## ROZDZIAŁ XXXII

Świt począł właśnie bielić drzewa, krze i bryły wapienne rozrzucone tu i ówdzie po polach, gdy najęty przewodnik idący przy koniu Juranda zatrzymał się i rzekł:

– Pozwólcie mi odetchnąć, panie rycerzu, bom się zasapał. Odwilż jest i mgła, ale to już niedaleko...

– Doprowadzisz mnie do gościńca, a potem wrócisz – odrzekł Jurand.

– Gościniec będzie w prawo za borkiem, a z pagórka zaraz zamek ujrzycie.

To rzekłszy, chłop począł „zabijać” ręce, to jest uderzać dłońmi pod pachy, gdyż był zziąbł od rannej wilgoci, po czym przysiadł na kamieniu, bo się przy tej robocie jeszcze bardziej zasapał.

– A nie wiesz, jest-li komtur w zamku? – zapytał Jurand.

– Gdzie by zaś miał być, kiedy chory?

– Coże mu?

– Ludzie mówią, że go rycerze polscy sprali – odrzekł stary chłop.

I w głosie jego czuć było jakby pewne zadowolenie. Był poddanym krzyżackim, ale jego mazurskie serce radowało się przewagą polskich rycerzy.

Jakoż po chwili dodał:

– Hej! mocni nasi panowie, ale im z nimi ciężko.

Lecz zaraz potem spojrział bystro na rycerza i jakby chcąc się upewnić, że nie spotka go nic złego za słowa, które mu się niebacznie wymknęły, rzekł:

– Wy, panie, po naszymu mówicie, wyście nie Niemiec?

– Nie – odrzekł Jurand – ale prowadź dalej.

Chłop wstał i począł znów iść przy koniu. Po drodze zasuwiał niekiedy dłoń w kaletę, wydostawał z niej garść niemielonego żyta i wsypanywał ją sobie do ust, gdy zaś zaspokoił w ten sposób pierwszy głód, począł tłumaczyć, dlaczego je surowe ziarno, chociaż Jurand, zbyt zajęty własnym nieszczęściem i własnymi myślami, nawet tego nie dostrzegł.

– Chwała Bogu i za to – mówił. – Ciężkie życie pod naszymi niemieckimi panami. Ponakładali podatki i od miewa takie, że ubogi człek musi z plewą ziarno gryźć jak bydłę. A gdzie żarna w chałupie znajdują, tam chłopą skatują, dobytek zagarną, ba! dzieciom i babom nie przepuszczą... Nie boją się oni ni Boga, ni księży, jako i wielborskiego proboszcza, który im to przyganiał, na łańcuch wzięli. Oj, ciężko pod Niemcem! Co tam człek żarna między dwoma kamieniami ugniecie, to tę przygarść mąki na świętą niedzielę chowa, a w piątek tak jeść musi jako ptacy. Ale chwała Bogu i za to, bo przyjdzie-li przednówek, to i tego nie stanie... Ryby łowić nie wolno... zwierza bić też... Nie tak jak na Mazowszu.

W ten sposób wyrzekął krzyżacki chłop, mówiąc przez pół do siebie, przez pół do Juranda, a tymczasem minęli pustać pokrytą utulonymi pod śniegiem bryłami wapienia i weszli w las, który w zarannym świetle wydawał się siwy i od którego bił surowy, wilgotny chłód. Rozedniało już zupełnie; inaczej trudno byłoby Jurandowi przejechać leśną drożyną idącą nieco w górę i tak ciasną, że miejscami olbrzymi jego bojowy koń zaledwie mógł się przecisnąć wśród pni. Lecz borek skończył się wkrótce i po upływie kilku pacierzy znaleźli się na szczycie białego pagórka, którego środkiem biegł wyjeżdżony gościniec.

– To i droga – rzekł chłop – traficie teraz, panie, sami.

– Trafie – odrzekł Jurand. – Wracaj, człeku, do domu.

I sięgnawszy ręką do skórzanej torby przymocowanej na przedzie siodła, wydobył z niej srebrny pieniądz i podał go przewodnikowi. Chłop, przyzwyczajony więcej do razów niż do datków z rąk miejscowych krzyżackich rycerzy, oczom prawie nie chciał wierzyć i porwawszy pieniądz, przypadł głową do strzemienia Juranda i objął je rękoma.

– O Jezusie, Maryjo! – zawołał. – Bóg zapłać waszej wielmożności!

– Ostawaj z Bogiem.

– Niech was boska moc prowadzi. Szczytno przed wami. To rzekłszy, raz jeszcze pochylił się do strzemienia i zniknął. Jurand został na wzgórzu sam i spoglądał we wskazanym mu przez wieśniaka kierunku na szarą, wilgotną oponę mgły, która zasłaniała przed nim świat. Za tą mgłą krył się ów złowrogi zamek, ku któremu popychała go przemoc i niedola. Blisko, już blisko! a potem co się ma stać i spełnić, to się stanie i spełni... Na tę myśl w sercu Juranda, obok trwogi i niepokoju o Danusię, obok gotowości wykupienia jej z wrogich rąk choćby krwią własną, zrodziło się nowe, niesłychanie gorzkie a nie znane mu dotych-

czas nigdy uczucie upokorzenia. Oto on, Jurand, na którego wspomnienie drżeli pograniczni komturowie, jechał teraz na ich rozkaz z powinną głową. On, który tylu ich zwyciężył i podeptał, czuł się teraz zwyciężonym i podeptanym. Nie zwyciężyli go wprawdzie w polu, nie odwagą i rycerską siłą, niemniej jednak czuł się zwyciężonym. I było to dla niego czymś tak niesłychanym, iż zdawało mu się, że cały porządek świata został na nice wywrócony. On jechał ukorzyć się Krzyżakom, on, który gdyby nie chodziło o Danusię, wołałby sam jeden potykać się ze wszystkimi siłami Zakonu. Alboż nie trafiało się, że pojedynczy rycerz, mając wybór między sromotą a śmiercią, uderzał na całe wojska? A on czuł, że może mu się przy godzić i sromota, i na myśl o tym wyło w nim serce z bólu, jak wyje wilk, uczuwszy w sobie grot.

Lecz był to człowiek mający nie tylko ciało, lecz i duszę z żelaza. Umiał łamać innych, umiał i siebie.

– Nie ruszę się – rzekł sobie – póki nie spętam tego gniewu, którym mógłbym zgubić, nie zaś wybawić dziecko.

I wraz schwycił się Jakby za bary ze swoim hardym sercem, ze swoją zawziętością i żądzą boju. Kto by go widział na onym wzgórzu, we zbroi, bez ruchu, na ogromnym koniu, rzekłby, że to jakiś olbrzym ulany z żelaza, i nie poznałby, że ów nieruchomy rycerz toczy w tej chwili najcięższą ze wszystkich walk, jakie kiedykolwiek w życiu stoczył. Lecz on zmagał się z sobą poty, póki się nie zmógł i póki nie poczuł, że wola go nie zawiedzie.

Tymczasem mgły rzedły i jakkolwiek nie rozproszyły się do cna, jednakże zamajaczało w końcu w nich coś ciemniejszego. Jurand odgadł, że to są mury szczytnieńskiego zamku. Na ten widok nie ruszył się jeszcze z miejsca, ale począł się modlić tak gorąco i gorliwie, jak modli się człowiek, któremu na świecie pozostało już tylko boskie miłosierdzie.

I gdy wreszcie ruszył koniem, poczuł, że w serce poczyna mu wstępować jakowaś otucha. Gotów był teraz znieść wszystko, co go mogło spotkać. Przypomniał mu się święty Jerzy, potomek największego rodu Kapadocji, który znosił różne hańbiące katusze, a jednakże nie tylko czci nie stradał, lecz na prawicy Bożej jest posadzon i patronem wszystkiego rycerstwa mianowany. Jurand słyszał nieraz opowiadania o jego przygodach od pątników przybyłych z dalekich krain i wspomnieniem ich ukrzepił w sobie teraz serce.

Z wolna poczęła się w nim budzić nawet i nadzieja. Krzyżacy słyneśli wprawdzie z mściwości, przeto nie wątpił, że wywrą nad nim po-

mstę za wszystkie klęski, jakie im zadał, za hańbę, która spadała na nich po każdym spotkaniu, i za strach, w jakim przez tyle lat żyli.

Ale to właśnie dodawało mu ducha. Myślał, że Danusię porwali po to tylko, by go dostać, więc gdy go dostaną, to co im po niej? Tak! Jego skują niechybnie i nie chcąc trzymać w pobliżu Mazowsza, wyślą do jakich odległych zamków, gdzie może do końca życia przyjdzie mu jęczeć w podziemiu, ale Danusię będą woleli puścić. Choćby też wyszło na jaw, że go podstępem dostali i gnębią, nie weźmie im tego zbyt za złe ni wielki mistrz, ni kapituła, bo przecie on, Jurand, bywał istotnie ciężkim Krzyżakom i wytoczył z nich więcej krwi niż jakikolwiek inny rycerz w świecie. Natomiast ten sam wielki mistrz może by ich i pokarał za uwięzienie niewinnej dziewczyny, a do tego wychowanki księcia, o którego przychyłność starał się wobec grożącej wojny z królem polskim usilnie.

I nadzieja ogarniała go coraz potężniej. Chwilami wydawało mu się rzeczą niemal pewną, że Danusia wróci do Spychowa, pod Zbyszkową możliwą opiekę... „A chłop tęgi jest – myślał – i nie da ci jej nikomu ukrzywdzić”. I począł przypominać sobie z pewnym rozrzewnieniem wszystko, co o Zbyszku wiedział:

„Bił w Niemców pod Wilnem, na pojedynek z nimi chadzał, Fryzów, których ze stryjcem pozwali, poćwiertował, w Lichtensteina też bił, od tura dziecko bronił i tamtych czterech pozwał, którym pewnością nie daruje”. Tu podniósł Jurand oczy ku górze i rzekł:

– Ja ją Tobie, Boże, a Ty Zbyszkowi!

I uczyniło mu się jeszcze raźniej, sądził bowiem, że skoro ją Bóg młodziankowi podarował, to przecie nie pozwoli Niemcom z siebie zadrwić, z rąk ich ją wyrwie, choćby cała potęga krzyżacka nie puszczała. Lecz potem znów jął myśleć o Zbyszku: „Ba! nie tylko chłop tęgi, ale i szczery jak złoto. Będzie jej strzegł, będzie ją miłował i daj, Jezu, dziecku jako możesz najlepiej, ale widzi mi się, że przy nim nie pożałuje ni książęcego dworca, ni ojcowego kochania...” Na tę myśl powieki Juranda zwilgotniały nagle i w sercu zerwała mu się ogromna tęsknota. Chciałby przecie jeszcze dziecko w życiu widzieć i kiedyś, kiedyś umrzeć w Spychowie przy tych dwojgu, nie zaś w ciemnych piwnicach krzyżackich. Ale wola boska!... Szczytno było już widać. Mury rysowały się we mgle coraz wyraźniej, bliska już była godzina ofiary, więc zaczął się jeszcze pokrzepiać i tak do siebie mówić:

– Jużci, że wola boska! Ale wieczór żywota bliski. Kilka років więcej, kilka mniej, wyjdzie na jedno. Hej? chciałoby się jeszcze na



oboje dzieci pojrzyć, ale po sprawiedliwości, to człek się nażył. Czego miał doznać, doznał, kogo miał pomścić, pomścił. A teraz co? Radziej do Boga niż do świata, a skoro trzeba przycierpieć, to trzeba. Danuška ze Zbyszkiem, choćby im było najlepiej, nie zapomną. Pewnie, że nieraz będą wspominać a uradzać: gdzie też jest? żyw-li czy też już u Boga w wiecu?... Będą przepytawać i może się dowiedzą. Łapczywi są na pomstę Krzyżacy, ale i na wykup łapczywi. Zbyszko by nie pożałował, aby choć kości wykupić. A na mszę to z pewnością nieraz dadzą.

Ucziwe u obojga serca i kochające, za co ich. Boże, i Ty, Matko Najświętsza, błogosław.

Gościniec stawał się nie tylko coraz szerszy, ale się i zaludniał. Ciągnęły ku miastu wozy z drzewem i słomą... Skotarze pędzili bydło. Od jezior wieziono na saniach zmarzłą rybę. W jednym miejscu czterech łuczników wiodło na łańcuchu chłopą, widać za jakieś przewinienie, na sąd, gdyż ręce miał z tyłu związane, a na nogach kajdany, które zawadzając o śnieg, ledwie pozwoliły mu się poruszać. Ze zdyszanych jego nozdrzy i ust wychodził oddech w kształcie kłębow pary, a oni, popędzając go, śpiewali. Ujrzawszy Juranda, poczęli spoglądać na niego ciekawie, dziwiąc się widocznie ogromowi jeźdźca i konia, ale na widok złotych ostróg i rycerskiego pasa pospuszczali kusze ku ziemi na znak powitania i czci. W miasteczku było jeszcze ludniej i gwarniej, ustępowano jednak z pośpiechem zbrojnemu mężowi z drogi, ów zaś przejechał główną ulicę i skręcił ku zamkowi, który otulony w tumany podnoszące się z fosy zdawał się jeszcze spać.

Lecz nie wszystko naokół spało, a przynajmniej nie spały wrony i kruki, których całe stada wichrzyły się na podniesieniu stanowiącym dojazd do zamku, łopocąc skrzydłami i kracząc. Jurand, podjechawszy bliżej, zrozumiał powód tego ptasiego wiecu. Oto obok drogi wiodącej do bramy zamkowej stała obszerna szubienica, na niej zaś wisiały ciała czterech mazurskich chłopów krzyżackich. Nie było najmniejszego powiewu, więc trupy, które zdawały się spoglądać na własne stopy, nie kołysały się, chyba wówczas gdy czarne ptactwo siadało im na ramiona i na głowy, przepychając się wzajem, trącąc w powrozy i dziobiąc o pospuszczane głowy. Niektórzy wisielcy musieli wisieć już od dawna, gdyż czaszki ich były całkiem nagie, a nogi niezmiernie wydłużone. Za zbliżeniem się Juranda stado zerwało się z wielkim szumem, ale wnet zawróciło w powietrzu i poczęło się sadowić na poprzecznej belce szubienicy. Jurand przejechał mimo, czyniąc znak krzyża, zbliżył się do

przekopu i stanąwszy w miejscu, w którym nad bramą wznosił się most zwodzony, uderzył w róg.

Po czym zatrąbił raz, drugi, trzeci i czekał. Na murach nie było żywej duszy i zza bramy nie dochodził żaden głos. Po chwili jednak ciężka, widoczna za kratą kłapa, wmurowana w pobliżu zamku bramy, podniosła się ze zgrzytem i w otworze ukazała się brodata głowa niemieckiego knechta.

– *Wer da?* – spytał szorstki głos.

– Jurand ze Spychowa! – odpowiedział rycerz.

Po tych słowach kłapa zamknęła się na nowo i nastąpiło głuche milczenie.

Czas począł płynąć. Za bramą nie słychać było żadnego ruchu, tylko od strony szubienicy dochodziło krakanie ptactwa.

Jurand stał jeszcze długo, zanim podniósł róg i uderzył weń powtórnie.

Ale odpowiedziała mu znów cisza.

Wówczas zrozumiał, że trzymają go przed bramą przez krzyżacką pychę, która wobec zwyciężonego nie ma granic, dlatego by go upokorzyć jak żebraka. Odgadł też, że przyjdzie mu tak czekać może aż do wieczora albo i dłużej. Więc w pierwszej chwili zawrzała w nim krew; chwycił go nagła chęć zsiąść z konia, podnieść jeden z głazów, które leżały przed przekopem, i rzucić nim w kratę. Tak byłby w innym razie uczynił i on, i każdy inny mazowiecki albo polski rycerz, i niechby potem wypadli zza bramy bić się z nim. Ale wspomniawszy, po co tu przybył, opamiętał się i powstrzymał.

„Zalim się nie ofiarował za dziecko?” – rzekł sobie w duszy.

I czekał.

Tymczasem w wyźbieniach murów zaczęło coś czernieć. Ukazywały się futrzane nakrycia głów, ciemne kapice i nawet żelazne blachy, spod których spoglądały na rycerza ciekawe oczy. Przybywało ich z każdą chwilą, bo już też ten groźny Jurand wyczekujący samotnie pod krzyżacką bramą był dla załogi nie byle widowiskiem. Kto go dawniej ujrzał przed sobą, ujrzał śmierć, a teraz można było patrzeć na niego bezpiecznie. Głowy podnosiły się coraz wyżej, aż wreszcie wszystkie wyźbienia bliższe bramy pokryły się knechtami. Jurand pomyślał, że zapewne i starsi muszą na niego spoglądać przez kraty okien w przybramnej wieży, i podniósł wzrok ku górze, ale tam okna powycinane były w głębokich murach i patrzeć przez nie było niepodobna, chyba w dal. Za to na blankach czereda, która z początku spozierała na niego w

milczeniu, poczęła się odzywać. Ten i ów powtórzył jego imię, tu i ówdzie ozwały się śmiechy, ochryple głosy pokrzykiwały jak na wilka coraz głośniejsze, coraz zuchwalej, a gdy widocznie nikt nie przeszkadzał ze środka, poczęto wreszcie miotać na stojącego rycerza śniegiem.

Ów, jakby mimo woli, ruszył przed siebie koniem, wówczas na jedną chwilę bryły śniegu przestały lecieć, głosy ucichły, a nawet i niektóre głowy poznikały za murami. Groźne musiało być istotnie Jurandowe imię. Wnet jednak najtchórzliwsi opamiętali się, że dzieli ich od straszego Mazura rów i mur, więc znów grube żołdactwo poczęło miotać nie tylko bryłkami śniegu, ale lodu i nawet gruzu i kamyków, które z brzękiem odbijały się od zbroi i kropierza pokrywającego konia.

– Ofiarowałem się za dziecko – powtarzał sobie Jurand.

I czekał. Przyszło południe, mury opustoszały, gdyż knechtów odwołano na obiad. Nieliczni ci, którym przypadło stróżować, jedli jednak na murach, a po spożyciu strawy zabawiali się znowu ciskaniem na głodnego rycerza ogryzionych gnatów. Poczęli też przekomarzać się z sobą i zapytywać się wzajem, który podejmie się zejść i dać mu po karaku pięścią albo drągami oszczepu. Inni, wróciwszy z obiadu, wołali na niego, że jeśli zmierziło mu się czekać, to się może powiesić, gdyż na szubienicy jest jeden wolny hak z gotowym powrozem. I wśród takich szyderstw, wśród nawoływań, wybuchów śmiechu i przekleństw zbiegały popołudniowe godziny. Krótki zimowy dzień chylił się stopniowo ku wieczorowi, a most wisiał wciąż w powietrzu i brama pozostawała zamknięta.

Lecz pod wieczór wstał wiatr, rozwiął mgły, oczyścił niebo i odsłonił zorze. Śniegi uczyniły się modre, a później fioletowe. Nie było mrozu, ale noc zapowiadała się pogodna. Z murów zeszli znów ludzie, prócz straży, kruki i wrony odleciały od szubienicy ku lasom. Wreszcie poczerniało niebo i cisza nastąpiła zupełna.

„Nie otworzą przed nocą bramy” – pomyślał Jurand.

I na chwilę przeszło mu przez głowę, by nawrócić ku miastu, ale zaraz porzucił tę myśl. „Chcą tego, bym tu stał – mówił sobie w duszy. – Jeśli nawrócę, juźci nie puszczą mnie do dom, jeno otoczą, pojnąją, a potem rzekną, że mi nic nie powinni, bo mnie siłą wzięli, a choćbym zaś po nich przejechał, to i tak muszę wrócić...”

Niezmierna, podziwiana przez obcych kronikarzy wytrzymałość polskich rycerzy na chłód, głód i trudy nieraz pozwalała im dokonywać czynów, na które nie mogli się zdobyć bardziej zniewieściali ludzie z Zachodu. Jurand zaś posiadał tę wytrzymałość w większej jeszcze od

innych mierze, więc choć głód począł mu już od dawna skrecać wnętrzności, a zamróz wieczorny przeniknął przez pokryty blachami kozuch, postanowił czekać, choćby miał skonać pod tą bramą.

Nagle jednak, nim jeszcze zapanowała zupełna noc, usłyszał za sobą chrzęst kroków na śniegu.

Obejrzał się: szło ku niemu od strony miasta sześciu zbrojnych we włócznie i halabardy, w środku zaś między nimi szedł siódmy, podpierając się mieczem.

„Może im bramę otworzą i z nimi wjadę – pomyślał Jurand. – Siłą nie będą mnie przecie chcieli brać ni zabić, bo ich za mało; gdyby wszelako uderzyli na mnie, to znak, że nie chcą niczego dotrzymać, i wtedy – gorze im!”

Tak pomyślawszy, podniósł stalowy topór wiszący mu przy siodle, tak ciężki, że za ciężki nawet na dwie ręce zwykłego męża – i ruszył ku nim koniem.

Lecz oni nie myśleli na niego uderzać. Owszem, knechtowie wbili zaraz w śnieg tyłca włóczni i halabard – że zaś noc nie była jeszcze całkiem ciemna, więc Jurand spostrzegł, że osady drżą im jednak nieco w ręku.

Ów zaś siódmy, który wydawał się starszym, wyciągnął spieszenie przed siebie lewe ramię i zwróciwszy dłoń do góry palcami ozwał się:

– Wyście, rycerzu, Jurand ze Spychowa?

– Jam jest...

– Chcecie-li słuchać, z czym mnie przysłano?

– Słucham.

– Silny i pobożny komtur von Danveld każe wam powiedzieć, panie że póki nie zsiądziecie z konia, brama nie będzie wam otworzona.

Jurand pozostał chwilę bez ruchu, następnie zsiadł z konia, po którego w tej chwili poskoczył jeden z włóczników.

– I broń ma nam być oddana – ozwał się znów człowiek z mieczem.

Pan ze Spychowa zawahał się. Nuż potem uderzą na bezbronnego i zadżgają go jak zwierzę, nuż chwycą i wtrącą do podziemia? Lecz po chwili pomyślał, że gdyby tak miało być, toby ich jednak przysłano więcej. Bo gdyby się na niego mieli rzucić, zbroi od razu na nim nie przebodą, a wówczas on mógłby wydrzeć broń pierwszemu z brzoza i wytracić wszystkich, nimby nadbiegła pomoc. Znali go przecie.

– I choćby też – rzekł sobie – chcieli wytoczyć ze mnie krew, tożem ja nie po co innego tu przybył.

Tak pomyślawszy, rzucił naprzód topór, następnie miecz, następnie mizerykordię – i czekał. Oni zaś chwycili to wszystko, po czym ów człowiek, który do niego przemawiał, oddaliwszy się na kilkanaście kroków, zatrzymał się i począł mówić zuchwałym, podniesionym głosem:

– Za wszystkie krzywdy, któreś Zakonowi wyrządził, masz z rozkazu komtura przywdziać na się ów zgrzebny wór, który ci zostawiam, przywiązać u szyi na powrozie pochwę od miecza i czekać w pokorze u bramy, póki ci łaska komtura nie rozkaże jej otworzyć.

I po chwili Jurand pozostał sam w ciemności i ciszy. Na śniegu czerniał przed nim pokutniczy wór i powróż, on zaś stał długo, czując, że mu się w duszy coś rozpręga, coś łamie, coś kona i mrze i że oto po chwili nie będzie już rycerzem, nie będzie już Jurandem ze Spychowa, lecz nędzarzem, niewolnikiem bez imienia, bez sławy, bez czci.

Więc upłynęły jeszcze długie chwile, nim zbliżył się do pokutniczego woru i począł mówić:

– Jakoż mogę inaczej postąpić? Ty, Chryste, wiesz: dziecko niewinne uduszą, jeśli nie uczynię wszystkiego, co mi każą. I to też wiesz, że dla własnego żywota tego bym nie uczynił! Gorzka rzecz hańba!... gorzka! – Ale i Ciebie przed śmiercią hańbili. Ano, w Imię Ojca i Syna...

Po czym pochylił się, wdział na się wór, w którym były poprzecznane otwory na głowę i ręce, następnie u szyi zawiesił na powrozie pochwę od miecza – i powłókł się przed bramę.

Nie zastał jej otwartej, ale teraz było mu już wszystko jedno, czy mu ją prędzej, czy później otworzą. Zamek pogrążył się w milczeniu nocy, strażę tylko obwoływały się kiedy niekiedy po narożnikach. W wieży przybramnej świeciło wysoko jedno okienko, inne były ciemne.

Godziny nocy płynęły jedna za drugą, na niebo wzbił się sierp księżycy i rozświecił posępne mury zamku. Cisza uczyniła się taka, że Jurand mógłby słyszeć bicie własnego serca. Ale on zdrętwiał i skamieniał całkiem, jakby z niego wyjęto duszę, i nie zdawał już sobie sprawy z niczego. Została mu tylko jedna myśl, że przestał być rycerzem, Jurandem ze Spychowa, ale czym jest – nie wiedział... Chwilami także majaczyło mu się coś, że wśród nocy od tych wisielców, których z rana widział, idzie ku niemu cicho po śniegu śmierć... Nagle drgnął i rozbudził się zupełnie:

– O Chryste miłościwy! co to jest?!

Z wysokiego okienka w przybramnej wieży ozwały się jakieś zaledwie z początku dostłyszalne dźwięki lutni. Jurand, jadąc do Szczytna, był pewien, że nie ma Danusi w zamku, a jednak ten głos lutni po nocy wzburzył w nim w jednej chwili serce. Wydało mu się, że on te dźwięki zna i że to nie kto inny gra, tylko ona –jego dziecko! jego kochanie... Więc padł na kolana, złożył ręce jak do modlitwy i dygocąc jak w gorączce, słuchał.

A wtem na wpeł dziecinny i jakby niezmiernie stęskniony głos począł śpiewać:

*Gdybym ci ja miała  
Skrzydłeczka jak gąska,  
Poleciałabym ja  
Za Jaśkiem do Śląska.*

Jurand chciał odezwać się, wykrzyknąć kochane imię, ale słowa uwieżyły mu w gardle, jakby je ścisnęła żelazna obręcz. Nagła fala bólu, łez, tęsknoty, niedoli wezbrała mu w piersiach, więc rzucił się twarzą w śnieg i jął w uniesieniu wołać ku niebu w duszy jakby w dziękczynnej modlitwie:

– O Jezu! dyć słyszę jeszcze dziecko! O Jezu!!... I szlochaniem zaczęło targać jego olbrzymim ciałem. W górze tęskny głos śpiewał dalej wśród niezmaconej nocnej ciszy:

*Usiadłabym ci ja  
Na śląskowskim plocie:  
„Przypatrz się, Jasińku,  
Ubogiej sierocie... „*

Rankiem gruby, brodaty knecht niemiecki począł kopać w biodro leżącego przy bramie rycerza.

– Na nogi, psie!... Brama otwarta i komtur każe ci stanąć przed sobą.

Jurand zbudził się jakby ze snu. Nie chwycił knechta za gardło, nie skruszył go w żelaznych rękach, twarz miał cichą i niemal pokorną; podniósł się i nie mówiąc ni słowa, poszedł za żołdakiem przez bramę.

Zaledwie jednak ją przeszedł, gdy ozwał się za nim zgrzyt łańcuchów i most zwodzony począł podnosić się do góry, w samej zaś bramie spadła ciężka żelazna krata...